Panie Coulter, Quick i Lowell
– macie konkurencję!

Affaire de Coeur

Stephanie Laurens

Kuszenie i uległość

Stephanie Laurens

Kuszenie i uległość

Przełożył
Piotr Maksymowicz

bis

Warszawa 2013

Tytuł oryginału: ***Temptation and Surrender***

Projekt okładki: Beata Kulesza-Damaziak

Copyright © 2009 Savdek Management Proprietory Ltd
Published by arrangement by HarperCollins Publisher
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2013

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

ISBN 978-83-7551-368-4

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33; fax (22) 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Konwersja:

NEXTO PL

Rozdział 1

Colyton, Devon
październik 1825

– Mam ochotę wyrwać sobie wszystkie włosy, chociaż to i tak nic by nie pomogło.

Wspomniane ciemne włosy opadały w niesfornych lokach wokół pięknej głowy Jonasa Tallenta. W jego brązowych oczach malowała się pełna odrazy irytacja, gdy usiadł ciężko w fotelu za biurkiem, w bibliotece wiejskiego majątku Grange, rodzinnego domu, który miał kiedyś odziedziczyć. Właśnie ten fakt przyczynił się do frustracji i złości dziedzica.

Siedzący wygodnie w drugim fotelu szwagier Jonasa, Lucyfer Cynster, skrzywił się, uśmiechając współczująco.

– Nie chcę dorzucać ci kolejnej zgryzoty, ale czuję się w obowiązku zauważyć, iż z biegiem czasu oczekiwania zawsze rosną.

Jonas westchnął.

– Nic dziwnego… Upadek Juggsa, niestanowiący zresztą wielkiej straty, poprawił nieco atmosferę w gospodzie Pod Czerwonym Dzwonkiem. Kiedy Edgar znalazł tego starego pijaka w kałuży piwa, okoliczni mieszkańcy odetchnęli z ulgą i natychmiast zaczęli spekulować, co się stanie, gdy zjawi się tam bardziej kompetentny oberżysta.

Juggs był zarządcą zajazdu od prawie dziesięciu lat. Dwa miesiące temu jego ciało znalazł barman, Edgar Hills.

Jonas usiadł głębiej w fotelu.

– Muszę przyznać, że byłem jednym z pierwszych, którzy rozpoczęli takie spekulacje, ale to było jeszcze, zanim wuj Martin padł z przepracowania, a rodzic wyjechał, aby zająć się

ciotką Elizą i jej hordą, obarczywszy mnie sprawą znalezienia nowego zarządcy gospody.

Prawdę mówiąc, chętnie wykorzystał tę sposobność, aby wrócić z Londynu i przejąć zarządzanie majątkiem. Przyuczał się do tego zadania w młodości. Jego ojciec wciąż był krzepki, ale jednak tracił już siły. Nic dziwnego więc, że nieoczekiwana i zapowiadająca się na długą nieobecność ojca wydała się Jonasowi idealną okazją, aby ruszyć do akcji i wziąć sprawy w swoje ręce.

Jednakże nie to było głównym powodem, dla którego tak szybko wyrwał się z Londynu.

W ciągu ostatnich miesięcy coraz bardziej mierziło go miejskie życie, które stało się jego udziałem. Te kluby, teatry, kolacje i bale, przyjęcia i spotkania w starannie dobranym towarzystwie zamożnych arystokratów, oraz te wyniosłe matrony, z których większość chętnie witała w swoim łożu przystojnego, bogatego i dobrze ułożonego dżentelmena. Kiedy pierwszy raz ruszył w miasto – a było to wkrótce po ślubie jego bliźniaczej siostry, Phyllidy, z Lucyferem – szybko rozrywkowy tryb życia stał się jego celem. Ponieważ miał wrodzone i odziedziczone atrybuty – a dzięki powiązaniu z Lucyferem również poparcie Cynsterów – zdobycie wszystkiego, czego pragnął, nie było wcale trudne. Jednak po osiągnięciu swych celów i kilkuletnim obracaniu się w kręgach towarzyskich Jonas stwierdził, że życie na tej pozłacanej scenie doprowadziło go do stanu, w którym nie czuł nic, tylko dziwną pustkę.

Był niespełniony. W rzeczywistości, osamotniony.

Gotów był wrócić do domu w Devon i przejąć zarząd nad wiejską posiadłością oraz majątkiem, gdy ojciec udał się do Norfolk, aby wspomóc pogrążoną w kłopotach Elizę.

Na początku zastanawiał się, czy również życie w Devon wyda mu się teraz puste, pozbawione celu. Gdzieś w zakamarkach duszy dręczyło go pytanie, czy ta wewnętrzna otępiająca nicość to wyłącznie efekt towarzyskiego trybu życia w Londynie, czy też, o zgrozo, objaw głębszej apatii.

Jednak już po kilku dniach od powrotu na wieś upewnił się przynajmniej w tej ostatniej kwestii. Nagle poczuł, że jego życie nabrało sensu. Ani przez chwilę nie brakowało mu nowych wyzwań, którym musiał poświęcić uwagę. Od powrotu do domu i wyjazdu ojca prawie nie miał czasu, aby pomyśleć.

To niepokojące uczucie oderwania od rzeczywistości i pustki minęło, pozostał jedynie leżący u jego podłoża niepokój.

Nie czuł się już bezużyteczny – najwyraźniej życie pana na włościach, do jakiego był przysposabiany od urodzenia, stanowiło jego prawdziwe powołanie – jednak cały czas w jego życiu czegoś brakowało.

Teraz najbardziej dawała mu się we znaki sprawa wakatu po poprzednim zarządcy gospody Pod Czerwonym Dzwonkiem. Zastąpienie nieopłakiwanego Juggsa okazało się zadaniem nad wyraz trudnym.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kto by pomyślał, że tak ciężko będzie znaleźć nowego oberżystę?

– A jak daleko szukałeś?

– Kazałem rozesłać ogłoszenia po całym hrabstwie, a nawet dalej, do Plymouth, Bristolu i Southampton. – Zasępił się. – Mógłbym wysłać je również do agencji w Londynie, ale tak właśnie zrobiliśmy ostatnim razem, no i przysłali nam Juggsa. Gdybym mógł wybierać, wolałbym powierzyć tę pracę komuś miejscowemu, a przynajmniej mieszkańcowi zachodniej Anglii. – Wyprostował się w fotelu, jego mina wyrażała determinację. – A skoro to nie wyjdzie, przynajmniej chciałbym porozmawiać z kandydatem, zanim dam mu posadę. Gdybyśmy rozmówili się z Juggsem, zanim najęła go agencja, nawet do głowy by nam nie przyszło ściągać go na wieś.

Lucyfer siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami. Wciąż był zabójczo przystojnym ciemnowłosym diabłem, który przed laty doprowadzał matrony z towarzyskiej elity do omdleń. Teraz zmarszczył brwi.

– To dziwne, że nikt się nie zgłosił.

Jonas westchnął.

– To wina naszej małej wioski, jej prowincjonalność odstrasza wszystkich dobrych kandydatów. Kontrargumenty, że gdyby dodać okoliczne domy i majątki, stanowilibyśmy dość sporą społeczność, oraz że w pobliżu nie ma innego zajazdu, więc możemy liczyć na więcej klientów, są niewystarczające i nie rekompensują braku sklepów oraz małej liczby miejscowej ludności. – Długim palcem przekartkował stertę papierów. – Kiedy tylko przekonują się, jakie jest nasze Colyton, wszyscy porządni kandydaci biorą nogi za pas. – Skrzywił się, spoglądając w ciemnoniebieskie oczy Lucyfera. – A skoro są dobrzy, są też ambitni. Nic dziwnego, że uważają, iż w Colyton nie zrobią wielkiej kariery.

Lucyfer również skrzywił twarz w grymasie.

– Wygląda na to, że szukasz kogoś wyjątkowego: kogoś potrafiącego zarządzać gospodą, kto jednocześnie pragnie zamieszkać w takiej dziurze, jak Colyton.

Jonas popatrzył na niego z namysłem.

– Ty mieszkasz w tej dziurze, może ciebie skuszę, abyś spróbował swych sił w prowadzeniu zajazdu?

Lucyfer uśmiechnął się półgębkiem.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Podobnie jak ty, mam własną posiadłość, którą muszę zarządzać.

– A poza tym żaden z nas nie ma zielonego pojęcia o zarządzaniu gospodą.

Lucyfer potwierdził skinieniem głowy.

– Ale przecież Phyllida umiałaby poprowadzić taki interes z zamkniętymi oczami.

– Tyle że i tak ma już roboty po łokcie.

– Dzięki tobie. – Jonas rzucił szwagrowi kpiarskie i zarazem pełne przygany spojrzenie. Lucyfer i Phyllida mieli już dwoje dzieci, Aidana i Evana, bardzo żywych chłopców. Phyllida niedawno wyjawiła, że nosi pod sercem trzeciego potomka. Pomimo wielu służących zawsze gotowych do pomocy zawsze pełne ręce roboty. Nie myślała o odpoczynku.

Lucyfer uśmiechnął się bez cienia skruchy.

– Zważywszy na to, że uwielbiasz występować w roli wujka, twa oskarżycielska mina jest jednak zbyt łagodna.

Tym razem Jonas uśmiechnął się smutno i popatrzył na stosik listów, jakie nadeszły w odpowiedzi na rozesłane po hrabstwie ogłoszenie.

– To naprawdę smutne, że najlepszym kandydatem jest były pensjonariusz więzienia w Newgate.

Lucyfer parsknął śmiechem, po czym wstał i przeciągnął się.

– Coś… lub ktoś na pewno się pojawi.

– Mam nadzieję – odparł Jonas. – Tylko kiedy? Jak słusznie zauważyłeś, oczekiwania rosną z każdą chwilą. Czas gra na moją niekorzyść, gdyż jestem właścicielem gospody, a zatem człowiekiem, od którego oczekuje się spełnienia wspomnianych oczekiwań.

Lucyfer uśmiechnął się ze zrozumieniem, ale bez intencji udzielenia pomocy.

– Sam musisz sobie z tym poradzić. Obiecałem, że wcześniej wrócę do domu i pobawię się w piratów z synami.

Jonas spostrzegł, że Lucyfer – tak, jak zwykle – z wyjątkowym upodobaniem wypowiedział ostatnie słowo, delektując się jego brzmieniem i treścią.

Szwagier żwawo zasalutował i wyszedł, pozostawiwszy Jonasa ze stertą tych okropnych zgłoszeń na stanowisko oberżysty w gospodzie Pod Czerwonym Dzwonkiem. Jonas żałował, że i on nie może pobawić się w piratów.

Na tę myśl ujrzał w wyobraźni obraz tego, co czekało na Lucyfera u celu krótkiej wędrówki leśną ścieżką, łączącą tylną część Grange z zapleczem Colyton Manor, domu, który odziedziczył i teraz dzielił z Phyllidą, Aidanem i Evanem oraz grupą służących. Dwór był pełen ciepła i życia, energii, która wypełniała duszę i promieniowała od wszystkich jego zadowolonych i szczęśliwych mieszkańców.

I potrafiła człowiekiem zawładnąć.

Jonas czuł się komfortowo w swoim majątku – domu, gdzie miał fantastyczną służbę, którą znał od dziecka. Jednak miał świadomość – być może po niedawnych przemyśleniach

związanych z małością życia w wyższych sferach – pragnienia, że takie ciepło i szczęście, jakie panuje w Colyton Manor, zakorzeni się również w Grange i otuli go.

Wypełni jego duszę na zawsze.

Dłuższą chwilę patrzył niewidzącym wzrokiem na pokój, potem otrząsnął się z tych myśli i ponownie zerknął na stosik beznadziejnych zgłoszeń.

Mieszkańcy Colyton zasługiwali na dobrą gospodę.

Z westchnieniem przesunął zgłoszenia na środek bibułowej podkładki i zmusił się, aby przejrzeć je jeszcze jeden, ostatni raz.

* * *

Emily Ann Beauregard Colyton stała tuż za ostatnim zakrętem krętej drogi wiodącej do Grange na południowym krańcu wioski Colyton, spoglądając na odległy ledwie o pięćdziesiąt jardów kryty dachówką dom. Bezpretensjonalny, lecz mający pewien urok, wielospadowy dach spoczywał ponad okienkami strychu i dwoma piętrami szerszych, pomalowanych na biało okiennych ram. Do ganku z głównym wejściem prowadziło kilka schodów. Ze swojego miejsca Em ledwie widziała frontowe drzwi, nieco cofnięte, zacienione, majestatyczne. Po obu stronach rozpościerały się starannie wypielęgnowane ogrody. Za trawnikiem z lewej strony zauważyła ogród różany, a w nim jasne kolorowe kwiaty, bujne i nęcące, które kołysały się na tle ciemniejszych liści.

Poczuła, że musi jeszcze raz spojrzeć na trzymaną w dłoni kartkę, która była kopią ogłoszenia, jakie zauważyła na tablicy w zajeździe koło Axminster, z ofertą posady oberżysty w gospodzie Pod Czerwonym Dzwonkiem w Colyton. Kiedy ujrzała je po raz pierwszy, odniosła wrażenie, że jej modlitwy zostały w końcu wysłuchane.

Razem z bratem i siostrami zmarnowali trochę czasu, czekając na kupca, który zgodził się zabrać ich wozem przy okazji odwiedzin w Colyton. Przez ostatnie półtora tygodnia, od

dnia jej dwudziestych piątych urodzin, kiedy to ze względu na swój dojrzały wiek i testament niedawno zmarłego ojca przejęła opiekę nad bratem i trzema siostrami, razem odbywali podróż z domu jej wuja w Leicestershire przez Londyn, aby w końcu dotrzeć do Axminster i ostatecznie – kupieckim wozem – do Colyton.

Wyprawa okazała się droższa, niż oczekiwała: pochłonęła jej skromne oszczędności oraz niemal wszystkie pieniądze – jej udział w majątku ojca – które zorganizował dla niej rodzinny adwokat, pan Cunningham. Tylko on wiedział, że Emily z rodzeństwem zabrali udziały i przenieśli się do wioski Colyton w hrabstwie Devon.

Ich wuj oraz wszyscy, których mógłby zmusić lub namówić do realizacji swoich celów – czyli do wymoszczenia sobie gniazdka dzięki ich darmowej pracy – nie zostali poinformowani o celu podróży rodzeństwa.

Co oznaczało, że znowu byli zdani głównie na siebie, a dokładniej – że opieka nad Isobel, Henrym oraz bliźniaczkami, Gertrude i Beatrice, spoczywała od tej pory na barkach Emily.

Nie miała nic przeciwko temu; chętnie wzięła na siebie ten obowiązek. Pozostanie w domu wuja dzień dłużej, niż to było absolutnie konieczne, okazało się trudne do zniesienia; jedynie obietnica rychłego, a potem natychmiastowego wyjazdu pozwoliła piątce Colytonów przetrwać tak długo pod ciężką ręką Harolda Potheridge’a, lecz do czasu osiągnięcia przez Em wieku dwudziestu pięciu lat, on – brat niedawno zmarłej matki – był ich prawnym opiekunem wspólnie z panem Cunninghamem.

W dniu dwudziestych piątych urodzin Em prawnie zastąpiła wuja. Tego dnia razem z rodzeństwem zabrali skromny dobytek, który był już od dawna spakowany, po czym opuścili Runcorn – ziemską posiadłość wuja. Em już wcześniej zbierała siły, aby stawić mu czoła i wyjaśnić tę decyzję, ale okazało się, że Harold właśnie tego dnia pojechał na spotkanie miłośników wyścigów konnych, więc nie był świadkiem ich wyjazdu. Wszystko ułożyło się dobrze, wiedziała jednak, że on ruszy ich

śladem tak daleko, jak tylko będzie mógł. Mieli dla niego dużą wartość – jako nieodpłatna służba. Zatem szybki dojazd do Londynu był kwestią najważniejszą, a to oznaczało podróż powozem zaprzężonym w czwórkę koni, co – o czym się przekonała – było kosztownym przedsięwzięciem. Potem dorożkami musieli przemierzyć Londyn i spędzić dwie noce w porządnym hotelu, takim, w którym czuliby się dostatecznie bezpiecznie, aby spokojnie spać. Chociaż od tej chwili bardzo oszczędnie gospodarowała pieniędzmi i dalszą drogę odbyli dyliżansem pocztowym, to jednak koszt pięciu biletów, posiłków i noclegów w przydrożnych zajazdach znacznie nadszarpnął jej fundusze, które malały w alarmującym tempie.

Zanim dotarli do Axminster, już wiedziała, że ona i zapewne również młodsza o dwa lata Issy będą musiały znaleźć pracę, lecz nie miała pojęcia, jakież to zajęcie mogłyby podjąć dwie młode kobiety o szlacheckim pochodzeniu.

Do chwili, gdy przeczytała to ogłoszenie na tablicy.

Jeszcze raz szybko omiotła wzrokiem swoją kopię, powtarzając w myślach – jak to czyniła przez ostatnie godziny – właściwe słowa i zapewnienia, jakimi mogłaby przekonać właściciela Grange, będącego zarazem właścicielem zajazdu Pod Czerwonym Dzwonkiem, że to ona, Emily Beauregard – bo przecież nikt nie musiał wiedzieć, że nazywają się Colyton, przynajmniej na razie – jest właśnie tą osobą, której można powierzyć zarządzanie gospodą.

Kiedy pokazała ogłoszenie rodzeństwu i poinformowała je o zamiarze ubiegania się o tę pracę, wszyscy, jak zwykle zresztą – niech im Bóg pobłogosławi – entuzjastycznie zareagowali na ten pomysł. Teraz miała w torbie podróżnej trzy znakomite referencje wystawione Emily Beauregard niby to przez właścicieli zajazdów, które minęli podczas podróży. Sama napisała jedne z nich, druga rekomendacja wyszła spod pióra Issy, a trzecią naskrobał piętnastoletni Henry: bardzo chciał się do czegoś przydać. Wszystkie listy polecające sporządzili podczas oczekiwania, aż kupiec będzie gotów wyruszyć w drogę i zabierze ich wozem.

Dowiózł ich do samego zajazdu Pod Czerwonym Dzwonkiem. Emily z ogromną ulgą stwierdziła, że na ścianie tuż obok drzwi wisi kartka z wysmarowanym czarnymi grubymi literami napisem: „Zatrudnię oberżystę”. A więc ogłoszenie nadal było aktualne. Posadziła rodzeństwo w rogu dużej sali dla gości, zostawiwszy kilka monet na lemoniadę. Jednocześnie bacznie oglądała gospodę, oceniając wszystko, co było w zasięgu wzroku. Zauważyła, że okiennice wymagają malowania, że wnętrze jest zakurzone i brudne, lecz zarazem nie stwierdziła, by cokolwiek stało na przeszkodzie, aby doprowadzić pomieszczenie do porządku. Potrzebowałaby ścierki. Poza tym wymagało to, trzeba przyznać, odrobiny determinacji.

Obserwowała nieco ponurego mężczyznę stojącego za barem. Chociaż obsługiwał gości, jego oblicze świadczyło o tym, że myślami jest zupełnie gdzieś indziej, zresztą bez zbytniego entuzjazmu. Na ogłoszeniu widniał adres dla aplikantów, którzy mieli zgłaszać swe kandydatury nie w samym zajeździe, lecz w majątku Grange w Colyton, co sugerowało, że należy przysyłać podania o pracę drogą pocztową. Emily zebrała się na odwagę i – wyraźnie słysząc szelest swoich „referencji” w torbie – podeszła do baru, aby spytać mężczyznę o drogę do Grange.

W taki właśnie sposób znalazła się tam, na drodze dojazdowej do majątku, zaniepokojona i pełna rozterek. Powiedziała sobie, że gdy poprzez uważne oględziny jego domu usiłuje się zorientować, jakim typem człowieka jest właściciel, robi to, co nakazuje rozsądek.

Pomyślała, że ów mężczyzna musi być starszy i stateczny – dom miał w sobie coś, co nasuwało właśnie takie wnioski. Człowiek ten zapewne prowadził wygodne, spokojne życie. Żonaty przez wiele lat, może owdowiały, a jeśli nie, to żona z pewnością była równie wiekowa jak on sam i wiodła takie samo, pozbawione trosk życie. Z pewnością był szlachcicem, prawdopodobnie tego rodzaju, jaki określano mianem filaru ziemiaństwa. Paternalistyczny, co do tego nie miała cienia wątpliwości, co z pewnością okaże się bardzo pożyteczne. Emily stwierdziła, że musi pamiętać, by wzbudzić w nim tę emocję,

gdyby potrzebowała pomocy w nakłonieniu go do przyjęcia jej do pracy. Szkoda, że zabrakło jej śmiałości, by podpytać barmana o właściciela gospody, lecz fakt, że pragnęła ubiegać się o stanowisko jego przełożonej, czynił tę sprawę dość niezręczną, Emily nie chciała zaś ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Prawda była taka, że potrzebowała tej pracy. I to rozpaczliwie. Oprócz konieczności odbudowania zasobów finansowych, ona i rodzeństwo musieli przecież gdzieś mieszkać. Zakładała, że w wiosce będą wolne pokoje, ale przekonała się, że w Colyton jedynym miejscem, które pomieści ich piątkę, jest zajazd. A jej nie było stać na to, by spędzili w nim więcej niż jedną noc.

Już samo to stanowiło duży problem, ale okazało się, że pod nieobecność oberżysty zaprzestano wynajmowania pokoi gościom. Otwarty był tylko bar, w którym nawet nie można było kupić czegoś do jedzenia. Zajazd Pod Czerwonym Dzwonkiem ledwo funkcjonował. Bardzo pilnie potrzebował zarządcy.

Na jej Wielki Plan – cel, który dodawał jej otuchy przez ostatnie osiem lat – składał się powrót do Colyton, do domu przodków, oraz odnalezienie skarbu Colytonów. W rodzinie wiadome było, że skarb, starannie schowany przed przyszłymi pokoleniami, został ukryty właśnie tam, w nieznanym miejscu, którego lokalizację przekazywano sobie w postaci zagadkowego wierszyka.

Babcia niezachwianie wierzyła w istnienie skarbu i nauczyła Emily oraz Issy tej krótkiej rymowanki.

Za to dziadek wraz z ojcem pokpiwali z tej historii. Nie wierzyli w nią. Emily trwała w swej wierze w czasach dostatku i biedy; dla niej i Issy, a później dla Henry’ego i bliźniaczek, nadzieja na odzyskanie skarbu była tym, co trzymało ich razem i dodawało otuchy przez ostatnie osiem lat.

Skarb tam był. Nie chciała… nie mogła wierzyć w nic innego.

Nigdy w życiu nie zarządzała zajazdem, lecz prowadząc dom wuja od piwnicy po strzechę przez osiem lat, włączając w to niezliczone tygodnie, gdy gościł swoich kompanów, którzy

zostawali na polowania, Emily czuła, a nawet była pewna, że ma kwalifikacje do zarządzania cichym zajazdem w sennej wiosce, takiej jak Colyton.

Co miałoby być w tym trudnego?

Z pewnością pojawią się małe wyzwania, lecz z pomocą Issy i Henry'ego będzie w stanie stawić im czoła. Nawet bliźniaczki, dziesięcioletnie psotnice, mogły okazać się naprawdę pomocne.

Stwierdziła, że stoi w miejscu wystarczająco długo. Musiała to zrobić, podejść do frontowych drzwi, zapukać i przekonać starszego ziemianina, by najął ją jako nową oberżystkę w gospodzie Pod Czerwonym Dzwonkiem.

Razem z rodzeństwem przyjechali do wioski. Teraz jej zadaniem było zyskać dla nich wszystkich trochę czasu oraz miejsce do zamieszkania, żeby mogli poszukać skarbu i odnaleźć go, a tym samym zabezpieczyć sobie przyszłość.

Nabrawszy głęboko powietrza, zatrzymała je w płucach, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła alejką w kierunku domu.

Weszła po schodkach, a potem, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, uniosła rękę i energicznie zapukała w pomalowane białą farbą drzwi.

Opuściwszy dłoń, zauważyła sznur od dzwonka. Chwilę myślała, czy za niego pociągnąć, gdy usłyszała odgłos czyichś zbliżających się kroków i skupiła uwagę na drzwiach.

Otworzył je kamerdyner, z typu tych bardziej imponujących. Przed śmiercią ojca znalazła się w wyższych sferach towarzyskich Yorku, więc umiała ich rozpoznać. Miał wyprostowane plecy i duży brzuch. Omiótł spojrzeniem jej głowę, po czym popatrzył na nią pustym, niewyrażającym emocji wzrokiem.

– Słucham, panienko?

Życzliwa mina mężczyzny napełniła ją otuchą.

– Chciałabym rozmawiać z właścicielem zajazdu Pod Czerwonym Dzwonkiem. Przyjechałam, żeby ubiegać się o stanowisko zarządcy tej gospody.

Na twarzy kamerdynera odmalowało się zaskoczenie. Po chwili lekko uniósł brwi. Popatrzył na nią z wahaniem.

– To jakiś żart, panienko? – spytał w końcu.

Ściągnęła usta, przymykając oczy.

– Nie, mówię poważnie. – Zacisnęła szczęki i postanowiła chwycić byka za rogi. – Tak, wiem, jak wyglądam. – Jasnobrązowe włosy z tendencją do kręcenia się oraz twarz, którą wszyscy bez wyjątku uznawali za słodką, w połączeniu ze skromną posturą i niższym niż średni wzrostem, nie sprawiały wrażenia, że przynależą do osoby o silnej osobowości, a taka bez wątpienia była potrzebna do zarządzania zajazdem. – Mimo to mam bogate doświadczenie. Rozumiem, że stanowisko jest nadal nieobsadzone.

Kamerdyner nieco się speszył jej gwałtownością. Przyglądał się jeszcze chwilę młodej kobiecie w oliwkowozielonej sukni z zapiętą pod szyją stójką, który to strój przygotowała sobie jeszcze podczas pobytu w Axminster.

– Jeśli jest pani pewna…

– Oczywiście, że jestem pewna. – Uniosła brwi. – Przecież tu stoję, prawda?

Potwierdził lekkim skinieniem głowy. Mimo to wciąż się wahał.

Uniosła podbródek.

– Mam pisemne referencje, i to aż trzy. – Poklepała dłonią torbę. Przypomniała sobie gospodę i ogłoszenia z wyraźnie podniszczonymi brzegami. Skupiwszy wzrok na twarzy lokaja, zaryzykowała drogę logicznej dedukcji. – To oczywiste, że wasz pan ma trudności ze znalezieniem odpowiedniej osoby na tę posadę. I na pewno chce, by jego zajazd znowu działał, jak należy. Więc oto jestem, doskonała kandydatka do tej pracy. Czy jest pan pewien, że woli mnie pan odesłać z kwitkiem, zamiast poinformować go, że tu czekam i pragnę z nim rozmawiać?

Tym razem dłużej taksował ją wzrokiem, a ona zastanawiała się, czy ten błysk w jego oczach przypadkiem nie jest wyrazem szacunku.

W końcu kiwnął głową.

– Zawiadomię pana Tallenta o przybyciu panienki. Kogo mam zaanonsować?

– Pannę Emily Beauregard.

* * *

– Kto taki? – Jonas podniósł wzrok znad sterty podań i gapił się na Mortimera. – Młoda kobieta?

– No… niewiasta, proszę pana. – Mortimer najwyraźniej nie był zdecydowany co do społecznego statusu panny Emily Beauregard, co już było niecodzienne. Pełnił swoją funkcję od kilkudziesięciu lat i znakomicie umiał identyfikować poziom osób, jakie zjawiały się przed drzwiami miejscowego sędziego pokoju. – Wydawała się… bardzo zdeterminowana w dążeniu do uzyskania tej posady. Zważywszy na sytuację, pomyślałem, że powinien pan z nią pomówić.

Jonas rozparł się w fotelu. Spoglądał na Mortimera i zastanawiał się, co w niego wstąpiło. Panna Emily Beauregard widocznie wywarła na nim duże wrażenie, skoro zgodził się wystąpić w jej sprawie. Lecz idea, że kobieta miałaby prowadzić zajazd… Zaraz, przecież pół godziny temu sam przyznał, że Phyllida potrafiłaby zarządzać gospodą z zamkniętymi oczami.

Posada była dla zarządcy zajazdu, a wszak niektóre kobiety doskonale znały się na zarządzaniu.

Usiadł prosto.

– Dobrze. Przyprowadź ją. – Uznał, że na pewno będzie lepsza niż ten kandydat po wyroku odsiedzianym w Newgate.

– Tak jest. – Mortimer odwrócił się do drzwi. – Powiedziała, że ma pisemne referencje, trzy sztuki.

Jonas zrobił zdumioną minę. Najwyraźniej panna Beauregard przyjechała doskonale przygotowana.

Zerknął na leżącą przed nim stertę zgłoszeń, wyrównał je i odsunął na bok. Nie żywił wielkich nadziei, że panna Beauregard będzie odpowiedzią na jego modlitwy, po prostu miał już dosyć patrzenia na te papiery, które były dowodem fiaska jego dotychczasowych wysiłków.

Na dźwięk zbliżających się kroków podniósł głowę.

Do gabinetu weszła młoda kobieta, za jej plecami kręcił się Mortimer. Jonas instynktownie wstał.

Pierwszą myślą, jaka nasunęła się Emily, gdy tylko zobaczyła mężczyznę za biurkiem, było: On jest zbyt młody.

O wiele za młody, aby żywić wobec niej paternalistyczne odczucia.

Zupełnie nie ten typ.

Poczuła nieoczekiwaną panikę, Ten mniej więcej trzydziestoletni, przystojny jak diabli mężczyzna nie wyglądał na takiego, z jakim spodziewała się mieć do czynienia.

W pomieszczeniu jednak nie było nikogo innego: właśnie przed chwilą wyszedł stąd kamerdyner, który ją tu przyprowadził. Zapewne mężczyzna dobrze wiedział, kogo ma oczekiwać.

Kiedy ów dżentelmen, który na jej widok wstał, zaczął taksować ją wzrokiem, nabrała głęboko powietrza, uspokoiła się i wykorzystała tę sposobność, aby mu się dobrze przyjrzeć.

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, długie kończyny, był smukły, a szerokie ramiona wyraźnie rysowały się pod świetnie skrojonym surdutem. Ciemne włosy o barwie sobolego futra opadały w eleganckich, niefrasobliwych lokach wokół kształtnej głowy; wyraziste rysy twarzy były dość powszechne pośród arystokracji, co tylko umocniło ją w przekonaniu, że właściciel Grange znajduje się wyżej w społecznej hierarchii niż zwykły właściciel ziemski.

Jego twarz przykuwała wzrok. Ciemnobrązowe oczy, w których zobaczyła więcej życia niż smutku – osadzone pod ciemnymi łukami brwi – od razu zwróciły jej uwagę, mimo że ich spojrzenia jeszcze się nie spotkały. Spoglądał na nią, omiatał wzrokiem jej postać. Widziała, jak ocenia jej figurę. Opanowała nieoczekiwany dreszcz.

Znowu nabrała powietrza, tym razem zatrzymała je w płucach. Powoli zaczynała rozumieć, co może oznaczać to szerokie czoło, silny nos, jeszcze silniejsza, nieco kwadratowa szczęka – wszystko to znamionowało mocny charakter, stanowczość i zdecydowanie.

Jego usta… nie pozwalały się skupić. Były raczej wąskie, ich linia sugerowała dużą ruchliwość, która na pewno łagodziła kanciaste, niemal ascetyczne rysy twarzy. Oderwała od nich oczy, ogarniając wzrokiem jego perfekcyjnie dopasowane, subtelnie eleganckie ubranie. W przeszłości widywała już londyńskich dandysów, on zaś, mimo że nie był przesadnie wystrojony, miał na sobie doskonałej jakości strój, a pod szyją fular zawiązany z wprawą w zwodniczo prosty węzeł.

Pod cienkim płótnem koszuli rysowała się muskularna pierś, choć był uosobieniem smukłości i elegancji. Kiedy powolnym, miękkim krokiem wyszedł zza biurka, wyglądał jak drapieżne zwierzę, które porusza się z niebezpieczną, pełną ukrytej mocy gracją.

Zamrugała.

– Czy to pan jest właścicielem zajazdu Pod Czerwonym Dzwonkiem? – nie zdołała powstrzymać pytania.

Zatrzymał się przy narożniku biurka i w końcu spojrzał jej w oczy.

Opanowała ją fala gorąca. Wstrzymała oddech.

– Nazywam się Tallent, Jonas Tallent. – Głos miał głęboki, lecz wyraźny, mówił z akcentem charakterystycznym dla swojej klasy. – To mój ojciec, sir Jasper Tallent, jest właścicielem zajazdu. Obecnie wyjechał, a ja zarządzam majątkiem pod jego nieobecność. Proszę spocząć.

Gestem wskazał jej krzesło przed biurkiem. Musiał stłumić w sobie pragnienie, by podejść i potrzymać oparcie, gdy siadała.

Gdyby była mężczyzną, musiałaby pozostać w pozycji stojącej. Na szczęście była kobietą, bez dwóch zdań. Myśl, że miałaby stać przed nim, a on, siedząc za biurkiem, czytałby jej referencje i wypytywał ją o kwalifikacje, była nie do przyjęcia.

Posłuchała, wyćwiczonym ruchem układając fałdy oliwkowej sukni.

Spojrzał ponad jej głową na Mortimera i teraz zrozumiał jego wahanie, gdy ten określił pannę Beauregard jako młodą kobietę. To przede wszystkim dama.

Jej przodkowie byli widoczni w każdej linii smukłej figury, w każdym wykonywanym z nieświadomą gracją ruchu. Była drobnej, delikatnej budowy, miała piękną, wywołującą szybsze bicie serca twarz o bladej, porcelanowej cerze i rysach, które – gdyby miał natchnienie – mógłby opisać jako wyrzeźbione przez mistrza.

W odniesieniu do jej wydatnych bladoróżowych ust i tak byłoby to niedomówienie. Idealnie kształtne, teraz nieustępliwe, które zapragnął zmiękczyć i zmusić do uśmiechu. Nos miała mały i prosty, a rzęsy długie i bujne. Stanowiły piękną oprawę orzechowych oczu, jakich nigdy dotychczas nie widział. Te przykuwające wzrok oczy spoglądały spod delikatnie wygiętych brązowych brwi, a wokół czoła zwisały niesforne, połyskujące jasnobrązowo loczki. Próbowała upiąć je w koczek na karku, lecz włosy nie chciały się trzymać. Delikatnie zaokrąglony podbródek stanowił jedyny element, który sugerował ukrytą siłę.

Kiedy Jonas wrócił w pobliże fotela, naszła go nieodparta myśl: do licha, co ona wyprawia, ubiegając się o pozycję oberżystki?

– Panno Beauregard…

– Mam trzy listy polecające. Proszę przeczytać. – Szukała czegoś w torebce. W końcu wyjęła złożone kartki, nachyliła się i podała mu je w wyciągniętej ręce.

Musiał je wziąć.

– Panno Beauregard…

– Jeśli pan je przeczyta… – Złożyła dłonie na torebce spoczywającej na kolanach, ruchem głowy wskazując referencje. – … przekona się pan, że mam duże doświadczenie, większe niż wystarczające, aby objąć posadę zarządcy zajazdu Pod Czerwonym Dzwonkiem. – Nie dała mu czasu na odpowiedź, lecz popatrzyła prosto w oczy. – Rozumiem, że posada jest wolna od dłuższego czasu – powiedziała spokojnie.

Przygwożdżony bezpośrednim, niespodziewanie ostrym spojrzeniem musiał zmienić zdanie o pannie Emily Beauregard.

– W rzeczy samej.

Spokojnie patrzyła mu prosto w oczy. Bez względu na wygląd twarda z niej sztuka – pomyślał.

Po chwili niezręcznego milczenia skierowała wzrok na listy, które trzymał w dłoniach, lecz zaraz ponownie spojrzała mu w twarz.

– Jeśli pan woli, mogę sama przeczytać je na głos.

Wzdrygnął się. Ściągnąwszy usta, posłusznie rozpostarł pierwszą kartkę.

Kiedy czytał trzy starannie i identycznie złożone listy, Emily przedstawiała mu swe liczne zalety, przede wszystkim doświadczenie w prowadzeniu domów oraz gospód. Miała przyjemny, uspokajający głos. Od czasu do czasu podnosił głowę, zaskoczony zmianami tonu. Po trzecim razie zrozumiał, że zmiana zachodzi wtedy, gdy opowiadała o wydarzeniu z przeszłości i sięgała do swej pamięci.

Pomyślał, że właśnie te części jej opowiadania są prawdziwe: z pewnością miała doświadczenie w prowadzeniu domu, organizowaniu przyjęć dla wielu gości.

Jednak w kwestii doświadczenia w zarządzaniu gospodą…

– Kiedy byłam zatrudniona Pod Trzema Piórami w Hampstead…

Znowu opuścił głowę i przebiegł wzrokiem jej list polecający z zajazdu Pod Trzema Piórami. Opowieść ustna pasowała do treści listu, w sumie Emily nie powiedziała mu niczego więcej.

Jeszcze raz przyjrzał się uważnie jej anielskiej twarzy, po czym rozważał w myślach, czy wyjawić, że ma pewność co do tego, iż te referencje są sfabrykowane. Pisały je trzy różne osoby – mógłby przysiąc, że dwie z nich były kobietami, co stało w jawnej sprzeczności z podpisami pochodzącymi od rzekomych męskich właścicieli gospód. Trzeciego listu polecającego nie pisała kobieta. Charakter pisma nie był wyrobiony, więc zapewne list napisał chłopak, którego sposób pisania wciąż jeszcze się zmieniał.

Jednak najbardziej znamienne było to, że trzy pisma – rzekomo pochodzące z trzech odległych od siebie miejsc, sporządzone w czasie pięciu lat – były napisane na takim

samym papierze, takim samym tuszem i piórem, które miało małą rysę na stalówce.

Poza tym wyglądały na dopiero co napisane, właściwie nowe.

Spoglądając ponad biurkiem na pannę Emily Beauregard, Jonas zastanawiał się, dlaczego po prostu nie zadzwonił po Mortimera, aby ten odprowadził ją do drzwi. Wiedział, że powinien tak właśnie zrobić, jednak tego nie uczynił.

Nie mógł pozwolić jej odejść, nie uzyskawszy odpowiedzi na podstawowe pytanie: Dlaczego dama jej pokroju ubiega się o stanowisko zarządcy gospody?

Wreszcie skończyła tyradę i popatrzyła na niego, pytająco i nieco wyniośle unosząc brwi.

Rzucił referencje na blat biurka i spojrzał jej prosto w oczy.

– Powiem wprost, panno Beauregard. Nie myślałem o zatrudnieniu do tej pracy kobiety, a już szczególnie tak młodej, jak pani.

Przez chwilę nie spuszczała z niego wzroku, lecz potem nabrała głęboko powietrza i dumnie uniosła głowę. Zaciskając zęby, wytrzymała jego spojrzenie.

– Ja też powiem wprost, panie Tallent. Po drodze zajrzałam na krótko do gospody. Okiennice wymagają malowania, a w środku nikt porządnie nie sprzątał od co najmniej pięciu lat. Żadna kobieta nie zasiadłaby w sali biesiadnej z własnej woli, a jest to jedyne miejsce dostępne dla wszystkich. Nie można tam kupić nic do jedzenia, nie można też wynająć pokoju. Krótko mówiąc, zajazd działa teraz jedynie jako knajpa. Jeśli rzeczywiście zarządza pan majątkiem ojca, to musi pan przyznać, że jako inwestycja gospoda Pod Czerwonym Dzwonkiem przynosi jedynie ułamek dochodów, jakie mogłaby potencjalnie dawać.

Mówiła przyjemnym głosem, idealnie modulując ton. Podobnie jak jej twarz, taki sposób wypowiedzi skrywał jej wewnętrzną siłę – i ulokowane gdzieś w głębi napięcie.

Przechyliła głowę, cały czas nie spuszczając z niego wzroku.

– Rozumiem, że zajazd funkcjonuje bez zarządcy od kilku miesięcy?

Ściągnął usta, lecz musiał przyznać jej rację.

– Tak, od kilku.

Zbyt wielu.

– Śmiem twierdzić, że pan z niecierpliwością czeka, by gospoda jak najszybciej zaczęła funkcjonować jak należy, zwłaszcza że w miejscowości nie zauważyłam innego miejsca, w którym mieszkańcy mogliby się spotykać. A więc również miejscowi oczekują, aż ich gospoda znowu będzie działać tak, jak trzeba.

Dlaczego miał wrażenie, że jest osaczany?

Najwyższy czas, by przejął kontrolę nad tą rozmową i dowiedział się tego, czego był ciekaw.

– Proszę mnie oświecić, panno Beauregard, co panią sprowadza do Colyton.

– Zobaczyłam pana ogłoszenie na gospodzie w Axminster.

– A co przywiodło panią do Axminster?

Wzruszyła ramionami.

– Byłam… – Urwała, przyglądając mu się przez chwilę z namysłem. – My, to znaczy mój brat, siostry i ja, po prostu przejeżdżaliśmy tamtędy. – Spuściła wzrok na splecione dłonie spoczywające na torebce. – Podróżowaliśmy całe lato, ale teraz pora wziąć się do pracy.

Jonas mógłby przysiąc, ze to również było kłamstwo. Z pewnością nie podróżowali całe lato… lecz zorientował się, że faktycznie przyjechała z bratem i siostrami. Miała świadomość, że on i tak dowiedziałby się o nich, gdyby dostała tę posadę, więc w tej kwestii powiedziała prawdę.

Zaczynał rozumieć jej zainteresowanie pracą w zajeździe. Rozumiał je zwłaszcza po tym, jak jeszcze raz obejrzał sobie jej suknię – była bardzo praktyczna, dobrej jakości, lecz nie stanowiła ostatniego krzyku mody.

– Ma pani młodszego brata i siostry?

Uniosła głowę, spoglądając na niego uważnie.

– W rzeczy samej. – Zawahała się. – Czy to problem? Dotychczas nigdy nie było z nimi kłopotu. To nie są małe dzieci. Najmłodsze ma… dwanaście lat.

To wahanie było tak nieznaczne, że dostrzegł je tylko dzięki skupieniu, z jakim jej słuchał. Może nie dwanaście, ale nad wiek rozwinięte dziesięć.

– A wasi rodzice?

– Oboje nie żyją. Od wielu lat.

Wyczuł prawdę. Zaczynał rozumieć, dlaczego Emily Beauregard pragnęła uzyskać tę posadę. Ale…

Westchnął i pochylił się do przodu, oparłszy luźno splecione ręce na biurku.

– Panno Beauregard…

– Panie Tallent.

Zaskoczony jej ostrym tonem, rozchylił dłonie i spojrzał w jej orzechowe oczy.

– Myślę, że zmarnowaliśmy już dosyć czasu na krążenie wokół tematu – podjęła. – Prawda jest taka, że pan pilnie potrzebuje zarządcy zajazdu, a ja jestem tu, na miejscu, chętna i wykwalifikowana do podjęcia tej pracy. Czy naprawdę odprawi mnie pan z kwitkiem tylko dlatego, że jestem kobietą i mam młodsze rodzeństwo? Najstarsza siostra ma dwadzieścia trzy lata i pomaga mi w każdej pracy, jakiej się podejmę. Brat ma lat piętnaście i w chwilach wolnych od nauki pracuje razem w nami. Najmłodsze siostry to bliźniaczki, nawet one pomagają, jak tylko potrafią. Jeśli pan mnie zatrudni, oni wszyscy również będą pracowali dla pana.

– Więc pani wraz z rodziną to dla mnie nie lada gratka?

– Tak jest, chociaż, oczywiście, nie pracujemy za darmo. Oczekuję wynagrodzenia w wysokości jednej dwudziestej przychodów lub jednej dziesiątej części zysków na miesiąc. Oprócz tego pokoju do zamieszkania oraz wyżywienia w gospodzie. – Trajkotała niemal bez chwili przerwy na nabranie powietrza. – Zakładam, że pan oczekuje, aby zarządca mieszkał w zajeździe. Zauważyłam, że są tam nizagospodarowane pokoje na poddaszu, które byłyby idealne dla mnie i mojego rodzeństwa. A skoro już jesteśmy na miejscu, mogłabym objąć obowiązki natychmiast…

– Panno Beauregard. – Tym razem przemówił głosem, w którym zabrzmiała zimna stal, tak aby Emily przestała mówić i nie próbowała mu przerywać. Ich spojrzenia skrzyżowały się. – Jeszcze nie zdecydowałem, czy panią zatrudnię.

Nie uciekła wzrokiem ani na sekundę. Między nimi stało biurko, ale zdawało się, że siedzą tuż naprzeciwko siebie. Teraz odezwała się beznamiętnym, nieco stłumionym głosem.

– Panu bardzo zależy, aby jak najszybciej ktoś objął zarządzanie gospodą. A ja chciałabym dostać tę pracę. Czy naprawdę odprawi mnie pan z kwitkiem?

Pytanie zawisło w powietrzu między nimi. Zaciskając usta, mierzył ją wzrokiem, a i ona nie uciekała spojrzeniem. Tak, miała rację, zależało mu na zatrudnieniu kompetentnego oberżysty, a ona była tu, na miejscu…

A gdyby ją odprawił, co by zrobiła? Ona i jej rodzina, którą się opiekowała.

Nie musiał się zastanawiać, aby wiedzieć, że dotychczas nie parała się nierządem, więc jej młodsza siostra z pewnością również tego nie uczyniła. Gdyby ją teraz odprawił, być może ona, a raczej one, w pewnym momencie zostałyby zmuszone, aby…

Nie! Podejmowanie ryzyka nie wchodziło w rachubę, nie mógłby żyć z poczuciem winy. Nawet gdyby nigdy nie poznał prawdy, sama myśl, możliwość, doprowadziłaby go do obłędu.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Nie czuł się zbyt dobrze, zmuszony do skorzystania z propozycji panny Beauregard; udało jej się tego dokonać. Bez względu na wszystko…

Oderwał od niej wzrok i sięgnął po czystą kartkę. Nie patrząc na siedzącą naprzeciwko kobietę, położył papier na biurku, wziął pióro i, sprawdziwszy stalówkę, otworzył kałamarz. Nabrawszy nieco inkaustu, zaczął szybko pisać.

Mimo że referencje były fałszywe, jej kandydatura była lepsza niż brak jakiejkolwiek innej nadającej się osoby, poza tym ona bardzo chciała dostać tę posadę. Bóg raczy wiedzieć, czy jest wystarczająco przedsiębiorcza, aby podołać obowiązkom. Po prostu będzie ją bacznie obserwował,

dopilnuje, aby skrupulatnie rozliczała się ze wszystkich wpływów oraz nie robiła żadnych niestosownych rzeczy. Wątpił, by spijała zapasy z piwniczki, tak jak to czynił Juggs.

Skończył pisać krótki list, wysuszył go bibułą i złożył. Dopiero wtedy podniósł na nią wzrok i ujrzał wpatrzone w niego, szeroko otwarte, pełne wyczekiwania oczy.

Wyciągnął ku niej rękę, w której trzymał kartkę.

– To jest pismo do barmana, Edgara Hillsa. Przedstawiam w nim panią jako nowego zarządcę zajazdu. On i John Ostler to obecnie jedyne osoby, które tam pracują.

Gdy ujęła palcami skraj listu, jej rysy wyraźnie złagodniały. Nie tylko usta – z całego jej oblicza promieniała radość. Przypomniał sobie, że właśnie tego pragnął, zastanawiał się, jak te usta – tak niesamowicie ponętne – mogły smakować…

Lekko pociągnęła kartkę, lecz on nie puszczał.

– Zatrudnię panią na trzymiesięczny okres próbny. – Musiał odchrząknąć. – Potem, jeśli rezultaty pani pracy będą dla wszystkich satysfakcjonujące, otrzyma pani tę posadę bezterminowo.

Puścił list, który szybko schowała w torbie, by po chwili podnieść wzrok. Gdy ich spojrzenia spotkały się, zobaczył jej uśmiech.

W ten prosty sposób wywołała zamęt w jego głowie.

Tak właśnie się czuł, gdy, wciąż uśmiechnięta, wstała. On również podniósł się, wiedziony wyłącznie instynktem, gdyż w tym momencie nie myślał o wyuczonych formach kulturalnego zachowania.

– Dziękuję – powiedziała od serca. Jej spojrzenie, spojrzenie tych orzechowych oczu, wciąż spoczywało na jego twarzy. – Przysięgam, że nie pożałuje pan tej decyzji. Zmienię Pod Czerwonym Dzwonkiem w gospodę, na jaką Colyton zasługuje.

Skłoniwszy grzecznie głowę, odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

Chociaż wcale tego nie pamiętał, musiał pociągnąć za sznur od dzwonka, gdyż po chwili zjawił się Mortimer, aby odprowadzić ją do wyjścia.

Wyszła z wysoko podniesioną głową, sprężystym krokiem, jednak ani na chwilę się nie odwróciła.

Jeszcze długo po tym, jak znikła, Jonas stał, spoglądając na puste przejście. Powoli zbierał myśli.

I od razu podziękował Wszechmogącemu za to, że nie ujawniła swego uśmiechu od razu w momencie przybycia.

Rozdział 2

Em energicznym krokiem poszła drogą wiodącą od domu, który właśnie opuściła, by po chwili skręcić w aleję do Colyton.

Miała ochotę podskakiwać z radości. A więc dostała tę pracę, zdołała przekonać pana Jonasa Tallenta, aby powierzył jej posadę zarządcy, mimo że wywarł na niej niezwykłe wrażenie. Wytrącił ją z równowagi. Zupełnie. A przecież zazwyczaj potrafiła się doskonale opanować.

Sama myśl o nim, wypowiedzenie w myślach jego imienia, sprawiały, że przypominała sobie uczucie, jakiego doznawała, gdy spoczywał na niej jego spokojny wzrok. Przypominała sobie to uczucie lekkiego zawrotu głowy, gdy zaglądała w te niezgłębione brązowe oczy, które nie były smutne, co od razu zauważyła, lecz pełne życia i intensywnej głębi – kuszącej głębi, którą nieoczekiwanie dla siebie pragnęła poznać.

Dobrze, że nie podał jej ręki. Nie była pewna, jak by zareagowała, gdyby jego dotyk zrobił na niej tak wielkie wrażenie jak spojrzenie. Mogłaby uczynić coś okropnego, na przykład znacząco wzdrygnąć się lub zadrżeć i zamknąć oczy.

Na szczęście nie musiała poddać się tej próbie.

Wręcz przeciwnie, wszystko ułożyło się dla niej znakomicie.

Nie umiała powstrzymać się od uśmiechu. Pozwoliła sobie na czysto żywiołowy podskok, gdy spojrzawszy przed siebie, ujrzała pierwsze chaty stojące wzdłuż drogi biegnącej z północy na południe przez środek Colyton.

Miejscowość nie była duża, stanowiła jednak siedlisko jej przodków, przez co miała do niej duży sentyment. Była też akuratnej wielkości.

No i mogli tu zostać.

Przynajmniej do czasu odnalezienia skarbu.

Było poniedziałkowe popołudnie, poza nią na drodze nie widać było żywej duszy. W drodze do zajazdu rozglądała się. Nieco dalej po lewej stronie stała kuźnia, za nią był cmentarz, ciągnący się aż do kościoła zbudowanego na wzgórku, stanowiącym zachodnią granicę miejscowości. Przed świątynią błonia rozpościerały się do dużego stawu i dalej, aż do samej drogi. Dokładnie naprzeciwko umiejscowiła się gospoda Pod Czerwonym Dzwonkiem o przebrzmiałej na dziś świetności.

Zatrzymawszy się na krzyżówce z alejką, popatrzyła na nowe miejsce pracy. Poza okiennicami z łuszczącą się farbą fasada budynku była do przyjęcia, przynajmniej na razie. Na zewnątrz wystawiono stoły na kozłach i ławy – przydałoby się im porządne czyszczenie, ale poza tym jak najbardziej nadawały się do użytku. Trzy skrzynki na kwiaty stały puste, ale to łatwo można było zmienić, zresztą je też należałoby pokryć świeżą warstwą farby. Szybki w oknach wymagały porządnego mycia, a resztę trzeba było należycie wyszorować i wysprzątać.

Zerknęła na okna poddasza – przynajmniej tamte pomieszczenia miały dużo światła, albo będą miały po umyciu szyb. Ciekawa była, w jakim stanie są pozostałe pokoje, zwłaszcza gościnne, na pierwszym piętrze.

Spoglądając dalej wzdłuż drogi, omiotła wzrokiem rząd stojących naprzeciwko błoni chatek, aż do większego domu na samym końcu, a pierwszego w wiosce od strony północnej.

Przypuszczała, że to Colyton Manor, rodowy dom jej rodziny. Jej pradziadek był ostatnim z Colytonów, który tam mieszkał przed wielu laty. Wątpiła, by ktokolwiek z żyjących nadal go pamiętał.

Otrząsnęła się z tych myśli, jeszcze raz popatrzyła na gospodę i mimowolnie uśmiechnęła się. Czas rozwiać niepokoje rodzeństwa. Z coraz szerszym uśmiechem skierowała się do drzwi zajazdu.

Siedzieli w rogu, tam, gdzie ich zostawiła, otoczeni stertą podróżnych kufrów i pakunków. Nie musiała nic mówić, aby odgadli prawdę. Jedno spojrzenie na jej wesołą minę wystarczyło, by niebieskookie bliźniaczki o jasnych włosach, te

diablice w anielskiej powłoce, wydały radosne okrzyki i podbiegły, aby ją objąć.

– Udało ci się! Udało się! – wołały zgodnym chórem, tańcząc dookoła.

– Tak, ale teraz bądźcie cicho. – Uściskała je szybko i zrobiła kilka kroków dalej, napotykając niebieskie, śmiejące się oczy Issy. Potem z jeszcze weselszą miną spojrzała na Henry'ego, który jako jedyny pozostał ponury i poważny.

– Wszystko dobrze? – spytał.

Henry miał piętnaście wiosen, ale był dojrzały jak czterdziestoletni mężczyzna i czuł na sobie brzemię tych lat. Chociaż wyższy od Em, a teraz nawet od Issy, miał tę samą karnację co najstarsza siostra – jasnobrązowe włosy i oczy, mniej wyrafinowane niż jej orzechowe, a rysy twarzy zdecydowanie bardziej wydatne niż te delikatne, kobiece u Em.

Nie musiał mówić, aby zrozumiała, że bardzo się niepokoił, by w Grange nikt nie wyrządził jej krzywdy.

– Wszystko odbyło się w bardzo cywilizowany sposób. – Uśmiechnęła się uspokajająco, kładąc torbę na stole, przy którym się zebrali. – Okazało się, że ten pan Tallent, który obecnie zarządza majątkiem, jest synem, a nie ojcem, lecz on, pan Jonas Tallent, zachował się tak, jak na dżentelmena przystało. – Spostrzegła, że ta wiadomość wcale nie rozwiała niepokoju Henry'ego, wręcz przeciwnie. – Nie jest wcale taki młody – dodała. – Myślę, że ma ponad trzydzieści lat.

Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że ledwo co skończył trzydzieści lat, lecz samo brzmienie tej liczby, która dla piętnastoletniego Henry'ego była wiekiem wręcz niewyobrażalnym, wystarczyło, aby rozwiać jego obawy. Przy odrobinie szczęścia, zanim spotka się z Jonasem Tallentem, Henry dojdzie do wniosku, że ich pracodawca nie stanowi zagrożenia ani dla niej, ani dla Issy. Że Jonas Tallent to mężczyzna zupełnie innego pokroju niż niektórzy przyjaciele ich wuja.

Pomijając wrażenie, jakie wywarł na niej samej – które zresztą nie wynikło z jego winy, lecz z jej bezprecedensowej

wrażliwości – miała absolutną pewność, że Jonas Tallent jest dżentelmenem skrupulatnie przestrzegającym zasad dobrego wychowania w odniesieniu do dam. Miał w sobie coś, co sprawiało, że mimo pewnego niepokoju czuła się w jego towarzystwie całkowicie bezpieczna, jakby on gotów był obronić ją przed każdym zagrożeniem i krzywdą.

Być może był trochę irytujący, lecz mimo to doszła do wniosku, że to człowiek honoru.

Wyjąwszy z torby złożony list napisany przez Tallenta, pomachała kartką w powietrzu, aby przyciągnąć uwagę rodzeństwa.

– Muszę pokazać to barmanowi, nazywa się Edgar Hills. Oprócz niego jedyną osobą zatrudnioną w zajeździe jest stajenny, John Ostler. Proszę was – spojrzała wymownie na bliźniaczki – bądźcie grzeczne, gdy pójdę załatwić tę sprawę.

Dziewczynki usiadły na ławie obok Issy, która uśmiechnęła się z rozbawieniem. Henry siedział w milczeniu, obserwując, jak Em, z torbą w ręku, podchodzi do baru.

Na odgłos zbliżających się kroków Edgar Hills uniósł głowę i popatrzył na nią zdziwiony. Wcześniej usłyszał radosne okrzyki bliźniaczek, lecz nie zrozumiał, o czym rozmawiali. Teraz grzecznie skinął głową, kiedy Emily zatrzymała się po drugiej stronie lady.

– Słucham panią?

Uśmiechnęła się.

– Nazywam się Beauregard. – Podała mu list. – Jestem nowym zarządcą zajazdu.

Nie zdziwiła się, gdy Edgar przyjął tę wiadomość z nieskrywaną ulgą i radością; z natury spokojny i smętny, powitał ją i rodzeństwo w gospodzie, z uśmiechem reagując na żywiołowość bliźniaczek. Potem pokazał im posesję, by wreszcie oddać się do ich dyspozycji, zaczynając od wniesienia ich kufrów i pakunków na pięterko.

Kolejne godziny minęły w wesołej atmosferze, co stanowiło znacznie bardziej radosne zakończenie dnia, niż Em mogłaby sobie wymarzyć. Pokoje na piętrze idealnie nadawały się dla

rodzeństwa – Issy, Henry i bliźniaczki zdumiewająco zgodnie dokonali podziału pomieszczeń między siebie; dla każdego z nich znalazło się tam idealne miejsce. Speszona Em stwierdziła, że jej przypadło osobne prywatne mieszkanie. Edgar nieśmiało poprowadził ją do wąskich drzwi u szczytu schodków prowadzących z ogólnej sali na piętro. Na górze z lewej strony przez długość zajazdu ciągnął się szeroki korytarz z pokojami gościnnymi, z widokiem na teren przed gospodą i za nią. Drzwi, które otworzył Edgar, znajdowały się na prawo od schodów, przodem do korytarza. Za nimi zaczynała się domena zarządcy gospody – duży salonik, za nim spora sypialnia z osobną garderobą i łaźnią. Ta ostatnia była połączona wąskimi schodami z tylną częścią sali, tuż obok przykuchennej komórki.

Pokazawszy jej wszystkie pokoje, Edgar mruknął, że pójdzie przynieść jej rzeczy, i wyszedł.

Zostawszy sama – a tak rzadko bywała sama, że pomimo bezbrzeżnej miłości, jaką darzyła rodzeństwo, delektowała się każdą chwilą samotności, która się nadarzała – podeszła do frontowego okna i wyjrzała przez nie.

Zobaczyła plac przed gospodą. Leżące po drugiej stronie drogi błonia były już skąpane w purpurowym cieniu. Na wzgórku widniała wyraźna ciemna sylwetka kościoła na tle rozświetlonego słońcem zachodniego nieba.

Otworzyła okienne skrzydło, nabrała w płuca chłodnego, świeżego powietrza, nasączonego zapachem zielonej trawy i upraw. Gdzieś z oddali dobiegało niesione wieczorną bryzą kwakanie kaczek, głębszy, podobny do dzwonu, żabi rechot.

Issy zdążyła już objąć rządy w kuchni. W domu wuja to głównie właśnie ona zajmowała się gotowaniem. Była lepszą kucharką niż Em, lubiła wyzwania. Wbrew oczekiwaniom Em, Issy poinformowała ją, że kredensy i spiżarnie są zapełnione mniej więcej w połowie, a znajdujące się w nich produkty umożliwiają przygotowanie posiłków. Tak więc Issy przebywała w kuchni, przygotowując kolację.

Przysiadając na parapecie, Em oparła się o ramę otwartego okna. Mimo wszystko będzie musiała uzupełnić zapasy w

spiżarniach. Jutro wypyta o wszystkie lokalne miejsca i procedury zaopatrzenia.

Edgar nie mieszkał w zajeździe, lecz codziennie dochodził z chatki znajdującej się na terenie gospodarstwa jego brata na obrzeżach wioski. Spytała go o zakres jego obowiązków; oprócz pracy za barem chętnie zgodził się kontynuować obsługę przybywających gości. Bardzo szybko doszli do porozumienia: ona będzie odpowiadać za zaopatrzenie, organizację oraz wszystko, co ma związek z przywróceniem dawnej funkcji zajazdu, jeśli chodzi o zapewnienie noclegu i wyżywienia, natomiast on będzie nadzorował pracę baru, obserwował zapasy trunków, chociaż to ona miała je zamawiać, i organizować ich dostawę.

Poprosiła Edgara, aby przedstawił ją Johnowi Ostlerowi, mieszkającemu w izbie nad stajnią. Stajnia była schludna i czysta, gdyż od dłuższego czasu nie przebywały w niej konie. John żył dla koni – oceniła, że to nieśmiały, skryty, dobiegający trzydziestki mężczyzna, który pod nieobecność gości utrzymał posadę, pomagając przy wierzchowcach w Colyton Manor.

Od niego dowiedziała się, że Colyton Manor to w istocie ten duży dom stojący dalej przy trakcie, obecnie miejsce zamieszkania rodziny Cynsterów, pani domu zaś to bliźniacza siostra Jonasa Tallenta.

Spoglądając na pogrążone w coraz większym cieniu otoczenie, Em w myślach ogarniała nową domenę. W gospodzie było tylko jedno publiczne pomieszczenie, ogólna sala, lecz zajmowała długość parteru. Frontowe drzwi prowadziły do jej wnętrza, długi bar rozciągał się bardziej w prawo niż w lewo, pozostawiając sporo miejsca przed drzwiami do kuchni, za którymi – w lewym tylnym rogu – znajdowały się schody. Na środku każdej bocznej ściany stał duży kominek z kamienną obudową.

Oceniła, że w głównej sali może jednocześnie zasiadać co najmniej czterdzieści osób. Znajdowały się tam stoły, ławy i krzesła, a nawet fotele w półkolu przed jednym z kominków. Najwidoczniej zwyczajowo utarło się, że część sali na prawo od

frontowych drzwi to bar, wyposażony w okrągłe stoły, drewniane krzesła i ławy wzdłuż ścian. Na lewo od drzwi stały ławy obite miękką tkaniną i takie same krzesła i fotele ustawione wokół niższych stolików. Z tyłu, pomiędzy kominkiem i drzwiami do kuchni, znajdowały się prostokątne stoły i ławy, tworząc miejsce przeznaczone do spożywania posiłków.

Sądząc po kurzu zgromadzonym na co wygodniejszych siedziskach i niskich stolikach, Em doszła do wniosku, że to miejsce – zapewne przeznaczone dla kobiet i starszych osób – w ostatnich latach nie było często wykorzystywane.

Miała nadzieję, że to się zmieni. Gospoda taka jak Pod Czerwonym Dzwonkiem powinna stanowić centrum życia miejscowych, łącznie z żeńską połową populacji oraz seniorami.

Poza wszystkim, obecność kobiet i starszych we wspólnej sali powinna wpłynąć na złagodzenie zachowania się mężczyzn. Postanowiła, że ustanowi takie normy i znajdzie sposób, aby wprowadzić je w życie.

Edgar już zdążył jej powiedzieć, a w zasadzie w typowy dla siebie sposób wyszeptać, że klientela zajazdu znacznie zmalała podczas rządów jej poprzednika, niejakiego Juggsa. Nawet podróżni, którzy zwykli zatrzymywać się tu na odpoczynek, z czasem znaleźli sobie inne miejsca.

Miała ogrom pracy, zanim zajazd zacznie znowu w pełni wykorzystywać swój potencjał. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że to wyzwanie napełniło ją entuzjazmem, a więc uczuciem, jakiego absolutnie się nie spodziewała.

– Ooo, jak tu ładnie. – Do pokoju weszła Gertrude, na którą w rodzinie wołano Gert. Tuż za nią przydreptała Beatrice, czyli po prostu Bea, która z podobnie szeroko otwartymi oczami oglądała wszystko dookoła. Po bliźniaczkach zjawił się Henry, a za nim Issy, ubrana już w fartuch, wycierająca ręce o ściereczkę.

– Kolacja będzie gotowa za pół godziny – ogłosiła z dumą. Zerknęła na Em. – Okazuje się, że to całkiem dobrze

wyposażona kuchnia. Udało mi się odnaleźć wszystkie garnki i patelnie. Ktoś położył je w komórce. – Przekrzywiła głowę. – Masz pomysł co do pomocy kuchennej?

Em wyprostowała się i skinęła głową.

– Edgar powiedział mi, kto tu kiedyś pracował jako kucharka, i kto jej pomagał. To miejscowi, i zapewne nadal są wolni, gdybyśmy chcieli ich zatrudnić, a ja powiedziałam, że chcemy. – Spojrzała na Issy skupiona. – Chciałabym, abyś mi pomogła w sporządzeniu jadłospisu i zamawianiu produktów, kiedy już się wypytam o dostawców, ale nie chcę, żebyś gotowała, chyba że w wyjątkowych sytuacjach. – Issy już otworzyła usta, lecz Em uciszyła ją podniesieniem ręki. – Tak, wiem, że nie masz nic przeciwko gotowaniu, lecz nie po to uwolniłam cię z kuchni wuja Harolda, aby zainstalować cię w innej.

Omiotła wzrokiem twarze pozostałych.

– Wszyscy wiemy, po co tu jesteśmy.

– Żeby znaleźć skarb! – wypaliła Bea.

Em odchyliła się nieco, chwyciła zaczep i zamknęła okno. Wysokie głosy bliźniaczek niosły się daleko, a obecnie nikt inny nie musiał znać powodów, dla których znaleźli się w Colyton.

– Tak. – Zdecydowanie kiwnęła głową. – Znajdziemy skarb, ale jednocześnie będziemy normalnie żyć.

Przyjrzała się bliźniaczkom, jednak bez udawanej srogości; doskonale znała ich skłonności.

– Rozmawialiśmy o tym już wcześniej, ale Susan, niestety, zaniedbała waszą edukację. Nie możecie być córeczkami tatusia bez starannego wychowania. Issy, Henry i ja mieliśmy guwernantki, które nasz uczyły. Wy teraz nie możecie mieć nauczycielki, ale Issy, z moją pomocą, może przynajmniej zacząć wasze lekcje.

Bliźniaczki wymieniły spojrzenia, co nigdy nie było dobrym znakiem, ale potem przeniosły wzrok na Em i posłusznie kiwnęły głowami.

– Dobrze – powiedziały chórem. – Spróbujemy i zobaczymy.

O żadnym „zobaczymy” nie mogło być mowy, lecz tę bitwę Em zostawiła na później. Issy, z którą przez wiele godzin

rozmawiała o kształceniu dziewczynek, także zgodnie skinęła głową.

Chociaż wszyscy byli Colytonami, dziećmi swego ojca, to bliźniaczki pochodziły z drugiego małżeństwa Reginalda Colytona. Susan, matka dziewczynek, była cudowną kobietą, którą Em, Issy i Henry szczerze pokochali, lecz pochodziła z innej klasy. Dopóki żył ojciec, dopóty nie miało to większego znaczenia, lecz po jego śmierci, gdy bliźniaczki miały zaledwie dwa lata, rodzina została rozdzielona. Harold Potheridge został wyznaczony na opiekuna Em, Issy oraz Henry'ego, po czym zabrał ich do swojego domu, Runcorn Manor w Leicestershire, a bliźniaczki, naturalną koleją rzeczy, zostały z Susan w Yorku. Chociaż Em i Issy regularnie korespondowały z Susan, a jej listy do nich zawsze były radosne, to po jej śmierci, gdy dziewięcioletnie sieroty pojawiły się niezapowiedziane u drzwi Harolda, Em i Issy dowiedziały się wystarczająco dużo od tych niewinnych istot, by pojąć, że z Susan nie wszystko było tak, jak myślały – jak dano im do zrozumienia.

Małżeństwo, o którym ich zawiadomiła, w ogóle nie doszło do skutku.

A bliźniaczki nie otrzymały żadnej edukacji.

Em była zdeterminowana, aby naprawić to ostatnie zaniedbanie, a na szczęście obie dziewczynki były z rodu Colytonów, więc odznaczały się bystrym umysłem i uczyły się szybko, gdy udało się je przekonać do takiego poświęcenia.

Z drugiej strony, zmuszenie ich, potomkiń Colytonów – osób uwielbiających ponad wszystko eksplorację – do skupienia się na lekcjach nie należało do zadań łatwych.

Em spojrzała na Henry'ego. Z nim nigdy nie było tego rodzaju problemów. Uwielbiał naukę, która była dla niego sposobem na badanie świata poza dostępnymi fizycznie granicami.

– Znajdziemy dla ciebie nauczyciela. Nie możesz zaniedbać nauki.

Poważnie skinął głową.

– Mimo wszystko będę pomagał w gospodzie. Tak będzie uczciwie.

Em przytaknęła, lecz jednocześnie kolejny raz wymieniła spojrzenia z Issy. Postarają się, aby Henry poświęcał czas przede wszystkim na naukę. Elementem umowy, którą Em dawno temu zawarła z Haroldem, a o której Henry nigdy się nie dowiedział, było to, że w zamian za usługi świadczone przez Em i Issy w ramach prowadzenia domu Harold miał zapewnić lekcje dla chłopca u miejscowego wikarego wykształconego w Oksfordzie i zapalonego badacza.

Tego jednego zobowiązania Harold rzeczywiście dotrzymał, wiedząc, że wówczas Em i Issy pozostaną na miejscu – będą prowadzić mu dom, zapewniać wszelkie wygody bez dodatkowych opłat. Tak więc obecnie Henry był na dobrej drodze, by zostać uczonym, czego zawsze pragnął. Musiał rozpocząć przygotowania do wstąpienia na uniwersytet, mimo że miało to nastąpić dopiero za kilka lat.

– Opowiedz nam jeszcze raz o skarbie. – Gert zaczęła podskakiwać na jednym z foteli, wzbijając w powietrze tuman kurzu.

Bea natychmiast zaczęła ją naśladować, z podobnym skutkiem.

– Jeśli usiądziecie spokojnie – stwierdziła szybko Em. Ponieważ opowieść o rodzinnym skarbie była jedyną, której rodzeństwo nigdy nie miało dosyć, bliźniaczki posłusznie znieruchomiały, wlepiając w nią wzrok. Em zerknęła na Issy, która aprobująco machnęła ręką.

– Mamy dużo czasu. Postawiłam garnek na ogniu, jedzenie samo się ugotuje.

Issy i Henry przysiedli na sofie. Em zapisała sobie w pamięci, że przed snem musi odkurzyć pokój, po czym przeniosła wzrok na bliźniaczki i zaczęła:

– Dawno temu, w czasach sir Waltera Raleigha i hiszpańskich konkwistadorów, jeden z Colytonów, a był to pirat i kapitan własnego okrętu, zdobył hiszpański galeon pełen skarbów.

Dalej nastąpił opis kapitana, jego statku, rejsu i bitwy, która zakończyła się wspaniałym zwycięstwem odniesionym przez ich przodka.

– Jako swoją część z podziału łupów przywiózł do domu skrzynię pełną złota i klejnotów. Jego żona, mieszkająca tutaj, w Colyton, stwierdziła, że rodzina już wcześniej była wystarczająco zamożna, wiedziała bowiem, że gdyby jej mąż i jego bracia, sami poszukiwacze przygód, jak wszyscy Colytonowie, zatrzymali sobie skarb, zostałby on wykorzystany na zakup okrętów i finansowanie kolejnych wypraw. Zaproponowała, aby zamiast tego większą część ukryć w miejscu znanym tylko Colytonom, by mogły zeń skorzystać przyszłe pokolenia, gdyby znalazły się w kłopotach. Chodziło o to, żeby nazwisko Colyton nie wymarło i aby zapewnić rodzinie materialne bezpieczeństwo, na co wszyscy mężczyźni w rodzinie wyrazili zgodę. – Em przerwała i uśmiechnęła się do wpatrzonych w nią czterech nabożnie skupionych twarzyczek. – Tak więc skarb ukryto w wiosce, a miejsce skrytki zaszyfrowano w rymowance i przekazywano z matki na dziecko; szczególnie dbano, by poznała ją żona pierwszego syna, i w ten sposób rymowankę przekazywano kolejnym pokoleniom.

– I nam! – zawołała radośnie Gert.

Em kiwnęła głową.

– Tak, nam. Jesteśmy ostatnimi Colytonami, potrzebujemy tego skarbu i właśnie po to tu jesteśmy, w Colyton.

– Skarb Colytonów spoczywa w Colyton – zaintonował Henry, powtarzając rymowankę, którą wszyscy znali na pamięć.

– W najwyższym domu, w domu najwyższych na piętrze najniższym – podjęła Issy.

– Leży w stosownej komorze, którą tylko Colyton otworzy – dokończyła instrukcję Em, ku uciesze bliźniaczek.

– Więc teraz tu jesteśmy – stwierdziła Bea – i odnajdziemy skarb.

– Tak jest. – Em wstała. – Ale najpierw zjemy kolację. Jutro znajdziemy nauczyciela dla Henry'ego, a wy rozpoczniecie naukę z Issy, gdy ja tymczasem zacznę porządki w gospodzie. – Chwyciła bliźniaczki za ręce, ściągnęła je z foteli i skierowała ku drzwiom. – Teraz jesteśmy tutaj, mamy dach nad głową,

możemy tu spokojnie mieszkać przez kilka miesięcy, wszyscy mamy też swoje zadania, więc lepiej zachowajmy nasze poszukiwania w tajemnicy i prowadźmy je tylko w wolnym czasie. Skoro już jesteśmy na miejscu, nie ma potrzeby się śpieszyć.

– Więc zachowamy skarb w tajemnicy – powiedziała Gert.

– A wykonując inne zadania, po cichu będziemy go szukać. – Em zatrzymała przyrodnie siostrzyczki koło drzwi i zajrzała w ich jasne oczy. – Obiecajcie mi, że same nie będziecie szukać skarbu, nawet po cichu, bez spytania mnie o pozwolenie.

Czekała, wiedząc, że nie ma sensu żądać, aby zostawiły poszukiwania wyłącznie jej.

Na ustach bliźniaczek pojawiły się identyczne uśmiechy.

– Obiecujemy – powiedziały zgodnie.

– Dobrze. – Em puściła siostry, a gdy te pobiegły po schodach, odwróciła się do Issy. – Teraz musimy je nakarmić i zagonić do łóżka.

Jeszcze przed ósmą Em z zadowoleniem stwierdziła, że bliźniaczki, Henry i Issy zadomowili się w swoich pokojach, a i jej udało się odkurzyć kwaterę na tyle, by później spokojnie pójść spać.

Rozłożywszy na łóżku świeżą pościel, wyszła. Już uprzedziła Edgara, że zejdzie, aby przyjrzeć się klientom, zorientować, jaki ich typ zagląda do gospody, dzięki czemu zdecyduje, jakie przekąski i posiłki będą dla nich najbardziej odpowiednie.

Schodząc cicho głównymi schodami, zatrzymała się w połowie drogi i ogarnęła wzrokiem z tego miejsca główną salę. Zauważyła kilku mężczyzn opartych o bar i dwie pary starszych, siedzących przy stolikach koło pustego kominka.

Pogoda tego dnia była przyjemna, lecz Em pomyślała, że ogień w kominku ociepliłby atmosferę. Schodząc, pomyślała o tym, aby do listy zakupów dopisać drewno na opał.

Gdy zeszła z ostatniego schodka, miała świadomość ukradkowych spojrzeń, jakie goście rzucali w jej kierunku, chociaż żaden z nich nie spojrzał jej w oczy, gdy rozglądała się po pomieszczeniu. Z pewnością już dowiedzieli się o jej nowej

posadzie. Wyczuła w ich spojrzeniach zainteresowanie i wyczekiwanie, więc szczelniej owinęła ramiona szalem i skręciła do kuchni.

Krążąc po pustej kuchni, weszła do wąskiego korytarzyka między zapleczem a kantorkiem zarządcy gospody. Już wcześniej zwiedziła to ostatnie pomieszczenie, w którym oprócz starych kwitów nie znalazła innych dokumentów, z których zapewne korzystał Juggs – ani ksiąg rozrachunkowych, ani rachunków – z których mogłaby odczytać nazwiska dostawców.

Sposób funkcjonowania zajazdu w przeszłości był owiany mgiełką tajemnicy, lecz zadanie rozwiania jej Em wyznaczyła sobie na dzień następny. Dziś zadowoli się rekonesansem odnośnie do obecnych klientów gospody.

Zatrzymawszy się przed drzwiami kantoru, ukrytymi w głębokim cieniu korytarza, ponownie przyjrzała się gościom, notując w pamięci listę potraw, na jakie byliby gotowi wydać pieniądze. Zastanawiała się, ilu z nich ma żony, zwłaszcza takie, które mogłyby skusić się na skorzystanie z dobrodziejstw czystej i zadbanej gospody.

Dodała do listy zakupów duży słój wosku pszczelego, najlepiej z nutą cytrynowego lub lawendowego aromatu.

Przyglądała się dwóm siedzącym razem mężczyznom, gdy nagle wyczuła za plecami czyjąś obecność… Poczuła ten specyficzny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– To Hector Crabbe. Mieszka w małej chacie na południe od wioski.

Natychmiast rozpoznała głęboki głos, mimo że był uwodzicielsko ściszony do szeptu. Mężczyzna szeptał wprost do jej ucha. Powodowana czystą dumą skrzyżowała ręce pod biustem, zaciskając mocno ramiona. Włożyła dużo wysiłku, by się mimo chęci nie odwrócić. Zmusiła się do tego, aby odpowiedzieć mu lekkim tonem.

– Który z nich to Crabbe?

Nastała chwila milczenia. Bez wątpienia mężczyzna oczekiwał od niej bardziej stosownego sygnału,

potwierdzającego jego obecność. Jednak ona nawet nie drgnęła.

– To ten z brodą.

– Żonaty?

– Tak sądzę. – Niemal słyszała jego myśli. – A dlaczego pani pyta?

– Ponieważ… – odparła, po czym wiedziona tajemniczą siłą rzuciła mu spojrzenie przez ramię – zastanawiałam się, czy mogłabym skłonić panią Crabbe i inne podobne do niej kobiety do tego, aby odwiedzały gospodę i korzystały z sali jako z miejsca spotkań miejscowej społeczności.

Przeniosła wzrok na gości, usilnie ignorując nagłe łomotanie serca. Z tak bliskiej odległości oczy Jonasa nawet w półmroku były pełne wyrazu, urzekające.

– Czy wie pan, gdzie teraz kobiety spotykają się na pogaduszki?

Tym razem usłyszała w jego głosie wyraźne zainteresowanie.

– Nie mam pojęcia, czy w ogóle się spotykają.

Uśmiechnęła się i jeszcze raz spojrzała przez ramię.

– Tym lepiej dla nas.

Jonas popatrzył w jej oczy i ponownie odczuł zniewalającą siłę jej uśmiechu.

Sam nie wiedział, czy poczuł rozczarowanie, czy też ulgę, gdy po chwili odwróciła wzrok i skupiła go na obecnych w sali mężczyznach.

– A kim jest rozmówca Crabbe’a?

Powiedział jej, a ona zaczęła pytać o kolejnych gości: o ich imiona, miejsce zamieszkania, stan małżeński. Udzielał tych informacji nieco zbity z tropu i lekko poirytowany, że ona z taką łatwością nie tyle odrzuciła, co zignorowała wiszącą w powietrzu chemię. Mógłby się zastanawiać, czy w ogóle ją odczuła, ale spostrzegł, jak w pierwszej chwili wyraźnie wstrzymała oddech. Jednak nie zauważył, jak mocno ściskała się za łokcie, jakby to miało utrzymać ją na miejscu.

W pełni doceniał walory tego spontanicznego spotkania; stojąc tak blisko niej, na tyle blisko w panującym tu półmroku,

by poczuć delikatny aromat jej skóry i lśniących włosów, sam doświadczył lekkiego zawrotu głowy.

Co było… niezwykłe. Nigdy dotychczas nie spotkał kobiety, nie mówiąc już o damie, która zupełnie bez wysiłku go pociągała, która z taką łatwością wzbudzała jego niesłabnące zainteresowanie.

Określenie „bez wysiłku” było jak najbardziej adekwatne. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ona nie miała i nie ma zamiaru wywierać na niego wpływu.

Ani też go pociągać.

Bóg jeden wiedział, że jej obecne zachowanie działało na niego niczym największa pokusa.

Szkoda, że on jest… jeszcze bardziej uparty niż ona, przynajmniej takie odniósł wrażenie.

Gdy skończyli rozmowę o obecnych gościach, odwróciła się do niego bokiem i przelotnie spojrzała mu w twarz.

– Zajrzałam do kantoru, lecz nie znalazłam żadnych rachunków ani zapisów księgowych. Czy pan je ma?

Nie od razu odpowiedział. Nie od razu bowiem zrozumiał sens pytania, zbyt zajęty rozważaniem niesamowitych możliwości, jakie dawało ich umiejscowienie. Korytarz był krótki, wąski i pogrążony w półmroku. Stał dość blisko za nią. A teraz ona odwróciła się… a czubek jej głowy ledwie sięgał jego obojczyka. Aby spojrzeć na jego twarz, musiała odchylić głowę i podnieść ją… cały czas stojąc tak blisko, że gdyby głęboko nabrał powietrza, połami surduta otarłby się o jej piersi. Spojrzał jej w oczy i nawet w tak niewielkiej ilości światła zauważył, jak walczyła ze sobą, by cofnąć się o krok. Jednak słusznie przypuszczał, że uparta z niej osóbka. Jedynie zakołysała się lekko, w instynktownej próbie powiększenia dzielącego ich dystansu, lecz pozostała na miejscu.

Ta chwila przeciągała się, sytuacja stawała się niezręczna. W końcu Jonas skapitulował, cofnął się o krok i płynnym ruchem zaprosił ją do kantoru.

Minęła go odrobinę za szybko, po czym stanęła za biurkiem, wykorzystując jego pokancerowany blat jako przegrodę między

nimi. Nie usiadła, lecz uniosła głowę i popatrzyła na niego, gdy pojawił się w drzwiach.

Nie odzywał się, tylko stał nieruchomo i obserwował ją. Zdziwiona uniosła lekko brwi.

Przypomniał sobie jej pytanie. Oparłszy się ramieniem o futrynę, odpowiedział:

– Nie ma żadnych rachunków ani ksiąg, przynajmniej z ostatnich dziesięciu lat. Juggs nie wierzył w robienie zapisów.

Tym razem już bardzo wyraźnie uniosła brwi.

– Więc w jaki sposób orientował się w dochodach?

– Nie orientował się. Miał taki układ z moim ojcem, że co miesiąc płacił mu czynsz, który regularnie uiszczał, a dla siebie zatrzymywał przychody wykraczające ponad tę kwotę. – Zawahał się. – Z perspektywy nie była to najmądrzejsza umowa – przyznał. – Juggs nie martwił się o to, czy gospoda osiągnie sukces. Ważne że wpływy wystarczały na opłacenie czynszu. – Uśmiechnął się. – Umowa zawarta między nami jest o wiele bardziej sensowna.

– Hm – mruknęła cicho i usiadła na skrzypiącym krześle za biurkiem. Wyglądała na roztargnioną, półprzytomną.

Obserwował, jak usiłuje go ignorować, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z jego obecności.

– Chciałabym spytać o dostawy – powiedziała w końcu, spoglądając mu w twarz. – Czy gospoda ma stałych dostawców?

– Jest pewien handlarz w Seaton, który zaopatruje nasz majątek we wszystko. Powinna pani kupować u niego na rachunek Grange.

Kiwnęła głową, otworzyła szufladę biurka, z której wyjęła kartkę i ołówek. Wzięła go do ręki i rozłożyła papier na blacie.

– Na początek zamierzam skoncentrować się na stworzeniu oferty kulinarnej. Kiedy ludzie uświadomią sobie, że mogą tu zjeść, będziemy mieć większe szanse na pozyskanie regularnych klientów. – Zanotowała parę rzeczy, po czym ostentacyjnie przebiegła wzrokiem poczynione zapiski. – Uważam – stwierdziła, nie podnosząc głowy – że możemy uczynić z gospody centrum spotkań mieszkańców wioski, nie

tylko dla tych, którzy chcą napić się piwa na koniec dnia, lecz przez cały dzień: miejsce, w którym kobiety mogą spotkać się i pogawędzić nad filiżanką herbaty, a pary mogą tu wstąpić, aby się posilić. Wszystkie te działania wpłyną na zwiększenie wpływów, a zatem i zysk. Jeśli chodzi o pokoje gościnne, dopilnuję, aby je odnowić i uzupełnić ich wyposażenie, gdy już będziemy mogli zaproponować klientom coś więcej niż piwo.

Mówiąc to, cały czas pisała. Potem spojrzała na niego z delikatnym, lecz wyraźnym wyzwaniem w oczach.

– Czy wyraża pan zgodę na te działania, panie Tallent?

„Jonas", chciał ją poprawić. Zajrzał w jej jasne oczy. Wiedział, że jej wyzwanie ma o wiele szerszy zakres niż zarządzanie samą gospodą.

Nie umknęło jego uwadze owo królewskie „będziemy mogli", pluralis maiestaticus. Bez względu na to, czy uczyniła to celowo, czy też nie, uświadomił sobie, że potrzebuje jej właśnie w tym miejscu, jako zarządcy Pod Czerwonym Dzwonkiem – że jeśli chce, aby została i przejęła rządy w gospodzie, a miał coraz większą pewność, że poradzi sobie w tej roli, nie powinien jej drażnić do tego stopnia, by zapragnęła odejść.

Nie była płocha, lecz raczej nastawiona na obronę, budując między nimi bariery, ignorując ich wzajemne zauroczenie sobą.

Mógł pokonać te bariery dość łatwo, wystarczyłoby, aby wszedł do kantoru, zamknął drzwi i… Teraz jednak nie był odpowiedni moment na tak ryzykowny ruch. Jeszcze nie wiedział, w jakim celu tu przybyła, pominąwszy kwestię objęcia posady w gospodzie. Zatem dopóki się nie dowie…

Wyprostował się i pochylił głowę.

– Tak jest, panno Beauregard. Pani plan wydaje się… nadzwyczaj praktyczny. – Skłonił się. – Daję pani wolną rękę. Dobranoc, panno Beauregard.

Ona również kiwnęła mu głową po królewsku.

– Dobranoc, panie Tallent.

Nie spojrzawszy na nią kolejny raz, odwrócił się i wyszedł.

* * *

Było już dobrze po północy, gdy Em weszła po schodach i skierowała się do swoich pokoi. W kuchni znalazła nową świecę, na tyle długą, by paliła się całą noc. W zasadzie nie bała się ciemności, ale jeśli miała możliwość wyboru, wolała mieć ją pod ręką, by opanować lęk.

Ciemności przypominały jej noc, gdy zmarła jej matka. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, lecz gdy przebywała w ciemności przez dłuższy czas, czuła się przytłoczona: coraz większy ciężar przygniatał jej pierś, utrudniając oddychanie, aż do chwili, gdy w panice zapalała świecę.

Gdy weszła do saloniku, zobaczyła na dywanie smugę księżycowej poświaty. Wcześniej nie zaciągnęła zasłon, więc teraz nie potrzebowała dodatkowego światła. Postawiwszy świecę na komodzie, zbliżyła się do okna, czekając, aż przywyknie do panującego na zewnątrz mroku.

Okolica, drzewa, krzewy i błonia były skąpane w srebrzystym świetle księżyca, natomiast gładka powierzchnia stawu wyglądała niczym wypolerowany obsydian, czarny i lśniący. W lekkich powiewach bryzy delikatnie przesuwały się cienie. Na wzgórzu, niczym czujny wartownik, majestatycznie wznosił się kościół. Jego bladoszara sylwetka rysowała się na tle aksamitnego, czarnego nieba.

Em nabrała głęboko powietrza. Pozostała przez chwilę nieruchomo w oknie, chłonąc ten niezwykły spokój.

Starała się nie myśleć o Jonasie Tallencie, o wyzwaniu, jakie podjęła wraz z posadą zarządcy gospody. Uciekała myślami nawet od poszukiwania rodzinnego skarbu.

Pośród tych nocnych ciemności poczuła spokój, wyciszenie i jeszcze coś głębszego, mocniejszego, trwałego.

Coś, co niosło ukojenie.

Gdy w końcu odwróciła się, wzięła świecę i podeszła do łóżka, nieoczekiwanie odniosła wrażenie, jakby w końcu znalazła się w domu.

* * *

Następnego ranka o dziesiątej Em wyszła z gospody. Mając po prawej ręce Henry'ego, a po lewej rozległe błonia, ruszyła żwawo drogą wzdłuż rzędu chat.

Na głowie miała niedzielny czepek, stosowny na tę okazję, jako że zmierzali do probostwa. Edgar zasugerował jej, aby rozmówiła się z wikariuszem, niejakim Filingiem, na temat edukacji Henry'ego.

Kiedy wcześniej zebrali się na śniadanie w kuchni, okazało się, że pomieszczenie jest nadspodziewanie wygodne. Issy nasmażyła smacznych naleśników, zrobiła też herbatę, którą znalazła w jednej ze spiżarni.

Edgar zjawił się o ósmej, aby otworzyć frontowe drzwi i posprzątać bar. Gdy Em wyraziła rozczarowanie z powodu braku porannych klientów, stwierdził, że rzadko widywał gości przed południem.

Postanowiła, że to się zmieni.

Zanim wybiła dziewiąta, zdążyła już porozumieć się z Hildą, byłą kucharką w gospodzie, którą zatrudniła na dawną posadę. To, że kobieta od razu zaczęła wymieniać się przepisami z Issy – oraz z jej dwiema siostrzenicami, które miały jej pomagać w pracy – dobrze wróżyło. Najęła również otyłe córki kuzynki Hildy, Berthę i May, aby zaczęły generalne porządki.

Tak jak poinformowała Jonasa Tallenta, na pierwszym miejscu sporządzonych przez nią list znajdowało się stworzenie atrakcyjnej oferty kulinarnej dla gości zajazdu. Kiedy tylko zapewni Henry'emu dalsze kształcenie, skoncentruje się na uzupełnieniu zapasów w spiżarni.

Dzień był pogodny. Lekki wiaterek rozwiewał końce tasiemek jej czepka i sznurki jasnozielonego żakietu, który nałożyła na bladozieloną suknię.

Właśnie minęli staw, gdy usłyszała za plecami odgłos czyichś ciężkich kroków.

– Dzień dobry, panno Beauregard.

Stanęła, nabrała haust powietrza, aby się uspokoić. W końcu odwróciła się.

– Dzień dobry, panie Tallent.

Patrzył jej prosto w oczy. Głęboki oddech niewiele jej pomógł; zmysły zaczęły szaleć, płuca odmawiały posłuszeństwa. Miał na sobie jasną kurtkę do konnej jazdy i bryczesy z koźlej skóry ściśle przylegające do ud, wpuszczone w długie jeździeckie buty.

Po chwili przeniósł wzrok na Henry'ego, który bacznie go obserwował i w każdej chwili gotów był wystąpić w obronie siostry.

– Proszę pozwolić, że przedstawię brata, na imię ma Henry. – Spojrzała na młodzika. – To jest pan Tallent, właściciel zajazdu.

Miała nadzieję, że to wyjaśnienie przypomni Henry'emu, że ma być grzeczny dla jej pracodawcy.

Tymczasem Jonas spoglądał na młodszą wersję zarządcy gospody; w oczach chłopca ujrzał ten sam blask, chociaż miały nieco inną barwę. Henry był wysoki, niemal o głowę wyższy od swojej drobnej siostry, nieco tyczkowaty, chociaż z czasem to się na pewno zmieni. Mimo wszystko każdy, kto by ich zobaczył, zauważyłby podobieństwo, co wyjaśniało – przynajmniej Jonasowi, który sam miał siostrę – gniewne spojrzenie Henry'ego Beauregarda.

Jonas wyciągnął do niego rękę, grzecznie kiwając głową.

– Dzień dobry, Henry.

Chłopak zamrugał i uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Dzień dobry, panie Tallent.

Mężczyzna przeniósł wzrok na jego siostrę.

– Wybieracie się na spacer czy w jakieś konkretne miejsce?

Z pewnością mieli jakiś cel, gdyż jeszcze przed chwilą panna Beauregard szła bardzo zdecydowanym krokiem.

Milczała przez chwilę.

– Idziemy do probostwa.

Odwróciła się i podjęła przerwaną wędrówkę, on zaś ruszył spacerowym tempem obok niej, z łatwością dotrzymując jej kroku, podczas gdy Henry szedł z jej drugiej strony.

– Jeśli wybieracie się do Filinga, to idziecie bardzo okrężną drogą. – Wskazał ręką często uczęszczaną ścieżkę, wiodącą

przez błonia aż do samej furtki w ogrodzeniu probostwa. – Tędy będzie szybciej.

Kiwnęła głową w podzięce i skręciła na ścieżkę. Gdy na nią wchodziła, wyciągnął pomocną dłoń i przytrzymał Em za łokieć, aby nie straciła równowagi.

Poczuł, jak się wzdrygnęła; opuszki jego palców były gorące. Kiedy stanęła pewnie na ścieżce, przypomniał sobie swoje postanowienie, aby jej celowo nie drażnić, przynajmniej na razie. Niechętnie zwolnił uchwyt.

Odwróciła się do niego. Ponieważ stała nieco wyżej, ich oczy znajdowały się niemal na tej samej wysokości. Zacisnąwszy usta, skinęła mu głową.

– Dziękuję. Dalej sami znajdziemy drogę, nie będziemy pana dłużej kłopotać.

Uśmiechnął się szeroko, obnażając zęby.

– To nie kłopot. Też wybieram się do Filinga.

– Doprawdy? – W jej jasnych oczach odmalowało się wyraźne niedowierzanie.

Ściągnął usta.

– Prowadzimy wspólne interesy – poinformował ją i gestem pokazał, aby ruszyła dalej. Marszcząc brwi, zaczęła iść pod górę.

Poszedł za nią, świadomy, że Henry obserwuje go, rzuca mu częste spojrzenia, gotów w każdej chwili bronić siostry, chociaż nie miał pewności, czy to konieczne. Chłopak przyglądał mu się z zaciekawieniem pomieszanym z podejrzliwością.

Em również zdawała sobie sprawę z tego, co Henry myśli o Jonasie Tallencie, lecz w tej kwestii, o dziwo, sama nie mogła się zdecydować. Z jednej strony, nie miała zamiaru zachęcać Tallenta, aby interesował się nią i jej rodziną, z drugiej: – miała bolesną świadomość, że od co najmniej ośmiu lat Henry nie miał mentora. W tej materii wuj z całą pewnością nie przejął roli ojca. Henry zaś potrzebował przewodnika, a nawet więcej – autorytetu. Gdyby nawet Filing dobrze się sprawdził jako nauczyciel, wątpliwe było, aby wikariusz-guwerner mógł pełnić tę inną, mniej namacalną, lecz równie ważną funkcję.

A Jonas Tallent mógłby.

Oprócz tego, że wytrącał z równowagi jej zmysły, dotychczas nie zaobserwowała w nim niczego, co wzbudzałoby jej sprzeciw. Jego pozycja społeczna i majątkowa była w dużej mierze równoważna pozycji jej brata, jeśli jeszcze nie teraz, to w przyszłości.

A więc Tallent nadawał się jako wzór do naśladowania dla chłopaka.

O ile Em nie odkryje niczego, co świadczyłoby przeciwko niemu.

Ścieżka przez błonia była stroma, gdzieniegdzie miała wycięte w ziemi stopnie, czasem wzmocnione kamieniami. Wędrowali powoli, ale przecież Em nie miała powodów do pośpiechu.

– Czy istnieje zwyczaj – spytała w końcu – by wikary angażował się w interesy?

W głosie Tallenta usłyszała rozbawienie.

– Nie jest to zwyczajowe, lecz w Colyton stało się ogólnie przyjętym elementem naszego małomiasteczkowego życia.

Jego odpowiedź była pozbawiona sensu, przynajmniej dla niej. Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego przez ramię.

– Jak to?

– Filing prowadzi rachunki Colyton Import Company. – Jonas stwierdził, że Em nie musi znać pochodzenia firmy, której początki były związane z przemytem. – Założyła ją przed kilku laty moja siostra bliźniaczka, Phyllida. Po jej zamążpójściu przejąłem nadzór, ale Filing zawsze pomagał. Prowadził rejestr importowanych towarów oraz rozliczenia z biurem podatkowym w Exmouth.

– A jakie towary importuje firma?

– Obecnie są to głównie francuskie brandy i wina. – Podobnie jak w minionych latach. – Trunki serwowane w gospodzie pochodzą właśnie z tego źródła.

Przez minutę szli w milczeniu.

– Wydaje mi się, że to dość dziwny interes jak na tak małą miejscowość.

Jonas poczuł się w obowiązku wystąpić w obronie siostry.

– Phyllida wpadła na ten pomysł w odpowiedzi na zakończenie się wojen, w wyniku czego skończył się także handel towarami z przemytu, przynajmniej w tej okolicy. Zamiast dopuścić do tego, by całe rodziny utraciły dochody z bezprawnego handlu, przekształciła tę samą działalność w legalny interes. Stopniowo, z biegiem lat, firma nabrała bardziej konwencjonalnego charakteru. Obecnie mężczyźni korzystają z przystani i magazynu, które firma wybudowała w Axmouth, aby odbierać towary i przechowywać je, a stamtąd rozprowadzać beczki i antałki po okolicznych tawernach i gospodach.

Unosząc brwi, Em spoglądała przed siebie. Jonas wcale się nie zdziwił, że bardzo szybko zrozumiała istotę sprawy.

– Zatem utworzenie firmy miało na celu osiągnięcie stabilizacji, lecz potem interes rozrósł się poza te ramy.

Wypowiedziane zdanie było bardziej stwierdzeniem niż pytaniem. Najwyraźniej rozważała to w myślach – z widoczną aprobatą. I dobrze.

W tym momencie zobaczyli tuż przed sobą furtkę probostwa. Jonas otworzył ją i stanął z boku, przepuściwszy przodem Emily i jej brata. W końcu sam ruszył ich śladem, zamknąwszy wejście na haczyk.

Spojrzała na probostwo znajdujące się w pewnej odległości powyżej nich.

– Jaki jest ten Filing? Ile ma lat?

– Niedawno przekroczył trzydziestkę. To godny zaufania, doskonale wykształcony człowiek. Mamy wielkie szczęście, że jest tu z nami. W pewnym sensie odziedziczył tę funkcję, po czym stwierdził, że bardzo mu się tu podoba, więc został. – Tallent mówił bardziej do Henry’ego niż do jego siostry. Chłopiec kiwnął głową w podzięce za te informacje. Tallent przyglądał mu się z zaciekawieniem. Zastanawiał się, jakąż to sprawę do wikarego mogą mieć brat z siostrą, jednak nie podjął tematu, nie zadawał więcej pytań. Szedł za nimi po schodkach

wiodących na ganek. Wiedział, że niedługo i tak wszystkiego się dowie.

Em kiwnęła głową, a wtedy Henry pociągnął za sznur od dzwonka.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stojący za nimi mężczyzna musiał obserwować, jak się zbliżają.

Em patrzyła w życzliwe, niebieskie oczy na miłej, bladej, ascetycznej twarzy. Filing – zakładała, że to właśnie on – był ponadprzeciętnego wzrostu, chociaż niższy od stojącego za jej plecami Tallenta, oraz drobniejszej budowy. Miał jasnobrązowe włosy, które podobnie jak jego strój – szary surdut, gładka kamizelka i płowej barwy bryczesy – były pedantycznie utrzymane, jak na duchownego przystało.

„Godny zaufania", powiedział wcześniej Tallent – a Em nie widziała powodu, by kwestionować tę ocenę.

Grzecznie skłoniła głowę.

– Dzień dobry. Ojciec Filing, jeśli się nie mylę?

Kiedy złożył półukłon, spoglądając na grupę z zaciekawieniem, odważyła się mówić dalej.

– Jestem panna Beauregard. – Machnęła dłonią ponad swoim ramieniem, obejmując tym gestem Tallenta oraz położoną w dole gospodę. – Objęłam posadę zarządcy Pod Czerwonym Dzwonkiem i chciałabym zapytać, czy mógłby ojciec podjąć się kształcenia mojego brata, Henry'ego. – Kolejnym gestem wskazała stojącego obok chłopaka.

Filing uśmiechnął się.

– Witam, panno Beauregard. – Spojrzał na jej brata i wyciągnął do niego rękę.

– Henry – przedstawił się chłopak.

Po uścisku dłoni Filing przeniósł wzrok z powrotem na Emily.

– Bardzo mi miło panią poznać. Zapraszam do środka, porozmawiamy o potrzebach edukacyjnych pani brata.

Odsunął się, aby oboje mogli wejść. Kiedy Em znalazła się w saloniku, Filing spojrzał na stojącego za nią mężczyznę.

– Jonas. Dziękuję, że przyszedłeś.

– Witaj, Joshua. – Ścisnąwszy mu dłoń, Tallent przestąpił próg.

Kiedy się odwróciła, patrzył prosto na nią, lecz zaraz przeniósł spojrzenie na wikarego.

– Mam dużo czasu, więc najpierw możesz spokojnie poświęcić uwagę pannie Beauregard. Wiem, że jest bardzo zajęta.

Nie mogła zaprzeczyć. Zmrużyła oczy, gdy jej wzrok spoczął na niezwykle przystojnej twarzy Tallenta. Przecież zorganizowanie lekcji dla Henry'ego nie było sprawą poufną, a jej pracodawca i tak już wiedział, w jakim celu tu przyszła.

Sztywno skłoniła głowę.

– Dziękuję, panie Tallent. – Z tymi słowy przeniosła uwagę na Filinga, któremu opowiedziała o dotychczasowej edukacji Henry'ego i o nadziejach na przyszłość. Wysłuchawszy jej, wikary zwrócił się bezpośrednio do chłopca i wypytał go, co lubi, czego nie lubi, jakie ma aspiracje. Em umocniła się tylko w przekonaniu, że wybór Filinga na guwernera Henry'ego był słuszny.

Z początku nieufny Henry szybko nabrał pewności siebie. Obserwując to w milczeniu, przysłuchując się, jak Filing nakłania chłopca do tego, by dzielił się opiniami na różne tematy, służąc w zamian własnym doświadczeniem, Em odetchnęła. Filing będzie dobry.

Razem z Henrym uzgodnili, że chłopak wróci tu o drugiej po południu z książkami, po czym wspólnie opracują plan kampanii, której ostateczny cel – jak sama powtarzała – to dostać się do Pembroke, dawnego wydziału jego ojca w Oksfordzie.

– Oczywiście mamy tam kontakty – powiedziała, odwracając się do drzwi. – Jeśli Henry uzyska wymagane oceny, znajdzie się tam miejsce dla niego.

– Znakomicie. – Wikary ruszył za nią, a Henry kiwnął głową Tallentowi i poszedł ich śladem.

Em zatrzymała się przed drzwiami i odwróciła do Filinga.

– Powinniśmy porozmawiać o ojca honorarium.

Spojrzał na nią z góry. Na jego twarzy malowały się zapał i życzliwość.

– Jeśli mogę coś zaproponować, pomówimy o tym później, kiedy razem z Henrym zdecydujemy, jaki poziom wykształcenia będzie mu potrzebny. – Przeniósł wzrok na chłopaka. – On już teraz ma dużą wiedzę, być może będzie potrzebował jedynie porady, a nie nauczania, a to byłaby dla mnie czysta przyjemność.

Kiwnęła głową.

– No dobrze, później to uzgodnimy.

Wciąż świadoma tego, że Tallent stoi przy oknie – a ani na chwilę nie była w stanie zignorować jego obecności – złożyła mu wyniosły ukłon.

– Dobrego dnia, panie Tallent.

Uśmiechnął się, także odpowiadając ukłonem.

– Do widzenia, panno Beauregard.

Z uniesioną wysoko głową wyszła przez otwarte drzwi.

Wikariusz odprowadził rodzeństwo na ganek.

Wróciwszy do środka, podszedł do stojącego przy oknie Tallenta. W kojącej ciszy patrzyli, jak Emily Beauregard z bratem idą w dół przez błonia.

Kiedy doszli do drogi, Filing przerwał milczenie.

– Bardzo ciekawe – powiedział cicho. Jonas tylko prychnął. – Zarządca gospody, kobieta, której ojciec uczęszczał do Pembroke, i która chce zapewnić to samo bratu. Z całą pewnością nie jest to typowy zarządca twojej gospody. To szlachecka rodzina, nie sądzisz?

– Co najmniej – przytaknął Jonas. – Uprzedzając twoje pytanie, nie mam pojęcia, co oni tu robią, lecz panna Emily Beauregard rzeczywiście jest nowym zarządcą Pod Czerwonym Dzwonkiem.

– Na pewno będzie lepsza od Juggsa.

– Też tak myślę.

Filing odwrócił się od okna, kręcąc głową.

– Intrygująca rodzina, a ten chłopak jest naprawdę bystry.

– Tak jak jego siostra.

– Jest ich tylko dwoje? – Wikary skierował się do aneksu jadalnego, gdzie w komodzie leżały rachunki i dokumenty

Colyton Import Company.

– Nie, jest też siostra, która ma – Jonas zastanowił się chwilę – dwadzieścia trzy lata, oraz dwie dziewczynki, bliźniaczki, na oko dwunastoletnie, może młodsze.

Kiedy Filing pytająco uniósł brwi, Jonas pokręcił głową.

– To długa i pełna niekonsekwencji opowieść. – Wskazał głową papiery, które wyciągnął duchowny. – To są licencje?

– Tak, to one.

Usiedli przy stole i omówili formalności, których dopełnienie było wymagane do legalnego funkcjonowania firmy.

Gdy skończyli, Filing ułożył dokumenty w stertę, którą odsunął na bok.

– Następny statek powinien przypłynąć do Axmouth w przyszłym tygodniu.

Jonas wstał i kiwnął głową.

– Przekażę Oscarowi, żeby wiedział.

Wikary odprowadził go do drzwi i dalej na ganek, gdzie zatrzymali się ramię w ramię, spoglądając na błonia i gospodę.

Filing wykonał ruch, jakby chciał wrócić do środka.

– Po południu przyjdzie tu Henry, dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś więcej o tej rodzinie.

Jonas skinął głową i stanął na stopniach ganku.

– Kiedy chłopak będzie u ciebie, osobiście wypytam śliczną pannę Beauregard i zawiadomię cię, jeśli wyciągnę z niej coś godnego uwagi.

Filing zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Ona ci nie ufa.

– Wiem. – Jonas uśmiechnął się, stając u podnóża schodków. – Ale myślę, że mam idealną marchewkę, którą zawieszę przed jej małym noskiem.

* * *

– Dzień dobry, panno Beauregard.

Em podniosła wzrok znad zapisków i ujrzała Jonasa Tallenta, stojącego w wejściu do kantoru. Powstrzymała się od uśmiechu,

chociaż kosztowało ją to nieco wysiłku, gdyż na jego widok odczuła przyjemność. Miał na sobie pelerynę, sięgającą wypolerowanych cholewek butów, przeznaczony na bardziej formalne okazje surdut i kamizelkę – zamiast kurtki do konnej jazdy, jak poprzednio. Wyglądał jak wycięty z „Gentlemen's Gazette", pisma dla wykwintnych dżentelmenów.

Uspokajając trudne do okiełznania zmysły, powitała go skinięciem głowy.

– Dzień dobry, panie Tallent.

Nie odzywał się, tylko patrzył na nią, więc po chwili poczuła się w obowiązku spytać:

– Czy mogę panu jakoś pomóc?

– W zasadzie przyszedłem tu, aby pomóc pani.

Wypowiedziane głębokim, niesamowicie spokojnym głosem słowa sprawiły, że instynktownie nabrała podejrzeń.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby wiedział.

– Przyszło mi do głowy, że powinna pani poznać Fincha, naszego dostawcę w Seaton, i osobiście obejrzeć jego towary. Właśnie teraz wybieram się do niego dwukółką, więc może miałaby pani ochotę pojechać ze mną?

Poznać głównego dostawcę, w jego magazynie, w obecności pracodawcy, który kontrolował rachunek, z jakiego miała korzystać…

Mogłaby przysiąc, że nic nie jest w stanie sprawić, aby z własnej woli zbliżyła się do Jonasa Tallenta, ale… teraz odłożyła ołówek.

– Jak długo nas nie będzie?

– Najwyżej dwie godziny, razem z dojazdem w obie strony i rozmową z Finchem. – Ruchem głowy wskazał stertę kartek pod jej dłonią. – Proszę zabrać listy potrzebnych rzeczy, będzie pani mogła złożyć u niego pierwsze zamówienie.

Była to zbyt dogodna okazja, aby z niej nie skorzystać, o czym – była tego pewna – Tallent doskonale wiedział.

Nie wiedział jednak, że znakomicie potrafiła zatrzymać go tam, gdzie jego miejsce, bez względu na to, co sobie myślał, albo czego próbował. Nauczyła się tego podczas lat spędzonych w

domu wuja; teraz była ekspertem w tej nie do końca subtelnej sztuce utrzymywania mężczyzn w ryzach.

Odsunęła krzesło i wstała.

– Dobrze. Zaczeka pan chwilę? Pójdę tylko po czepek.

– Oczywiście. – Odsunął się, aby ją przepuścić. – Być może przyda się też pelisa – dodał, gdy wychodziła. – W pobliżu wybrzeża zawsze wieje silniejszy wiatr.

Gdy szła w kierunku schodów, uśmiechnęła się do siebie. Dżentelmen, który instynktownie dba o komfort kobiety, nie może stanowić zagrożenia.

Ruszyła na górę.

Jonas zatrzymał się u podnóża schodów.

– Moje konie są narowiste. Zaczekam na zewnątrz.

Uniosła dłoń w geście zrozumienia i poszła do pokoju.

Pięć minut później wyszła na dwór i odczuła potrzebę zmiany swojej definicji zagrożenia. Rumaki o kasztanowej maści, podskakujące niespokojnie między dyszlami, wyglądały na stwory rodem z samego piekła.

Zauważył jej wahanie.

– Proszę się nie obawiać – powiedział z uśmiechem. – Potrafię je okiełznać.

Spojrzała mu w oczy.

– Już słyszałam, jak różni dżentelmeni wypowiadali takie słowa. Zazwyczaj miało to miejsce tuż przed wywróceniem się powozu.

Roześmiał się. Jego śmiech zaburzał jej wewnętrzny spokój.

Ujął lejce w dłoń, drugą zaś przyłożył do serca.

– Zaklinam się na mój honor, że nie wyląduje pani w przydrożnym rowie.

– Hm – mruknęła i zebrawszy poły sukni, sięgnęła ku burcie powozu.

Wyciągnął odzianą w rękawiczkę dłoń, aby pomóc jej wsiąść, a ona, nie namyślając się, wsunęła w nią palce. Kiedy zamknął je w swojej ręce, jej świat się zakołysał.

Zawirował.

Jonas podciągnął ją. Wylądowała na miejscu obok niego, z trudem panując nad oddechem.

Dobry Boże! Kiedy jej przeklęte zmysły przestaną tak reagować?

Kiedy zaczną go ignorować?

Nie próbował trzymać jej dłoni dłużej, niż było to konieczne. Nosił skórzane rękawiczki, podobnie jak ona, mimo to wrażenie dotyku jego palców pozostało, odbierając jej spokój, wzmagając bicie serca.

Na szczęście teraz przykuły jego uwagę narowiste konie. Rzucił Em jeszcze spojrzenie, aby się upewnić, że bezpiecznie siedzi, zwolnił hamulec i poluzował lejce. Kasztanki natychmiast skoczyły do przodu. Przy wtórze turkotu kół powóz wyjechał z podwórza gospody.

Rozdział 3

Skierował konie na południe.

– Seaton znajduje się niemal na wprost, mniej więcej na wybrzeżu, drogi zaś są całkiem proste.

Skinęła głową, nie do końca ufając swemu głosowi. Czekała, aż mężczyzna zacznie ją wypytywać, gdyż była pewna, że właśnie taki miał zamiar. Lecz gdy wyjechali na trakt, zerknął na nią tylko raz, przenosząc swoją uwagę na konie. Widocznie nie czuł potrzeby rozmowy.

Dwukółka toczyła się lekko, nawet dość szybko, ciągnięta bez wysiłku przez dwa mocne zwierzęta. Ona również zwróciła na nie uwagę. Znała się na tyle, by rozpoznać najlepszą koninę. Gdyby widział ją teraz Henry, zzieleniałby z zazdrości.

Jonas Tallent okazał się bardzo wprawnym woźnicą, nie popisywał się, wiedział, kiedy ma ściągnąć lejce, by spowolnić lidera, kiedy można bezpiecznie opuścić ręce, a kiedy należy stanowczo poskromić narowiste konie.

– Długo pan je ma? – Wcale nie zamierzała zaczynać rozmowy, okazywać zainteresowania, lecz wyrzuciła z siebie słowa, zanim zdążyła pomyśleć.

– Od maleńkości. – Nie oderwał wzroku od gościńca, ale po chwili podjął wątek. – Mój szwagier, Lucyfer Cynster, ma kuzyna, Demona Cynstera, który jest jednym z najlepszych hodowców koni wyścigowych w Anglii. Te dwa pochodzą z jego stadniny. Zatrzymuje u siebie te, które uznaje za nadające się na wyścigi, a reszta idzie do rodziny, wszystkich związanych z Cynsterami. Na szczęście dla mnie.

Lucyfer? Demon?, chciała zapytać, lecz w ostatniej chwili stwierdziła, że wcale nie musi tego wiedzieć.

– Pański szwagier – powiedziała zamiast tego – to ten, który mieszka w Colyton Manor?

– Tak. Odziedziczył dwór od poprzedniego właściciela, Horatia Welhama. Horatio był kolekcjonerem, dzięki temu on i Lucyfer poznali się. Horatio uważał Lucyfera za syna, którego sam nigdy nie miał, więc gdy zmarł, Lucyfer stał się właścicielem Colyton Manor.

– A potem ożenił się z pańską bliźniaczą siostrą.

Skinął głową, rzuciwszy jej krótkie spojrzenie.

– Niedługo pozna pani Phyllidę, za to mogę ręczyć. Z pewnością już dowiedziała się, że objęła pani posadę zarządcy gospody, więc zjawi się, żeby panią poznać, gdy tylko znajdzie czas, aby wyrwać się od swojej licznej hordy.

– Jakiej hordy?

– Ona i Lucyfer mają dwóch synów, hałaśliwych, niesfornych nicponi, którym poświęca mnóstwo czasu. A horda jest liczna, gdyż Phyllida oczekuje następnego potomka.

Zapamiętała to oraz ton, jakim mówił o siostrze i jej dzieciach.

– Było was tylko dwoje rodzeństwa, pan i Phyllida? – spytała po chwili.

Popatrzył na nią szelmowsko.

– Nasi rodzice zawsze twierdzili, że dwoje im wystarczy.

– A pan? – spytała wiedziona nagłą ciekawością. – Czy pan też uważał, że to wystarczy?

Nie od razu odpowiedział. Zastanawiała się, czy w ogóle jej odpowie, gdy w końcu się odezwał:

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia, by mieć dużą rodzinę.

Spojrzała przed siebie, myśląc o swojej rodzinie. I nie znalazła powodu, by się o to spierać.

Teraz, gdy już przełamali pierwsze lody, oczekiwała, że zacznie ją badać. Lecz w to piękne jesienne popołudnie on prowadził powóz w milczeniu, dziwnie kojącym. Wokół śmigały śpiewające ptaki, a w powietrzu coraz wyraźniej czuć było sól, gdy wjechali na ostatnie wzniesienie przed delikatnym spadkiem kończącym się na szczycie klifu.

Pomimo kilku rzeczy, które rozpraszały jej uwagę, nie zapominała o poszukiwaniu, które przywiodło ją do Colyton. Kiedy Jonas pognał konie w lekkiego kłusa po ostatniej pochyłości, spytała go:

– Proszę mi opowiedzieć o wiosce coś więcej. Już wiem o dworze, o Grange. A czy w okolicy są inne domy? Majątki zatrudniające służących, których moglibyśmy nakłonić do korzystania z gospody?

Kiwnął głową.

– Tak się składa, że jest kilka dużych domów. Największy to Ballyclose Manor, położony dalej przy drodze, koło kościoła. Właścicielem jest sir Cedric Fortemain. Następny majątek to Highgate, należący do sir Basila Smolleta, też przy drodze, ale po drugiej stronie probostwa. Do listy trzeba by jeszcze dodać Dottswood Farm. Chociaż nie jest to dom w takim sensie, jak poprzednie, to duży majątek, dający zatrudnienie wielu rodzinom. – Spojrzał na Em. – Te domy leżą w bezpośrednim sąsiedztwie wioski. Natomiast nieco dalej jest ich więcej, lecz te trzy są, że tak powiem… powiązane z wioską. Wszystkie z tych majątków uznają Colyton za swoją wieś.

– To chciałam wiedzieć. – Pokiwała głową. – Właśnie ich powinniśmy ściągnąć do zajazdu w pierwszej kolejności. – A jeden z tych domów najprawdopodobniej był tym z rymowanki „W najwyższym domu, w domu najwyższych”, w którym ukryto skarb Colytonów.

Ballyclose Manor wydawał się tym, od którego należało rozpocząć poszukiwania. Kusiło ją, aby jeszcze popytać, potwierdzić, że rodzina Fortemain, czy kto tam mieszka w Ballyclose, to od dawna liderzy miejscowej społeczności, lecz w tym momencie zobaczyli wynurzające się nad drogą dachy domostw.

– Seaton – powiedział Jonas, ściągając nieco wodze. Był z siebie bardzo zadowolony, gdyż udało mu się wytrzymać obok zgrabnej Emily Beauregard przez niemal pół godziny, nie wywołując kolejnych waśni między nimi. Co więcej, to ona zaczęła kruszyć lody, którymi sama się od niego odgrodziła.

Wciąż tam byli, lecz już nie tak mocno zdystansowani, jak poprzednio. Wciąż jeszcze było przed nim wielkie wyzwanie.

Wszelako jej strategia wypytywania zdawała się przynosić efekty. Doszedł do wniosku, że jeśli tylko da jej sposobność, zapyta go o rzeczy, które ją naprawdę interesują.

Chociaż jej zainteresowanie okolicznymi dworami faktycznie mogło wynikać z chęci pozyskania szerszej klienteli dla gospody, miał wrażenie, że jednak nie do końca tak jest; wspomniała o tym dopiero po krótkim namyśle, aby usprawiedliwić wcześniejsze pytanie.

Z jakiegoś powodu interesowały ją te domy, a raczej jeden z nich. Jeśli poskromi swe zapędy przez resztę popołudnia, kto wie, czego jeszcze się dowie?

Skierował powóz do magazynu Fincha. Zatrzymawszy konie na podwórzu przed wielkimi drzwiami, rzucił lejce chłopakowi, który właśnie podbiegł, po czym zeskoczył na ziemię.

Konie już się uspokoiły, straciły część rozpierającej je energii, mógł więc zostawić je bez nadzoru przynajmniej na pewien czas.

Obszedł dwukółkę i zobaczył, że jego pasażerka zamierza zeskoczyć na ziemię.

– Nie, proszę zaczekać.

Stała na progu, trzymając obleczonymi w rękawiczki dłońmi za poręcze. Uniosła głowę.

Bez słowa objął ją wpół i uniósł. W tym samym momencie spróbowała zeskoczyć, wytrącając go z równowagi.

Zderzyli się, pierś w pierś. Nie była na tyle ciężka, aby go przewrócić; zrobił chwiejny krok do tyłu i stanął.

Trzymając w ramionach pannę Emily Beauregard.

Która mocno przywierała do jego ciała.

Na chwilę czas się zatrzymał.

Zaszumiało mu w głowie, jego serce załopotało niespokojnie i stanęło.

Ona także nie mogła złapać tchu.

Patrzyła na niego, a on zatracił się w jej oczach…

Nagle wrócił do zmysłów, czując ciepło, wręcz gorąco. Serce z powrotem zaczęło bić, łomocząc zdecydowanie zbyt mocno.

Zgiął palce, chwytając ją w talii.

Właśnie wzięła głęboki oddech, wciskając się piersiami w jego tors.

W tym momencie zrozumiał, że między nimi coś się wydarzy – że już teraz między nimi coś się dzieje – gdy jej ciepłe, miękkie krągłości tak kusząco wciskały się w jego ciało.

I w tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież nie chce jej rozgniewać, wywołać agresywnej reakcji.

Zaciskając zęby, postawił Em na ziemi, pół metra od siebie.

Drżąca, na urywanym wdechu nabrała powietrza.

– Bardzo przepraszam.

Chciał powiedzieć, że wcale mu nie jest przykro, ale ugryzł się w język.

– Nic nie szkodzi – wydusił. – Po chwili przypomniał sobie o dobrych manierach. – Wszystko w porządku?

Nie! Jej zmysły były zdruzgotane, jasność myślenia gdzieś znikła. Udało się jej skinąć głową. Miała zaczerwienione policzki; nawet nie chciała myśleć, jak teraz wygląda. Nadal czuła się rozpalona. Było to irytujące.

Z pewnością była poirytowana. Wzięła kolejny haust powietrza przez ściśnięte gardło, zbyt mały, aby przestało kręcić jej się w głowie. W końcu odwróciła się, omiatając wzrokiem magazyn, z którego wyszedł starszy mężczyzna.

– To jest Finch.

W napięciu oczekiwała, aż poczuje palce Tallenta zaciskające się na jej łokciu. Lecz on tylko spojrzał na nią przelotnie i ruchem dłoni zachęcił ją, by u jego boku ruszyła na spotkanie mężczyźnie.

To jedno przelotne spojrzenie sprawiło, że już nie czuła takiej ulgi. Wiedział, że na nią działa, co wcale nie było pocieszające.

Odchrząknął i przedstawił ją Finchowi.

Zmusiła się do skupienia na osobie Fincha i na sprawie, w jakiej tu przybyła – a więc złożeniu dużego zamówienia,

stanowiącego jedynie część zaplanowanych zadań. Udało się jej przetrwać następną godzinę we względnym spokoju.

Jednak później, po długim zwiedzaniu magazynu, rozmowie o dostawach i kolejnych zamówieniach, nadszedł czas powrotu do Colyton. A to oznaczało, że musiała wsiąść do powozu Jonasa Tallenta.

Nie mogła tego zrobić sama, bez pomocy, zwłaszcza w obecności dżentelmenów. Na samą myśl, że znowu położy dłoń na jego dłoni, poczuje obejmujące ją męskie palce, poczuła falę gorąca i mrowienie wzdłuż ramienia.

Finch odprowadził ich do drzwi magazynu, bardzo zadowolony z otrzymanego zamówienia. Postarała się go oczarować i wiedziała, że to się powiodło. Ściskając jej dłoń, uśmiechał się z zachwytem…

Odpowiedziała mu słodkim uśmiechem.

– Panie Finch, czy pomoże mi pan wsiąść do powozu? Musimy jechać dalej. – Spoglądając na podwórze, ujrzała chłopaka, starającego się okiełznać ożywione i zniecierpliwione konie. – A te bestie pana Tallenta są bardzo narowiste.

– Ależ oczywiście, droga panno Beauregard. – Finch ujął jej dłoń. – Bardzo proszę patrzeć pod nogi, tam jest dziura.

Posłusznie poszła z nim, ostrożnie stawiając kroki. Kiedy pomagał jej wsiąść, zerknęła w kierunku Tallenta.

Napotkała jego mroczne spojrzenie. Stał z zaciśniętymi ustami, mrużąc oczy.

Bez słowa wziął od chłopaka lejce, wskoczył do powozu i usiadł obok niej.

Uśmiechnęła się jeszcze raz do Fincha, nieświadomego wybawcy.

– Dziękuję panu. Jutro będę czekała na dostawę towarów.

– Będzie z samego rana – obiecał Finch. – O brzasku wyślę chłopaka z wozem.

Tallent zasalutował mu batem. Finch ukłonił się i powóz ruszył. Tallent sprawnie wykręcił, a konie szybko podjęły rytmiczny, płynny chód.

Em oparła się, spoglądając na mijane domy w Seaton. Celowo ignorowała gęstą atmosferę, jaka wytworzyła się za sprawą siedzącego obok niej mężczyzny.

Czekała, aż się odezwie, chociaż sama nie wiedziała, co miałby powiedzieć.

On zaś odczekał do momentu, aż zostawili Seaton za plecami, a powóz zaczął się toczyć raźno po gościńcu.

– Jeszcze nie poznałem pani sióstr.

To nie było pytanie, jednak zważywszy na istniejące między nimi napięcie, z wdzięcznością uczepiła się nowego tematu.

– Mam trzy siostry. Najstarsza to Isobel, mówimy na nią Issy. Chyba już wspomniałam, że ma dwadzieścia trzy lata. Dwie młodsze to bliźniaczki, Gertrude oraz Beatrice, czyli Gert i Bea. – Urwała, aby zaczerpnąć powietrza, wciąż czując wiszące w powietrzu niepokojące napięcie. – Wszystkie trzy, a więc Issy, Gert i Bea, mają jasne włosy i niebieskie oczy, w przeciwieństwie do mnie i Henry'ego. Zwłaszcza bliźniaczki wyglądają jak aniołki, ale jest to tak bardzo mylące, że może być niebezpieczne. Patrząc na ich twarzyczki, ludzie od razu biorą je za słodkie istoty. A ja obawiam się, że zbyt długo były puszczone na żywioł. Ich matka, a zarazem macocha Issy, Henry'ego i moja, nie dawała sobie rady po śmierci mego ojca, zaniedbała ich edukację, o czym ja i Issy dowiedziałyśmy się później, gdy po jej śmierci bliźniaczki zamieszkały z nami. Teraz Issy usiłuje wpoić im do głów zasady towarzyskiej ogłady, jaka przystoi panienkom.

Zamilkła, zerknąwszy na niego.

Kiwnął głową, lecz zarazem uniósł wysoko brwi. Nie wiedziała, czy to z powodu niesfornych koni, czy też była to reakcja na jej słowa.

Po chwili skierowała spojrzenie przed siebie. Spoglądanie na jego profil, na te twarde rysy i bezkompromisową minę, nie było czynnością, która mogłaby ukoić jej nerwy.

– Pochodzimy z Yorku. Jak już mówiłam, dużo podróżowaliśmy, przez pewien czas mieszkaliśmy w

Leicestershire, zanim podjęłam posady, o których pan czytał w moich listach polecających.

W tym lawirowaniu wokół prawdy kryło się wyzwanie, a nawet dreszczyk emocji.

– Gospoda w Wylands była bardzo ładna. – Zaczęła opowiadać barwną historię dotyczącą rzekomej pracy, wygadując, co jej przyszło do głowy, dla zabicia czasu.

Jonas przestał słuchać. Wiedział, że jej referencje są fałszywe, zatem również te wspomnienia są fikcją. A jednak wyjawiła więcej, niż się spodziewał.

Przypomniał sobie ich wcześniejsze rozmowy i zauważył, że nie zareagowała na jego wzmiankę o Cynsterach. Nie miała żadnej wiedzy o tej rodzinie, co oznaczało, że nigdy nie bywała pośród wyższych sfer. Łącząc to z faktem, że jej ojciec uczęszczał do Pembroke College, Jonas mógł się zorientować, do jakiej społecznej klasy należała, poza tym właśnie powiedziała, że pochodzi z Yorku. Uznał, że to akurat było prawdą.

Oprócz tego, skoro nie wiedziała, że bliźniaczki były pozbawione edukacji, to jej ojciec musiał umrzeć, gdy dziewczynki były małe, miały od siedmiu do dziesięciu lat, a ona od tej pory odgrywała rolę głowy rodziny. Było to widoczne w sposobie, w jaki wyrażała się o siostrach, we wzajemnych relacjach jej i Henry’ego.

Spojrzał na Em przelotnie. Wciąż opowiadała o gospodzie w Wylands. Zaczął się zastanawiać, ile może mieć lat: dwadzieścia cztery albo pięć, najwyżej dwadzieścia sześć, skoro trzecia siostra miała już dwadzieścia trzy. To dojrzałość sprawiała, że wydawała się starsza, dojrzałość nabyta bez wątpienia za sprawą konieczności opiekowania się rodzeństwem od bardzo wczesnej młodości. Poza tym… z pewnością miała doświadczenie w trzymaniu mężczyzn na dystans.

Bariery, które wzniosła w obronie przed nim, były zbyt dobrze wyćwiczone; była zbyt bystrą obserwatorką, w każdej chwili świadomą swoich możliwości.

Z niechęcią myślał o tym, że ona wciąż czuje potrzebę zachowania ostrożności, że z dystansem traktuje mężczyzn,

zwłaszcza jego. Trąciło to utratą niewinności, nie w sensie biblijnym, ale praktycznym, codziennym, czego w myślach żałował.

Jednak nie wiedział, jak, gdzie i dlaczego stała się obiektem niechcianych awansów. Mimo to, z niezrozumiałych dla siebie powodów, poczuł się w obowiązku, by poznać prawdę.

Poczuł się w obowiązku, by… co? Obronić ją?

Ku własnemu zdumieniu wcale nie odrzucił, nie potrafił odrzucić tej myśli, a tym bardziej odczuć, które nim kierowały.

Co sprawiło, że sam również zaczął mieć się na baczności.

Jechali dalej. Mówiła miłym głosem, który brzmiał jak muzyka, prosto do jego ucha, a on zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

Zastanawiał się, czego naprawdę potrzebuje.

I jak to osiągnąć.

Zanim ujrzeli pierwsze zabudowania Colyton, podjął decyzję.

Musiał dowiedzieć się dużo więcej o pannie Emily Beauregard. Musiał uzyskać kilka odpowiedzi, poznać jej tajemnice.

Oczywiście, ona będzie się wzbraniała przed ich odkryciem.

Lecz miał świadomość, że zaburzy jej spokój, grając na ich wzajemnej fizycznej fascynacji.

Z drugiej strony, nie chciał jej utracić jako zarządcy gospody. Zważywszy na to, jak grubym otoczyła się murem, jak silną ma wolę, o czym już zdążył się przekonać, był pewny, że gdyby naciskał zbyt mocno, bez wahania spakowałaby rzeczy i wyjechała.

Opuściłaby i Colyton, i jego, a to wcale mu nie odpowiadało.

Skręcił na podwórze przed gospodą i zatrzymał konie. Wysiadłszy z dwukółki, wbił w Em wzrok, prowokując do tego, by ponownie spróbowała sama zeskoczyć na ziemię.

Czekała, bez zachwytu na twarzy. Dla niego było oczywiste, że szykowała się na to, aby nie pokazać po sobie żadnej reakcji na jego dotyk.

Kiedy się zbliżył, wstała, a on ujął ją w talii i postawił na ziemi.

I wcale nie puścił.

Przynajmniej nie od razu.

Mimo najlepszych chęci nie mógł się oprzeć, by spojrzeć jej w oczy i zobaczyć reakcję, wyczuć wstrzymany oddech.

I przekonać się, że wcale nie jest bardziej odporna od niego na tę chwilową bliskość, nieoczekiwaną falę gorąca.

Powoli nabrał powietrza i zmusił się, aby ją puścić i zrobić krok do tyłu.

Nie odrywając wzroku od jej oczu, skłonił się lekko.

– Mam nadzieję, że to była dla pani miła przejażdżka. Do widzenia, panno Beauregard.

Musiała odchrząknąć.

– Tak, dziękuję. – Skinęła głową. – Przejażdżka była przyjemna. Do widzenia, panie Tallent.

Ponownie kiwnęła głową, po czym odwróciła się i ruszyła ku drzwiom gospody.

Patrzył za nią, aż jej postać zniknęła w mrocznym wnętrzu. W końcu wrócił do koni i wskoczył do dwukółki.

Nie zwlekając, zawrócił i pognał konie kłusem w kierunku Grange.

Skoro nie mógł zbytnio ryzykować i bardziej stanowczo domagać się od panny Emily Beauregard odpowiedzi na liczne pytania, musiał przybrać subtelniejszą taktykę, nie przekraczając granicy jej tolerancji. Co samo w sobie było znakomitym postanowieniem, tylko że z konieczności najpierw musiał dowiedzieć się, gdzie leży ta granica, poza którą ona stawi opór i zacznie walczyć.

Dążąc do celu, z nadzieją, że przypadkowo dokona kolejnych odkryć, wczesnym wieczorem Jonas ponownie udał się do gospody Pod Czerwonym Dzwonkiem.

Kiedy wszedł do środka, stanął jak wryty. Zaskoczony, potrzebował kilku sekund, aby rozeznać się w sytuacji.

Sam fakt, że w gospodzie są goście, nie stanowił niespodzianki, lecz ich liczba i skład przekraczały jego najśmielsze oczekiwania. Uderzył go gwar rozmów, od sufitu co chwilę odbijały się salwy śmiechu.

Wnętrze wyglądało inaczej, jednak nie widział nowych mebli czy dekoracji, których nie byłoby tu wcześniej. Różnica, o dziwo, najwyraźniej była skutkiem generalnych porządków – czyżby w powietrzu wyczuł zapach lawendy? – oraz lepszego rozmieszczenia siedzisk i powrotu na stoły serwet, których nie widział na nich od bardzo dawna.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Doszedł do wniosku, że ta transformacja musiała być już w trakcie realizacji, gdy przywiózł tu Emily po południu; tyle że wtedy był rozkojarzony i nie zwrócił na to uwagi. Poza tym podejrzewał, że odmiana nie była tak wyraźnie widoczna w świetle dziennym, jak teraz, gdy gospodę zalewało ciepłe światło oczyszczonych na błysk i wypolerowanych lamp.

Omiótłwszy wzrokiem barową część sali, bez zdziwienia ujrzał stałych gości – byli wśród nich kowal Thompson, jego brat Oscar, a z Colyton Manor – Covey i Dodswell, stajenny Lucyfera. Oprócz nich zauważył sporo pracowników zatrudnionych w okolicznych majątkach, rolników, ogrodników, a także służących. Niektórzy z nich przybyli nawet z jeszcze bardziej odległych domów niż te, które wymienił w rozmowie z nową gospodynią swojego zajazdu.

Obecnych było także kilku właścicieli domów. Jonas rozpoznał rozmawiających z ożywieniem Henry'ego Grisby i Cedrica Fortemaina oraz popijającego piwo Basila Smolleta, który gawędził z Pommeroyem Fortemainem, młodszym bratem Cedrica.

Mieszkańców wioski reprezentowali Silas Coombe, pan Weatherspoon oraz kilku starszych mężczyzn. Co ciekawe, większość przyszła tu z żonami, które trzymały się blisko mężów, a niewiasty te nie pojawiały się tu od początków kadencji Juggsa, za którym nikt już nie tęsknił.

Jeszcze bardziej zaskakujący był widok sporej gromadki, głównie kobiet, po lewej stronie od drzwi.

Wszystkie wygodniejsze miejsca okazały się zajęte. Wśród obecnych była panna Sweet, niegdyś guwernantka Phyllidy, oraz panna Hellebore, niemal inwalidka, lecz niedościgniona,

jeśli chodzi o ciekawość. Obie zauważyły go i obserwowały, wyraźnie podekscytowane, lecz on zdążył już przywyknąć do spojrzeń ich ptasich oczu.

Kobiety z Highgate i z Dottswood Farm siedziały w małych grupach, szczebiocząc jak sroki.

Jonas rozejrzał się, lecz nie dostrzegł Phyllidy. Nic dziwnego, to pora kolacji Aidana i Evana. Był pewien, że siostra zajrzała tu po południu, lecz ponieważ spędził ten czas z panną Beauregard, mogła się z nim minąć.

Było oczywiste, że wszyscy wpadli tu, aby obejrzeć sobie nową oberżystkę – a jeśli chodzi o kobiety, aby również z nią pokonwersować. Obecnie głos miała lady Fortemain, matka Cedrica. Pochwyciła w swe szpony Emily Beauregard i wcale nie zamierzała tak szybko jej wypuścić, o czym Jonas doskonale wiedział, dobrze znając charakter milady.

Emily uniosła wzrok i zauważyła go, lecz w tym momencie lady Fortemain wyciągnęła rękę i chwyciła ją mocno za nadgarstek, oczekując atencji.

Jonas ocenił, że jego nowa oberżystka może potrzebować pomocy w oswobodzeniu się z tego towarzystwa, więc wolno ruszył w ich stronę.

Em nie musiała patrzeć, aby wiedzieć, że Tallent zbliża się do niej. Zła była na siebie, że ta wiedza sprawia, iż jest w rozterce. Jedna część jej osobowości – a może były to instynkty? – skłaniała ją do zakończenia rozmowy z lady Fortemain, mieszkającej w Ballyclose Manor, i do szukania azylu w kantorze, a jeszcze lepiej w pełnej kobiet kuchni.

Druga jej strona, na szczęście ta lepsza, uparcie sprzeciwiała się okazywaniu słabości. Powinna wytrwać, nie tracić głowy, nie reagować na jego obecność, przynajmniej w widoczny sposób. A przede wszystkim powinna słuchać tego, co mówi lady Fortemain. Z tego, co się dowiedziała, Ballyclose Manor był na pierwszym miejscu listy ich „domu najwyższych”.

Jednak skupienie się na milady nie było takie łatwe, gdy oto pełnym zabójczej gracji krokiem zbliżał się ten niebezpieczny elegant.

Lady Fortemain, wciąż trzymająca w szponiastej dłoni nadgarstek Em, wbiła spojrzenie w jej oczy.

– Moja droga, wiem, że to późne zaproszenie, ale byłabym wniebowzięta, gdyby pani razem z siostrą, a zdaje się, ktoś wspominał, że siostra pani ma dwadzieścia trzy lata…, gdyby pani zgodziła się przyjść na parafialną herbatkę w Ballyclose jutro po południu. – W końcu puściła jej nadgarstek i uśmiechnęła się zachęcająco. – W Ballyclose zawsze czuliśmy się w obowiązku, by organizować takie podwieczorki, a ponieważ moja synowa, obecna pani domu, która powinna osobiście tego doglądać, teraz jest bardzo zajęta będącą w bujnym rozkwicie rodziną, pomagam jej w miarę możliwości. – W jej oczach, wciąż skupionych na twarzy Em, pojawiła się determinacja. – Naprawdę poczytałabym to sobie za honor, gdyby obie panie przyszły.

Em myślała intensywnie, starając się nadać swemu obliczu grzeczny, lecz pozbawiony euforii wyraz. Uczestniczenie w popołudniowych spotkaniach przy herbatce – nawet parafialnych – nie było typowym zajęciem gospodyni zajazdu. Co więcej, Em chciała, aby ich obecność w okolicy jak najmniej rzucała się w oczy, lecz najwidoczniej objęcie funkcji zarządcy gospody nie dało się pogodzić z unikaniem towarzystwa.

Nie miała złudzeń co do powodów, dla których została zaproszona razem z Issy. Z pewnością staną się główną atrakcją towarzyską, przynajmniej do czasu, aż ciekawość miejscowych zostanie w pełni zaspokojona. Mimo tych wszystkich niedogodności dużą rolę odgrywał jeszcze jeden niezaprzeczalny fakt, że z zebranych przez nią do tej pory informacji, zarówno od Tallenta, jak i od paru klientów, należało wnioskować, iż prawdopodobnie właśnie Ballyclose Manor jest miejscem ukrycia skarbu Colytonów.

Musiała się upewnić, czy mają tam piwnice, a przeczucie mówiło jej, że tak. Potem będzie musiała znaleźć sposób, aby je przeszukać.

Taki nieformalny podwieczorek mógł stworzyć doskonałą okazję do kolejnego kroku w ich jakże ważnych poszukiwaniach

skarbu.

W odpowiedzi na słowa lady Fortemain pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Dziękuję pani. W imieniu moim i siostry mogę powiedzieć, że z radością weźmiemy udział w spotkaniu.

– Świetnie! – Lady Fortemain oparła się wygodnie. Była naprawdę uradowana. – A więc o trzeciej. Każdy w wiosce pokaże pani drogę do naszego domu. – Spojrzała ponad lewe ramię Em. – Jonas, mój chłopcze! – Wyciągnęła rękę. – Urządzam parafialną herbatkę. Wiem, że nie ma sensu zapraszać na nią dżentelmenów, ale gdybyś miał ochotę, będziesz bardzo mile widziany.

Uśmiechnął się wyuczonym, kurtuazyjnym uśmiechem, po czym pochylił głowę nad przyozdobioną licznymi pierścieniami dłonią milady.

– Będę o tym pamiętał, madame.

Zwłaszcza że miała tam być jego oberżystka.

– Proszę wybaczyć – powiedziała Em, składając grzeczny ukłon w kierunku lady Fortemain. Kiwnęła głową także Jonasowi i odeszła.

On wymienił jeszcze kilka zdawkowych uprzejmości z milady i ruszył śladem Emily.

Oczywiście próbowała go zniechęcić, podchodząc po kolei do każdej grupki kobiet. Z tymi jasnobrązowymi włosami, orzechowymi oczami i brązową suknią przypominała mu wróbliczkę, która zapewne widziała w nim jastrzębia.

Uśmiechając się do siebie, szedł jej śladem. Był właścicielem zajazdu, więc raczej nie mogła przed nim uciekać, lecz jeśli miała nadzieję, że na swoim terenie okaże się niezgrabny czy niezręczny, bardzo się myliła. To była jego wioska, tu się urodził i spędził większość życia. Wszystkie okoliczne kobiety znały go, a fakt, że niedawno wrócił po kilkuletnim pobycie w Londynie, czynił go jeszcze bardziej interesującym, szczególnie pośród przedstawicielek płci niewieściej. Tylko czekały, aby nawiązać z nim rozmowę, gdy chodził po sali.

Ze względu na jego i Emily powściągliwe zachowanie oraz liczebność zgromadzonych w gospodzie wątpił, by jego gonitwa za panną Beauregard była widoczna, nawet dla tak wytrawnych obserwatorek jak Sweetie i panna Hellebore. Wokół panował zbyt duży gwar, zbyt wiele się działo, aby ktokolwiek zadawał sobie trud śledzenia ich dłużej niż kilka sekund.

Minęła dziewiąta, część gości zdążyła już wyjść, lecz w tym samym czasie przybyli nowi. Sala była niemal pełna. Em czuła się usatysfakcjonowana.

Jej prześladowca w końcu przeszedł w stronę baru. Poruszał się tak, jak przystało na właściciela tego przybytku. Czując mieszaninę ulgi i rozczarowania – jej emocje najwyraźniej oszalały – skorzystała z okazji i wymknęła się przez kuchnię, gdzie spytała Issy i Henry'ego, czy położyli bliźniaczki spać, a następnie wyszła na krótki korytarz przed kantorem, aby ocenić wzrokiem gości kłębiących się przed barem.

Wcześniej, gdy wróciła z Seatom, Issy powiadomiła ją o małym sukcesie. Razem z Hildą zdecydowały się zrobić gorące babeczki i włączyć je do popołudniowego menu. Zrobiły takie zwykłe, z dżemem malinowym i śmietaną, a także z rodzynkami. Wystawiły je na ladę o drugiej.

A po dwóch godzinach nie została już ani jedna. Kobieta pomagająca w probostwie kupiła pół tuzina dla wielebnego Filinga oraz tuzin dla swojej rodziny. Inni przechodnie wyczuli apetyczny zapach i wchodzili do gospody, aby kupić dwie czy trzy sztuki. Pokojówka panny Hellebore przybiegła i nabyła kilka babeczek na podwieczorek dla swojej pani; podobno kuszące zapachy z kuchni zajazdu docierały do okolicznych domów, aż panna Hellebore poczuła, jak cieknie jej ślinka na widok tych pyszności.

Kiedy Em usłyszała tę relację, zarządziła zrobienie paszteciков na lunch. Issy i Hilda się z tym zgodziły.

Em omiotła wzrokiem mężczyzn stłoczonych przy barze, siedzących przy stołach, opartych o ściany. Nieliczna załoga kuchni przygotowała dla wieczornych gości baru paszteciki i kanapki, pożywne, a zarazem delikatne, jednak trudno było

stwierdzić, które cieszyły się większą popularnością, gdyż jakiś czas temu wszystkie zostały skonsumowane.

Pomimo tego, że wioska była niewielka, gospoda mogła z powodzeniem zaoferować dania obiadowe. Powoli rozglądając się po sali, Em układała w myślach menu złożone z najbardziej odpowiednich dań, gdy nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie widzi jednej osoby. Popatrzyła jeszcze raz, a potem – przekonana, że w głębokim cieniu jest zupełnie niewidoczna – wspięła się na palcach… lecz mimo to nigdzie nie była w stanie dostrzec Jonasa.

Z pewnością wyszedł.

Poczuła się bardzo zawiedziona. Nie oczekiwała, że okaże jej trochę uwagi, przynajmniej nie jako kobiecie, lecz przecież mógł chociaż pochwalić ją za korzystne zmiany wprowadzone w gospodzie, nie mówiąc o znacznym przyroście liczby klientów, co zostało potwierdzone przez Edgara i Ostlera. Widocznie nie uznał za właściwe skomentować tego faktu.

– W samotności napawa się pani swoim triumfem?

Wyszeptane jednym tchnieniem słowa wpadły do jej ucha; poczuła ciepło na karku, drżenie.

Odwróciła się gwałtownie. Stał w drzwiach do kantoru, opierał się barkiem o futrynę.

Oddalony od niej o całe piętnaście centymetrów.

Spojrzała na niego wilkiem.

W półmroku ujrzała, jak uśmiechnął się leniwie.

– Należy pani pogratulować, panno Beauregard. – Spojrzał ponad nią na pełen ludzi bar. – Te ściany nie widziały tylu gości od ponad dziesięciu lat.

Przeniósł wzrok na Em. Wyczuła w jego głosie szczerość, więc gorączkowo szukała odpowiednich słów, aby dać mu jakąś dowcipną odpowiedź.

Chciała podziękować, powiedzieć, że przekaże jego gratulacje pracownikom. Tymczasem nie mogła oderwać wzroku od jego oczu, poczuła się otulona jego ciepłym spojrzeniem, a wyszeptane słowa wydawały się zbyt osobiste, zbyt prywatne, aby odpowiedzieć na nie w formalny sposób.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że nie może oddychać. Trzeba było też chwili, by zrozumiała, że stoją tam razem, w ciemności, blisko, a zarazem jedynie kilka metrów od tłumu gości w barze. Mimo to byli jakby sami, niewidzialni, niewidoczni dla innych.

Zrozumiała, że on poświęca jej całą swoją uwagę.

Że ona wszystkimi zmysłami ogarnia tylko jego.

Że ma gorące, niemal pulsujące usta.

Tymczasem on przymknął powieki i zwężonymi w szparki oczami spojrzał na jej wargi.

Które zaczęły pulsować jeszcze mocniej.

Słyszała bicie swego serca, miała go tak blisko, w zasięgu ręki…

Wtem on westchnął cicho, niemal bezgłośnie, wyprostował się i powoli uniósł głowę, aż ich spojrzenia spotkały się.

Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu.

– Dobranoc, panno Beauregard – powiedział głębokim, lekko chropawym głosem.

Cofnął się, ustąpił z wejścia do kantoru i poszedł w kierunku kuchni.

Po chwili znikł w ciemności.

– Słodkich snów.

Rozdział 4

– No cóż. – Em stała, spoglądając na frontową fasadę Ballyclose Manor. – To może być ten nasz „dom najwyższych”.

Dwór był w istocie dość nijaki, nawet trudno było określić jego wiek, jednak unosząca się wokół aura wysokiej społecznej pozycji oraz nieprzerwany strumień kobiet, od czasu do czasu również mężczyzn, którzy w odświętnych strojach – mimo że to środowe popołudnie – przybywali tu pieszo i w powozach, sugerowały, iż Ballyclose to bezsprzecznie bardzo znaczący dom w tej okolicy.

Issy, która z równą uwagą przyglądała się budynkowi, skinęła głową.

– Musimy przeszukać ich piwnice.

– Najpierw musimy potwierdzić, że w ogóle są tu piwnice, a potem dowiedzieć się, gdzie dokładnie się znajdują. – Bardzo zdeterminowana Em ruszyła ku frontowym drzwiom. Pod jej stopami chrzęścił żwir. – Jeśli dzisiaj nam się to uda, będę bardzo zadowolona. – Zerknęła na Issy, po czym obie zaczęły wchodzić po stopniach. – Tak samo jak nasze bliźniaczki, nie mogę się doczekać, aby znaleźć skarb, lecz teraz, gdy mamy już zapewnione mieszkanie w gospodzie, nie musimy się tak bardzo śpieszyć i podejmować niepotrzebnego ryzyka.

Issy przytaknęła ruchem głowy.

Doszedłszy do portyku, zgodnie z obyczajem stanęły na końcu kolejki osób, które wchodziły do domu. Em ubrała się w jasnozieloną suknię z pojedynczymi falbanami pod szyją oraz przy rękawach. Przywdziała też ciemnozielony spencer z satynowymi tasiemkami, który chronił ją przed październikowym chłodem. W odróżnieniu od niej Issy była jak zjawisko w błękicie: miała na sobie prostą suknię, idealnie

pasującą do jej smukłej figury. Obdarzona jasnymi, kręcącymi się włosami, niebieskimi oczami i łagodniejszą naturą, bardziej przyciągała uwagę. Em właśnie na to liczyła, dzięki temu będzie miała więcej swobody.

Elegancki, nieco wyniosły kamerdyner czekał tuż za drzwiami, kierując gości do salonu, który ciągnął się wzdłuż jednego skrzydła domu. Mając u boku Issy, Em wkroczyła do pokoju tuż za plecami panny Hellebore. Starsza dama nie mogła przemieszczać się daleko ani szybko, lecz wciąż była niezwykle żwawa, miała bystry wzrok i chętnie nastawiała ucha. Em wykorzystała chwilę, gdy panna Hellebore witała się z panem Filingiem i została powitana przez lady Fortemain, aby przyjrzeć się towarzyszkom starszej damy.

Panna Sweet, delikatna, podekscytowana duszyczka o twarzy i uśmiechu równie słodkim co jej nazwisko, stała obok panny Hellebore, dając jej oparcie. Towarzyszyła im dama o ciemnobrązowych włosach, pewna siebie i bezpośrednia w obyciu, o bardzo znajomych rysach twarzy. Em wcale nie była zaskoczona, gdy usłyszała, jak lady Fortemain zwraca się do niej: „droga Phyllido”.

Bliźniacza siostra Jonasa Tallenta przywitała się z lady Fortemain delikatnym uściskiem dłoni, po czym stanowczym ruchem skierowała pannę Sweet i pannę Hellebore do szezlongu stojącego na środku długiej sali. Żony farmerów, różnej maści ziemianie stali tu i tam w małych grupach, gawędząc. Popijali z delikatnych filiżanek, które roznosiła niewielka armia lokajów.

Em przywołała na usta uśmiech i z wyciągniętą ręką podeszła do wikariusza.

– Dzień dobry, panie Filing.

Jego sztuczny uśmiech złagodniał. Uścisnął jej dłoń.

– Panno Beauregard, jakże się cieszę, że panią widzę. Muszę pani pogratulować pracowitego brata. To niezwykle pilny uczeń, prowadzenie jego edukacji będzie dla mnie przyjemnością.

– Dziękuję. Jestem bardzo rada, że Henry znalazł tak mądrego nauczyciela, w którego obecności czuje się nieskrępowany. – Z uprzejmym ukłonem Em odwróciła się do lady Fortemain i dygnęła z szacunkiem. – Pani, jestem wdzięczna za zaproszenie. – Płynnym ruchem odwróciła się tym razem do Issy. – Proszę pozwolić, że przedstawię moją siostrę, Isobel.

Issy, która już zdążyła przedstawić się i podać dłoń Filingowi, zarumieniła się lekko, cofając rękę. Przeniosła wzrok na panią domu i również złożyła jej dworski ukłon.

– Lady Fortemain. To dla mnie prawdziwa przyjemność.

Tymczasem lady Fortemain uniosła nieco powieki, spoglądając to na Filinga, to na Issy. Po chwili rozpromieniła się.

– Moja droga, z prawdziwą radością witamy was obie w naszej wiosce. – Machnęła ręką. – Proszę, wchodźcie. Zaraz albo ja, albo pan Filing przedstawimy was reszcie, chociaż śmiem twierdzić, że znacie już większość obecnych. Szybko się przekonacie, że na tych spotkaniach nie przywiązujemy zbytnio wagi do ceremoniałów.

Chwilowo zostawione samym sobie Em i Issy z miłymi uśmiechami na ustach weszły w głąb salonu. Issy nie spojrzała za siebie, lecz uczyniła to Em, i akurat wtedy ujrzała, jak lady Fortemain przywołuje przypatrującego się Issy Filinga, aby wywiązał się z obowiązku powitania kolejnych parafian.

Emily zerknęła na siostrę, której delikatny rumieniec powoli ustępował. Zastanowiła się. Filing miał niewiele ponad trzydzieści lat, więc był zbyt stary na szczenięcą miłość, którą czasami wzbudzała Issy. Lecz Em wiedziała, że lepiej powstrzymać się od komentarza – widać było, że jej siostra spostrzegła zainteresowanie ze strony wikarego i sama zdecyduje, jak zareagować. Pomimo delikatnych rysów twarzy w jej żyłach krążyła krew Colytonów, więc potrafiła być uparta jak osioł, jeśli nie bardziej.

Mimo wszystko Em nie pamiętała, by jakikolwiek inny mężczyzna wywołał taki rumieniec na policzkach Issy.

Część innych gości poznały poprzedniego dnia w gospodzie; niespeszone przechadzały się po sali, rozmawiały, zapoznawały się z innymi osobami, uczyły się ich nazwisk, poznawały pozycję w miejscowej społeczności.

Spotkanie obejmowało szerokie spektrum klas społecznych, od pani tego domu po żony farmerów, tak więc obecność oberżystki i jej siostry nie wzbudzała zdziwienia. Chociaż Em jako zarządca gospody nie oczekiwała uczestnictwa w takich spotkaniach, jej wahanie w chwili przyjmowania zaproszenia nie wynikało z niepokoju, że ona i Issy będą się tu czuły nieswojo, lecz raczej z obaw, że w takim środowisku ich blask będzie w nieunikniony sposób rzucał się w oczy. Obie śmiało spacerowały po salonie, przyjęły po filiżance herbaty, wymieniały zdawkowe grzeczności; towarzyskie obycie miały we krwi, a żadna z nich nie była szczególnie dobrą aktorką.

Em już wcześniej pogodziła się z myślą, że nie może udawać, musi być sobą. Miała nadzieję, że bardziej uważni obserwatorzy – wśród których z pewnością była Phyllida Cynster – dojdą do wniosku, iż obie siostry pochodzą z ziemiańskiej rodziny, tyle że nie sprzyjała im fortuna.

Co było mniej więcej zgodne z prawdą, przynajmniej na razie.

Razem z Issy stwierdziły, że przyznanie się do takiego pochodzenia będzie najlepszą taktyką. Większość osób była zbyt grzeczna, by zadawać bardziej dociekliwe pytania.

Jednak w tak małej społeczności szlacheckie pochodzenie miało swoją wagę, bez względu na trudną sytuację finansową szlachty.

Z pewnością właśnie takie było nastawienie Pommeroya Fortemaina, gdy zjawił się u boku Em.

– Droga panno Beauregard, proszę pozwolić, że się przedstawię. Pommeroy Fortemain, do usług. – Zakończył prezentację zamaszystym ukłonem.

Chociaż wcale nie był stary – miał mniej więcej tyle lat co Tallent – Pommeroy Fortemain był na dobrej drodze do wypracowania sobie wizerunku zażywnego mężczyzny. Jego upodobanie do szykownych pasiastych kamizelek z

błyszczącymi guzikami nie przyczyniało się do ukrycia coraz bardziej pokaźnej tuszy. Jednak poza tą krzykliwą elegancją jego wygląd niczym się nie wyróżniał; był człowiekiem małego formatu w porównaniu ze starszym bratem, Cedrikiem. Em odczekała, aż Pommeroy wyprostuje się, po czym sama skłoniła lekko głowę i podała mu dłoń.

– Witam pana. – Chwilę wcześniej rozdzieliły się z Issy, więc gdy teraz odeszła od grupki żon farmerów, przez moment była sama. Ciekawa tego, czego mogłaby się dowiedzieć od syna pani domu, oswobodziła rękę z jego nadmiernie entuzjastycznego uścisku.

– Proszę mi powiedzieć, czy słusznie domniemywam, że to pański brat jest właścicielem tego majątku.

– Tak jest. To Cedric.

Poznała go poprzedniego wieczoru w gospodzie.

– Jest ode mnie starszy – trajkotał dalej. – Dzisiaj będzie nieobecny, zaszył się w gabinecie zajęty bieżącymi sprawami majątku. – Ton Pommeroya sugerował, że brat z rozkoszą powierzył mu honory gospodarza. – Zawsze pomagam mamie w przyjmowaniu gości. – Rozejrzał się. – Prawdę mówiąc, nie ma tu wiele więcej do roboty.

Em nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy też zrobić obrażoną minę. W końcu nie zareagowała, było jasne bowiem, że nie miał na myśli niczego złego.

– Czy tutaj pan dorastał, w tej części kraju?

– Tak, tu zawsze był mój dom. Fortemainowie mieszkają w Ballyclose od… – pomyślał chwilę i jakby lekko się zdziwił. – Nie wiem, od kiedy.

– Naprawdę? – Wcale nie musiała udawać zainteresowania. Potwierdzało się, że Ballyclose Manor to właśnie ten dom, którego szukają. Ostentacyjnie rozejrzała się dookoła, ogarniając wzrokiem długą salę. – Czy to duży dom?

Wzruszył ramionami.

– Taki sobie. Nie tak duży, jak inne.

– A w najbliższej okolicy?

Zastanowił się, po czym kiwnął głową.

– Zapewne jest największy. – Wpatrywał się w jej twarz. – Ale dosyć już o tej starej ruderze. Co sprowadziło panią i pani rodzinę do Colyton?

Uśmiechnęła się nieco ściśniętymi ustami.

– Przyjechaliśmy, żeby objąć zarządzanie gospodą. Przeczytałam ogłoszenie w Axminster.

– Więc stamtąd pochodzicie?

– Byliśmy tam od niedawna. – Nie chciała mówić nic więcej, nie widziała powodu, by zaspokoić ciekawość malującą się w oczach Pommeroya. Miała silne przeświadczenie, że jest on jednym z tych mężczyzn, którzy uwielbiają plotki. Jego matka bez wątpienia miała tę cechę, a on wydawał się być jej nieodrodnym synem.

Ku jej zaskoczeniu, nachylił się, patrząc jej uważnie prosto w oczy.

– Może mógłbym zabrać panią na przejażdżkę po okolicy? Zobaczyłaby pani różne ciekawe miejsca.

Zrobiła żałosną minkę.

– Przykro mi, ale jestem oberżystką i w związku z tym muszę dopilnować gospody. – Cofnęła się, szykując do odwrotu.

– Ale tak naprawdę jest pani zarządcą. Nie musi pani sama wykonywać pracy, mówi pani innym, co robić.

W istocie, miał sporo racji, lecz nie zamierzała wdawać się w dyskusję na temat swoich obowiązków, przynajmniej nie z nim. Szukała właściwych słów, aby go odwieść od przekonania, że dysponuje czasem, który mogłaby zmarnować w jego towarzystwie, gdy nagle wyczuła za plecami czyjąś obecność.

Nie czyjąś. Obecność swojego pracodawcy.

Poczuła na plecach znajomy dreszcz.

Z trudem łapiąc powietrze, odwróciła się.

– Panno Beauregard. – Jonas uśmiechnął się, spoglądając w jej szeroko otwarte, orzechowe oczy. Skłonił się lekko. Jego oberżystka wyglądała niezwykle uroczo, zupełnie nie jak oberżystka. – Proszę pozwolić, że przedstawię pani moją siostrę, Phyllidę Cynster.

Phyllida wysunęła rękę spod jego ramienia i zrobiła krok do przodu, przyciągając spojrzenie Emily. Wysunęła na powitanie dłoń, którą Emily delikatnie ujęła koniuszkami palców.

– Miło mi panią poznać, panno Beauregard. Mamy wielkie nadzieje, że pod pani zarządem zajazd ponownie stanie się miejscem przyciągającym wszystkich mieszkańców.

Oberżystka Jonasa stanęła na wysokości zadania i taktownie skłoniła głowę.

– Dziękuję, pani Cynster. To właśnie jest moją ambicją. Mam nadzieję, że miejscowe panie pomogą mi określić, które zmiany są trafione, a jakich jeszcze brakuje.

Phyllida się uśmiechnęła.

– Z tego, co słyszałam, już pomysł z babeczkami okazał się strzałem w dziesiątkę.

Emily zrewanżowała się uśmiechem.

– Odpowiednie jedzenie, odpowiednia atmosfera…

– W rzeczy samej. – Phyllida żywo pokiwała głową. – Jeśli uda się to zapewnić, klienci na pewno dopiszą. Szkoda, że minęłyśmy się wczoraj po południu. Wpadłam do gospody, ale rozumiem, że – zerknęła na Jonasa – mój brat zawiózł panią do Seaton i poznał z Finchem.

Wzruszył ramionami.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić, zważywszy na to, że panna Beauregard musi składać zamówienia u Fincha.

Wyczuwając milczącą krytykę – chociaż nie wiadomo, co było jej powodem – Em pośpieszyła z wyjaśnieniem:

– Byłam bardzo wdzięczna, że pan Tallent znalazł czas, aby zawieźć mnie do Seaton. Osobiste spotkanie z dostawcą pomaga uniknąć niepotrzebnych nieporozumień.

Phyllida otaksowała ją spojrzeniem ciemnobrązowych oczu, równie nieprzeniknionych jak oczy jej brata. W końcu poddała się.

– Jeśli chodzi o Fincha, to pewnie prawda. Jest przystępny, kiedy pozna kogoś osobiście, ale gdy nie zna osoby, potrafi być zamknięty w sobie. – Ponownie zerknęła na brata. – Cieszę się, że tak poważnie podchodzisz do swoich obowiązków, braciszku.

Jonas zrobił niezadowoloną minę, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, dołączyła do nich inna para.

Em z uśmiechem przebrnęła przez kolejne zapoznanie, zmuszając się do skupienia myśli, zapanowania nad zmysłami. Nie mogła dopuścić, aby obecny tuż obok mężczyzna rozpraszał jej uwagę. Stojący z drugiej strony Pommeroy Fortemain nie absorbował jej uwagi, lecz Jonas Tallent działał na jej zmysły w sposób niedający się ignorować.

Było to irytujące, wywoływało lekki niepokój. Jej nieprzerwana – a mówiąc prawdę, rosnąca – obsesja na punkcie Jonasa Tallenta zaczynała wywoływać w niej lęk. Nie przed nim, lecz przed sobą.

A to była dla niej zupełnie nowa sytuacja.

Po tym prawie pocałunku, pocałunku, do którego nie doszło wczoraj wieczorem w mrocznym korytarzu gospody, wcale nie była pewna, co może się zdarzyć następnym razem. Co ona mogłaby uczynić, gdyby on ponownie sprowokował jej zmysły.

Kiedy do ich kółka dołączyły kolejne trzy osoby, rozpraszając uwagę obecnych, Em skorzystała z okazji: cichym głosem przeprosiła towarzystwo i wycofała się. Nikt jej nie usłyszał, nikt inny nie zauważył, lecz gdy się odwróciła, Jonas skierował spojrzenie w jej stronę. Wydawało się, że ruszy jej śladem, lecz właśnie w tym momencie siostra zadała mu jakieś pytanie, więc to na niej musiał skupić uwagę.

Em wymknęła się, sunąc między grupami gości, aż oddaliła się od swojego pracodawcy na odległość równą niemalże długości sali.

W tym ostatnim szybkim spojrzeniu dostrzegła coś, jakiś zamysł, który wywołał w niej chęć ucieczki. Przypomniała sobie, że lady Fortemain nie oczekiwała Jonasa na przyjęciu, więc dlaczego tu przyszedł? Tylko po to, aby ją prześladować?

– Bzdura – mruknęła. Stając z boku, kosmiczną siłą zmusiła się do tego, by nie myśleć dłużej o Jonasie Tallencie. Myśli skierowała ku głównej przyczynie swojej obecności w tym domu – odnalezieniu dawno ukrytego rodzinnego skarbu.

Postanowiła dowiedzieć się, czy w Ballyclose Manor są piwnice.

Rozejrzała się. Tłum nie był aż tak gęsty, więc odnalezienie Issy nie okazało się trudne.

Trudność stanowił fakt, że był z nią pan Filing.

Co więcej, Em zaobserwowała, że zarumieniona Issy również jest z panem Filingiem. Mówiła do niego, rozmawiała z nim, a nie tylko wymieniała grzecznościowe formułki. Stali pośrodku salonu i wydawało się, że poza sobą nie widzą nikogo więcej.

Kiedy Em przyglądała się tej parze, jedna z miejscowych matron odeszła od pobliskiej grupy osób, rozejrzała się, a spostrzegłszy Filinga z Issy, ruszyła w ich kierunku, najwyraźniej pragnąc do nich dołączyć.

W pewnym momencie zwolniła, stanęła, spojrzała na nich przenikliwie, a po chwili, unosząc lekko brwi, z nieznacznym uśmieszkiem na ustach zmieniła kierunek i podeszła do innej grupy.

Pozostawiwszy Issy i Filinga zaabsorbowanych poważną rozmową.

Bardzo ciekawe. A nawet pokrzepiające. Ale…

Em znowu się rozejrzała. Plan miała taki, że razem z Issy poszukają piwnicy. Issy miała baczyć na ewentualnych intruzów. Lecz skoro wikary ani na sekundę nie spuszczał z niej wzroku, Em zdecydowała, że odciąganie siostry i wspólne penetrowanie domu nie jest mądrym rozwiązaniem. Przypuszczała, że Filing będzie obserwował Issy, nawet podczas rozmowy z innymi osobami.

Jednak znajdowali się wewnątrz Ballyclose Manor, nie chciała przepuścić takiej okazji. Kto wie, kiedy się nadarzy kolejna sposobność?

Nie było powodu, dla którego nie miałaby poszukać piwnicy sama, bez pomocy wskazujących drogę lokajów, którzy nieustannie krążyli po salonie z talerzami pełnymi ciastek i chwiejnymi imbrykami na tacach.

Drzwi do piwnicy znajdowały się zapewne niedaleko kuchni.

Kiedy jeden z lokajów z pustą tacą wyszedł przez pobliskie drzwi, ruszyła za nim.

Za drzwiami znajdował się niewielki korytarz. Em pobiegła truchtem, aby nie stracić z oczu idącego żwawo lokaja – na szczęście odgłos jej kroków tłumił gruby chodnik. Mężczyzna nie skierował się do frontowego holu, nie przeszedł przez obite zielonym suknem drzwi na jego końcu, lecz coraz węższymi korytarzami szedł w głąb domu.

Zmierzała jego śladem, świadoma, że w każdej chwili inny lokaj lub pokojówka mogą się pojawić tuż za nią lub przed nią, idąc w przeciwnym kierunku. Gdyby została zauważona, powiedziałaby, że straciła orientację a potem ruszyła za lokajem, zakładając, że ten zaprowadzi ją z powrotem do salonu.

Okazało się, że jej aktorskie umiejętności nie zostały poddane testowi. Mężczyzna skręcił gdzieś ostatni raz w bok, a podążająca za nim Em nagle znalazła się na szczycie kamiennych schodków, które zbiegały stromo w dół do podestu i dalej skręcały w lewo, ginąc z pola widzenia.

Drzwi na podeście, naprzeciwko schodów, stały otworem, a za nimi widać było spiżarnię. Sądząc z kakofonii dźwięków, które rozchodziły się wzdłuż pochyłego korytarza, schody prowadziły prosto do kuchni.

– No, nie bądź gamoniem! Wytrzyj tę tacę jak należy, zanim weźmiesz ją na górę. Pani urwie mi głowę, jeśli zaniesiesz do gości tacę ze smugami po śmietanie.

W odpowiedzi rozległo się burkliwe gderanie. Em nie czekała, aby usłyszeć, co było dalej. Cofnęła się i poszła korytarzem. Na jego końcu znajdowały się wąskie drzwi, za którymi widać było podwórze. Em musiała umieścić kuchnię na tworzonym w myślach planie domu, a najłatwiej mogła osiągnąć cel poprzez oględziny z zewnątrz tego skrzydła budynku.

Doszedłszy do drzwi, wyjrzała na dwór, lecz zobaczyła niewiele, gdyż podwórze było wąskie, co znacznie ograniczało pole widzenia. Chwyciła gałkę u drzwi i obróciła ją. Miała szczęście – rozległ się cichy szczęk i po chwili Em wyszła na

zewnątrz. Gdy pobieżnie rozejrzała się dookoła i upewniła, że podwórze jest puste, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Było prostokątne, otoczone z trzech stron murem z szarego kamienia. Rabatki wzdłuż ściany obsadzono pnącymi roślinami, których długie pędy pełzły po murach. Otwarta strona podwórza znajdowała się na lewo od drzwi. Szybkie spojrzenie wystarczyło, by Em z uśmiechem ruszyła pośpiesznie w tamtym kierunku.

Na skraju wybrukowanej nawierzchni zatrzymała się w cieniu rzucanym przez ścianę koło narożnika podwórza. Ogród kuchenny był poniżej – rozciągał się na dolnym poziomie. Widać było równe rzędy warzyw, zioła i przyprawy rozsiane w donicach i przy ścieżkach.

Kamienne schody prowadziły na dół: stając na pierwszym z nich, wyjrzała poza narożnik budynku i ujrzała pomieszczenie, które wyglądało na pralnię – w postaci przybudówki do tylnej ściany domu. Tuż obok znajdowały się nieco większe drzwi osłonięte gankiem – zapewne tylne wejście do kuchni. Jej uwagę przyciągnęły jednak inne, niskie drzwi, wbudowane w ścianę w połowie odległości między podwórzem a tylnym wyjściem.

To musiały być drzwi do piwnicy.

Obejrzała je uważnie, potem omiotła wzrokiem tylna fasadę domu, następnie najbliższe ogrody, zapamiętując położenie drzew jako punktów orientacyjnych.

W końcu ponownie spojrzała na drzwi do piwnicy. Były solidne, na środku miały małą grubą szybkę, lecz z miejsca, w którym teraz stała, nie mogła zobaczyć nic więcej.

Zastanawiała się, czy podejść i zerknąć do środka, aby potwierdzić, że to faktycznie wejście do piwnicy, chociaż istniało pewne ryzyko, że nagle ktoś wyjdzie z kuchni i ją zobaczy. Wtem poczuła na plecach znajome mrowienie.

Odwróciła się gwałtownie i zrobiła krok do góry, z powrotem na podwórze – i prawie wpadła na ścianę.

Umięśnioną ścianę w osobie Jonasa Tallenta.

Serce Em nie tyle drgnęło, co wykonało pełne salto. Instynktownie nabrała powietrza, które uwięzło w jej piersi, co

nie ułatwiało sytuacji.

Z otwartymi szeroko oczami cofnęła się szybko.

– Co pan tu robi? – wykrztusiła, niemal zapiszczała.

Przełknęła ślinę, usiłując uspokoić rozdygotane serce. Starała się zignorować falę kuszącego ciepła, które zaczęło ją otulać.

Jak udało mu się podejść tak blisko? Jak to możliwe, że go nie zauważyła? Zdała sobie sprawę z tego, że on tam jest, ale o wiele za późno. Dlaczego otumanione zmysły nie wyczuły go, nie ostrzegły jej, skoro do tej pory bez pudła reagowały na jego bliskość w innych sytuacjach? Dlaczego…?

Była roztrzęsiona. Znowu nabrała głęboko powietrza, zatrzymała je w płucach i z wysiłkiem zrobiła zdziwioną minę.

Zbyt późno przypomniała sobie, że nie powinna patrzeć mu prosto w oczy, w ich niezgłębione, fascynujące czeluści… w które właśnie wpadła – i od których nie mogła się uwolnić.

Uniósł lekko brwi.

– Właśnie miałem zamiar zadać pani to samo pytanie.

Zamrugała. Jakie pytanie? Stał ledwie pół kroku od niej, wysoki i dominujący, a ona niemal zapomniała, jak się nazywa.

Wykrzywił usta.

– Co pani tu robi?

W tych gładko wypowiedzianych słowach zadźwięczała chłodna stal, na tyle wyczuwalna, by zadziałał instynkt Em i pchnął ją do działania. Wyzwoliła się spod jego uroku, zmrużyła oczy.

– Czy pan mnie śledzi?

W tonie tego pytania zabrzmiało oskarżenie. Jonas uniósł brwi.

– Tak. – Nie odrywał wzroku od jej oczu, po czym wyciągnął rękę i palcem odsunął lśniący brązowy kosmyk, który opadł na jej skroń. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak stłumiła reakcję, która przeniknęła ją do szpiku kości.

Cały czas miażdżył ją wzrokiem swych brązowych oczu, w których rozbłyskiwały złociste iskry.

– Więc powie mi pani, czego tutaj szuka?

Tym razem jej oczy zapłonęły gniewem.

– Nie! – Ściągnęła usta w wąską linię. – Niczego nie szukam – powiedziała cicho. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

Westchnął w duchu. Do tej pory próbował być subtelny, ale to okazało się nieskuteczne. Próbował być powściągliwy – nawet nie wiedział, że ma tyle samozaparcia, aby ustąpić jej pola poprzedniego wieczoru. A potem, czemu być może nie powinien się dziwić, pojawiła się w jego snach, nie pozwalając na odpoczynek.

A teraz była tutaj, niezmiennie dając mu odpór.

Nawet jeśli była rozdygotana świadomością jego obecności.

Świadomością, która z kolei działała także na niego. Być może…

Z melodramatycznym westchnieniem wyciągnął ręce, położył je na ramionach Em i przyciągnął ją ku sobie. Wydała zduszony pisk. Zabrał dłonie, ale tylko po to, aby zaraz objąć ją i spleść ręce za jej plecami, skutecznie ją unieruchamiając.

Nie przyciskał jej do siebie, chociaż z trudem powstrzymywał instynkt.

Zamiast z nim walczyć, wyrywać się, stawiać opór, Em znieruchomiała. Przestała oddychać.

Wciąż obejmował ją w talii, a teraz uśmiechnął się znacząco, patrząc prosto w jej szeroko otwarte, zdumione oczy.

– Nie puszczę dopóty, dopóki mi pani wszystkiego nie opowie. Dopóty pani nie wyzna, co was sprowadza do Colyton, a mam silne przeświadczenie, że właśnie tego pani tutaj szuka. – Uniósł brwi. – Czy mam rację?

Zajrzała mu głęboko w oczy. Instynktownie uniosła ręce, lecz nie wiedziała, co ma z nimi zrobić, więc wisiały w powietrzu między nimi na wysokości jego piersi. Zobaczył, że skierowała wzrok na jego usta.

Wessał powietrze przez lekko rozchylone wargi. Był świadomy destrukcyjnego efektu, jaki wywierała na niego nie tylko jej widoczna fascynacja jego ustami, ale też cielesna bliskość i bardzo subtelny aromat jej włosów.

Lecz teraz zaciskał zęby i czekał.

Żywił nadzieję, że ona niebawem pęknie, odpowie mu, a tym samym ocali ich oboje.

W końcu odezwał się cichym, zbliżonym do chropowatego szeptu głosem:

– Emily… powiedz mi, a wtedy cię puszczę.

Usłyszała go, lecz nie umiała skupić się na tych słowach, gdyż była pochłonięta obserwowaniem ruchu jego warg.

Patrzyła, jak zaciska usta, potem rozluźnia je i znowu wypowiada jej imię, tym razem mniej proszącym tonem… i nagle zrozumiała.

W tę grę można grać we dwoje, grę, którą on rozpoczął, i którą podjął wczorajszego wieczoru w gospodzie.

Z jednej strony, wiedziała, że powinna walczyć, oprzeć ręce na piersi Jonasa i odepchnąć go.

Jednak przeważyła zupełnie inna koncepcja.

Położyła dłonie na jego ramionach, w ten sposób łapiąc równowagę. Wspięła się na palce… i dotknęła ustami jego ust.

Pocałowała go. Tylko pocałunek, taki lekki, wystarczający, aby go kompletnie zaskoczyć i powstrzymać od zadawania pytań, co ona tu robi.

Tylko szybki pocałunek – teraz bowiem wiedziała, że działa na niego tak samo, jak on na nią, a jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiej pokusy, jak teraz.

Nigdy nie była ciekawa, nie chciała wiedzieć, zrozumieć, dlaczego mężczyzna jej pragnie. Lecz Jonas Tallent był inny. Tym razem musiała to wiedzieć.

Odwrócenie jego uwagi od poszukiwań było dla niej tylko wymówką, lecz, tak jak w przypadku wszystkich Colytonów, odkrywanie i badanie – wkraczanie na nieznane obszary z lekkomyślną pasją – stanowiło jej prawdziwy motyw.

Odkrywaniu i badaniu poświęciła się teraz całkowicie. Miał chłodne, jędrne wargi, twardsze od jej ust. Doznany szok sprawił, że znieruchomiał, przestał poruszać ustami, które nie stawiały oporu, gdy badała je swoimi.

Krótko. Wiedziała, że musi odstąpić. Niechętnie zaczęła opadać na obcasy.

Jonas nagle wziął ją w ramiona, rozpostarł silne palce na jej plecach, chwycił w talii, przytrzymując ją na miejscu.

I tym razem to on zaczął ją całować.

Tym razem on nachylił się i przywarł do jej ust. Próbował ich tak samo, jak przed chwilą ona próbowała jego ust.

Jednak efekt okazał się zupełnie inny. Ogarnęły ją ciepłe, kuszące doznania. Zupełnie nieznany dreszcz przeszył ją, przeniknął do mózgu i zasiał nową inspirację, myśl, pragnienie.

Pożądanie.

Chęć poznania, odkrycia.

Poczuła silniejszy nacisk jego warg, subtelnie kuszący. Poruszyły się, otwarcie nęcące…

Cofnął się nieznacznie, a potem czubkiem języka musnął jej dolną wargę, delikatnie, wabiąco, zapraszająco…

Popłynęła razem z nim. Po raz pierwszy w życiu chciała doświadczyć pocałunku całą sobą.

Rozchyliwszy usta, wpuściła go do środka.

Jonas zadrżał. Doznał zawrotu głowy, gdy przyjął jej zaproszenie, poczuł się niezmiernie zaszczycony, że został nim obdarowany. Jej usta były czystą słodyczą, ponętne i kuszące, więc posiadł je, naciskał coraz bardziej stanowczo, ostrożnie próbował nimi zawładnąć.

I uważnie ją poznawał. Niewinność Emily była wyraźnie widoczna, przynajmniej dla niego. Świeża i nęcąca, niewynikająca z ignorancji, bierna czy nieśmiała, lecz pełna życia, gorąca, a przede wszystkim nietknięta.

Była już całowana w przeszłości, lecz bez udziału własnej woli. To on był pierwszym mężczyzną, którego tak chętnie przyjęła. Nie miał co do tego cienia wątpliwości, a ta świadomość nakładała na niego odpowiedzialność. Był jej wyjątkowo świadomy, gdy delikatnie muskał czubkiem języka jej język.

Nie spodziewał się, że ona go pocałuje, nawet nie wyobrażał sobie, że byłaby do tego zdolna – wcale o tym nie myślał, nie był na to przygotowany – nie miał w zanadrzu żadnego planu, jak sobie poradzić z taką ewentualnością. On zaś pragnął ja

pocałować od momentu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, lecz wtedy nie wyobrażał sobie, że mogłoby to nastąpić tego dnia. A teraz…

Teraz ona pocałowała jego, obdarowała go swoimi ustami, stała przed nim, a on ją obejmował… teraz poddał się tej chwili, nie potrafił myśleć o niczym innym poza słodyczą.

Zwyczajną, uderzającą do głowy słodyczą Emily.

Nie mógł się nią nasycić.

Chciał więcej.

Zauroczona, pozwoliła mu, by poznawał ją według uznania – nieco odurzona, wytrącona z równowagi, gdy stała się obiektem takiego badania, zamiast samej być badaczem. Ta myśl rozwijała się w jej głowie, wywołując dreszcz.

Wyczuł to, nachylił się jeszcze bardziej i zaczął całować ją natarczywiej. Wsunął język w jej usta, ona zaś, zafascynowana, nie protestowała.

Rozkoszowała się tym upojeniem, subtelnym napięciem jego mięśni, wrażeniem, że oto w jego rękach jest taka bezwładna i bezbronna.

Na tę myśl zesztywniała. Ogarnięta nagłym przypływem paniki zdała sobie sprawę, że faktycznie jest, a przynajmniej była, bezbronna – niczym chętna wszetecznica.

Jednak wcale nie musiała walczyć, aby się uwolnić, nie musiała nawet zbierać sił, które ją opuściły, aby się z nim szarpać. Wiedział o tym, odczytał jej reakcję, więc powoli, zdecydowanie, chociaż niechętnie, doprowadził pocałunek do końca.

Nie musiała się zastanawiać, aby wiedzieć, że uczynił to opornie – fakt ten emanował z jego każdego, wykonanego z pełną premedytacją ruchu, z ucisku rąk, którymi wciąż trzymał ją w pół. Jednak właśnie to opanowanie, to natychmiastowe zakończenie pocałunku w chwili, gdy tego zapragnęła, dało jej poczucie ogromnego bezpieczeństwa.

A więc potwierdziło się, że – tak, jak myślała – jest człowiekiem honoru.

Że ona może czuć się z nim bezpieczna. Że przynajmniej z jego strony nic jej nie grozi.

Jeśli chodzi o niego, to ona stanowiła niebezpieczeństwo.

Ich usta powoli oddaliły się od siebie. Uniósł głowę, postawił Em, by stanęła na całych stopach, wreszcie szerzej otworzył przyozdobione gęstymi rzęsami powieki i spojrzał jej w oczy.

Żar w jego spojrzeniu był aż nadto widoczny.

Wstrzymała oddech, zadrżała.

Szukał czegoś w jej spojrzeniu – z tak bliskiej odległości jego wzrok przenikał ją na wylot.

Spróbowała się cofnąć. Znowu musiał nakazać nieposłusznym rękom, by ją uwolniły. Tak też się stało.

Teraz wyprostował się, wciąż nie odrywając spojrzenia od jej oczu. Rysy jego twarzy jakby stężały, stały się bardziej wyostrzone, surowe.

– Jeśli to miało na celu odwiedzenie mnie od dalszego zainteresowania twoją osobą i poczynaniami… to pozwolę sobie zauważyć, że niestety przeliczyłaś się.

Chropawe brzmienie tych słów – czysta męska zaborczość – bardzo ułatwiło jej naturalną reakcję.

Zmrużyła oczy.

– Ja i moje poczynania – poinformowała go cierpkim tonem – to nie pańska sprawa.

Nieustępliwie patrzył jej prosto w oczy.

– Być może wcześniej tak. Ale teraz? – Uśmiechnął się drapieżnie. – Nie ma mowy.

Jeszcze bardziej zmrużyła oczy, rzucając weń gromy. Wreszcie odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

Odprowadził ją wzrokiem.

– Nie ma mowy, Emily Beauregard – powtórzył półgłosem. Z tymi słowy także odwrócił się i poszedł w ślad za nią do domu.

Rozdział 5

Jeśli Emily Beauregard myślała, że mogła tak po prostu całować go – a potem patrzeć na niego oczami, w których mimo dziennej pory iskrzyły się tysiące gwiazd – a następnie oczekiwać, że on zostawi ją w spokoju, niestety, nie tylko była w wielkim błędzie, była po prostu…

– Głupia! – Idąc energicznym krokiem ścieżką przez las w kierunku dworu, Jonas kopnięciem usunął z drogi leżącą tam gałąź. – Kompletnie, niesłychanie głupia.

Mimo wszystko, wiedząc, jak dziwne rzeczy kobiety potrafią wbić sobie do głowy, oczekiwał, że Em nadal będzie go zniechęcać.

Niewiele jej to pomoże.

Po tym pocałunku nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Innym niż następne pocałunki.

Innym niż to, co mogłoby nastąpić – gdyby mógł o tym decydować, to na pewno by nastąpiło – po tym następnym pocałunku.

Tymczasem zamierzał dowiedzieć się, jaki jest prawdziwy powód przyjazdu Em i jej rodziny do Colyton, dowiedzieć się, czego ona tu szuka. Najwyraźniej sądziła, że to coś może się znajdować w Ballyclose Manor, chociaż dokładna lokalizacja nie była mu znana – ogród przy kuchni wydawał się dość dziwnym miejscem do poszukiwań. Gdyby mu powiedziała, czego szuka, mógłby poprosić Cedrica i wtedy wszystko byłoby jasne.

Powód, dla którego utrzymywała swoje poszukiwania oraz ich cel w tajemnicy, był mu nieznany, ale rozważał już koncepcję – i odrzucił ją – że to może być coś niezgodnego z prawem.

Pomysł, że Emily Beauregard może być zaangażowana w nielegalne działania, nie mówiąc już o nikczemnych, był nie do przyjęcia. Wręcz śmieszny. Sam nie wiedział, skąd ma tę pewność, ale ją miał. Była typem kobiety, która znalazłszy na drodze szylinga, wypytywałaby w wiosce i w najbliższej okolicy, aby znaleźć właściciela.

Nie. Utrzymywanie w tajemnicy prawdziwej przyczyny ich przyjazdu do Colyton było kwestią zaufania.

Więc kiedy mu zaufa, powie wszystko.

A do tej pory… będzie ją bacznie obserwował, aby mieć pewność, że podczas potajemnych poszukiwań nie wpadnie w jakieś tarapaty.

W tym momencie nie uważał za konieczne wyjaśnić sobie, dlaczego czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo, zwłaszcza po deklaracji: „Ja i moje poczynania to nie pańska sprawa". Bez względu na to, czy to było rozsądne, czy nie, czuł się w obowiązku pilnować jej. I tyle.

Bez względu na wszystko, czuł, że tak właśnie należy zrobić.

Ujrzał przed sobą dwór, którego szare dachówki mignęły mu poprzez korony drzew. Minął już boczną ścieżkę wiodącą na tyły zajazdu – wtedy nawet zwolnił, zastanowił się… lecz szybko przyśpieszył kroku i poszedł dalej. Emily – Em – na razie jest bezpieczna, tymczasem on musiał spotkać się z kimś innym.

Kimś, kogo chciał zwerbować, przeciągnąć na swoją stronę.

Ścieżka wiodła do przydomowych stajni, a stamtąd do tylnego wejścia. Prowadząc przez las, stanowiła najkrótszą drogę między Grange a dworem – wszyscy z obu domów często z niej korzystali, zwłaszcza od czasu, gdy Phyllida opuściła Grange i zamieszkała z Lucyferem w jego majątku.

Zatem pojawienie się Jonasa w kuchni nie było dla nikogo zaskoczeniem. Skinął głową pani Hemmings, gospodyni i kucharce Phyllidy, która z rękami w misie pełnej wyrabianego ciasta, przywitała go wesołym głosem, gdy tymczasem on skierował się ku spiżarni lokajów.

Znalazł tam człowieka, który właśnie polerował srebra.

– Dzień dobry, Bristleford. Wiesz może, gdzie jest moja siostra?

– Dzień dobry panu. Jest chyba w salonie.

Jonas zmarszczył czoło.

– W salonie? – Phyllida rzadko przebywała w tym recepcyjnym pomieszczeniu, służącym do oficjalnego przyjmowania gości, wolała salon rodzinny.

– Tak, proszę pana. Ma gościa. Przyszła ta dama z gospody. Panna Beauregard.

– A! – Uniósł brwi i podziękował skinieniem głowy, zwróciwszy uwagę na sposób, w jaki Bristleford opisał Emily. Podobnie jak Mortimer, Bristleford rzadko mylił się co do statusu osób.

Kierując się do pomieszczeń domowych, Jonas pchnął drzwi wiodące na tyły głównego wejściowego holu, a stamtąd długim krokiem podszedł do salonu po prawej stronie.

W drzwiach zatrzymał się, napotykając wzrok dwóch osób które na dźwięk kroków odwróciły się w jego stronę.

Jedna z nich, o oczach tak samo ciemnobrązowych, jak jego, wyrażała zainteresowanie. Druga osoba, o oczach orzechowej barwy, uniosła wysoko powieki, lecz zaskoczenie szybko minęło, a jego miejsce zajęła ostrożność.

Uśmiechnął się.

– Witam obie panie. – Podszedł do szezlongu, na którym siedziały obok siebie, nachylił się, musnął Phyllidę w nadstawiony policzek, a Emily tylko skinął głową. – Panno Beauregard. – Zauważył trzy książki leżące na jej kolanach. – Widzę, że lubi pani czytać.

Phyllida oparła się i przebiegła wzrokiem po jego twarzy.

– Panna Beauregard chciała się czegoś dowiedzieć o historii naszej miejscowości. Oczywiście Edgar odesłał ją tutaj. – Spojrzała przelotnie na Emily. – Lucyfer pojechał do Axminster, więc staram się pomóc pannie Beauregard, jak tylko potrafię… – Znowu odwróciła się do brata. – Ale nie wiem, gdzie są wszystkie książki o historii naszej wioski. Może ty wiesz?

Bacznie obserwował twarz Emily i ujrzał na niej wyraźne rozczarowanie pod przykrywką życzliwej miny. Z uśmiechem wyciągnął rękę.

– Niechże mi będzie wolno zobaczyć, co pani znalazła.

Podała mu książki. Zerknął na ich grzbiety, ignorując coraz bardziej zdziwione spojrzenie Phyllidy.

Jako jego siostra, co więcej, bliźniaczka, była bardzo wyczulona na jego nastroje, zbyt często potrafiła czytać w jego myślach, i to tak trafnie, że to sprawiało mu pewien dyskomfort. Pomimo tego, że on i Emily nie zdradzili się ani jednym słowem czy zachowaniem, Phyllida już zauważyła, że między nimi iskrzy – przyglądała się im z coraz większym zainteresowaniem.

– Są jeszcze inne książki o naszej miejscowości. – Oddał woluminy, pochwytując jej spojrzenie. – Czy interesuje panią jakiś szczególny aspekt historii?

Pokręciła głową.

– Nie, tylko ogólnie historia. – Przeniosła wzrok na Phyllidę. – Tak jak wspomniałam w rozmowie z panią Cynster, ponieważ mam zamiar przywrócić gospodę do roli centrum lokalnego życia, chciałabym dowiedzieć się, jakie tradycje, o ile takowe istnieją, mogłyby okazać się pomocne. – Uśmiechnęła się do Jonasa. – Poza tym, oczywiście interesuje mnie miejsce, które teraz stało się moim domem.

Wiedział, że nie mówi mu całej prawdy – widziała cynizm w jego oczach. Wyczuła, że się zawahał, szukał sposobu, aby wyciągnąć z niej coś jeszcze, więc skoncentrowała się, nie chcąc wyjawić nic więcej.

W tym momencie rozległ się głośny stukot kroków na schodach, potem w holu. Wszyscy spojrzeli w kierunku drzwi.

W wejściu pojawiła się panna Sweet, gwałtownie wymachując rękami.

– O, tu jesteś, moja droga. – Wyglądała na lekko przerażoną. – Obawiam się, że uciekli i teraz korzystają ze swobody.

Phyllida zrobiła zdumioną minę. Właśnie wstała, gdy z góry dobiegł czyjś rozdzierający wrzask.

Wszyscy unieśli wzrok, a Phyllida z westchnieniem pokręciła głową. Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Proszę mi wybaczyć, panno Beauregard, ale muszę się zająć powodami tego zamieszania. – Spojrzała na Jonasa. – Ale nie wątpię, że mój brat udzieli pani dalszej pomocy.

Em wstała, ściskając w ręku trzy książki.

– Ależ oczywiście. Dziękuję za poświęcony mi czas. – Uniosła wyżej woluminy. – Na pewno mogę je pożyczyć?

– Naturalnie. – Phyllida już zmierzała żwawo w kierunku drzwi. – Książki są po to, aby je czytać, zwłaszcza książki o historii. – Jeszcze stanęła koło wejścia i odwróciła się do Jonasa.

Ten uśmiechnął się.

– Znajdę jeszcze inne tytuły dla panny Beauregard, a potem przyjdę ci z odsieczą.

Phyllida roześmiała się, skłoniła obojgu i wyszła. Panna Sweet już zdążyła pobiec przodem.

Gdy ich kroki ucichły, Em popatrzyła na Jonasa – pana Tallenta – i przekonała się, że on także spogląda na nią bardzo spokojnie. To było ich pierwsze spotkanie sam na sam od czasu tamtego niemądrego pocałunku wczorajszego popołudnia. Myślała, że poczuje się niezręcznie, może nawet będzie zażenowana – w końcu to ona pierwsza go pocałowała, a potem pozwoliła na więcej – lecz pragnienie Jonasa, by poznać jej prawdziwe motywy, sprawiło, że nie miała czasu na tak małostkowe rozważania. Podniosła książki.

– Wystarczą mi te trzy, przynajmniej na początek. – Skierowała się do drzwi.

Ruszył za nią, unosząc brwi.

– Mamy tu więcej książek, te, które pani wybrała, są raczej dość ogólne.

Nie zatrzymała się, jedynie skłoniła nieco głowę.

– Sądziłem, że interesują panią konkretne miejsca – dodał. – Takie jak domy. – Popatrzyła w jego kierunku, ich spojrzenia spotkały się. – Na przykład Ballyclose Manor.

Zatrzymała się, wyraźnie zbita z tropu.

– Każdy przyjezdny zainteresowałby się historią takiego domu jak Ballyclose Manor. Jako zarządzająca pańskim zajazdem powinnam wiedzieć o okolicznych domach, w których pracują służący uznający miejscowość za swoje rodzinne terytorium. To bardzo istotna wiedza.

– Więc zainteresowanie okolicznymi domami wynika wyłącznie z pani obowiązków jako zarządzającej gospodą?

Po chwili namysłu kiwnęła głową, po czym zdecydowała się na bardziej zdecydowaną i przekonującą odpowiedź.

– Właśnie tak.

Westchnął i podszedł do niej.

Cofnęła się, rzuciwszy mu ostrzegawcze spojrzenie.

On jednak szedł do niej, aż zapędził ją do rogu, gdzie na ścianach wisiały półki pełne książek. Zdała sobie sprawę ze swojego położenia, znieruchomiała, odchyliła lekko podbródek i spojrzała na niego wilkiem.

– Panie Tallent.

Zrobił jeszcze jeden mały krok, uniósł dłoń, by odsunąć niesforny kosmyk z jej policzka. Zajrzał jej w oczy.

– Mów mi Jonas.

Spróbowała nabrać powietrza, lecz miała ściśnięte płuca. Wystarczył jeden dotyk, delikatne muśnięcie, a już nie mogła się skoncentrować. Zauważył to, a już sama tego świadomość wywołała w nim falę pożądania, co z kolei sprawiło, że i jemu trudno się było kontrolować.

Opuściła powieki, lecz nadal patrzyła spod rzęs na jego usta.

Przestał myśleć. Zamiast tego przystąpił do działania.

Wolno podniósł rękę i ujął jej podbródek, odchylił do tyłu głowę i dotknął ustami jej ust.

Nakrył je delikatnie, bez pośpiechu, dając jej dużo czasu na stawienie oporu.

Czego nie uczyniła, jedynie cicho westchnęła, gdy przesuwał wargi po jej ustach.

Przysunął się jeszcze bliżej i dał jej to, czego pragnęła, a zarazem wziął to, czego sam chciał. Kolejny pocałunek.

Inny niż ten pierwszy. Tak jakby ich wargi już znały się nawzajem, rozpoznawały dotyk, smak, fakturę. I pragnęły więcej.

Przyciskała do piersi trzy książki, stanowiące oddzielającą ich barierę. Dzięki temu oboje mogli się skupić na pocałunku, wzajemnym przenikaniu się ust, rosnącej temperaturze warg i języków, ich zmysłowej bliskości.

Był zachłanny, nienasycony, niezaspokojony.

Ona sprawiała podobne wrażenie, chociaż nie było to aż tak widoczne. Raczej ulegała niż inspirowała, lecz gdy pocałunek stawał się coraz bardziej ognisty, głębszy, nie pozostawała w tyle ani o krok.

Nagle wtargnęła w jego usta, a on poczuł, że traci panowanie nad sytuacją.

Bezprecedensowe wydarzenie, na tyle niezwykłe, by trochę go otrzeźwić.

Po omacku oparł dłonie na pełnych książek półkach, jeszcze raz uniemożliwiając jej ucieczkę. Było to bezpieczniejsze niż wzięcie jej w ramiona, czego domagała się bardziej prymitywna część jego osobowości.

Oderwał od niej usta na tyle, by spytać:

– Czego poszukujesz?

Dotknęła małą dłonią jego policzka, nakierowała jego usta na kolejny pocałunek.

– Niczego. – Musnęła jego wargi. – Niczego – wyszeptała.

Pocałował ją jeszcze raz, ona odpowiedziała mu tym samym. Przez chwilę nic innego nie miało znaczenia.

Lecz Jonas wiedział, że to nie może dłużej trwać. Ani pocałunek, ani jego niewiedza.

Odsunął się, Ograniczając jej ruchy rozpostartymi ramionami, odczekał, aż wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego.

– Powiedz mi, czego poszukujesz.

Wytrzymała jego spojrzenie. Chwilę trwali w milczeniu.

– Nie. Już panu mówiłam, że to nie jest pana sprawa.

– Mylisz się. To jest moja sprawa.

Przekrzywiła głowę, mocniej zacisnęła rękę na rozdzielających ich książkach.

– Panie Tallent.

– Jonas. – Patrzył na jej usta, chciał, aby wypowiedziały jego imię.

Tymczasem ich kuszące kształty tylko wygięły się w ponury grymas. Wykorzystując książki jako tarczę, nacisnęła na jego pierś.

– Proszę mnie puścić…

Znowu wbił w nią wzrok. Powoli oderwał dłonie od regałów, wyprostował się i cofnął.

– Mógłbym znaleźć jeszcze kilka książek o naszej miejscowości.

Minęła go.

– Nie, dziękuję. – Energicznie ruszyła w kierunku drzwi. – Te trzy mi wystarczą na początek.

Wyszedł za nią do holu. Zatrzymała się przed frontowymi drzwiami. Wyprzedził ją, chwycił gałkę, obrócił i znieruchomiał. Zajrzał Em w oczy.

– Na razie.

Orzechowe oczy zalśniły, wyrażając i złość, i zrozumienie – zrozumienie, że nie mówił o tych książkach.

Kiedy otworzył drzwi, przemknęła obok niego.

– Miłego dnia, panie Tallent.

Oparł się barkiem o futrynę i patrzył, jak Em idzie ścieżką ku furtce, otwiera ją i wychodzi. Kiedy się odwróciła, aby zamknąć zasuwkę, nawet nie spojrzała w jego kierunku, ale wiedziała, że tam jest, że ją obserwuje.

Nie usłyszał, jak prychnęła pod nosem, ale przypuszczał, że zrobiła to, zanim ruszyła w dalszą drogę.

Instynktownie czuł przemożną chęć, aby iść za nią, podjąć rozmowę, którą zaczęli w rogu salonu.

Rozmowa była daleka od zakończenia, lecz… wyprostował się, cofnął do wnętrza i zamknął drzwi.

Emily Beauregard poszła do zajazdu, który był jego własnością. Pozwolenie jej na ucieczkę – na to, by myślała, że

uciekła – nie było złym posunięciem. Łatwiej będzie zaskoczyć ją później.

Tymczasem… odwrócił się i skierował ku schodom. Jeszcze nie zrealizował celu swojej wizyty w domu siostry. Wszedłszy na pierwsze piętro, wyruszył na jej poszukiwanie.

Zapewnienie sobie wsparcia Phyllidy było warte umożliwienia Emily Beauregard ucieczki… na jakieś pół godziny.

* * *

Em wkroczyła do gospody nietypowo jak na siebie wytrącona z równowagi, czego oczywiście nie mogła okazać. Zmusiła się, żeby zwolnić, uśmiechnąć do klientów. Już zaczęli się schodzić w oczekiwaniu na paszteciki, których smakowite zapachy przenikały gospodę i rozchodziły się na zewnątrz, wzdłuż drogi.

Z pewnością będą wielkim sukcesem. Przynajmniej o to nie musiała się martwić.

I rzeczywiście, pod jej zarządem gospoda przechodziła stopniową transformację. Em była pewna, że potrafi zmienić Pod Czerwonym Dzwonkiem tak, jak to sobie w myślach zaplanowała, w miejsce, jakim według jej koncepcji zajazd powinien być.

Jedyną łyżką dziegciu w tej beczce miodu był właściciel zajazdu.

Samo już zauroczenie jego osobą było dostatecznie trudne do opanowania, lecz zainteresowanie Jonasa nią okazało się jeszcze gorsze. To pierwsze była w stanie kontrolować, lecz to drugie zdawało się całkowicie od niej niezależne.

Kiedy znalazła się w kantorze, położyła książki na biurku i spoglądała na nie z góry, w zasadzie nie widząc ich grzbietów i okładek.

Teraz już nie mogła mieć wątpliwości co do tego, że jej pracodawca… jest nią zainteresowany. Że w równym stopniu odwzajemnił jej zainteresowanie jego osobą. Niepokoiło ją, jak wyobrażał sobie dalszy ciąg ich relacji. Ona zarządzała jego

gospodą, nieważne, czy miała szlacheckie pochodzenie, czy też nie. Między nimi mogła się wywiązać miłostka, przelotny romans, co wywnioskowała na podstawie ograniczonej wiedzy o mężczyznach z jego klasy.

Z jej klasy.

To była kwestia sporna. Damy jej autoramentu, oberżystki czy nie, nie wdawały się w miłostki, nie wspominając o romansach, przynajmniej dopóki nie wyszły za mąż, ustatkowały się i dały swym mężom dziedziców.

Mogła udawać, że jest oberżystką, ale nie potrafiła przestać być sobą.

Ponieważ Jonas – pan Tallent – mógł mieć na myśli najwyżej romans, sposób postępowania wobec niego był oczywisty. Jeżeli tylko to możliwe, powinna unikać go za wszelką cenę, a kiedy to się nie uda, będzie z determinacją udawała, że on wcale na nią nie oddziałuje.

Że nie wzbudza w niej żadnych pragnień.

– Koniec z tym! – Powiedziała do siebie przez zaciśnięte usta, zdecydowanymi ruchami układając książki w stertę. – Podjęłam decyzję. – Obszedłszy biurko, wrzuciła torebkę do dolnej szuflady, zamknęła ją, po czym rozprostowała fałdy sukni.

Odetchnęła głęboko, uniosła podbródek, uśmiechnęła się dobrotliwie i udała do kuchni.

Następne pół godziny spędziła z Hildą, sporządzając listę koniecznych składników do różnych pasztecików na cały tydzień. Potem przyszła Issy, ciągnąc za sobą bliźniaczki. Na widok Em obie diabliczki natychmiast zaczęły jęczeć, że codziennie rano muszą ćwiczyć na starym pianinie w ogólnej sali.

– A potem – stwierdziła Bea – Issy wyciągnęła nas na to wielkie wzgórze.

Issy przewróciła oczami.

– Na to wzgórze, gdzie stoi kościół.

– Ale był mocny wiatr! – Gert usadowiła się przy stole. – Ale Issy powiedziała, że musimy tam iść po insperację.

– Inspirację – poprawiła cierpliwie Issy. Spojrzała w oczy Em. – Na popołudniowe lekcje rysunku.

Em kiwnęła głową i popatrzyła na dziewczynki.

– Mam nadzieję, że obie macie w myślach jakiś obrazek. Przyjdę i obejrzę wasze rysunki, kiedy skończycie.

Miały ochotę ponarzekać, lecz właśnie w tym momencie Hilda położyła przed nimi świeżo wyjęte z pieca paszteciki, więc bliźniaczki przedłożyły zaspokojenie apetytów ponad wszystko inne.

Em i Issy wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Hilda poczęstowała Issy pasztecikiem, lecz ta wymówiła się gestem ręki.

– Zjem później, ze wszystkimi. Chcę zobaczyć, jak się sprzedadzą.

Ponieważ to właśnie ona razem z Hildą wymyśliły te różne nadzienia, Em nie protestowała. Jeśli kulinarny wkład Issy ograniczał się do opracowywania przepisów, była zadowolona.

Sama też krążyła po gospodzie, gdy w końcu paszteciki przyniesiono z kuchni i postawiono przed oczekującymi klientami. Em obserwowała ich twarze, widziała, jak, żując, przymykają oczy, jak z rozkoszą i pietyzmem delektują się tymi specjałami.

Spojrzała z uśmiechem na Issy stojącą po przeciwnej stronie sali. Naprawdę była zadowolona. Paszteciki sprzedadzą się w ciągu godziny.

Zatoczywszy półkole, skierowała się do kuchni, zatrzymując się na chwilę koło Issy i Hildy, które przyszły popatrzeć.

– Myślę, że na jutro przygotujemy dwa razy więcej.

– Tak – zgodziła się rozpromieniona Hilda. – Jutro dwa razy tyle, a potem się zobaczy.

Em wróciła na salę, aby przez bar dostać się do kantoru, gdy stara pani Smollet, która siedziała koło drzwi, przywołała ją gestem, aby pogratulować wspaniałych pasztecików z baraniną.

– Bardzo dziękuję. Przekażę komplementy komu się należą. – Odwracając się, Em stanęła w snopie słonecznego światła, wpadającego przez otwarte drzwi. Cofnęła się, aby lepiej

obejrzeć swoją gospodę, i poczuła ogromna satysfakcję: liczba gości w porze lunchu zdecydowanie przekraczała wieczorną frekwencję z dnia, zanim objęła tu rządy.

Miała nadzieję, że jej pracodawca będzie zadowolony.

Nagle światło wokół niej pociemniało.

Nawet nie odwracając się, wiedziała, że właśnie przyszedł, jakby ściągnięty jej myślami. I w rzeczy samej, zaciemnił wejście do zajazdu.

W pierwszym odruchu chciała uciec – i to wcale nie spacerowym krokiem – do swojego kantoru, lecz tam nie mogła się czuć bezpieczna, przynajmniej z nim. Już chciała odejść, gdy zrozumiała, że znacznie bezpieczniejsza będzie tu, gdzie znajduje się teraz, na widoku sporej liczby miejscowych.

Stanęła mocno na obcasach, świadoma, że on jest tuż za nią, oddalony może o stopę.

– Muszę pani pogratulować, panno Beauregard. Pod pani zarządem gospoda doskonale prosperuje.

Jego głęboki głos sprawił, że te grzeczne frazy zabrzmiały jak pieszczota.

Nie odwracając się, sztywno pochyliła głowę.

– Dziękuję. Przekażę pańską pochwałę personelowi.

– Proszę to zrobić.

Usłyszała rozbawienie w jego głosie, wiedziała, że jeśli szybko się nie oddali, wymusi na niej jakąś odpowiedź.

Kiedy zaczęła się rozglądać za ratunkiem, ten właśnie się pojawił. Ruchem ręki wskazała talerze, które jedna z siostrzenic Hildy niosła do stołu.

– Czy pan już jadł? Paszteciki z baraniną się skończyły, ale mogę polecić te z nadzieniem z dziczyzny.

Czekała, czując za plecami jego milczącą obecność. Po chwili znowu usłyszała jego głos, tym razem jeszcze cichszy.

– Chciałbym, aby mój głód dało się tak łatwo zaspokoić.

Nie mogła się powstrzymać. Odwróciła się, czując na policzkach coraz gorętszy rumieniec.

Stał w wejściu, niedbale oparty barkiem o ramę drzwi, emanujący męskością. Ten widok wcale jej nie uspokoił.

Musiała spojrzeć na jego twarz.

Z uniesioną brwiami utkwił wzrok w jej oczach.

Zmrużyła powieki.

– Jeśli nie skusi się pan na pasztecik z mięsem, to obawiam się, że nie możemy zaproponować niczego innego.

Wykrzywił lekko usta.

– Może nie macie nic do zaproponowania, na razie, ale kto wie, co się pojawi w menu już wkrótce?

Doskonale rozumiała, co miał na myśli, jej policzki zapłonęły jeszcze goręcej, lecz postanowiła nie dać tego po sobie poznać.

– No właśnie, niecałą godzinę temu rozmawiałyśmy o wprowadzeniu do menu paszteciков z nadzieniem z kurczaka i porów.

– Naprawdę? – Nie spuszczał z niej wzroku. – Mimo wszystko chyba zaczekam na coś trochę bardziej… satysfakcjonującego.

Zobaczyła grzeszny błysk w jego ciemnobrązowych oczach. Uśmiechał się, sugestywnie krzywiąc usta. Doskonale pamiętała ich dotyk na swoich wargach.

Odchrząknęła.

– Nie wyobrażam sobie, cóż takiego mógłby pan uważać za coś bardziej satysfakcjonującego niż pasztecik z dziczyzną.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej.

– To tajemnica.

Jej tajemnica.

– Wątpię, by jakieś tajemnice pojawiły się w menu.

– Zobaczymy. Ale przecież – spuścił wzrok na jej usta – jest pewna słodycz, w której ostatnio bardzo się rozsmakowałem.

Postarała się przybrać tak surową minę, na jaką tylko mogła się zdobyć, co w stanie oszołomienia nie było łatwe.

– W naszym menu z całą pewnością nie ma słodkości.

– Może teraz nie ma, ale… zobaczymy.

Wyprostował się, ujął ją za łokieć i odsunął nieco na bok, aby bracia Thompsonowie mogli wyjść.

Obaj bracia, wysocy i słusznej wagi, kiwnęli głową Jonasowi – panu Tallentowi! – na co zareagował ze swobodną gracją.

Znowu przeniósł swoją uwagę na Emily, lecz ona zdołała już odzyskać pewność siebie. Skłoniła lekko głowę.

– Proszę mi wybaczyć, muszę wrócić do swoich obowiązków.

Spoglądał na nią przez chwilę.

– Jak pani sobie życzy. Ale ja tu wrócę, panno Beauregard, będę wracał tyle razy, ile trzeba, aż będę usatysfakcjonowany.

Nie mogła pozwolić, żeby ostatnie słowo należało do niego, zwłaszcza takie słowo, pełne ukrytych treści i insynuacji.

– A według mnie przekona się pan, że pańskie wysiłki spełzną na niczym.

Chciała odejść, lecz on ostrzegawczo ścisnął ją za łokieć

I nachylił głowę.

Zamarła, ogarnięta nagłą paniką. Chyba nie zamierzał pocałować jej w głównej sali gospody, na oczach tuzina zaciekawionych gości?

Jednak nie. Ku jej ogromnej uldze jedynie pochylił się na tyle blisko, aby nikt inny oprócz niej nie mógł go usłyszeć.

Odezwał się niskim, wręcz wibrującym głosem, który rezonansem wprawił ją w drżenie. Wbił w nią wzrok, a z tak bliskiej odległości jego oczy wywierały hipnotyzujące wrażenie.

– Powinnaś o czymś wiedzieć, Emily Beauregard – powiedział cichym, beznamiętnym tonem, lecz każde słowo było brzemienne w treść. – Zamierzam poznać wszystkie twoje tajemnice i zamierzam posiąść cię, a jestem bardzo nieustępliwym i cierpliwym człowiekiem.

Mimowolnie wpatrzyła się w jego oczy i zrozumiała, że mówił absolutnie szczerze. Była odurzona, z trudem łapała powietrze. Co mogła powiedzieć, aby przelicytować tak odważną deklarację?

W końcu zdołała odetchnąć i stwierdziła, że dyskrecja jest wyższym przejawem bitewnej dzielności. Uwolniła łokieć z jego uścisku, odwróciła się i ruszyła w stronę kantoru.

Lecz po chwili zatrzymała się i ponownie odwróciła z wysoko podniesioną głową. Spojrzała na niego oczami rzucającymi błyskawice.

– Przekonamy się!

Tylko on był w stanie właściwie zinterpretować jej słowa.

Ledwo dostrzegalnie kiwnęła mu głową i poszła do kuchni, gdzie mogła czuć się bezpiecznie.

* * *

Trzy dni później, gdy siedziała w kościele, słuchając czytania pana Filinga, nadal gratulowała sobie, że ustawiła Jonasa Tallenta do pionu.

Po tamtej pełnej napięcia wymianie zdań w drzwiach gospody widywała go, ale tylko z daleka – po drugiej stronie baru albo na ulicy. Nie starał się przyciągać jej wzroku, nawiązywać rozmowy, jednak gdy tylko znalazła się w polu jego widzenia, czuła na sobie jego spojrzenie, mroczne i wyważone.

Co zdarzało się dość często. Miała nadzieję, że – zważywszy na jej zniechęcające zachowanie i ostre słowa – Jonas znudzi się i straci zainteresowanie, ale dotychczas nie dostrzegła, aby to nastąpiło. Miała wrażenie, że za każdym razem, gdy rozglądała się dookoła, on był w pobliżu i obserwował ją.

Ten natarczywy wzrok irytował ją, lecz jeśli miał na tym poprzestać, mogła się poczuć naprawdę zadowolona.

Teraz również był w kościele, lecz Tallentowie mieli ławę w pierwszym rzędzie, więc nie musiała znosić jego spojrzeń przez całą mszę. Ani razu nie odwrócił się, aby na nią popatrzeć, za co była bardzo wdzięczna.

Gdy czytanie dobiegło końca, wszyscy wstali, aby odśpiewać hymn. Kolejne elementy nabożeństwa następowały po sobie, aż do kończącego mszę błogosławieństwa. Pan Filing poprowadził wiernych na zewnątrz. Siedząca w środkowej części kongregacji Em z rodziną dołączyła do wychodzących powoli wiernych za rodzinami zasiadającymi w pierwszych rzędach przed ołtarzem, których członkowie mieli przywilej wychodzić jako pierwsi.

Pilnując bliźniaczki, które ustawiła przed sobą, i Issy, Em straciła z oczu ciemną głowę Tallenta. Nie czując na plecach jego wzroku, doszła do wniosku, że poszedł przodem. Jeśli

dopisze jej szczęście, on zdąży już odjechać razem z siostrą i szwagrem, nie zostanie przed kościołem na pogawędki.

Kiedy przechodziła obok wikariusza, podała mu dłoń i pogratulowała znakomitego kazania – miała na myśli to, że było krótkie i rzeczowe – po czym usunęła się, aby mógł porozmawiać z Issy.

Na ostatnim schodku zatrzymała się i rozejrzała. Od razu zauważyła, że ściąga na siebie spojrzenia wielu ciekawych. Na początku zdziwiła się – przecież mieszkańcy mieli już tydzień, żeby się do niej przyzwyczaić – ale gdy zeszła niżej, przywołała bliźniaczki do porządku, zrozumiała, że to właśnie one oraz Henry, który szedł za Issy, stanowili główny obiekt zainteresowania.

Kiedy pani Weatherspoon, kierując się przywilejem doświadczenia – a miała więcej dzieci, niż ktokolwiek był w stanie policzyć – przywołała Emily, ta szepnęła małym siostrzyczkom, aby pozostały blisko niej i były grzeczne, a wreszcie podeszła do starszej pani, by ta mogła je sobie obejrzeć.

Na szczęście bliźniaczki uwielbiały być w centrum uwagi. Ponieważ wyglądały jak aniołki, można było liczyć na to, że większość osób zacznie im coś nucić i obsypywać je komplementami, co brały za dobrą monetę. Z kolei dzięki temu zachowywały się bardzo grzecznie. Zadziwiająco potulne, pozwalały, by Em oprowadziła je wśród niezwykle dziś licznej kongregacji. Na mszę przybyło wiele osób z nawet dość odległych gospodarstw. Niektórzy zatrzymywali się, aby życzyć jej powodzenia w prowadzeniu gospody.

Minęło pół godziny, wypełnione przyjemnymi pogawędkami na zalanym słońcem placu przed kościołem. Em zauważyła, że Issy znowu wdała się w zażyłą rozmowę z Filingiem, więc stanęła pod drzewem na skraju cmentarzyka, aby w towarzystwie Henry’ego i bliźniaczek zaczekać na siostrę.

– Nie możemy po nią iść? – spytała Gert. – Na obiad ma być smakowity kapłon. Może już stygnie.

– Albo się rozgotował – dodała Bea, spoglądając na Issy.

– Dajmy jej jeszcze trochę czasu. – Em zerknęła na parę rozmawiającą u podnóża schodów i pomyślała, że wyglądają uroczo. Issy miała spuszczone oczy, a Filing pochylał głowę, mówiąc do niej cicho. – W tygodniu ciężko pracowała: dawała wam lekcje, poświęcając cały czas, więc jeśli chce spędzić część niedzielnego poranka na rozmowie z panem Filingiem, powinniście na nią poczekać.

Dziewczynki odpowiedziały na tę sugestię milczeniem. Zauważyła, że przyglądają się wikaremu i Issy.

Wcale nie była zdziwiona, kiedy Gert w końcu spytała:

– Czy Issy ma upodobanie dla pana Filinga?

– Co ważniejsze – dodała Bea, demonstrując doskonałe zrozumienie życiowych niuansów – czy pan Filing ma upodobanie dla Issy?

Em zastanowiła się, co powinna odpowiedzieć. Stwierdziła, że najlepsza będzie prawda.

– Myślę, że to bardzo możliwe, nie sądzicie?

Dziewczynki zaczęły jednocześnie kręcić głowami, pokazując, że nie mają co do tego pewności, ale już bez protestów zgodziły się zaczekać na siostrę.

Em stała pod drzewem, zadowolona, że może chwilę spokojnie pomyśleć.

Kiedy u jej boku zmaterializował się Jonas Tallent, dopiero po chwili zorientowała się, że on naprawdę tu jest, że doznania, jakie powstały w jej głowie, nie były jedynie wytworem jej wybujałej wyobraźni.

– O, pan Tallent. Śliczny poranek, prawda?

– Rzeczywiście, panno Beauregard. – Spojrzał w jej oczy pytająco. – Sprawia pani wrażenie pogrążonej w zadumie. Może obmyśla pani nowe menu?

Szykowała się, żeby znowu zmierzyć go nieprzyjaznym spojrzeniem – zapomniała o postanowieniu, aby unikać go za wszelką cenę, przez co również straciła czujność – lecz on zdążył już przenieść spojrzenie na bliźniaczki.

Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdziła, że obie są nim zafascynowane. Nic dziwnego – bez wątpienia był tu

najprzystojniejszym mężczyzną. Wyróżniały go nie tylko perfekcyjnie skrojone ubranie od londyńskiego krawca, lecz także towarzysząca mu aura nieposłuszeństwa – tak jakby na pozór wydawał się bezpieczny, ale niekoniecznie był taki naprawdę.

Przypuszczała, że oto swój rozpoznał swego, bo po chwili odezwał się:

– Rozumiem, że to są pani aniołki-diabliczki?

– Owszem. – Szybko dokonała prezentacji, nie mając pewności, jak bliźniaczki zareagują.

Bea ładnie dygnęła.

– Teraz jesteśmy bardzo grzeczne.

– Jak aniołki – dodała uroczyście Gert. – Wbiła w niego spojrzenie swych niebieskich oczu. – To pan zabrał Em na przejażdżkę… tą bryczką z pięknymi konikami.

– Takie brązowe, brykające koniki. – Bea podeszła i bezceremonialnie wsunęła rączkę w jego wielką dłoń. – Bryczka też była ładna.

Wiedząc doskonale, do czego zmierzają te aniołki-diablice, Em miała już interweniować i odciągnąć je, gdy wtem uderzyła ją pewna myśl. Bardzo niewielu mężczyzn potrafiło poradzić sobie z dwiema dziesięcioletnimi szelmami.

Tak więc sama bez większych ceremonii nagle zmarszczyła czoło i odwróciła się do Henry’ego.

– Co to było?

Spojrzał na nią zdziwiony, ale nic nie powiedział, gdy stanęła u jego boku, pozostawiwszy Jonasa Tallenta na łasce dwóch przyrodnich siostrzyczek.

Jonas doskonale wiedział, o co jej chodzi, lecz mimo że perspektywa zajmowania się jasnowłosymi bliźniaczkami przyprawiała go o dreszcz, wcale nie zamierzał poddać się tak łatwo.

Przeciągnął Beę na drugą stronę, aby stanęła obok Gert, następnie spojrzał im prosto w oczy.

– Tak, te piękne koniki są moje, i bryczka też, nazywa się ona dwukółka, a jeśli w mojej obecności obie będziecie grzeczne,

pewnego dnia zabiorę was na przejażdżkę. Za jakieś trzy tygodnie.

Bogaty w doświadczenie z siostrzeńcami, wiedział, że dzieci mają słabo rozwinięte poczucie czasu, a okres trzech tygodni, mimo że nie zabrzmiało to jak odległy termin, był dostatecznie długi, aby zdążyły zapomnieć o ich umowie. Jego siostrzeńcy byli młodsi, lecz przypuszczał, że bliźniaczki równie szybko zapomną o tej obietnicy.

Szeroko otworzyły niebieskie oczy, wymieniły szybkie spojrzenia.

Jonas sam był bliźniakiem, więc doskonale wiedział, co to oznacza.

– To jesteśmy umówieni, moje damy?

Bea, ta bardziej gadatliwa, popatrzyła na niego, mrużąc oczy – dokładnie tak samo, jak jej starsza siostra.

– A skąd będziemy wiedziały, ze zachowujemy się, jak należy? Nie umiemy być grzeczne przez cały czas.

Z wysiłkiem powstrzymał się od uśmiechu. Pochylił głowę, jakby z całą powagą przyjmował to do wiadomości.

– Słusznie. Będziecie wiedziały, że zachowujecie się, jak należy, jeśli patrząc na was, nie będę marszczył brwi.

Przemyślały to, w milczeniu spoglądając na siebie porozumiewawczo, po czym skinęły głowami.

– Dobrze – odparła Gert. – Więc za trzy tygodnie, po mszy.

– Zgoda. – Jonas uniósł głowę i zobaczył zbliżającą się Issy. – Wobec tego odprowadzę wszystkie panie do gospody.

Podchodząc do nich, Em usłyszała jego propozycję i zaskoczona popatrzyła na siostry.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jonas ujął ją za ramię.

– Chodźmy, moja oberżystko, odprowadzę was do domu.

Issy jedynie uśmiechnęła się i przyjęła ramię Henry’ego. Ruszyli za bliźniaczkami, które puściły się biegiem i wysforowały do przodu, myśląc już tylko o pieczonym kapłonie.

Ramię Em było uwięzione pod ręką Jonasa, nie miała więc innego wyboru, jak pozwolić mu poprowadzić się za resztą rodziny. Byli jednymi z ostatnich, którzy opuścili przykościelny

cmentarz. Błonia były niemal puste, kiedy poszli po zboczu do wioski.

Wciąż zdumiona przyglądała się swoim małym siostrom. W jaki sposób on…? Ponieważ chodziło o bliźniaczki, musiała wiedzieć.

– Co pan im powiedział?

Zaśmiał się ciepłym, wesołym śmiechem.

– To oczywiste: przekupiłem je.

– Ale czym, na miłość boską?

– Przejażdżką w mojej dwukółce.

Przemyślała to dokładnie, lecz po chwili zdecydowała się przekazać mu złą wiadomość.

– Zdaje pan sobie sprawę, że one będą chciały powozić?

– Po moim trupie.

– Radziłabym nie mówić im tego takimi słowami.

Rozdział 6

Em unikała Jonasa Tallenta przez trzy dni, jedynie w chwili słabości pozwalając mu na zjednanie sobie przychylności bliźniaczek oraz zdobywanie punktów u Issy i Henry'ego za dżentelmeńskie odprowadzenie ich do domu po kościele.

Tym bardziej skrupulatnie unikała go przez kolejne cztery dni w nadziei, że dzięki temu przestanie ją obserwować jak drapieżny jastrząb. Sama czuła się niczym gołąb, gdy on znajdował się w pobliżu.

A on nie odrywał od niej wzroku. Za każdym razem, gdy się odwracała, miała wrażenie, że on tam jest. Brzemię jego spojrzenia stawało się dla niej znajomym elementem codzienności.

Całe szczęście, że nie mógł odczytać jej myśli.

Pierwsze cztery dni następnego tygodnia spędziła na obmyślaniu sposobu przeszukania piwnic w Ballyclose Manor. Przekonała się już, że to nie będzie takie łatwe. W ciągu dnia w domu ciągle coś się działo, więc nie było szansy wszczęcia poszukiwań w godzinach dziennej aktywności. Być może mogłaby dostać się do środka podstępem – dzięki zmyślonej historii, uzasadniającej wejście do piwnic, które to kłamstwo musiałaby z siebie wydusić, a to nie byłoby wcale proste. Pozostawało jej poszukiwanie nocą, czyli włamanie się do piwnicy, zapewne przez zewnętrzne drzwi, które już sobie obejrzała. No i musiałaby się żarliwie modlić, aby nikt jej nie przyłapał.

Ze względu na nadwyrężone nerwy byłaby kompletnym wrakiem.

Co gorsza, wydawało się, że z tym przedsięwzięciem – czyli odnalezieniem skarbu i wyniesieniem go – będzie musiała

poradzić sobie sama. Zakładała, że zrobi to razem z Issy, która miała przynajmniej stać na czatach, lecz teraz Issy spędzała każdą wolną chwilę z panem Filingiem, Em zaś za nic w świecie nie chciała jej przeszkadzać.

Skoro jej siostra miała szansę znaleźć szczęście z wikarym – w przyszłości, o której Em na razie nie mogła myśleć – to zrobi wszystko, co w jej mocy, aby pomóc w rozkwicie ich romansu. Nie będzie stawiać siostrze żadnych przeszkód.

Z powodu piętrzących się trudności w przeszukaniu piwnic Ballyclose Manor zdecydowała, że zanim przystąpi do realizacji szalonego i niebezpiecznego planu – co każdy z Colytonów uczyniłby z prawdziwą radością – musi uzyskać absolutną pewność, że Ballyclose Manor to faktycznie „dom najwyższych" z ich rymowanki.

W piątek przed południem, gdy tylko upewniła się, że gospoda funkcjonuje jak należy, zabrała trzy pożyczone książki i udała się do Colyton Manor. Uważnie je przeczytała, lecz prócz niewielkiej wzmianki o Ballyclose i Grange nie znalazła nic, co dotyczyło domów w wiosce, które istniały już na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku, kiedy to powstała rymowanka.

„Dom najwyższych" byłby domem ówcześnie najwyżej postawionej osoby w miejscowej społeczności – ówcześnie, niekoniecznie teraz. Zatem to wcale nie musiał być dwór Ballyclose Manor. Trzeba było zyskać pewność.

Najpierw szła drogą i mijała kolejne chaty, aż w końcu doszła do niskiego kamiennego muru, który odgradzał frontowy ogród posiadłości. Był porośnięty niezwykle bujną roślinnością, pełen róż, lawendy, obsypanych kwiatami krzewów i pnączy, które tworzyły cudowną paletę barw i zapachów.

Nad furtką do ogrodu, umiejscowioną centralnie na wprost wejściowych drzwi, wisiała łukowato wygięta krata pokryta pnącą różą, a duże pąki moreli kołysały się na łagodnym wietrze. Em odemknęła zasuwkę, weszła, zamknęła furtkę za sobą i zatrzymała się, aby powdychać ogrodowe aromaty, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi.

Otworzył je kamerdyner, Bristleford. Em zaczekała w holu, gdy poszedł zapytać, czy jego pani dziś przyjmuje.

Rozejrzała się, szukając śladów obecności męskiego gościa, lecz tak naprawdę wątpiła, by jej prześladowca mógł się tu zjawić o tak wczesnej porze. Nosił modne ubrania od londyńskich krawców, więc zakładała, że przywykł do londyńskiego stylu życia.

– Panna Beauregard. – Uśmiechnięta Phyllida Cynster ukazała się na drugim końcu holu. – Zapraszam do nas do salonu.

Em odpowiedziała jej uśmiechem.

– Przyszłam zwrócić pani książki. – Podała jej trzy woluminy.

– I co, znalazła pani informacje, których szukała? – Wziąwszy książki, Phyllida stanęła z boku, aby wpuścić Em do salonu.

– Dowiedziałam się paru nowych rzeczy – powiedziała Emily, grając na zwłokę – ale nadal ciekawi mnie historia tej miejscowości, tutejszych domów i najważniejszych rodzin. – Stanęła tuż za drzwiami, zaskoczona widokiem męża Phyllidy, Lucyfera Cynstera, który siedział na sofie, a dwaj mali chłopcy wspinali się na jego plecy.

Zdawało się, że wcale mu to nie przeszkadza, lecz na chwilę przytrzymał synów, aby uśmiechnąć się i skłonić lekko głowę.

– Dzień dobry, panno Beauregard. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani nasza rodzinna zabawa.

Odpowiedziała mu również uśmiechem.

– Oczywiście, że nie. – Jeden z chłopców oswobodził się, przebiegł po dywanie i chwycił ją za rękę.

Miał może z pięć lat. Mocno potrząsnął dłonią Em.

– Nazywam się Aidan.

– A ja Evan – zawołał jego młodszy brat, wciąż tkwiący w ojcowskim uścisku.

Em uśmiechnęła się jeszcze szerzej i zajrzała w iskrzące się, ciemnoniebieskie, pełne życia oczy psotnika.

– Miło mi ciebie poznać, Aidan. I ciebie, Evan. – Spojrzała na drugiego chłopca.

– Skoro formalności mamy już za sobą – odezwała się Phyllida – może pozwolimy usiąść pannie Beauregard? – Gestem

zaprosiła ją na obite grubymi poduchami siedzisko koło okna.

Em podeszła we wskazane miejsce i usiadła. Aidan odprowadził ją, z poważną miną odczekał, aż poprawiła fałdy sukni, po czym wdrapał się na sofę, aby przycupnąć obok niej. Em wcale się nie zdziwiła, gdy Evan zostawił ojca, aby do nich dołączyć. Usiadł po drugiej stronie i od razu włożył pulchną rączkę w jej dłoń.

Phyllida spostrzegła to i już chciała przywołać syna do porządku, ale Em zerknęła na nią i pokręciła lekko głową.

– Wszystko dobrze. Przywykłam do obecności dzieci.

Sama nie miała możliwości oglądać swoich sióstr bliźniaczek, gdy były w podobnym co chłopcy wieku, i zawsze tego żałowała.

Lucyfer Cynster usiadł prosto, w bardziej przyzwoitej pozycji. Emily stwierdziła, że ma około trzydziestu pięciu lat, jest wysokim, pełnym wigoru mężczyzną o czarnych włosach i ciemnoniebieskich oczach, które odziedziczyli jego synowie. Pomyślała, że jest drugim najprzystojniejszym dżentelmenem w okolicy i – podobnie jak w przypadku Jonasa Tallenta – wokół jego pozornie eleganckiej sylwetki roztaczała się aura nie do końca cywilizowanego samca.

– Phyllida wspominała mi – powiedział – że interesuje panią historia naszej miejscowości.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Zawsze staram się poznać historię każdego miejsca, w którym zarządzam gospodą. Szczególnie interesuje mnie stara architektura. To pewnego rodzaju hobby, które wypełnia mi czas, a poza tym często dowiaduję się pożytecznych rzeczy.

Phyllida położyła przyniesione przez Em książki na niskim stoliku przed sofą. Lucyfer podniósł je i spojrzał na grzbiety.

– Mamy tu sporo książek o Colyton zawierających więcej informacji. Poszukam ich, zanim pani odejdzie. – Spojrzał jej w oczy z czarującym uśmiechem. – Ale najpierw proszę powiedzieć, jak się pani podoba dzisiejsze Colyton.

– Bardzo przyjemne miejsce. – Em puściła rękę Evana, gdy poczuła, że malec chce ją cofnąć. Po chwili chłopiec zsunął się

na podłogę. – Wszyscy są bardzo mili, więc szybko się tu zadomowiłam.

– No tak, po odejściu Juggsa wszyscy z ulgą i radością zareagowali na pani przyjazd z rodziną. – Phyllida zatoczyła ręką szeroki krąg. – Nawet trudno mi znaleźć słowa, żeby opisać, w jakim stanie była gospoda. Po śmierci żony Juggsa, ponad osiem lat temu, Juggs stracił zainteresowanie gospodą, ale znał się tylko na pracy oberżysty, więc pozostał.

– Tak, został – podjął opowieść Lucyfer. – Żadne wzmianki o tym, aby coś zmienić, o nowych wyzwaniach – nic nie było w stanie ugasić jego smutku, a proszę mi uwierzyć, że wszyscy próbowaliśmy. Jego śmierć, chociaż przedwczesna, stała się dla niego wybawieniem, a dla gospody i wioski szansą na nowe życie. – Obdarzył Em ciepłym uśmiechem. – Dlatego wszyscy jesteśmy zachwyceni sposobem, w jaki pani zarządza gospodą.

– Pozyskanie Hildy i jej dziewcząt było kwestią szczęścia – odparła. – Bez nich, a także bez Edgara Hillsa i Johna Osberna, ogarnięcie wszystkiego, nie mówiąc o postawieniu na nogi gospody, zajęłoby o wiele więcej czasu.

Phyllida uśmiechnęła się.

– Ale to oczywiste, że pani sama pochodzi spoza miasta, a przynajmniej zna pani pozamiejskie życie.

Bez wątpienia było to zachętą do rozwinięcia tematu.

Na szczęście w tym momencie tuż koło Em pojawił się Evan, chwilowo uwalniając ją od obowiązku udzielenia odpowiedzi. Przyniósł jej drewnianą zabawkę na drewnianych kółkach. Kątem oka zauważyła, że Phyllida już otworzyła usta, ale zawahała się. Em dała jej znak ręką, że wszystko jest w porządku. Otwierając szeroko oczy, ostrożnie wzięła do ręki zabawkę.

– To twoja ulubiona?

Chłopiec energicznie pokiwał głową.

Obejrzała ją ze wszystkich stron.

– Śliczna. – Oddała mu ją. – Pokażesz mi, jak się tym bawisz?

Uradowany malec zaczął maszerować z zabawką tam i z powrotem po wypolerowanej podłodze.

Aidan ochoczo zsunął się z sofy i przyniósł swoją ulubioną zabawkę – dwóch drewnianych żołnierzyków, których pokazał Em, a gdy obejrzała ich z ciekawością i uznaniem, zaczął się bawić na dywanie u jej stóp.

Emily nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Uniósłszy głowę, spojrzała na Phyllidę.

– Pamiętam Henry'ego w ich wieku.

Ta również uśmiechnęła się z pełnym zrozumieniem.

Przez kolejną minutę dorośli z radością przyglądali się chłopcom. W końcu Em westchnęła.

– Muszę już iść. – Wstała. – Gdy trzeba zarządzać gospodą, nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Lucyfer i Phyllida także wstali.

– Kiedyś w zajeździe zatrzymywało się wielu podróżnych. – Phyllida odprowadziła gościa do drzwi salonu.

– Tak słyszałam – odparła Em. – Mam nadzieję, że uda mi się zwabić ich z powrotem, dzięki kulinarnym umiejętnościom Hildy i czystym, wygodnym łóżkom. Zaczęłam już planować zakres prac, jakie trzeba wykonać, aby podwyższyć standard pokoi. Niedługo porozmawiam o tej sprawie z pani bratem. – Chciała to zrobić dopiero wtedy, gdy zbierze się dostatecznie dużo kwestii do omówienia, aby ich spotkanie miało czysto roboczy charakter.

Przeszły do holu, za nimi podążył Lucyfer.

– Znajdę dla pani jeszcze inne książki o naszej miejscowości. – Kiedy szli przez hol, zatoczył ręką szeroko, zachęcając, aby się rozejrzała.

Z zaciekawieniem uczyniła to. Przez otwarte drzwi zobaczyła, że w każdym pokoju, nawet w jadalni, znajdują się regały na książki.

– Jak pani widzi – mówił dalej – mamy duże zbiory, które są ułożone tematycznie, ale na przykład te o historii, architekturze, ogrodnictwie znajdują się w różnych miejscach i mogą zawierać rozdziały lub wzmianki o Colyton. Więc aby wyłuskać wszystkie informacje, będzie trzeba przejrzeć wszystkie prawdopodobne tytuły. Na przykład te książki, które

pani już obejrzała, są z salonu, więc dotyczą raczej aspektów społecznych, a nie sensu stricto historii.

Uśmiechnęła się sztywno.

– Moje zainteresowania to czyste hobby, tak więc nie ma pośpiechu.

Jednak wolałaby odnaleźć skarb jak najszybciej

Lucyfer skinął głową.

– Wobec tego zobaczmy, co uda nam się znaleźć w dziele historii i architektury. Są tutaj.

Poprowadził do pierwszego pokoju na lewo od frontowych drzwi, który najwyraźniej był biblioteką. Phyllida przez chwilę patrzyła, jak chodził wzdłuż półek uginających się pod ciężarem książek, wreszcie przeprosiła i wróciła do chłopców.

Pięć minut później Lucyfer podał jej ułożone jedna na drugiej cztery książki.

– Tu znajdzie pani coś na temat Colyton.

– Dziękuję. – Włożyła je sobie pod ramię.

Lucyfer z gracją odprowadził ją do frontowych drzwi. Jeszcze raz podziękowała, a potem, zadowolona, choć zniecierpliwiona, poszła szybko ścieżką do furtki i dalej drogą w kierunku gospody.

Lucyfer stał w wejściu i patrzył za nią. Kiedy znikła mu z oczu, zamknął drzwi i wrócił do salonu. Malcy natychmiast powitali go okrzykami, prosząc o wspólną zabawę. Kiwnął głową.

– Za chwilę.

Phyllida siedziała na sofie z nieustająco pełnym koszykiem chłopięcych ubranek wymagających cerowania. Zatrzymał się przy żonie, a ona podniosła na niego pytający wzrok.

– A co Jonas myśli o tym, że jego oberżystka interesuje się historią wioski?

Phyllida wcale nie była zdziwiona tym pytaniem.

– Sądzi, że ona czegoś szuka. Kiedy rozmawiałam z nim ostatni raz, myślał, że to ma związek z Ballyclose. A jak ty uważasz? – Popatrzyła badawczo na męża.

Lucyfer spoważniał.

– Chyba ma rację, że ona czegoś szuka w jednym lub więcej niż jednym z okolicznych majątków. Zauważyłem, że powiedziała „domów” przed „rodzin”, gdy większość osób wymieniłaby je w odwrotnej kolejności, poza tym wspomniała jeszcze o architekturze.

Phyllida zrobiła zdziwioną minę, nie spuszczając z niego wzroku.

– Myślisz, że ona jest… no, złodziejką, albo kimś takim? Czy powinniśmy ostrzec Cedrica?

Oblicze Lucyfera złagodniało. Z uśmiechem pokręcił głową.

– Jestem pewien, że nie ma takiej potrzeby. I to bez względu na to, czy panna Emily Beauregard jest złodziejką, czy też nie.

– Jonas jest tego samego zdania.

– Mądrze z jego strony – odparł sucho. – Niewielu złodziei wybiera się na połów z dużą i rzucającą się w oczy rodziną, a jeszcze mniej organizuje edukację bratu u miejscowego wikariusza.

Phyllida patrzyła, jak podchodzi do chłopców i siada na podłodze, aby przyłączyć się do zabawy.

– Cieszę się – powiedziała po chwili – bo zdążyłam ją polubić.

Pokiwał głową, już zdekoncentrowany przez żądania i prośby chłopców.

– Ale Jonas ma rację, że ona skrywa jakąś tajemnicę i czegoś tu szuka. Z czasem na pewno poznamy prawdę.

* * *

Em pośpiesznie wróciła do gospody i od razu weszła na górę, do swoich pokoi. Ku wielkiej uldze nie napotkała po drodze wścibskich mężczyzn. Położywszy książki na toaletce, wzniosła do Boga modlitwę, by chociaż w jednej z nich znalazła jednoznaczne potwierdzenie, że Ballyclose jest rzeczywiście tym domem, którego szuka.

Dotknęła palcami leżącej na wierzchu książki – miała ochotę usiąść i zacząć ją przeglądać, ale teraz przebywała w pracy, a chociaż jej obowiązki były głównie związane z zarządzaniem,

czuła, że powinna być na dole, w swoim kantorze, sali jadalnej lub w kuchni, pilnując wszystkiego chociażby poprzez samą swoją obecność.

Gdyby ktoś z pracowników miał pytania, powinna tam być, aby na nie odpowiedzieć.

Przeszła do sypialni, która teraz wyglądała znacznie weselej dzięki perkalowej narzucie na łóżko, którą znalazła w jednej z szaf. Położyła torbę na toaletce, wygładziła spódnicę sukni i spojrzała w lustro.

– A niech to! – Przytrzymała loki, które uwolniły się z koku, który wcześniej upięła sobie z tyłu głowy. Miękkie, pofalowane włosy tworzyły subtelną oprawę jej twarzy. Zyskiwała wizerunek łagodnej, delikatnej, by nie powiedzieć wiotkiej kobiety. Wcale taka nie była, i nie chciała, aby tak ją postrzegano.

Skrzywiła się do lustra.

– Nie ma czasu. – Zresztą już po dziesięciu minutach włosy z powrotem uwolniłyby się z upiętego szpilkami koku.

Zeszła. Aprobującym wzrokiem omiotła kobiecą część sali, która teraz była o wiele czystsza i schludniejsza – na każdym wypolerowanym stole leżała koronkowa serweta, a większość siedzisk była wyposażona w miękkie poduchy. Zerknęła też na bar, gdyż nie bardzo mogła liczyć na to, że Edgar utrzyma to miejsce w należytej czystości. W końcu minęła część jadalną, jeszcze raz przyglądając się ławom i stołom na kozłach.

Porządne skrobanie i woskowanie mogło zdziałać cuda. Będzie musiała przekonać swojego pracodawcę, że koszt tej operacji zwróci się, lecz przecież wyraźnie było widać, iż wioska potrzebuje miejsca, do którego mieszkańcy mogliby przyjść na porządny posiłek.

Gdy weszła do kuchni, pociągnęła nosem i westchnęła z rozkoszą. Nie było potrzeby pytać, czy wszystko jest w porządku, kiedy rządy sprawowała Hilda. Zatrzymała się na chwilę, aby ją pochwalić, sprawdziła jej listę zamówionych produktów, którą zabrała, i ruszyła do swojego kantoru.

– Naprawdę, proszę pana, nie wiem, dokąd poszła, ale mówiła, że niedługo wróci.

Em zatrzymała się u wejścia do korytarza prowadzącego do kantoru. Słowa te wypowiedział stojący za barem Edgar. Odpowiadał na pytanie, jakie mógłby zadać którykolwiek mężczyzna, ale już nie miała wątpliwości, że to tropiący ją Jonas Tallent.

Stanęła w ocienionym holu i spojrzała w prawo, przekonując się, że to faktycznie jej prześladowca, który stał oparty o ladę, wypytując Edgara, ten zaś stawiał na blacie czyste szklanki, szykując się na przyjście gości w porze lunchu.

– Jak dawno wyszła? – spytał zdziwiony Tallent.

– Dokładnie nie pamiętam.

Musiała się poruszyć – a może to on wyczuł jej irytację – gdyż nagle zerknął w jej kierunku i wyprostował się.

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Nie czekając, odwróciła się i podążyła do kantoru.

Obszedłszy biurko, uznała, że warto mieć jakiś mebel, który będzie ich oddzielał. Usiadła i udawała, że czyta swoją listę, cały czas starając się utrzymać nerwy na wodzy – w końcu on był jej pracodawcą, a ona bardzo potrzebowała tej posady. Poszukiwanie skarbu nastręczyłoby o wiele więcej problemów, gdyby musiała nająć się do innego zajęcia, poza tym, gdzie zamieszkałaby reszta jej rodziny? Posada oberżystki zarządzającej Pod Czerwonym Dzwonkiem pasowała jej jak ulał – a fakt, że Jonas Tallent bardzo się jej naprzykrzał, nie był wystarczającym powodem, by ryzykować utratę pracy.

Oczywiście istniało jeszcze pytanie, dlaczego jego zainteresowanie, nawet na odległość, tak bardzo ją irytowało i wyprowadzało z równowagi, lecz była to zupełnie odrębna kwestia.

Po chwili zjawił się w drzwiach, zajmując swoją postacią niemal całe wejście. Obserwowała go spod rzęs, lecz udawała, że nie zauważyła jego obecności.

Spoglądał na nią, oparty niedbale o futrynę.

– Szukałem cię. Gdzie byłaś?

Uniosła wzrok, robiąc dumną minę.

– Nie miałam pojęcia, że byliśmy umówieni. A co do tego, gdzie byłam, mówiłam już wielokrotnie, że to nie jest pańska sprawa.

Westchnął.

– Proszę mi powiedzieć, nie będę musiał tracić czasu na wypytywanie o to w wiosce.

Już miała powiedzieć: „Nie ośmieli się pan!”, lecz spojrzawszy w jego oczy, ugryzła się w język. Na pewno zrobiłby tak, jak zapowiedział.

Rozgniewana i wytrącona z równowagi wstała.

– Jeśli musi pan wiedzieć, odniosłam książki, które pożyczyłam od pańskiej siostry.

– Rozumiem.

– Właśnie, a teraz, jeśli już jest pan usatysfakcjonowany… – Urwała, wspominając ich wcześniejszą rozmowę, w której padło to słowo.

Uśmiechnął się diabelsko.

– Jeszcze nie jestem.

Zdecydowanym krokiem obeszła biurko.

– Jeśli pan pozwoli, wrócę do obowiązków. – Machnęła mu przed oczami trzymaną w ręku listą.

Był rozbawiony, chociaż roztropnie tego nie okazywał – przypominała mu rozgniewaną wróbliczkę – a teraz cofnął się, aby mogła wyjść z kantoru. Kiedy ruszyła energicznie w stronę kuchni, dziarsko poszedł za nią.

– Dowiedziałaś się czegoś z tych książek?

– Nie. – Zachwiała się lekko. Na chwilę stanęła, by zaraz iść dalej z wysoko podniesioną głową. – To były książki o miejscowej historii – dodała – więc dowiedziałam się właśnie tego.

– Ale nie tego, czego naprawdę szukałaś?

Skręciła w wąski korytarzyk dla służby, niewiele większy od alkowy, i stanęła przed ciężkimi drewnianymi drzwiami z prawej strony, sięgnęła do zasuwki, wreszcie odwróciła się, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem.

– Panie Tallent…

– Jonas.

Nie mogła już bardziej zmrużyć oczu, pod oliwkową suknią jej piersi uniosły się wysoko, gdy wciągnęła ogromny haust powietrza.

– To, czego być może szukam, a być może nie szukam, to nie jest pańska sprawa.

Odciągnęła zasuwkę, jednym ruchem otworzyła drzwi i znikła w środku.

Złapał za ich krawędź, chociaż nie dlatego, że próbowała je za sobą zatrzasnąć. Zaciekawiony, przecisnął się obok – bo gdy były otwarte, blokowały niemal całą szerokość korytarza – i zajrzał do małej spiżarni.

Była to piwniczka, w której przechowywano trunki. Jego wróbliczka zaczęła pilnie sprawdzać małe baryłki i butelki, jakby go tam nie było.

Czy naprawdę myślała, że po prostu sobie pójdzie?

Przecież cierpliwie czekał przez cały tydzień, aż ona oswoi się z jego ciągłą obecnością – w próżnej nadziei, że w końcu zacznie mu ufać na tyle, by wyjawić wszystko, co chciał wiedzieć.

A mianowicie to, co ona chciała wiedzieć.

Najwyraźniej nastała chwila, by wypróbować inną strategię.

Wszedł do spiżarni, pozostawiwszy drzwi szeroko otwarte – potrzebowali światła, a poza tym było mało prawdopodobne, aby ktoś inny przechodził teraz korytarzem, zwłaszcza że w gospodzie gromadziło się coraz więcej gości zamawiających paszteciki na lunch.

Pomieszczenie było głębokie najwyżej na trzy metry. Stanąwszy tuż za progiem, patrzył, jak Em porównuje listę z zapasami na półkach.

Milcząc, weszła w głąb spiżarni. Ruszył za nią.

– Wiesz o tym, że nie masz racji.

Nie przerywała swojego zajęcia i przez chwilę milczała, lecz potem rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– W czym nie mam racji?

Stanął przy niej, zagrodziwszy przejście.

– Nie masz racji, skoro myślisz, że sobie pójdę, jeśli będziesz mnie ignorować.

Prychnęła z frustracją i stanęła twarzą do niego.

– To, że zarządzam pana gospodą, nie oznacza, że pan jest… – machnęła obiema rękami – w jakikolwiek sposób za mnie odpowiedzialny.

Tym razem on zrobił zdziwioną minę.

– Wcale nie czuję się za ciebie odpowiedzialny. – Był lekko zdegustowany i dał to po sobie poznać. – Jeśli to umknęło twojej uwadze, to wydajesz mi się bardzo atrakcyjna… Myślałem, że to widać. Tacy dżentelmeni jak ja pomagają damom, które ich pociągają.

Nabrała pełne płuca powietrza.

– Jest równie niezaprzeczalną prawdą, że jako pana oberżystka wcale nie mam obowiązku akceptować pańskich zalotów.

Zamrugał z niedowierzaniem.

– Więc moje zaloty nie są mile widziane? – Milczała, więc wyjaśnił: – Nie akceptowałaś moich zalotów, gdy całowaliśmy się ostatnim razem?

Wydęła usta i uniosła podbródek.

– Nie wiedziałam, co robię.

– Rozumiem. – Przymknął powieki, nadal patrząc jej prosto w oczy. – Straszna kłamczucha z ciebie.

Oblała się rumieńcem.

– Ja nie kłamię!

Jednak kłamała, przez zaciśnięte zęby. Nie wiedział, dlaczego ona to robi, ale właśnie dotarł do granicy cierpliwości. Z kolejnym westchnieniem przyciągnął ją ku sobie i znowu pocałował.

Pod naciskiem jego ust wargi Em zmiękły. Zrozumiała, co się dzieje, próbowała się wycofać, powstrzymać, lecz opór nie trwał dłużej niż jedno uderzenie serca, i po chwili była już jego, cała ciepła, pełna miodowej słodyczy i czystej pokusy.

Jeśli to nie była akceptacja, to już sam nie wiedział, co to słowo oznacza.

Wiedział jedno – że pragnie tego, pragnie jej, łaknął słodyczy jej ust, niewinnej świeżości.

Słodkiej obietnicy, bardziej subtelnej, gdy przylgnęła do niego, a jędrne usta bez oporu odpowiedziały pocałunkiem.

Kiedy brał ją w ramiona, wiedział, że jest od niej uzależniony.

Em też wiedziała – bez cienia wątpliwości – że nie powinna tego robić. Fakt, że jego usta są tak wygłodniałe, nie oznacza, że ona ma obowiązek je nasycić. Odwzajemnić jego pocałunek nawet z odrobiną pragnienia, które kipiało w jej wnętrzu, nie było po prostu niemądre – było wręcz szkodliwe.

Przecież teraz on będzie ją tropił jeszcze bardziej zawzięcie. Wiedziała o tym, wiedziała, że powinna cofnąć się, wywinąć z jego objęć i zachować dystans, lecz zamiast tego nachyliła się bliżej, mocniej wciskając w jego usta gorącym pocałunkiem.

Pocałunkiem, bez którego nie mogła się obejść.

Pocałunkiem, który jednak coś dla niej znaczył, ale teraz jeszcze nie rozumiała co.

Czując jego usta, obejmujące ją ramiona, była bezpieczna i otoczona troską.

Kiedy ją całował, zrozumiała, dlaczego chciał ją chronić – wyczuła przez ten pocałunek, że pragnął ją posiąść, więc ochrona obiektu swojego pragnienia i posiadania była logiczna, racjonalna.

Wszystko związane z tym pocałunkiem i odczucia, jakie w niej wywoływał, miały związek z każdą z tych rzeczy. Jego coraz bardziej stanowcze wargi rozchyliły jej usta, język wtargnął do środka i zaczął ją pieścić, głaskać, leniwie i powoli. Poczuła zawrót głowy, cała jej uwaga skoncentrowała się na subtelnym połączeniu ich ust. Jonas Tallent całował ją tak, jakby rościł sobie do niej prawo.

Zmysłowe doznania, jakie wzbudzał, kusiły ją, by sama też odkrywała, poszukiwała, uczyła się go…

Pochylił głowę na bok i zaczął całować ją jeszcze bardziej natarczywie. Wsunęła palce w jego ciemną czuprynę, delikatnie

ścisnęła dłoń… zrozumiała, że musiała unieść rękę i zanurzyć dłoń w jego niespodziewanie jedwabistych włosach.

Zdała sobie sprawę z tego, że on ciągnie ją jeszcze dalej, nie tylko w pocałunek, lecz daleko poza…

Obudził się w niej instynkt. Poczuła się tak, jakby ktoś dał jej mocnego kuksańca.

Jeszcze przez chwilę delektowała się ciepłem jego ust, uwodzicielskim dotykiem języka, w końcu jednak zaczęła się cofać. Wysunęła dłoń z czarnych włosów i położyła ją na szerokim ramieniu Jonasa.

Zdecydowanie oderwała się od jego ust, odsunęła jego ręce.

Pozwolił jej odstąpić, ale pomieszczenie było bardzo wąskie, więc nadal stali zdecydowanie zbyt blisko siebie. Spojrzała mu prosto w oczy. Gdyby tego nie zrobiła, skoncentrowałaby się na jego ustach, a dobrze wiedziała, do czego by to doprowadziło. Jednak z tak bliskiej odległości czuła się zahipnotyzowana jego mrocznym wzrokiem.

– Więc powiesz mi prawdę?

Niski, chropawy głos wśliznął się w jej głowę, ominął barykady, kusił…

Zamrugała, uwalniając swój umysł z tego zauroczenia. Zacisnąwszy usta, zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie powiem, czego szukam. Nie musi pan tego wiedzieć. Mogę tylko zapewnić, że to nie jest nic sprzecznego z prawem.

Stwierdziła, że w zaciśniętej dłoni wciąż trzyma listę, że w drugiej czuje mrowienie wywołane dotknięciem jego włosów. Z trudem nabrała powietrza i odwróciła się.

Aby odejść, wydostać się do drzwi poza zasięg jego ramion.

Wtedy przypomniała sobie coś. Nie zwalniając kroku, powiedziała przez ramię:

– I wcale nie oczekuję pańskich zalotów.

– Nie musisz – warknął, ruszając za nią. – Bez względu na wszystko, będę czynił dalsze awanse. W każdym miejscu i o każdej porze.

Prychnęła, wychodząc ze spiżarni na korytarz.

– Nie powinien pan mnie całować po tym, jak powiedziałam, że sobie tego nie życzę. Takie zachowanie nie przystoi dżentelmenowi, a przecież pan jest na wskroś dżentelmenem.

Chwyciła brzeg drzwi, czekając, aż wyjdzie za nią na korytarz, aby mogła zamknąć spiżarnię.

Stanął na zewnątrz. Spojrzał na nią bardzo sfrustrowany.

– Jeśli chcesz mnie zniechęcić, nie możesz po prostu chodzić i rzucać na ziemię rękawic, zarazem nie oczekując, że będę je podnosił.

– Rękawic? – Spytała z cynicznym niedowierzaniem. – Jakich rękawic? – Z wielką śmiałością położyła dłoń na piersi Jonasa i przesunęła go na bok.

Usunął się z wejścia.

– Przekonamy się – odpowiedział. – Nie wspominając o tym, że – wskazał gestem spiżarnię – całujesz mnie jak nienasycona dzierlatka, a potem mówisz, że nie oczekujesz moich zalotów. Jeśli to nie jest rękawica, rzucone mi wyzwanie, to sam nie wiem, co można określić tym mianem.

– Wyzwanie? – Zamknąwszy drzwi, odwróciła się do niego na chwilę, kręcąc głową. – Nonsens. – Poszła korytarzem w kierunku bardziej zaludnionych części gospody. Wszedłwszy do holu, prychnęła jeszcze raz. – Rękawice, to ci dopiero! Mężczyźni mają bujną wyobraźnię.

Jonas patrzył za nią, jak ruszyła w kierunku wahadłowych drzwi do kuchni, pchnęła je i znikła w środku. Kiedy się zamknęły, zasłaniając mu widok, pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeśli myślała, że on ustąpi i da jej spokój, czyli po prostu zniknie, po tym, jak go całowała w taki sposób, to jej wyobraźnia była o wiele bujniejsza od jego.

Wciąż kręcąc głową, odwrócił się do baru. Kufel piwa i smakowity pasztecik Hildy, a potem poświęci się wymyśleniu najlepszego sposobu na to, aby sprowadzić pannę oberżystkę na ziemię – na jego ziemię – jeśli chodzi o sytuację między nimi.

* * *

Następnego wieczoru Em doglądała serwowania kolacji, co poprzednio miało miejsce w tej gospodzie prawie dziesięć lat wcześniej.

Od ponad tygodnia Hilda z Issy pracowały nad przepisami. W czwartek Em zaakceptowała menu, a Hilda i jej dziewczyny z zapałem przystąpiły do dzieła. Wieść rozeszła się po okolicy. Duża liczba gości, którzy zjawili się Pod Czerwonym Dzwonkiem w sobotni wieczór na inaugurację kolacyjnych dań, była świadectwem odrodzonego zaufania do jakości usług oferowanych w gospodzie.

Kolacja, a w zasadzie cały wieczór, udały się. To Em powinna świętować sukces, ale gdy uśmiechała się i rozmawiała, otrzymywała komplementy, które z radością przekazywała Hildzie i Issy. Gdy usuwała się w cień, ogarniało ją niezadowolenie, a uśmiech szybko znikał.

Miała zły nastrój, czuła się wyjątkowo pokonana, a było to wrażenie zupełnie jej obce: przecież należała do Colytonów.

Większość ostatniej nocy oraz każdą wolną chwilę pełnego obowiązków dnia poświęciła na przeglądanie książek pożyczonych z dworu. Tak, jak mówił Lucyfer, wszystkie cztery pozycje zawierały osobne rozdziały poświęcone tej miejscowości, jej domom i architekturze. Niestety, nie było tam konkretnych dat ani starych anegdot czy relacji, z których mogłaby wyliczyć prawdziwy wiek Ballyclose Manor.

Sir Cedric Fortemain i jego żona, Jocasta, razem z lady Fortemain byli wśród gości próbujących nowych dań w gospodzie. Kiedy przybyli, zachowywali się uprzejmie, nie szczędzili komplementów. Pozostając w cieniu u podnóża schodów, Em zastanawiała się, czy mogłaby po prostu podejść do sir Cedrica i spytać o wiek jego domu.

Przypuszczała, że otrzymałaby prawdziwą odpowiedź; problem tkwił w tym, że potem nastąpiłyby pytania, na które nie chciała odpowiadać, a których nie bardzo mogła uniknąć. Rodzina Fortemain była powszechnie uznawana za liderów miejscowej społeczności, więc Emily, jako zarządzająca

gospodą, musiała zjednać sobie ich przychylność. Ostatnia rzecz, jakiej chciała, to utrata ich zaufania.

Tak więc nie mogła spytać bezpośrednio, a chociaż łamała sobie nad tym głowę, dotychczas nie wymyśliła bardziej finezyjnego sposobu uzyskania tej informacji.

Brzemię porażki ciążyło jej coraz bardziej, psując nastrój.

Krzyżując ramiona na piersi, spojrzała ponuro na salę – i napotkała wpatrzone w nią oczy Jonasa Tallenta. Siedział w odległym końcu baru. Przyszedł dopiero przed chwilą, zapewne zdążył już zjeść kolację w domu.

Od czasu wczorajszego spotkania w spiżarni z trunkami nie spotkali się, a przynajmniej nie rozmawiali ze sobą, ale nie miała złudzeń, że zaprzestał swej obsesji. Nie tylko wciąż ją obserwował – stwierdziła, że większość osób postronnych uznawała ten fakt za wynikający z pilnowania interesów w gospodzie – lecz wyczuwała, od wczoraj, że on… coś planuje. Teraz obserwował ją, przyglądał się jej w nieco inny sposób, jakby oceniał ją i jej potencjalne reakcje.

O dziwo, widok Jonasa, który nie spuszczał jej z oczu, wywoływał w niej falę nowego zapału, jakby ją wzmacniał, odbudowywał nieco słabszą determinację i właściwy dla niej optymizm.

Musiał istnieć jakiś sposób, aby poznać wiek Ballyclose Manor bez wyjawiania powodów; ona po prostu jeszcze go nie odkryła.

A odkrywanie było jedną z tych rzeczy, w jakich Colytonowie nie mieli sobie równych.

Z nową energią jeszcze raz rozejrzała się po gościach, zwracając szczególną uwagę na tych, którzy spożywali kolację. Przekonawszy się, że wszystko idzie dobrze, odwróciła się i weszła do kuchni.

Hilda serwowała ostatnie porcje rostbefu.

– Wszystko poszło – stwierdziła z uśmiechem, podnosząc głowę. – I kociołek zupy z dyni też opróżniony do dna.

Em stanęła obok niej.

– Widzę, że jagnięcina również znikła. – Zachęcająco poklepała starszą kobietę po ramieniu. – Wszystkim smakuje twoja kuchnia. – Zawahała się. – W poniedziałek usiądziemy i porozmawiamy o twojej pensji.

Wcześniej uzgodniły taką samą kwotę, jaka obowiązywała we wczesnym okresie rządów Juggsa, zanim obraził Hildę, żądając, aby gotowała z nieświeżych produktów.

– Teraz gospoda znacznie lepiej prosperuje – podjęła Em – a to w dużej mierze zasługa twoja i twoich dziewczyn. W tej sytuacji powinnaś otrzymywać wyższe wynagrodzenie.

Hilda spojrzała na nią przenikliwie.

– Musisz porozmawiać z panem Tallentem. Wyższe pensje dla nas będą tak samo z jego kieszeni, jak i z twojej.

– Tak, porozmawiam z nim, ale jestem pewna, że się zgodzi.

Rzeczywiście, miała tę pewność, a to był kolejny punkt na korzyść Jonasa Tallenta, chociaż wcale nie potrzebowała przypominać sobie o jego zaletach. Byłoby jej znacznie łatwiej ignorować go, gdyby miał mniej tych zalet, a więcej wad.

Jak dotychczas jedyną wadą, jaką zauważyła, był jego ośli upór w prześladowaniu jej, na przekór deklaracjom, że nie jest nim zainteresowana. Wprawdzie te deklaracje były fałszywe, bez względu na to, jak bardzo wolała, aby okazały się szczere. Ale mogła przynajmniej starać się uwierzyć w swoje kłamstwa.

Bóg jeden wiedział, że samo ich wypowiadanie było dla niej wystarczającą udręką.

Pojawiła się siostrzenica Hildy, aby zabrać ostatnie zamówienie. Hilda zaczęła czyścić swój blat.

Em obeszła dużą kuchnię. Zajrzała do pomywalni i uśmiechnęła się do trzech dziewcząt, które z zapałem czyściły pierwszą zmianę talerzy. Paplały przy tym trzy po trzy, myjąc, wycierając i układając naczynia. Emily nie odezwała się – nie widziała powodu, aby przeszkadzać im w ożywionej rozmowie.

Zrobiła krok w kierunku swojego kantoru, gdy nagle, pośród salwy śmiechu, usłyszała głos jednej z dziewcząt.

– Gada, że jest historykiem naszej wioski. Trudno dać mi wiarę, gdy patrzę, jak się odziewa.

Em przystanęła. Dziewczęta nie zauważyły jej i dalej trajkotały w najlepsze.

– Ale ma dużo książek. – Hetta wytarła talerz ścierką. – Moja kuzynka Maura zna panią Keighley, która u niego pracuje, więc ona mówi, że on ma całe sterty książek o wszystkim, a zbiera się na nich tyle brudu, że nie nadąża z ich odkurzaniem.

– Być może – przyznała Lily, która mówiła chwilę wcześniej. Właśnie zanurzyła ręce w korytku. – Ale książki nie wystarczą, żeby od razu był historykiem. Słyszałam, że był nim stary pan Welham, kiedy mieszkał we dworze, zanim został zabity. I potem przyszedł pan Cynster.

– Ja słyszałam to samo – odezwała się milcząca do tej pory Mary. – Ale pamiętam też, że podobno pan Coombe jakby konkurował o stanowisko u pana Welhama. Słyszałam, jak pan Filing mówił o tym pewnego razu po mszy, więc to pewnie prawda.

Lily mruknęła z niedowierzaniem. Spienione mydło chlapnęło na wszystkie strony. Otarła wierzchem dłoni czubek nosa.

Em nonszalancko weszła do środka.

– Witajcie, dziewczęta. Chciałabym dowiedzieć się więcej o naszej miejscowości, a właśnie usłyszałam, jak mówiłyście o jakimś panu Coombe, który może znać historię wioski.

Wszystkie trzy zaczerwieniły się, lecz Em wyglądała bardziej na zaciekawioną niż niezadowoloną. Mary skinęła głową.

– Tak, to pan Silas Coombe, panienko. Mieszka w chacie naprzeciwko cmentarnej bramy, przy dróżce do kuźni.

Em uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Muszę z nim pomówić. – Odwróciła się, ale zaraz coś sobie przypomniała i spojrzała za siebie. – A jak on się ubiera?

Dziewczęta popatrzyły po sobie, szukając właściwych słów.

– Trudno to opisać – powiedziała wreszcie Mary.

– Ubiera się na jasno – dodała Hetta.

Lily zmarszczyła brwi.

– Ja myślę, że dobre słowo to „jarmarcznie”. – Popatrzyła na pozostałe dziewczęta, które zgodnie przytaknęły.

– Rozumiem. – Em nie przestawała się uśmiechać. – Zatem nie będzie trudno go zauważyć.

– Nie będzie, panienko! – powiedziały chórem.

– Pozna go panienka bez najmniejszego trudu – zapewniła ją Lily.

Em kiwnęła im głową z wdzięcznością. Po raz pierwszy tego dnia ruszyła dziarskim krokiem. Z zakamarków pamięci przywołała niewyraźny obraz jarmarcznie – by nie powiedzieć krzykliwie – ubranego mężczyzny, który był w kościele w zeszłym tygodniu. A jutro była niedziela.

Rozdział 7

Następnego ranka Em wraz z rodziną sumiennie udała się do kościoła. Cała piątka usiadła w tej samej ławie, którą zajmowała tydzień wcześniej – inni członkowie kongregacji pozostawili ją wolną. Minęły dopiero dwa tygodnie, a wyglądało na to, że Colytonowie już znaleźli swoje miejsce w społeczności.

Przez całą mszę Em tłumiła zniecierpliwienie i ukrywała zainteresowanie panem Silasem Coombe'em, który siedział dwa rzędy przed nimi. Kazanie pana Filinga było jak zwykle krótkie, lecz jej każda minuta dłużyła się niemiłosiernie.

Po ostatnim błogosławieństwie razem z rodziną dołączyła do wychodzących z kościoła. Zgodnie z obyczajem wierni zostawali pewien czas na placyku przed cmentarzem. Wymieniali najnowsze wieści i opinie z sąsiadami, dowiadując się o ostatnich wydarzeniach w okolicy. Bliźniaczki i Henry nie potrzebowali zachęty, aby oddalić się z tego miejsca. Z radością sami wyruszyli do gospody. Stojąca na pagórku Em widziała ich przez cały czas, aż znikli za drzwiami.

Ona i Issy krążyły pośród stojących, rozmawiały z klientami. Issy czekała, aż pan Filing będzie już wolny, a jej siostra nie odrywała oczu od Silasa Coombe'a, cierpliwie czekając na stosowną chwilę, aby do niego podejść.

Pośród tłumu był również obecny Jonas Tallent; chociaż wcale nie szukała go wzrokiem, jednak czuła na sobie jego spojrzenie i wiedziała, że jest obserwowana. Zagadując Coombe'a, będzie musiała stworzyć pozory przypadkowej rozmowy mało znajomych sobie osób.

Tak, jak zapowiedziały dziewczęta w kuchni, nie miała problemów z jego rozpoznaniem. Przywdział jaskrawozielony frak, kamizelkę o barwie kwitnących żonkili zapiętą na wielkie

srebrzyste guziki, a także fular – tym razem w typowym kolorze kości słoniowej – zawiązany w luźny węzeł. Wyróżniał się jak paw w stadzie gołębi. Ponieważ był raczej niski i korpulentny, jego postać wyglądała dość cudacznie.

W każdym razie nie można go było pomylić z kimś innym.

W końcu Filing był wolny i podszedł do Issy. Em odwróciła się, aby wymienić parę zdań z panią Weatherspoon, umożliwiając siostrze i jej adoratorowi rozmowę na osobności. Opuszczając towarzystwo starszej pani, zerknęła na Coombe'a, który właśnie składał ukłon lady Fortemain i odchodził.

Z łatwością przecięła mu drogę, pozornie zupełnie przypadkowo.

– Dzień dobry, panie Coombe. – Skłoniła lekko głowę i stanęła z zachęcającym uśmiechem, widząc zainteresowanie w jego oczach.

Zdjął kapelusz i wykonał elegancki ukłon.

– Panna Beauregard! Cała przyjemność po mojej stronie. Muszę pani pogratulować wielu korzystnych zmian, jakie pani wprowadziła w gospodzie. Wygląda teraz o wiele lepiej, ba, o niebo lepiej niż w przeszłości.

– Dziękuję panu. Słyszałam, że właśnie pan może to najlepiej ocenić jako miejscowy historyk.

– W rzeczy samej. – Chwycił się za klapy fraka i napuszył. – Gospoda była tu centrum życia od stuleci. Ha, mógłbym pani opowiedzieć…

– Naprawdę, mógłby pan? – Położyła dłoń na jego ramieniu, powstrzymując jego wylewność. Sprawa okazała się łatwiejsza, niż oczekiwała. – Z rozkoszą wysłucham wszystkiego, co zechciałby mi pan opowiedzieć, ale właśnie zorientowałam się, która jest godzina. Obawiam się, że muszę wracać do gospody, by dopilnować serwowania posiłków w porze lunchu. – Zawahała się, tak aby on to zauważył. – Nie chciałabym się narzucać, ale może mogłabym pana odwiedzić, na przykład dziś po południu, aby posłuchać pańskich opowieści? Taka historyczna wiedza naprawdę bardzo by mi pomogła.

Coombe zrobił jeszcze bardziej uradowaną minę.

– Nic nie mogłoby sprawić mi większej przyjemności, panno Beauregard. – Jakby trochę się zawstydził. – Doszło do moich uszu, że bardzo interesuje panią historia naszej miejscowości.

Widocznie ktoś z dworu musiał coś mu powiedzieć, ale to nie miało znaczenia.

– Rzeczywiście. Podobno ma pan wiele książek o przeszłości tych okolic. – Wciąż trzymając dłoń na jego ramieniu, nachyliła się i zniżyła głos, aby stojąca za nią para nie mogła jej usłyszeć. – A oprócz zdobycia historycznej wiedzy o gospodzie z radością poznam pańską kolekcję.

Coombe uśmiechał się już pełną gębą.

– Jestem naprawdę uszczęśliwiony, moja droga. Proszę już nic więcej nie mówić. Będę pani oczekiwał po południu i całkowicie oddam się do pani dyspozycji.

– A więc do zobaczenia. – Cofnęła dłoń i zrobiła pół kroku do tyłu. Z uprzejmym ukłonem i nieco zagadkowym uśmiechem odeszła. Powolnym krokiem wracała do Issy. Coombe wyraźnie postrzegał ich spotkanie w konspiracyjnym świetle, lecz wiedząc, że jest obserwowana przez Jonasa, uznała to za bardzo sprzyjającą okoliczność. Coombe raczej nie będzie rozpowiadał na prawo i lewo o tym, że umówili się na spotkanie.

Ich rozmowa była krótka, wcale nie dłuższa niż rozmowy Em z innymi mieszkańcami. Była pewna, że udało się jej ukryć swoje plany przed pracodawcą, który wciąż bacznie ją obserwował.

Już po chwili razem z Issy wracały do gospody.

* * *

Tuż przed trzecią, ubrana w ciemnoczerwoną suknię przeznaczoną na dłuższe spacery, którą rzadko wkładała, Em szła raźnym krokiem aleją po drugiej stronie gospody Pod Czerwonym Dzwonkiem. Jej prześladowca przebywał w barze, gdzie popijał z kufla tradycyjne angielskie piwo, więc wyśliznęła się tylnymi drzwiami i zatoczyła szeroki krąg, aby uciec spod jego uważnego spojrzenia.

A raczej uważnego gniewnego spojrzenia. Z jakiegoś powodu jego dotychczas obojętna mina zmieniła się. Nadal nieustannie ją obserwował, lecz teraz najwyraźniej był zły.

Może zaczynał wierzyć, że nie jest obiektem jej zainteresowania.

O dziwo, ta myśl wcale nie poprawiła jej nastroju, co wprawiło ją w lekkie osłupienie. Lecz zanim zdążyła głębiej wniknąć w to zagadnienie, znalazła się tuż przed furtką ostatniej chaty w rzędzie domów stojących przy drodze, tej naprzeciwko cmentarnej bramy.

Stanąwszy, rozejrzała się szybko dookoła. Nikogo nie było widać, więc wzięła głęboki oddech, otworzyła furtkę i podeszła ścieżką do drzwi.

Gdy zapukała, Coombe osobiście je otworzył – i to bardzo skwapliwie, co pozwalało przypuszczać, że oczekiwał jej przybycia, a być może nawet snuł się po holu koło drzwi. Poczuła na plecach lekki dreszcz niepokoju, gdy z przyklejonym uśmiechem odpowiedziała na jego powitalny ukłon i weszła do środka.

Zamknął drzwi i szerokim gestem zaprosił ją do saloniku.

– Proszę spocząć, panno Beauregard.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Dopiero teraz przypomniała sobie, że jest wysoce niewskazane, aby kobieta samotnie odwiedzała kawalera. Po prawdzie wcale nie postrzegała go jak kawalera, a nawet jak mężczyznę, lecz jako źródło informacji, lecz obecnie instynkty ostrzegały ją, aby miała się na baczności.

Mając do wyboru wyścielany fotel z poduchami oraz małą sofę, zajęła miejsce na sofie. Szybko tego pożałowała, gdy Coombe przysiadł obok niej. Wcisnęła się w sam narożnik z nadzieją, że on zrobi to samo z drugiej strony. Gdy tylko starannie ułożył poły swego fraku, przystąpiła do rzeczy.

– Czy ma pan książki o gospodzie i jej historii?

– Tak jest, panno Beauregard. – Zrobił mądrą minę. – Ale myślę, że mogę zaoszczędzić pani dużo czasu. Przygotowałem małe studium na ten temat.

– Fascynujące. – Nastawiła uszu, by chłonąć jego wiedzę o gospodzie. – Proszę mnie oświecić.

Coombe przystąpił do rzeczy. Em postarała się przybrać wyraz twarzy wyrażający stosowne zainteresowanie, od czasu do czasu wydawała krótkie dźwięki, aby potwierdzić, że nadąża za jego opowiadaniem. W sumie Coombe przekazał jej niewiele więcej ponad to, co wiedziała już lub czego się domyślała.

Lecz jedna rzecz ją zdziwiła.

– Czy gospoda zawsze należała do rodziny Tallentów?

– Tak jest, sami to wymyślili. Miała to być tawerna dla wszystkich pracujących w ich majątku… Oczywiście wtedy wioska była znacznie mniejsza.

– Więc Tallentowie mieszkają tu od… hm, od niepamiętnych czasów?

Przytaknął.

– Najpewniej od czasu podboju.

– Więc kiedyś Tallentowie mogli być liderami miejscowej społeczności?

Coombe uniósł brwi.

– Pewnie tak, chociaż uważam, że rodzina Fortemain mieszka tu mniej więcej tak samo długo, są jeszcze Smolletowie, lecz muszę powiedzieć, że ich przodkowie nie są tego samego kalibru.

Em zapamiętała to sobie, aby wrócić do tematu.

– A domy? Te duże, jak na przykład Ballyclose Manor i Grange? Bardzo się interesuję dawną architekturą, różnymi typami budynków, pokoi, pomieszczeń, jakie mieli do dyspozycji niegdysiejsi mieszkańcy. – Jej wzrok spoczął na twarzy Coombe’a. – Ciekawi mnie zwłaszcza Ballyclose Manor. Czy ma pan książki o jego historii?

Coombe chciał potwierdzić, chciał jej zaimponować wiedzą – wyraźnie to widziała, tymczasem po chwili spuścił nos na kwintę.

– Niestety, nie. Horatio Welham, który był kiedyś właścicielem tego domu, wielki kolekcjoner, miał najwspanialsze książki w bibliotece Ballyclose, a po jego śmierci Cedric Fortemain

odkupił wszystkie woluminy dotyczące tego dworu. Namówił mnie, abym także odprzedał mu kilka pozycji, jakie były w moim posiadaniu, więc wszystkie książki na temat Ballyclose są teraz w tamtejszej bibliotece.

– Rozumiem.

Rozczarowanie Em musiało być wyraźnie widoczne, gdyż Coombe nachylił się i położył dłoń na jej ramieniu.

– Ale co tam Ballyclose, moja droga panno Beauregard. Przecież mamy resztę mojej kolekcji. – Pożerał ją wzrokiem.

– No, może i tak. – Uwolniła ramię spod jego dłoni i odsunęła się na skraj sofy. – Ale ja zwykle badam kolejne tematy pojedynczo, a obecnie zajmuję się Ballyclose Manor.

Coombe wykrzywił usta w sugestywnym, pożądliwym uśmiechu i nachylił się jeszcze bliżej.

– Moja droga, niechże się pani nie wstydzi. Oboje wiemy, że przyszła tu pani po zupełnie inną naukę. Widzi pani we mnie mentora, który z wielką radością wyszkoli panią w sztuce zalotów, a to zagadnienie można w pełni zbadać tylko z dżentelmenem o moim doświadczeniu i artystycznym temperamencie.

Em patrzyła na niego osłupiała. Po chwili mocno chwyciła torebkę i poderwała się na równe nogi.

– Panie Coombe! Nie przyszłam tu po żadne takie nauki. Jeśli pan uważa inaczej, to nie tylko jest pan w błędzie, ale po prostu jest pan głupi. A skoro nie ma pan więcej informacji, których mógłby mi udzielić, wychodzę. I to natychmiast!

– Ależ… – Coombe zrobił skruszoną minę i wstał z sofy. – Panno Beauregard, ja… to znaczy, droga pani, proszę uwierzyć, to tylko małe nieporozumienie…

Zignorowała jego bezładną gadaninę. Wyszła z salonu, otworzyła szeroko wejściowe drzwi. Stojąc na progu, pomyślała, że ktoś może właśnie przechodzić tą drogą i zobaczyć ją. Odetchnęła głęboko i odwróciła się do Coombe’a, który stał tuż za drzwiami, wyłamując sobie palce – z komiczną konsternacją na twarzy. Zacisnąwszy usta, posłała mu lodowate spojrzenie, po czym sztywno kiwnęła głową.

– Do widzenia panu.

Obróciwszy się na pięcie, wolno zbliżyła się do furtki, otworzyła ją i wyszła. Ze spokojem zamknęła ją na zasuwkę i, nie spoglądając za siebie, szybko ruszyła drogą. Cały czas myślała o zakończonym przed chwilą spotkaniu, czując wypieki na policzkach. Jak ten Coombe mógł sobie wyobrażać… ale przecież, z drugiej strony, zajmowała się zarządzaniem gospodą, więc musiał zakładać, że ona jest… zdesperowana.

Aż zagotowała się w środku. Czuła wzburzenie, irytację, snuła przeróżne napawające grozą domysły, była na siebie wściekła, że tak źle odczytała jego intencje. Na Boga, on też źle odczytał jej intencje! Była doprowadzona do pasji, chociaż i to nie do końca oddawało jej stan.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

Na dźwięk tych słów aż się zachwiała, lecz już po chwili opanowała się i z uniesioną głową poszła dalej.

– Nie.

Usłyszała szelest liści, gdy Jonas Tallent wyszedł z cienia pobliskiego krzaka, a potem cichy odgłos kroków, gdy dogonił ją kilkoma długimi susami.

Zrównał się z Em.

– Jeśli mi powiesz, czego szukasz, być może będę w stanie ci pomóc.

Przez tydzień nie posunęła się ani o krok dalej. Issy miała głowę zajętą innymi sprawami, prowadziła własne poszukiwania. Przydałaby się jej pomoc, zwłaszcza ze strony kogoś inteligentnego i miejscowego, ale… zniecierpliwiona pokręciła głową.

– Niczego nie szukam, po prostu chcę się czegoś dowiedzieć.

– Więc powiedz, czego chcesz się dowiedzieć, być może znam odpowiedź, a przynajmniej będę wiedział, jak ją zdobyć.

Jego słowa brzmiały bardzo rozsądnie… Zatrzymała się i odwróciła do niego.

Jonas także stanął, spojrzał na nią z góry, patrzył, jak badawczo wodzi wzrokiem po jego twarzy, szuka czegoś w jego oczach. Po raz pierwszy rozważała, czy może mu zaufać,

dopuścić go do swoich tajemnic, przyjąć jego pomoc – po prostu zaakceptować go. Widział jej wewnętrzną walkę. I przypuszczał, że to właśnie ta ostatnia rzecz okazała się decydująca, zaciskając bowiem usta, aczkolwiek niechętnie, pokręciła głową.

Po czym podjęła przerwany marsz.

Rozczarowany, lecz wcale niezaskoczony, poszedł obok niej. Zerkając na jej profil, zastanawiał się, co musiałby zrobić, aby pokonać tę ostatnią przeszkodę, zyskać jej akceptację, sprawić, by przyjęła jego pomoc w swoich poszukiwaniach, czegokolwiek poszukiwała… I dopiero wtedy zauważył kolor jej policzków.

Poczuł lodowaty chłód, nie z powodu utraty ciepła, lecz z powodu nagłego przypływu złości. Nabrał głęboko powietrza, aby uspokoić głos i starannie dobrać słowa.

– Emily, Coombe jest znany z tego, że… źle interpretuje słowa kobiet, słyszy w ich wypowiedziach to, co chce usłyszeć. Wiem, że w przeszłości zrobił tak samo z Phyllidą. – Idąc krok w krok z nią, nachylił się, aby spojrzeć na jej twarz. – Ale on nie zrozumiał opatrznie twojego zainteresowania, prawda?

Jej powracający rumieniec wystarczył mu za odpowiedź

Zatrzymał się gwałtownie.

– Co on zrobił? – Złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie.

Em zamrugała, zdumiona – nie, zszokowana – jego tonem. W jego głosie zabrzmiało coś o wiele bardziej prymitywnego od zwykłej dżentelmeńskiej opiekuńczości, w jego oczach zapłonął ogień, a rysy jego twarzy wyostrzyły się. Opanowała zdziwienie.

– Nic!

Nie mógłby rozerwać Coombe’a na strzępy, gdyby z nią poszedł w przeciwnym kierunku, więc odwróciła się i znowu zaczęła iść. Po chwili wahania ruszył za nią.

– Tak, źle zinterpretował, ale jeśli pan uważa, że nie potrafię pokazać dżentelmenowi, gdzie jest jego miejsce, to niestety ma pan…

– Rację?

Ton jego głosu wcale się nie zmienił. Znowu poczuła wypieki na policzkach, bo przypomniała sobie, że to jemu do tej pory nie zdołała pokazać, gdzie jego miejsce. Sprowokowana postanowiła mu odpowiedzieć.

– Pan jest po prostu tępy. Większość mężczyzn rozumie moje intencje i dość szybko prawidłowo ocenia moje stanowisko.

Prychnął, ale mocniej wyciągnął nogi, idąc tuż obok niej. Już miała pogratulować sobie zwycięstwa w tej bitwie, gdy nagle usłyszała:

– Mimo wszystko złożę Coombe'owi wizytę.

Miała już tego dosyć. Z pełnym frustracji sykiem natarła na niego wściekła.

– Nie zrobi pan tego! – Zacisnąwszy pięści, zmierzyła go nienawistnym spojrzeniem. – Nie jest pan moim opiekunem, a ja nie przynależę do pana. To, co się wydarzyło między nim a mną, to nie jest w najmniejszym nawet stopniu pańska sprawa. To, że pozwoliłam, aby pan mnie pocałował, i że w nieprzemyślany sposób odpowiedziałam pocałunkiem, absolutnie nic nie znaczy, o czym pan doskonale wie!

Na jego twarzy pojawiła się dziwna pustka. Popatrzył na nią.

– To nic nie znaczy?

Rozdrażniona, rozpostarła szeroko ręce.

– A czego by pan chciał? Aby to coś znaczyło?

Spoglądając w jej rozświetlone oczy, Jonas zdał sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Nigdy o tym nie myślał, nie zadał go sobie.

Dojrzała pustkę w jego oczach.

– No właśnie – mruknęła. Ruszyła w dalszą drogę. – Już panu mówiłam, panie Tallent – powiedziała, nie odwracając głowy – i to kilka razy, że moje sprawy pana nie dotyczą.

A on mówił jej, że to nieprawda.

Podniósł dłonie do ust i patrzył za nią, czując, jak jej słowa, w których brzmiały odrzucenie i odmowa, przenikają go, a potem spływają po nim. Nie trzymały się go, nie pasowały, gdyż były niezgodne z prawdą. Nie pasowały do jego odczuć ani do tego, co ona tak naprawdę czuła.

Zadała mu pytanie, a żadne z nich nie znało na nie odpowiedzi. Więc czego on tak naprawdę chce? Co to wszystko znaczyło? Opuściwszy ręce, poszedł za nią.

* * *

Dziesięć minut później Jonas usiadł ciężko na ławie w słabo oświetlonym narożniku baru i pociągnął długi łyk piwa, które nalał mu Edgar.

Przyszedł za Em do zajazdu, a ona, z podniesioną wysoko głową, weszła, rozejrzała się i uciekła do kantoru.

A on, zamiast iść za nią, tym razem wolał poszukać odosobnienia w ustronnym, zaciemnionym miejscu.

Świadomie czy też nieświadomie, rzuciła mu kolejną rękawicę, kolejne wyzwanie, postawiła przeszkodę, którą będzie musiał pokonać, jeśli chciał kontynuować pościg za Em.

Powiedziała mu, żeby zdefiniował cel tego pościgu, wyjaśnił, czego dokładnie oczekuje.

Musiał przyznać, że było to uczciwie postawione i rozsądne pytanie.

Sugerowała – a zapewne również wierzyła – że brak natychmiastowej odpowiedzi z jego strony oznacza brak poważnych zamiarów, ale przecież on podchodził do niej bardzo poważnie. Po prostu nie nadążał za swoimi intencjami i nie określił ostatecznego celu, jaki chciał osiągnąć. To przeoczenie nie oznaczało, że nie zamierzał osiągnąć jakiegoś celu – po prostu jeszcze nie ubrał go w słowa.

To ostatnie wcale nie było łatwe, ponieważ gdy chodziło o nich dwoje, ewolucja wzajemnych relacji nie miała wiele wspólnego z logiką. Ani z rozsądkiem. Mógł sobie analizować wszystko do bólu, lecz ich stosunki coraz bardziej kształtowały się na podstawie odczuć i emocji, a jeszcze bardziej — ich reakcji na te emocjonalne stany, a takie nieokrzesane zachowania na każdym kroku sprzeciwiały się wszelkim zasadom logiki.

Oparł się ciężko o ścianę, wyciągnął nogi, popijając piwo – i przez całe popołudnie obserwował Emily Beauregard, która krzątała się po jego gospodzie, wykonując swoje obowiązki. Od czasu do czasu rzucała w jego kierunku gniewne spojrzenia.

Czego on chce od niej? A może z nią?

Znał różne odpowiedzi. Chciał ją mieć w łóżku, chciał, aby mu zaufała – z jakiegoś powodu czuł się w obowiązku zdjąć z jej wąskich barków wszelkie troski tego świata. Inne, związane z tymi pragnienia krystalizowały się w jego myślach – chciał ją chronić, dzielić z nią życie, być częścią jej życia.

Czego ostatecznie pragnął w związku z Emily? Jakie miałaby zająć miejsce w jego życiu?

Ale czy na pewno nie ma cienia wątpliwości, że tego właśnie potrzebuje?

Zanim wstał i wrócił do lady, aby oddać pusty kufel, a potem skierował się do drzwi, znał już odpowiedź na swoje i jej pytania.

Określił swój ostateczny cel.

A teraz musiał pokierować Emily w stronę swego celu. I przekonać ją, aby się zgodziła.

Rozdział 8

Następnego ranka, postukując palcami po bibularzu, spoglądając przed siebie niewidzącym wzrokiem Em siedziała w kantorze i rozmyślała, jak poprowadzić poszukiwania skarbu. Najbardziej sensowne wydawało się ustalenie wieku Ballyclose Manor, przed podjęciem próby spenetrowania jego piwnic, nawet jeśli ten sposób wydawał się najeżony licznymi przeszkodami.

Wciąż była wściekła na Silasa Coombe'a, lecz pod tą złością krył się niepokój, wrażenie niezadowolenia, które jeszcze bardziej dawało się jej we znaki.

Ignorując te odczucia, długie minuty szukała sposobu na to, aby posunąć poszukiwania do przodu, lecz nie przychodził jej do głowy żaden nowy pomysł.

Mijały godziny poranka, trzeba było wziąć się do pracy. Z westchnieniem przestała skupiać się na kwestii skarbu – jeszcze bardziej stanowczo porzuciła myśli o Jonasie Tallencie – i skupiła się na poczynaniach mających na celu spełnienie oczekiwań od niedawna lojalnych klientów, oczekiwań powstałych dzięki jej zabiegom przywracającym dawną świetność Pod Czerwonym Dzwonkiem.

Stopniowo gospodę odwiedzało coraz więcej mieszkańców – w różnym wieku, różnej płci i stanu. Przychodzili licznie na śniadania, przekąski, lunch i podwieczorek, a wieczorem gości było tak wielu, że należałoby wprowadzić system rezerwacji stołów na kolację.

Po konsultacji z Hildą w sprawie cotygodniowego zamówienia dostaw od Fincha, po sprawdzeniu razem z Edgarem zapasów piwa Em wróciła do kantoru, aby uporządkować rachunki.

Była zajęta tą pracą, gdy nagle usłyszała chrząknięcie i lekkie pukanie w otwarte drzwi. Uniosła głowę.

W wejściu stał Pommeroy Fortemain, rozglądając się po jej małym królestwie.

– Tak sobie myślę – powiedział, przenosząc wzrok na Emily – że to niezbyt wykwintna klitka. Kiedy Edgar powiedział, że jest pani w gabinecie, wyobraziłem sobie coś na kształt gabinetu Cedrica w jego domu. – Ponownie omiótł wzrokiem wnętrze. – Na pani miejscu zwróciłbym na to uwagę Tallentowi, panno Beauregard. Chyba to do pani nie pasuje? – Z szerokim uśmiechem popatrzył na nią z góry. – Niezbyt odpowiednia to oprawa dla tak pięknego kwiatu, prawda?

Em wcale nie musiała się wysilać, aby mu okazać, że nie popadła w zachwyt. Przyjęła do wiadomości jego uwagę z delikatnym uśmiechem na zaciśniętych ustach, marszcząc brwi. Wyniki dodawania w dwóch kolumnach nie zgadzały się.

– Jak mogę panu pomóc, panie Fortemain?

Machnąwszy ręką, wszedł do pokoju.

– Nie ma sensu bawić się w formalności, droga panno Beauregard. Na imię mi Pommeroy, więc proszę uwolnić się od kajdan konwenansu.

Kiwnęła głową. Po spotkaniu z Silasem Coombe'em nie miała ochoty uśmiechać się do mężczyzn, których nie zamierzała darzyć sympatią. Po co prowokować kolejne nieporozumienia.

– Więc jak mogę pomóc?

– A właśnie – uśmiechał się Pommeroy. – Przyszedłem, aby przekazać zaproszenie od mojej mamy. – Sięgnął do kieszeni fraka i wyjął kartkę, którą przekazał jej z rumieńcem na policzkach. – Na przyjęcie z tańcami, które odbędzie się w sobotę wieczorem w Ballyclose. Mamy nadzieję, że przyjdziecie razem z siostrą.

Em patrzyła na karteluszek o barwie kości słoniowej. W końcu wyciągnęła rękę i wzięła go od Pommeroya. Nie planowała udziału w przyjęciach podczas poszukiwań skarbu. Lecz przecież i ona, i Issy miały tu ze sobą cały swój dobytek, a

więc także wieczorowe suknie, chociaż nie były one ostatnim krzykiem mody.

Mimo że wuj Harold wykorzystywał je jako niepłatnych pracowników, to zawsze dbał o zachowanie pozorów, co oznaczało, iż z konieczności towarzyszył jej, a potem także Issy, w spotkaniach towarzyskich miejscowych kobiet. Miał do wyboru to albo narażenie się na niezapowiedziane wizyty tychże pań, ciekawych, jak się miewają jego siostrzenice.

Ich suknie były już niemodne, ale będą musiały wystarczyć. Lecz przecież Em była… zarządcą gospody. Takie zaproszenia wywoływały w niej poczucie, że oto stoi po obu stronach niezbyt komfortowej linii podziału… a raczej stanęłaby, gdyby miejscowi nie postanowili traktować jej i Issy jak młodych dam, którymi faktycznie były.

Pommeroy przyglądał się uważnie Em, zdziwiony jej brakiem entuzjazmu.

– Oczywiście będą miejscowi właściciele ziemscy. Zresztą wszyscy przychodzą na przyjęcia mojej mamy, to już tradycja.

Z roztargnieniem pokiwała głową, wbijając wzrok w zaproszenie. Nic nie mogła poradzić na to, że miejscowa społeczność pragnęła przyznać jej rodzinie status, jaki ta faktycznie posiadała. A kiedy znajdą skarb, powrócą do statusu Colytonów z Colyton, odzyskają pozycję społeczną należną ich nazwisku.

Nie miało sensu kurczowe trzymanie się wersji, że jest jedynie oberżystką, skoro wszyscy chcieli traktować ją inaczej.

Poza tym – Em starała się trzymać na wodzy typowe dla Cloytonów upodobanie do ryzyka – był jeszcze jeden niezaprzeczalny fakt: skoro chciała przejrzeć książki o Ballyclose Manor, a już wiedziała, że znajdują się ona w bibliotece, to przyjęcie z tańcami stworzyłoby idealną ku temu sposobność.

Zbyt dobrą, aby z niej nie skorzystać.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do wpatrzonego w nią Pommeroya.

– Bardzo dziękuję. Proszę przekazać wyrazy uszanowania lady Fortemain. Ja i siostra przyjdziemy na przyjęcie z wielką przyjemnością.

– Świetnie! – Rozpromieniony Pommeroy uniósł dłoń w salucie. – Ale pierwszy walc jest mój, tak?

Przestała się uśmiechać.

– Być może. Zobaczymy. – Z poważną miną pochyliła głowę. – Proszę wybaczyć, muszę zająć się rachunkami.

Wciąż uradowany Pommeroy pomachał jej ręką i wyszedł.

Patrzyła na miejsce, które przed chwilą opuścił, westchnęła i wróciła do rachunków.

* * *

Zanim nadszedł sobotni wieczór, zniecierpliwienie Emily sięgnęło zenitu. Jak najszybciej chciała wszcząć poszukiwania. Być może zwracała uwagę bliźniaczkom, aby nie robiły nic lekkomyślnie, lecz gdy jej przyszło zachować podobną ostrożność – a co gorsza, sama skazała się na sześć dni bezczynności – boleśnie odczuła tę długą próbę, na jaką została wystawiona.

Gdy tylko John Ostler pomógł im wysiąść z powozu, który był do dyspozycji zajazdu, Em razem z Issy wmieszały się w tłum gości zmierzających po stopniach do głównego wejścia Ballyclose Manor i dalej do sali balowej. Niemniej jednak, zamiast marzyć o tańcach, Em nie mogła się doczekać, aby obejrzeć bibliotekę.

Czując coraz silniejsze pragnienie, by się wymknąć, musiała opanować właściwą Colytonom brawurę. Jednakże wejście do biblioteki podczas balu było o wiele mniej ryzykowne niż włamanie się i przeszukanie piwnic.

Issy ubrana była w błękitną suknię z muślinu z haftowanymi wstążkami wokół szyi i na rąbkach, jej jasne włosy opadały w delikatnych lokach po obu stronach twarzy. Teraz nachyliła się do ucha Em.

– Rozumiem, że nic nie znalazłaś w tych książkach? – wyszeptała.

– Nie – odparła Em cicho, aby nikt jej nie usłyszał. – Były tam opisy wszystkich większych domów, łącznie z Ballyclose, ale ani wzmianki o tym, że któryś z nich stał tu już w osiemnastym wieku. – Spojrzała na fasadę ponad głównym wejściem. – Muszę się dowiedzieć, kiedy zbudowano ten dwór.

Issy zmarszczyła brwi.

– Sama wszystko robiłaś. Nie pozwolę ci iść w pojedynkę. Pójdę z tobą i będę stać na czatach.

Em chwyciła ją za nadgarstek i lekko potrząsnęła.

– Nonsens. Już ci tłumaczyłam, że zaczekam, aż późnym wieczorem wszyscy będą pochłonięci balem. Filing mówił ci, że tu przyjdzie, a nie ma powodu, abyś nie miała spędzić z nim tyle czasu, ile tylko będziesz mogła. Żadna z nas nie jest na tyle młoda, abyśmy nie mogły rozmawiać z mężczyznami bez przyzwoitki. Korzystaj z każdej chwili.

Ruszyły dalej, kiwając głowami Courtneyom, których poznały na podwieczorku w Ballyclose.

– A poza tym – podjęła Em ściszonym głosem – Filing i tak nie będzie cię spuszczał z oczu, więc byłoby zbyt niebezpieczne, gdybyś poszła ze mną, bo wtedy on ruszyłby za tobą, i co byśmy z tego miały?

Issy skrzywiła się. Przez chwilę dreptały w milczeniu.

– Skoro jesteś tego pewna…

Emily kiwnęła głową, uśmiechając się do kolejnej znajomej osoby.

– Jestem pewna. Nie martw się. Jakie niebezpieczeństwo może mi grozić, gdy zajrzę do biblioteki dla dżentelmenów?

W końcu dotarły na czoło grupy napływających gości, złożyły ukłon gospodyni i żonie Cedrica o imieniu Jocasta, po czym przeszły do dużej sali balowej, już pełnej ludzi.

– Widzisz? – Em ruszyła, aby wmieszać się w tłum. – Łatwo mi będzie niezauważenie się wycofać.

Issy mruknęła coś wymijająco. Em spojrzała w tym samym kierunku co ona i ujrzała jasną czuprynę Filinga, który

zdecydowanymi ruchami przepychał się w ich kierunku. Zatrzymała się, powstrzymując pełen zachwytu uśmiech.

– Dobry wieczór, panno Beauregard. – Filing złożył jej bardzo wyszukany ukłon. Podała mu dłoń z zachęcającym uśmiechem.

– Miło mi widzieć pana w bardziej towarzyskich okolicznościach.

– W rzeczy samej. – Również się uśmiechnął. W końcu pozwolił sobie przenieść wzrok na główny obiekt swego zainteresowania. – Witam, panno Isobel.

Issy zaczerwieniła się i rozpromieniła w sposób, jakiego Em nigdy jeszcze u niej nie widziała.

– Dobry wieczór – odpowiedziała, podając mu dłoń.

Em z trudem opanowała wesołość: ani Issy, ani Filing nie potrafili skrywać swoich uczuć. Ich spojrzenia były przeznaczone tylko dla nich; zapewne jedynie ostry kuksaniec byłby w stanie przypomnieć im o bożym świecie.

Dotknąwszy ramienia Issy, skinęła głową wikaremu.

– Porozmawiajcie sobie.

Gdy szła pośród obecnych, zastanawiała się, ile czasu jeszcze minie, zanim Filing poprosi o rękę jej siostry. Radość z powodu szczęścia Issy była jednak okraszona lekkim żalem, że sama, mając dwadzieścia pięć lat oraz bliźniaczki i Henry'ego pod opieką, musiała odsunąć na bok myśli o zamążpójściu. Mimo to tak szczerze i głęboko cieszyła się szczęściem siostry, że chciało się jej tańczyć.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki muzycy siedzący na galerii w drugim końcu sali zaczęli grać pierwsze takty walca. Jakże dawno nie tańczyła walca.

Gdy rozbrzmiała muzyka, Jonas spostrzegł, że Em rozgląda się dookoła, jakby szukała partnera. Ponieważ przybyła dopiero przed chwilą i nie rozmawiała z żadnym mężczyzną oprócz Filinga, stanowisko partnera do walca powinno być jeszcze nieobsadzone. Zanim jeszcze zdążył o tym pomyśleć, już szedł w jej stronę.

Wyglądała… smakowicie. Tak świeżo i rześko w zielonej jedwabnej sukni, a jej włosy lśniły w blasku światła żyrandoli.

Tym razem upięła włosy w kok na czubku głowy, a krótkie loki, które zwykle próbowała okiełznać, opadały swobodnie, tworząc oprawę jej twarzy.

Jedwab cudownie przylegał do jej ciała, uwydatniając krągłe kształty, delikatne kobiece ramiona, pełne wdzięku ręce, bujne piersi, wąską talię, którą z łatwością objęłyby męskie dłonie ponad pełnymi biodrami, a także – mimo niskiego wzrostu – niespodziewanie długie nogi. Jej wizerunek przywodził na myśl kieszonkową wersję Wenus.

Przynajmniej jemu.

W jednej chwili był przy niej, ujął jej dłoń.

– Och! – Wyrwało się z jej ust. Instynktownie odwróciła się do niego.

Unosząc rękę Em, musnął wargami jej palce. Zauważył wyraźny rumieniec na jej policzkach. Uśmiechnął się.

– Znowu się spotykamy, panno Beauregard.

Kiwnęła głową, próbując przybrać surową minę.

– Dobry wieczór, panie Tallent.

– Miałaś do mnie mówić: Jonas, pamiętasz?

Odwróciła wzrok, spoglądając w kierunku parkietu. Gdy dotknął jej palców, wyczuł, jak niecierpliwie czekała, aby dołączyć do par zmierzających na pusty środek sali. Aby tańczyć. Była jak dobrze ułożona młoda klacz, jeszcze na uwięzi, ale wyrywająca się do biegu.

– Czy mogę prosić, aby ofiarowała mi pani tego walca, panno Beauregard?

Gwałtownie spojrzała w jego twarz.

Wyraźnie widział po jej oczach, jak walczyła ze sobą. Uśmiechnął się.

– Obiecuję, że nie będę gryzł.

Wahała się jeszcze przez moment, w końcu kiwnęła głową.

– Dziękuję. Chętnie zatańczę walca.

Czuł, że to duże niedomówienie. Położył dłoń Em na swoim przedramieniu i poprowadził ją przez tłum gości. Już po chwili zagrodził im drogę Pommeroy Fortemain.

– Panno Beauregard! – Wydawał się lekko zaszokowany. – Chyba pani zapomniała, że to mnie obiecała pierwszego walca.

– Dobry wieczór, panie Fortemain. – Doskonale pamiętała swoje słowa. – Jeśli chodzi o ten taniec, to o ile pan sobie przypomni, wcale nie przyjęłam pańskiej sugestii, aby pierwszego walca zarezerwować dla pana. Wówczas nie było powodu, abym miała podjąć taką decyzję. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Proszę nam wybaczyć.

Miała nadzieję, że Tallent zrozumie aluzję i poprowadzi ją dalej. Tymczasem stał jak wryty i spoglądał na nią nieodgadnionym wzrokiem, dzięki czemu Pommeroy zyskał chwilę, aby zaprotestować.

– Ale ja… oczekiwałem. Myślałem, że…

Em popatrzyła na Jonasa błagalnie. Życzyła sobie, aby ją wybawił z tej kłopotliwej sytuacji. Jednak był wyraźnie rozbawiony. Zdobył się jedynie na to, aby pytająco unieść brwi.

Zostawił jej decyzję, aby wybrała jego zamiast Pommeroya. Powinna zmienić zdanie, ale… tak naprawdę nie było wyboru. Wybranie Pommeroya i odmówienie Jonasowi byłoby jak amputacja palca po to, by ocalić rękę. Nie wiedziała, czy Jonas dobrze tańczy walca, ale przecież mieszkał w Londynie, więc na pewno umiał tańczyć. Z drugiej strony, Pommeroy…

Spojrzała mu w oczy.

– Bardzo żałuję, Pommeroy, ale niczego nie obiecałam.

Zrobił niezadowoloną minę.

Jeśli Em z Jonasem nie znajdą się szybko na parkiecie, sprawa przybierze rozmiary sądowej rozprawy. Nabrała głęboko powietrza.

– Może następny taniec. – Który niemal na pewno nie będzie walcem.

Pommeroy wydawał się niepocieszony.

– No dobrze, niech będzie następny.

Uśmiechnęła się sztucznie.

Jonas kiwnął mu głową i w końcu poprowadził ją dalej na parkiet, na którym inne pary tańczyły już walca.

Odwróciwszy się, wziął ją w ramiona.

Rozkojarzona przez Pommeroya Em zaczęła tańczyć bez zastanowienia, nieprzygotowana na nagły przypływ wszelakich emocji. Dała się objąć i niemal wydała lekki okrzyk, gdy zaczęli kręcić się po parkiecie. Zesztywniała, jakby to mogło powstrzymać falę nowych doznań, stępić zmysły, powstrzymać zawrót głowy.

On zdawał się tego nie zauważać. Pewnym krokiem wprowadził ją w taniec.

W leniwe pląsy.

Płynęła w powietrzu, a jej stopy pawie nie dotykały podłogi, gdy bez wysiłku kręcił nią w ramionach.

– Świetnie pan tańczy, panie Tallent. – Zanim zdążyła pomyśleć, wyrzuciła z siebie ten komplement, który był stwierdzeniem faktu.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Dziękuję. Dobrze mieć partnerkę, która nie próbuje prowadzić.

Zazwyczaj sama prowadziła; zwykle tańczyła o wiele lepiej od swoich partnerów, więc trudno jej było się od tego powstrzymać. Ale z nim… nie uświadomiła sobie tego, ale nie czuła takiej potrzeby. On doskonale wiedział, co robi.

Co zademonstrował, perfekcyjnie wprowadzając ją w prawy obrót, po chwili znowu – w idealnej fizycznej harmonii. Zaczęli tańczyć nieco swobodniej, przemieszczając się przez długość sali.

– Mam jedno zastrzeżenie. – Znowu uniósł brwi, przykuwając jej wzrok. – Więc do niego mówisz: Pommeroy, a do mnie: panie Tallent?

W jego ciemnych oczach krył się ciężar, do którego – niech jej Bóg pomoże – już za bardzo się przyzwyczajała. Spróbowała wytrzymać to spojrzenie… w końcu zrobiła lekko nadąsaną minę.

– No dobrze. Niech będzie Jonas.

Uśmiechnął się promiennie, a ona przestała oddychać. Po chwilowym oszołomieniu pierwszą myślą była wdzięczność, że już wcześniej nie uśmiechał się do niej w ten sposób.

Wciąż nie mogła oderwać od niego oczu; wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem, zdecydowanie zbyt badawczym, aby mogła zachować spokój. Spojrzała ponad jego lewym ramieniem, spróbowała pomyśleć o czymkolwiek niezwiązanym z Jonasem Tallentem.

Nie chodziło o doznania, gdy była zamknięta w jego ramionach, kręcąc się po parkiecie. O poczucie ograniczenia, lecz nie poddaństwa czy podporządkowania się. Chodziło o jej żywą reakcję, o dopasowanie się do sytuacji.

O wrażenie, że oto dwie połówki tworzą całość, i w tańcu poruszają się razem w pełnej harmonii.

W przeszłości tańczyła walca dość często, ale z żadnym innym partnerem nie było jej tak dobrze.

Tak przyjemnie.

Wciąż czuła jego spojrzenie, lecz sama nie ośmieliła się podnieść wzroku. Silnie odczuwała jego obecność – jego pierś ledwie o kilka cali od jej biustu, długie silne uda, którymi dotykał jej nóg podczas obrotów, moc jego ramion i całą zgrabną postać. Była pewna, że gdyby na niego spojrzała, dojrzałby to w jej oczach.

Nie potrzebował zachęty. Cały czas ją tropił – chociaż w ciągu ostatnich kilku dni nie próbował jej nagabywać, to wiedziała, że jest to część jego planu. Zapewne doszedł do wniosku, że po ich ostatniej kłótni, gdy zarzuciła mu brak szlachetnych intencji, powinien dać jej nieco więcej swobody i nie naciskać, aby później lepiej zareagowała na jego kolejny krok.

Tak też się stało. Gdyby miała choć trochę rozumu, nie zgodziłaby się na tego walca, a na pewno nie odmówiłaby go Pommeroyowi.

Jednak chciała zatańczyć, i pomimo wszystko chciała tańczyć właśnie z nim. Z Jonasem.

Ogarnęło ją lekkie zdumienie. Chciałaby powiedzieć samej sobie, że wybrała go, bo domyślała się jego wysokich tanecznych umiejętności, jednak nie mogła się łudzić – ten argument wcale nie był przeważający.

A to oznaczało, że coś jeszcze – idiotyczny impuls, którego do tej pory nie opanowała – przeniknął jej obronne szańce i teraz stał się siłą przewodnią jej działania.

Natura Colytonów nie miała nic do rzeczy.

Będzie musiała strzec się tego impulsu, a jeśli Jonas jest taki, ja podpowiadała jej intuicja, będzie musiała mieć się na baczności także przed nim.

Z żalem usłyszała, że muzycy grają ostatnie takty walca. Jonas poprowadził ją przez ostatni obrót i zatrzymał się, a ona cofnęła się o krok, uwolniła z jego ramion i dygnęła.

Unosząc się, skłoniła lekko głowę.

– Dziękuję. To było… miłe. – Poczuła coś jakby zawód z powodu utraty ich bliskości, z powodu poczucia, że już nie jest w jego ramionach.

Uśmiechnął się, zapewne doskonale o tym wiedział.

Przyszło jej do głowy, że poza tą jedną ciętą uwagą, wcale się nie odzywał, a raczej trzymał język za zębami, przemawiając do niej tańcem działającym na jej zmysły. Zaczęła patrzeć na niego spod lekko zmrużonych powiek.

– Ach, panna Beauregard. Gotowa na następny taniec?

Odwróciła się i zobaczyła Pommeroya, który spoglądał na nią wyczekująco, rozpromieniony. Rozległy się pierwsze akordy kadryla.

Nadszedł czas pokuty. Zmusiła się do uśmiechu i wyciągnęła rękę.

– Panie Fortemain.

Ująwszy jej dłoń, poklepał ją delikatnie, prowadząc Emily na parkiet.

– Pommeroy, moja droga. Po prostu Pommeroy.

Godząc się na mówienie do mężczyzn po imieniu, poddała się losowi i temu, co jej przyniesie.

Jonas przez chwilę patrzył za nią, po czym udał się na poszukiwanie Phyllidy, którą wcześniej zauważył w tańcu z Lucyferem.

Chwilowo jego wróbliczka znalazła się w pułapce, ale nic jej nie groziło, gdyż żadne niebezpieczeństwo nie mogło czyhać w

sali balowej u lady Fortemain. Miał więc czas, aby znaleźć siostrę i sprawdzić, czy dowiedziała się od swego męża, jakie książki wypożyczyła Em, i czy z tego mogliby wydedukować coś więcej o celu jej pobytu w tej okolicy.

A potem miał zamiar zaprosić ją do kolejnego walca.

W jego ramionach czuła się jak puch ostu, niesamowicie lekko. Byłą drobną kobietą – głową nie sięgała mu wyżej ramienia – lecz jej wesołe oczy doskonale wyrażały tętniące życiem wnętrze. Wiedział, że tańczyła z nim z przyjemnością, lecz przecież była to przyjemność obopólna. Cieszył się, że nie okazała się jedną z tych kobiet, które każdą chwilę ciszy wypełniają paplaniną, dzięki czemu mógł delektować się tańcem i świadomością, że trzyma ją w ramionach.

Nie oznaczało to jeszcze, że był usatysfakcjonowany, jeszcze nie, ale na pewno będzie. Teraz, gdy już znał swój cel – w końcu ubrał go w słowa i przyjął do wiadomości, że pragnie, aby Em została jego żoną – będzie uparty i nieugięty. Tak, jak ją ostrzegał, był mężczyzną nieustępliwym i cierpliwym.

***

Emily nie wiedziała, że będzie miała takie powodzenie. Gdy taniec z Pommeroyem dobiegł końca, jej partner sprawiał wrażenie, jakby chciał ją zarezerwować wyłącznie dla siebie. Jego coraz większa natarczywość zaczęła wyprowadzać ją z równowagi; rozglądała się dookoła, szukając szansy ucieczki, gdy nagle, ku wielkiej uldze, zobaczyła zbliżającego się brata Pommeroya, Cedrica, z wiadomością, iż wzywa go lady Fortemain. Nie kryjąc niezadowolenia, że musi ją opuścić, nadąsany Pommeroy oddalił się. Cedric dotrzymał Em towarzystwa, prowadząc niezobowiązującą rozmowę. Zastanawiała się, czy nie wtrącić niewinnego pytania o wiek domu, lecz postanowiła, że najpierw zbada bibliotekę. Po chwili, zaskoczona, usłyszała z jego ust zaproszenie do następnego tańca.

Potem zatańczyła jeszcze z Filingiem, który rozdzielony z Issy – wirującą na parkiecie z Basilem Smolletem – zaczął bezceremonialnie wypytywać Em o upodobania jej siostry.

Śmiejąc się, chętnie udzielała mu odpowiedzi. Oprócz tego, że aprobowała go jako kandydata do ręki Issy, po prostu szczerze go polubiła.

On także wydawał się darzyć ją sympatią. Przez pewien czas rozmawiali o Henrym i bliźniaczkach. Niebawem jednak dołączyła do nich Issy, więc Em usunęła się, by po chwili paść łupem drugiego najprzystojniejszego mężczyzny w Colyton. On także poprosił ją do tańca, który okazał się tańcem ludowym, lecz umożliwiał rozmowę.

– Skąd to imię, Lucyfer? – musiała zadać to pytanie. – Przecież nie zostało nadane podczas chrztu.

Roześmiał się.

– Rzeczywiście, nie. To przezwisko z młodości.

– Związane z byciem diabłem?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie, z byciem mrocznym, upadłym archaniołem.

Musiała to przetrawić, po czym spojrzała na niego z udawaną przyganą.

– Domyślam się, że nie nadali go panu mężczyźni.

– Nie, jeśli musi pani wiedzieć, wymyśliły je damy z wyższych sfer.

Uniosła rękę.

– Myślę, że dowiedziałam się wystarczająco dużo. Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły.

– I dobrze, bo wątpię, by Phyllida chciała, abym ujawnił szczegóły.

– Domyślam się. Więc… – Urwała, gdy obracali się wokół siebie, lecz po chwili znowu się zeszli. – A jak się mają synkowie?

– Jak zwykle niesforni. Proszę mi powiedzieć, czy te książki, które dla pani wyszukałem, okazały się interesujące?

Szeroko otworzyła oczy.

– Tak, oczywiście, przeglądałam je. – Wcześniej zauważyła, jak Jonas rozmawiał ze swoją siostrą i Lucyferem. Teraz mogła łatwo odgadnąć, co było tematem ich konwersacji.

Zważywszy na to, że była bardzo blisko upewnienia się, że Ballyclose Manor to ich „dom najwyższych”, jeśli dopisze jej szczęście, nie będzie musiała szukać tej informacji w książkach z Colyton Manor.

Uśmiechnęła się.

– Mógłby mi pan powiedzieć jedną rzecz?

Zdziwiony uniósł brwi, patrząc na nią uważnie niebieskimi oczami.

– Tak?

– Panna Sweet to taka kochana dusza. Czy od dawna jest z Phyllidą?

Zacisnął usta. Nie była pewna, czy przekonała go jej niewinna mina, lecz po chwili twarz Lucyfera złagodniała.

– Ona nie pochodzi stąd. Przyjechała jako guwernantka Jonasa i Phyllidy, gdy mieli trzy lata, a stała się częścią rodziny.

Z tego punktu wyjścia łatwo było wypytać o innych starszych mieszkańców. Jej pytania nie miały nic wspólnego z poszukiwaniami, wynikały z zainteresowania.

Opuściwszy Lucyfera, odszukała Basila Smolleta, który czekał, aby zaprowadzić ją do swojej matki.

Stara pani Smollet przejawiała życzliwe zainteresowanie Emily, jej rodziną oraz odrodzeniem się gospody. Była jedną z najstarszych mieszkanek i – tak, jak wszyscy – interesowała się sprawami społeczności.

– Trzymaj tak dalej, moja droga. – Poklepała Em po dłoni. – Zdobędziesz naszą dozgonną wdzięczność. Przywracasz życie naszej wiosce

Em zrobiło się ciepło w sercu. Nie był to pierwszy komplement, jaki usłyszała tego wieczoru. Inne osoby także zatrzymywały się przy niej, aby podziękować za odmianę gospody. Najczęściej pojawiał się komentarz, że teraz gospoda stała się miejscem, z którego mogą korzystać również damy, kobiety i ich córki.

Em podziękowała pani Smollet i podeszła do Issy. Filing rozmawiał z jednym z parafian, stojąc z boku kawałek dalej,

więc wykorzystała tę chwilę, aby przekazać siostrze zasłyszane opinie o zajeździe.

– Jestem uradowana – wyznała. – Nie miałam pojęcia, że zrobimy tak dobre wrażenie lub osiągniemy to, co tak wiele znaczy dla tylu ludzi. Zwłaszcza że początkowo miał to być tylko środek prowadzący do naszego celu.

Issy uśmiechnęła się łagodnie.

– Być może, ale w tych okolicznościach nie jestem przekonana, czy to takie zaskakujące, że, celowo czy nie, staramy się przyczynić do pomyślności wioski. Przecież jesteśmy Colytonami z Colyton, nawet jeśli nikt o tym nie wie.

Em zdziwiła się.

– To prawda. Może naprawdę mamy we krwi pracę na rzecz tej wioski.

Gdy Filing wrócił, rozmawiali jeszcze chwilę, zanim Em ruszyła dalej.

Chociaż wiele rzeczy i osób odwracało jej uwagę, jednym okiem zerkała na zegar stojący po drugiej stronie sali. Tymczasem przechadzała się, czekając na właściwą porę. Jeszcze jeden taniec i nadejdzie moment, aby się wymknąć i zniknąć w cieniu. Podczas niezobowiązujących minut na popołudniowej herbatce wywnioskowała, w którym skrzydle domu jest biblioteka. Jeśli miała rację, wejście znajdowało się w tym samym korytarzu co sala balowa, lecz po przeciwnej stronie.

Właśnie miała nastąpić kolejna seria tańców, poczynając od walca. Trzymając się blisko ścian, Em okrążyła salę w kierunku drzwi wiodących na korytarz. Ponieważ chciała stąd umknąć, nie zamierzała już tańczyć.

– A więc tu jesteś.

Duża męska ręka objęła jej dłoń. Em aż podskoczyła. Nie ze strachu czy nawet z zaskoczenia. Po prostu poczuła dreszcz, który wstrząsnął jej ramieniem. Już wiedziała, kto tak nonszalancko objął ją w posiadanie.

– Pan Tallent! – Odwróciła się do niego.

Uśmiechał się szelmowsko. Tak, ten jego uśmiech był olśniewający.

– Miałaś mi mówić: Jonas, pamiętasz? – Wziął ją pod rękę i ruszyli na parkiet. – Czas na kolejnego walca.

Nerwowo nabrała powietrza.

– Jonas, już raz tańczyliśmy walca.

– Tak jest. A było to tak miłe przeżycie dla nas obojga, że nie ma powodu, abyśmy nie mieli tego powtórzyć.

– Jest powód – powiedziała cicho. – Ludzie będą gadać.

– Ludzie już gadają o tobie. Jeśli nie chcesz, aby snuli różne domysły, nie powinnaś prezentować światu takiej pełnej sprzeczności tajemnicy.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, gdy wziął ją w ramiona. Instynktownie uniosła swoje, pozwalając, aby trzymał jej prawą dłoń, gdy lewą oparła na jego ramieniu. Zaczęli tańczyć, a ona wciąż próbowała zrozumieć sens jego ostatnich słów.

– Nie jestem żadną tajemnicą, a już na pewno nie pełną sprzeczności.

– Owszem, jesteś. Młoda dama, która obejmuje posadę oberżystki, lecz nadal pozostaje młodą damą i nalega, aby jej cała rodzina trzymała się tej wersji. Wszyscy chcą wiedzieć dlaczego.

– Ale… Myślałam, że wszyscy uznają nas za rodzinę z podupadłego ziemiaństwa… co jest zgodne z prawdą.

Spojrzał na nią z udawanym rozczarowaniem.

– Moja droga Em, pozwól, że cię o czymś poinformuję: rodzina z podupadłego ziemiaństwa nie posiada jedwabnych wieczorowych sukien ani nie nosi we włosach perłowych grzebieni – spojrzał wymownie na grzebień przytrzymujący jej niesforne loki – ani nie wynajmuje nauczycieli dla swoich braci w celu przygotowania ich do studiów w Pembroke College.

Wcześniej Pommeroy Fortemain wyprowadził ją z równowagi. Teraz Jonas uczynił to samo, a nawet więcej… Ale jakże inaczej..

Poza tym… a niech to wszyscy diabli – ich wzajemny pociąg stawał się coraz bardziej odczuwalny. Poza niewątpliwym

urokiem Jonas Tallent miał w sobie spokój. Coś ciągnęło ją do niego tak mocno, że niemal się wystraszyła.

Odczuwała to jak fizyczny pociąg, rosnący impuls, aby mu powiedzieć, w zaufaniu wyjawić swój Wielki Plan i przyjąć jego pomoc. Gdyby ten impuls wyrósł z potrzeby jego wsparcia, być może już wcześniej powiedziałaby mu wszystko i poprosiła o pomoc. Jednak, chociaż zapewne mógłby pomóc, Em była przekonana, że sami dadzą radę odnaleźć skarb – wobec tego nie było potrzeby wtajemniczać go, przynajmniej na razie.

Powód, dla którego chciała mu powiedzieć, wynikał bardziej z potrzeby wygadania się, wyznania, kim naprawdę jest, aby dalej mogli szukać skarbu razem. Odkrycie rodzinnego skarbu byłoby z pewnością jedną z największych przygód jej życia, a z powodu tej przyczyny, której nie umiała do końca zdefiniować, pragnęła przeżyć tę przygodę razem z nim.

Była sama od ponad dziesięciu lat, cały czas opiekowała się rodzeństwem. Zupełnie sama. Gdy poczuła potrzebę włączenia w tę opiekę innej osoby, doznała wstrząsu, zaniepokoiła się.

A przede wszystkim czuła zamęt w głowie.

Nie miała pewności, czy potrafi jasno myśleć, gdy była w ramionach Jonasa Tallenta.

A już na pewno nie, gdy tańczyła z nim walca.

Z pewnością nie, gdy jego mroczne spojrzenie ociepliło się, stało się bardziej hipnotyzujące, gdy przyciągnął ją, opierając mocniej na jej plecach dłoń, która parzyła ją przez warstwę jedwabiu.

Znowu płynęła w powietrzu, ledwo dotykając podłogi… i w tym stanie pobudzenia czuła… mogła niemal uwierzyć…

Muzyka ucichła, a gdy Jonas po ostatnim zwrocie zatrzymał się, Em wróciła na ziemię.

Do rzeczywistości, w której on był jej pracodawcą, a ona zarządcą jego gospody.

Mógłby wykpić tę jej maskaradę, lecz mimo wszystko nadal pełniła swoją funkcję; przyjmując posadę, zstąpiła z piedestału szlachetnie urodzonej damy, czemu nawet on nie mógłby

zaprzeczyć. Nie mogła uwierzyć – byłaby głupia, gdyby uwierzyła – że on miał ochotę na coś więcej niż romans.

Odwróciwszy głowę, rozejrzała się po sali, unikając patrzenia mu prosto w oczy. Widział w niej zdecydowanie zbyt wiele.

Nie puścił jej dłoni, lecz jeszcze mocniej chwycił jej palce.

– Em…

– Oto i pani Crockforth z córką. – Emily uśmiechnęła się zachęcająco do starszej pani, która wybrała właśnie ten moment, aby do nich podejść. Następny taniec miał się rozpocząć za kilka minut, już dwukrotnie tańczyła walca z Jonasem, zatem był to ich ostatni wspólny taniec.

Bez względu na to, czy jest jego oberżystką, czy też nie.

Jonas z konieczności musiał się uśmiechnąć i uścisnąć dłoń młodej damy imieniem Tabitha.

Em musiała ukradkiem pociągnąć rękę, aby w końcu ją puścił, a gdy to się udało, wspólnie z panią Crockforth zapewniła dla Tabithy partnera do kolejnego tańca, w osobie wyraźnie niechętnego, lecz niezdolnego do nieuprzejmości pana Tallenta.

Z zadowoleniem patrzyła, jak para idzie na parkiet, po czym pozdrowiła panią Crockforth i poszła w swoją stronę. Obserwowała bacznie Jonasa, a gdy ten odwrócił się w przeciwnym kierunku, wmieszała się w tłum i szybko wyszła z sali.

Biblioteka była dokładnie tam, gdzie przewidziała. I na szczęście pusta.

Niestety, była również wielka, zabudowana półkami uginającymi się od książek.

Od mnóstwa książek.

Em nie miała czasu, żeby utyskiwać, więc rozpoczęła od półki najbliższej drzwi. Szybko zorientowała się, że książki są poustawiane według pewnego systemu. Przebiegała wzrokiem po ich rzędach, zerkając na grzbiet pierwszej książki na każdej z półek.

Sprawdziła jedną długą ścianę i jedną krótką, gdy w rogu biblioteki, za biurkiem, natknęła się na pozycje dotyczące

miejscowej historii, w tym dwie książki poświęcone konkretnie Ballyclose Manor!

Podekscytowana, już czuła w palcach mrowienie. Zdjęła obie książki z półki, położyła jedną na drugiej, otworzyła pierwszą z nich i zaczęła czytać.

Szybko dowiedziała się dużo nowych rzeczy o tym domu, z wyjątkiem tego, co było najważniejsze. Przejrzała pół książki, nie znalazłwszy żadnej informacji o dacie budowy, gdy nagle wzdrygnęła się.

Podniosła głowę.

W kierunku biurka zmierzał zaskoczony jej widokiem Pommeroy. Wcześniej nie usłyszała go, gdyż gruby dywan tłumił odgłos kroków.

– Co robisz?

– Ach… – Szybko przywołała się do porządku. – Chyba… wspominałam, że interesuje mnie miejscowa architektura. Zwłaszcza stare domy. To moje hobby.

Na dźwięk słowa „hobby” zdumienie Pommeroya minęło.

– Aha – mruknął cicho, kiwając głową.

Spojrzał na wybrane przez nią książki, a gdy nachylił głowę, aby odczytać tytuły widniejące na grzbietach, znowu uniósł brwi.

– Ballyclose? – Spojrzał jej w oczy. – Nie sądziłem, że zasługuje na szczególną uwagę. Owszem, to ładny dom, ale raczej nie jest stary.

Zamrugała.

– Nie jest stary?

Pommeroy z uśmiechem pokręcił głową.

– Właśnie. Zbudował go mój dziadek około pięćdziesięciu lat temu.

– Pięćdziesięciu? – Zamknęła książkę. Miała w głowie kompletny zamęt. Wcześniej była pewna, że to Ballyclose jest domem, którego szukają. – Ale może został zbudowany na starszych murach? – Spojrzała na Pommeroya z nadzieją. – Wiele starych domów ma taką historię, są nowe, ale mają

starsze części albo wbudowane stare ściany, fundamenty, a nawet piwnice.

Pommeroy pokręcił głową z uśmiechem świadczącym o wyższym stopniu wtajemniczenia.

– To wielki rodzinny sekret, a przynajmniej nikt o tym nie rozpowiada. Mój dziadek zbudował ten dom na ruinach starej wiejskiej chaty, gdy obróciła się w gruzy.

Tym razem Em okazała zdziwienie.

– Przecież rodzina Fortemainów mieszka w wiosce od stuleci, tego się dowiedziałam. Więc gdzie mieszkali, zanim wybudowano Ballyclose?

Pommeroy zakołysał się na obcasach, wyraźnie zadowolony, że oto stał się obiektem jej zainteresowania.

– To nie była ta sama rodzina, a przynajmniej nie ta sama gałąź. Mój dziadek pochodził z okolic Londynu. Przeprowadził się tutaj, gdy jeden z jego kuzynów zmarł i pozostawił mu farmę, gospodarstwo Ballyclose. Właśnie wtedy zbudował dom.

Zbliżyła się, aby wydobyć z Pommeroya tę najważniejsza informację.

– A czy wiadomo, gdzie ów kuzyn mieszkał?

– W jednej z chat koło zajazdu.

Żadna z nich nie była wystarczająco okazała, aby opisać ją słowami „dom najwyższych”.

Westchnęła ciężko, cofając się.

– Jeśli chcesz, mógłbym cię oprowadzić po domu – powiedział lekko zdziwiony. – To chyba lepsze niż powrót na tańce, prawda?

Pokręciła głową.

– Dziękuję, ale nie. Interesują mnie tylko starsze domy, kilkusetletnie. – Przypomniała sobie o trzymanych książkach, więc odłożyła je z powrotem na półkę.

Kiedy się wyprostowała i odwróciła… wpadła prosto w ramiona Pommeroya.

– Pommeroy! – Próbowała go odepchnąć, ale trzymał ją mocno, splótłszy dłonie na jej plecach. Już po pierwszej próbie oswobodzenia się stwierdziła, że jest o wiele silniejszy, niż

wyglądał. Zaczęła się wyrywać, wystraszona nie na żarty. – Co ty wyprawiasz?

Spojrzał na nią pożądliwie.

– Pomogłem ci w twoim hobby, więc należy mi się nagroda. – Przytrzymał ją jeszcze mocniej, nachylił się i spróbował pocałować.

– Nie! – Uchyliła głowę, unikając jego pełnych warg.

Nacisnęła na jego pierś ze wszystkich sił. Suknia gniotła się coraz bardziej, lecz Em wciąż nie mogła znaleźć dogodnego podparcia, aby się wyrwać z jego uścisku. Im gwałtowniej walczyła, tym bardziej on utwierdzał się w przekonaniu, że to jakaś gra, że ona nie odpycha go na poważnie, lecz prowokuje! Zaczął wydawać dźwięki świadczące o coraz większym podnieceniu.

Wpadła w panikę. Przypomniała sobie wcześniejszy jego komentarz o niebezpieczeństwie czającym się w męskiej bibliotece.

Uniosła głowę, spojrzała, a wtedy on przystąpił do kolejnego natarcia. Krzyknęła, odwróciła głowę, tak że tylko musnął ustami jej czoło. Sama myśl o jego ustach na swojej skórze wywoływała w Em obrzydzenie. Zdwoiła wysiłek, stawiając silniejszy opór. Próbowała nadepnąć mu na stopę.

– Przestań, bo powiem wszystko twojej matce! – krzyknęła.

– Bzdura, nie ma nic złego w odrobinie… Auuu!

I nagle już go nie było. Został odciągnięty do tyłu i rzucony w przeciwny kąt biblioteki. Wylądował na półkach, niczym worek ziemniaków, stękając głucho, po czym osunął się i usiadł na podłodze, ogłupiały.

Zamrugał, spoglądając na Em, lecz po chwili przeniósł wzrok na jej wybawcę.

Jonas.

Wiedziała, że to on, chociaż jeszcze nie zdążyła spojrzeć w jego kierunku. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, była wystraszona, oszołomiona. Po pierwsze musiała wyrównać oddech, aby się choć trochę uspokoić.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Kiedy zaczęła oddychać nieco równiej, przyłożyła sobie dłoń do szyi i spojrzała na Jonasa.

Rysy jego twarzy stężały. Spoglądał na Pommeroya, jakby się zastanawiał nad etycznymi aspektami rozerwania syna gospodyni na strzępy.

Wyczuł jej wzrok.

Wiedziała o tym, dostrzegła napięcie w jego ciele.

Powoli odwrócił głowę, wpatrując się w jej oczy.

Znów wstrzymała oddech.

Byli na tyle blisko, aby widziała jego oczy, gwałtowne emocje miotające się w ich mrocznych głębiach.

Czekał, lecz Em milczała jak zaklęta. Wobec tego, co ujrzała w oczach Jonasa, nie potrafiła ubrać myśli w słowa, nie mówiąc o tym, że brakło jej tchu, aby je wypowiedzieć. Zawładnął nią prymitywny instynkt. Nie miała pewności, czy wydanie z siebie głosu będzie bezpieczne.

Spojrzał z powrotem na Pommeroya. Czuł wewnętrzny przymus, który trzymał go w bezlitosnym uścisku tak mocno, jak nigdy dotychczas. Ostatkiem sił powstrzymywał się przed postawieniem Pommeroya na nogi tylko po to, aby móc znowu powalić go na ziemię. Teraz nie myślał racjonalnie. Działał instynktownie, impulsywnie. Jakaś ciemna strona jego osobowości wyrwała się z kajdan cywilizowanych ograniczeń i teraz ryczała dziko.

Pommeroy chyba to wyczuł. Zamachał rękami, niezdarnie usiłując usiąść.

Jonas przygwoździł go wzrokiem.

– Właśnie dopadł cię okropny ból głowy, Pommeroy, więc udasz się do swojego pokoju. Natychmiast.

Pommeroy w końcu usiadł i wytrzeszczył oczy.

– Tak?

Jonas ponuro kiwnął głową.

– A gdybyś miał problemy z udawaniem, że źle się czujesz, z prawdziwą przyjemnością ułatwię ci to zadanie. – Mówił przez zaciśnięte zęby. – Rozumiesz, co mówię, Pommeroy?

Zapytany pobladł, patrzył to na Jonasa, to na Em, która właśnie wygładzała pogniecioną suknię, a teraz podniosła wzrok i spojrzała na niego ze złością. Pommeroy spuścił wzrok.

– Nie czuję się dobrze – wymamrotał. – Pójdę do swojego pokoju.

– Bardzo dobrze. – Jonas wyciągnął rękę i wziął Em za ramię. – A my tymczasem dokończymy naszą przechadzkę na tarasie.

Pozwoliła, żeby poprowadził ją za łokieć w kierunku balkonowych drzwi.

– Jaką przechadzkę? – spytała zdziwiona, zaglądając mu w oczy.

– Chodzi o to, żeby wszyscy goście zobaczyli, jak wracamy z przechadzki. – Otworzył drzwi. – Właśnie o takiej przechadzce mówiłem.

– Aha. – Zawahała się, lecz po chwili wyszła na taras.

Poszedł jej śladem, zamknął drzwi, nie zaszczycając spojrzeniem Pommeroya, który z trudem gramolił się na nogi w rogu biblioteki.

Zatrzymała się i popatrzyła na taras, który biegł wzdłuż budynku. Po drugiej stronie znajdowały się uchylone drzwi balkonowe, zza których sączyło się światło i zza których odgłosy wesołej zabawy. Październikowy wieczór był chłodny, nikt inny nie odważył się wyjść na zewnątrz.

Trochę sztywno zaoferował jej ramię.

Po chwili namysłu położyła dłoń na rękawie jego fraka.

Powstrzymał się, lecz miał ochotę położyć drugą rękę na jej dłoni i już nie puścić. Resztkami woli trzymał na wodzy swoje emocje i postanowił nie komentować teraz sytuacji. Był tak naładowany, że mógłby powiedzieć o wiele za dużo. W jego żyłach tętniły furia, wściekłość, dzika opiekuńczość i coś jeszcze, o bardziej prymitywnej naturze. Czuł na rękawie jej dłoń, małe delikatne palce, co tylko spotęgowało tę prymitywną reakcję…

Zrobili ledwie pięć kroków po tarasie, gdy wbrew wcześniejszej decyzji o zachowaniu milczenia, wbrew woli, warknął:

– Nie mogę uwierzyć, że wyszłaś sama i spiskowałaś ukradkiem z tym głupkiem Pommeroyem.

Sądząc po sposobie, w jaki Em razem z panią Crockforth wepchnęła jej córkę w jego ramiona, wiedział, że coś sobie zaplanowała, że wykona jakiś ruch.

Widział, jak wymknęła się z sali balowej. Zanim udał się jej śladem, musiał odczekać, aż skończy się taniec, i będzie mógł uwolnić się od towarzystwa panny Crockforth. Wiedział, że Em wcześniej szukała czegoś w książkach, więc postanowił udać się najpierw do biblioteki. Dlatego wcale się nie zdziwił na jej widok. Zaskoczyło go jednak, że była w objęciach Pommeroya.

Po chwili zorientował się, że ona z nim walczy, usłyszał jej krzyk, a wtedy zaczął działać pod wpływem impulsu.

Próbował wmówić sobie, że tak samo postąpiłby w obronie każdej młodej damy, którą zobaczyłby w szponach Pommeroya.

Sam chciałby w to uwierzyć. Oczywiście pomógłby każdej kobiecie w podobnej sytuacji, ale doskonale wiedział, że na pewno nie poczułby takiej wściekłości, która go nagle ogarnęła, a to za sprawą właśnie jej osoby.

Nie od razu odpowiedziała na jego słowa. Uniosła głowę i dopiero po trzech kolejnych krokach odezwała się.

– To nie jest twoja sprawa, ale ja nie spiskowałam, nie czyniłam żadnych sekretnych planów ani w ogóle nie umawiałam się na prywatne spotkanie z Pommeroyem Fortemainem. Nie pojmuję, dlaczego myślisz, że mogłabym to zrobić. – Mówiła coraz bardziej rozdrażnionym tonem. Zdjęła dłoń z jego rękawa i stanęła, aby spojrzeć mu prosto w oczy. – Z jakiego niby powodu chciałabym mieć z nim cokolwiek wspólnego? – Zacisnąwszy pięści, patrzyła ze złością na Jonasa, który także zatrzymał się. – Zaraz oskarżysz mnie, że mam wobec niego jakieś plany.

Odpowiedział jej równie poirytowanym spojrzeniem.

– Miałem nadzieję, że masz lepszy gust. Wobec tego, w jaki sposób… – Urwał. – On poszedł za tobą?

– Oczywiście, że poszedł za mną! Dlatego znalazł mnie, gdy byłam sama, i próbował to wykorzystać.

– Nie znalazłby cię samej, gdybyś się nie wymknęła, aby szukać tego czegoś, czego tak usilnie poszukujesz.

Wbiła w niego wzrok.

– Właśnie miałam ci podziękować za tę interwencję w samą porę, lecz bez względu na moją wdzięczność nic, absolutnie nic, nie upoważnia cię do dyktowania mi, gdzie, kiedy, a nawet z kim mogę chodzić. – Oburzona stanęła na palcach i wymierzyła palec prosto w jego nos. – Nie jesteś moim dozorcą! Nikt cię nie wyznaczył do tej roli. To niepojęte, dlaczego sądzisz, że możesz rościć sobie prawo do ingerowania w moje życie. Co w twoim mniemaniu daje ci takie prawo?

Twarz Jonasa nie złagodniała, lecz nie wyrażała niczego. Mijały sekundy, a on nie odrywał od niej oczu.

Już miała prychnąć i odwrócić się na pięcie, przekonana, że jej argumenty w końcu trafiły do niego, gdy nagle wyciągnął po nią ręce.

Wziął ją w ramiona, przyparł do swojej piersi, nachylił głowę i wcisnął się wargami w jej usta.

Rozdział 9

Dziki, namiętny, natarczywy… Pocałunek porwał ją daleko.

Poczuła zmysłową przyjemność, uosobienie pokusy.

Coś nowego, wspaniałego, fascynującego – nieznany, niezbadany świat, mieniący się nowy horyzont, wzywający tę cząstkę jej duszy, która żywiła się tym, co nowe i dzikie, która uwielbiała przygodę i emocje.

Była daleka od tego, by cofnąć się w szoku. Zamiast tego wyczekała na odpowiedni moment i zanurzyła się w przyjemności.

W ferworze ognistego, porywającego pocałunku.

Ręce miała uwięzione, przygniecione do jego piersi. Zamiast go odpychać, palce zaciśnięte na jego fraku trzymały go tak samo mocno, jak jego stalowe ramiona przyciskały jej drobną postać.

Przygniatały. Czuła całym ciałem nabrzmiałe muskuły jego piersi, jego twardy brzuch.

Odważnie wepchnął język, kusząc, rozpalając coraz większy ogień. Zacisnął ramiona jeszcze bardziej, jeszcze bardziej nachylił głowę; jego wargi zawładnęły nią i syciły się jej ustami.

Odpowiedziała zachłannym pocałunkiem, uśpiona dotychczas cząstka jej duszy obudziła się za sprawą namiętności, odkrytego pożądania.

Oba te odczucia mogły być dla niej nowe, lecz jednak rozpoznała je i wiedziała, czym są, czerpała z nich przyjemność.

Zaczęła kusić, zapraszać, rozbudzać.

Pocałunek trwał, coraz gorętszy. Em poczuła, jak jej piersi nabrzmiewają, stają się coraz cięższe, obolałe, jak jej sutki twardnieją.

Chciała zbliżyć się jeszcze bardziej, wciskać się w Jonasa ustami, przywierając do niego, sprawić, by to nieznane, nieustające napięcie zelżało. Spróbowała naprzeć, lecz on, zapewne wyczuwając jej pragnienie, sam wcisnął się mocniej w jej ciało, popychając ją, aż poczuła za plecami zimną ścianę. Chłód kamienia stanowił silny dysonans z ciepłem męskiego ciała, którym nie była się w stanie nasycić.

Objął ją w talii, przyciągnął, nacisnął całym sobą, wpasowując się w sylwetkę Em. Wsunął długie, umięśnione udo między jej nogi, zmuszając ją, by stanęła na palcach. Poczuła wzdłuż kręgosłupa ostry dreszcz; cudowny ogień i grzeszne doznanie wybuchły nagle, po czym zalały ją szeroką falą, kumulując się w podbrzuszu.

Nie puszczała jego ust, pragnęła tego pocałunku tak samo, jak Jonas, z własnego wyboru owładnięta feerią przyjemności. Smakowała ją, pragnęła więcej.

Natarczywie, entuzjastycznie, pożądliwie.

Jonas sycił się jej reakcją, czuł ją do szpiku kości.

Z trudem oddychał. Stracił kontrolę nad sytuacją. W jakiś sposób zrzekł się swej dominującej roli w tym połączeniu roznamiętnionych ust, jednak nie zrzekł się jej na rzecz Em, lecz utracił ją dla wywołanego pocałunkiem ognia.

Ognia, który był znajomy, a zarazem nowy, intensywny, niemal straszny w swej mocy.

Ręce Jonasa mimowolnie zacisnęły się jeszcze mocniej, przyciskając Em do jego ciała. Myślał jeszcze na tyle rozsądnie, aby pociągnąć ją w cień, więżąc drobną postać między sobą a ścianą, przytrzymując, delektując się dotykiem jej kobiecych krągłości.

Pod wpływem jakiejś mocy silniejszej od jego woli nie potrafił przestać sycić się cudownymi ustami, sugestywnymi, pełnymi pieszczoty ruchami jej ciała, nie umiał przerwać pocałunku tak namiętnego, dzikiego i jawnego, że sam był zszokowany.

Aż się zachwiał, doświadczając uczucia tak silnego, że odarło go z resztek ogłady. Uczucia, które, rozbiło w pył jego dotychczasowe przekonanie, że potrafi nad sobą zapanować.

To, co wybuchło między nimi, było słodkie i gorące, a takie połączenie pokus okazało się nie do odparcia. Pocałunek stawał się coraz bardziej natarczywy, ich usta przenikały się nawzajem w wygłodniałym zwarciu, przy równym współudziale obojga.

Siłą powstrzymał się przed wepchnięciem bioder w jej biodra, aby sugestywnie ocierać się o jej figurę. Nawet teraz, gdy był do tego stopnia podniecony, wiedział, że takie zachowanie byłoby zbyt śmiałe, przynajmniej na razie.

Chociaż powinna walczyć z nim, powstrzymać go, przestraszona siłą ich zbliżenia – to walczyła o więcej. Kusiła go.

W dużej mierze właśnie w tym tkwił jego problem.

Wiedział, że jeszcze nikt nie całował Em w taki sposób, czego dowodził jej niewinny zapał w nieograniczonej, nieskrępowanej rozkoszy. Wątpił, czy wiedziała, czy miała choć niewielkie pojęcie, co robi.

Do czego kusi. Zachęca.

Jak niebezpieczna może być zabawa takim ogniem.

Puściła jego frak, który do tej pory ściskała w dłoniach, i przesunęła je wyżej. Dotarła do ramion, delikatnie powiodła palcami po jego szyi, szczęce. W końcu uniosła się jeszcze wyżej na palcach, aby całować dalej jak grzeszny anioł.

Ten dotyk przywrócił mu część świadomości, obudził inne odczucia, które do niej żywił, zanim ogarnęło go ogniste upojenie.

Byli na tarasie, na widoku, gdyby któryś z gości zdecydował się zaczerpnąć powietrza.

Gdyby ktoś ich zobaczył, jej reputacja zostałaby poważnie nadszarpnięta, zresztą jego również, skoro Emily stała się jedną z ulubienic miejscowej ludności.

To, co robili, było niebezpieczne. Musieli przestać.

Łatwo powiedzieć.

Musiał zebrać w sobie całą siłę woli, aby oderwać od niej usta. W końcu nie miał innego wyjścia, cofnął ręce, oparł je na ścianie i odepchnął się, aby wreszcie móc się od niej odsunąć.

W końcu się udało. Ich usta rozdzieliły się. Pocałunek dobiegł końca.

Jeszcze więcej wysiłku wymagało uniesienie głowy, aby uniknąć pokusy ponownego wpicia się w jej usta.

Dyszał ciężko, zresztą ona również.

Popatrzył na jej twarz, na unoszące się powieki… na roziskrzone rozbudzonym pożądaniem oczy.

Ten widok wstrząsnął nim do głębi.

Gwałtownym ruchem cofnął się.

W półmroku widział jej szeroko otwarte oczy.

– Właśnie to – odezwał się chropowatym głosem, w którym zabrzmiała groźba – czyni mnie twoim dozorcą. Daje mi prawo, nie, nakłada na mnie obowiązek, aby cię pilnować i chronić przed niebezpieczeństwem.

Zamrugała. Zobaczył, że wraca jej świadomość oraz niezłomny opór.

– Możesz zaprzeczać, ile tylko chcesz, ale to nic nie zmieni. – Nie spuszczał z niej wzroku. – To wszystko się dzieje naprawdę. A ja nie mam zamiaru tego ignorować ani odwracać się plecami. To – wykonał gest obejmujący ich oboje – przychodzi raz w życiu. I nie zamierzam przepuścić tej szansy.

Jej rysy stężały, powieki zacisnęły się, usta powoli ściągnęły w stanowczą kreskę.

Nadal patrzył jej prosto w oczy. Wciągnął duży haust powietrza.

– Pytałaś mnie poprzednio, co myślę, czego oczekuję od tego, co jest między nami. Więc dla mnie to oznacza, może oznaczać, tylko jedną rzecz. Jesteś moja. Moja. Do przytulania, do bronienia cię, osłaniania przed niebezpieczeństwem. I niezależnie od tego, ile czasu to zajmie, sprawię, że to zrozumiesz i zaakceptujesz.

Jej oczy zapłonęły buntowniczo. Zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie – powiedziała niskim, chropowatym głosem. Przełknęła ślinę. – Możesz myśleć, możesz sobie wierzyć czy decydować, że

jestem twoja, ale nie jestem. – Uniosła dumnie podbródek. – I nigdy nie będę.

Posępnie pokiwał głową.

– Owszem, jesteś. I będziesz. Co więcej, sama się na to zgodzisz.

Spod niemal zaciśniętych powiek rzucała srebrne błyskawice. Odważnie wytrzymała jego spojrzenie. Oboje byli niesamowicie uparci. Doskonale wiedział, że pragnęła mieć ostatnie słowo – tylko na nie czekał.

Jednak ona jeszcze wyżej uniosła głowę, obróciła się na pięcie i odeszła.

Patrzył, jak Emily przechodzi przez taras. Przypomniał sobie, gdzie są, więc wygładził poły fraka i poszedł jej śladem. Dogonił ją przed samą salą balową, włożył jej rękę pod swe ramię. Rzuciła mu ostre spojrzenie, lecz pozwoliła, aby odprowadził ją do środka.

* * *

Miała zamiar skupić się, całkowicie, wyłącznie i bez reszty, na zlokalizowaniu skarbu Colytonów.

Następnego ranka Em siedziała w kościelnej ławie, która szybko stała się ławą przeznaczoną dla członków jej rodziny, i udawała, że słucha niedzielnego kazania. Ponieważ wygłaszał je Filing, Issy słuchała ze wzmożoną uwagą, co było wystarczające dla obu sióstr. Emily wcale nie miała poczucia winy, że myśli koncentruje na poszukiwaniu skarbu.

Jeśli ich „dom najwyższych” to nie Ballyclose Manor, to kolejnym najbardziej prawdopodobnym był majątek Grange.

Niestety, był on o wiele trudniejszy do spenetrowania niż Ballyclose. Nie tak wielki, schludnie utrzymany, o mniejszej liczbie służących, którzy jednak zachowywali większą aktywność, no i wszyscy znali Emily, przynajmniej z widzenia. Poza tym był to dom Jonasa Tallenta, jego gniazdo, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę.

Nieświadomie powędrowała wzrokiem ku ciemnowłosej głowie Jonasa. Nadal słyszała odbijające się echem w jej myślach owo „moja”. Jak zwykle siedział w pierwszym rzędzie. Przynajmniej nie mógł się na nią gapić, nieustępliwie zakłócając jej spokój.

Niestety, ona sama nie mogła się powstrzymać od spoglądania w jego kierunku, na jego kształtną głowę z jedwabistymi, niemal czarnymi włosami, na szerokie ramiona okryte perfekcyjnie skrojonym szarym płaszczem.

Jego deklaracja wciąż dźwięczała w uszach Em. Jeszcze większe wrażenie niż słowa wywarł na niej ich ton, diabolicznie, jawnie zaborczy. Wciąż była pod ich wpływem – nawet jeśli stanowiły tylko wspomnienie, wywoływały uczucie niepokoju.

Tak do końca nie była pewna, co czuje, nigdy w życiu nie miała do czynienia z taką reakcją, nie miała doświadczenia, na którym mogłaby oprzeć swoją ocenę. Mimo wszystko była pewna: dżentelmenom nie wypada deklarować młodym damom, że one do nich należą.

Powtarzała sobie, że powinna spojrzeć w innym kierunku, nawet chciała to zrobić, lecz nie mogła oderwać od niego wzroku.

Kazanie Filinga nie stanowiło tu konkurencji.

Nabrała powietrza, czując ucisk w piersi. Być może nie była w stanie zaprzeczyć, że coś ciągnęło ich ku sobie – po tym, co się wydarzyło na tarasie, wszelkie zaprzeczenia były pozbawione sensu – lecz nadal potrafiła się oprzeć pokusie, nie poddać się dzikim instynktom, nie pozwolić mu, aby zawiódł ją na nieznane dotychczas ścieżki. Ścieżki, których, jak sądziła, nigdy nie będzie jej dane poznać – nie będzie miała po temu okazji, szczególnie gdy była odpowiedzialna za rodzinę.

Ścieżki, o których nie miała czasu rozmyślać. Jeszcze nie teraz.

Msza dobiegła końca, wszyscy wstali. Wyszedłszy z kościoła, zatrzymała się, aby pozdrowić resztę kongregacji. Powoli odsuwała się coraz dalej od drzwi, aż dotarła do pierwszego

grobu przykościelnego cmentarzyka. Odwróciła się i rozejrzała, szukając wzrokiem rodzeństwa. Bliźniaczki zeszły po stopniach tuż przed nią, a teraz bawiły się w berka między grobami. Ich połyskujące złocistym blaskiem w promieniach słońca jasne włosy sprawiały, że dziewczynki wyglądały jak śmigające tu i tam aniołki. Wierni opuszczający kościół nie potępiali ich zachowania, lecz uśmiechali się, widząc te wygłupy.

Issy została przy drzwiach, rozmawiała ze stojącym tuż przy niej Filingiem. Co do Henry'ego… przez chwilę Em nie mogła go zlokalizować, bo znajdował się w ostatnim miejscu, w które pozwoliłaby sobie spojrzeć – stał u podnóża schodów w towarzystwie Jonasa Tallenta.

I rozmawiał z nim. Jej oczy zwęziły się, gdy ujrzała pełną entuzjazmu, ożywioną twarz brata. Chciała podejść i odciągnąć go, lecz zawahała się; podchodzenia w pobliże Tallenta nie było na jej liście. Ale co on takiego mówił, że Henry, zwykle bardzo powściągliwy, okazywał teraz tyle entuzjazmu?

Już chwilę później poznała odpowiedź. Henry opuścił Jonasa i rozejrzał się, szukając najstarszej siostry. Jonas, który doskonale wiedział, gdzie ona stoi, spojrzał w jej kierunku z pełnym zadowolenia porozumiewawczym uśmiechem. Jednak Em wyczuła w tym spojrzeniu ukryte wyzwanie.

Henry zauważył ją także i szybko podbiegł. Jego oczy płonęły radośnie.

– Słuchaj, Jonas, znaczy się pan Tallent, obiecał, że dziś po południu zabierze mnie na przejażdżkę swoją dwukółką. Wybiera się drogą wzdłuż wybrzeża, żeby coś sprawdzić, i spytał, czy chciałbym pojechać razem z nim. – Patrzył na nią przejęty. – Powiedział, że nauczy mnie powozić. Mogę jechać, prawda? Już powiedziałem, że pojadę, nie pomyślałem, że mogłabyś się nie zgodzić.

Kusiło ją, by spojrzeć na Jonasa wilkiem, lecz zatrzymała wzrok na twarzy brata. Zobaczyła w jego oczach tyle radości, zobaczyła jego uszczęśliwioną buzię, więc po prostu nie mogła się nie zgodzić.

– No dobrze. O ile wrócisz na kolację.

Henry zapiał z zachwytu, rozpromienił się i pobiegł z powrotem do Jonasa, aby potwierdzić ich spotkanie, a ten bardzo rozsądnie pozostał na miejscu.

– Dlaczego zaprosił Henry'ego, a nie nas?

Em spojrzała na Gert, która podeszła moment wcześniej i usłyszała słowa brata. Krok za nią stała Bea z nadąsaną minką.

– Ustąp starszemu – odparła Em. – A teraz chodźcie, musimy wracać do domu.

Do domu, czyli do gospody. To dziwne, jak szybko to miejsce stało się ich domem. Em puściła dziewczynki przodem i spojrzała na Issy, która zorientowała się, że zaraz ruszają, więc pożegnała Filinga i dołączyła do rodzeństwa.

Em jeszcze raz przeniosła wzrok na Henry'ego, a gdy pochwycił jej spojrzenie, przywołała go ruchem głowy. Przytaknął, że zrozumiał, a gdy siostry ruszyły po zboczu ku gospodzie, Emily kątem oka zauważyła, że ruszył za nimi – a wraz z nim Jonas Tallent.

W tym momencie Filing zawołał Jonasa, który zatrzymał się i pokazał Henry'emu gestem, aby szedł dalej, a sam odwrócił się, aby porozmawiać z wikariuszem. Em odetchnęła; nie była jeszcze gotowa na rozmowę ze swoim pracodawcą. Jeśli to możliwe, chciałaby jej uniknąć.

U boku zadowolonej i uśmiechniętej Issy poszła za bliźniaczkami po zboczu i dalej, wokół stawu. Po chwili dogonił ich również Henry i wysforował się do przodu.

Wiedziała, że Jonas idzie ich śladem gdzieś z tyłu, czuła na plecach jego wzrok. Tymczasem sama obserwowała brata. Być może rozumowała cynicznie, że Jonas zaprosił Henry'ego na przejażdżkę, aby wkraść się w jej łaski, słusznie wnioskując, że miłe traktowanie jej rodzeństwa pomoże mu ten cel osiągnąć. Był wystarczająco inteligentny, aby wiedzieć, że musi go osiągnąć.

Lecz może po prostu dostrzegała ukryte motywy, które w rzeczywistości nie istniały.

Mimo wszystko, jeśli Jonas Tallent zamierzał spędzić popołudnie na przejażdżce z Henrym, to będzie nieobecny w

domu – w Grange.

Należało wykorzystać nadarzającą się sposobność.

* * *

Kilka minut po drugiej, gdy Jonas i Henry odjechali, Em zapukała w tylne drzwi Grange. Otworzyła jej Gladys, gospodyni.

– Panna Beauregard! Ojej, powinna pani wejść od frontu. – Spojrzała do tyłu przez ramię. – A może Mortimer uciął sobie drzemkę i nie słyszał pukania?

– Nie, nie, wszystko w porządku. Celowo przyszłam tutaj. Chciałam porozmawiać właśnie z panią i – Em wskazała ruchem głowy wnętrze kuchni – z kucharką.

Gladys zdziwiła się trochę, lecz nie próbowała polemizować.

– Wobec tego, moja droga, niech pani wejdzie i usiądzie.

Em posłuchała, wymieniwszy uprzejme uśmiechy z kucharką – jej imienia nigdy nie poznała – która stała przy kuchennym stole i wyrabiała ciasto.

– Pomarańczowe babeczki – rzekła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Emily.

– No właśnie! O tym chciałam z panią porozmawiać. Czy mogłabym dostać od pani przepisy na jakieś miejscowe pyszności? Pomyślałam sobie, że gospoda powinna skoncentrować się na lokalnej kuchni. – Jej wymówka była jak najbardziej autentyczna, gdyż kilka dni wcześniej ten pomysł rzeczywiście narodził się w jej głowie. – To nadałoby gospodzie wyjątkowy charakter, robilibyśmy bowiem potrawy, jakie nie są dostępne nigdzie indziej. Takie unikatowe menu Colyton. Ale to zależy od zdobycia takich właśnie miejscowych przepisów.

Kucharka i Gladys wymieniły spojrzenia.

– Myślę, że w tej sprawie będziemy mogły pomóc.

Gladys przytaknęła.

– Trzeba by jeszcze spytać Cillę w Dottswood, kucharkę w Ballyclose i panią Hemmings.

– I panią Ferguson – dodała kucharka. – Ona ma wielką starą księgę pełną przepisów swojej ciotki, która całe życie mieszkała w Colyton. Ciotka już nie żyje, ale przepisy wciąż tam są.

Em wyjęła z torebki ołówek i kartkę, aby to zanotować. Gladys przygotowała herbatę, a po chwili przyłączył się do nich Mortimer. Em poczekała na właściwy moment, lecz w końcu zdecydowała się zapytać:

– Piwnice w zajeździe są zadziwiająco rozległe. – Zerknęła na drewniane drzwi widoczne w korytarzu prowadzącym do spiżarni. – Czy to typowe dla tutejszych domów? Czy istniała szczególna potrzeba, że budowano tak wielkie piwnice?

Mortimer uśmiechnął się.

– Nic mi nie wiadomo o takich potrzebach, ale i u nas piwnice są całkiem duże. To szereg kolejnych połączonych pomieszczeń. Być może w takim starym domu kiedyś mieszkańcy mieli potrzebę robienia większych zapasów żywności. Były nawet podziemne tunele, łączące różne budynki, na przykład stajnie i spiżarnie, z piwnicami pod domem.

Em nawet nie musiała udawać zainteresowania.

– A jak stary jest ten dom?

– Tego to ja nie wiem, panienko. – Mortimer odstawił filiżankę. – Ale pan Jonas na pewno będzie wiedział.

Czyli jedyna osoba, której nie chciała o to pytać. Z uśmiechem zmieniła temat, wróciwszy do kwestii poszukiwania nowych przepisów.

Dwie minuty później rozległo się pukanie w drzwi, a po chwili ukazały się w nich panna Sweet z Phyllidą Cynster.

– Dzień dobry, moja droga Gladys. – Panna Sweet wsunęła się do środka. – O, panna Beauregard. Jak miło panią tu widzieć… – Jej mina świadczyła jednak o tym, że nie ma pojęcia, dlaczego Em siedzi w kuchni.

Em powitała ją z uśmiechem i wyjaśniła cel swojej wizyty. Panna Sweet odniosła się do tego z entuzjazmem.

Phyllida również uśmiechała się zachęcająco.

– Panna Hemmings ma sporo unikatowych przepisów, którymi na pewno podzieli się w tak szczytnym celu.

Okazało się, że Phyllida odprowadziła pannę Sweet do Grange tylko po to, aby pomóc starszej pani przejść leśną ścieżką.

– Muszę już wracać, moje diabliki w każdej chwili mogą coś nabroić.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – odezwała się Em, zbierając notatki – chciałabym jej towarzyszyć. Właśnie wychodzę. Wiem, że jest ścieżka, która prowadzi na tyły gospody, ale nie jestem pewna, czy znalazłabym drogę.

Phyllida uśmiechnęła się.

– Pokażę pani. Mnie także będzie miło przejść się w pani towarzystwie.

Em podziękowała Gladys, kucharce i Mortimerowi, pożegnała panią Sweet, po czym razem z Phyllidą ruszyły ścieżką.

Phyllida wskazała ubitą dróżkę, tak wąską, że z trudem szły obok siebie.

– Ona prowadzi od zaplecza Grange niemal prosto na północ przez las. Dalej droga odbija w lewo i powiedzie panią do tylnego wejścia gospody. Ciągnie się wzdłuż domostw, równolegle do głównej drogi, a kończy koło dworskich stajni.

– Więc jest to skrót między dworem, Grange a gospodą?

Phyllida kiwnęła głową.

– Ja i Jonas najczęściej korzystamy z tej ścieżki, i to od wielu lat. Czasami przysyła ogrodnika z Grange, aby oczyścił ją z zarośli, ale odkąd sięgam pamięcią, zawsze tutaj była.

Szły dalej razem, rozmawiając przyjaźnie.

– Wspomniałam o piwnicach w gospodzie – powiedziała Em – i dowiedziałam się, że pani lub pani brat możecie wiedzieć coś więcej o ich historii.

– A, tak. – Phyllida z uśmiechem pokiwała głową. – Kiedyś Grange było siedzibą sędziego pokoju, który był także właścicielem zajazdu, więc urządził areszt w piwnicach pod gospodą zamiast w swoim domu

– Więc temu służyły te pomieszczenia? Właśnie się nad tym zastanawiałam.

– Obecnie są rzadko używane – zapewniła ją Phyllida. – Ostatnią osadzoną tam osobą był Lucyfer. – Widząc zdumienie

Em, roześmiała się. – To była pomyłka, ale wówczas był nieprzytomny. Musiałam go ratować, opiekowaliśmy się nim w Grange, aż odzyskał świadomość.

Em korciło, aby dowiedzieć się więcej, ale zdecydowała, że ma ważniejsze pytania.

– Wciąż próbuję wczuć się w historię wioski i rolę, jaką odegrały największe domy. Czy może mi pani coś opowiedzieć o Grange? – spojrzała na Phyllidę. – Rozumiem, że jest własnością waszej rodziny od pokoleń, czy tak?

– No tak, niemalże od czasu podboju. Oczywiście, obecny budynek nie jest aż taki stary, najstarsze części pochodzą z początku piętnastego wieku, chociaż w następnych latach wiele dobudowano.

– I przez większość tego okresu członkowie pani rodziny pełnili funkcję sędziego pokoju lub podobną?

– Mniej więcej. – Phyllida z uśmiechem popatrzyła na Em. – A jeśli wolno wiedzieć, skąd pochodzi pani rodzina, panno Beauregard?

– Proszę mi mówić Emily lub Em, jak mówi większość.

– O ile i ty będziesz zwracać się do mnie po imieniu.

Em skłoniła głowę.

– A co do twojego pytania, mój dziadek trochę jeździł po kraju, ale w końcu osiedlił się w Yorku. Tam urodził się mój ojciec, w zasięgu brzmienia dzwonów katedry, jak mawiał, tam też mieszkał całe życie. Matka pochodziła z miejscowej rodziny, tak samo macocha, matka bliźniaczek.

– Aha, więc to siostry przyrodnie.

– Owszem, ale wszyscy zawsze byliśmy ze sobą bardzo blisko. Kiedy zmarła ich matka, zamieszkały z nami.

– Więc przez jakiś czas byliście rozdzieleni?

Nie zamierzała tego ujawniać.

– Po śmierci mojego ojca my, to znaczy Henry, Issy i ja, mieszkaliśmy przez pewien czas u wuja od strony matki. Ale potem musieliśmy pójść własną drogą, a ja zaczęłam zarządzać gospodami. – Zaczynała stąpać po grząskim gruncie, więc

poszukała drogi wyjścia. – Rozumiem, że dwór jest równie stary jak Grange.

Spojrzała przed siebie i zauważyła boczną ścieżkę z lewej strony.

– O ile wiem, to tak. Przeprowadziłam się do dworu po wyjściu za mąż. Nie znam jego historii tak dobrze, jak znam przeszłość Grange. Powinnaś spytać Lucyfera.

Em z ulgą zmieniła ten śliski temat.

– Postaram się o tym pamiętać, gdy go spotkam. – Zatrzymały się na rozwidleniu ścieżek. – To chyba droga do gospody.

– Tak. – Phyllida z uśmiechem wyciągnęła do niej dłoń. – Zobaczymy się niebawem w gospodzie. Przywracasz ją do życia w szybkim tempie, cudownie jest mieć miejsce, z którego mogą korzystać również damy.

– Rzeczywiście, zyskuje na popularności. – Em uścisnęła jej rękę i skierowała się ku gospodzie. – Mam nadzieję, że spełnimy oczekiwania.

– Jestemł tego pewna. – Phyllida pomachała jej ręką i ruszyła ścieżką w swoją stronę.

Rozmyślała, zastanawiała się. Nie miała wątpliwości, że Emily Beauregard była dobrze urodzona, co więcej, że pochodziła z tej samej społecznej klasy co ona. Kiedy były same, bez towarzystwa innych, powstała między nimi atmosfera – z braku lepszych określeń – koleżeństwa, którą Phyllida rozpoznała. To poczucie wspólnych życiowych doświadczeń, które dzieliła z innymi kobietami rodziny Cynsterów – żonami braci i kuzynów Lucyfera.

Oczywiście nie wszystkie były takie same, jednak miały wspólne cele, podobne problemy i ambicje. Wszystko to wyczuła w Emily Beauregard; to była pokrewna dusza.

Phyllida zobaczyła przed sobą dwór. Przeszła przez ogród od strony kuchni, notując w pamięci, co w nim trzeba zrobić. Weszła do kuchni, gdzie zamieniła kilka zdań z panią Hemmings na temat kolacji, po czym skierowała się do części mieszkalnej, a dokładniej do salonu na tyłach domu, w którym pozostawiła synów pod opieką swego przystojnego męża.

O dziwo, zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Otworzyła je cicho i na jej ustach pojawił się ciepły uśmiech.

Na dywanie obok sofy leżał na plecach Lucyfer, przytrzymując spoczywającymi wzdłuż ciała rękami pogrążonych we śnie chłopców. Cokolwiek z nimi robił, wymęczył ich tak, że aż posnęli.

Podeszła bliżej, niepewna, czy on także zasnął. Usiadła na sofie i z lubością wpatrywała się w trzy ukochane twarze, te dwie łagodniejsze, bardziej pyzate wersje ich ojca. Nawet w tej pozycji twarde rysy jej męża wyraźnie świadczyły o jego arystokratycznym pochodzeniu.

Powoli uniósł długie rzęsy. Ciemnoniebieskie oczy, którymi zdawał się przenikać na wylot jej duszę, zatrzymały się na jej oczach. Uśmiechnął się.

– Co porabiałaś? – Wyszeptał.

– Byłam na spacerze z panną Beauregard, to znaczy z Emily – odpowiedziała równie cicho. – Czy znamy kogoś w Yorku? – Wyjaśniła, czego się dowiedziała o nowej oberżystce. – Wcale nie wspomniała o Ballyclose, ale pytała o historię Grange.

– A o nasz dwór? Są tak samo stare.

Pokręciła głową.

– Napomknęła o nim, ale odniosłam wrażenie, że teraz koncentruje się na Grange.

Uniósł brwi.

– Ciekawe. Ale nie mam zielonego pojęcia, co to może oznaczać.

Phyllida usłyszała czyjeś kroki w holu. Spojrzała w kierunku drzwi, które uchyliły się, a po chwili ukazał się w nich Jonas. Na widok rodzinnej scenki uśmiechnął się i cichutko, tak jak przed chwilą Phyllida, wszedł do środka.

Stanął koło sofy w miejscu, z którego mógł go zobaczyć Lucyfer. Na powitanie kiwnął mu głową. Potem spojrzał na siostrę.

– Odwiozłem Henry’ego Beauregarda do gospody, byliśmy na przejażdżce. Ale Em nie było, może ją widzieliście?

Phyllida zrobiła zdziwioną minę.

– Tak się składa, że ją widziałam. – Opowiedziała o ich spotkaniu i powtórzyła to, czego się dowiedziała.

Żadne z nich nie znało w Yorku nikogo, kto mógłby im udzielić informacji o rodzinie Beauregard.

Phyllida przyglądała się uważnie bratu.

– A ty dowiedziałeś się czegoś od Henry'ego?

Pokręcił głową.

– Gdy tylko pytałem o cokolwiek, co ma związek z historią jego rodziny, stawał się bardzo ostrożny i powściągliwy. Jest zbyt inteligentny, żeby dać się podejść. Jeśli nie chce o czymś rozmawiać, po prostu nie rozmawia, więc nic nie uzyskałem. – Zawahał się, spoglądając na Lucyfera. – Doszedłem do wniosku, że bez względu na to, czego ona szuka, najbardziej sensowne rozwiązanie to okazać jej pomoc. Odpowiedzieć na jej wszystkie pytania.

Lucyfer skrzywił się.

– Byłoby prościej, gdyby zadawała bezpośrednie pytania, a jeszcze lepiej, gdyby powiedziała nam, czego poszukuje.

– Być może wkrótce to nastąpi, skoro poznaje nas coraz lepiej – stwierdził Jonas.

– Wydaje mi się, że jej zainteresowanie przesunęło się z Ballyclose na Grange – odezwała się Phyllida. – Ciekawe dlaczego?

Tym razem Jonas zrobił zdumioną minę.

– Jeśli spotkacie Pommeroya, możecie go spytać, czy Em rozmawiała z nim o Ballyclose. Obecnie ona mnie unika. – Nie miał ochoty wyjaśniać dlaczego, chociaż bystry wzrok Lucyfera sugerował, że przynajmniej on już się tego domyślał.

Phyllida pokiwała głową.

– Odnoszę wrażenie, że ona szuka czegoś starego, związanego z bardzo dawną historią. I z całą pewnością jest to, jakiś przedmiot.

Jonas zgodził się z tą opinią.

– Szkoda, że nie wiemy, co to takiego.

***

Gdyby znali cel poszukiwań Em, zapewne mogliby jej pomóc, a potem…

A potem on mógłby skłonić ją, aby skoncentrowała się na nim, na tym, co było między nimi, zamiast na swoich poszukiwaniach.

Następnego ranka Jonas jechał konno przez ojcowskie pola, w górę rzeki Coly, tam, gdzie łączyła się z Axe. Sprawdził tamę w dolnym biegu rzeki, a przekonawszy się, że wszystko jest, jak należy, teraz wracał do Grange. Omiatając wzrokiem rodzinne włości, rozmyślał o Emily Beauregard.

Pragnienie, aby skupić na sobie jej całą uwagę, nie było jedynym powodem, dla którego chciał, aby jak najszybciej zakończyła z powodzeniem swoje poszukiwania. W końcu zrozumiał, dlaczego jej tajemnicza misja wywołuje w nim taki niepokój – otóż właśnie owa tajemniczość sugerowała, że gdzieś po drodze może się czaić niebezpieczeństwo, nie wiedział jednak dokładnie gdzie, ponieważ nie znał celu jej poszukiwań.

Nie mógł spokojnie znosić myśli, że coś jej grozi, a teraz, skoro już zdał sobie sprawę, jak wiele Emily dla niego znaczy, nawet rozumiał źródło obaw.

Mrużąc oświetlone porannym słońcem oczy, pognał swego czarnego wałacha, Jupitera, do szybszego biegu.

Nie spostrzegłby błąkającej się po polu pary, gdyby nie usłyszał śmiechu, który był dostatecznie głośny, aby porazić słuch Jupitera. Wierzchowiec potrząsnął łbem i położył uszy po sobie.

Jonas ściągnął wodze na skraju zagajnika i obserwował dwie jasnowłose głowy śmigające pośród zboża w kierunku brzegu rzeki.

Coly to mała rzeczka, a ze względu na porę roku jej poziom był niski, lecz pod łagodnie zmarszczoną powierzchnią wody miejscami krył się silny prąd, a gdzieniegdzie zdarzały się także głębokie miejsca.

Zbyt głębokie, aby dziewczynki mogły zaryzykować przymusową kąpiel.

Jonas wcale nie zamierzał ubiegać się o ich uwagę, przynajmniej do czasu, aż zapomną o tym, że obiecał zabrać je na przejażdżkę. Poza tym, zgodnie z przewidywaniem Emily, zachowanie bliźniaczek sprawiało, że nawet jeśli nie czuł rozdrażnienia, to jednak miał się na baczności. Sam dorastał razem z Phyllidą, ale siostra to nie to samo, co bliźniaczki, być może kiedyś jego szwagierki.

Jednak… one biegły dalej, podskakiwały, rzucając się w łany zbóż.

Jonas westchnął i ruszył stępa w kierunku dziewczynek. Zbliżywszy się, zanim siostry zdążyły go zobaczyć, dźgnął Jupitera w boki, po czym kłusem wjechał w przestrzeń między nimi a rzeką.

Zatrzymał się dokładnie przed nimi.

Przestraszone stanęły jak wryte. Jednak gdy uniosły wzrok i rozpoznały go, na ich buziach od razu zagościł radosny uśmiech.

Zanim jeszcze popadły w pełny zachwyt, Jonas spojrzał na nie surowo.

– Czy wasze siostry wiedzą, gdzie jesteście?

To pytanie ostudziło ich zapał, stłumiło radosne piski. Popatrzyły po sobie długo, wymownie, zastanawiając się, co odpowiedzieć. W końcu uniosły głowy.

– Nie – stwierdziła Gert.

– Powinnyśmy być w pokoju i rysować. – Bea powiedziała to takim tonem, jakby rysowanie wiązało się ze stratą czasu. – Ale na dworze jest tak ładnie, że szkoda siedzieć w domu.

Ich miny mówiły, że oczekują od niego zrozumienia i sympatii, co też faktycznie odczuwał. Dał to po sobie poznać.

– To oczywiste, ale… te pola i rzeka mogą wydawać się bezpieczne, jednak czai się tu wiele niebezpieczeństw. Na przykład… – Puścił wodze wyobraźni i wymienił listę potencjalnie groźnych rzeczy. Dziewczynki wcale nie sprawiały wrażenia wystraszonych. Wtedy zwrócił ich uwagę na to, jak bardzo gniewałyby się ich starsze siostry, gdyby podczas tej eskapady coś im się stało, a nikt nawet nie ruszyłby na pomoc,

bo wymknęły się bez pozwolenia. Bliźniaczki wyraźnie spoważniały, co wykorzystał, aby zakończyć wywód konkluzją: – A przecież teraz Em, która musi prowadzić gospodę i swoje poszukiwania, ma na głowie dosyć kłopotów, abyście wy dodawały jej jeszcze więcej, nie sądzicie?

Znowu wymieniły spojrzenia. Miały skruszone miny.

– Chciałyśmy tylko poznać okolicę, tak troszeczkę. – Bea uśmiechnęła się krzywo.

Teraz miał już pewność, że mu nie uciekną, więc zeskoczył z siodła.

– Chodźcie, odprowadzę was do domu.

Odwrócili się od rzeki i ruszyli na przełaj przez pole, potem wzdłuż żywopłotu z powrotem w kierunku lasu. Jonas szedł równym krokiem, prowadząc Jupitera, a dziewczynki dreptały grzecznie po jego bokach. Wielki koń parskał, niezadowolony, że musi iść, a przecież mógłby znowu pobiegać.

– Chciałyśmy zobaczyć, co jest tam dalej – powiedziała Gert, patrząc w ziemię. – Poznać okolicę, skoro mamy tu zostać jakiś czas.

Gdyby mógł o tym decydować, zostałyby tutaj na bardzo długo.

– Tak właśnie robią Colytonowie – stwierdziła Bea, jakby to wszystko wyjaśniało.

Jonas znał opowieści o założycielach miejscowości, z których wszyscy – jak głosiła fama – byli niepokornymi łowcami przygód. Zapewne bliźniaczki usłyszały te opowiadania i uznały, że zamieszkanie w Colyton wymaga takiego właśnie zachowania – przynajmniej miały dość odwagi, aby dowiedzieć się, co leży za najbliższym horyzontem.

– Być może – odezwał się – lecz wątpię, aby wasze siostry aprobowały takie samowolne wycieczki.

Bea zrobiła zatrwożoną minę.

– Pewnie nie.

– Chcą, aby nic się nam nie stało. – Gert przyglądała się Jupiterowi. – Czy to grzeczny koń?

Jonas spojrzał na wierzchowca, który już chyba pogodził się z tym, że nie dane mu będzie pobiec galopem.

– Raczej grzeczny. – Rzucił okiem na Gert, potem na Beę. – A wy chyba jesteście trochę zmęczone. Czy chciałybyście przejechać resztę drogi na jego grzbiecie?

Oczywiście, chciały. Posadził je koniu, ale nie skrócił strzemion. Grzbiet Jupitera był na tyle szeroki, że nie istniało niebezpieczeństwo ześliźnięcia się na ziemię.

– Tylko bez chichotów – ostrzegł je. – On nie lubi takich odgłosów, jak większość koni. Jeśli zaczniecie chichotać, może zdecydować, że nie chce, abyście siedziały mu na grzbiecie.

Przez następne kilkanaście metrów jechały posłusznie w absolutnej ciszy. A potem zaczęły zadawać pytania o rzeczy, które zaobserwowały ze swojego wysokiego miejsca.

Ponieważ Jonas dobrze znał okolicę, doskonale widział ją w wyobraźni, z łatwością zaspokajał ich ciekawość. Wciąż pytały go o wszystko, i tak dotarli na podwórze przy stajni na tyłach gospody.

W drzwiach kuchni ukazała się głowa Johna Ostlera, który szybko znikł w środku, a po chwili pojawiła się Em. Zdumiona, podbiegła do nich szybko.

Zanim zdążyła zbliżyć się i otworzyć usta, Jonas odpowiedział na pytanie, które odczytał w jej oczach.

– Nic im się nie stało.

Em stanęła w miejscu, opierając dłonie na biodrach. Uniosła głowę, aby zmierzyć wzrokiem siedzące na koniu siostry.

– Gdzie były? – Spoglądała na nie z miną, która nie wróżyła niczego dobrego. Jednak bliźniaczki wcale nie wydawały się speszone.

– Znalazłem je na polu, biegły w stronę rzeki. Wyjaśniłem im, że to nie jest dobre miejsce na samotne wyprawy. Podobnie jak położony dalej las. – Jonas sięgnął po Gert i postawił ją na ziemi, potem tak samo zsadził z Jupitera Beę. – Poradziłem im, aby na razie trzymały się lasu po tej stronie ścieżki, i aby pytały cię o pozwolenie, zanim wyruszą gdzieś dalej.

Cofnął się, spoglądając na małe siostry. One również popatrzyły na Jonasa i uroczyście pokiwały głowami – najpierw jemu, potem Em.

A ona przyglądała się im z mieszanymi uczuciami.

Jeszcze przez chwilę milczała złowieszczo.

– Idźcie do środka i przeproście Issy – powiedziała w końcu – a potem jazda na górę do lekcji.

Bliźniaczki zgodnie uśmiechnęły się niczym aniołki i pobiegły do gospody.

Em popatrzyła za nimi z westchnieniem.

– Muszę przypomnieć Issy, żeby robiła im przerwy, co jakiś czas wychodziła z nimi na dwór.

– Bardzo rozsądnie. – Jonas pozostał na miejscu, nie wykazując ochoty do odejścia.

Spojrzała mu w oczy.

– Co ty im obiecałeś?

Przez chwilę spoglądał na nią beznamiętnie, w końcu wyszczerzył zęby.

– Opowiadałem im o różnych miejscach w okolicy, do których same nie mogłyby dotrzeć, a potem zaproponowałem, że jeśli będą grzeczne i przez kolejny miesiąc nie będą oddalać się same bez pytania cię o pozwolenie, być może, ale tylko być może, znajdę czas, aby zabrać je na zbadanie kilku takich odległych miejsc.

Znakomita marchewka, aby utrzymać bliźniaczki w ryzach.

– Dziękuję – powiedziała z wyraźną ulgą. – To… bardzo miło z twojej strony.

Jupiter parsknął, poruszył się, stając między nimi a domem. Jonas spojrzał wymownie na wielkie czarne zwierzę, które natychmiast się uspokoiło.

Potem przeniósł wzrok na Emily.

– Nie zrobiłem tego dla nich – powiedział po dłuższej chwili – lecz dla ciebie.

Zajrzała w jego ciemne oczy i wiedziała, że mówi prawdę. Bezskutecznie próbowała się przed tą prawdą obronić. Przechyliła głowę.

– Jeszcze raz dziękuję. Ja… Issy i ja oszalałybyśmy z niepokoju, gdybyśmy odkryły, że ich nie ma.

Pokiwał głową, jednak wciąż nie odchodził, wciąż nie spuszczał z niej wzroku, układając usta w dziwny uśmieszek, jakby sugerował, że wie coś, o czym ona nie ma pojęcia.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Co?

– Pomyślałem sobie, że zasługuję na nagrodę.

Oszołomiona poczuła budzące się instynkty.

– Jaką nagrodę?

– Taką.

Objął ją w talii, przyciągnął ku sobie, zupełnie zbijając ją z tropu, zanim jeszcze nachylił głowę i wycisnął na jej ustach pocałunek. Najpierw językiem rozchylł jej wargi, by po chwili wtargnąć do środka i spróbować jej smaku.

Prowokował ją, kusił.

Odpowiedziała pocałunkiem, zapominając o swoich postanowieniach, ledwie świadoma wielkiego konia, który stał między nimi a domem i stanowił skuteczną przegrodę, gdyby ktoś chciał wyjrzeć na podwórze. Ich nogi mogły być widoczne, sugerując coś swoją bliskością, lecz nikt nie widział, że Jonas nachylił głowę i wniknął w jej usta jeszcze głębiej, a ona uniosła ręce i objęła go za szyję, wyciągając się ku niemu.

Aby uczynić pocałunek jeszcze pełniejszym. Aby jeszcze bardziej delektować się jego słodyczą. Dawać i brać, dzielić tę chwilę zwykłej, choć ekscytującej, zakazanej, choć wywołującej dreszcz przyjemności.

Powiedziała sobie, że to tylko pocałunek. I nic więcej. Jednak już po kilku sekundach przekształcił się w grę, walkę wzajemnych ustępstw, gdy nie było wiadomo, kto w danej chwili daje, a kto bierze. Przez głowę, jak błyskawica, przelatywały jej myśli, co jest lepsze, co każde z nich woli, którędy prowadzi droga do największej przyjemności… gdy nagle, ku jej niemiłemu zaskoczeniu, Jonas oderwał się od jej ust.

Wyprostował się, popatrzył na jej twarz, na rozchylające się powieki, odczytał w jej oczach pełne szaleństwo.

Z trudem opanował się, by nie okazać triumfu.

Ignorując prymitywne instynkty, z wysiłkiem uwolnił ją ze swych ramion. Gdy upewnił się, że Em stoi twardo na ziemi, puścił ją i cofnął się.

Pozdrowił ją gestem, lecz nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Do następnego razu – powiedział.

Do następnego razu, gdy zrobi dla niej dobry uczynek, do następnego razu, gdy ona go nagrodzi, lub też do następnego razu, gdy spotka się z nią sam na sam.

Widział po jej minie, że nie ma pojęcia, co dokładnie miał na myśli.

Zresztą on sam też nie wiedział, więc pociągnął Jupitera, poprowadził go kawałek dalej, wskoczył na siodło i ruszył do domu.

A ona została, patrząc za nim, pogrążona w myślach.

Rozdział 10

Później tego popołudnia Jonas przywiózł Henry'ego do gospody po kolejnej przejażdżce po okolicy. Trzymając lejce, Henry spokojnie wprowadził dwukółkę na stajenne podwórze, co zaskoczyło Emily, która właśnie szła tamtędy z przykuchennego ogrodu.

Zdumiona przystanęła na środku pokrytego żwirem podwórza.

– Przejedź dookoła siostry – zaproponował Jonas.

Henry ostrożnie poprowadził siwki wokół Em, która najpierw sprawiała wrażenie zdziwionej, lecz po chwili obróciła się, aby nie stracić ich z oczu, i zaczęła bić brawo.

Henry zatrzymał powóz przed stajnią i spojrzał rozpromieniony na Jonasa.

– Bardzo dziękuję! Nigdy nie zdołam się odwdzięczyć.

– Nonsens. Na pewno coś wymyślę.

Henry roześmiał się, a potem, wciąż uradowany, przekazał Jonasowi lejce i zeskoczył na ziemię.

– To było wspaniałe – powiedział do siostry. – Powoziłem większą część drogi. Jonas mówi, że mam do tego dryg.

– To prawda. – Jonas przywiązał wodze i wysiadł z dwukółki. John Ostler wyjrzał przez kuchenne drzwi, aby sprawdzić, czy jest potrzebny, lecz Jonas obszedł powóz i gestem dał mu znać, żeby się nie fatygował. W końcu uśmiechnął się do Em. – Niedługo bez większego wysiłku będzie z niego dobry woźnica. Łatwo jest uczyć kogoś, kto rozumie różnicę między kierowaniem a zwykłym ciągnięciem za lejce.

Henry cieszył się przeogromnie.

Jonas z uprzejmą miną wskazał go ruchem głowy.

– Przyjadę za kilka dni, zobaczę, jak radzisz sobie z lekcjami i wygospodaruję trochę czasu na następną jazdę.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję! – Henry żwawo zasalutował Jonasowi i pobiegł do gospody.

Jonas i Em patrzyli za nim.

– Pewnie jest głodny – powiedziała lekko zdziwiona. Jej ton sugerował, że ta przyczyna jest odpowiedzialna za dziwne zachowanie chłopców w wieku Henry'ego.

Jonas przypuszczał, że szybka ucieczka młodziana miała raczej związek z rozmową, jaką odbyli podczas przejażdżki, którą to rozmowę zainicjował właśnie Henry, zainteresowany intencjami Jonasa wobec Em. Kiedy Jonas zapewnił go, że ma uczciwe zamiary – że pragnie pojąć ją za żonę, a jedyną przeszkodą jest wyczucie odpowiedniej chwili i zyskanie jej zgody – Henry bardzo się ucieszył. Jego natychmiastowa ucieczka była więc prostą formą zachęty.

– To nie są twoje konie.

Spojrzał na Em, która przyglądała się siwkom.

– Nie, należą do mojego ojca. Potrzebowały trochę ruchu i są znacznie bardziej stateczne od moich kasztanków. Mimo że doceniam talent twego brata, to jednak nie powierzyłbym go moim koniom

– Jego im czy raczej ich jemu?

Uśmiechnął się sztywno.

– Dokładnie tak, jak powiedziałem. One wyczułyby, że jest niedoświadczony, i wymknęłyby mu się spod kontroli. A wtedy zapewne nigdy więcej nie odważyłby się powozić.

Przyjrzała się mu badawczo, w końcu pokręciła głową.

– Więc muszę podziękować ci jeszcze raz. – W jej oczach zamigotał błysk podejrzliwości. – Ale chyba nie jesteś taki uczynny dla mojego rodzeństwa, aby zdobyć moje względy, prawda?

Z uśmiechem oparł się barkiem o bok dwukółki.

– Przyznaję, że przyszło mi to do głowy, ale wbrew pozorom naprawdę z przyjemnością spędzam czas w towarzystwie twego

brata i sióstr. Są zabawni, a nie nudni, jak większość dzieci w ich wieku. – Wciąż patrzył jej w oczy. – Dobrze ich wychowałaś.

Zarumieniła się lekko.

– Oni są dobrzy z natury, po prostu czasem ich ponosi.

Kiwnął głową.

– Niestety, nie każdy potrafi docenić tę różnicę. Muszę ci pogratulować, że nie usiłujesz stłamsić ich werwy. To nie mogło być łatwe bez rodziców.

Nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Milczała, zastanawiając się, czy Jonas mówi szczerze. Zanim zdążyła mu jeszcze raz podziękować, a potem odejść, ponownie przyciągnął ją ku sobie.

– Co…? – Chwyciła go za ramiona, lecz nie po to, aby odepchnąć. Spojrzała ukradkiem w kierunku gospody.

– Nikt nas nie widzi – powiedział cicho, przywierając ustami do jej ust.

Zaczął spijać jej słodycz po raz drugi tego samego dnia. Chciałby robić to częściej. Skryty bezpiecznie w cieniu powozu, wyprostował się i wcisnął jej ciało w swoje, aby i tego zasmakować – a było to niewymownie oszałamiające wrażenie, gdy jej smukła delikatna postać opierała się tak mocno o jego ciało.

Próbowała nie ulec, może nawet oprzeć się; przez chwilę walczyła ze sobą, lecz w końcu odprężyła się i poddała pocałunkowi w ramionach Jonasa. Cała była delikatnością, kwintesencją kobiecości, tajemnicy i uroku. Jej ciało wzywało go jakimś zwierzęcym instynktem; wcale nie była tą, którą wcześniej uważał za swój ideał – była lepsza, wspanialsza, nieskończenie bardziej kusząca.

Swędziały go dłonie, którymi pragnął wodzić po jej krągłościach. Pragnął unieść ją w ramionach i zabrać gdzieś, gdzie mógłby to naprawdę zrobić. Powstrzymała go jedynie świadomość granic tego, na co mogła dać przyzwolenie. A właśnie teraz chciałby zanieść ją do pustej stajni za ich plecami.

Jednak musiał stopniowo zabiegać o jej względy, krok po kroku, pocałunek po pocałunku. Musiał ją w końcu rozbudzić –

do tego stopnia, aż sama zacznie go pożądać. Aż zapragnie go tak mocno, jak on pragnie jej.

A już jej pragnął, co wcale nie wpływało na złagodzenie jego atawistycznych żądzy.

Odsunął od siebie te drażliwe myśli, koncentrując się na tym, aby nakazać dłoniom spokój, podczas gdy delektował się miodową słodyczą jej ust. Podczas gdy sycił swe zmysły w takim stopniu, w jakim to było możliwe – przynajmniej na razie.

Musiał przerwać ten pocałunek, unieść głowę, postawić Em na ziemi, puścić ją. Zmusił się, aby to zrobić, a potem zajrzał w jej półprzytomne oczy i uśmiechnął się – z delikatną, lecz wyraźnie widoczną drwiną. Nie mógł pozwolić, przynajmniej na razie, aby zobaczyła więcej, aby dojrzała, jak bardzo jej pragnie, czego od niej oczekuje. Być może później, ale jeszcze nie teraz.

Teraz nie chciał, aby się wystraszyła i wycofała.

Dziś chciał rozpalić jej ciekawość, pokusę.

Aby poczuła pragnienie czegoś więcej.

Oprzytomniała, bystrym wzrokiem zaczęła wodzić po jego twarzy. Zdezorientowana, otworzyła usta…

Zanim zdążyła się odezwać, dotknął palcem czubka jej nosa.

– Miłego popołudnia, wróbliczko. Zobaczymy się później.

Pochylając głowę równie zawadiacko, jak wcześniej uczynił to Henry, obszedł dwukółkę, wskoczył do środka i, chwyciwszy lejce, zasalutował na pożegnanie, a następnie powoli wyjechał z podwórza.

Została sama. Jej wargi drżały, z trudem zbierała myśli, w końcu – patrząc na odjeżdżającego Jonasa – zmarszczyła brwi.

– Wróbliczko?

Musiała przyznać, że faktycznie miała na sobie brązowe ubranie.

Po chwili zrobiła jeszcze bardziej niezadowoloną minę, strofując się za to, że z dnia na dzień czerpie zdecydowanie za dużo przyjemności z tych pocałunków. Przecież mogłaby opierać się, odmówić, lecz ta uległość zdawała się o wiele

bardziej interesująca. I intrygująca, podniecająca. Mimo wszystko, nawet gdy więził ją w objęciach, czuła się bezpieczna.

Prawdziwa zagadka.

Wciąż nie wiedziała, jak poradzić sobie z ich wzajemnym zauroczeniem. W wypadku wszystkich innych mężczyzn instynktownie powstrzymałaby zapędy zalotników, lecz jeśli chodzi o Jonasa, to po prostu nie działało. Instynkt obronny Em pozostawał uśpiony. Kolejna zagadka.

Patrzyła za dwukółką, aż ta skręciła na drogę i znikła jej z oczu. Em pokręciła głową i wolno ruszyła z powrotem do gospody.

* * *

Jonas nie powinien wspominać bliźniaczkom o ciekawych miejscach. Zbyt późno zdał sobie sprawę z popełnionego błędu.

Zbyt późno zorientował się, że małe siostrzyczki po mistrzowsku potrafią wiercić dziurę w brzuchu.

Tego wieczoru obstąpiły go w barze. Gdy tylko usiadł i postawił na stole kufel z piwem, natychmiast przybiegły i zaczęły się przymilać. Wciągnęły go w rozmowę, namawiając, aby nazajutrz zabrał je na wycieczkę w ciekawe miejsca.

Z uśmiechem próbował odwrócić ich uwagę od tego tematu, potem usiłował zamieszać im w głowach, narzucić swoją wolę, odesłać je, aby przyszły kiedy indziej. Nic z tego.

W końcu, dla świętego spokoju, zgodził się zabrać je na krótką wycieczkę następnego popołudnia.

Chciał po prostu posiedzieć, sącząc piwo. Chciał obserwować, jak ich starsza siostra krząta się po gospodzie, tak jak każdego wieczoru, z uśmiechem pozdrawiając gości, i zatrzymuje się na krótkie pogawędki z kobietami. Wielu klientów szukało jej wzrokiem, lecz większość tylko kłaniała się z daleka.

On zachował się podobnie. Czuł wewnętrzny spokój, jakiego nigdy dotychczas nie znał, lecz teraz szybko się do niego przyzwyczajał.

Zgodnie z obietnicą następnego dnia po południu zjawił się przed tylnymi drzwiami gospody. Jego siostrzeńcy mogliby – jak zwykle – zapomnieć o umówionej wycieczce w wirze codziennych beztroskich zabaw, lecz Jonas wiedział, że bliźniaczki będą czekać.

Tak było w istocie. Em stała w korytarzu za ich plecami. Z jej miny wynikało, że sama nie wie, czy powinna stłumić żądania siostrzyczek i uwolnić go od zbliżającego się koszmaru, czy też uśmiechnąć się na widok Jonasa popadającego w niewolę wymyśloną przez dwie diabliczki.

W końcu pomachała im na pożegnanie. Owładnięty pewnym niepokojem, odważnie wyruszył w kierunku punktu widokowego Seaton, mając po bokach świergoczące bez przerwy diablice o wyglądzie aniołków.

Wrócili przed zmierzchem. Em już czekała, aby zapędzić siostry do środka.

– Jak było? – spytała.

– Ślicznie – odpowiedziała Gert. – Dużo pięknych miejsc w okolicy.

– Aż do samego morza – ziewnęła Bea. – Może jutro coś narysujemy.

Em zdumiała się. Popatrzyła na Jonasa, gdy bliźniaczki już ruszyły w stronę kuchni.

– Było… – zastanowił się – lepiej, niż się spodziewałem – przyznał. – Trzymały się całkiem dobrze, ale bardzo się zmęczyły.

– Zapraszam na herbatę. Hilda upiekła nowe bułeczki, chodź, powiesz, co o nich myślisz.

Nie potrzebował dodatkowej zachęty, czując smakowite zapachy z kuchni. Gdy wchodził za Em do ciepłej, tętniącej życiem kuchni, mimowolnie przypomniał sobie, jakie to miejsce było kiedyś zimne, puste i smutne.

A teraz dosłownie roiło się tam jak w ulu. Oprócz Hildy i jej dwóch pomocniczek była tam również Issy oraz John Ostler. Bliźniaczki już poczęstowały się słodkimi bułeczkami, po czym uciekły na górę.

Z wielkich pieców emanowały ciepło i wspaniałe zapachy. Em wskazała, aby Jonas usiadł na krześle przy wielkim stole, głównie po to, żeby nie wchodził nikomu w drogę.

Henry już wcześniej zajął miejsce i teraz trzymał w dłoni zjedzoną do połowy bułkę, w drugiej zaś ołówek. Przed nim na stole leżała otwarta książka, na którą spoglądał z kwaśną miną.

Przed Jonasem zjawił się talerz z bułką oraz kubek herbaty. Podziękował Em uśmiechem, po czym ugryzł kęs słodkiej bułki.

Poczuł na języku kwaskowaty smak owocowych przetworów i cynamonu, miło drażniący jego kubki smakowe. To było tak pyszne, że niemal jęknął.

Em szybko spojrzała w jego kierunku.

– Dobre?

Skinął głową i ugryzł następny kęs.

W przeciwieństwie do niego, Henry spożywał swoją bułkę całkowicie beznamiętnie, nie okazując żadnej reakcji. Jonas zaciekawił się, co mogło aż do takiego stopnia stępić zmysły, więc zajrzał do książki chłopca.

– Co to takiego?

– Praca domowa z łaciny. – Henry uniósł głowę. – Nie jestem tak dobry z tego języka, jak powinienem. Muszę nadrobić zaległości.

Jonas ponownie ugryzł bułkę i kiwnął głową w kierunku książki.

– Więc z czym teraz walczysz? Deklinacje?

– Między innymi.

– Ja wciąż trochę czytam po łacinie. Mógłbym ci pomóc – zaproponował. – Jaki to czasownik?

Em przechodziła obok i usłyszała, jak Henry odpowiada, a Jonas podaje mu właściwe formy odmiany. Krzątając się po kuchni, od czasu do czasu wychodząc do baru, zerkała na nich ukradkiem. Bardzo szybko zapomnieli o całym świecie, zagłębiając się w dyskusję o czasownikach i filozoficznym tekście, który Henry właśnie tłumaczył.

Zazwyczaj niechętnie przyjmował pomoc, z całej rodziny to on zachowywał najwięcej rezerwy, był najbardziej skryty i

małomówny. Często nachodziła ją niepokojąca myśl, że gdyby stało się coś złego, on nic by nie powiedział, nie chcąc obciążać jej dodatkowo swoimi kłopotami.

Jako jedyny chłopak pośród rodzeństwa czuł się zarówno odpowiedzialny, jak i bezradny. Em rozumiała to i współczuła mu. Miał świadomość, że powinien się nimi opiekować, lecz młody wiek i brak doświadczenia oznaczały, że to Em i Issy opiekowały się nim.

Chociaż nigdy nie powiedziała mu o umowie, jaką wspólnie z Issy zawarły z ich wujem – czyli ich nieodpłatna praca w zamian za jego edukację – od dawna przypuszczała, że sam się tego domyślił, nawet jeśli tylko częściowo, to w wystarczającym stopniu, aby czuć wdzięczność i zobowiązanie wobec starszych sióstr.

Ani Em, ani Issy nie oczekiwały, nie pragnęły jego wdzięczności, bo nie dlatego zawarły tamtą umowę. Lecz rozumiała, że Henry tak właśnie się czuje – zresztą sama w podobnych okolicznościach miałaby identyczne odczucia. Chłopak denerwował się niemożnością spłacenia im tego, w jego mniemaniu ogromnego, długu.

Chciała znaleźć skarb dla nich wszystkich, lecz głównie dla Henry'ego. Nie tylko dlatego, aby mógł zabrać przypadającą na niego część, ale także po to, aby miał świadomość, że wszystkie jego siostry mają zabezpieczoną przyszłość.

Sprawie skarbu i jego poszukiwań wciąż poświęcała swoje myśli, o każdej godzinie każdego dnia i nocy. Teraz, gdy skupiła się na Grange, zaczęła sprawdzać wszystkie dostępne źródła, podobnie jak wcześniej czyniła to w przypadku Ballyclose. Miała nadzieję uzyskać potwierdzenie, że to właśnie jest „dom najwyższych" z końca szesnastego wieku, zanim podejmie znacznie trudniejsze zadanie przeszukania jego piwnic.

W przeciwieństwie do Ballyclose, wiele źródeł potwierdzało, iż majątek Grange istniał jako jeden z głównych domów w tej okolicy już przed wiekami.

Nie była jeszcze na tym etapie, aby zrobić tam wypad, a w tym tygodniu miała dużo zajęć w gospodzie. Może wkrótce…

Ruch przy stole przyciągnął jej uwagę. Jonas – kiedyż to zaczęła myśleć o nim, używając imienia? – odsunął krzesło i wstał.

Henry z uśmiechem uniósł głowę.

– Bardzo dziękuję. Nie myślałem, że skończę to jeszcze dziś wieczorem, ale teraz już dam radę.

Jonas także się uśmiechnął.

– Poproś Filinga, aby dał ci do czytania Wergiliusza, jest ciekawszy.

Rozejrzał się po kuchni i zobaczył Em, która czekała przy tylnych drzwiach, aż Jonas ominie stół i ławy, aby do niej podejść.

Kiedy już był blisko, nie spuszczał z niej wzroku, a gdy stanął obok i ujął jej ramię, ze złością stwierdziła, że wstrzymała oddech.

W końcu nabrała powietrza i pozwoliła, aby pokierował ją do drzwi.

– Znowu jestem winna podziękowanie.

Otworzył drzwi i spojrzał w głąb korytarza. Zerknął jeszcze do tyłu, gdy przeprowadził Em za próg. Po chwili zeszli o stopień niżej, aby drzwi mogły się zamknąć za ich plecami.

– Nie chcę twoich podziękowań.

Zapadł już zmierzch, na tylnym podwórzu zagościł głęboki cień. Już miała wyniośle unieść brwi, gdy Jonas płynnym ruchem chwycił jej dłoń, okręcił nią dookoła…

I nagle stała plecami do ściany, a on przed nią.

– Chcę mojej nagrody – zamuczał chropawym głosem.

Jej wargi zadrżały, zmiękły, zanim jeszcze nakrył je swoimi ustami. Tym razem nie czekała, nie próbowała walczyć z tym, co nieuniknione, lecz wypchnęła do góry rękę, położyła ją na jego ramieniu, objęła za szyję i odpowiedziała pocałunkiem.

Żarliwym. Gorącym.

Przysunął się, naciskając szeroką piersią na jej sterczący biust. Nachylił głowę i wpił się w nią ustami jeszcze głębiej, a ona przytrzymała go ramionami.

Podwórze było pogrążone w coraz większym mroku. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby widzieć, jak jeszcze mocniej się obejmują. Em zupełnie poddała się jego ustom, swoim zmysłom, podnieceniu rodzącemu się z tego nowego doświadczenia. Chciała poznać jeszcze więcej.

Wiedziała, że on ją wabi i kusi, po prawdzie uwodzi, jednak nie potrafiła się cofnąć, przeciwstawić mu. W każdym razie, skoro Jonas nie wiedział, że Em pochodzi z rodziny Colytonów, nie znała przyczyny swojego powodzenia. Nie mógł wiedzieć, czym tak silnie na nią działał, nie mógł wiedzieć, że – jak wszyscy Colytonowie – ona ma duszę badacza tego, co nieznane.

Wodził językiem po jej języku, aż zadrżała, poczuła gorącą falę pożądania, która spłynęła wzdłuż jej pleców, nabrzmiewała, rosła, coraz bardziej płomienna i niecierpliwa.

Był teraz uosobieniem męskiej siły, jego mięśnie ogarniały ją, otaczały ze wszystkich stron. Ściana za jej plecami była tylko mało pomocnym rekwizytem. Dłonie Jonasa – jedna rozpostarta i zamykająca się na jej biodrze, druga obejmująca głowę – trzymały ja bardzo pewnie. Trzymały w pułapce, w bezruchu, gdy tymczasem on wnikał w jej usta, karmił jej zmysły.

A ona wyszła mu naprzeciw, wyczuła te pragnienia, poznała ich smak – starała się je nasycić, chociaż rozumiała, że on chce więcej. Pocałunek uległ zmianie, teraz męskie pożądanie wyłaniało się, już nieskrywane, lecz nadal pod kontrolą, tak aby mogła je zobaczyć, wyczuć, uświadomić sobie jego obecność, lecz nie mieć poczucia zagrożenia.

Nie wiedziała, czy tak to sobie obmyślił, czy też nie – miała za mało doświadczenia w sztuce uwodzenia, aby odgadnąć. Mimo wszystko myśl, że bez ryzyka może posunąć się dalej, była kusząca.

Było to prawdziwe wyzwanie dla jej duszy, w której naturze leżało poznawanie wszystkiego, co nowe.

Dlaczego nie? Skoro na horyzoncie nie było widać zadowalającej odpowiedzi, powinna się skusić. To była jej główna życiowa zasada, taka przewodnia gwiazda. Więc poddała się potrzebie dotyku – przycisnęła rękę uwięzioną

między ich ciałami do piersi Jonasa, poczuła, jak jego żar i siła palą jej dłoń.

Poczuł jej nieprzypadkowy dotyk aż do szpiku kości. Nabrał powietrza nierównym haustem i musiał pocałować ją znowu, jeszcze głębiej, aby stłumić swoją silną reakcję. Ten jej poznawczy dotyk stanowił dla niego wiadomość – wiedział, że to znak, lecz zarazem rozumiał, iż musi dać jej czas, aby zbadała tę nową ścieżkę we własnym tempie. Nie mógł jej ponaglać. Nie mógł zmuszać, aby go pragnęła. Była połączeniem niewinności i grzechu, determinacji i ostrożności. Przed wykonaniem jakiegoś ruchu myślała, zastanawiała się, rozważała, lecz gdy już podjęła decyzję, zwalniała wszystkie hamulce – właśnie ów dotyk był takim niepohamowanym odruchem.

Miała w sobie odwagę i naiwność – które stanowiły wybuchową mieszaninę, a ta mogła zniszczyć jego opanowanie. Wciąż jeszcze zachowywał samokontrolę, gdy jej mała dłoń przesuwała się badawczo, uczyła się, sprawdzała.

Walczył ze sobą, aby nie poddać się impulsom, które wzbudzała, aby silna wola nie uległa pokusie. Prymitywna strona jego osobowości była rozbudzona, gotowa przejąć kontrolę, gotowa urzeczywistnić wizje, jakie przelatywały mu w myślach. Ta prymitywna strona szeptała, jak łatwo byłoby wsunąć rękę pomiędzy nich i dotknąć Emily, pieścić miękkie ciało między jej udami, nawet przez bawełniany materiał sukni.

A gdyby to zrobił, roztopiłaby się z rozkoszy, wtedy uniósłby spódnicę sukni, podniósłby Em i…

Zaczął całować ją jeszcze bardziej ogniście, łapczywie, próbując odegnać te wizje z głowy.

Jednak pokonała go słodycz i żar pocałunku, jakim zareagowała. Bezwolnie jego dłoń przesunęła się z jej talii na wystającą pierś.

Wydała stłumiony okrzyk, wciąż złączona z nim w pocałunku, zakołysała się, lecz zaraz jeszcze mocniej wpiła się w usta Jonasa, a płomienie ich namiętności wybuchły ze zdwojoną siłą.

Desperacko i zachłannie zanurzył się w tym ogniu, w jej ustach, a ona wyszła mu naprzeciw, tak samo podniecona przywarła do niego, gdy pieścił ją palcami, uczył się kształtu jędrnej piersi, w końcu odnalazł nabrzmiały sutek, wolno obwiódł opuszkami wokół niego. Przesunęła się, naparła mocniej, a wtedy zacisnął dłoń.

Jej niepohamowana, kokieteryjna reakcja przyprawiła go o zawrót głowy.

Zawrót głowy, którego nie mógł powstrzymać żadną ilością powietrza nabieranego nierównym wdechem w nieprzerwanym pocałunku. Zawrót głowy, który coraz bardziej osłabiał panowanie nad zwierzęcymi instynktami.

A ona naciskała coraz mocniej. Pragnęła, pożądliwie szukała…

Musieli przestać. Teraz. Zanim instynkty owładną nim tak mocno, że będzie chciał od Em coraz więcej – a ona była gotowa mu to dać.

Wzięcie jej pod ścianą gospody zdecydowanie nie leżało w jego planach.

Powiedział sobie, aby odstąpić, cofnąć się.

Spróbował napiąć mięśnie i zmusić je do pracy, lecz bliskość Em osłabiła jego siły. Toczył ze sobą walkę, której wcale nie chciał wygrać, o czym doskonale wiedziały jego męskie instynkty.

Jej uchwyt nie był aż tak mocny, aby go utrzymać, mimo to nie mógł oderwać się od przylgniętego doń kobiecego ciała. W akcie desperacji położył ręce na jej biodrach, po czym mocno okręcił ich oboje w miejscu. W efekcie teraz on stał plecami do ściany, Em zaś tuż przed nim.

Nabrał powietrza, unosząc głowę, i oparł ją o twardy mur. Patrzył jej prosto w oczy, pogrążone w mroku, nieprzeniknione, jednocześnie z wysiłkiem rozprostował ramiona i odsunął ją od siebie.

Oddychała szybko, nierówno, gwałtownie. Przez długą chwilę spoglądali sobie prosto w oczy.

– Idź do środka – powiedział w końcu, przełykając z trudem. – Szybko.

Zamiast odwrócić się i uciec przed oczywistą groźbą w osobie Jonasa, stała i taksowała go beznamiętnym wzrokiem.

Wreszcie kiwnęła głową.

– Dobrze.

Odwróciła się, aby odejść, lecz gdy oparła dłoń na drzwiach, spojrzała na niego jeszcze raz. Nie miał pewności, ale odniósł wrażenie, że się uśmiechnęła.

– Dobranoc. I… dziękuję.

Tak, z pewnością uśmiechnęła się, a po chwili znikła w środku.

Głowa Jonasa opadła na kamienną ścianę, a on stał oparty o nią przez kilka minut, gapiąc się w gęstniejący mrok, czekając, aż znowu będzie mógł normalnie oddychać, aż wieczorny chłód go ostudzi. I rozmyślał.

Wcale nie był pewien, czy podobał mu się ten uśmiech.

* * *

– Jeszcze bardziej w lewo. – Em stała na środku podwórza na tyłach zajazdu, kierując grupką pomocników. Teraz, gdy zaczęli już szykować pokoje na noclegi dla gości, konieczne było ponowne uruchomienie pralni, a to z kolei wymagało rozwieszenia sznura do bielizny.

Nawet jeśli kiedyś tu był, nikt o nim nie pamiętał.

Poprzedniego wieczoru mówiła o swoich planach w gospodzie, a gdy Jonas i Filing to usłyszeli, obaj zgłosili się do pomocy. Thompson, miejscowy kowal, powiedział, że wie, gdzie można znaleźć odpowiednie słupki. Phyllida przekazała swoje zapasowe sznurki, których nigdy nie używała. Zanim Em zjawiła się na miejscu, miała już wszystko, co potrzebne do zamocowania sznurów, oraz dość chętnych osób, które chciały w tym dopomóc.

Tego popołudnia zebrali się wszyscy poza Edgarem, który został w środku i obsługiwał gości za barem. Pracujące w

kuchni oraz John Ostler mieli wolne popołudnie, lecz trzy dziewczęta z pobliskich farm, które Em najęła do pracy w pralni, już czekały w wejściu, spoglądając na pierwszą porcję prania w koszach stojących przed nimi na ziemi.

Issy stała nieco z boku, trzymając w rękach płytki koszyk pełen różnych narzędzi i potrzebnych rzeczy. Bliźniaczki kręciły się niecierpliwie koło drzwi do kuchni z naręczem sznurów, bloczków i blokad, które miały być zamontowane na poprzecznych belkach nośnych.

– Jeszcze kawałek dalej. – Em zamachała ręką w kierunku Jonasa i Filinga. Obaj już wcześniej zdjęli wierzchnie okrycia, pokrzepili się kilkoma kuflami piwa, zmontowali skrajne słupki do podwieszenia sznurów – dwie wysokie kolumny zakotwiczone kamiennym blokiem między dwiema skrzyżowanymi drewnianymi belkami, tworzącymi stabilną podstawę. Pierwsza kolumna już została ustawiona tam, gdzie wskazała Em, a teraz przyszła kolej na drugą.

Henry stał obok, trzymając poprzeczną belkę, którą za chwilę należało unieść i wsunąć w otwór na szczycie kolumny, a następnie zamocować.

– Czy teraz dobrze? – Jonas wyprostował się, spoglądając na przeciwległy słupek.

– Prawie. – Em stanęła między kolumnami, sprawdzając kierunek i odległość między nimi. Obliczyła, ile prześcieradeł zmieści się na każdym sznurze. W końcu skinęła głową. – Tak, teraz dobrze.

Filing wyprostował się z przysiadu, wyraźnie pojękując. Issy podeszła do niego, a on z uśmiechem spojrzał jej w oczy i pokręcił głową, dając znak, że nie ma powodów do niepokoju.

Jonas przywołał gestem Henry’ego. Razem wzięli belkę za dwa końce, unieśli i wstawili w zagłębienie na szczycie kolumny, a potem nasunęli na przygotowane długie śruby. Filing wziął od Issy ciężki klucz. Jonas jedną ręką wyjął z kieszeni dwie nakrętki, które podał wikariuszowi, a ten szybko zamocował je na odpowiednich gwintach.

Po chwili wszyscy cofnęli się o kilka kroków, spoglądając na efekt ich pracy. Jonas odwrócił się i skinął na bliźniaczki.

– Teraz sznury.

Dziewczynki podbiegły, niosąc sznury z przymocowanymi bloczkami i zaczepami.

Jonas z Filingiem rozpostarli linki, a potem Henry przytrzymał je za jeden koniec, a wszystkie cztery siostry rozciągnęły je, trzymając wysoko ręce.

Po chwili zaczepy zostały zamocowane kolejno na belkach, a sznury naciągnięte za pomocą bloczków, i praca była zakończona.

Cofnęli się w cień rzucany przez budynek i przyjrzeli swemu dziełu.

– Doskonale – stwierdziła Em i kiwnęła ręką na praczki. – Możecie rozwiesić bieliznę. Wiem, że jest późno – zerknęła na południowo-zachodnie niebo – ale raczej nie będzie deszczu. Może tu wisieć do rana.

Dziewczęta chwyciły kosze i żwawo podbiegły, aby wypróbować nowe sznury. Jonas pokazał im, jak je podnosić i opuszczać. Bliźniaczki również podeszły, aby się lepiej przyjrzeć. Em patrzyła, jak ochoczo zadają pytania. Zastanowiła się, jakaż to nowa psota rodzi się w ich głowach. Już miała podejść i przestrzec je, gdy właśnie w tym momencie Jonas odwrócił się od praczek zajętych pracą, skierował uwagę na bliźniaczki i zaczął coś do nich mówić.

Uniosły na niego otwarte szeroko oczy. Kiedy skończył, uśmiechnęły się i grzecznie pokręciły główkami. Wyglądały niczym dwa aniołki.

Em patrzyła na to z niedowierzaniem, lecz już po chwili dziewczynki wymieniły spojrzenia, najwyraźniej rozważając różne możliwości, a potem bez słowa skierowały się do gospody.

Patrzyła za nimi podejrzliwie.

Usłyszała chrzęst żwiru, gdy zbliżył się Jonas. Włożył surdut, wygładzając rękawy.

Znowu przeniosła wzrok na siostry.

– Co im powiedziałeś?

– Przypomniałem im o umowie, jaką zawarliśmy kilka tygodni temu, że jeśli będą grzeczne, na tyle grzeczne, abym nie musiał się gniewać, zabiorę je na przejażdżkę moją dwukółką.

– To było aktem wielkiej odwagi – stwierdziła, przyglądając mu się.

Lekko wzruszył ramionami.

Razem z Em jeszcze raz spojrzeli na swoje ostatnie dzieło. Praczki chichotały, sprawnie wsuwając spinacze w rozwieszoną pościel. Białe prześcieradła wydymały się w powiewach lekkiej bryzy.

Bardzo mocno odczuwała jego bliskość, ciepło emanujące z jego dużej postaci. Odczuwała pokusę, którą wywoływał w jej zmysłach. Była świadoma destrukcyjnego efektu, jaki jego osoba miała na przyjęte przez nią postanowienia, na jej wolę. Odchrząknęła.

– Byłeś bardzo pomocny. Nie mogę tylko powtarzać w kółko słowa „dziękuję”.

Oczywiście nie mogła również nieustannie oferować mu nagrody. Już spojrzał na nią, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Em odezwała się pierwsza.

– Z Issy zastanawiałyśmy się, czy razem z panem Filingiem chcielibyście do nas dołączyć na rodzinny lunch w niedzielę po nabożeństwie. – Spojrzała mu w oczy. – Jeśli macie czas.

Oczy Jonasa były tak ciemne, że nie umiała odczytać jego myśli, gdy błądził wzrokiem po jej twarzy. W końcu uśmiechnął się.

– Dziękuję. – Ujął jej dłoń, uniósł ją do swych ust i lekko musnął wargami delikatne palce.

Aż zadrżała na całym ciele.

– Dołączę do was z prawdziwą przyjemnością – powiedział niskim, męskim, znaczącym głosem.

Zignorowała instynktowną potrzebę, aby spojrzeć gdzieś w bok. Przecież nie mogła go ciągle całować. Jednak znała siebie na tyle dobrze, aby wiedzieć, że będzie to czyniła, jeśli on będzie ją całował. Musiała położyć temu kres, unikać sytuacji,

które dawały mu sposobność i powód, aby to robił. W końcu żwawo pokiwała głową.

– Dobrze. Wobec tego po nabożeństwie.

Miała zamiar odwrócić się i odejść, lecz spojrzenie Jonasa osadziło ją na miejscu. Poza tym cały czas trzymał jej dłoń.

Poruszył kciukiem, głaszcząc ją delikatnie tam i z powrotem.

Zatraciła się w jego oczach.

Z uśmieszkiem satysfakcji puścił ją i się cofnął, lekko skłaniając głowę.

– Będę czekał niecierpliwie.

Patrzyła, jak oddalał się w kierunku lasu, aż zniknął między drzewami na ścieżce prowadzącej do Grange.

W tym momencie podeszłą Issy i wzięła siostrę pod rękę.

– Joshua zgodził się.

– Jonas też.

Issy skierowała się do gospody, a Em, nie stawiając oporu, poszła razem z nią.

– Wobec tego – stwierdziła młodsza z sióstr – musimy się zastanowić, co podamy na stół.

* * *

Nie mogła nigdzie znaleźć bliźniaczek.

Następnego popołudnia, wiedząc, że Issy poszła pomóc pannie Sweet oporządzić kościelne kwiaty, i że Henry pobiera naukę u Filinga, Em w pewnym momencie porzuciła rachunki, aby pójść na górę i sprawdzić, co porabiają najmłodsze siostry, które miały czytać u niej w saloniku. Okazało się, że pokój jest pusty, a bliźniaczki gdzieś znikły.

Nie wpadła w panikę. Założywszy, że poszły do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia – na przykład świeżych bułeczek Hildy, których aromat wypełniał zajazd – poszła tym śladem, lecz tam ich nie było. Od pory lunchu ani Hilda, ani żadna z pomocy w kuchni nie widziały dziewczynek.

Wtedy zaczęła się niepokoić. Jeśli aromat słodkich owocowych bułek nie przyciągnął ich do kuchni, to znaczy, że

nie przebywały w najbliższej okolicy, dokąd dochodził smakowity zapach.

Nie było ich w gospodzie.

Zabrała z kantoru szal i poszła do stajni. John Ostler też ich nie widział, lecz to nic nie znaczyło. Przeczesała przyległe pomieszczenia, zaglądając pod ławy, do każdego boksu, nawet wspięła się na poddasze, szukając pośród zgromadzonych tam bel materiału, lecz siostry nie schowały się w żadnym ciepłym kącie.

W końcu Em zeszła i opuściła stajnie, strzepując kawałki słomy z szala i sukni. Podwórze było puste. Wysuszona pościel została już zdjęta i poskładana, a praczki skończyły pracę i poszły do domu. Em skierowała się ku ścieżce wiodącej przez las, stanęła na jej skraju i, skrzyżowawszy ramiona na piersi, zaczęła wpatrywać się w mroczne leśne ostępy.

Czy dziewczynki mogły być gdzieś pomiędzy drzewami? Zwykle od razu mogłaby odpowiedzieć, że tak, lecz przecież Jonas ostrzegł je o niebezpieczeństwie i obiecał zabrać na przejażdżkę, o ile będą grzeczne. Zatem Em bardzo wątpiła, by mogły zrobić cokolwiek, co pozbawiłoby je tej przyjemności.

Marszcząc brwi, odwróciła się i popatrzyła na gospodę, rysując w myślach obraz terenu znajdującego się dalej poza nią. Dokąd te aniołki-diabliczki mogły pójść? W oddali widziała dach i wieżę kościoła na pagórku. Zastanawiała się, czy tam nie pójść i nie poprosić o pomoc Issy, gdy usłyszała niesiony podmuchem bryzy dziecięcy wrzask.

Mimo że dźwięk nie był głośny, od razu poznała po głosie Beę, która – bez względu na to, gdzie się teraz znajdowała – dawała wyraz nieziemskiej przyjemności.

Em mruknęła pod nosem, owinęła szczelniej ramiona szalem i poszła wokół gospody. Gdy minęła bryłę budynku, który tłumił dochodzące z drugiej strony dźwięki, znacznie wyraźniej usłyszała odgłosy dziecięcej zabawy – śmiechy, wrzaski, nawoływania – dochodzące z błoni.

Em przeszła na drugą stronę drogi i po trawie wdrapała się na górną krawędź stawu. Stając na wyniesieniu ponad stawem,

spojrzała w dół i ujrzała iście sielankową scenę.

Na drugim brzegu stawu, gdzie rozpościerał się płaski, pokryty zielenią teren między drogą a wzgórzem, dwanaścioro dzieci, w tym bliźniaczki, z ożywieniem grało w krykieta.

W okolicy nie było nikogo dorosłego, z wyjątkiem jednej osoby.

Kawałek dalej, ponad bawiącymi się dziećmi, siedział na ławce Jonas, który obserwował je i pilnował.

Em przyglądała się mu przez parę minut, zastanawiając się, czy kij i piłka do krykieta są jego własnością. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby tak było.

Jeszcze raz spojrzała na grające dzieci, na swoje roześmiane siostry, które świetnie bawiły się z innymi, otwarcie okazując radość.

Bliźniaczki niezbyt łatwo nawiązywały przyjaźnie. Zawsze miały siebie nawzajem, były raczej skryte, trzymały się razem, a będąc tak silnie związane, nie dopuszczały nikogo z zewnątrz. Chociaż tylko przez ostatni rok miała możliwość obserwować je, zauważyła u nich brak potrzeby innego towarzystwa oraz idący za tym brak obycia w większej grupie. Jednak ciężko było je zmusić, aby poszerzyły horyzonty, bo one potrzebowały tylko siebie nawzajem, a także Em, Issy i Henry'ego, czyli najbliższej rodziny. Nie widziały potrzeby, aby nawiązywać bliższą zażyłość z kimś jeszcze.

Lecz teraz były tam pośród innych dzieci, jeszcze nieco ostrożne – co Em widziała nawet z tej odległości – ale próbujące stać się częścią grupy.

Przyglądała się jeszcze przez minutę, po czym ruszyła w kierunku ławki, na której siedział Jonas. Stanęła obok, znowu patrząc na bawiące się dzieci.

Odwrócił głowę, poczuła na twarzy jego wzrok. Gdy nie zareagowała, dreszczyk emocji powoli rozprzestrzeniał się po całym ciele, lecz ona nadal nie patrzyła w kierunku mężczyzny.

Nie potrafiła zdecydować, czy uczynił to spontanicznie, czy też świadomie postanowił otworzyć bliźniaczkom drogę do integracji z miejscowymi dziećmi, poprzez zorganizowanie tej

zabawy… W końcu zdała sobie sprawę z tego, że on sam także jest bliźniakiem.

– Dziękuję. – Spojrzała mu w oczy. – Zawsze trudno je było namówić – wskazała gestem grających – do wspólnej zabawy.

Uśmiechnął się, by po chwili znowu odwrócić się ku dzieciakom.

– Wiem, jak to jest. Lecz nic nie może zastąpić dziecięcych zabaw, a liczba zabaw, które nadają się dla dwojga, jest dość ograniczona. – Po chwili uniósł ku niej wzrok. – Zobaczyłem, jak wychylają się z okna saloniku na piętrze. Powiedziały, że nic nie robią, i mogą wyjść.

Wzruszyła ramionami.

– W sumie to prawda. Nie muszą mi o tym mówić, jeśli nie odchodzą gdzieś dalej.

Skinął głową.

– Muszą się nauczyć odpowiedzialności za siebie.

Odwrócił od niej wzrok, pozwalając, by przyglądała się mu do woli.

– Wiesz, że nie musisz tego robić – powiedziała w końcu cicho. – Już i tak zrobiłeś na mnie wrażenie.

Zaśmiał się, spojrzał na nią wesoło.

– Wiem. – Urwał, spoglądając ponownie wzdłuż pochyłości. W końcu zaczerpnął głęboko powietrza. – Ale…

Minęła długa chwila. Em pomyślała, że Jonas nie dokończy tego zdania, lecz on mówił dalej.

– Bardzo możliwe, że to ja powinienem dziękować tobie i twojej rodzinie, zwłaszcza aniołkom-diabliczkom. – Znowu urwał, by podjąć przerwany wątek bardziej miękkim, zadumanym głosem. – Zaczynam myśleć, że właśnie tego zawsze mi brakowało. Że właśnie to, opiekowanie się wioską, zwłaszcza młodym pokoleniem, jest w dużej mierze moim powołaniem. Jest znaczącym celem mojego istnienia. – Jeszcze bardziej ściszył głos. – Po to właśnie jestem na świecie.

Obserwująca go uważnie Em wiedziała, że mówił szczerze, że te słowa wynikają z introspekcji i Jonas bardziej kieruje je do siebie niż do niej. Powstrzymała się od komentarza, lecz

zapamiętała to sobie w celu późniejszego rozważenia, gdy wieczorem będzie leżała w łóżku i myślała o Jonasie.

On cały czas przyglądał się zabawie. Nie odwracając wzroku, bezbłędnie odnalazł jej dłoń i delikatnie, choć stanowczo, pociągnął ją. Po chwili zwłoki poddała się, obeszła ławkę i usiadła obok.

Żadne nie odzywało się, po prostu siedzieli i patrzyli na grające dzieci, uśmiechali się na widok ich wygłupów, żywiołowego zachowania, entuzjazmu.

Jednak on cały czas trzymał jej dłoń zamkniętą w swoich, delikatnie głaszcząc kciukiem kobiece palce.

* * *

Niedzielny lunch był najprzyjemniejszym posiłkiem, w jakim Jonas kiedykolwiek uczestniczył, zresztą przypuszczał, że Joshua Filing miał podobne odczucia. Rodzina Beauregardów stanowiła hałaśliwą gromadkę. Zdecydowali się przyjąć gości w długiej sali, będącej czymś na kształt ogólnego salonu, na piętrze zajazdu.

Joshua był jedynakiem, a Jonas wprawdzie miał bliźniaczkę Phyllidę, lecz żadnego innego rodzeństwa. Obaj mężczyźni na początku byli zaskoczeni kakofonią dźwięków, nie tyle ich głośnością, co niesłabnącym poziomem nasilenia. Cały czas ktoś coś mówił, a ponieważ Henry zachowywał się stosunkowo cicho, odgłosy pochodziły głównie od żeńskiej części rodziny.

Na szczęście wszystkie panny Beauregard miały przyjemne dla ucha, śpiewne głosy.

Stopniowo Jonas i Joshua przyzwyczaili się do tego gwaru.

Na końcu skrzydła, nad kuchnią, znajdowała się winda do transportu dań i naczyń; już wkrótce po rozpoczęciu spotkania obaj panowie zostali poproszeni o wydobycie z windy Bei. Kiedy dziewczynka była już bezpieczna, Em dała jej reprymendę, ale tylko, by zachować pozory, bo z trudem powstrzymywała się od uśmiechu. Tymczasem Issy zeszła do kuchni, aby wyjaśnić, co się stało, i uspokoić pracujące tam

kobiety. Niektóre z nich myślały, że to sprawka jakiegoś ducha, który zamieszkał w zajeździe. Issy szybko przywróciła windę do przeznaczonej dla niej funkcji.

Potem Jonas i Joshua zostali szybko przywołani, by zająć miejsca przy stole. Henry, Gert i Bea zabawiali gości, a ich siostry zajęły się serwowaniem dań.

Pierwsze danie składało się z zupy selerowej oraz chrupiącego chleba, po nim na stole pojawił się pstrąg z migdałami. Następnie przyszła kolej na pieczoną gęś i kaczkę w przeróżnych warzywach. Potem podano maślany pudding z rodzynkami, a na zakończenie owoce i sery.

Edgar nieśmiało przyniósł butelkę wina i błagał, aby zechcieli spróbować. Wyznał, że ukrył kilka lepszych roczników przed grasującym w gospodzie Juggsem. Wino w starej, zakurzonej butelce okazało się znakomite i w dużym stopniu przyczyniło się do rozluźnienia atmosfery przy stole.

Mężczyźni ociągali się tak długo, jak to było możliwe, najedzeni i ukontentowani; Jonas nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł się tak zrelaksowany w miłym towarzystwie. W końcu Joshua z żalem wstał, aby się pożegnać.

– Musze się przygotować do wieczornego nabożeństwa. – Jego ton wyraźnie mówił, że wolałby zostać. Podziękował Em i uścisnął jej dłoń, potem odwrócił się do Issy.

Z ciepłym uśmiechem ujęła go pod rękę.

– Chodź, odprowadzę cię.

Jonas patrzył, jak razem idą ku drzwiom, jak Issy nachyla się do ramienia wikarego, aby lepiej słyszeć jego szept. Wyglądali jak para, jak dwoje ludzi, którzy do siebie należą.

Zerknął na Em, która także spoglądała na odchodzących z delikatnym, pełnym nadziei uśmiechem.

Znaczącym gestem dotknął czubka nosa.

– Chodź, Wróbliczko, odprowadzisz mnie, chociaż udaję się w przeciwnym kierunku.

Razem podeszli do drzwi.

– Od kiedy to stałam się Wróbliczką? – spytała, unosząc brwi. Zerknęła na swoją zieloną suknię, potem na Jonasa.

Z uśmiechem odsunął się, aby mogła pierwsza przejść przez drzwi i dalej wąskim korytarzem. Ruszył tuż za nią.

– Po prawdzie przyszło mi to do głowy, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy.

Skrzywiła się.

– Musiałam mieć na sobie brązowe ubranie.

Zaśmiał się.

– To nie kolor wywołał u mnie takie skojarzenie.

Zaczęła schodzić po schodach, zerkając na niego z ukosa.

– Nie jestem pewna, czy chciałabym wiedzieć, ale wobec tego, co to było?

– Twoje oczy. – Zajrzał w nie, gdy ona, zdziwiona, ponownie odwzajemniła spojrzenie. – Są takie jasne i… ciekawskie. Jak u wróbelka.

– Hm. – Nie zdobyła się na komentarz.

Zatrzymali się w kuchni, aby chwilę porozmawiać z Hildą, potem wyszli tylnymi drzwiami.

Siostrzenice Hildy były w przykuchennym ogródku, wykopywały marchewki. Widać tez było jedną z praczek, która zajęta pracą krzątała się koło pralni. Em z ulgą przyjęła widoczne w pobliżu towarzystwo – w tej sytuacji Jonas na pewno nie będzie próbował jej pocałować.

Zatrzymała się na środku podwórza i wyciągnęła rękę.

– Mam nadzieję, że posiłek ci smakował.

Ujął małą dłoń. Nie mogła pojąć, jak udało mu się uczynić ten zwykły gest niemal intymnym. Zajrzał jej w oczy, kciukiem zaczął wodzić po jej palcach, wywołując w niej bolesne pragnienie.

Nastroszyła się i w myślach powiedziała sobie, że nie będzie żadnych pocałunków.

A on uśmiechnął się, jakby ją usłyszał.

– Tym razem to ja muszę podziękować. Posiłek i towarzystwo były… – Przestał się uśmiechać. – Nieziemskie. – Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz tylko uśmiechnął się nieznacznie. Musnął ustami wrażliwą na dotyk skórę wierzchniej strony jej palców.

Mimo że przygotowała się na to doznanie, poczuła na plecach emocjonujący dreszcz. Wyczuł to, wyostrzając spojrzenie.

Skierował wzrok na jej usta. Ona mimowolnie spojrzała na silne męskie wargi.

Świat wokół nich przestał istnieć. Jakaś namacalna siła przyciągnęła ich ku sobie, jakiś magnes wepchnął ją w ramiona Jonasa. Jej opór stopniał, lekko się zachwiała…

Jonas wziął szybki wdech i cofnął się.

Uniosła na niego wzrok, czuła drżenie ust.

Znowu się zawahał, lecz po chwili dość sztywno skłonił głowę.

Puściwszy jej rękę, zrobił kolejny krok wstecz.

– Do zobaczenia.

Wypowiedział to pożegnanie głębokim, pełnym niechęci głosem, w końcu skłonił się ostatni raz i ruszył w swoją stronę.

Patrzyła, jak szedł w kierunku ścieżki, aż w końcu jego barczystą postać pochłonęły leśne mroki.

Em odczekała, aż jej zmysły i nerwy uspokoją się nieco.

To było nierozsądne, aby zakochać się w dżentelmenie, który pragnął, aby była „jego”. To brzmiało jak kochanka.

Doskonale wiedziała, że taka rola nie była i nigdy nie będzie dla niej. Ale…

W jej dotychczasowym życiowym doświadczeniu zazwyczaj występowało jakieś „ale”, druga strona monety. W tym przypadku „ale” było bardzo oczywiste; stanowiło przyczynę, z jakiej część osobowości Em – ta lekkomyślna część właściwa naturze Colytonów, jej prawdziwe serce i dusza – ciągnęła ją bardzo mocno w kierunku przeciwnym do tej części prozaicznej, mądrej, rozsądnej.

Wiedziała, jaką pokusę – niczym marchewkę – wywiesił przed jej nosem Jonas Tallent, rozumiała istotę jego uwodzenia, jednak… czy ta… okoliczność z nim będzie jej jedyną szansą, jedyną w całym życiu, by poznać rozkosze cielesnej miłości, której jak do tej pory nie dane jej było zgłębić? Dotychczas nie interesowała się tym tematem, jeśli pominąć czysto akademicką ciekawość. A teraz chciała, pragnęła zaznać tego w każdy inny

sposób poza akademickim. Napędzała ją jakaś siła, której nie do końca rozumiała, a którą tylko czuła – wewnętrzny przymus popychający ją… wywoływał pragnienie, by całować Jonasa Tallenta, by on ją całował… i nie tylko całował.

Podczas gdy prozaiczna, mądra, rozsądna część jej natury wiedziała, że nie należy ulegać pokusie, Em nie miała pewności, jaki cel stawiała sobie owa lekkomyślna część, zgodna z naturą Colytonów.

– Panienko?

Em odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach Hildę.

– Czy mogłabyś spróbować tego budyniu? – zawołała kucharka. – Według mnie jest trochę za słodki.

Em kiwnęła głową i skierowała kroki do gospody.

Rozdział 11

Poniedziałek zaczął się pięknym porankiem. Em krzątała się, wypełniając czas pracą związaną z prowadzeniem gospody. Jeszcze przed południem miał przyjść Jonas, aby przejrzeć księgi – wszystko było już gotowe, więc nie musiała zaprzątać sobie głowy tą wizytą.

Tymczasem w gospodzie pojawili się goście na poranną herbatę i świeże babeczki Hildy. Wszystko rozwijało się bardzo dobrze – główna sala, o tej porze zapełniona w połowie, była odzwierciedleniem sukcesu gospody. W pewnym momencie Em, która krążyła między kantorem a salą, usłyszała chrzęst kół na żwirze przed zajazdem.

Zakładając, że to Jonas przyjechał dwukółką, opuściła swoje sanktuarium i szybko poszła w kierunku głównych drzwi. Zanim zdążyła zadać sobie pytanie, dlaczego to zrobiła, wychyliła głowę za próg…

I szybko cofnęła się do środka.

Mężczyzna wysiadający z giga nie był Jonasem.

W dodatku już ją zauważył.

Mimo wszystko szybko odwróciła się i ruszyła biegiem z powrotem do kantoru, lecz nie zdążyła. Dopiero mijała bar, gdy rozległ się donośny, senatorski głos:

– Em! Dokąd to uciekasz, dziewczyno?

Wszyscy obecni goście zamilkli i zaciekawieni odwrócili głowy. Smakowite babeczki leżały zapomniane na talerzach, a oni przyglądali się postawnemu, nieco grubemu jegomościowi, który stał w drzwiach z bardzo rozgniewaną miną.

Osadzona w miejscu Em mogła tylko – tak, jak reszta – skierować spojrzenie na swojego wuja, Harolda Potheridge’a, z majątku w Leicestershire bez odpłatnej służby.

Ze zmarszczonym czołem zamachał w jej kierunku trzymaną w ręku laską.

– Wszędzie was szukałem. – Ciężkim krokiem wszedł do środka. Był elegancko, nawet odrobinę zbyt krzykliwie ubrany, a chociaż dzierżył laskę, tak naprawdę wcale jej nie potrzebował, gdyż miał jeszcze dość wigoru, chociaż jego najlepsze lata już minęły.

Kątem oka zauważyła, jak Edgar wychodzi zza baru. Oczekiwała, że stanie obok niej, lecz jednak zniknął jej z widoku. Tymczasem Harold szedł przez środek sali wojowniczo, okazując jawne lekceważenie wszystkim obecnym.

– Co chciałaś przez to osiągnąć? – Stanął koło baru, najwyraźniej delektując się tak liczną widownią. Oparłszy się na lasce, spojrzał surowo na siostrzenicę.

– Ukradkiem uciekłaś z mojego domu, po tym jak przyjąłem ciebie, twoją siostrę i brata, przyjąłem nawet te nieznośne smarkule, twoje przyrodnie siostrzyczki, zamiast je wyrzucić, a miałem do tego wszelkie prawo.

Od strony sali, którą zajmowały głównie kobiety, rozległy się stłumione okrzyki. Harold stał plecami do gości, więc nie widział ich oburzonych min, lecz uśmiechnął się chytrze, przypuszczając, że tę reakcję wywołała wiadomość o ucieczce Em z jego domu.

Zmusiła się, aby zostać i stawić mu czoła. Nie było sposobu, aby odwrócić zło, którego już dokonał. Issy z bliźniaczkami były na górze – nie powinny słyszeć tego zamieszania – a Henry przebywał w probostwie u wikariusza. Tak więc mogła samodzielnie podjąć dysputę z wujem.

Lekko skłoniła głowę.

– Dzień dobry, wuju Haroldzie. Zostawiłam ci list, bo akurat pojechałeś na wyścigi, pamiętasz?

– Doskonale pamiętam! – Znowu patrzył na nią z miną, która nie wróżyła nic dobrego. – Jednak nie pojmuję, dlaczego porzuciłaś mój dom. Jak śmiałaś tak po prostu odejść! – Dla lepszego efektu walnął laską w podłogę. – Idź po wasze rzeczy, natychmiast wracacie ze mną do Runcorn.

Uniosła podbródek.

– Nie wracamy, wuju.

Aż poczerwieniał na twarzy.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, Em pośpieszyła z wyjaśnieniem:

– Spytaj naszego adwokata, pana Cunninghama, pamiętasz go? On potwierdzi, że z dniem moich dwudziestych piątych urodzin, a to było ponad miesiąc temu, staję się niezależna i przejmuję opiekę nad resztą rodzeństwa, zastępując ciebie jako naszego opiekuna. Zatem wybór miejsca, w którym chcemy zamieszkać, to już nie twoja sprawa.

Poczuła czyjąś obecność za plecami. A więc Jonas już przyjechał. Był blisko, ale nie na tyle blisko, aby pogorszyć sytuację.

– Więc sprawa tak wygląda. – Skupiła uwagę na głównym zagrożeniu. – To, co robimy z naszym życiem, z życiem każdego z naszej piątki, już nie zależy od ciebie.

Harold spojrzał świdrującymi niebieskimi oczami w prawo, potem w lewo, wreszcie wbił wzrok w Em.

– Nic mnie nie obchodzi, co mówi ten szczur, twój adwokat. Ja jestem waszym wujem, waszym najbliższym krewnym, i to ja wiem najlepiej, co jest dla was dobre. – Ponownie uderzył laską w podłogę.

Wyczuła, jak Jonas poruszył się niespokojnie.

– Obawiam się, wuju, że musisz przemyśleć swoje stanowisko. – Uniosła dumnie głowę. – Tutaj jest nam bardzo dobrze.

Wyglądało na to, że Harold zaraz dostanie ataku apopleksji.

– Do diabła! Zrobisz, co ci każę! Jazda po wasze rzeczy. I przyprowadź tę swoją siostrunię i cholernego braciszka!

– Nie! – Em obstawała przy swoim zdaniu. Najlepsze, co mogła teraz zrobić, to ujawnić prawdę. To była jedyna linia obrony. – Nie wrócimy do Runcorn, aby pracować jako twoja nieodpłatna służba. Wykorzystywałeś nas, najbliższą rodzinę, przez ostatnie osiem lat, ale to się już skończyło. Proponuję, abyś wracał do Runcorn i zaczął szukać nowych służących. Wyobrażam sobie, że w tak wielkim domu musi być ci niezbyt

komfortowo samemu, więc chyba byłoby dobrze, aby nowi pracownicy znaleźli się jeszcze przed zimą.

Oblicze Harolda świadczyło o tym, że nie dowierza własnym uszom.

– To – huknął – jest wbrew prawu, bez względu na to, co mówi wasz szczurzy adwokat!

Po raz pierwszy rozejrzał się dookoła po twarzach obecnych, szukając u nich poparcia. Omiótł wzrokiem zdumione, zaaferowane oblicza, zarówno kobiet, jak i zebranych przy barze mężczyzn, w końcu zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie stojącym dwa kroki za lewym ramieniem Emily. Na Jonasie.

– Kto jest sędzią pokoju w tym miejscu?

Intonacja sugerowała, że traktuje „to miejsce” z pogardą, ale Jonas uśmiechnął się. Em zauważyła to kątem oka i stwierdziła, że gdyby uśmiechnął się w taki sposób do niej, uciekłaby.

– Tak się składa, że sędzią jest mój ojciec – odparł Jonas. – Ale teraz wyjechał i nie wróci w najbliższym czasie. – Nie dodał, że pod nieobecność ojca on sam został wyznaczony na jego zastępcę.

Harold przeniósł gniewne spojrzenie na Em, która wcale nie truchlała pod jego naporem.

– Zaczekam – warknął Potheridge.

Wbijając świdrujący wzrok w siostrzenicę, po raz ostatni uderzył laską o podłogę i odwrócił się w kierunku drzwi.

– Wymiar sprawiedliwości potwierdzi, że mam swoje prawa – rzekł mściwie. – Sędzia pokoju przekaże was z powrotem w moje ręce, a wtedy, paniusiu, twoje przyrodnie siostrzyczki wylądują na ulicy, a ty z siostrunią będziecie znowu szorować podłogi w Runcorn. Wspomnisz moje słowa!

Jonas stanął obok Em, lecz stary ważniak już skończył. Obróciwszy się na pięcie, wyszedł z gospody, zanim Jonas z Joshuą, znajdującym się od paru minut w środku, lub kliku mężczyzn, którzy już zdążyli wstać z miejsc, wyprowadzili go na zewnątrz.

Znając upodobanie Em do tego, by zawsze mieć ostatnie słowo, Jonas zdziwił się, gdy nie krzyknęła czegoś za wujem.

Czy to naprawdę był jej krewny?

Spojrzał na nią. Stała wyprostowana z uniesioną głową, patrzyła za wychodzącym mężczyzną, a gdy ten minął próg, zaczęła się trząść.

* * *

Ktoś posadził Em w fotelu. Jonas rzucił kilka poleceń, Joshua pilnował, aby zostały wykonane. Lady Fortemain i stara pani Smollet usiadły po obu stronach Em, delikatnie poklepując ją po dłoniach i zapewniając – każda na swój sposób – że wszystko będzie dobrze.

Po chwili zjawiła się Hilda, która najpierw odsunęła na bok stojące najbliżej osoby, by wsunąć w jej dłonie kubek herbaty zaparzonej tak, jak najbardziej lubiła.

– Wypij to, od razu lepiej się poczujesz. – Hilda spojrzała na Jonasa, który stał z rękami opartymi na biodrach i z troską patrzył na Em. – A potem wszyscy razem wymyślimy, co robić dalej.

Odwróciwszy się, dźgnęła Jonasa palcem w pierś, chociaż wcale nie stał jej na drodze.

– A pan niech da jej trochę spokoju. Ona musi teraz odetchnąć, bidulka. – Z tymi słowy wróciła do kuchni.

Popijając małymi łykami herbatę, Em próbowała zebrać myśli. Harold wyszedł, ale niebawem wróci. To było pewne.

Ruch przy drzwiach oznaczał czyjeś nadejście. W gospodzie zjawili się Phyllida z Lucyferem.

Phyllida popatrzyła na brata, który nawet nie odwrócił ku niej głowy, lecz i bez tego umiała wyczytać z jego twarzy wszystko, co było jej potrzebne. Pochyliła się i delikatnie uścisnęła ramię Emily.

– Sweetie powiedziała nam, co się stało. Jeśli czegokolwiek potrzebujesz, jesteśmy z tobą.

Em spojrzała w jej ciemne oczy i zamrugała szybko. Wokół wszyscy jednomyślnie kiwali głowami, łącznie z Jonasem.

Lady Fortemain nachyliła się nieco bardziej.

– Czy to prawda, co on mówił? Że on, wasz wuj, kazał wam pracować jako darmowi służący w jego domu?

– Tak. – Em zawahała się, w końcu nabrała dużo powietrza i wyrzuciła z siebie prawdę. – Mieszkaliśmy w Yorku. Nasza matka zmarła, gdy byliśmy młodzi, a potem umarł także ojciec. – Opowiedziała im wszystko, pomijając tylko dwie rzeczy: nie wyjawiła ich prawdziwego nazwiska, co i tak niczego nie zmieniało, a także przemilczała powód ich przybycia właśnie do Colyton, a mianowicie tajemniczy rodzinny skarb.

Kiedy rozglądała się dookoła podczas swojej opowieści, pomyślała, że chyba cała wioska wokół gospody musiała opustoszeć, bo wszyscy zgromadzili się w środku, aby usłyszeć jej wyjaśnienie. Tylko rodzeństwo tkwiło w nieświadomości, lecz oni byli bezpieczni i poza zasięgiem Harolda. Joshua już zdążył jej powiedzieć, że Henry został w probostwie z nosem w książkach, a Issy z bliźniaczkami wciąż siedziały na górze.

Gdy opowiadanie Em dobiegło końca, panna Hellebore, siedząca w wygodnym fotelu, nachyliła się, oparta na lasce, z bardzo skruszoną miną.

– Moja droga, tak mi przykro, ale obawiam się, że wynajęłam pokój temu szubrawcowi. Nie wiedziałam, że przyjechał tu w niegodziwym celu. – Potrząsnęła pomarszczoną szyją, wyraźnie zła na siebie. Zarabiała trochę grosza na drobne wydatki, wynajmując wolny pokoik na dole.

Em wyprostowała się i ścisnęła dłoń starszej pani.

– To nie pani wina.

Panna Hellebore pociągnęła nosem.

– Miło, że tak mówisz, moja droga, ale nie chcę, aby sprawca twoich kłopotów przebywał pod moim dachem. – Podniosła wzrok na Lucyfera i wikarego. – Jeśli ktoś mi pomoże, zaraz pójdę do domu i wyrzucę go.

Obaj mężczyźni byli bardzo chętni do pomocy, ale… Em podniosła rękę.

– Proszę, nie. Przyjemna jest już sama świadomość, że Harold będzie musiał pani płacić, bo, jak zapewne domyślacie się, jest strasznym skąpcem. A oprócz tego, jeśli nie zatrzyma się u pani,

to będzie chciał zamieszkać tutaj… – Rozległ się złowieszczy pomruk, który mówił, że nikt go tu nie wpuści. – To uparty i zawzięty człowiek, więc znajdzie sobie nocleg. Zresztą podczas jego pobytu w tej okolicy wolałabym wiedzieć, gdzie się zatrzymał. – Rozejrzała się, w końcu jej wzrok spoczął na Jonasie. – Kiedy w końcu zrozumie, że nie ustąpimy, odjedzie.

Usłyszała kolejny groźny pomruk. Większość obecnych chciała w ogóle wyrzucić Harolda z wioski. Em miała jednak nadzieję, że przeważy rozsądek. Znała Harolda – był nieustępliwy, lecz ona i jej rodzeństwo posiadali tę samą cechę, i to chyba w jeszcze większym stopniu. Skoro uciekli z domu wuja, to teraz z pewnością tam nie wrócą.

Lady Fortemain ścisnęła ją za nadgarstek, i to całkiem mocno. Jej oczy zalśniły wojowniczo.

– Nic się nie martw, moja droga. Nie oddamy cię temu potworowi. On nic tu nie wskóra! – Gestem pokazała, że przepędzą Harolda wraz z jego żądaniami.

– Zdecydowaliście się przyjechać tutaj, więc teraz jesteście cząstką nas. Tu jest wasze miejsce. – Zatoczyła ręką szerokie koło. – Dzięki tobie ta gospoda pięknie się odmieniła. Nie pozwolimy, aby on zmusił cię do wyjazdu.

Zgodnie przytaknęli, niektórzy wojowniczo, inni poważnie, lecz wszyscy tak samo stanowczo.

Em zdumiała się, że mieli takie same odczucia; jeszcze nikt nie wstawiał się za nią w tak zdecydowany sposób – czy to pojedyncze osoby, czy większa grupa.

– Dziękuję wam – odpowiedziała trochę ochrypłym głosem. – Dziękuję wszystkim. A teraz… – powoli wstała z fotela – muszę wracać do obowiązków. – Uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że zostaniecie i posmakujecie świeżych babeczek Hildy.

Wciąż uśmiechnięta, przecisnęła się przez tłum w kierunku kantoru. Każda mijana osoba pocieszała ją słowami pokrzepienia lub przyjaznym gestem. Wciąż zachowywała spokój, aż w końcu wyszła na wolną przestrzeń i małym korytarzykiem trafiła do swojego kantoru. W którym nikogo nie było.

Co jednak nie potrwało zbyt długo.

Jonas dał jej czas, aby mogła usiąść za biurkiem, aby spróbowała zapomnieć o groźbach Harolda, mimo że pozbawionych podstaw. Otworzyła więc księgi rachunkowe i, bawiąc się ołówkiem, czekała…

Kiedy podniosła głowę, stał w drzwiach i spoglądał na nią spokojnie. Nie umiała nic wyczytać ani z jego oczu, ani z twarzy.

Po chwili wszedł do środka. Po raz pierwszy od czasu, gdy urzędowała w kantorze, zamknął za sobą drzwi, odcinając pomruk rozmów dobiegających z baru. W końcu oparł się o nie plecami.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Bardzo przepraszam, że cię okłamałam.

Rozważył te słowa, stojąc z głową opartą o drzwi.

– Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. I rozumiem, dlaczego opowiedziałaś i mnie, i wszystkim innym tę samą bajeczkę. Co innego mnie niepokoi. Ucieczka od wuja Harolda z pewnością nie była rzeczą łatwą, ale…

Jak zwykle musiało być jakieś „ale”. Czekała więc na ciąg dalszy.

Skrzywił się.

– Czy masz w szafie jeszcze inne świeże trupy? A może takie mniejsze?

Wbrew wszystkiemu zareagowała na te słowa uśmiechem. Dzięki nim napięcie opadło.

Pokręciła głową.

– Nie. Tylko wuj Harold. Ale uwierz, że to wystarczy.

Odepchnął się od drzwi, przyciągnął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie biurka.

– Jestem w stanie w to uwierzyć.

– Kiedy oczekiwany jest powrót twojego ojca? – spytała po krótkim wahaniu.

Uśmiechnął się diabelsko.

– Nieprędko. A pod jego nieobecność ja pełnię funkcję sędziego pokoju.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– I jako lokalny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości zapewniam cię, że nikt tutaj nie udzieli Haroldowi pomocy. A tak przy okazji, jak brzmi jego pełne nazwisko, na wypadek gdyby było mi potrzebne?

– Potheridge. Harold Gordon Potheridge.

– Dobrze. – Spojrzał na księgi leżące na biurku. – Więc… w jakiej kondycji jest moja gospoda?

Zamrugała, ale natychmiast otworzyła rejestr i dokonała prezentacji swoich umiejętności, jako znakomitego zarządcy gospody.

Jonas słuchał uważnie. Gdy mógł, zadawał pytania, lecz cały czas – mimo rzeczowej miny – spozierał na nią niczym jastrząb. Skupiwszy się na sprawach zajazdu, na tych wszystkich cudach, jakich tu dokonała, zapomniała chwilowo o wuju, za to mogła mówić o tym, co naprawdę sprawiało jej przyjemność.

A to, że z przyjemnością zarządzała zajazdem, nie ulegało wątpliwości.

Jonas oparł się wygodniej i słuchał z zadowoleniem, gdy opowiadała mu o dalszych planach.

* * *

– Chcę mówić z moją siostrzenicą, panoczku. Więc zawołaj ją tu, jeśli łaska.

Em, która siedziała za biurkiem w swoim kantorze, usłyszała aroganckie żądanie Harolda. I wcale się nie zdziwiła. Przez dwadzieścia cztery godziny nie pokazywał się, a teraz wrócił, aby znowu ją postraszyć. Ponieważ kiedyś przed laty uległa jego woli – gdy był ich prawnym opiekunem, a ona nie miała wyboru – teraz myślał, że wystarczy mocniej ją przycisnąć, aby znów skapitulowała.

Edgar, o dziwo, dość bystro odpowiedział, że „dowie się”; chwilę potem usłyszała jego zbliżające się kroki.

Zastanawiała się, czy przyjąć Harolda w kantorze, ale było tu bardzo mało miejsca.

Westchnęła z rezygnacją i wstała. Kiedy Edgar pojawił się w drzwiach, odprawiła go machnięciem ręki.

– Tak, słyszałam. Wyjdę do niego.

Właśnie, spotka się z nim w sali, gdzie miała wielu zwolenników.

Harold zauważył, jak wyłoniła się zza baru. Zesztywniał, lecz po chwili przypomniał sobie jednak o dobrych manierach. Zdjął kapelusz.

Zatrzymała się dwa kroki przed nim, skłoniwszy nieznacznie głowę.

– Dzień dobry, wuju Haroldzie. Co mogę dla ciebie zrobić?

Niezbyt fortunnie wybrała powitalną formułkę, którą Harold potraktował bardzo dosłownie.

– Możesz zapomnieć o tych głupotach i wrócić do Runcorn. – Przemówił tonem, w którym jednak brzmiała pewna irytacja. Zdał sobie z tego sprawę, więc po chwili złagodniał. Nawet uśmiechnął się protekcjonalnie. – Naprawdę, Emily, musisz zrozumieć, że zarządzanie gospodą to nie jest odpowiednie dla ciebie zajęcie. Twoja kochana matka obróciłaby się w grobie, gdyby widziała, jak usługujesz takim ludziom, że jesteś na zawołanie pospólstwa. Jeśli masz w sobie rodzinne uczucia, to zrozumiesz, że najwłaściwszą rzeczą jest powrót do Runcorn…

– I poświęcenie się doglądaniu, abyś opływał w wygody do końca swoich dni? – Uniosła brwi, krzyżując ręce na piersi. – Nie sądzę. Tutaj jest mi bardzo dobrze, mojemu rodzeństwu także. Mieszkańcy przyjęli mnie ciepło, i w końcu tutaj wreszcie ktoś docenia naszą pracę.

Harold prychnął.

– Pleciesz androny. Przecież Runcorn to nie jaskinia, a jeśli chodzi o docenienie…

– Wuju Haroldzie! – Uniosła dłoń, aby powstrzymać kolejną falę słów. – Sytuacja jest prosta. Nie mam chęci wracać do Runcorn. Tak samo myśli moje rodzeństwo.

– A czy pytałaś ich? Czy chociaż powiedziałaś im, że tu jestem?

Skinęła głową.

– Owszem. Nie chcą cię widzieć ani rozmawiać z tobą. A ty legalnie nie masz prawa żądać widzenia się z nimi.

Issy i Henry rzeczywiście dobitnie odmówili spotkania z wujem. Żadne z nich nie miało dla niego miłego słowa, wobec czego konfrontacja z wujem nie mogła nikomu przynieść nic dobrego. Oboje zgodzili się, aby Em sama rozmówiła się z wujem według uznania.

Ponownie skrzyżowała ramiona na piersi.

– Więc tak mają się sprawy, i na tym koniec.

Poczerwieniał jak burak. Z surową mina pogroził jej palcem.

– Słuchaj no, paniusiu, ja…

– Chyba już pora – wtrącił się ktoś powolnym, smętnym głosem – żebyś pan sobie poszedł. Proszę o wybaczenie, ale nadużył pan naszej gościnności.

Oscar, młodszy brat kowala Thompsona, pojawił się nieoczekiwanie u boku Harolda. Pracujący jako majster w Colyton Import Company, był mniejszej postury niż jego starszy brat, ale mimo wszystko swoim potężnym wyglądem budził respekt.

Twarz Harolda nabrała nieprzyjemnego wyrazu.

– Słuchaj no, dobry człowieku…

Oscar, wciąż łagodny, zignorował groźne słowa i spojrzał na Em.

– Skończyła pani rozmowę z tym typem?

Zaciskając usta, skinęła głową. Skoro Oscar sam zaproponował pomoc, postanowiła z niej skorzystać. Zrobiłaby wszystko, aby tylko wuj zrozumiał treść jej słów.

– Dziękuję, Oscarze. – Obrzuciła Harolda ostentacyjnym spojrzeniem. – Mój wuj właśnie wychodzi.

Harold naburmuszył się, sapnął, lecz widząc, że nikt nie uczynił najmniejszego gestu, by ustąpić, wcisnął sobie kapelusz na głowę, odwrócił się i wyszedł z gospody.

Spoglądała za nim, lecz bardzo wątpiła, że to już ich ostatnie spotkanie. Kiedy tylko znikł jej z oczu, uśmiechnęła się do Oscara.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panienko.

– Zaraz powiem Edgarowi, aby napełnił twój kufel. Ciemne piwo, prawda?

Kiedy tylko zobaczyła, że Oscar usiadł z powrotem na miejscu z kuflem wypełnionym pienistym napojem, wróciła powoli do kantoru.

Fakt, że Harold ich odnalazł, w niewielkim stopniu zmieniał sytuację rodzeństwa. Tyle że teraz czuli się mniej bezpiecznie, zwłaszcza finansowo. Nie byli już tacy pewni siebie. Issy i Henry zaczęli się bardzo niepokoić, chociaż żadne z nich nie pisnęło ani słowa, aby nie zwiększać ciężaru, jaki Em i tak już dźwigała na swoich barkach.

Ciężar ten przyjęła na siebie z własnej woli, i zrobiłaby to jeszcze raz w podobnych okolicznościach.

Usiadła na krześle.

– Musimy jak najszybciej odnaleźć skarb – mruknęła pod nosem. Kiedy tylko tego dokonają, Harold, a co ważniejsze, poczucie zagrożenia wynikające z jego przybycia, odejdą w siną dal.

Gdy tylko odnajdzie skarb, każde z nich będzie miało swobodę, by rozporządzać swoim życiem.

Myśl o swobodnym życiu, które mogłaby kształtować wedle własnej woli, była bardzo kusząca, lecz szczegółowy jego obraz tkwił w oparach mgły. Przypomniała sobie, jak wszyscy mieszkańcy Colyton bronili jej, jakby była jedną z nich. W każdym razie właśnie tu, w Colyton, w domu jej przodków, znalazła miejsce pośród innych, których darzyła wzajemną sympatią. W kwestii ułożenia sobie życia od nowa był to całkiem udany początek.

Dotychczas nie zastanawiała się, dokąd pojadą, co zrobią, gdy już odnajdą skarb, ale…

– Najpierw muszę go znaleźć. – Z determinacją otworzyła dolną szufladę biurka, wyjęła grubą książkę i położyła ją na bibularzu.

Otworzywszy ją w zaznaczonym miejscu, zaczęła czytać o majątku Grange.

* * *

Jonas siedział za biurkiem w bibliotece w Grange, próbując skupić się na rejestrze zbiorów, który właśnie sprawdzał. Nieproporcjonalnie do ilości czasu, jaką ostatnio spędzał Pod Czerwonym Dzwonkiem, zajazd stanowił jedynie bardzo małą cząstkę majątku ojca, którego doglądanie spadło teraz na jego barki.

Potrzebował wolnego czasu, aby pomóc Em, jeśli, czy też – kiedy, będzie go potrzebowała, a żeby mógł to robić z czystym sumieniem, musiał dopilnować innych obowiązków i być ze wszystkim na bieżąco.

A kiedy tego dokona… zamierzał znaleźć sposób, by przyspieszyć sprawy między nimi. Czuł rosnącą presję, co było dla niego zupełnie nowym doznaniem – jakąś potrzebę, konieczność, aby Em była jego. Nigdy nie zaznał takiego pragnienia wobec żadnej innej kobiety: żadna z nich nie była w stanie go wywołać.

Jeśli szybko jej nie posiądzie…

Oparł się i z westchnieniem spojrzał na cyfry, które stracił z oczu kilka chwil wcześniej.

W tym momencie rozległo się pukanie w drzwi. Jonas skwapliwie podniósł głowę.

To Mortimer.

– Przyszedł pan Filing. Czy mam go zaprosić?

– Tak, oczywiście. – Jonas odłożył na bok zestawienia dotyczące zbiorów i wstał, gdy do biblioteki wkroczył Filing. Wyciągnął do niego rękę. – Witaj, Joshua.

Uścisnęli sobie dłonie. Wikariusz nie miał zbyt wesołej miny.

– Czy słyszałeś ostatnie wieści o tym wuju?

Jonas poczuł narastające napięcie.

– Nie. Co się stało?

– Na razie nic złego, jak się okazało, ale…

Jonas z ulgą wskazał przyjacielowi fotel.

– Opowiedz mi wszystko. – Również zajął miejsce, z którego przed chwilą wstał.

– Ten Potheridge znowu był dziś rano w gospodzie i próbował zmusić Em do powrotu do jego domu. – Mina wikariusza wyrażała najwyższą dezaprobatę. – Oczywiście Em nie zgodziła się i odprawiła go, z niewielką pomocą Oscara.

– Potrzebowała pomocy? – Jonas zaniepokoił się.

Joshua pokiwał głową.

– Wczoraj wieczorem odwiedziłem Issy. Trochę mi opowiedziała o ich przeszłości w domu Potheridge'a. Możesz wierzyć albo nie, on naprawdę chciał wyrzucić te niewinne dzieciątka, to znaczy bliźniaczki, na bruk. A jedyna przyczyna, dla której nalega na powrót Em, Issy i Henry'ego, to chęć, aby znowu nieodpłatnie pracowali w jego domu, tak jak musieli to robić poprzednio. O ile się zorientowałem, opowiadanie Em znacznie odbiegało od drastycznych realiów ich życia. Potheridge powinien zostać… no, może nie powieszony, ale przepędzony gdzie pieprz rośnie.

Jonas uśmiechnąłby się, widząc swego zazwyczaj spokojnego przyjaciela tak wzburzonego, gdyby sam nie miał identycznych odczuć.

Zanim zdążył się odezwać, wikary uniósł głowę.

– Zamierzam ożenić się z Issy. Zdecydowałem się na to jeszcze przed przyjazdem Potheridge'a. A teraz chcę tego jeszcze bardziej i pragnę usunąć ją z kręgu jego roszczeń. Jako jej mąż będę miał lepszą pozycję, aby zadbać o to, by już nie nękał Em i Henry'ego. Wydaje się, że bliźniaczki w ogóle go nie interesują, bo pewnie są za małe, aby mógł z nich mieć jakiś pożytek, a poza tym nie są z nim bezpośrednio spokrewnione. – Spojrzał Jonasowi w oczy. – Gdybym mógł, poślubiłbym Issy już jutro, lecz ona nie chce o tym słyszeć, przynajmniej na razie, bo

musiałaby zostawić Emily, aby sama opiekowała się resztą rodzeństwa.

Jonas uniósł brwi.

– Ale miałaby do pomocy i ciebie, i Issy. Przecież nie zamierzasz jej nigdzie zabierać.

– Właśnie! Lecz ona mimo delikatnych kobiecych rysów ma kręgosłup ze stali. Jest uparta jak… hm, jak wszyscy diabli, a ja nie jestem w stanie zmienić jej zdania. – Joshua spojrzał na Jonasa. I czekał.

Ten zrobił minę.

– No tak, dobrze się domyśliłeś. Chciałbym poślubić Em, ale… – Zmarszczył brwi. – Dlaczego w życiu tyle razy pojawia się słowo „ale”?

– To filozoficzne pytanie, a na które dotąd nie znaleziono odpowiedzi. – Joshua machnął ręką. – Więc co mówiłeś?

Jonas wsunął ręce do kieszeni i oparł się.

– Chciałem powiedzieć, że ożeniłbym się z Em już jutro, moglibyśmy stanąć przed ołtarzem obok ciebie i Issy, ale napotykam niebotyczne trudności, aby skupić jej uwagę na tej sprawie. Zawsze myśli o czymś innym. O gospodzie, bliźniaczkach, Henrym, zawsze jest coś, co wymaga jej uwagi. – Urwał. – Skoro zamierzasz poślubić Issy, to powinienem ci powiedzieć, że Em, a przypuszczam że także Issy i pozostałe rodzeństwo, są tutaj, w Colyton, ponieważ czegoś szukają.

Pokrótce zrelacjonował, co wiedział.

Joshua zdziwił się.

– Henry nie okazał najmniejszego zainteresowania tutejszymi domami.

– Tak samo bliźniaczki, ale intuicja podpowiada mi, że oni wszyscy biorą w tym udział. Wiedzą, czego Em szuka, ale tylko ona faktycznie się tym zajmuje.

Joshua myślał intensywnie.

Sam więc widzisz – mówił dalej Jonas, wzdychając – że rodzina Beauregardów kryje o wiele większą tajemnicę niż osoba ich niecnego wuja Harolda.

Wikary wzruszył ramionami.

– Cokolwiek jest istotą tej tajemnicy, czegokolwiek oni szukają, nie stanowi dla mnie różnicy. – Uniósł brodę na znak zdecydowania. – Zamierzam ożenić się z Isobel Beauregard bez względu na wszystko – powtórzył.

Tym razem Jonas się roześmiał.

– Oczywiście. Przecież nie powiedziałem ci o tym, aby cię odstraszyć, po prostu pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

Joshua przyjął to do wiadomości skinieniem głowy.

– Posiadana wiedza ciebie również nie odstraszyła od Em.

– Nie – skrzywił się Jonas – ale to wywiera na mnie jeszcze silniejszą presję. Jeżeli tak skrzętnie pilnuje tajemnicy swych poszukiwań, to znaczy, że gdzieś po drodze czai się niebezpieczeństwo.

– Rzeczywiście, skrytość pozwala wyciągnąć taki wniosek.

– No właśnie. – Stuknął palcem w biurko. – Ale mój główny problem polega na tym, że te poszukiwania są dla nich bardzo ważne, a ona jest tak zdeterminowana, że z pewnością podejmie próbę zakończenia tej sprawy w pierwszej kolejności, zanim zacznie myśleć o czymkolwiek innym. Na przykład o mnie i swoim dalszym życiu.

Joshua pokręcił głową, z trudem zachowując kamienne oblicze.

– To faktycznie duża trudność.

Jonas uśmiechnął się, zaciskając usta.

– Zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

Dopiero po chwili wikary zrozumiał aluzję.

– Do licha! Issy nie wyjdzie za mnie dopóty, dopóki Em przynajmniej nie zgodzi się poślubić ciebie.

– Otóż to. Więc musimy czekać, aż Em zakończy poszukiwania.

– Moglibyśmy jej pomóc – stwierdził Joshua, unosząc brwi.

– Oczywiście, że moglibyśmy, gdyby tylko ta uparta, pogrążona w niewiedzy kobieta powiedziała nam, czego szuka. Ale sam wiesz, że jest to tajemnica.

– Masz rację – odrzekł Joshua po chwili milczenia. – W życiu zbyt wiele razy pojawia się „ale”.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Jonas.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie mam zamiaru czekać z założonymi rękami. Co oznacza, że koniecznie musimy się dowiedzieć, jaki jest cel tych poszukiwań.

Joshua ponuro pokiwał głową.

– Będziemy mogli jej pomóc i sami odczujemy ulgę.

– Właśnie. W przeciwnym razie będziemy się poruszać w zupełnych ciemnościach.

Rozdział 12

Jonas rozmyślał o tym przez resztę dnia i wieczorem.

Gdyby Joshua nie powiedział mu o drugiej wizycie Potheridge'a Pod Czerwonym Dzwonkiem, nie miałby pojęcia, że takie wydarzenie miało miejsce, że Em ponownie została narażona na zastraszanie ze strony wuja. A to wywołało jego dodatkowe rozdrażnienie.

Znał źródło tej złości, lecz to wcale nie zmniejszało poczucia irytacji. Kiedy zegar w bibliotece wybił dziesiątą, a Jonas nie miał pojęcia, gdzie podziały się ostatnie dwie godziny, w końcu poddał się i ruszył ścieżką do zajazdu.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Emily i Edgar powoli zamykali gospodę. Em rozpostarła maty i serwety na drugiej stronie sali, podczas gdy ostatni klienci dopijali piwo przed powrotem do domu.

Thompson z Oscarem zauważyli Jonasa, kiedy stanął w holu koło baru; obaj pozdrowili go i powoli skierowali się do drzwi.

Kiedy im odpowiedział, tym samym zwrócił na siebie uwagę Em, która obrzuciła go krótkim spojrzeniem i powróciła do swojego zajęcia.

Obserwował ją, oparłszy się barkiem o ścianę.

Nie wiedziała, po co przyszedł. Raczej nie było żadnej pilnej sprawy związanej z prowadzeniem gospody, a ona miała za sobą ciężki, pełen dramatycznych zdarzeń dzień. Nie była w stanie się skupić, więc być może o czymś zapomniała.

Pomimo wsparcia, pomimo świadomości, że na logikę Harold nie stanowi zagrożenia, wciąż siał niepokój w jej myślach. Dopóki stąd nie wyjedzie, dopóty będzie spięta, ostrożna, bo już dawno nauczyła się, aby mu nie ufać. Nawet gdyby przyjął do wiadomości, że ona nie wróci, aby mu prowadzić dom – a nadal

był od tego bardzo daleki – należał do ludzi, którzy stwarzają kłopoty z czystej złośliwości.

Jego obecność już odbiła się negatywnie na bliźniaczkach. Wiedziały, że Harold ich nie lubi, więc bały się go, lecz wiedząc, że jest krewnym Em, Issy i Henry'ego, bardzo się starały we wszystkim, co miało jakikolwiek z nim związek. Mimo że Em mówiła im co innego, były przekonane, że to z ich winy wuj tak bardzo ich nie lubi. Musiała je przekonać, że nic im to nie pomoże, jeśli zaniosą mu talerz babeczek Hildy w geście pojednania.

Czuła się osaczona, nękana obawami, a jedną z nich – wcale nie najmniejszą – było to, że nie miała czasu, aby dalej szukać skarbu. Wiedziała, że Jonas na nią czeka, ale mechaniczna praca porządkowa niosła jej ukojenie, pomagała zebrać myśli.

Edgar wyszedł zza baru i stanął na środku sali.

– Wszystko gotowe. – Uniósł klucze. – Zamknę za sobą drzwi.

Dziękuję, Edgarze – uśmiechnęła się. – Dobranoc.

– Dobranoc. – Skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

Zostawiwszy ją sam na sam z właścicielem gospody.

Frontowe drzwi zamknęły się, usłyszała chrzęst klucza w zamku. Skończywszy zajęcie, sprawdziła, czy wszystkie okiennice są pozamykane, a potem, nie mając nic więcej do roboty, podeszła do swego prześladowcy.

Kiedy stanęła przed nim, uniosła brwi.

Wyprostował się.

– Słyszałem, że wuj złożył ci kolejną wizytę.

Kiwnęła głową i minęła go, kierując się do kantoru.

– I na pewno będą następne. On nie ustąpi tak łatwo.

– Rozmówię się z nim.

– Nie! – Obróciła się gwałtownie. – W końcu kiedyś odjedzie, ale bez względu na wszystko, tak jak mówiłam ci już setki razy, nie jestem twoja. Nie odpowiadasz za mnie. I nie musisz staczać bitew w moim imieniu.

Spojrzał na nią groźnie. Wyczuła jego wahanie. Aby pomóc mu opanować nadopiekuńczość – a może to była zaborczość? – zmieniła kierunek, zgasiła ostatnią lampę na ladzie, a potem, w

słabym świetle żaru z paleniska, ruszyła przez salę ku schodom, by znaleźć bezpieczne schronienie w swoich pokojach.

Zamiast pozwolić jej odejść, ruszył tuż za nią. Już po chwili nachylił głowę, aby mruknąć jej do ucha:

– Ja chcę odpowiadać za ciebie, chcę staczać bitwy w twoim imieniu, zabijać smoki, które są dla ciebie zagrożeniem.

Te ciche słowa zabrzmiały chropowato, jakby wydobywały się z głębin jego wnętrza. Em przyspieszyła, lecz on z łatwością dotrzymywał jej kroku.

– Do diabła, chcę mieć prawo występować w twojej obronie, bronić ciebie i twojego rodzeństwa przed ludźmi pokroju wuja Harolda. – Chwycił ją za ramię i obrócił, aby stanęła twarzą do niego. – I oczywiście zamierzam ubiegać się o to prawo.

– Oczywiście? – Wysunęła ramię z jego dłoni i spojrzała mu w oczy.

– Cokolwiek się zalęgło w twojej głowie, nie jest to dla mnie oczywiste.

Jego oblicze pociemniało.

– Do diabła, chyba to, co czuję, nie jest dla ciebie zaskoczeniem. Dałem temu wyraz na różne sposoby, chociaż nie powiedziałem tego wprost. A według ciebie, co to – zamachał rękami – oznacza?

Uniosła podbródek.

– Zarządzam twoją gospodą – stwierdziła kategorycznie.

Odwróciwszy się, zaczęła wchodzić po schodach. Nie mógł odpuścić tej kłótni, dotyczącej jej bezpieczeństwa, a ona była zbyt zmęczona i otępiała, aby z nim debatować. Była pewna tylko tego, że on zdecydował wziąć ją pod swoje skrzydła.

Zostać jej obrońcą.

Postanowiła zachować się rozsądnie za ich oboje i udać na spoczynek. Ruszyła dalej po schodach.

– Dobranoc, panie Tallent. Rano na pewno wróci jasność myślenia. Wtedy mi pan podziękuje.

– Dla ciebie jestem Jonas. A ty nie jesteś podobna do żadnego innego zarządcy gospody na świecie. – Szedł za nią, analizując jej słowa, skupiony i zdeterminowany, by udowodnić swoje

racje. – A co chciałaś przez to powiedzieć, że niby rano wróci mi jasność myślenia? Od tygodni zabiegam o twoje względy. Nawet nie waż się powiedzieć, że tego nie zauważyłaś.

Dotarli na piętro. Em odwróciła się, zagradzając mu przejście. Zmusiła go, aby się zatrzymał dwa stopnie niżej. Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

Tak, aby mogła bezpośrednio wbić wzrok w jego oczy.

– Nie zabiegasz o moje względy, po prostu chcesz mnie uwieść. Próbujesz. Absolutna prawda jest bowiem taka, że dżentelmeni twojego pokroju nie żenią się z oberżystkami.

Ogarniała go coraz większa złość. Zmrużył oczy.

– A może powinnaś zastanowić się nad inną prawdą, równie absolutną, że dżentelmeni mojego pokroju nie uwodzą oberżystek. Byłoby to uznane za nieodpowiednie zachowanie.

Jej oczy błyszczały ze złością. Zacisnęła usta w cienką linię, znamionującą nieustępliwość, w końcu niezbyt przyjaźnie kiwnęła głową.

– Tak, jak mówiłam, dobranoc, panie Tallent.

Odwróciła się, podeszła do drzwi salonu, otworzyła je i wsunęła się do środka.

Chciała zatrzymać się i zamknąć drzwi, lecz on warknął, dosłownie warknął niskim gardłowym charkotem, idąc krok w krok za nią.

– To bez sensu!

– Zgadzam się całkowicie. – Stanęła twarzą do Jonasa z zamiarem wyproszenia go za drzwi, ale przekonała się, że był znacznie bliżej, niż myślała. Oparł dłonie na biodrach, pochylił głowę i patrzył na nią gniewnie, chociaż miał w oczach jakiś błysk, determinację na twarzy, które wywołały u niej szybsze bicie serca. Kosmyk opadł mu na czoło, nadając groźny wygląd. Cofnęła się o krok.

A po chwili o drugi, gdyż on nie odstępował ani na chwilę i zbliżał się coraz bardziej.

Wycofując się, wskazała palcem drzwi.

– Powinieneś iść do domu, Natychmiast.

– Nie. – Nie spuszczając z niej wzroku, sięgnął po omacku za plecy, odnalazł krawędź drzwi i zamknął je energicznym ruchem. – Nie wyjdę, a ty nie uciekniesz, a w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nam przeszkodzić. W końcu musimy dotrzeć do sedna i wyjaśnić wszystko do końca, abyś zrozumiała.

– Ja rozumiem! Ty majaczysz. Straciłeś rozum i nie wiesz, co mówisz. – Zresztą sama nie mogła tego pojąć. Była zbyt zmęczona, miała mętlik w głowie. – Po zdrowym śnie rano wszystko będzie o wiele bardziej klarowne.

Szybko pobiegła do sypialni, przekonana, że jako dżentelmen nie odważy się wejść za nią.

A jednak zrobił to.

Kiedy się odwróciła, aby zamknąć drzwi, stał tuż przed nią.

Pisnęła. Cofając się, nadepnęła rąbek sukni i straciła równowagę, lecz Jonas w porę złapał ją za ramiona i postawił na nogi.

Jednak już nie puścił.

– Przestań udawać, że to coś, co jest między nami, nie istnieje. – W jego ciemnych oczach kłębiły się emocje.

Zabrakło jej tchu.

– To coś?

– Właśnie. – Spojrzał na nią twardo.

Pocałował ją. Nie mocno, aby mogła odruchowo stawić opór, lecz łagodnie, kusząco, niemal błagalnie.

Jakby naprawdę chciał, aby zobaczyła, zrozumiała, czym naprawdę jest to „coś” między nimi – ten niepowstrzymany ogień rozpalany pocałunkiem. Jakby chciał, aby poczuła, czym to jest, doceniła jego istnienie jako oznaki, i przyjęła do wiadomości, co to oznacza.

Jonas delikatne muskał językiem o jej język. Wziął ją w ramiona, a wtedy serce i zmysły Em wyrwały się z uśpienia. Musiała jeszcze właściwie zinterpretować, jaką wymowę ma sposób, w jaki ją obejmował – bezpiecznie, zaborczo, lecz mimo to bardzo delikatnie. Zdać sobie sprawę z wielu innych rzeczy, które jej unaocznił, z symptomów swoich uczuć.

Jedna dłoń Em samowolnie uniosła się, aby lekko dotknąć gładkiego policzka Jonasa. Pragnął jej, pożądał. Może nawet potrzebował.

To, co w odpowiedzi odczuła sama, co rozgrzało jej krew, rozciągnęło każdy nerw, było o wiele mniej powściągliwe. To głód, niepohamowany, silny, otwarty i zachłanny.

Tym razem była gotowa dać się ponieść. Nie brakowało jej czegoś, co skupiłoby jej uwagę, bo przez cały dzień nie miała chwili, aby spokojnie pomyśleć. Lecz po zjawieniu się Harolda, które wywołało lęk bliźniaczek, niepokój Issy i Henry'ego, Em bardzo potrzebowała odmiany – i to zupełnie innego rodzaju.

Potrzebowała czegoś, co pozwoli jej oderwać się, co na chwilę zabierze ją z tego świata… a Jonas był pod ręką, był chętny, a jeśli nie z nim, to może nigdy nie dowie się…

I pragnął jej.

Objęła go za szyję i odpowiedziała pocałunkiem, otwarcie, bez rezerwy.

Poczuła jego nagłe wahanie, zaskoczenie.

Zignorowała to, odważnie wychodząc mu naprzeciw. Była pobudzona, czuła jego natychmiastową reakcję, napięte mięśnie, obejmujące ją stalowe ramiona. Zachęcona, natchnięta otuchą, z jeszcze większą ochotą wdała się w pojedynek języków, któremu nie była w stanie się oprzeć.

Jej rodzinna natura, dzika i brawurowa, wyczuła sposobność, nowy szeroki horyzont – i obudziła się, przechwyciła inicjatywę.

Zaskoczony Jonas stwierdził, że nie odstępuje jej, chociaż nie do końca nadążał za rozwojem sytuacji. Nie nadążał z okiełznaniem instynktów ich obojga. Tak, jakby chciał utrzymać na wodzy dwa wyrywające się rumaki, trzymając ich cugle w rozpostartych rękach. Zarówno Em, jak i ta instynktowna część jego natury, którą rozbudzała, byli zbyt silni.

Była to szokująca sytuacja. Em całowała go coraz bardziej namiętnie, niecierpliwie. Miękkie, uległe usta były jednak wygłodniałe, zapraszały i kusiły zarazem. Upajała się, gdy

puściły mu hamulce, ujął w dłonie jej twarz i wpił się w jej wargi.

Mimowolnie cofnęła się, aż uderzyła biodrami o wysoki materac na łóżku. Jonas odczuł to, odczuł, jak Em odchyla się do tyłu, jak jej brzuch dotyka jego erekcji – i lekko oprzytomniał.

Na tyle, by zdać sobie sprawę, że pominęli kilka pośrednich etapów, które zwykle następują. By pomyśleć, że być może powinien się wycofać, a przynajmniej zwolnić, aby przekonać się, do czego ona zmierza.

Całą siłą woli spróbował odstąpić, złagodzić natarczywość pocałunku. Lecz ona nie miała ochoty na stłumienie buchających płomieni namiętności. Gdy zmniejszył nacisk, od razu rzuciła się łapczywie do przodu, w jednej chwili niszcząc jego postanowienie, zmuszając do posłuszeństwa – poza granicami logicznego pojmowania.

Nie zamierzała pozwolić mu się odsunąć, myśleć, zastanawiać się – co nie było rozsądne, zważywszy na siłę jego pożądania, na żywiołową, chciwą namiętność, jaką w nim wzbudzała.

Zaczerpnął powietrza, by z nową siłą i determinacją przycisnąć się do jej ust, wypełnić je, dać jej to, czego wyraźnie pragnęła i żądała. Przesunął ręce z jej policzków na ramiona, plecy, sycąc się kobiecymi jędrnymi kształtami pod dłońmi. Smakował ją, spijał słodycz z uległych ust. Zatrzymał dłonie na jej biodrach, lekko zginając palce, i trzymał ją uwięzioną między łóżkiem a swoim ciałem, odczekując chwilę, aby dotarła do niego świadomość, że Em tu jest, że jest chętna, aby zaspokoić jego pożądanie.

Była obietnicą, szczodrą nagrodą, ciepłem, skarbem, przyjemnością w najczystszej formie, obleczoną w postać delikatnej kobiety. I była jego. Nie miało znaczenia, czy intymne zbliżenie nastąpi dziś, czy jutro. Po prostu była jego. I będzie na zawsze.

Ona chyba myślała podobnie, znów wyszła mu naprzeciw, zapraszająco przylegając do jego ciała.

Postanowił trzymać ją za słowo, którego nie wypowiedziała na głos. Uwolnił z uścisku jej talię, przesunął ręce po biodrach,

dociskając do materaca, aby lepiej sycić się formą kształtnych pośladków.

Zadrżała, lecz zaraz zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. Chwyciwszy mocniej pośladki, nacisnął i przytrzymał, a po chwili sugestywnie otarł się całym ciałem o jej postać.

Jako demonstracja przynależności, zapowiedź tego, co miało nastąpić. Zareagowała jeszcze większą niecierpliwością. Nigdy nie wątpił, że będzie go pragnęła, gdy tylko nadejdzie odpowiedni moment. Taki, jak teraz. Świadomość, że Em go pożąda, wywoływała oszołomienie.

Wsunąwszy palce w jego włosy, nie pozwalała ich ustom rozłączyć się, coraz bardziej odurzona. Jej zmysły tańczyły dziko, a znany jej świat ustąpił nowemu, bogatszemu, ekscytującemu, fascynującemu. Światu, który chciała zbadać, pełnemu nowych wrażeń, których głodna była jej dusza Colytonów.

Przestąpiła granicę nadziei na zachowanie powściągliwości, puściła wolno swą śmiałą duszę. Nie sądziła, że jest w stanie ją okiełznać, zresztą nawet nie miała ochoty próbować.

Takie chwile były bezcenne, chwile, w których mogła się spełnić, być naprawdę sobą. Bez lęków, bez myślenia o obowiązkach. Choćby miało ty trwać tylko parę minut, nie będzie się liczyła z kosztami.

Jego twarde mięśnie i grube kości, męskie ciało przyciskające ją do łóżka – ten moment wywołującej dreszcz bezbronności – wszystko to było jak nektar dla jej uschniętej duszy.

Zacisnął palce, chwycił mocniej. Dłonie na pośladkach paliły ją przez suknię jak żelazo do wypalania piętna, lecz ona potrzebowała więcej.

O wiele więcej.

Odszukała jego język, zaczęła pieścić, szybko wyczuła pewną rezerwę. Przylgnęła do niego całym ciałem, szukając ulgi dla napięcia narosłego w jej piersiach, które naprężyły się, nabrzmiały, tak jak wrażliwe sutki.

Na szczęście zrozumiał, Bogu dzięki! Puścił jej pośladki i przesunął się, aby udami nadal przyciskać ją do łóżka. Duże

dłonie uniosły się i zaborczo objęły spragnione pieszczot piersi.

Ulga była tak wielka, że cicho jęknęła, wyczuła jego aprobatę, gdy sycił się jej upojeniem wprost z ust. One też były jego, uległe od początku; sposób, w jaki celebrował pocałunek, niby powoli, lecz nieustępliwie, biorąc w niewolę każdy cal jej miękkich warg, wywołał w Em kolejny nieopanowany dreszcz.

Męskie dłonie przesuwały się po jej piersiach, uczyły się ich kształtów, badały. Chwycił je, delikatnie ścisnął, zaczął ugniatać. Ruchliwe palce odszukały sutki, zaczęły wodzić wokół nich prowokująco… aż wcisnęła palce w jego włosy i odważnie się wyprężyła.

Chwycił palcami sutki, aż wygięła do tyłu plecy, usłyszała cichy jęk. Po chwili zrozumiała, że to jej głos. Kręcił kółka wokół sutków, aż doprowadził ją niemal do krzyku, potem znów dłońmi objął piersi… lecz to było za mało. Chciała więcej – z narastającą pewnością, w jaki sposób może poznać swoje pragnienia.

Obróciła się lekko, wysunęła biodro, ocierając się o jego erekcję. Być może była niewinna, ale na pewno miała pewną wiedzę, wiedziała, czym jest to sztywne wybrzuszenie naciskające jej brzuch, wiedziała, co to oznacza, co on może z tym zrobić, gdyby skusiła go wystarczająco mocno…

Jej dusza, dusza Colytonów, zadrżała, oczekując niecierpliwie, co będzie dalej.

Już po chwili otrzymała pierwsza nagrodę – usłyszała, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza. Druga nagroda przyniosła jeszcze większe zadowolenie. Jonas pocałował ją, zgniótł jej usta, puścił piersi i objął ją w talii, uniósł z ziemi…

Posadził ją na brzegu łóżka, jedną ręką podciągnął suknię na tyle, by nacisnąć jej kolana, a gdy się rozstąpiły, stanąć między nimi. Zmniejszył siłę pocałunku, aby sama mogła zdecydować, jak odpowiedzieć, a tymczasem sam chwycił ją za nadgarstki, oderwał dłonie od swych włosów, odciągnął jej ramiona szerokim łukiem, by położyć je na pościeli.

Wtedy znów przejął kontrolę nad pocałunkiem, przynajmniej próbował, ale stwierdził, że ona wcale nie zamierza oddać mu

inicjatywy, więc musiał uczynić to delikatną siłą. Był nawykły do dominacji.

W tym momencie usłyszał ostrzegawczy dzwonek. Zignorował go.

Teraz nie była dobra chwila, by zwracać uwagę na ostrzeżenia – bo teraz poprzez ten namiętny pocałunek czuł coraz mocniej jej pragnienie, smak pożądania. Nachylił się, zmuszając Em do oparcia się na wyciągniętych do tyłu ramionach. Dzięki temu miał wolne ręce i mógł zająć się guzikami stanika sukni.

Wystarczyła minuta, by je rozpiąć, poluzować koronki, ująć jej szyję i całować jeszcze głębiej. Przesunął dłonie do zewnątrz, wzdłuż ramion, rozchylając połówki sukni, ściągając je do połowy wysokości rękawów, skutecznie obezwładniając jej ręce i ją samą w wygodnej dlań pozycji.

Dopiero wtedy oderwał się od jej ust, lecz wciąż pozostawał nachylony. I nie cofnął się.

Porzuciwszy jej wygłodniałe usta, zaczął wargami muskać jej szczękę, potem delikatnie całować pod uszami, elektryzująco pieścić naprężoną szyję. Odchyliła głowę do tyłu i westchnęła.

Zatrzymał się na końcu szyi, delektując się wyczuwalnym, mocnym pulsem, a palcami odszukał i rozwiązał tasiemkę, ściągającą cienką halkę.

Była z bawełny, nie z jedwabiu, lecz tak delikatna, że aż przezroczysta. Przez chwilę podziwiał sterczące sutki i lekko zaczerwienione piersi Em, niedoskonale zasłonięte delikatnym materiałem.

Poruszyła się niespokojnie. Poczuł na twarzy jej spojrzenie.

Powoli uniósł głowę. Dostrzegł w jej oczach pożądanie i ciekawość. Uśmiechnął się. Powoli położył dłoń na jej piersi, objął ją, przez cienki materiał zaczął drażnić sutek – aż nabrzmiał tak mocno, że wyprężyła się i jęknęła.

Zahaczył palcem za rąbek rozwiązanej halki i pociągnął, odsłaniając jedną pierś w całej okazałości. Pochylił głowę, dotykając ustami delikatnej skóry. Była gładka jak płatek kwitnącej jabłoni, nagrzewała się pod jego pieszczotą, a on

wodził po jej krągłych kształtach; po chwili obnażył drugą, z którą także się zapoznał, unikając jednak poziomkowych czubków błagających o atencję. Wsłuchiwał się w coraz bardziej szarpany, niespokojny oddech Em.

Bardziej niecierpliwy.

W końcu, ogarnięta coraz większą żądzą, jęknęła, poruszyła się. Mocniej przytrzymał jej nadgarstek, więżąc w uścisku. Wreszcie spełnił jej chaotyczne pragnienie i objął wargami sutek, całował, lizał, w końcu wciągnął w usta i zaczął delikatnie ssać.

Znowu jęknęła, bezwolnie wyprężyła się, zaskoczona ogromną przyjemnością; odchyliwszy głowę do tyłu, zamknęła oczy i poddała się doznaniom, pozwoliła, by zalały ją kaskadą ognistej rozkoszy, którą chwytała zachłannie, syciła się wszystkim, co jej dawał… a potem niemo i bezwstydnie błagała o więcej.

Powinna być zszokowana – gdyby mogła normalnie myśleć, na pewno tak właśnie by było – lecz uczucia i emocje nie zostawiały miejsca na myśli w odurzonej głowie. To miało grzeszny, lecz wyborny smak, gdy rozpakowywał ją jak prezent, a ona jeszcze go zachęcała. Ta chwila niosła ze sobą tak rozkoszny i zakazany dreszcz, że nie była w stanie się oprzeć. Nie chciała się oprzeć, skuszona obietnicą ognia w jego oczach, nieuchronnością nadchodzącej rozkoszy i impulsem – bardziej nawet wewnętrznym przymusem – by czuć dłonie Jonasa na swojej skórze.

Jego wargi na skórze, gorąca pieszczota wilgotnych ust na piersiach, subtelne wsysanie sutków, które zdawały się nabrzmiewać, przyjemność rozlewająca się aż w podbrzusze – wszystko to było nowe, upojne, zakazane i uzależniające.

I wrażenie to narastało. Palący żar jego rąk i warg coraz silniej ją ogarniał, płynął nieprzerwaną falą jak wzburzona rzeka pożądania. Której chciała się poddać, aby nasycić zmysły, którą chciała upajać się, poznać i której chciała dać się ponieść.

Dać się obezwładnić doznaniom. To taka nowa, podniecająca pokusa, jakby stworzona na zamówienie dla jej brawurowej

duszy. Lecz nawet gdy dawała się ponieść tej fali przyjemności, wciąż nie mogła się nadziwić sobie – że tak łatwo i zupełnie mu się oddała.

Jakaś ospała część jej umysłu wciąż drążyła tę myśl, dlaczego tak uległa.

Wiedziała tylko tyle, że z nim, w jego ramionach czuje się bezpieczna.

Że nawet z jego strony nic jej nie grozi. Dzięki czemu miała swobodę, aby badać… to „coś".

To, co rozkwitło między nimi.

W większym stopniu niż tylko on, niż tylko ona, to „coś" pochłaniało ich, zdominowało. Musiała ustąpić. To niosło ukojenie, przez jego przyjemność, a jej akceptację – i chyba na tym to polegało.

Mogła tylko cieszyć się tą chwilą, ugiąć się i pozwolić mu, aby prowadził ją dalej. Znała podstawy, przynajmniej w teorii, lecz nie stronę fizyczną w stopniu, który pozwalałby jej przejąć inicjatywę.

Więc czekała, a gdy on znieruchomiał, spoglądając jej w oczy między urywanymi oddechami, zachęcała go, by uczynił kolejny krok. Gdy tak milcząco pytał ją, czekał, by ujawniła pragnienia – odczuła, że doświadcza czegoś niezwykle cennego i drogiego.

Więc ujawniła je; zaróżowione i wilgotne piersi, gorące, nabrzmiałe, zakończone twardymi czubkami, paliły ją niemal do granic wytrzymałości pod wpływem wprawnych pieszczot Jonasa. Wydała lekki okrzyk, wydała zbolałe pragnieniem błaganie…

– Proszę…

I czekała na ciąg dalszy.

Czekała na to, co on zrobi. Z jakim nowym rozkosznym doznaniem ją zapozna.

Powrócił wargami na jej usta, kuszącymi ruchami zapraszając do głębokiego pocałunku, zanurzył ją w wirze zmysłowych doznań.

Zrozumiała, że chciał odwrócić jej uwagę, gdy zmniejszył siłę pocałunku na tyle, by poczuła męską dłoń na swoim obnażonym kolanie, która powoli przesuwała się po delikatnej skórze uda – nieubłaganie i zaborczo wędrując ku górze, aż do miejsca, gdzie noga łączy się z torsem. Opuszkiem palca powiódł ku środkowi, delikatnie mierzwiąc włoski pokrywające wzgórek, potem uniósł dłoń i przesunął spódnicę sukni wyżej, aby móc uczynić do samo z drugim udem, aż dobrnął palcem do kępki włosów.

Teraz oderwał od niej usta. Uniosła ociężałe powieki i zobaczyła, jak na nią patrzy, jednocześnie delikatnie głaszcząc jej kręcone włoski.

Zamknęła oczy, usłyszała własny, coraz bardziej niecierpliwy oddech, gdy znalazła się na granicy poznania. Czekała. Siedziała na swoim łóżku, podparta na rękach, z szeroko rozwartymi nogami, ze spódnicą sukni podciągniętą na biodra, z obnażonymi piersiami – i mogła myśleć tylko o gorącym pulsowaniu miękkiego ciała między swymi udami.

I o tym, co mogłoby ją ukoić.

Przesunął palce niżej i dotknął ją tam, wywołując istne trzęsienie ziemi. Gładził, wodził, potem bezceremonialnie zbadał gładkie, nabrzmiałe płatki. Pieścił ją z wyczuciem i wprawą, aż przygryzła dolną wargę, by stłumić okrzyk, aż – bezwolnie – zaczęła poruszać biodrami, jeszcze bardziej rozchyliła uda, pragnąc coraz więcej.

Powrócił ustami na jej usta i dał jej to, czego pragnęła. Obejmując jej wygłodniałe wargi, drażnił, kusił, wreszcie wtargnął do środka jeszcze raz, jednocześnie pracował długim palcem między jej udami, krążył nim wokół wejścia, by w końcu delikatnie przekroczyć próg. Spięła się, doznając czegoś zupełnie nowego, lecz on wnikał coraz głębiej, powoli, nieubłaganie, aż zanurzył się w niej.

Oszołomiona, oderwała się od ust Jonasa, by gwałtownie zaczerpnąć powietrza, lecz zaraz ponownie brakło jej tchu, gdy uniósł nieznacznie dłoń i odnalazł wrażliwy koralik ukryty pośród kręconych włosków, potarł, nacisnął.

Jęknęła cicho, napinając się, lecz on nie przerywał intymnej pieszczoty; krążył kciukiem, głaskał, cofał i powracał w poprzednie miejsce, wypełniając gładką jamkę. Przechylił jej głowę nieco w górę, jeszcze raz pocałował, powtarzając językiem ruchy, jakie wykonywał jego palec, otwierając ją i wypełniając.

Wynosząc ją na szczyt narastającego napięcia i żaru.

Każde wniknięcie palca w pochwę, każda pieszczota kciukiem, wypełniały jej żyły płomiennym, pulsującym podnieceniem, rozpalającym, zasilającym jeszcze puste palenisko, które się rodziło w jej wnętrzu, aż w końcu ogień buchnął z całą mocą, łącząc wszystkie doznania w jedno.

Aż rozgrzane do białości napięcie osiągnęło granice wytrzymałości.

Cofnął usta.

– Niech to się stanie – wyszeptał. – Odpuść.

Spoglądał spod rzęs, jak Em balansuje na samym szczycie, na krawędzi orgazmu. Miała ślicznie zaróżowioną skórę, rozchylone, nabrzmiałe usta, rwany oddech… trzymała się kurczowo, by nie dać się ponieść rwącym falom przyjemności, które lada chwila mogły ją porwać.

Wyobrażał sobie, że ten pierwszy raz będzie dla niej szokiem. Czymś zdumiewającym, nowym, niepojętym. Skoncentrował się na nieuchronnej rozkoszy, na pragnieniu ponownego doznania przyjemności. Przesuwając rękę, wniknął głębiej w jej ciasne gniazdko, głaskał… a po chwili ruchami kciuka doprowadził ją na skraj wszechświata…

Opadła na łóżko z cichym okrzykiem.

Widział niewymowną przyjemność na jej twarzy, gdy pochwa zacisnęła się wokół jego palca, gdy naprężone łono zaczęło pulsować. Fale przyjemności uwalniały się, napięcie powoli opadało, w końcu Em odprężyła się, wzdychając prawie niedosłyszalnie.

Delektując się tą chwilą, Jonas odczekał i cofnął dłoń spomiędzy ud. Wymagało to dużego nakładu silnej woli, lecz odsunął się od łóżka, pozwalając, by fałdy sukni opadły na jej

kolana. Teraz objął Em w talii, nachylił się i wpił się w jej usta, starając się ukryć pożądanie, zżerające go od środka, to nienasycone pragnienie domagające się spełnienia.

Wiedział, czego chce, czego potrzebuje jego ciało, ale ponieważ to była jej pierwsza wycieczka w krainę rozkoszy, musiał trochę zwolnić. Nie powinien, nie mógł jej poganiać, chciał, aby ona zapragnęła go w taki sam sposób, z takim samym przekonaniem, tą samą niezaprzeczalną siłą, z jaką on pożądał jej.

Z pewnością nadejdzie właściwy moment na wykonanie kolejnego kroku. Upewnił się co do tego, odrywając się od jej ust z niemożliwą do ukrycia niechęcią.

Zanim zdążył się wyprostować, poruszyła się, uwolniła rękę i chwyciła go za klapę ubrania. Trzymała go kurczowo, blisko. Otworzywszy zamroczone przyjemnością oczy, spojrzała pytająco na jego twarz.

Lekko zmrużyła powieki, jakby wyczuwając zamiary Jonasa, które wcale nie spotkały się z jej aprobatą. Przechyliła głowę, wpatrując się w jego oczy.

– Chcę, abyś nauczył mnie więcej. Wszystkiego. Teraz.

Wypowiedziała te słowa śpiewnym, zmysłowym głosem syreny, lecz pod uwodzicielską melodią wyraźnie zabrzmiały determinacja i stanowczość.

Które usłyszał bardzo klarownie. Jeszcze tylko poszukał w jej oczach potwierdzenia, że to wszystko nie jest snem, a po chwili mocniej chwycił ją za talię i nachylił się.

Ale…

Muskał wargami jej usta, po chwili wahania zmusił się, by chropawym, niemal niezrozumiałym, cichym głosem, spytać:

– Jesteś pewna? Absolutnie pewna?

Ich spojrzenia spotkały się, tym razem z bardzo bliskiej odległości, z której nic nie można było ukryć. Badali się wzajemnie. Bardziej wyczuł, niż zobaczył jej uśmiech, emocję, od której doznał lekkiego zawrotu głowy.

– Tak – wyszeptała. – Jestem pewna. – To ona z uśmiechem złączyła ich usta w kolejnym pocałunku. – Jestem absolutnie

pewna.

Tym razem żadne z nich nie wykazało ochoty do dominacji, przez długą chwilę oddali się obopólnej przyjemności.

Poruszyła się, drugą ręką chwyciła go za drugą klapę i opadła na plecy, pociągając go za sobą, aby położył się prosto na niej.

Heroicznym wysiłkiem wykonał półobrót i wylądował obok.

Wijąc się jak wąż, odwróciła się ku niemu; znowu przywarła do jego ust tak gwałtownie, że przez minutę zupełnie go zniewoliła. Całkowicie zatracając się w tej chwili.

Wykonała kolejny ruch, aby się przybliżyć, ściągając suknię wyżej, przesuwając odsłoniętymi udami po jego nogach w sposób, który gwarantował przebudzenie się tkwiących w nim wygłodniałych demonów.

Jedno zaokrąglone biodro pieściło jego męskość.

Wciągnął raptownie powietrze, przenosząc swoją uwagę z jej ust, nagich piersi, które jego dłonie mimowolnie objęły we władanie. Poprzez mgiełkę otumaniającego pożądania uświadomił sobie, patrząc na jej ruchy, że jednak ma pewne podstawowe pojęcie o fizycznym akcie, lecz te podstawy nie mogły doprowadzić ich tam, dokąd Jonas pragnął ich zabrać.

To będzie jej pierwszy raz, a każdy pierwszy raz musi być w stu procentach taki, jak należy. Zwłaszcza dla niej z nim, skoro zamierzał uczynić tę naukę regularnym zwyczajem. Wobec tego przejął inicjatywę.

Lekko się zdziwił, że przyszło mu to z niejakim wysiłkiem.

Musiał pochylić się nad Em i ułożyć ją na plecach, wykorzystać swoją wagę, aby ją poskromić. Nawet gdy już leżała pod nim, bez możliwości ucieczki, wciąż szarpała go rękami… on zaś, odrywając się od jej pazernych ust, zrozumiał, że ona nie zmaga się z nim, lecz raczej z jego surdutem – usiłowała ściągnąć mu go z ramion, a w obecnej pozycji po prostu nie mogła tego dokonać.

Ponownie zanurzył się w pocałunku, ujawniając swe nienasycenie i żądzę. Chociaż ochoczo wyszła mu naprzeciw, wciąż chciała więcej i nie przestawała go szarpać, ciągnąć.

Z cichym przekleństwem nagle cofnął się i usiadł. Szybkimi ruchami zaczął ściągać z ramion okrycie, przygważdżając Em stanowczym spojrzeniem.

– Zostań na miejscu. Nie ruszaj się.

Wstając, szybko pozbył się surduta, kamizelki, fularu, zabrał się do rozpinania guzików koszuli.

Em obserwowała go, zaciskając instynktownie palce, i czekała niecierpliwie, aby położyć dłonie na nagiej męskiej skórze. Już wcześniej zaznała cudownej przyjemności dotyku jego dłoni, więc chciała ją odwzajemnić – i przekonać się, do czego to doprowadzi. Przekonać się, czy on stanie się tak samo bezbronny, zniewolony namiętnością, jak ona. Chciała nauczyć się więcej – wszystkiego – i to teraz.

Kiedy wtedy zalała ją pierwsza fala przyjemności, ogarnęła ją zupełnie i skumulowała się w wybuchu ekstazy, po chwili doznała wrażenia oślepiającej jasności.

Tak, on miał rację, musiała poznać to wszystko i zrozumieć.

Wszystko – do końca.

Przecież inaczej nie mogłaby uzyskać pewności, przekonać się. Z kimże innym mogłaby się tego dowiedzieć i nauczyć?

Albo tu i teraz z nim – albo nigdy. Przynajmniej tak wierzyła w głębi głodnej poznania duszy.

Spytał ją, czy jest pewna. Odpowiedziała, że tak. I nigdy w życiu nie była czegokolwiek bardziej pewna niż właśnie tego.

Więc czekała, oddychając płytko, nieruchoma, chłonąc wygłodniałym wzrokiem połacie lekko opalonej skóry, pięknie rzeźbioną pierś, mocno zarysowane mięśnie brzucha, sycąc się widokiem każdego odkrywanego fragmentu jego ciała. Widząc szerokie, zaokrąglone barki, poczuła swędzenie w dłoniach. Chciała dotykać, przesuwać nimi po każdym calu jego skóry, badać obszary porośnięte ciemnymi włoskami na męskiej piersi, które wąskim pasemkiem schodziły w dół, niknąc poniżej pasa.

Uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie, zrozumiała, że zauważył, jak wędrowała wzrokiem wzdłuż tej kuszącej ścieżki ciemnych włosków. Ciemne oczy Jonasa miały taką głębię, że

mogła się w nich zatracić, miały tyle ognia, że mogłyby roztopić stal.

Odrzucił na bok koszulę. Nawet nie patrzył, gdzie spadła. Usiadłszy obok Em, nachylił się, przysunął biodra do jej ud, po czym zamknął ją w kleszczach, opierając przedramiona i łokcie z obu jej stron.

Duże, silne, niesamowicie delikatne dłonie objęły jej twarz. Zajrzał jej w oczy, by po chwili opuścić głowę.

Zanim zdążył ją pocałować – odurzyć myśli, wywołać jeszcze większe pożądanie – położyła płasko dłonie na jego piersi i powstrzymała go.

Mógł zignorować ten opór, lecz zatrzymał się. Widziała na jego twarzy zdziwienie, jakby nie wiedział, czego ona chce, co zamierza.

Uśmiechając się, pokazała mu, czego chce. Zaczęła kusząco wodzić dłońmi po jego piersi, i już po chwili otrzymała nagrodę w postaci cichego pomruku przyjemności. Sięgnąwszy szczytów ramion, mocniej przycisnęła palce do jego skóry, delektując się sprężystością męskiego ciała, kontrastem pomiędzy gładką, rozgrzaną, elastyczną skórą, rozciągniętą na twardych, nieruchomych mięśniach.

Jego pierś była prawdziwą ucztą dla dotyku; pozwoliła dłoniom badać, zmysłom chłonąć, by po chwili przesunąć ręce niżej, wodząc po fascynującej rzeźbie brzucha, napiętych, niemal drżących pasmach mięśni.

Sięgnęła jeszcze niżej, przynajmniej spróbowała, lecz on przesunął się, chwycił jej dłonie, najpierw jedną, potem drugą, położył je sobie na ramionach. Nie puszczając, nachylił się i pocałował ją, rozchylił jej wargi i wypełnił usta, przywierając torsem do jej piersi.

Zmysły skoczyły pod niebo, rozbiegły się po całym ciele,; rozgonione nerwy buchnęły wysokim płomieniem.

Cała płonęła. Nie tylko nerwy i skóra w miejscach, których dotykał, nie tylko nabrzmiałe piersi.

Tym razem ogień był jeszcze gorętszy, głębszy, rozległy – bardziej intensywny. Bardziej pożądliwy – tak samo jak on

okazywał coraz większe pożądanie, dominację, wypełniając jej usta, tłamsząc zmysły. Teraz on będzie dyktował warunki dalszej gry.

Tak, miał przejąć kontrolę, lecz teraz potrzebowała jego wiedzy jako przewodnika po tym nieznanym świecie. Chciała, aby wskazał jej drogę.

Aby delikatnie ściągnął z niej suknię, koszulę, przyłożył dłonie i sprytne palce do jej skóry.

Aby rozpaliła się jeszcze bardziej.

Aby ogarnął ją jeszcze większy żar, nienasycony głód doznań, z tą pustką w środku, która tęskniła za spełnieniem.

Pragnęła, aby on wypełnił tę pustkę, ją całą, pojął ją we władanie i posiadł – aby pokazał jej wszystko do końca.

Miał powolne, lecz stanowcze ruchy. Chciała go bezgłośnie ponaglić, lecz uparcie trwał przy swoim tempie, w pełni zdeterminowany, nieustępliwy.

W sumie nie mogła się uskarżać. Dawał jej to, o co prosiła, a nawet więcej. Lecz nie zamierzała odmawiać kolejnej przyjemności, jaką miał dla niej w zanadrzu – bo to wszystko było przyjemnością, rozkoszą i cudownym doznaniem. W jego ramionach odkryła namiętność i pożądanie.

Jonas walczył, aby się nie śpieszyć, aby nie poddać się grzesznej chuci, nie ulec jej usilnym pokusom. Tam czaiła się porażka – zbyt łatwe zaspokojenie kosztem jej, a w efekcie również jego satysfakcji. Nie zamierzał popełnić tego błędu. Miał swój wyznaczony cel tuż przed sobą, trzymał się go w obliczu jej jawnego przyzwolenia na wszystko, co on postanowi uczynić – na każdą pieszczotę, każdy pocałunek, każdy sugestywny, rozbudzający wyobraźnię przymus. Sama pragnęła – nawet usilnie pragnęła – odpowiedzieć mu tym samym, lecz on doskonale wiedział, że przecież Em nie może mieć wiedzy w tym zakresie, pojęcia, do czego prowokuje; wprawdzie była taka pewna siebie i zdeterminowana, jednak po raz pierwszy w życiu leżała teraz w ramionach mężczyzny.

Tak więc rozbierał ją powoli – a jego bardziej racjonalna, dojrzała i wyrafinowana część osobowości czerpała z tego

prawdziwą przyjemność. Z tej powolności, stanowczości, czasu potrzebnego na zbadanie i delektowanie się, kuszenie, w końcu na jeszcze bardziej sugestywne pieszczoty.

Powstrzymywał ich oboje; bezlitośnie trzymał w ryzach swoje i jej żądze, tłumiąc je do boleśnie powolnego pulsowania, aż każdy dotyk, każda delikatna pieszczota wzbudzała reakcję, każdy gwałtowny oddech i okrzyk, jaki z niej wydobył, stanowił cenną nagrodę – dla obojga.

Pragnął jej bardziej niż jakiejkolwiek innej znanej mu kobiety – kompletnie, absolutnie, irracjonalnie. Częścią tego pragnienia, zżerającej go żądzy, było oczekiwanie, aby i ona pożądała go w taki sam sposób.

Tak więc te chwile spędzone na przedłużonej grze wstępnej były dla niego nie tylko rozsądną, lecz także konieczną inwestycją. Wysiłek, jakim musiał się wykazać, aby powstrzymać swe demony, aby po prostu nie poddać się i nie zniewolić Em – to była cena, jaką musiał zapłacić za perfekcję.

Aby osiągnąć perfekcyjny wstęp do intymności.

Dla niej. Z nią.

Dla znaczenia, jakiego chciał nadać tej chwili.

Była rozpalona, zniecierpliwiona niemal do punktu, gdzie zaczyna się desperacja, jej nagie ciało i długie kończyny były zaróżowione, wilgotne od pożądania, gdy odsunął się, w końcu zdejmując swoje buty i spodnie, potem przeniósł ją nieco wyżej, położył na narzucie łóżka i tam do niej dołączył.

Jej orzechowe oczy, rozjaśnione płomienną namiętnością, spoglądały na niego spod ociężałych powiek. Miała lśniące od jego pocałunków wargi, zaróżowioną skórę, pełne, nabrzmiałe piersi z twardymi sutkami. Wyciągnęła po niego ręce, a on pozwolił jej pochwycić się, pociągnąć, w końcu wolno położył się na niej.

Nogami rozsunął uda Em, usadowił się między nimi, a ona ochoczo ułożyła się w takiej pozycji, aby go przyjąć. Miał silną, twardą erekcję, a główka już niecierpliwie ocierała się o wejście.

Czując ten dotyk, spięła się, zamknęła oczy, nabrała haust powietrza przez ledwie rozchylone usta, zadrżała, by po chwili wypuścić je powoli i stopniowo odprężyć się.

Stopniowo poddać się władzy namiętności i pożądania, zanurzyć się w morzu ognia.

„Jesteś pewna?” Te słowa parzyły go w język, lecz gdy patrzył na jej twarz, czytał z niej, wyczuwał namiętność i determinację – odwagę i nienasyconą żądzę, które pchnęły ją tak daleko bez oporów i wahania – to pytanie wydawało się zbędne.

A nawet obraźliwe.

Już wcześniej zdecydowała się, a teraz leżała pod nim naga, chętna i gotowa przyjąć go do siebie.

Więc nachylił głowę, odszukał usta Em, nakrył je swoimi, namiętnym pocałunkiem znowu rozpalił w niej ogień namiętności. Wtedy zgiął plecy i powoli zanurzył się w niej.

Wstrzymała oddech, gdy naciskał coraz mocniej, próbowała rozluźnić się, gdy wchodził w nią coraz głębiej, gdy ciśnienie rosło, rozciągało ją, wypełniało zaborczo centymetr po centymetrze.

W jej myślach pojawiło się mgliste pytanie, skąd wzięły się właśnie takie słowa – posiadanie, zaborczość, zniewolenie. W myślach już rozkojarzonych wrażeniami, które były nie tylko nowe, ale i… wywołujące coraz większe napięcie. Trzymała go za ramiona, wbijała paznokcie w jego skórę, instynktownie wyginając plecy. Doznanie, gdy jego męskość wpychała się w jej wnętrze, było zupełnie inne niż wcześniejszy dotyk palców. Teraz było o wiele pełniejsze, o wiele bardziej… fascynujące.

Wtem odczuła z początku lekki, lecz narastający opór. Jonas zawahał się, lecz już po chwili pocałował ją tak łapczywie, że skupiła się na ich zwartych ustach, na odwzajemnianiu pocałunku, zaspokajaniu głodu jego warg, że zapomniała o głównym wątku akcji.

Cofnął się trochę i zaraz pchnął mocno, nieubłaganie. Zajęta pocałunkiem nie od razu zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Nagle poczuła rozdzierający ból, szarpnęła się, spięła, lecz to odczucie tak szybko złagodniało do poziomu lekkiego

dyskomfortu, że od razu odprężyła się… i dopiero wtedy uderzyła ją świadomość tego, co naprawdę się dzieje, spychając na drugi plan wszystko inne. Czuła dreszcz na skórze, która nagle nabrała nowej wrażliwości, nerwy naprężyły się, gdy zrozumiała, w końcu doświadczyła goszczenia go w swoim wnętrzu.

Doświadczyła intymnego i kompletnego połączenia ich ciał.

Jonas znieruchomiał – nie wiedziała, czy po to, aby lepiej zapamiętała tę chwilę, czy po to, aby samemu się nią nacieszyć – lecz ten moment wzajemnego wytchnienia wydawał się bezcenny, jak idealnie uformowana kropla rosy tuż przed oderwaniem się do lotu. Taka bezcenna chwila, która w skali czasu trwa tyle, co mgnienie oka.

Jonas wyszeptał pytająco jej imię. W odpowiedzi Emily pocałowała go i zaczęła poruszać się zachęcająco pod ciężarem jego chciała. Pragnęła nauczyć się jeszcze więcej.

Wstrzymał oddech, wysunął się z jej wnętrza, po czym powoli, ostrożnie wszedł w nią jeszcze raz. Tym razem nie odczuła bólu. Rozluźniła uda, dając mu do zrozumienia pocałunkiem, że jest jej dobrze…

Wyczulony na każdy jej ruch, oddech, uderzenie serca, odebrał jej przekaz z wielką ulgą. Uwolnił się z narzuconego samemu sobie ograniczenia i wpadł we właściwy rytm.

Zareagowała natychmiast, szybko ucząc się regularnych ruchów. Szybko – być może zbyt szybko – zaczęła eksperymentować, wypinać biodra, aby brać go jeszcze głębiej, napinać mięśnie w rozpalonym łonie, przytrzymywać go jeszcze mocniej.

To ostatnie pozbawiło go tchu, aż zakręciło mu się w głowie. Tym trudniej było mu zachować kontrolę nad ich zbliżeniem – zwłaszcza że ona sprawiała wrażenie, że chce, aby tę kontrolę utracił. Skoro już zdecydowała się na to interludium, nie widziała powodu, dla którego miałaby się teraz hamować. Jonas wcale nie był zdziwiony ani zaszokowany jej pełnym zaangażowaniem się w ich intymne zbliżenie, jej

entuzjastycznym, a nawet zachłannym pragnieniem, aby doświadczyć, nauczyć się i dowiedzieć jeszcze więcej.

Zwłaszcza o nim. Teraz jej dłonie ożyły, przesuwały się po jego piersi, ramionach, gładziły pośladki i uda. Rozpostartymi szeroko palcami zdawała się chłonąć zmysłami całe jego ciało. Nie mógł – nie chciał – jej zniechęcać, wręcz przeciwnie, lecz w efekcie jej poznawczych ruchów doznał wzmożonego podniecenia.

Poczuł, że zaraz ustąpi, zacznie robić to, czego chce Em, bez względu na własne plany.

Bez względu na rozsądek.

Oprzytomniał nieco, zdając sobie sprawę, że łatwo mu przyszło wykorzystać przyzwolenie na złączenie się z jej ponętnym ciałem, gdy czerpał zmysłową przyjemność, czując pod sobą jej jędrne kobiece kształty, giętkie członki, miękką kobiecą skórę, czując jej dłonie, które rozpalały ogień na jego skórze. Nieco trzeźwiejąc, zdał sobie sprawę z pełnego obrazu rzeczywistości – stwierdził, że ich przedłużające się intymne igraszki nie wyjdą na dobre ani jej, ani tym samym jemu, przynajmniej za pierwszym razem.

Pocałował ją głęboko, wnikając zaborczo w jej usta, przyciągając jej uwagę. Wykorzystał tę chwilę zaskoczenia, by położyć się na niej. Legł torsem na kuszących miękkich piersiach, chwycił jedną z jej rąk, którymi wciąż wodziła po jego ciele, przytrzymał ją i poprowadził dalej.

Powoli i nieuchronnie ścieżką ku spełnieniu.

Poruszali się coraz szybciej, aż zaczęła się wić, błagając całym ciałem, wymownie go ponaglając. Wolną dłoń przyłożyła do jego policzka i szczęki, pocałowała go – wargami i językiem wyrażając swe jawne żądanie, tak wyraźne i silne, że wbrew wszystkim oczekiwaniom, to ona zwolniła blokujące go hamulce.

Nagle oboje zaczęli wirować w ognistym tańcu, wić się, ściskać w zmysłowym zapamiętaniu. Walczyli ze sobą, odpychali się i przyciągali, dyszeli coraz mocniej, dochodząc razem do szczytu przyjemności.

Przeskoczyli ponad krawędzią otchłani. Ostatnim pchnięciem dodał jej skrzydeł, na których uleciała, zabierając go ze sobą.

Ku chwili niewymownej ekstazy, implozyjnej rozkoszy, doznania tak ostrego, że wbijało się jak grot, tak świetlistego, że oślepiało.

Ku chwili emocji, która w bezprecedensowy dla Jonasa sposób otuliła jego serce woalem ciepła.

Przez moment zamarli w bezruchu, sycąc się przebłyskiem kryształowej przejrzystości.

I opadli. Wrócili spiralnym lotem na ziemię, bezpieczni w swoich objęciach, ogarnięci falami cudownego doznania, które napłynęło i uniosło ich ze sobą w niebyt.

Rozdział 13

Em poruszyła się. Dlaczego pościel jest taka szorstka?

Nie otwierając oczu, zmarszczyła czoło. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego poszła spać nago, bez nocnej koszuli, w ogóle bez żadnego odzienia.

Wtedy poczuła ciepło – i ciało, z którego ono emanowało, które jej dotykało.

To nie pościel była szorstka na jej wrażliwej skórze.

Nagle wróciła jej świadomość i pamięć. Wydając cichy okrzyk, otworzyła oczy, potwierdzając to, co przed chwilą wyczuły jej zmysły.

Więc te obrazy zapisane w pamięci to nie był sen.

Leżała na plecach, a obok niej, na brzuchu, spał Jonas. Popatrzyła na umięśnione, pokryte włoskami ramię leżące w poprzek na jej piersiach, przeniosła wzrok na długą, szeroką postać, odznaczającą się dyskretnie pod narzutą. Męską postać, która leżała obok niej, zaczepiając szerokim nagim udem o jej nogę.

Czy ona naprawdę…?

Tak. Zaprosiła Jonasa Tallenta do swojego łoża, do swojego ciała. Przyszedł za nią do tego pokoju z własnej woli, zdaje się w trakcie jakiejś sprzeczki. Nie pamiętała, czego ona dotyczyła, w ogóle pamiętała bardzo niewiele z tego, co miało miejsce, zanim się odważyła na ten szaleńczy krok. Pamiętała wszystko, co było później, swoją wycieczkę w nieznane, wszystko, czego się nauczyła, wszystkie niesamowite doznania – w najdrobniejszych szczegółach…

Szczegółach, które teraz rozpraszały jej myśli.

Mrugając, zdała sobie sprawę, że minęły długie minuty, podczas gdy ona pławiła się w tym, co było… rozkoszowała się

wszystkim, co zaistniało między nimi.

To zrozumiałe, ale… co teraz?

Zaprosiwszy go do siebie, jak miała go teraz zmusić do odejścia?

Nie była pewna, co mówią o tym zasady etykiety, ale zakładała, że powinna go wyprosić. Przecież nie mógł zostać w jej sypialni do rana.

A w ogóle, która to godzina? Obok łóżka, na komodzie przy ścianie stał mały zegar; zmrużyła oczy, jednak nie mogła dostrzec wskazówek.

– Właśnie minęła północ.

Aż poderwała się, usłyszawszy niski męski głos. Natychmiast oprzytomniała, czując przypływ zdenerwowania. Szybko odwróciła ku niemu głowę.

Leżał, opierając się na poduszce, i obserwował ją. Był blisko; w świetle księżyca, które wpadało do pokoju, widziała jego twarz, lecz oczy pozostawały ciemnie – z ich wyrazu nie była w stanie nic odczytać.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Niemal triumfująco.

Już chciała zrobić zdziwioną minę, lecz on wyciągnął rękę i delikatnie powiódł palcami po bocznej stronie jej piersi. Poczuła dreszcz zupełnie innej natury, gdyż wspomnienie wywoływało teraz oczekiwania na zupełnie innym poziomie. Skupiła wzrok na jego twarzy, całą swoją uwagę na jego dłoni, na palcach wędrujących po jej piersi, które szukały, głaskały, unosiły, pieściły… niemal zaczęła się wić, pamiętając wcześniejszą rozkosz.

Oblizała wargi, zobaczyła, że skierował na nie wzrok.

– Czy nie powinieneś… wyjść? – wydusiła z siebie.

Przez moment patrzył jej w oczy, by uśmiechnąć się jeszcze szerzej. Pokręcił głową i powędrował wzrokiem niżej, tam, gdzie pod przykryciem jego dłoń wciąż pieściła, obejmowała w posiadanie jej pierś.

– Jestem właśnie tam, gdzie chcę być.

Wcale nie miał zamiaru odejść, przynajmniej do czasu, gdy ze względu na dbałość o jej reputację opuści jej sypialnię o

brzasku. Jonas nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak spełniony i usatysfakcjonowany.

Emily Beauregard należała do niego. Ponad wszelką wątpliwość, w sposób niepodlegający dyskusji.

Leżał nagi w jej łóżku, a ona razem z nim, także naga – pomimo lekkiego podenerwowania, pomimo sugestii, aby sobie poszedł, jej ciało reagowało zachęcająco na pieszczotę, nawet jeszcze mocniej niż poprzednio.

Niech niebiosa mają go w swej opiece. Zapał i ochota były głęboko zakorzenione w jej naturze. Kiedy raz się na coś zdecydowała, podejmowała dalsze działanie całym sercem, bez zahamowań.

Co dobrze wróżyło na przyszłość, na to, co się wydarzy, gdy zdecyduje się zostać jego żoną. Wydarzenia ostatniej nocy wyraźnie były dla niej pierwszym krokiem na tej nowej drodze. Ta świadomość radowała go niepomiernie, gotów był dać jej tyle czasu – i zachęty – ile potrzebowała, aby podjąć tę ostateczną decyzję.

– Ale czy nie powinieneś… – Machnęła niepewnie ręką. – Już wyjść? Przecież my… och!

Wydała ten okrzyk, gdy przesunął zaborczą rękę ku niższym partiom jej ciała. Otworzyła szeroko oczy, gdy palcem odnalazł i zaczął głaskać gładką szparkę między jej udami.

Z uśmiechem nachylił się, aby zsunąć podbródkiem narzutę i trącić czubkiem nosa sterczącą pierś.

– Później.

Zawahała się, w końcu poczuł, jak skinęła głową.

– Dobrze – wyszeptała. – Później…

Zobaczył, jak zamknęła powieki, poczuł, jak lekko uniosła biodra, gdy wsunął palec głębiej w rozgrzane gniazdko. Pieścił ją delikatnie, badając reakcję, a ona poruszyła się niespokojnie, łapczywie nabierając powietrze, zaciskając mocno dłonie na jego ramionach.

Nie potrzebował bardziej wyrazistego zaproszenia. Cofnąwszy rękę, nachylił się nad Em, rozsunął jej uda i usadowił się między nimi. Zauważył, że przygryzła dolną

wargę, aby stłumić jęk. Wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem, a ona… przegrała tę bitwę.

Jej gwałtowny oddech, ciche pojękiwania podniecały go jeszcze bardziej.

Ten akt był zdecydowanie bardziej zaborczy. Em była z nim, grzeszna i chętna, lecz tym razem wydawała się zadowolona z faktu, że to on przejął inicjatywę – i chętnie dała się poprowadzić, nieustannie obserwując, badając, ucząc się.

Nie tylko samego uprawiania miłości, ale też sposobu, w jaki on robił to z nią.

Gdyby był w stanie zachować zimną krew, ukryć swe emocje, które objawiły się z pełną siłą w świetle księżyca, gdy przyjęła go do siebie, a on doprowadził ją do wzajemnego upojenia, na pewno nie okazałby swych odczuć, lecz pod wpływem niesamowitych doznań utracił zdolność do skrywania swych reakcji – nie przed nią, lecz przede wszystkim przed samym.

Z żadną inną kobietą nigdy nie zaznał tego, co odczuł do niej – i z nią. Nigdy dotychczas miłość fizyczna nie znaczyła dla niego tak wiele, nie była tak bardzo na miejscu. Teraz wiedział, że Em jest jego przeznaczeniem.

Wchodził w nią coraz głębiej, z coraz większą siłą, a ona reagowała gorąco, obejmując go, trzymając kurczowo, aż w końcu rozpłynęła się w rozkoszy, a on spełnił się tuż po niej.

* * *

Em obudziła się rano – sama. Uniosła głowę i rozejrzała się po sypialni, lecz Jonasa tam nie było.

Spojrzała na łóżko – na stłamszoną pościel, skręconą narzutę… i uśmiechnęła się.

Z westchnieniem opadła z powrotem na poduszki i rozpromieniona popatrzyła na sufit. Co za ekscytująca, pasjonująca, niesamowita noc… którą spędziła w jego ramionach. Odpowiedział na wszystkie jej pytania o uprawianiu miłości, w pełni zademonstrował, czym jest owo

„coś”, ta ich wzajemna fascynacja, co to oznacza, dokąd prowadzi…

Zmarszczyła brwi. Teraz stała się upadłą kobietą. Czy powinna się czuć… przygnębiona? Winna? A przynajmniej czy powinna żałować?

Zrobiła rachunek sumienia i nie doszukała się żadnego z tych odczuć. Zamiast tego… była uradowana, jakby spacerowała w słoneczny dzień pod bezchmurnym błękitem nieba.

Jednak im dłużej o tym myślała, tym bardziej docierały do niej konsekwencje tego, co zdarzyło się w nocy, tym bardziej zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jej radość jest oderwana od rzeczywistości, od prawdy, jak bardzo jest zwodnicza.

Przyjechała do Colyton, aby odnaleźć rodzinny skarb. Udawała, aczkolwiek niezbyt fortunnie, zawodową oberżystkę, aby pod tą przykrywką szukać wspomnianego skarbu. Jej plan nie obejmował roli kochanki pracodawcy ani też nikogo innego.

Co gorsza, jak przez mgłę przypomniała sobie, że gdy Jonas położył się na niej drugi raz, a ona leżała spełniona i cudownie bezbronna, usłyszała – albo zdawało się jej, że usłyszała – jego słowa: „Jesteś moja. Cała moja”.

Kłopot polegał na tym, że…

Skrzywiła się, odrzuciła na bok pościel, po czym wstała, ignorując swoją nagość. Odszukała szlafrok, narzuciła go i zawiązała pasek, po czym energicznie zaczęła się szykować do kolejnego dnia zajęć. Usłyszała głos Hildy i jej dziewcząt, krzątających się w kuchni.

Myjąc się i ubierając, starała się przywołać z pamięci ten najbardziej odkrywczy moment, chciała odtworzyć to doznanie. Bezskutecznie.

Poprawiła włosy, zrobiła do lustra poważną minę, w końcu wstała i skierowała się do drzwi.

Problem w tym, że nie pamiętała, czy rzeczywiście wypowiedział tamte słowa, czy też sama tak intensywnie o nich myślała, że usłyszała, jak dzwonią w jej głowie.

Kiedy tylko opuściła swoje pokoje, natychmiast wpadła w wir spraw – zawodowych i rodzinnych. Nie miała czasu, aby rozmyślać o przyczynach i celach, nie mówiąc już o możliwych skutkach tej grzesznej nocy. Energicznie zajęła się pracą, zarządzaniem, wydawaniem poleceń, podejmowaniem decyzji oraz – o dziwo – przyjęciem pierwszych od podobno pięciu lat gości pobytowych.

– Dowiedziałem się w Exeter, że Pod Czerwonym Dzwonkiem znowu działa jako zajazd – powiedział jeden z podróżnych, niejaki Dobson. – Kiedyś, przed laty, często się tu zatrzymywałem. Co kilka miesięcy przejeżdżam tą drogą. Pomyślałem, że warto znowu spróbować, zwłaszcza gdy usłyszałem o doskonałej kuchni.

Em uśmiechnęła się zapraszająco.

– Bardzo nam miło, że pan do nas zawitał. Mary zaprowadzi pana do pokoju. Zaraz też przyniosą pańskie bagaże. Jakby pan potrzebował czegoś jeszcze, proszę powiedzieć Edgarowi.

Mężczyzna dotknął palcem brzegu kapelusza i poszedł za Mary – jedną z dwóch dziewcząt z pobliskich farm, zatrudnioną przez Em do sprzątania pokoi i wykonywania obowiązków pokojówki na piętrze. Pod jej kierunkiem obie dziewczyny oraz trzy praczki ciężką pracą doprowadziły pokoje gościnne do stanu używalności. Em była mile zaskoczona efektami tych działań. Teraz należało się przekonać, jak nowi oraz dawni goście zareagują na pobielone ściany, czystą wykrochmaloną pościel, świeżo wypchane poduchy i materace. Zasłony i obicia mebli także wymagały gruntownego czyszczenia. W sumie dopiero po tygodniu intensywnej pracy Em była zadowolona z wyglądu czterech pokoi przylegających do frontowej ściany zajazdu – tyle dotychczas zdołali otworzyć i przeznaczyć pod wynajem.

Ranek spędziła na rozmowach z mieszkańcami, pilnowaniu realizacji zamówień, witaniu kolejnych gości. O jedenastej, po tym jak Mary zaprowadziła do trzeciego z przygotowanych pokoi starsze małżeństwo podróżujące po kraju, Em zaproponowała jej, by nazajutrz przyprowadziła siostrę, aby

można było szybciej uporządkować pozostałe pokoje gościnne. Boże broń, gdyby musiała odesłać z kwitkiem potencjalnego klienta! Ponieważ każdy z nocujących korzystał także z posiłków i napojów oferowanych w gospodzie, zwiększone zyski z nawiązką rekompensowały zatrudnienie dodatkowych osób.

Zapamiętała sobie, aby koniecznie powiedzieć Jonasowi – swemu pracodawcy – o zwiększonej liczbie personelu. Nie chcąc dopuścić, aby nachodziły ją wspomnienia ostatniej nocy, postanowiła przestać o nim myśleć. Stając w korytarzu przed kantorem, rozejrzała się po głównej sali. Z zadowoleniem stwierdziła, że jest pełna gości, zwabionych aromatem cynamonowych bułeczek Hildy.

Już miała wycofać się do kantoru, gdy do gospody wszedł nowy przybysz. W ręku trzymał podróżną torbę, stanął tuż za progiem i powoli rozejrzał się dookoła, szybko orientując w sytuacji.

Obecni w gospodzie nie pozostali mu dłużni. Mężczyzna przyciągał wzrok, był atrakcyjny – szczególnie dla kobiet, siedzących po drugiej stronie sali.

Po spojrzeniach, jakimi obrzucali go miejscowi, Em zorientowała się, że mężczyzna mysi być tu obcy. Był dość wysoki, dobrze zbudowany, miał czarne włosy na tyle długie, że potargały się na wietrze, oraz kształtną, lecz pobrużdżoną, opaloną twarz. Zerknęła na również opaloną dłoń, w której trzymał torbę. Odgadła, że musiał być kiedyś marynarzem.

Nie był starym wilkiem morskim, lecz na oko dobiegał czterdziestki. Ubranie świadczyło o tym, że nie najmował się do pracy jako służący. Granatowy surdut był ładnie skrojony, pod spodem nosił gładką kamizelkę i prosty fular. Spodnie miały tę samą barwę co surdut, lecz były z grubiej utkanego materiału. Em rozpoznała, że musiał je uszyć prowincjonalny krawiec. Mężczyzna bez wątpienia pochodził z jednego z sąsiednich hrabstw, miał też w sobie coś, co powstrzymało ją od określenia go w myślach mianem dżentelmena.

Skończywszy oględziny, przybysz pochylił się i podniósł płaską, kanciastą paczkę o dziwnym kształcie, którą przed chwilą postawił na ziemi koło drzwi. Wziął ją pod ramię i – w drugiej ręce dzierżąc torbę – podszedł do baru. Na powitanie kiwnął Edgarowi głową.

– Dzień dobry. Słyszałem, że macie pokoje. Jeśli można, chciałbym wynająć jeden z nich.

Edgar, który właśnie nalewał piwo do kufla, odpowiedział mu skinieniem głowy.

– Tak, chyba znajdzie się dla pana miejsce. – Zerknął pytająco na Em.

Uniósłszy podbródek, wyszła z cienia i stanęła koło baru. Na jej widok mężczyzna wyprostował się, a ona obdarzyła go uśmiechem. Mijając Edgara, wyjęła spod lady rejestr, stanęła przed gościem i położyła księgę między nimi na blacie.

– Dzień dobry panu. Ma pan szczęście, jest jeszcze jeden wolny pokój.

Zobaczyła, że ma szaroniebieskie oczy, którymi spoglądał na nią badawczo, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech.

Był naprawdę całkiem przystojny. Ciekawe, dlaczego jej zmysły w ogóle się nie obudziły. Zapewne były zmęczone za sprawą Jonasa.

Z przyjazną miną otworzyła rejestr.

– Jak brzmi pana nazwisko? – spytała, wskazując kolumnę, do której powinien je wpisać.

– Hadley. William Hadley. – Wziął ołówek przywiązany sznurkiem do księgi i wypełnił odpowiednie miejsce w tabeli, podpisując się obok.

Em uzupełniła bieżącą datę.

– Jak długo zamierza pan u nas zostać, panie Hadley?

Uniosła głowę, oczekując odpowiedzi w rodzaju „dzień lub dwa”.

– Na początek chciałbym wynająć pokój na tydzień. – Spojrzał jej w oczy, gdy zamrugała z niedowierzaniem. – Czy to nie będzie problem?

– Ależ nie – zapewniła go pospiesznie. – Goście na dłuższy okres są zawsze mile widziani. – O ile płacą. – Szybko obliczyła w myślach należność. – Wobec tego poprosimy o opłacenie z góry za cztery noclegi. – Podała kwotę.

Hadley bez wahania wyjął skórzaną sakiewkę i odliczył pieniądze.

Wzięła je i, przekonawszy się, że gość nie jest oszustem, uśmiechnęła się bardziej naturalnie.

– Pewnie ma pan coś do załatwienia w okolicy?

On także się rozluźnił.

– W pewnym sensie. – Wskazał gestem swój pakunek o dziwnym kształcie. – Jestem artystą. Podróżuję po kraju i rysuję stare zabytki. Słyszałem, że warto obejrzeć tutejszy kościół, podobno są tam jedne z najświetniejszych antyków w kraju.

– Naprawdę? – Em słyszała już, że rzeźby w kościele są doskonale wykonane, liczne z nich bardzo misterne. Uśmiechnęła się jeszcze promienniej. – Wobec tego mam nadzieję, że pański pobyt u nas okaże się przyjemny i udany. Mary – wskazała gestem pokojówkę, która nadbiegła i dygnęła – zaprowadzi pana do pokoju. Jeśli będzie pan sobie życzył czegoś jeszcze, proszę powiedzieć komuś z obsługi.

– Dziękuję, tak zrobię. – Hadley skłonił się uprzejmie, podniósł torbę i paczkę, w której Em rozpoznała teraz kształt złożonej sztalugi, po czym ruszył za idącą już po schodkach Mary. Dziewczyna miała zarumienione policzki.

Idący jej śladem Hadley zauważył, że jest zupełnie otwarcie obserwowany przez różne kobiety siedzące po tej stronie sali. Uśmiechnąwszy się, złożył im grzeczny ukłon.

– Witam panie.

W reakcji na jego głęboki głos kilka kobiet nieznacznie kiwnęło głowami, inne bardziej wtuliły głowy w ramiona bądź po prostu patrzyły na niego.

Hadley zaczął wchodzić po schodach za Mary. Zebrana widownia obserwowała go w milczeniu; dopiero gdy znikł z widoku w korytarzu na piętrze, salę wypełnił gwar ożywionych rozmów.

Em zauważyła to, lecz bardziej myślała o ciekawej uwadze, jaką wcześniej wypowiedział. Jeśli ich kościół rzeczywiście tak bardzo przyciągał artystów – zwłaszcza tych, którzy parali się rysowaniem szkiców, a było to także ulubionym zajęciem licznych kobiet – to być może ona i jej pracodawca powinni rozważyć, jak przyciągnąć uwagę grup artystów. Zabytki znajdujące się we wnętrzu można było rysować przez cały rok. Rozmyślając o korzyściach wynikających z napływu klientów, którzy przyjeżdżaliby w tę okolicę bez względu na porę roku, Em udała się do swojego kantoru.

* * *

Reszta dnia minęła jej nie tak przyjemnie.

Tuż po tym jak skończyli serwować lunch, w gospodzie zjawił się Harold. Zamówił piwo i usiadł w tylnej części baru – spoglądając spode łba na Em, gdy tylko pojawiła się w polu widzenia.

Oscar zaproponował, że wyrzuci go za drzwi – Em zastanowiła się, jednak nie podchwyciła pomysłu. Wolała mieć Harolda na oku, niż pozwolić, aby skradał się gdzieś za jej plecami.

Wciąż tam siedział, gdy bliźniaczki zeszły po popołudniowej lekcji z Issy, która zauważyła go już na schodach i zręcznie odwróciła ich uwagę obietnicą babeczek, dzięki czemu od razu udały się do kuchni. Tam Issy pozostawiła siostry pod bacznym okiem Hildy, a sama poszła do kantoru, aby porozmawiać z Em.

Która właśnie siedziała nad otwartą księgą zamówień.

– Tak, wiem, że on tam jest. – Uniosła wzrok znad biurka, kiwając głową.

Issy była wyraźnie zaniepokojona i jakby nieswoja.

– Jesteś pewna, że mogę iść na spotkanie z Joshuą? Nie muszę, jeśli potrzebujesz mnie tutaj.

Em zamknęła księgę.

– Nie. Idź. Ja zostanę z naszymi diabliczkami i dopilnuję, żeby nie narozrabiały.

Issy zazwyczaj chodziła do probostwa, gdy tylko skończyła zajęcia z siostrami; tam spotykała się z Henrym i Joshuą, spędzała trochę czasu z wikariuszem na ganku, podczas gdy Henry jeszcze kończył pracę, a w końcu oboje wracali do zajazdu.

Było to absolutnie niewinne i zrozumiałe, poza tym Issy należała się chwila wytchnienia i przyjemności po całodziennej opiece nad bliźniaczkami.

Emily wstała.

– No, uciekaj – wygoniła ją. – Damy sobie radę.

Issy zrobiła zasępioną minę.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna. Idź już! – Spojrzała srogo na młodszą siostrę. Issy roześmiała się i opuściła kantor.

Em wyszła za nią na korytarz, gdzie zatrzymała się i patrzyła, jak Issy, ignorując Harolda – a może, sądząc po uśmiechu, tak była pogrążona w przyjemnych myślach, że wcale go nie zauważyła? – przeszła przez salę i wydostała się na zewnątrz.

Stojąc w cieniu, który dawał jej ukrycie – korytarzyk okazał się bardzo pożytecznym punktem obserwacyjnym – Em przyglądała się wujowi do chwili, aż uzyskała pewność, że ten nie pójdzie za jej siostrą.

Z ulgą udała się, aby podjąć kolejne zadanie, którym było wynalezienie zajęcia dla bliźniaczek.

Wbrew temu, co myślała Issy, dziewczynki spostrzegły Harolda. Em spędziła następne godziny na wymyślaniu różnych sposobów, aby siostrzyczki nie wybiegły do głównej sali, gdzie zwykle przebywały późnym popołudniem – zasiadały przy kominku, przysłuchując się plotkom starszych kobiet i dodając kolorytu swoimi anielskimi twarzyczkami.

Niemalże doprowadziły ją do obłędu, ale w końcu zwyciężyła. Nie obyło się jednak bez gorzkich myśli o właścicielach gospód, którzy mogliby cokolwiek pomóc, gdyby wpadli na pomysł, aby się pojawić.

Zdziwiła się, że Jonas nie przyszedł tego wieczoru do gospody. Przyzwyczaiła się już do jego obecności – zwykle siadał w rogu

baru z kuflem piwa, który wystarczał mu na cały wieczór, rozmawiał z gośćmi, jednak zawsze podążał za nią wzrokiem, gdy tylko pojawiła się na horyzoncie. Brakowało jej tego spojrzenia, tylko tyle; powiedziała sobie, że to właśnie jest przyczyna jej narastającego i uporczywego niepokoju, poczucia, że coś jest nie w porządku, które towarzyszyło jej przez cały wieczór.

Harold w końcu wyszedł, po spożyciu sutej kolacji i butelki czerwonego wina. Za każdym razem, gdy patrzyła w jego kierunku, obrzucał ją wrogim spojrzeniem. Z niezadowoleniem stwierdziła, że wrócił do gospody po pewnym czasie, gdy pozostało już niewielu gości. Zawołał, by podano mu szklaneczkę whisky. Edgar zerknął na Em, a gdy skinęła głową, przyjął zamówienie. Dobrze wiedziała, jak Harold reaguje na trunki – szklaneczka na pewno nie uderzy mu do głowy.

Tak też się stało, lecz… poczuła się jeszcze bardziej nieswojo, gdy zauważyła, że przestał śledzić ją wzrokiem, a zaczął zwracać uwagę na pozostałe osoby.

Czekał, aż wyjdą… aby pozostać z nią sam na sam. A właśnie dzisiaj jej szlachetny rycerz był nieobecny.

Gdy zbliżała się pora zamknięcia gospody, Em zaczęła rewidować swoją opinię na temat opiekuńczych dżentelmenów. Była coraz bardziej spięta, czekała, aż ostatni goście wyjdą, czekała na ruch, jaki wtedy wykona Harold. Co zrobi tym razem? Jednak w końcu plan Harolda został zniweczony przez grupę mieszkańców, którzy przejrzeli jego grę i zrozumieli, że zamierzał przeczekać, aż sobie pójdą. Wobec tego sami przystąpili do działania. Pod wodzą czasem gadatliwego, a czasem wojowniczego Oscara otoczyli Harolda, zaproponowali, że postawią mu piwo, aby mógł dołączyć do ich wesołej kompanii, a gdy odmówił, zaczęli mu opowiadać ciekawe historyjki z ich życia.

Gdy stało się jasne, że będą tak gawędzić do późnej nocy, a nawet do śmierci, Harold w końcu skapitulował i rozzłoszczony wyszedł.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Em podziękowała nieoczekiwanym wybawcom i obiecała kolejkę na koszt firmy następnego wieczoru. Kiedy już sobie poszli, Edgar zamknął gospodę i sam uczynił to samo.

Kiedy Em została sama, odetchnęła głęboko, zgasiła ostatnią lampę i ruszyła na górę.

Do swojego pokoju, pustego pokoju, i do pustego łóżka.

Wchodząc po schodach mówiła sobie, że tak właśnie powinno być. Zawsze.

Pewna część jej duszy – ta rodem z Colytonów – była niezadowolona, dąsała się. Em weszła do saloniku, zamknęła drzwi, wzięła zapaloną świecę, którą Issy zostawiła dla niej na komodzie, po czym skierowała się do sypialni. Nie chciała, aby ta myśl nawet powstała w jej głowie, jednak nie była w stanie wyzbyć się świadomości, że ten wieczór byłby dla niej o wiele mniej męczący, gdyby na miejscu przebywał Jonas.

Czułaby się o wiele bezpieczniej, bardziej pewna siebie – bez lęku i niepokoju.

Z grymasem na twarzy usiadła przy toaletce, zapaliła dwie świece po obu stronach lustra i zaczęła wyjmować spinki z włosów. Tego ranka musiała szukać ich wszędzie, gdyż były porozrzucane na łóżku i na podłodze.

Właśnie rozpuściła włosy i rozczesywała je palcami, gdy usłyszała skrzypienie na schodach.

Serce skoczyło jej do gardła, lecz po chwili do jej uszu dobiegły czyjeś zdecydowane kroki, a Em przypomniała sobie, że przecież teraz mają w zajeździe gości. Być może jeden z nich zszedł … tylko po co?

Zanim zdążyła wyobrazić sobie jakieś czarne scenariusze, usłyszała ciche pukanie w drzwi salonu.

Marszcząc czoło, stanęła w przejściu między sypialnią a salonem, a wtedy drzwi z korytarza otworzyły się i…

Do środka wszedł Jonas.

Zobaczywszy ją, uśmiechnął się, zamknął za sobą drzwi na klucz i podszedł do Em.

Zamrugała, otrząsając się z zaskoczenia.

– Co ty tu robisz? – spytała, kiedy się zbliżył.

Stanął przed nią, unosząc brwi, położył dłonie na jej biodrach i pokierował nią z powrotem do sypialni. Zrozumiała, co się dzieje, spróbowała zaprzeć się obcasami, lecz nie zdążyła, oboje bowiem znaleźli się już w pokoju.

Butem zamknął za nimi drzwi i popatrzył na nią łagodnie.

– A gdzież miałbym być?

Spojrzała wymownie na zegar.

– Może w którymś z pokoi w Grange?

Pokręcił głową. Odwrócił się z uśmiechem, zrzucił surdut, starannie powiesił go na oparciu krzesła.

– Czas do łóżka.

– Właśnie! – Podeszła do krzesła i na wyciągniętej ręce podała mu okrycie. – Powinieneś pójść do domu, do swojego pokoju i do swojego łóżka.

Popatrzył na surdut, potem na jej twarz – cały czas rozpinając sobie mankiety koszuli.

– Wolę ten pokój. I twoje łóżko. Obecnie ma ono wielką zaletę w porównaniu z moim. – Uporawszy się z mankietami, zabrał się za guziki.

Przyglądała się, jak przesuwa palce wzdłuż rzędu guzików… zrozumiała, co się dzieje, skupiła się i zmusiła do myślenia.

– Jaką zaletę? – spytała.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Twoje łóżko ma ciebie.

Zmrużyła powieki, upuściła surdut z powrotem na krzesło. Tymczasem Jonas rozpiął guziki, po czym zdjął apaszkę i koszulę.

Em otworzyła szeroko zdumione oczy.

Jonas!

Rzucił ubranie na krzesło.

– Słucham? – Wciąż patrzył na nią łagodnie, lecz w ciemnych oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

Zaczerpnęła głęboko powietrza – co było trudne, zważywszy na jej reakcję na piękne męskie ciało – wycelowała palcem w jego pierś i zatoczyła gest obejmujący sypialnię.

– Nie możesz… nie możemy… nie powinieneś być tutaj.

– Dlaczego?

– Ponieważ mimo tego, co się wydarzyło ostatniej nocy, tak nie może być. Nie będę twoją kochanką. – Nie miała czasu, aby wszystko sobie przemyśleć, ale tego jednego była pewna.

– Oczywiście, że nie. – Usiadł na krześle, zaczął zdejmować buty i pończochy. – Całkowicie się z tobą zgadzam.

Patrzyła na niego.

– Ale… jeśli nie mam być twoją kochanką, co tu robisz?

Uniósł brew.

– Myślałem, że po ostatniej nocy sama znajdziesz odpowiedź na to pytanie.

Była kompletnie zagubiona, ale nie zamierzała się poddać – ani jemu, ani swojemu niecierpliwemu pożądaniu. Skrzyżowała ramiona na piersi, spoglądając na niego surowo.

– Zdaję sobie sprawę, że ostatnia noc mogła dać ci mylne wrażenie, ale nie zgadzam się na rolę okazjonalnej kochanki.

Już otworzył usta, aby jej odpowiedzieć, lecz uciszyła go, podnosząc dłoń.

– Nie. Posłuchaj mnie. Bez względu na wszelkie inklinacje, to, co jest między nami, po prostu nie ma racji bytu. Nie możemy zaspokajać swoich żądz, gdy nam się zechce.

Spojrzał na nią pytająco, lecz ona wciąż wbijała w niego stanowczy wzrok, mocniej zaciskając ramiona pod biustem.

– Doskonale wiesz dlaczego. Moja reputacja ległaby w gruzach, a ponieważ jest to bardzo mała miejscowość, ty również nie pozostałbyś bez skazy. Ponadto oboje staramy się przywrócić zajazd do poprzedniej świetności, a każdy skandal natychmiast zniechęciłby wszystkie klientki, jakie udało się nam pozyskać. Bez względu na nasze odczucia, nasza reputacja oraz renoma gospody są zbyt ważne, nie tylko dla nas, ale też dla wielu innych osób, aby tak lekkomyślnie ryzykować.

Popatrzył na nią uważnie, po czym dość ozięble pokiwał głową.

– To prawda.

Zdumiała się jego lakoniczną wypowiedzią.

– Więc zgadzasz się ze mną?

– Nie powiedziałaś niczego, o czym bym wcześniej sam nie pomyślał.

Tym razem nie ukrywała zdziwienia.

– Więc dlaczego tu jesteś?

Ściągnął usta, spuścił na chwilę wzrok. Wstał.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako mojej kochanki, a tym bardziej okazjonalnej kochanki. Wszystko, co powiedziałaś, to absolutnie prawda, lecz przecież istnieje proste rozwiązanie, które pozwoli nam zaznawać przyjemności, a jednocześnie zachować reputację.

Spróbowała odgadnąć, co miał na myśli, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

– Jakie rozwiązanie?

Spojrzał jej prosto w oczy pociemniałymi oczami.

– Wystarczy, że za mnie wyjdziesz, a wszystko będzie dobrze.

Mówił niby rzeczowym tonem, lecz pod tym płaszczykiem gotowały się emocje.

– Wyjść za ciebie… – Już wcześniej wybałuszała na niego oczy, lecz teraz czuła, że zaraz wyjdą jej z orbit. – Miałabym wyjść za ciebie? Ale… ale… – Ujrzała w jego oczach wielką siłę, niezłomność, którą zauważyła już przedtem. Poczuła oszołomienie, nie mogła zebrać myśli. Powiedziała to, co pierwsze przyszło jej do głowy.

– Mówisz poważnie?

Zmrużył powieki, aż między nimi pozostały tylko cienkie szparki.

– Zawsze mówiłem poważnie.

Ujrzał jej zdumienie, które bez wątpienia nie było udawane. Poczuł narastające emocje.

– Jestem śmiertelnie poważny. A ty myślałaś, że jaki był cel moich starań o twe względy?

Zamrugała, szukając odpowiedzi w jego oczach.

– Namiętność. Pożądanie. Instynktowna żądza. Skąd miałam wiedzieć, że chodzi ci o małżeństwo? – Rozłożyła szeroko ramiona. – Przecież zarządzam twoją gospodą, na litość boską!

– Powinnaś wiedzieć, ponieważ mówiłem ci, że zabiegam o twoje względy. – Zacisnął zęby. – Powiedziałem także, że dżentelmeni, tacy jak ja, nie uwodzą oberżystek. – Wycelował palec prosto w jej nos, aż cofnęła się o krok. – I nie powtarzaj mi, że jesteś tylko kobietą, która zarządza moją gospodą! Wszyscy już wiedzą, że jesteś damą, która tylko czasowo objęła posadę oberżystki, zapewne uciekając przed wujem Haroldem, co jest jak najbardziej zrozumiałe. Nikt nie wierzy, że naprawdę to jest twoja profesja, bo nie jest.

Wbił w nią wzrok, a jej jasne, pełne niepewności oczy nie próbowały spoglądać w innym kierunku. Wyraz twarzy jeszcze bardziej podkreślał, że jest kompletnie zaskoczona, zdezorientowana. Naprawdę nie miała pojęcia… i teraz nie wiedziała, jak ma zareagować.

To dało mu chwilę na zastanowienie. Odmowa w reakcji na jego ślubną propozycję nie mieściła się w planie Jonasa.

Sama myśl przygasiła jego zapał. Nie chciał jej wystraszyć, rozsądnie powstrzymał się przed wywieraniem na nią nacisku, aby z czystego uporu nie odrzuciła jego propozycji. Gdyby tak się stało, czułaby się w obowiązku wytrwać przy swoim zdaniu, a wtedy Jonas miałby o wiele twardszy orzech do zgryzienia. Nakłonienie jej, by podjęła decyzję na jego korzyść, to jedno, lecz nakłonienie jej do zmiany już powziętej decyzji byłoby o wiele trudniejszym zadaniem, którego nie chciałby się podejmować.

Wyprostował się i westchnął przeciągle.

– Em… – Urwał, nagle spojrzał na nią pytająco. – Emily czy to twoje prawdziwe imię?

Po chwili skinęła głową.

– A Beauregard?

– Nazwisko również jest prawdziwe – odparła, unosząc dumnie głowę.

Tyle że to nie było jej nazwisko. Em poczuła się tak, jakby przeszłą z jednej rzeczywistości w zupełnie inną. Małżeństwo? Przypominała sobie ich spotkania, wszystko, co on mówił,

dlaczego więc myślała… hm, musiała przyznać, że, owszem, cały czas mógł mieć na myśli małżeństwo, ale…

Nabrała pewności siebie i ponownie skrzyżowała ramiona na piersi – w tej pozycji czuła się zdecydowanie bezpieczniej – po czym spojrzała na Jonasa z wyraźnym zdziwieniem na twarzy.

– Nigdy nie powiedziałeś tego wprost. Gdybyś wypowiedział to słowo, lub inne związane z ożenkiem, wiedziałabym.

Jej zasadniczy ton rozzłościł go.

– Tak, no cóż… – Skrzywił się. – Od samego początku wiedziałem, że pragnę małżeństwa, ale… nie od razu zaakceptowałem ten wniosek. Ta myśl kiełkowała w mojej głowie, ale nie chciałem się do tego przyznać, nie chciałem ubrać jej w słowa przed tobą, a nawet przed sobą. Dopiero tydzień temu zrozumiałem, że nie ma sensu z tym walczyć ani udawać, że moje intencje są inne. – Stanął tuż przed nią, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. – Ale naprawdę chcę się z tobą ożenić, i to zawsze było moim celem. – Ponownie zacisnął szczęki. – A…

– A ja, wiedząc, że jesteś honorowym dżentelmenem, błędnie wyobrażałam sobie, że masz inne intencje. – Skinęła głową, przyjmując jego przyganę i usprawiedliwiony gniew. – Ale… – Szybko przywołała w pamięci ich wcześniejsze spotkania, by po chwili powrócić do rzeczywistości. – Przyznaję, że zachęcałam cię, lecz ty mnie uwiodłeś.

– Tylko dlatego, że zamierzam cię poślubić. – Powoli chwycił ją za jeden nadgarstek, potem za drugi, rozprostował jej ramiona wzdłuż ciała. – Myślałem, że być może potrzebujesz pomocy w podjęciu decyzji, a ponieważ zamierzamy się pobrać, nie ma nic złego w oddaniu się przyjemnościom, jeszcze zanim zabrzmią weselne dzwony.

Znów spojrzała na niego zimno, gdy puścił jej ręce, ujął za talię i przyciągnął ku sobie.

– Więc to… to… – Pod wpływem tego dotyku, bliskości, obietnicy poczuła przyspieszone bicie serca, poczuła jego pożądanie. – Więc to było po to, aby mnie przekonać?

Przybliżył usta do jej ust.

– Między innymi.

Nie była pewna – nie była pewna niczego, co miało związek z nim, a tym bardziej z nimi – lecz ten pocałunek wchłonął ją. Jonas rozchylił jej wargi, odszukał językiem jej język, kusił… a ona znowu poddała się chwili, gotowa ręka w rękę z nim zdążać ścieżką wiodącą ku przyjemności.

W tej chwili wszystko wydawało się naprawdę proste. Był on, była ona, a między nimi szalał ogień, który tak naprawdę nigdy nie przygasał. Podsycał go sam dotyk, pojedyncza pieszczota, jego otwarta dłoń, wędrująca od jej szyi ku piersi, gdzie zatrzymała się, aby ją objąć, posiąść, po chwili zeszła niżej na naprężony brzuch, a potem tam, gdzie łączyły się jej uda.

Była zgubiona, rzucona w spienione odmęty gorącego oceanu pożądania – jej i jego. Coraz mocniej tkwiła w okowach namiętności, która wywoływała pragnienie i żądzę, wymuszała posłuszeństwo.

Już po chwili ich ubrania wylądowały na podłodze; nieważne, kto je rozpiął, kto je zrzucił; nagle ważne stało się to, aby skóra dotykała skóry – pragnienie, które ogarnęło w równym stopniu ich oboje. Byli nadzy, zaciskali palce, trzymali się kurczowo; przyciskając się do niego, Em jakby chciała połączyć ich ciała, wynosząc jego namiętność na nowe wyżyny.

Stali nadzy na środku pokoju, a wpadające światło księżyca oblewało ich rozgrzane ciała chłodną, srebrzystą poświatą. Oderwał od niej usta, cofnął się, chwycił ją za biodra i uniósł.

– Obejmij mnie nogami w pasie.

Wypowiedział te słowa głębokim, gardłowym głosem. Dopiero po chwili pojęła ich sens i natychmiast spełniła jego prośbę.

A on posadził ją na swojej męskości, tak jakby nadział ją na pal.

W srebrzystym świetle księżyca zamknęła oczy, z cichym jękiem odchyliła głowę do tyłu. Poczuła, jak Jonas pociąga ją jeszcze bardziej w dół, nieubłaganie coraz głębiej – a ona z własnej woli zanurzała się coraz niżej i niżej, obejmując go ciałem, pragnąc poczuć się wypełniona, spełniona.

Pragnęła go. Potrzebowała go.

Czerpała rozkosz, czując go w sobie.

Objęła go mocno, a po chwili usłyszała w myślach echo słów: „moja, cała moja”. Tym razem poznała, że to przemówiła jej lekkomyślna, lecz w tej chwili bardzo zadowolona dusza Colytonów.

Wtedy spłynęła na nich fala ognistej namiętności, która buchnęła płomieniem, przeniknęła ich, wdarła się w ich żyły, nerwy, rozeszła się pod skórą, więc Em nie miała czasu, aby pomyśleć.

Mogła jedynie przylgnąć do jego ust, objąć go mocno ramionami i przycisnąć do siebie. Z rozkoszą witała sugestywne ruchy jego języka, którym znowu potwierdzał władzę nad jej ciałem, niesamowicie erotyczne ruchy bioder, którymi wypełniał jej wilgotną pochwę.

Wchodził w nią rytmicznie, a ona mogła tylko upajać się przyjemnością. Rękami obejmował ja w biodrach, więc nie mogła się poruszyć inaczej niż tylko w jego kierunku. Mogła tylko wydawać ciche okrzyki, trzymać się go kurczowo, pojękiwać, gdy Jonas nasuwał ją na siebie, aby penetrować jeszcze głębiej, a po chwili płycej, wyzwalając kolejne wiry namiętności, spowalniając nieuniknioną podróż do punktu, gdy jej zmysły pogrążą się w rozkoszy…

Tymczasem on zmagał się, walczył, aby ją powstrzymać, okiełznać rozbudzoną wygłodniałą bestię. Już wcześniej doświadczył, jak reagują jej zmysły, więc ponieważ zamierzał ją przekonać do swych planów, postanowił tym razem nie skorzystać z łóżka.

Ona lubiła… przygodę. Nowe rzeczy, pozycje, jeszcze bardziej intensywne i erotyczne bodźce, niezbadane obszary… a on był przygotowany, aby zaspokoić jej oczekiwania. Od ich pierwszego pocałunku wyczuł – zaobserwował i rozpoznał – ten element szaleństwa, zuchwałej odwagi, umiejętności, a nawet tendencji, by całkowicie i bez zastrzeżeń zatracić się w nowym doświadczeniu.

W jej wypadku skuteczna perswazja polegała na inwencji, na pokazaniu jej czegoś, co mogłoby ją skusić. Najpewniejszym sposobem na realizację zamierzonego przez Jonasa planu było odkrycie przed Em horyzontów, jakie mogła zbadać razem z nim – tylko z nim – i pokolorowanie ich żywymi barwami.

Nie musiał się zastanawiać, aby to zrozumieć; wiedza była w zasięgu ręki, w zasięgu instynktownego pojmowania.

W końcu przekonał się, że wybrał właściwą drogę, gdy doprowadził ich oboje na szczyt uniesienia. Przekonał się, że fizyczne zawładnięcie Em, pełne i absolutne, także było sposobem, aby ją posiąść na dobre.

Uczynić Em swoją żoną i kochanką – którą mógłby przytulać, wziąć pod swoje skrzydła, której mógłby bronić.

Kiedy doszła w jego ramionach, on wydał z siebie cichy okrzyk, który zdusił na jej wygiętej szyi, i pozwolił sobie ulżyć, wytrysnąć głęboko w jej rozgrzane ciało – jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze z żadną kobietą.

Nigdy dotychczas nie zaznał takiej satysfakcji.

Nigdy dotychczas nie czuł się tak całkowicie spełniony.

Rozdział 14

Emily zrozumiała, że perswazja może przybrać różne formy. Jonas widocznie uznał, że ekstaza jest mocnym argumentem, a ona sama nie wiedziała, czy ma ochotę się o to spierać.

Te trzy razy, gdy doprowadził ją do ekstazy, do obłędnej rozkoszy ostatniej nocy świadczył o tym, że Jonas był zdecydowany poświęcić wiele energii na przekonanie Em, by zaakceptowała jego oświadczyny.

Aby została jego żoną.

Kiedy rozpoczęła rutynowe poranne zajęcia – spotkała się z bliźniaczkami, Issy i Henrym przy śniadaniu, dokonała obchodu gospody, podczas którego zagadywała napotkanych pracowników, w końcu przeszła do kantoru, aby popracować nad bieżącymi zamówieniami i rachunkami – wciąż próbowała zrozumieć jego deklarację. Przyjąć ją do wiadomości i zdecydować, jakie ma w tej kwestii odczucia.

Siedząc na krześle przy biurku, na którym leżała otwarta księga zamówień – bez żadnych nowych wpisów – Em westchnęła i przestała udawać, że koncentruje się na pracy. Zamknąwszy rejestr, poświęciła się wyłącznie rozważanie sprawy, która obecnie wypełniała jej myśli.

Na perspektywie poślubienia Jonasa Tallenta.

Przypuszczała, że większość kobiet na jej miejscu tańczyłaby z radości, szczęścia, a nawet z wdzięczności, że otrzymały taką szansę. Jednak ona miała poczucie… niepewności.

Nie byłą pewna, co czuje, a tym bardziej – co powinna czuć.

Nie wątpiła w jego zamiary i determinację, gdyż ostatniej nocy z nawiązką dowiódł obu tych rzeczy, i to trzykrotnie. Był zdecydowany, aby się z nią ożenić.

A ona nie byłą pewna, czy chce – czy powinna – wyjść za niego za mąż.

Jej wątpliwość, ta nietypowa dla niej niepewność, wynikała z prostego faktu: nigdy nie oczekiwała, że wyjdzie za mąż.

Nigdy o tym nie myślała, chyba tylko tyle, że odrzucała ten pomysł jako zupełnie niepraktyczny. Ani nie marzyła, ani nie wyobrażała sobie, że pewnego dnia mogłaby iść do ołtarza, nie po śmierci ojca, gdy została opiekunką rodzeństwa.

Tak więc nigdy świadomie nie rozważała małżeństwa, nigdy nie stwierdziła, że go pragnie i dokonała umyślnego poświęcenia się. Małżeństwo nigdy nie było realną opcją, nie pojawiało się w jej planach, gdy przez lata udzielała się jako gospodyni wuja, a kiedy uciekli z jego domu, pogodziła się z myślą, że małżeństwo stało się jeszcze mniej prawdopodobne. Jakiż mężczyzna ożeniłby się z oberżystką?

Ponadto miała dwadzieścia pięć lat. A więc była już starą panną, chociaż jeszcze nie przejrzałą.

Jednak teraz, wbrew logice i na przekór jej oczekiwaniom, Jonas chciał się z nią ożenić.

Uniosła brwi, spoglądając na zamknięty rejestr zamówień.

– Czego szuka w małżeństwie sensowna, rozsądna kobieta? Czego szuka w swoim małżonku?

Wypowiedziane półgłosem pytania obrazowały jej kompletny brak wiedzy na ten temat. Pomimo że je sformułowała, odpowiedzi nie pojawiały się samoistnie w jej głowie.

– Emily?

Podniosła głowę i zobaczyła stojącą w wejściu Hildę, która wycierała ręce o fartuch.

– Tak?

– Jeśli masz chwilę, może zejdziesz spróbować pierogów? Chyba skórka jest delikatna, ale chętnie poznam twoje zdanie.

– Oczywiście. – Odsunęła krzesło i wstała. Miała pewność, że pierogi Hildy będą przepyszne, lecz widziała, iż starsza kobieta ceni sobie jej opinię.

Rzeczywiście, pierogi okazały się wyśmienite. Em zrobiła minę wyrażającą błogostan.

– Są świetne, Hildo. Kolejne doskonałe uzupełnienie naszego jadłospisu.

– Są tak wyborne, jak twoje paszteciki – zgodziła się Issy. Razem z bliźniaczkami zrobiły sobie przerwę w lekcjach, zwabione smakowitym zapachem. Wzięły jeden duży pieróg, pokroiły go na ćwiartki i podzieliły między cztery siostry. Em zobaczyła, jak Issy delikatnie oblizuje palce, bliźniaczki już rozglądały się za dokładką.

Spojrzała na Hildę.

– Ile sztuk możesz przygotować na lunch?

– Mam już gotowych dwadzieścia. Zanim przyjdą stali goście, zdążymy zrobić jeszcze drugie tyle.

Stali goście. Te słowa były jak muzyka dla każdego właściciela gospody. Smak pieroga wciąż jeszcze mile działał na jej podniebienie. Em skinęła głową.

– Tak, niech to będzie główne danie w barze. Ci, którzy nie zdążą, przyjdą następny raz, żeby spróbować.

– Panienko – odezwał się Edgar, którego głowa ukazała się w drzwiach kuchni. – Państwo Martin, którzy się u nas zatrzymali, proszą cię na słówko.

– Oczywiście. – Odwróciła się i ruszyła przez salę. Ciekawe, czy owi goście mieli jakieś zażalenie. Zobaczywszy ich stojących na końcu baru, uśmiechnęła się sztucznie i podeszła bliżej. – Państwo Martin. Mam nadzieję, że pobyt u nas był udany.

– Jak najbardziej! – Odpowiedziała z entuzjazmem pani Martin. – Było nam tu bardzo wygodnie, no i to wspaniałe jedzenie! – Wymieniła szybkie spojrzenia z mężem, po czym dodała konfidencjonalnie: – Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy zostać jeszcze parę dni. Czy to możliwe?

Zachwycona Em sięgnęła pod ladę i wyjęła księgę gości.

– To chyba da się załatwić.

Wpisując ich na kolejne dwie noce, dowiedziała się od pana Martina, że Pod Czerwonym Dzwonkiem jest pierwszą gospodą, w której spędzili więcej niż jedną noc.

– Zazwyczaj zostajemy na dłużej w większych miastach, lecz tutaj jest coś takiego kojącego. Chcieliśmy spędzić dzień w

Seaton, rozumiem, że w zajeździe jest dwukółka, którą moglibyśmy wynająć?

Zapewniwszy gości, że ich wymagania zostaną spełnione, podziękowała niebiosom za Johna Ostlera, który utrzymywał powozy w dobrym stanie i wiedział, od kogo wypożyczyć konia.

– Zaraz pomówię z naszym stajennym – powiedziała. – Kiedy chcieliby państwo wynająć dwukółkę?

Przekazawszy sprawę w ręce Johna Ostlera, wróciła do gospody, zastanawiając się nad możliwościami okazjonalnego wynajmu koni pod siodło czy też całego zaprzęgu, a to wszystko pod kątem opłacalności zakupu zwierząt, które przecież muszą jeść i wymagają oporządzenia bez względu na to, czy są wykorzystywane.

Zerknęła znów w kierunku baru – bardziej odruchowo niż w sposób zamierzony, gdyż kierowała się z powrotem do kantoru – i zobaczyła Lucyfera, który rozmawiał z Thompsonem, miejscowym kowalem. Po chwili wahania podeszła do nich, aby zapytać o opinię na temat najlepszego sposobu użytkowania koni w ramach działalności zajazdu.

Potem cały ranek krzątała się po gospodzie, doglądając przeróżnych spraw, wpadła w wir organizacji, konsultacji, zamówień, nadzoru nad sprzątaniem pokoi – zgodnie z deklaracją pan Dobson ruszył w dalszą drogę, a z nim inni goście, którzy zatrzymali się tylko na jedną noc. Mimo to dwa pokoje pozostały nadal zajęte. Przy odrobinie szczęścia Dobson rozpowie o noclegu Pod Czerwonym Dzwonkiem; Edgar wspomniał, że przed odjazdem otwarcie wyrażał zadowolenie z pobytu.

Hadley też powoli zadomawiał się w gospodzie. Siedział przy barze i swobodnie gawędził z Edgarem, a potem, gdy zaczęli przychodzić stali klienci na przedpołudniowe przekąski, przysiadł się Oscar, z którym bez wątpienia raczyli się opowieściami o życiu na morzu.

Mimo licznych zajęć Em wciąż rozmyślała o instytucji małżeństwa. W kuchni zobaczyła Hildę, która właśnie miała chwilę zasłużonej przerwy po wsunięciu do pieców nowej partii

pierogów. Em nalała sobie filiżankę herbaty i usiadła obok starszej kobiety przy dużym stole.

Przez chwilę sączyła napój w milczeniu, w końcu przerwała ciszę.

– Ty od dawna jesteś mężatką, prawda, Hildo?

Kucharka prychnęła, uśmiechając się.

– Tak, już kilkadziesiąt lat. I czasem o poranku czuję to w kościach. Ale z drugiej strony – filozoficznie wzruszyła ramionami – czasem mam wrażenie, jakbyśmy dopiero wczoraj wyszli z kościoła po ślubnej ceremonii.

– Gdybyś miała powiedzieć, co było najważniejsze w małżeństwie, nie chodzi o męża, ale o sam związek, to co byś powiedziała?

Hilda rzuciła jej zdziwione spojrzenie z ukosa, lecz ponieważ Em nie powiedziała nic więcej, zastanowiła się, popijając herbatę.

– Stabilizacja. To, że mam dom, że wiem, gdzie jest moje miejsce na świecie. – Odstawiła kubek, po czym zdecydowanie pokiwała głową. – Tak, właśnie to. Kiedy masz własną rodzinę, wiesz, kim jesteś.

Em zdumiała się.

– Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. – Przez chwilę rozważała jej słowa, w końcu dopiła herbatę. – Dziękuję ci. – Skinęła jej głową i, odstawiwszy filiżankę, jeszcze raz wyruszyła do kantoru.

„Kim jesteś” – tak powiedziała Hilda. Kiedy Emily usiadła na krześle, szykując się do sporządzenia listy zamówień, zastanowiła się nad tymi słowami. Zapewne Hilda miała na myśli „czym jesteś”. Małżeństwo, czy to szlachetnie urodzonych, czy też ludzi z gminu, nadawało kobiecie pewien status, pozycję w jej środowisku.

Ale czy osiągnięcie takiej pozycji było wystarczającym powodem do zamążpójścia? Zwłaszcza dla niej? Jako zarządzająca gospodą – chociaż w sposób znacznie odbiegający od standardów w tej dziedzinie – była całkowicie zadowolona

ze swojej roli, z pozycji w miejscowej społeczności. W tej kwestii nie odczuwała niedosytu, gdyż była tu powszechnie szanowana.

Nie widziała potrzeby małżeństwa, sposobu, w jaki mogłoby jej pomóc zdefiniować, kim lub czym ona jest.

A więc tutaj nie uzyskała odpowiedzi; Jonas także nie sugerował, że powinna wyjść za niego z któregoś z tych powodów. W ogóle nie uzasadnił kwestii małżeństwa, po prostu stwierdził, że chce ją poślubić, a ta deklaracja nawet nie nosiła znamion oświadczyn. O nic nie spytał, nie prosił, nic nie zaproponował za jej rękę. Wyjawił swoją intencję – tak jakby z góry zakładał jej zgodę, jakby uznał, że inna odpowiedź nie wchodzi w grę.

Rejestr zamówień wciąż leżał zamknięty na biurku, a Em patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i zastanawiała się, czy nie powinna po prostu odłożyć tego tematu na później, aż Jonas ponownie o nim napomknie, a wtedy nakłonić go, by należycie oświadczył się i jednocześnie naświetlił jej powody, jakie nim kierują.

Z pewnością będzie go naciskała, aby uzasadnił swoją decyzję, ale… już przekonała się, że w tej kwestii jest dość powściągliwy. Ile czasu minęło, zanim wydusił z siebie słowo „małżeństwo”? Rzeczywiście, sam jej powiedział, że długo oswajał się z tą myślą.

Więc być może nosił w sobie przekonanie, że chce się z nią ożenić, ale czy wiedział, dlaczego? Dlaczego tego pragnął, dlaczego w jego mniemaniu ich ślub miałby być tak dobrym rozwiązaniem?

A może ta idea po prostu zakorzeniła się samoistnie?

Miała niejasne podejrzenie, że właśnie to ostatnie jest najbliższe prawdy. Mimo wszystko przy podejmowaniu decyzji o małżeństwie nie mogła zdać się na jego opinię. W końcu on stanowił drugą stronę tego kontraktu.

Dopóki się nie oświadczy, dopóty nie musiała dawać mu odpowiedzi. Dzięki temu, że nie dokonał tej formalności, Em miała czas, aby zdefiniować własne stanowisko. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli sama zastanowi się, czego tak naprawdę

chce, zanim nadejdzie moment, gdy on się oświadczy, a ona dopiero wtedy będzie musiała odpowiedzieć.

Kręcąc głową, spuściła wzrok na księgę zamówień i otworzyła ją. Zdefiniowanie swojego stanowiska w kwestii małżeństwa nie było zadaniem, które należało podjąć w trakcie wykonywania mnóstwa innych zajęć – będzie musiała znaleźć na to bardziej odpowiednią chwilę.

– Teraz muszę się zająć sprawami gospody – mruknęła pod nosem.

Przystąpiła energicznie do pracy, która przyjmowała różne formy. Jednym z jej obowiązków było regularne doglądanie, co się dzieje w głównej sali, zwłaszcza w porach posiłków. Wszyscy mówili o pierogach Hildy, zanim jeszcze rozpoczęto serwowanie lunchu. Phyllida i panna Sweet przyszły wcześnie, a wychodząc, obsypały Em komplementami.

– Dokonałaś tu cudów – zapewniła ją Phyllida i uśmiechnęła się szeroko. – Juggs przewraca się teraz w grobie.

Em również odpowiedziała jej uśmiechem. Gdyby Phyllida nie była bliźniaczą siostrą Jonasa, Em spytałaby ją o opinię na temat małżeństwa, jego najważniejszych zalet. Lecz znowu… stanęła w drzwiach gospody, odprowadzając wzrokiem Phyllidę i pannę Sweet, aż skręciły na drogę i w tym momencie napotkały wracającego z kuźni Lucyfera, którego twarde rysy natychmiast złagodniały na widok żony, a ona rozpromieniła się, dając tym samym dowód, jak bardzo służy jej małżeński stan.

Em mogła zaryzykować przypuszczenie, jak Phyllida odpowiedziałaby na jej pytanie. Miłość. Taka miłość, jaka istnieje między mężczyzną a kobietą, miłość, która według obiegowej opinii stanowi najlepszy fundament małżeństwa.

Stała w zamyśleniu, spoglądając za oddalającymi się w kierunku domu panną Sweet i małżonkami, którzy trzymali się za ręce i pochylali ku sobie ciemnowłose głowy.

Czy ona kocha Jonasa? Czy on kocha ją?

A może to – ta trudna do nazwania mieszanina emocji, które zapłonęły między nimi – jest tylko pożądaniem?

Pożądaniem, pragnieniem i namiętnością.

Mimo niewielkiego doświadczenia uznała, że w ich relacji wystąpiły – i wciąż są obecne – wszystkie trzy elementy. Ale co z miłością?

W jej mniemaniu to było najistotniejsze pytanie, najważniejsze z pytań dotyczących małżeństwa.

Czy to właśnie miłość rodziła się między nimi? Czy to dopiero ziarno uczucia?

Czy są jakieś stopnie miłości, albo kwalifikacje?

Unosząc rękę, potarła palcem miejsce ponad oczami, bezskutecznie starając się wygładzić zmarszczone czoło. Szkoda że tak samo nie potrafi pozbyć się swojej ignorancji. W tej sytuacji będzie musiała szukać wiedzy i mądrości na temat małżeństwa i miłości u tych, którzy je posiedli.

– Przepraszam panią.

Aż podskoczyła, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, że blokuje drzwi do gospody.

– Bardzo proszę. – Usunęła się na bok i zobaczyła, że to mieszkający kawałek dalej pan Scroggs chciał wyjść na dwór. Uśmiechnęła się. – Smakował panu pieróg?

– Wyśmienity. – Ściskając w ręku kapelusz, Scroggs pokiwał głową. – Wyrazy uznania dla Hildy. Wieczorem przyjdziemy tu z żoną, bo powiedziała, że woli kuchnię Hildy od własnej.

Em roześmiała się.

– Zarezerwujemy dla was miejsca i będziemy czekać na wasze przybycie.

Scroggs jeszcze raz skłonił się i wyszedł, minął podwórze i ruszył drogą w kierunku domu.

Em odwróciła się, aby wrócić do środka, gdy wtem zobaczyła znajomą sylwetkę i zgarbione plecy mężczyzny siedzącego przy ostatnim stole wystawionym przed gospodą.

Harold – więc nadal się tu kręcił. Prowadził z kimś ożywioną dyskusję; Em przeszła nieco na bok, aby zobaczyć jego kompana, i ujrzała siedzącego po drugiej stronie stołu Hadleya. Artysta słuchał, od czasu do czasu kiwał głową, podczas gdy to głównie Harold podtrzymywał rozmowę.

Wycofała się do gospody, zanim Hadley zdążył ją zauważyć i powiadomić Harolda. Wcześniej Edgar wspomniał, że Hadley udał się do kościoła, aby ocenić malarskie perspektywy. Zapewne więc wrócił i przypadkowo spotkał się podczas lunchu z Haroldem, który – musiała to przyznać – jeśli tylko chciał, potrafił być nawet miły.

Przeszła przez część sali, która już stawała się znana jako Bar Pań, a znajdowała się w przedniej części pomieszczenia naprzeciwko właściwego baru. Ruch powoli tracił na sile, gdyż zwabieni pierogami Hildy goście przybyli na lunch wcześniej niż zwykle. Zauważyła lady Fortemain przy stoliku koło okna, który już został mianowany stołem Milady. Właśnie skończyła spożywać pieróg. Odłożywszy sztućce, odsunęła talerz, wzięła filiżankę i napiła się herbaty.

Em z uśmiechem poszła właśnie w tę stronę. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć cichą rozmowę.

Na jej widok milady także się uśmiechnęła.

– Emily, moja droga. Mam nadzieję, że znajdziesz kilka minut, aby spędzić je w towarzystwie starszej kobiety?

– Wcale nie jest pani taka stara – odpowiedziała Em, siadając na krześle naprzeciwko lady Fortemain.

Przez chwilę rozmawiały o pierogach, o różnych ulepszeniach w gospodzie, w końcu Em nabrała głęboko powietrza i przystąpiła do rzeczy.

– Z Issy rozmawiałyśmy o naszej przyszłości. Jak pani wie, nasza matka zmarła dawno temu. Chciałam spytać, czy miałaby pani dla nas jakąś radę, czego szlachetnie urodzona kobieta powinna szukać w małżeństwie.

Lady Fortemain rozpromieniła się i położyła dłoń na nadgarstku Em.

– Moja droga, jestem zaszczycona, że właśnie mnie o to pytasz. I w rzeczy samej… – zrobiła poważną minę – jest to temat, który wszystkie młode damy powinny dogłębnie zbadać przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji.

Oparła się, zbierając myśli. Em czekała cierpliwie.

– Gdybym miała określić, co jest najważniejsze w małżeństwie, powiedziałabym, że to połączenie dwóch elementów, które są w pewien sposób powiązane. – Lady Fortemain popatrzyła poważnie w oczy Em i ściszyła głos. – To mężczyzna, moja droga. W małżeństwie chodzi o mężczyznę. Chcesz, aby był ci oddany, całkowicie i bez granic, musi też mieć odpowiednią pozycję, gdyż nikt nie szanuje kobiety, która wychodzi za mężczyznę niższego stanu. Musi mieć odpowiedni majątek, chociaż to bardzo względne.

Em skinęła głową.

Milady uniosła palec, aby nadać większe znaczenie swoim słowom.

– A ty potrzebujesz mężczyzny, który będzie wiedział, co przystoi jego pozycji, takiego, który będzie zwracał uwagę na drobne rzeczy tę pozycję potwierdzające, a zatem również pozycję jego żony. Z przykrością muszę powiedzieć, że na przykład mój Cedric wyrósł na mężczyznę zbyt pobłażliwego i przystępnego, gotowego obcować i bratać się ze swoimi pracownikami, co w moim mniemaniu źle wpływa na jego pozycję. Z drugiej strony, Pommeroy… – Lady Fortemain uśmiechnęła się radośnie do Em. – Powiem ci tyle, moja droga, że Pommeroy będzie doskonałym mężem dla jakiejś młodej damy.

Em spostrzegła nagłą wzmożoną uwagę w oczach starszej pani. Zmusiła się, aby nie dać po sobie poznać, że poczuła się zaniepokojona.

– Tak. – Zdecydowanie pokiwała głową. – Na pewno tak będzie. Szkoda, że w okolicy jest tak mało młodych dam. Śmiem przypuszczać, że poszuka sobie żony w Londynie, takiej z ogładą i odpowiednią pozycją, na jaką on zasługuje.

Ta ostatnia uwaga zaskoczyła starszą panią. Ściągnęła usta.

– Niezupełnie o tym myślałam, ale… – Energicznie pokręciła głową, po czym uniosła ją i przyjaźnie uśmiechnęła się do Em. – Być może masz rację, moja droga, lecz…

– Proszę o wybaczenie, ale jestem pilnie potrzebna. – Em delikatnie wysunęła nadgarstek ze szponiastego uchwytu

milady, z uroczym uśmiechem wstała, dygnęła i uwolniła się od towarzystwa wciąż uśmiechniętej lady Fortemain.

Miała rację, że ktoś czeka na nią w korytarzu przed kantorem. Jedna z praczek, Dulcie, chodziła nerwowo tam i z powrotem; kiedy ujrzała zbliżającą się Em, podbiegła do niej.

– Panienko, szybko! Jedna z bliźniaczek, chyba to Bea, wplątała sobie włosy w wyżymaczkę. Odwróciłyśmy się tylko na chwilę, a zaraz potem…

– Próbowała rozprostować sobie włosy. – Em żwawo pokiwała głową, czując bardziej ulgę niż niepokój. Bea już próbowała takiej sztuczki. – Zaraz ją z tego wyplączę.

* * *

Następna spokojna chwila, podczas której Em mogła przemyśleć zdobytą dotychczas wiedzę na temat małżeństwa, nastąpiła, gdy samotnie zasiadła do spóźnionego lunchu. Issy i bliźniaczki – w tym uwolniona Bea, która wcale nie zatraciła animuszu – wróciły na górę, aby kontynuować lekcje. Chociaż nieustannie jęczały i narzekały, Issy stwierdziła, że poczyniły postępy w arytmetyce, czytaniu i pisaniu. Umiejętności właściwe damom, takie jak rysowanie i gra na fortepianie, były trudniejsze do opanowania; dziewczynki były teraz na etapie chłopczyc, więc tego typu zajęcia wcale ich nie interesowały.

Em i Issy nawet im trochę współczuły, więc żadna ze starszych sióstr nie naciskała w tej kwestii. Colytonowie w ogóle mieli dusze poszukiwaczy przygód, co nijak nie pasowało do siedzenia w domu i haftowania z tamborkiem w ręku.

Henry był u Filinga, a Hilda z dziewczętami posprzątały kuchnię i udały się na zasłużony odpoczynek przed wieczornym szczytem, kiedy to należało przygotować dania na obiadokolację. Edgar czyścił bar i rozmawiał z kilkoma mieszkańcami siedzącymi w tej części sali. Tak więc Em miała trochę czasu i miejsca dla siebie.

W ciszy jadła pieróg, który zostawiła dla niej Hilda, rozmyślając o tym, co powiedziały jej kucharka i lady

Fortemain. Zastanawiała się, co odpowiedziałaby Phyllida. Przymierzała się do tych wszystkich opinii, sprawdzała, jak jej pasują.

Mimo że rozumiała pogląd Hildy i uznała za mądre stanowisko lady Fortemain, to jednak wyobrażona opinia Phyllidy, że najważniejsza jest miłość, najbardziej trafiała Em – Em z Colytonów – do przekonania.

Nie miała wątpliwości, że jej przodkowie należeli do tych, którzy uznawali świat jako stracony dla miłości. Znała siebie zbyt dobrze, aby sądzić, że mogłaby postąpić wbrew wrodzonej naturze. Mogłaby przez chwilę udawać, że jest inaczej, ale w końcu jej odziedziczone skłonności wysunęłyby się na pierwszy plan. Tak jak u wszystkich Colytonów, również w jej żyłach płynęła ta sama krew, a jeśli miłość była tym masztem, do którego jej rodzina zwyczajowo przybijała swój sztandar, ona także będzie musiała ogarnąć tę mglistą, lecz potężną emocję.

Będzie musiała dowiedzieć się o niej na tyle dużo, aby ją rozpoznać, nauczyć się ją rozumieć, pielęgnować, chronić – i robić wszystko inne, co miało z nią związek.

Jej właściwa reakcja na zamiary Jonasa będzie podyktowana miłością – miłością jej do niego i jego do niej.

Ale – zawsze było jakieś „ale” – on nawet jeszcze nie wiedział, kim ona tak naprawdę jest. Uczciwie stawiając sprawę, nie mogła oczekiwać, aby kochał – i przyznawał się do tej miłości – kobietę, której nazwisko nie było mu znane.

Co więcej, w tej chwili ona sama nie wiedziała, jaki jest jej status – czy jest bliska nędzy, skoro niewielki majątek odziedziczony po ojcu rozpłynął się podczas poszukiwań skarbu Colytonów?

Kiedy znajdą ten skarb, będzie wiedziała, na czym stoi…

Im więcej o tym myślała – im bardziej męczył ją fakt, że wobec Jonasa udaje kogoś innego – tym bardziej pragnęła podjąć wysiłek, aby odnaleźć skarb.

A gdy to się uda – gdy skarb zostanie odnaleziony, a ona i jej rodzeństwo będą mieli zabezpieczenie finansowe na przyszłość, będą mogli odzyskać rodowe nazwisko i pozycję – wtedy

wszystko inne, wszystkie pozory między nią a Jonasem, a także między Issy a Filingiem – skończą się raz na zawsze.

Wtedy będzie mogła właściwie ocenić, czy Jonas ją kocha, i czy ona kocha jego, czy powinna przyjąć jego propozycję.

– Muszę znaleźć ten przeklęty skarb. – Wokół nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Wstała od stołu i zabrała talerz.

Stając koło zlewu w kuchni, wyjrzała przez okno, za którym leniwie toczyło się życie w to senne, gorące popołudnie. Dzień był niezwykle ciepły, przypominał raczej lato niż październik.

Majątek Grange pozostawał najbardziej prawdopodobnym miejscem ukrycia rodowego skarbu. Często zastanawiała się, dlaczego został złożony w innym miejscu niż Colyton Manor, lecz rymowanka mówiła o tym dość wyraźnie. Z domów w najbliższej okolicy Grange najlepiej odpowiadał opisowi „domu najwyższych”; rzeczywiście żadna inna budowla nie pasowała tak dobrze.

Przywołała w myślach obraz tego domu. Odbyła po nim spacer w wyobraźni, rozważając różne sposoby, aby uzyskać dostęp do jego piwnic na czas wystarczająco długi, aby przeprowadzić solidne poszukiwania.

Skarb leży w sporządzonej specjalnie do tego celu komorze, takiej, którą mógłby otworzyć tylko ktoś z rodziny Colytonów.

Taki był sens ostatniej linijki wiersza. Zapewne, gdy ujrzy pojemnik lub skrytkę ze skarbem, będzie wiedziała, co zrobić. Nie miała pojęcia, czym może być owa komora – już dawno przestała łamać sobie nad tym głowę. Musiała wierzyć, że wszystko stanie się jasne, gdy ją zobaczy.

Lecz najpierw musiała się dostać do piwnicy w Grange. Drzwi otwierały się od strony głównej kuchni; gdyby weszła tamtędy, musiałaby mieć przekonującą wymówkę, dzięki której Mortimer pozwoliłby jej zostać tam na dole przynajmniej przez godzinę.

Żadna odpowiednia bajeczka nie przychodziła jej do głowy, lecz na wspomnienie Mortimera przypomniała sobie inną rzecz, o której wspomniał…

Skupiła wzrok na podwórzu za oknem i na widocznym dalej fragmencie lasu. Było tak ciepło, że służba w Grange z pewnością będzie przebywać w budynku – mało prawdopodobne, by ktoś kręcił się na zewnątrz i zauważył kogoś przeszukującego pomniejsze zabudowania, takie jak spiżarnia, która według Mortimera była połączona podziemnym tunelem z piwnicą dworu.

W gospodzie panowały cisza i spokój.

Tak więc Em czmychnęła z gospody, napomknąwszy tylko Edgarowi, że wybiera się na spacer i wróci za parę godzin. I rzeczywiście poszła, szybkim krokiem ścieżką wzdłuż lasu – prowadzącą na tyły Grange.

Las kończył się na skraju szerokiej połaci ziemi, gdzie stał dwór i towarzyszące mu zabudowania. Em zatrzymała się na linii drzew i z tego zacienionego miejsca omiotła wzrokiem tylny podwórzec starego domu. Tak, jak przewidziała, na zalanym słońcem, rozgrzanym placu panował zupełny spokój.

Ścieżka prowadziła dalej, przez kuchenny ogród aż do tylnych drzwi. Po prawej stronie za ogrodem znajdowały się stajnie. Em wytężyła słuch, lecz trudno jej było zawyrokować, czy w sporym budynku są stajenni.

Z lewej strony stał niski długi pawilon, przylegający do dworu, który z wyglądu przypominał pralnię. Nieco dalej od domu, a bliżej miejsca, gdzie była Em, widniała mniejsza, kwadratowa budowla, dzieląca wspólną ścianę z pralnią – jednak miała własne drewniane drzwi, a także drewniane okiennice na dwóch oknach znajdujących się w kamiennym murze po obu stronach drzwi.

To niewielkie zabudowanie musiało być spiżarnią.

Aby dotrzeć do jej drzwi, Em mogła trzymać się skraju linii drzew, lecz ostatni fragment drogi prowadził przez otwarty teren, a więc w tym miejscu byłaby doskonale widoczna z okien dworu.

Przez sekundę rozważała ryzyko, lecz, mając naturę Colytonów, szybko odrzuciła myśli o niebezpieczeństwie i

konsekwencjach; przecież przybyła tu przygotowana na podejmowanie ryzyka w czasie poszukiwania skarbu.

Zadowolona, że tego dnia – przypadkiem – przywdziała ciemnozieloną suknię, zaczerpnęła głęboko powietrza i odważnie wyszła spomiędzy drzew, jakby doskonale wiedziała, dokąd zmierza, i jakby miała uzasadniony powód, aby tu przebywać. Żwawym krokiem pokonała skraj otwartej przestrzeni i przecięła ostatni fragment drogi. Doszedłszy do spiżarni, chwyciła za drewniany zaczep – i podziękowała Bogu za to, że dał się podnieść bez oporu. Pchnąwszy drzwi, weszła do środka. Rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że w środku nie ma ani żadnej pokojówki, ani lokaja, który mógłby właśnie napełniać karafkę trunkiem z beczki. Szybko zamknęła za sobą drzwi i odczekała, aż oczy przywykną do ciemności.

Przez okiennice sączyła się odrobina światła, które umożliwiało dostrzeżenie tu czegokolwiek, lecz grube kamienne ściany utrzymywały we wnętrzu niską temperaturę. Em, która weszła tu z zewnątrz, gdzie panowało przyjemne ciepło, teraz odczuła przejmujący chłód. Aby się rozgrzać, potarła ramiona.

Stopniowo jej zmysły przystosowały się do nowego miejsca. Rozejrzała się dookoła, zobaczyła beczki z piwem, żywność, która tutaj przechowywała się lepiej niż w zimniejszych, zawilgoconych i pogrążonych w zupełnych ciemnościach piwnicach. Spiżarnia była dobrze rozplanowana, różne produkty leżały uporządkowane w stertach na podłodze przylegającej do drzwi. Na ścianach widniały rzędy półek, a pod nimi na kamiennym podłożu zobaczyła kolejne stosy żywności.

Nie było tam ściany, w której mogłoby znajdować się wejście do tunelu, nie było też drzwi oprócz tych, którymi właśnie weszła do środka. Zważywszy na fakt, że podłoga spiżarni znajdowała się ponad poziomem ziemi, a piwnica pod domem była zdecydowanie poniżej, tunel musiał biec gdzieś pod podłogą. A więc powinna być jakaś klapa.

Przez chwilę zastanowiła się, od czego zacząć poszukiwania, po czym ruszyła przejściem między rzędami stert żywności,

przyglądając się kamiennym płytom. Zwracała szczególną uwagę na zaprawę murarską w szczelinach między nimi. Mortimer nie sugerował, że tunel do piwnicy jest nadal używany – Em wątpiła, że ktoś z niego korzystał, lecz gdyby nawet było inaczej, to zapewne miało to miejsce w okresie zimowym, gdy zalegający śnieg utrudniał dojście z kuchni do spiżarni.

Mieli już jesień, więc możliwe, że klapa w podłodze nie była otwierana od jakichś dziewięciu miesięcy. Mimo to na kamiennej podłodze wokół klapy powinno być widoczne większe zużycie, jakaś nieregularność lub ślad wynikający z długiego użytkowania.

Nawet jeśli taki ślad tam był, ona go nie widziała. Wróciła do swojej wyjściowej pozycji koło drzwi, westchnęła, jednak nie traciła werwy ze względu na piętrzące się trudności. Tym razem zaczęła przesuwać składowane produkty, aby sprawdzić znajdującą się pod nimi podłogę.

Gdy tak stała nachylona, wodząc palcem po krawędzi kamiennej płyty, nagle drzwi do spiżarni otworzyły się.

Przestraszona wyprostowała się i odwróciła tak szybko, że straciła równowagę i musiała energicznie zamachać rękami, aby nie przewrócić się plecami na worki.

Odzyskawszy grunt pod nogami, z bijącym sercem spojrzała prosto w ciemne oczy Jonasa. Zauważyła w nich błysk rozbawienia. Uśmiechał się nawet, gdy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Spoglądając na Em z odległości mniejszej niż metr w małym, zamkniętym pomieszczeniu, oparł się o drzwi i zdziwiony uniósł brwi.

– Czego tu szukasz?

– Ja… – Zamrugała, próbując się skupić, wymyślić jakąś bajeczkę, w którą mógłby uwierzyć. – Ja… – Zaczerpnęła powietrza i uniosła podbródek. – Jak wiesz, interesuję się starymi domami, a Mortimer mówił, że jest tutaj tunel łączący stajnie i spiżarnię z piwnicą pod domem. Właśnie przechodziłam w pobliżu… – spojrzała na poprzesuwane przez

siebie worki z różnymi produktami – i nie mogłam się oprzeć pokusie, aby tu zajrzeć i przekonać się, co to za tunele i jakie drzwi do nich prowadzą. – Wzruszyła ramionami, patrząc mu w oczy. – Po to tu przyszłam.

Zawsze słyszała, że kłamiąc, należy jak najbliżej trzymać się prawdy. Teraz spojrzała na Jonasa niewinnym, pytającym wzrokiem.

– Więc czy możesz mi pokazać ten tunel? – Wcale nie musiała udawać zainteresowania; gdyby wskazał jej podziemne przejście, nocą mogłaby samodzielnie przeszukać piwnicę.

Dłuższą chwilę nie spuszczał z niej wzroku, zanim w końcu oderwał plecy od drzwi.

– Tunel zawalił się dawno temu. Jest zamknięty, odkąd sięgam pamięcią, a nawet od czasów, które pamięta mój ojciec. – Stanął przed nią i zajrzał jej w oczy. – Dlaczego chcesz odnaleźć tunel?

– Dla odwrócenia uwagi. – Teraz właśnie tego potrzebowała. Odwrócić jego uwagę. Położyła dłoń na jego gładkim policzku i uśmiechnęła się. – W gospodzie panuje cisza i spokój, mamy niewielu gości. – Popatrzyła na jego wargi, uniosła się na palcach i musnęła go ustami. – Nudziło mi się, więc pomyślałam, że przyjdę tutaj i poszukam ekscytujących wrażeń.

W sumie była to prawda.

Jej zmysły ogarnęło drżenie, gdy poczuła dłonie mężczyzny na swojej talii: trzymały ją mocnym chwytem. Gdy uniosła głowę, on powoli nachylił swoją.

Wspinając się, pokonała ostatni cal dzielącej ich przestrzeni i pocałowała go, oddała mu usta, gdy także odpowiedział pocałunkiem.

Natychmiast ogarnęły ich płomienie namiętności, jakby zeszli z jakiejś platformy prosto do buchającego żarem pieca. Żarem, który iskrzył, rozpalał się, wreszcie wystrzelił ogniem, przenikającym ich żyły, skórę, wywołującym żądzę i pragnienie.

Redukującym ich do stanu prymitywnych instynktów, w którym po prostu musieli znaleźć zaspokojenie, razem zdusić ten ogień, wskoczyć w płomienie i dać się im pożreć.

Położył dłonie na jej wygłodniałych pieszczot piersiach, ugniatał je, zawłaszczał; przez cienki materiał prostej sukienki palce Jonasa odnalazły sutki i zaczęły je ściskać i pociągać. Jęknęła, odurzona zaczęła rozpinać guziki jego surduta.

Oderwał od niej usta, zrzucił okrycie i wziął ją w ramiona, przyciskając mocno. Znowu wpił się w jej wargi ognistym pocałunkiem, rozpalając ich oboje jeszcze mocniej.

Czuli ten żar w żyłach, w każdym nerwie.

Żar, który rozbijał ich hamulce w drobny pył.

Unosząc głowę, dysząc tak samo, jak ona, przewracając dziko patrzącymi oczami, Jonas rozejrzał się dookoła, wziął Em na ręce, obrócił i położył na stertę worków, tak że legła na plecach ze spódnicą sukni zadartą powyżej kolan.

Zanim zdążyła zareagować, zakryć kolana i zacisnąć nogi, on wkroczył między nie, odrzucił jej suknię aż do pasa. Dłońmi rozchylił jej uda jeszcze szerzej.

Pożerał ją płonącym wzrokiem pociemniałych oczu, pełnym potężnych i dzikich emocji. W pewnym momencie znieruchomiał… ta jedna krótka chwila ciągnęła się niemiłosiernie, a ona wiedziała, że Jonas czeka, nawet jeśli nie na pozwolenie, to przynajmniej na jakiś znak, że ona chce jeszcze więcej.

Oblizała wargi i przesuwała się niespokojnie, zapraszająco i wymownie poruszając biodrami.

Dłużej nie mógł się powstrzymać, wszystkie hamulce puściły.

Rysy jego twarzy stwardniały, wyostrzyły się, gdy spojrzał na delikatne ciało między jej udami, całkowicie odkryte dzięki temu, że miała szeroko rozchylone nogi. Nachylił się, by zbliżyć usta do jej miękkiego gniazdka.

Przy pierwszym dotyku krzyknęła, tak jak poprzedniej nocy. Zatkała sobie pięścią usta, by stłumić niemożliwe do opanowania dźwięki, które z niej wydobywał. Po chwili poruszył wargami, wysunął język, wydobywając z Em kolejny jęk.

Lizał, sączył, ssał i smakował, z jeszcze większą finezją niż ostatniej nocy, nieubłaganie prowadził ją na szczyt, gdzie

doznała oszałamiającego, implodującego zmysły spełnienia. Musiała zakryć dłonią usta, aby zagłuszyć krzyk.

Gdy oddychała ciężko, gdy jej serce łomotało jak szalone, gdy wciąż jeszcze płonęła ogarnięta żarem namiętności, Jonas wyprostował się, spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się.

Szelmowsko. Niebezpiecznie.

Ku jej zaskoczeniu, zsunął spódnicę niżej. Chwyciwszy Em za biodra, uniósł ją, przewrócił na brzuch, unosząc biodra, tak że jej nogi zwisały przed workami. Sterta była tak wysoka, że Em palcami nie sięgała ziemi.

Zaciekawiona wsparła się na łokciach.

Znowu uniósł jej spódnicę, odrzucił ją wysoko, ponad jej talię.

Obnażając pupę.

Chłodne powietrze spiżarni owiało jej rozgrzaną skórę.

Wstrzymała oddech, próbowała odwrócić głowę.

W tym momencie położył dłoń na jej rozpalonym ciele.

Zamarła, po chwili nabrała powietrza i zatrzymała je w płucach. Przygryzła wargę, aby stłumić kolejny jęk, gdy Jonas odważnie błądził ręką po jej kształtach, wodził opuszkami palców po gładkim ciele, obejmował w posiadanie każdy cal skóry, wzniecając kolejne fale gorąca, które budziły się pod jej skórą. Przesunął dłoń niżej, zatoczył szerokie koło, zszedł poniżej linii pośladków, w końcu wtargnął między uda i ostrożnie, badawczo wcisnął się w gorące gniazdko.

Nie mogła powstrzymać wibrującego jęku. Wypięła się, wychodząc naprzeciw jego dłoni, grzesznie pragnęła jeszcze więcej. Błagała o jeszcze głębszą, dającą jeszcze większa przyjemność penetrację.

Była rozpalona, tak gorąca i chętna, że Jonas z trudem myślał, drugą ręką rozpinając sobie guziki spodni. Uwolnił nabrzmiałą męskość, w pełnej gotowości. Nie tracąc czasu, szybko przystawił purpurową główkę do jej gniazdka i jednym energicznym pchnięciem wszedł do środka.

Poczuł, jak zacisnęła się wokół niego, jak rozgrzane ścianki pochwy obejmują go pożądliwie.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał jej stłumiony okrzyk, odgłos zaskoczenia i rozkoszy.

Dotychczas nie wchodził w nią od tyłu, nie w ten sposób, mając przed sobą jej gołe, dorodne pośladki, jakże pyszne i kuszące.

Zaczęła poruszać biodrami, na próbę, wolno, rytmicznie, pieszcząc jego sztywną męskość, aż jego oczy zapłonęły żądzą. Zamknąwszy powieki, wyszedł z niej, by po chwili wejść z powrotem jeszcze mocniej i głębiej, aby poczuła jego siłę, a swoją bezbronność.

Lecz ona wcale nie wydawała się zaniepokojona. Jej cichy okrzyk był oznaką podniecenia, fascynacji, zauroczenia. Znowu poruszyła biodrami, wyraźnie go zachęcając. Przyjął to zaproszenie, wysunął się i powrócił jeszcze mocniej w rozgrzane gniazdo niebiańskiej rozkoszy, i wpadł w równy rytm, który szybko wymknął mu się spod kontroli.

Oparta na łokciach wypchnęła pośladki w jego kierunku, zmuszając do jeszcze głębszej penetracji. Wyszła mu naprzeciw w synchronicznym rytmie, kołysząc się z każdym jego ruchem. Ocierała się pochwą o nabrzmiałą męskość Jonasa, aż poczuł ucisk w jej wnętrzu… a gdy uniosła głowę, kilka kolejnych pchnięć doprowadziło ją do ekstazy.

Jej skurcze wciągały go jeszcze głębiej, chciwie doiły, w końcu nie mógł już dłużej się powstrzymać. Tłumiąc zwierzęce wycie, zalał ją nasieniem i opadł do przodu. Wsparł się na ramionach, aby nie zgnieść Em ciężarem swego ciała.

Z opuszczoną głową, oddychając ciężko, usiłował ogarnąć, wchłonąć wszystkie dostępne doznania. Sycić się dotykiem i widokiem jej skąpanego w rozkoszy grzesznego ciała, które leżało tuż pod nim. Zapamiętać na zawsze to odczucie, gdy jej nagie pośladki wciskają się w jego krocze, a on tkwi głęboko w jej wnętrzu. Pragnął przywoływać to wspomnienie regularnie i często.

Nie mógł dłużej utrzymać się na wyprostowanych ramionach, powoli opuścił się na łokcie. Em stęknęła, poruszyła się. Jonas szybko wyszedł z niej. Ten ruch wytrącił go z równowagi –

próbując ją odzyskać, oparł się zbyt mocno na workach, które zaczęły się osuwać…

Em zachichotała. Parskała śmiechem, w końcu roześmiała się na głos, gdy on, klnąc pod nosem, przewrócił się na worki.

Pociągnął ją za sobą. Wylądowała na nim, nie potrafiąc opanować chichotu. W końcu i on uśmiechnął się, aż wreszcie parsknął głośnym śmiechem.

Oparłszy się wygodniej na workach, wziął ją w ramiona i położył sobie na piersi.

Leżał tak i delektował się tą chwilą, w półmroku spiżarni, pośród ciepłego aromatu piżma ich rozpalonych ciał, który łączył się z innymi obecnymi tu wonnościami, lecz żaden nie był tak słodki, jak jej zapach – z lawendą i różami i jeszcze innym składnikiem, którego nie potrafił zdefiniować.

A ona spoczywała w jego ramionach, spokojna, spełniona, usatysfakcjonowana.

Akceptująca wszystko.

Po chwili Jonas spojrzał w sufit.

– Czego ty szukasz? – spytał. – Czy to jest w piwnicy?

Znieruchomiała, lecz ku jego zaskoczeniu nie była spięta.

Więc czekał.

Em wiedziała, dlaczego wcześniej postanowili utrzymywać poszukiwania w tajemnicy; zakładali, że w wiosce będą mieszkać obcy ludzie stanowiący potencjalne niebezpieczeństwo, którzy mogliby zechcieć zatrzymać skarb dla siebie.

Taką mieli wizję, zanim przyjechali do Colyton. A teraz… teraz poznali tych ludzi, zostali przez nich zaakceptowani. Mieszkańcy Colyton, ci wysoko urodzeni i ci z gminu, stanowili zwartą społeczność – tak jakby byli rozległą rodziną. Ich rodzina także została przyjęta do grupy i otrzymała miejsce wśród miejscowych. Czy nadal istniał powód, aby zachowywać ścisłą tajemnicę?

To była kwestia zaufania, a ona nauczyła się ufać w dobrej wierze mieszkańcom Colyton. A co do Jonasa… cóż, leżała teraz

w jego ramionach, przyjęła go w swoim ciele, zaufała mu fizycznie, również do pewnego stopnia emocjonalnie.

Tak, ufała mu. Już się przekonała, że jest człowiekiem honoru.

Bez względu na to, czy go poślubi, czy też nie, on na pewno jej pomoże, poza tym nie stanowił zagrożenia dla niej ani dla jej rodziny – co do tego nie miała cienia wątpliwości.

Nabrała w płuca dużo powietrza. Od czego by tu zacząć?

– Mówiłam ci, że nazywam się Emily Beauregard. Moje pełne imię i nazwisko brzmi Emily Ann Beauregard Colyton. – Poczuła, że Jonas poruszył się zaskoczony, lecz nie dała mu szansy, aby jej przerwał. – Mój pradziadek był ostatnim z Colytonów, który tutaj mieszkał. Mój dziadek i ojciec…

Krótko i węzłowato opowiedziała mu historię rodziny; wątek skarbu zafascynował go tak samo, jak fascynował bliźniaczki. Niczego nie ukrywała, bo nie widziała sensu, by cokolwiek przemilczeć. Instynktownie wiedziała, że ze strony Jonasa nie ma się czego obawiać.

– No więc właśnie to starałam się odnaleźć – powiedziała na końcu. – Komorę ze skarbem, a może skrzynię, którą tylko Colyton otworzy, na najniższym piętrze w domu najwyższych.

Zdumiony pokręcił głową. Em już wcześniej zmieniła pozycję, aby móc obserwować jego twarz, gdy opowiadała mu swoje rewelacje. Ujrzała w jego oczach prawdziwe, szczere zainteresowanie i zaciekawienie.

Spojrzał jej w oczy z uśmiechem.

– Więc w rzeczywistości jesteś jedną z Colytonów, tych pochodzących z Colyton?

– Tak. – Nie była pewna, dlaczego ten fakt tak go ucieszył. Dla niej był to mający pewien związek, lecz w sumie mniej istotny szczegół. – Więc czy zechcesz… czy potrafisz pomóc mi odnaleźć ten skarb?

Zamrugał.

– Oczywiście. – Spojrzał w bok, na drugą stronę spiżarni i w kierunku domu. Po chwili delikatnie zasugerował, aby się podniosła. – Nie ma na co czekać. Zgadzam się, że

najprawdopodobniej właśnie Grange jest twoim „domem najwyższych”. Członkowie mojej rodziny byli miejscowymi sędziami pokoju od paru stuleci, więc wszystko pasuje. Chodźmy przeszukać piwnicę.

Wstali, doprowadzili do ładu ubrania i, wyszedłszy ze spiżarni, skierowali się do domu.

W holu koło kuchni napotkali Mortimera.

– Oto właściwy człowiek – powiedział Jonas. – Panna Beauregard poszukuje zaginionej dawno temu skrzyni, którą jej rodzina zostawiła na przechowanie być może właśnie tutaj. Posiada informację, że jeśli jest ona w tym domu, to będzie gdzieś w piwnicy. Czy wiesz coś o takiej tajemniczej skrzyni?

Mortimer pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Ale możemy poszukać.

Em minęła Jonasa.

– Ja pomogę.

– My pomożemy. – Jonas chwycił ją za rękę i zatrzymał, dając Mortimerowi znak, aby poszedł przodem. – Prowadź.

Przeszli do kuchni, gdzie Em przywitała się z Gladys i kucharką, a następnie skręcili do ciężkich drzwi, które otworzył Mortimer.

Lokaj zapalił latarnię, uniósł ją i poszedł schodkami w dół. Jonas puścił Em przed sobą i sam ruszył jej śladem.

Piwnica w Grange była w codziennym użytkowaniu. Jonas nie bardzo widział możliwość, aby jakaś nieznana skrzynia umknęła uwadze Mortimera, Gladys czy kucharki, a tym bardziej ich licznych poprzedników. Mimo wszystko musieli się rozejrzeć.

Mortimer z Em poszli przodem. Lokaj wysoko unosił latarnię, wyjaśniając, co znajduje się w każdym kolejnym pomieszczeniu, oddzielonym kamiennymi łukami od sąsiednich. Dotarli do końca piwnicy, która biegła pod większą powierzchnią domu.

– No dobrze. – Em rozejrzała się. Jej oczy błyszczały w świetle latarni. – Zacznijmy tutaj, a potem będziemy posuwać się z powrotem w kierunku schodów.

Tak też zrobili. Dokładnie szukanie nie było trudne, gdyż wszystkie rzeczy w piwnicy często zmieniały miejsce, były sortowane, porządkowane co najmniej dwa razy w roku – tak twierdził Mortimer.

Teraz spojrzał pytająco na Em.

– Czy panienka jest pewna, że skrzynię pozostawiono właśnie tutaj? Skoro miała być gdzieś ukryta, to nasza piwnica nie jest dobrą skrytką. Jest ciągle używana, od wielu wieków, bo w kuchni nie ma dość miejsca, a służba zawsze uważała piwnicę za najlepsze miejsce na przechowalnię.

Mina Em świadczyła o tym, że doszła do podobnego wniosku.

– Nie wiem, pewnie nie. – Westchnęła sfrustrowana. – O ile nam wiadomo, skrzynia została ukryta około roku tysiąc sześćsetnego, może nieco wcześniej, i od tamtej pory nie była przenoszona w inne miejsce, przynajmniej przez nikogo z rodziny.

– Rok tysiąc sześćsetny? Hm. – Mortimer zamilkł. Po chwili wystąpił z pewną sugestią. – Najbardziej prawdopodobnym miejscem na tak stary przedmiot, o ile w ogóle tu jest, byłyby małe pomieszczenia obok piwnicy z winami.

Zdecydowali się doprowadzić rozpoczęte poszukiwania do samego końca, a więc dotarli do schodów koło kuchni, jednak niczego nie znaleźli. Potem Mortimer otworzył kolejne ciężkie drzwi i pierwszy wszedł do piwnicy, w której przechowywano wino. Przeszukali ją i pomniejsze komórki i wnęki. Nadaremnie.

– Nie ma jej tu. – Em wiedziała, że to prawda. Piwnice w Grange były po prostu zbyt starannie uporządkowane, aby można cokolwiek pominąć. Jedyna możliwość… Zerknęła na Jonasa. – A czy jest jakieś inne osobne miejsce, na przykład składzik na węgiel, do którego jest dostęp z innej strony, a może jakaś tajna kryjówka w którymś z pomieszczeń?

Pokręcił głową.

– Jest takie miejsce, ale znajduje się na piętrze, a ukryte schody prowadzą, a przynajmniej kiedyś prowadziły, do jednego z tuneli.

– A wejście do tuneli? – Rozejrzała się. – Może tam, gdzie dochodziły do piwnicy?

– Nie. Gdy tunele zaczęły się walić, zostały całkowicie uprzątnięte i zabudowane. – Podszedł do jednej z kamiennych ścian, postukał w nią. – W tym miejscu kończył się tunel ze stajni. – Wskazał krawędź kamienia i powiódł palcem wokół niego. – Jeśli dobrze się przyjrzeć, widać kontur łuku nad przejściem, które zostało potem zamurowane.

Spojrzała i westchnęła z rezygnacją.

– Wobec tego to nie jest ten dom.

Jonas popatrzył na nią badawczo, potem ujął jej dłoń.

– Głowa do góry. Są jeszcze inne domy, które mogą pasować. Jeśli mogę coś zaproponować…

Zdziwiona popatrzyła mu w oczy.

– Myślę, że powinniśmy opowiedzieć o wszystkim Phyllidzie i Lucyferowi. Oni pomogą, a ich biblioteka to najlepsze miejsce, by poszukać dodatkowych wskazówek.

Przez chwilę zastanawiała się, wahała, w końcu skinęła głową.

– Dobrze. Chodźmy do dworu.

* * *

– Po prostu nie mogę uwierzyć… – Phyllida urwała, po czym mówiła dalej z roziskrzonymi oczami. – Nie, oczywiście, że wierzę, ale jestem tak podekscytowana wiadomością, że pochodzisz z rodziny Colytonów… Tych z Colyton. To wspaniałe, że wrócił tu ktoś z założycieli miejscowości.

Em pokręciła głową. Podobnie jak Jonas, Phyllida skupiła się na rodzinie, nie na skarbie.

Wcześniej, gdy wyszli z piwnicy w Grange, podpytali jeszcze Gladys i kucharkę, lecz żadna z nich nie potrafiła udzielić informacji o tajemniczej skrzynce. Potem razem z Jonasem ruszyli do dworu ścieżką przez las. Zastali w domu Lucyfera i Phyllidę, którzy zostawili Aidana i Evana pod opieką panny

Sweet, a potem – na prośbę Jonasa – zamknęli się we czwórkę w salonie, gdzie Em jeszcze raz opowiedziała historię.

Ku jej uldze, Lucyfer wydawał się bardziej zainteresowany główną sprawą.

– A więc skarbu nie ma w Grange. Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem zwrotu „dom najwyższych” w odniesieniu do Grange, naszego dworu, ale czy macie pewność, że skrzyni tu nie ma? Mimo że, o ile mi wiadomo, nie mamy i nigdy nie mieliśmy tu piwnic, a jedynie zewnętrzne zabudowania?

Em się skrzywiła.

– To był dom rodzinny, a rymowanka zdaje się wyraźnie wskazywać na inne miejsce.

Jonas przytaknął.

– Gdyby skarb był tutaj, rymowanka zapewne w ogóle by nie powstała, bo nie byłoby potrzeby, aby wskazywać konkretny dom.

Lucyfer skinął głową.

– To prawda. A więc nie chodzi o Grange ani o dwór, poza tym ustaliłaś już, że nie jest to także Ballyclose ze względu na jego wiek. Wobec tego, co nam pozostaje?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć.

Lucyfer nachylił się z poważną, pełną skupienia miną na swej przystojnej twarzy.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale szukamy domu, który stał tutaj już w szesnastym wieku, chociaż nie wiadomo dokładnie kiedy, a przed końcem tego stulecia był już znany jako „dom najwyższych”, co zapewne oznaczało dom człowieka o najwyższej ówcześnie pozycji w tej okolicy.

– Tu nigdy nie było książęcych czy królewskich wiejskich rezydencji. – Phyllida zerknęła na męża. – Pamiętam, bo sprawdzałam to dawno temu, gdy byłam dziewczyną.

– Tak, dziewczyny marzą o książętach i królach. – Jonas spojrzał na siostrę, robiąc ironiczną minę, ona zaś uśmiechnęła się z wyższością.

Lucyfer pokręcił głową.

– Wciąż myślę o tym, jak wyrażenie „dom najwyższych” jest wkomponowane w cały wiersz. W tysiąc sześćsetnym roku była tu bardzo mała i odizolowana od świata społeczność. Dom najwyższych brzmi tak, jakby było oczywiste, o którą budowlę chodzi, a więc miejscowi w tamtych czasach od razu wiedzieliby, o czym tu jest mowa.

Przez chwilę wszyscy rozważali ten argument, w końcu Phyllida zwróciła się do Em:

– Przejrzałaś już kilka naszych książek i nie znalazłaś tam odniesienia do tego tajemniczego domu. Wobec tego przejrzyjmy pozostałe. – Przeniosła wzrok na mężczyzn. – We czwórkę zrobimy to szybko, zwłaszcza jeśli skoncentrujemy się na okresie przełomu szesnastego i siedemnastego wieku.

Popatrzyli po sobie i zgodnie pokiwali głowami. Lucyfer wstał pierwszy i poprowadził ich do biblioteki.

Przez kolejną godzinę szperali w książkach i znaleźli kilka dzienników podróży, które opisywały Colyton w tamtych czasach, ponadto dwa inne opisy wioski z początku siedemnastego stulecia, lecz nigdzie nie było wzmianki o wielkich domach, poza Grange i dworem, nie było też zapisu o jakimś „domu najwyższych”.

– No i dalej nic – westchnęła Em. A miała nadzieję… Rozczarowana popatrzyła na Jonasa. – Co dalej? – Przeniosła wzrok na Phyllidę i Lucyfera. – Macie jakieś propozycje?

Lucyfer zdawał się tak samo bezradny, jak ona i Jonas, lecz po chwili Phyllida w zamyśleniu przechyliła głowę, uniosła brwi i w końcu spojrzała na Em.

– Na twoim miejscu ujawniłabym publicznie prawdziwe nazwisko waszej rodziny. Otrzymalibyście jeszcze większe poparcie mieszkańców, a ponadto popytałabym zwłaszcza starsze osoby, czy ktoś słyszał kiedykolwiek wyrażenie „dom najwyższych”. Jest szansa, że ktoś sobie coś skojarzy. Inni będą znali jakieś rodzinne opowieści, ale w końcu może uda się nam znaleźć osobę, która zna to miejsce w innym kontekście.

Jonas skinął głową.

– Popieram tę propozycję. Ogłoś wszem wobec, kim naprawdę jesteś.

Emily zastanowiła się.

– A jak wytłumaczę, że początkowo ukrywałam prawdziwą tożsamość?

– To proste – odparła Phyllida. – Chciałaś zdobyć posadę oberżystki, chciałaś, aby mieszkańcy zaakceptowali was takimi ludźmi, jakimi naprawdę jesteście, a nie od razu postawili was na piedestale za samo nazwisko.

Emily rozważała to w myślach.

Lucyfer zgodził się z żoną.

– Być może brzmi to ekscentrycznie, ale jest do przyjęcia.

Em popatrzyła na Jonasa, który także pokiwał głową.

– No dobrze. Ujawnimy, że jesteśmy Colytonami. A waszym zdaniem po jakim czasie wieść się rozniesie?

Phyllida uśmiechnęła się.

– W tej kwestii także ci pomożemy. – Podeszła do Em, poderwała ją na nogi i wziąwszy pod rękę, skierowała się do drzwi. – Niech panowie łamią sobie głowy, a my tymczasem porozmawiamy sobie ze Sweetie.

Rozdział 15

– Moja droga, jestem naprawdę zachwycona. – Lady Fortemain oparła się wygodniej, szeroko otwierając oczy. – Pomyśleć, że ty, twoje siostry i brat także jesteście Colytonami! Wspaniale.

– No cóż… – Em zerknęła na Jonasa, który uśmiechał się z miną „a nie mówiłem?”. Poprzedniego dnia w gospodzie Sweetie miała cały wieczór, aby puścić w obieg nowinę. Tego ranka Jonas zjawił się z dwukółką i zaproponował, że obwiezie Em po okolicy, aby mogła porozmawiać ze starszymi mieszkańcami. Na pierwszym miejscu jej listy była lady Fortemain w Ballyclose Manor, która oczywiście już dowiedziała się o prawdziwej tożsamości Em.

– Jak już mówiłam – powtórzyła wytrwale Em w nadziei, że uda się uniknąć długotrwałej rekonstrukcji historii jej rodziny – próbujemy odnaleźć dom w tej okolicy, o którym dawno temu mawiano „dom najwyższych”. W zasadzie było to kilka wieków temu, więc już wiadomo, że nie może chodzić o Ballyclose Manor. A czy pani kiedykolwiek słyszała to określenie?

– „Dom najwyższych”? – Lady Fortemain rytmicznie dotykała palcem ust, starając się skupić. W tym momencie ruch w korytarzu przyciągnął jej uwagę. – Jocasta! Chodź i posłuchaj nowin!

Jocasta, również nosząca tytuł lady Fortemain, jako żona Cedrica, starszego syna milady, pojawiła się w drzwiach. Była ciemnowłosą, ciemnooką kobietą o spokojnej, miłej naturze. Gdy weszła do salonu, uśmiechnęła się do Em i Jonasa.

– Dzień dobry. Już wczoraj dowiedziałam się o wszystkim. Jak to dobrze, że wróciliście całą rodziną do wioski, a szczególnie że przywróciliście do życia gospodę.

– Bardzo dziękuję. – Emily również odpowiedziała jej uśmiechem.

Jonas spojrzał na żonę Cedrica.

– Jocasto, czy jako osoba z rodziny, która od wieków jest związana z naszą miejscowością, kiedykolwiek słyszałaś wyrażenie „dom najwyższych”?

Zapytana myślała przez chwilę, lecz zaraz pokręciła głową.

– Chyba nie, ale mam wrażenie, że ktoś z Fortemainów użył kiedyś tego zwrotu w odniesieniu do Ballyclose. A dlaczego pytasz?

Jonas bez namysłu udzielił gładkiej odpowiedzi.

– Jakiś dom, który stał gdzieś tutaj dawno temu, zanim jeszcze zbudowano Ballyclose, pojawił się w tajemniczym wierszu autorstwa jednego z przodków panny Colyton, a my próbujemy odszukać to miejsce.

– Aha – rzekła Jocasta. – Jestem pewna, że nigdy nie słyszałam tych słów, ale możecie porozmawiać z moją mamą. Ona zna mnóstwo lokalnych opowieści i ciekawostek.

Em wstała.

– Pani Smollet jest kolejna na naszej liście.

Jonas także opuścił swoje miejsce przed kominkiem i podszedł do niej.

– Pomyśleliśmy, że odwiedzimy również Muriel Grisby i starą panią Thompson.

Jocasta skinęła głową.

– Ja też bym je spytała. Panna Hellebore jest stara, chyba najstarsza spośród mieszkańców, ale przybyła tu ledwie parę lat przed Horatio Welhamem. – Uśmiechnęła się do Em. – Więc jest tu raczej nowa, a wiem, że jej rodzina nie pochodzi z tych okolic.

– Dziękuję – powiedziała Em. – Tak właśnie myślała panna Sweet, ale nie byliśmy pewni. – Przeniosła wzrok na lady Fortemain. – Bardzo dziękuję za poświęcony nam czas.

Milady machnęła rękami.

– Ale chyba zostaniecie na porannej herbacie, prawda?

– Dziękuję, ale nie chciałabym zbyt długo pozostawiać gospody i bliźniaczek bez nadzoru. – Em dygnęła grzecznie.

Lady Fortemain zrobiła nieco niezadowoloną minę.

– Twoje poświęcenie się przynosi ci zaszczyt, moja droga. Może następnym razem?

Em i Jonas ostatecznie pożegnali się z obiema kobietami.

Jocasta odprowadziła ich do drzwi.

– Spytam Cedrica, czy kiedykolwiek słyszał tę frazę. Pewnie zobaczymy się wieczorem w gospodzie.

– Dziękuję. – Em pozwoliła, aby Jonas pomógł jej wsiąść do powozu, i na odjezdnym pomachała jej ręką.

* * *

Em powiedziała prawdę. Niechętnie pozostawiała pracowników gospody bez nadzoru.

– Wcale nie uważam, że miałoby się stać coś złego – zwróciła się do Jonasa, gdy po południu wykorzystali spokojną porę dnia, aby pojechać do Highgate, gdzie mieszkał Basil Smollet, brat Jocasty. – Chodzi mi o to, że gdyby rzeczywiście coś się stało, będą musieli wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności za podjętą samodzielnie decyzję, a to przecież należy do moich obowiązków, więc byłoby nieuczciwe przerzucać wszystko na ich barki. Jeśli ja popełnię błąd, to jedno, ale będzie znacznie gorzej, jeśli oni go popełnią, a potem będą mieli poczucie winy za wynikłe konsekwencje.

Zerknął na nią, uśmiechając się z niejakim podziwem, gdy ujrzał na jej twarzy determinację. Z coraz szerszym uśmiechem skoncentrował się na powożeniu zaprzęgiem. Pognał konie pod górę długiej pochyłości za probostwem, a gdy w oddali ukazało się Highgate, zwolnił.

Pani Smollet była w domu i przyjmowała gości, przynajmniej w fizycznym sensie. Niestety, szybko przekonali się, że umysłowo była raczej nieobecna.

– Colytonowie. Wróciliście tu, co za historia! Nie znałam dobrze nikogo z waszej rodziny, bo byłam za młoda. – Pani

Smollet pokiwała siwą głową. – To były czasy. Pamiętam…

Urwała, dając ponieść się wspomnieniom.

Jej syn, Basil, dołączył do nich i wysłuchał opowieści Em. Potem nachylił się i ujął wiotką dłoń matki spoczywającą na jej podołku.

– Mamo… Czy pamiętasz, który dom ludzie nazywali „domem najwyższych”?

Pani Smollet nieoczekiwanie spojrzała na syna bystrym wzrokiem.

– „Dom najwyższych”? – Odwróciła głowę gdzieś w bok. – Coś mi to mówi.

Em i Jonas wstrzymali oddech.

Cierpliwie czekali, a wraz z nimi Basil.

W końcu pani Smollet pokręciła głową.

– Nie, nie pamiętam. Ale to nie był ten dom ani Ballyclose, bez względu na to, co mówiła ta plotkarka.

Najwyraźniej lady Fortemain i pani Smollet nie pałały do siebie miłością.

Po chwili oblicze starszej pani złagodniało.

– Ale pamiętam chłopaków Mitchellów, którzy mieszkali w tym starym domu koło klifu. Wszyscy już dawno nie żyją, ale to były nicponie. Pamiętam…

Modulując głos, opowiadała cicho o jakimś gorącym lecie z odległej przeszłości.

Basil westchnął i wyprostował się. Po chwili obrzucił Em i Jonasa pełnym współczucia spojrzeniem i wstał.

Poszli za jego przykładem.

Pani Smollet, wpatrzona w jakiś odległy punkt, wcale tego nie zauważyła. Basil skinął na gości i pierwszy ruszył do drzwi.

Oni także skierowali się w tę stronę.

W głównym holu Basil odwrócił się do nich.

– Fizycznie mama jest jeszcze w dobrej formie, ale z głową coraz gorzej. Są dni, kiedy myśli sprawnie, niemal rezolutnie, ale kiedy indziej… – Wzruszył ramionami. – Poproszę pokojówki, które z nią przesiadują, aby dały mi znać, jeśli

mama powie cokolwiek o jakimś „domu najwyższych”. Wtedy od razu was zawiadomię.

– Dziękuję – powiedziała Em, uśmiechając się z wdzięcznością.

– Rozmawialiśmy już z lady Fortemain – dodał Jonas – a mamy jeszcze w planach wizytę u Mauriel Grisby i starej pani Thompson. Czy jest ktoś jeszcze, kto twoim zdaniem mógłby wiedzieć coś więcej?

Po chwili zastanowienia Basil zaprzeczył.

– Poza tymi czterema osobami nie przychodzi mi do głowy nikt żyjący, kto mógłby mieć tak odległe wspomnienia, przynajmniej w naszej miejscowości. Nie mam też pojęcia, czy był tu ktoś taki, kto się wyprowadził.

– Ja i Phyllida również nie mamy takiej wiedzy. – Jonas wyciągnął do Basila rękę. Mężczyźni pożegnali się.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Smollet. – Em podała mu dłoń. – I za pomoc w rozmowie z pana matką.

Basil uśmiechnął się wyjątkowo czarująco.

– Wszystko dla Colytonów, którzy do nas powrócili, a zwłaszcza dla osoby, która przywróciła do świetności naszą gospodę.

Parsknęła śmiechem, gdy nachylił się, by ucałować jej dłoń.

* * *

Dopiero następnego ranka udali się do Dottswood

Farm w poszukiwaniu Muriel Grisby. Kobieta, do której już wcześniej dotarły najnowsze wieści, z radością zgodziła się na rozmowę z Em i Jonasem.

– To wspaniale, że Colytonowie do nas wrócili! I że przywróciliście gospodę do użytku. – Zadziwiająco bystra i żwawa, zaprosiła ich gestem, aby usiedli. – Pamiętam twojego pradziadka. Niezwykła postać, wyglądał imponująco z tą czupryną siwych włosów. Oczywiście byłam wtedy małą dziewczynką, ale pamiętam wszystko, tak jakby to było wczoraj.

Em starała się nie rozbudzać w sobie większych nadziei. Korzystając z zaproponowanej przez Jonasa wersji wydarzeń – że próbują rozwikłać treść tajemniczego rodzinnego wiersza, co zresztą było prawdą – spytała, czy Mauriel mogłaby rzucić nieco światła na zaszyfrowaną frazę.

– Nie. – Muriel zdecydowanie pokręciła głową. – Nigdy tego nie słyszałam.

Inie dodała nic więcej.

* * *

Po trzech kolejnych rozczarowaniach Em nie miała wielkich nadziei przed spotkaniem z matką Thompsona i Oscara, lecz po południu Jonas przyszedł po nią i namówił, żeby chociaż spróbowała.

Między lunchem a podwieczorkiem, gdy w gospodzie było mniej gości, udali się więc w kierunku kuźni.

Stała frontem do drogi, zaś chata Thompsonów znajdowała się spory kawałek za nią. Zastali Thompsona przy pracy – w skórzanym fartuchu stał przed paleniskiem i kuł podkowy. Na ich widok pomachał ręką.

– Mówiłem wczoraj, że być może odwiedzimy jego matkę. – Jonas otworzył i przytrzymał furtkę prowadzącą na wąskie podwórze przed chatą. Spojrzawszy na twarz Em, wyczuł jej kiepski nastrój. – Nigdy nic nie wiadomo. Pani Thompson pochodzi z zupełnie innej warstwy niż pozostałe trzy kobiety, więc mogła słyszeć coś, o czym one nic nie wiedzą.

Odpowiedziała mu słabym uśmiechem, lecz gdy pani Thompson otworzyła im drzwi, rozpromieniła się.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

– Ależ skąd, moja droga. Proszę, wejdźcie. – Gestem zaprosiła ich do małego pokoiku. – Miło, że Colytonowie znów są wśród nas. Tak właśnie powinno być, a poza tym dzięki wam gospoda stała się takim uroczym miejscem. Kto by pomyślał po tym, do jakiego stanu doprowadził ją Juggs.

Jonas zatrzymał się w drzwiach, kobiety zaś zajęły dwa niewielkie fotele. Zawsze się zastanawiał, jak to możliwe, by tak drobna niewiasta, jak pani Thompson, mogła urodzić dwóch wielkich chłopów jak Thompson i Oscar. Mieli jeszcze brata i dwie siostry, a jednak pani Thompson wyglądała na tak delikatną i lekką, jakby mocniejszy podmuch wiatru mógł zabrać ją ze sobą.

Jednak jej pamięć funkcjonowała znakomicie.

– Dobrze pamiętam twojego pradziadka. Imponujący mężczyzna, ale zawsze uśmiechnięty. Wcześniej był żeglarzem, kapitanem własnego statku, o ile dobrze pamiętam, lecz ja znałam go dużo później. Mieszkał w Colyton Manor aż do śmierci. Jego syn, jak mniemam twój dziadek, osiedlił się gdzie indziej, podobnie jak pozostałe dzieci kapitana, więc dom został sprzedany.

– Tak. – Em pokiwała głową. – Mój pradziadek był ostatnim z Colytonów, którzy mieszkali we dworze. My, czyli moje siostry, brat i ja, wróciliśmy tu między innymi po to, aby wyjaśnić znaczenie starej rodzinnej rymowanki. Jest tam mowa o jakimś domu, opisanym jako „dom najwyższych”. Czy wie pani, o który dom może tu chodzić?

Mina pani Thompson świadczyła o tym, że kobieta intensywnie szuka w pamięci, jednak po dłuższej chwili pokręciła przecząco głową.

– Nie… ale muszę powiedzieć, że te słowa brzmią znajomo. – Spojrzała na Em i pokrzepiająco poklepała jej dłoń. – Daj mi trochę czasu na zastanowienie, moja droga. Jeśli o tym słyszałam, to prędzej czy później przypomnę sobie.

Jonas nieomal usłyszał pełne rozczarowania westchnienie Em, gdy wstała i z nieco przyblakłym uśmiechem pożegnała się z gospodynią.

Uczynił to samo i poprowadził Em ścieżką z chaty, obok kuźni i dalej na drogę.

Gdy był obok niej, spróbował spojrzeć w jej twarz. W tym celu musiał się schylić, gdyż w sposób zupełnie do niej niepodobny spuściła głowę i wlokła się noga za nogą.

– Nie zniechęcaj się. Dopiero co zaczęłaś pytać. Te starsze panie zaczną zastanawiać się nad tajemniczą frazą, wspomną o niej przyjaciółkom. Tak, jak powiedziała pani Thompson, prędzej czy później odpowiedź ujrzy światło dzienne. – Gdy Em wciąż milczała, trącił ją zachęcająco łokciem. – To musi potrwać.

Kiwnęła głową, odetchnęła głęboko i uniosła podbródek. Spojrzała na gospodę, którą było już widać na końcu drogi. Wyraźnie zbierała myśli.

– W gospodzie wszystko dobrze – powiedział, uprzedzając jej komentarz. Było to duże niedopowiedzenie, gdyż przywrócony do życia zajazd przynosił teraz znacznie wyższe dochody, niż mógłby to sobie wymarzyć największy optymista.

– Hm. Mam tylko nadzieję, że wszystko jest przygotowane na wieczorny ruch. Po raz pierwszy mamy pełną rezerwację, mówiłam ci już?

– Nie, ale wcale nie jestem zaskoczony. – Była sobota, a nie tylko mieszkańcy wioski, lecz również ci z okolicznych majątków i farm nabrali upodobania do odrodzonego Pod Czerwonym Dzwonkiem: w gospodzie panował większy ruch niż kiedykolwiek wcześniej.

Jonas szedł obok Em, trzymając ręce w kieszeniach spodni. Nie podejmował dalszej rozmowy, z miny Emily zorientował się, że myśli intensywnie o sprawach dotyczących gospody – co było lepsze niż rozpamiętywanie dotychczasowych nieudanych poszukiwań rodzinnego skarbu.

Sam w niewielkim stopniu interesował się tym skarbem, może tylko był ciekawy. Zgodził się pomóc w poszukiwaniach, gdyż sprawa ta była dla Em bardzo ważna. Co więcej, chociaż nie powiedziała tego, Jonas odniósł wrażenie, że najpierw chciała odnaleźć skarb, a dopiero potem zastanowić się, czy chce wyjść za mąż. Zatem w jego najlepszym interesie było pomóc jej jak najszybciej odzyskać wspomniany skarb.

A jeszcze bardziej pragnął, aby była szczęśliwa i zadowolona, sprawa skarbu zaś najwyraźniej miała dla niej priorytetowe znaczenie.

Dwie poprzednie noce spędził w jej łóżku. Nie miał zamiaru rezygnować z pozycji, którą już sobie zdobył. W chwilach odpoczynku, gdy leżała w jego ramionach, wyjaśniła jeszcze więcej w kwestii skarbu – odsłoniła przed nim swój punkt widzenia, uzasadniła, dlaczego jest dla niej taki ważny.

Nie szukała skarbu jako takiego, potrzebowała tego, co sobą reprezentował – i nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla brata i sióstr.

Skarb zapewniłby przyszłość Henry'emu, pozwoliłby rodzinie odzyskać pozycję społeczną, która była im przynależna ze względu na urodzenie. Dostarczyłby środków na posagi dla sióstr i pozwolił uzupełnić jej własny, który – o ile Jonas dobrze się domyślił – został mocno nadwerężony, aby sfinansować ich ucieczkę od Harolda.

Wszystko to brzmiało przekonująco, lecz z jego punktu widzenia nie miało większego znaczenia. Gdyby Em wyszła za niego za mąż, jej brat i siostry dostaliby się pod jego opiekę, a zatem mieliby zabezpieczone wszystkie potrzeby.

Jeśli chodzi o jej posag, nie dbał o to, czy miała choćby złamanego pensa. Dzięki związkom z Cynsterami i dokonanym za ich pośrednictwem inwestycjom był naprawdę bardzo majętny.

Oczywiście ona nie miała o tym pojęcia – musiał przyznać, że przyjemna była myśl, iż kwestie finansowe nie miały wpływu na ich decyzję dotyczącą małżeństwa. Jednak bez względu na jego zamożność oraz wynikający z niej fakt, że nie istniały okoliczności, w których ona z rodzeństwem mogliby znaleźć się bez środków do życia – czy też nawet być skazanymi na pracę w gospodzie do końca życia – Jonas w pełni rozumiał, doceniał i akceptował emocje, które nią powodowały.

Wsparcie dla rodziny, rodzinna duma. Nie duma wynikająca z pychy, lecz taka, która wzbudzała szacunek, poczucie obowiązku wynikające z nazwiska, odpowiedzialność za obronę swego dobrego imienia, za pozyskanie należnego mu szacunku.

Nie była to prosta emocja, poza tym nie każdy miał predyspozycje, aby jej doświadczyć. Jednak wydawała się w niej mocno zakorzeniona – a on sam również chętnie by się do niej przyznał, szczególnie po powrocie ze stolicy, gdy zaczął doceniać własne pochodzenie.

Wiara w rodzinę, w swoje miejsce na ziemi, w tradycję – te cechy były dla nich wspólne.

Z tego powodu zamierzał pomóc jej odnaleźć skarb, bez względu na wysiłek konieczny do osiągnięcia tego celu. Ponieważ taka wiara warta była tej ceny.

Ich stopy stanęły na żwirze pokrywającym wąskie podwórze zajazdu. Przed nimi ukazały się stojące otworem drzwi, spoza których dochodził przyjemny, kuszący gwar stłumionych rozmów.

Wszedł za Em do środka.

Zatrzymała się tuż za drzwiami i rozejrzała po sali, zobaczyła kilku gości umilających sobie popołudnie w gospodzie, a w końcu ruszyła do kantoru.

– Muszę sprawdzić, czy Hilda potrzebuje pomocy na dzisiejszy wieczór.

Depcząc jej po piętach, Jonas pozdrowił skinieniem głowy starego pana Wrighta i państwa Weatherspoonów, zauważył artystę Hadleya siedzącego samotnie w zacienionym rogu pomieszczenia, z otwartym szkicownikiem, który leżał przed nim na stole. Po chwili nachylił się do idącej przed nim Em.

– Wstąpię do Lucyfera, dowiem się, czy odkrył coś w swoich książkach, a potem odwiedzę Silasa Coombe’a.

Em zatrzymała się koło baru i spojrzała na niego zdziwiona.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jego zbiory nie są tak wielkie, jak we dworze, ale on ma eklektyczne upodobania. Może uda mu się znaleźć jakieś powiązanie z naszym cytatem, a jeśli go poproszę, to chyba nie odmówi mi tej przysługi.

Spojrzała mu w oczy, mrużąc powieki, lecz po chwili skinęła głową i skierowała się do kantoru.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że od czasu naszego nieporozumienia zachowywał się bardzo przyzwoicie.

Mruknął pod nosem i poszedł za nią.

Usłyszał ciche westchnienie, gdy odłożyła na biurko torebkę.

Płynnymi ruchami zbliżył się do niej, wziął ją w ramiona, przyciągnął ku sobie, trzymając w opiekuńczych objęciach. Oparłszy podbródek na gładkiej głowie Em, po prostu tulił ją. Po chwili zaczął się delikatnie kołysać.

– Nie martw się. Być może twoje poszukiwania trwają jakiś czas, ale my dopiero je zaczynamy. Mam na myśli nie tylko mnie, ale Lucyfera, Phyllidę, Filinga, pannę Sweet i wszystkich, których prosiliśmy o pomoc. W końcu ktoś będzie coś wiedział, poznamy odpowiedź i odnajdziemy wasz skarb. – Pocałował ją w skroń. – Zaufaj mi, przekonasz się, że mam rację.

Zamknęła oczy, nieco uspokojona wtuliła się w niego. Przez okamgnienie upajała się czymś, czego dotąd nie znała, czego w całym życiu nikt inny jej nie podarował. Pociechą, oparciem – takim bezwarunkowym i niezłomnym. Niby prosta rzecz, a jakże wzruszająco pomocna.

Taka na miejscu.

W korytarzu rozległy się szybkie, ciche kroki. Jonas niechętnie opuścił ręce, ona równie niechętnie cofnęła się, oderwała od niego i czekała na nieuchronne wieści, co znowu złego się wydarzyło.

Nauczyła się, że takie szybkie, lekkie kroki z reguły zapowiadają kryzysową sytuację.

W drzwiach zjawiła się Issy, wyraźnie zdziwiona. Oprócz tego nie przejawiała jakichkolwiek oznak paniki czy choćby niepokoju.

Em zaczęła się zastanawiać, czy tym razem instynkt ją oszukał, czy nie ma żadnego kryzysu – to jej przygnębienie sprawiało, że oczekiwała wszystkiego, co najgorsze – kiedy Issy przerwała ciszę.

– Widziałaś bliźniaczki?

Zapadło milczenie.

– Nie – odparła Em beznamiętnym głosem. – A gdzie one są? A raczej, gdzie były?

Issy weszła do środka.

– Powiedziałam im, że mogą się pobawić przez pół godziny po lunchu, a potem mają przyjść na górę i pomóc mi w cerowaniu. Próbowałam nauczyć je podstaw szycia. – Zerknęła na Jonasa, potem znowu spojrzała na Em. – Na początku wcale się nie zdziwiłam, gdy nie przyszły. Po prostu zajęłam się pracą, myślałam, że lada chwila wrócą i będą miały tysiąc usprawiedliwień na swoje spóźnienie, ale one w ogóle się nie zjawiły.

Em popatrzyła na zegar stojący na szafce.

– Jest już po trzeciej.

Issy przytaknęła.

– Zdałam sobie z tego sprawę i parę minut temu zaczęłam ich szukać. Sprawdziłam, że na górze ich nie ma, potem wypytałam Hildę i dziewczęta, ale nikt ich nie widział od chwili, gdy po lunchu wyszły na podwórko.

Od tamtej pory minęły ponad dwie godziny.

– Nie mogły ujść daleko. – Em powiedziała sobie, że poszły zbierać jeżyny, albo zobaczyły coś, co zaabsorbowało ich uwagę, więc pewnie niedługo wrócą, skruszone i pokorne. Machnęła ręką, odsyłając Issy w kierunku kuchni.

– Pójdę pomóc ich szukać.

– Pójdziemy – stwierdził Jonas i wyszedł za nią z kantoru. – Sprawdzę, czy może są gdzieś na błoniach, a jeśli nie, zobaczę w probostwie.

Em skinęła głową i pobiegła za Issy.

Jonas przeszedł przez bar, kierując się ku drzwiom.

* * *

Kiedy wrócił po pół godzinie, Emily czekała na niego w głównej sali. Przyprowadził ze sobą Joshuę i Henry’ego.

Nie musiał pytać, czy odnalazła dziewczynki, gdyż jej zaniepokojona twarz mówiła wszystko.

Jedno spojrzenie na ich twarze wystarczyło, aby zrozumiała, że oni także nie odszukali bliźniaczek. Splotła mocno dłonie, spoglądając w oczy Jonasa.

– Gdzie one mogą być?

Zawahał się.

– Czy szukałaś w… – Systematycznie wymieniał wszystkie możliwe miejsca, znajdujące się w pobliżu atrakcje mogące znęcić dwie żądne przygód dziewczynki. Wiedział z doświadczenia, że we dwie mogły zajść dalej, niż odważyłoby się jedno dziecko.

Wszedł John Ostler i powiedział, że nie znalazł ich śladu w żadnym z miejsc, które sprawdził.

Tak więc wszyscy razem przeszukali w sumie gospodę i jej najbliższe otoczenie.

Jonas spojrzał na Em i zadał pytanie, które musiało w końcu paść.

– To chyba nie jest u nich norma, prawda? Tak po prostu zniknąć?

Wyraźnie podenerwowana pokręciła głową.

– Zazwyczaj łazikują tylko wtedy, gdy nie mają nic innego do roboty. Jeśli wiedzą, że mają być w jakimś miejscu o konkretnej godzinie, że mają coś do zrobienia, i wiedzą, że ktoś na nie czeka, normalnie przychodzą, chociaż czasami bywają spóźnione. Ale teraz to nie jest zwykłe spóźnienie.

– Masz rację. – Sytuacja robiła się poważna.

Pobladła Issy stanęła obok siostry.

– Ostatnio były bardzo grzeczne, jakby w końcu pogodziły się z faktem, że muszą się nauczyć tego, co im przekazywałam. Nawet nie próbowały wymigiwać się od lekcji, i to od paru tygodni.

Joshua wziął Issy za rękę, skinął głową w kierunku Em.

– Nie martwcie się. Odnajdziemy je.

Jonas nie zawracał sobie głowy mówieniem tego, co oczywiste.

– Gdziekolwiek są, nie mogą być daleko, bo były tutaj jeszcze niecałe trzy godziny temu.

Unosząc głowę, rozejrzał się po obecnych w gospodzie gościach, zarówno w barze, jak i w części zajmowanej przez kobiety. Było już sporo klientów, którzy wpadli na popołudniową herbatkę. Oczywiście wszyscy z zainteresowaniem przysłuchiwali się rozmowie i śledzili rozwój sytuacji. Donośnym głosem powiedział:

– Musimy zorganizować poszukiwania.

Zgłosili się wszyscy, nawet panna Sweet i panna Hellebore, które przyszły spróbować porzeczkowych babeczek Hildy.

Em była wzruszona. Podczas gdy Jonas konferował z mężczyznami i kilkoma kobietami, które były w stanie odbywać piesze wędrówki po okolicy, przydzielając im różne tereny poszukiwań, ona wysłała Issy po papier i ołówek, a następnie poprosiła pannę Sweet i pannę Hellebore, aby zapisywały nazwiska i miejsca, które dana osoba ma przeszukać, zanim jeszcze grupa opuści gospodę.

– Jeśli ktoś zgłosi się po powrocie, będziemy przynajmniej wiedzieć, gdzie bliźniaczek nie ma.

Jonas wyszedł razem z Johnem Ostlerem i Dodswellem, stajennym Lucyfera, aby przeczesać las za gospodą.

– Pójdziemy aż do rzeki. Jeśli odkryjemy jakiś ślad, że poszły właśnie tamtędy, przyślę Dodswella, żeby was zawiadomił, a ja z Johnem ruszymy ich tropem.

Em skinęła głową i ścisnęła jego dłoń. Miała nadzieję, modliła się w duchu, aby odnalezienie małych siostrzyczek okazało się jedynie kwestią zajrzenia w odpowiednie miejsce.

Joshua z Hadleyem mieli przeszukać kościół, znajdujące się pod nim krypty oraz dzwonnicę.

– Krypty i dzwonnica są zamknięte na klucz, ale wisi on na gwoździu w widocznym miejscu w zakrystii, więc z pewnością mogły go zauważyć – stwierdził pastor z kwaśną miną. – W obu miejscach są bardzo strome schody. Możliwe, że wpadły w panikę i zaklinowały się w jakimś ciasnym załomie.

Em już chciała go zapewnić, że to było raczej mało prawdopodobne, gdyż dziewczynki uwielbiały wspinać się na drzewa i wciskać się we wszelkie zakamarki, lecz zanim

zdążyła wyrazić swą wątpliwość, naszła ją zupełnie inna myśl. Spojrzała na Issy i wyczytała z jej twarzy podobny niepokój.

Jeśli jedna z bliźniaczek miała wypadek, na przykład spadła i złamała nogę, druga nie odeszłaby od niej, aby wezwać pomoc. Czekałyby razem na ocalenie.

– Gdziekolwiek są, nie mogą być daleko – powtórzyła słowa Jonasa, aby uspokoić Issy i siebie.

Młodsza siostra odetchnęła ciężko.

– Razem z Henrym obejdziemy chaty wzdłuż drogi. Nawet jeśli ich tam nie ma, być może ktoś je widział.

Em wskazała im, aby podeszły do panny Sweet i panny Hellebore, a potem rozejrzała się dookoła. Oprócz dwóch starszych pań w gospodzie pozostała już tylko ona, Edgar za barem oraz Hilda z dziewczętami, które szykowały obiad w kuchni. Pozostali już wyszli, rozpoczęli poszukiwania.

Em nabrała wolno powietrza, aby nieco się uspokoić, po czym zbliżyła się do baru.

– Dla wszystkich, którzy biorą udział w poszukiwaniach, kolejka na mój rachunek.

Edgar nachylił się i lekko poklepał ją po dłoni.

– Nie martw się, panienko. Znajdą te dwa aniołki całe i zdrowe, przyprowadzą je tu lada chwila.

Spróbowała się uśmiechnąć.

Czekała, lecz chociaż z czasem poszczególne osoby zaczęły wracać, nikt nie przyprowadził aniołków do domu. Na polecenie Em Edgar otworzył bar wcześniej i serwował spienione piwo spragnionym poszukiwaczom.

Stopniowo poza gospodą pozostawało coraz mniej osób. Panna Sweet i panna Hellebore miały coraz bardziej zatroskane miny, gdy uzupełniały listę miejsc, w których nie znaleziono dziewczynek. Kiedy jako ostatni do gospody wrócili Jonas, John Ostler i Dodswell, a Jonas już od progu spojrzał na Em i smutno pokręcił głową, w sali rozległ się pomruk zaniepokojonych zebranych.

Em poczuła, że blednie. Ciężko oparła się o bar.

Jonas szybko podbiegł i przytrzymał ją za ramię. Zajrzał jej w oczy, uspokoił nieco swoim dotykiem, uwagą, swoją obecnością.

– Pchnę umyślnego do Axminster, żeby sprowadził konstabla.

Em dopiero po chwili pojęła sens tych słów, słabo kiwnęła głową. Skoro sądził, że to konieczne…

W tym momencie jej uwagę przykuł ruch koło drzwi. Tłum rozstąpił się, a wtedy do gospody wszedł paradnym krokiem Harold.

Uśmiechał się, kłaniał uprzejmie tym, których rozpoznał. Zaskoczeni jego jowialnym zachowaniem, przerwali rozmowy i patrzyli, jak idzie prosto do Em. Nastawili uszu.

Ona sama także poczuła się zbita z tropu. Przecież Harold musiał już słyszeć, co się stało. Ludzie mieszkający nawet w leżących dalej farmach przyszli tu, bo doszły do nich złe wieści, i chcieli być na miejscu, aby dowiedzieć się więcej i ewentualnie pomóc.

Ale Harold na pewno nie przyszedł pomóc. Tylko dlaczego się uśmiechał?

Zachowała kamienny wyraz twarzy i czekała, aż wuj się zbliży. Jonas odwrócił się od grupki mężczyzn, z którymi konsultował kwestię jazdy do Axminster, po czym stanął przy Em, twarzą do Harolda.

Kątem oka dostrzegła Issy z Joshuą w pierwszym rzędzie tworzącego się kręgu osób.

Harold stanął przed Em i popatrzył na nią z szerokim uśmiechem zadowolonego z siebie i triumfującą miną.

– No i co, moja panno… czy teraz nabierzesz rozumu, aby spakować swoje rzeczy?

Poczuła w żyłach przenikliwy lód. Wyprostowana, wbiła wzrok w wuja.

– Wuju Haroldzie. – Powiedziała to strasznym, tłumionym głosem, na którego dźwięk zamrugał. Em nabrała pełne płuca powietrza. – Czy widziałeś moje małe siostry bliźniaczki?

Otworzył szeroko oczy.

– Ależ oczywiście. Przecież przyszedłem tu, aby ci o tym powiedzieć.

Poczuła ogromną ulgę.

– Bogu niech będą dzięki.

– Też tak myślę. – Wbił w nią surowy wzrok. – Zapakowałem je do powozu i odesłałem do Runcorn, tam, gdzie jest ich miejsce, a także twoje, twojej siostrzyczki i braciszka. Więc jeśli wszyscy troje – spojrzał przelotnie na Issy i Henry'ego – szybko spakujecie swoje rzeczy, możemy zaraz wyruszać.

Nastała głucha cisza. Wszyscy patrzyli w osłupieniu, nie mogąc tego pojąć.

Em poczuła, jak ogarnia ją fala czystej furii, jednak po chwili opanowała się. Nie mogła dać się ponieść nerwom do czasu odzyskania sióstr.

– Przynajmniej mamy teraz jasność, wuju Haroldzie.

Zorientował się, że zapadło ogólne milczenie, i teraz rozglądał się dookoła, bardziej z ciekawości niż z niepokoju. Był tak nieczuły, że nie zauważył wzmagającej się wokół niego fali wrogości. Powrócił wzrokiem do Em.

Pochwyciła jego spojrzenie.

– Odnalazłeś je, zwabiłeś i uprowadziłeś. Dokąd?

– Musbury – prychnął. – Durne chciały się nauczyć powozić dwukółką, a więc zaproponowałem, że je tego nauczę w moim gigu. Zawiozłem je do Musbury, gdzie czekała na mnie kareta, wsadziłem do środka z najętą opiekunką i wysłałem razem ze stangretem i stajennym do Runcorn.

– I one zgodziły się na to bez oporu? – Nie mogła w to uwierzyć.

– No, jęczały i wyły w niebogłosy, ale przecież wiesz, jakie są małe dziewczynki. – Bagatelizująco machną ręką. – Związałem im łapki chustami, zatrzasnąłem drzwi i kazałem woźnicy jechać na złamanie karku. – Klasnął w pulchne dłonie i zatarł je w geście triumfu. – No więc jesteś gotowa, aby za nimi pojechać?

– Nie mogli odjechać daleko – powiedział Jonas do Em. – Ruszę za nimi i przywiozę je.

Musiał coś zrobić, coś, co pozwoliłoby mu wyjść z gospody, zanim straci nad sobą panowanie i rozprawi się z wujem tak,

jak sobie na to zasłużył.

Ścisnął ją za ramię pocieszająco. Obrzuciwszy Potheridge'a pogardliwym spojrzeniem, minął go i skierował się do drzwi.

– Ja też pojadę.

To odezwał się Filing, w którego głosie Jonas usłyszał tę samą tłumioną furię. Zobaczył, jak wikary spogląda potępiająco na Potheridge'a, a następnie rusza za nim do wyjścia.

Potheridge odwrócił się ze wściekłą miną, jakby spotkała go zniewaga.

– Zaczekajcie! To nie wasza sprawa, co robię z moimi siostrzenicami!

Joshua zacisnął pięści i stanął obok Jonasa. Obaj mężczyźni odwrócili się, obrzucając Harolda pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

– Wręcz przeciwnie. O ile wiem, bliźniaczki nie są pańskimi siostrzenicami. I nie jest pan ich opiekunem, więc nie ma pan w ogóle prawa nimi rozporządzać. A poza tym szybko przekona się pan, że porwanie jest nadal uznawane za przestępstwo.

– Porwanie? – Potheridge wybałuszył oczy. – Bzdura! – Rozejrzał się wokół i w końcu zrozumiał, że nikt z obecnych nie jest po jego stronie. Wyprężył pierś. – Ładne rzeczy! Ja chcę tylko…

– To, czego chcesz – przerwał mu Jonas – nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest tylko to, czego chcą te dziewczynki oraz Em, jako ich opiekunka. – Spojrzał na nią i kiwnął głową. – Wyruszamy. Nie martw się, odzyskamy je. – Jeszcze raz spojrzał na jej wuja i skrzywił się z widoczną pogardą. – Gdybyś nie był w wieku mojego ojca, dałbym ci nauczkę, której długo byś nie zapomniał.

– A gdybym ja nie był osobą duchowną, chętnie bym w tym pomógł – dorzucił szorstko Joshua.

Zaskoczony Potheridge cofnął się o krok.

Tymczasem Jonas z Joshuą pośpiesznie opuścili gospodę.

Em patrzyła za nimi, chciała do nich dołączyć, ale wiedziała, że musi zostać w gospodzie i zająć się Haroldem.

Zebrała się w sobie, gdy wuj – z poczerwieniałą z wściekłości twarzą – zabulgotał gardłowo i odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

Zebrany tłum poruszył się. Thompson zrobił krok i stanął między nią a Haroldem, mierząc go wzrokiem.

– Tak sobie myślę – powiedział miękkim głosem, powoli sącząc sylaby – że ty i ja jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. I Pan Bóg wie najlepiej, że nie jestem osobą duchowną. Zatem…

Jednym szybkim, krótkim ruchem Thompson wyrżnął wielką pięścią prosto w szczękę Harolda.

Przestraszona Em nachyliła się, aby zajrzeć pod uniesione ramię kowala, i zobaczyła, jak Harold przewrócił oczami i powoli zwalił się na plecy.

Patrzyła przez chwilę w milczeniu, tak jak wszyscy zebrani, na bezwładną postać wuja, a gdy uniosła głowę, ujrzała przez otwarte drzwi Jonasa i Joshuę, którzy zatrzymali się na podwórku i patrzyli, co się dzieje.

Po chwili Jonas – z miną wyrażającą ponurą satysfakcję – zasalutował Thompsonowi.

Ten ponaglił go.

– My tu wszystkiego dopilnujemy, a wy jedźcie i przywieźcie nam te aniołki.

Jonas uniósł dłoń, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Rozdział 16

Em nie musiała robić absolutnie niczego. Niemal wszyscy mieszkańcy zgromadzili się w gospodzie i nie pozwolili jej tknąć palcem żadnej pracy.

Wezwani przez pannę Sweet Lucyfer z Phyllidą, którzy wcześniej byli w zajeździe, lecz wrócili do domu zająć się synami, przybyli na miejsce tuż po konfrontacji – w momencie gdy Thompson i Oscar, trzymając Harolda za ręce i nogi, wyrzucili go z gospody. Lucyfer popatrzył na leżącego, po czym kazał Thompsonowi posadzić go i oprzeć na ławie przylegającej do frontowej ściany.

– On ma się wynosić z mojego domu. – Panna Hellebore, wyjątkowo jak na nią nastawiona bardzo wojowniczo, energicznie postukała laską w podłogę.

Em zesztywniała. Nie była pewna, czy nawet w obecnej sytuacji jej wuj zechce wyjechać. A gdyby zażądał pokoju w zajeździe… Uniosła głowę i poczuła na sobie mroczny wzrok Phyllidy.

Żona Lucyfera niemal niedostrzegalnie skinęła głową i przykucnęła obok krzesła panny Hellebore.

– Po prawdzie – powiedziała – gdyby pani udało się nie wyprosić go za drzwi, może byłoby najlepiej, gdyby sam się wyniósł. Jeśli pani go wyrzuci, zapewne będzie nalegał, aby panna Colyton dała mu kwaterę w zajeździe. – W sali rozległ się groźny pomruk niezadowolenia. Phyllida również go usłyszała. – A to nie byłoby dobre.

Po takim przedstawieniu sprawy panna Hellebore zgodziła się pozwolić Haroldowi zostać pod jej dachem. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że nie był tam mile widziany – ani tam, ani nigdzie w wiosce.

Czekanie nigdy nie było mocną stroną Em – jej natura nie tolerowała tego stanu. Z każdą mijającą godziną czuła narastające napięcie – mieszkańcy pozostali w gospodzie i wręcz nalegali, że będą wszystko za nią robić, a ona nie była w stanie im odmówić, zatem nie miała się czym zająć i nie mogła choćby częściowo zapomnieć o niepokoju.

Była coraz bardziej zdenerwowana.

Wierzyła bez zastrzeżeń, że Jonas z Filingiem odzyskają dziewczynki, lecz dopiero gdy zobaczy je na własne oczy, przytuli i poczuje obejmujące ją małe rączki – dopiero wtedy zazna spokoju.

W panującym wokół gwarze nikt nie usłyszał chrzęstu kół na żwirze przed gospodą.

Pierwszym sygnałem zapowiadającym powrót dziewczynek był szybki tupot ich trzewików i głośne okrzyki.

– Em? Em?

Wszyscy się rozstąpili. Bliźniaczki ujrzały siostrę stojącą koło baru, więc uniosły nieco rąbki spódniczek i podbiegły co tchu, rzucając się w jej otwarte ramiona.

Chwyciła je, przytuliła mocno, mrugając szaleńczo, aby powstrzymać cisnące się do oczu łzy – przecież musiała je dokładnie obejrzeć i sprawdzić, czy są całe i zdrowe. Gdy upewniła się, że nic im nie jest, zaczęła głaskać ich lśniące główki. W końcu mogła się uśmiechać. Po chwili dołączyła do nich Issy.

Bracia Thompson wznieśli radosne okrzyki, szybko podchwycone przez resztę. Gert i Bea, które zawsze lubiły znajdować się w centrum zainteresowania, tym razem rozejrzały się dookoła, zdziwione.

Szybko znudziły im się przejawy sympatii w postaci przyjaznego poklepywania i głaskania, więc cofnęły się na odległość wyciągniętej ręki. W tym momencie Gert wykrzyknęła:

– To ten okropny pan!

Bea spojrzała wielkimi oczami na Em. Jej usta drżały.

– Okłamał nas!

Dziewczynki wiedziały, że nie wolno kłamać, zatem sama myśl, że oszukał je dorosły, była dla nich niepojęta.

– Wiemy, że to wasz wuj. – Gert spojrzała po kolei na Em, Issy i Henry'ego, który właśnie do nich podszedł.

– Ale ten pan nie jest miły – stwierdziła Bea. – Nie chcemy u niego zamieszkać.

Em pokiwała głową.

– I nie zamieszkamy. Ani teraz, ani nigdy.

Bea wzięła Em za rękę.

– To dobrze. – Rozejrzała się dookoła. – Macie tu przyjęcie?

Kilka osób roześmiało się. Lady Fortemain z uśmiechem przywołała dziewczynki do siebie. Weszły między obecnych, żeby się przywitać, opowiedzieć swoją historię, bez wątpienia okraszoną różnymi komediowymi ozdobnikami.

Issy pokręciła głową, ale także się uśmiechnęła.

– W głowach im się poprzewraca. Rano będą nie do zniesienia.

– Ale jutro mamy nowy dzień – odparła Em. – A teraz za bardzo się cieszę, aby przywoływać je do porządku. Weźmiemy się za nie jutro.

Rozległa się kolejna salwa radosnych okrzyków, gdy w drzwiach pojawili się dwaj bohaterowie tego dnia – Jonas i Joshua. Obaj podjęli wyzwanie i zachowali się, jak na herosów przystało, wywołując salwy śmiechu, lecz od razu pragnęli znaleźć się jak najbliżej Em i Issy.

Em zorientowała się w sytuacji.

– Ogłoś, że gospoda stawia kolejkę wszystkim – powiedziała do Edgara.

Edgar z uśmiechem wykonał polecenie, od razu skupiając na sobie uwagę gości, a w tym momencie Jonas i Filing wykorzystali sposobność, aby przepchnąć się przez tłum.

Em wyciągnęła ku nim ręce.

– Dziękuję wam.

Filing z uśmiechem uścisnął jej palce, ale już po chwili odwrócił się do Issy, aby przyjąć wyrazy wdzięczności również od niej.

Kiedy odeszli na bok, Jonas podniósł dłoń Em do swych ust.

Spojrzała w jego ciemne oczy.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować.

Uśmiechnął się.

– Możesz spróbować. Później.

Wybuchnęła śmiechem.

Położył jej dłoń na ramieniu i rozejrzał się dookoła.

– Przecież ci mówiłem, że ty i twoja rodzina jesteście pod moją opieką.

Zerknęła na niego z ukosa.

– To właśnie miałeś na myśli?

– Mam was chronić. Między innymi.

– Nawet takie dwie małe diablice?

– Nawet. Kiedy je znaleźliśmy, wyrywały się jak dzikie kotki, gotowe rzucić się na Harolda i rozszarpać go. Na szczęście dla niego to nie on, lecz ja z Filingiem wyciągnęliśmy je z karety. Sługusów Harolda nie było trudno przekonać do wydania dziewczynek. Zostali najęci w Musbury i nie mieli pojęcia, że biorą udział w uprowadzeniu, bo Harold powiedział im, że jest opiekunem bliźniaczek.

– On doskonale wie, że nim nie jest, po prostu robi to, co mu odpowiada.

– A właśnie, gdzie on jest?

– Thompson z Oscarem zostawili go na ławie przed gospodą. Kiedy odzyskał przytomność, pewnie poszedł sobie. Niedawno panna Sweet poszła odwiedzić pannę Hellebore i sprawdzić, czy wrócił do swojego pokoju w jej domu, ale tam go nie było.

– Pewnie włóczy się po okolicznych drogach i rozmyśla o swych występkach.

Prychnęła z ironią.

– Piękna wizja, ale mało prawdopodobna.

Jonas nagle jakby otrzeźwiał.

– Jeśli tu wróci…

– Oczywiście, że wróci, ale nie spróbuje już więcej robić takich rzeczy. Przypuszczam, że będzie udawał skruchę i

jeszcze raz zechce przekonać nas do swej koncepcji, ale to wszystko. – Spojrzała na niego. – Dam sobie z nim radę.

Zacisnął usta i zastanowił się.

– Jeśli jeszcze cokolwiek się zdarzy, obiecaj, że mi o tym powiesz.

Zawahała się. Poczuła się trochę dziwnie, gdy miała obiecać, że poprosi o pomoc.

Szukał odpowiedzi w jej twarzy.

– Potraktuj to jako moją małą nagrodę za odzyskanie dziewczynek.

Zauważyła w jego ciemnych oczach, że bardzo mu zależy na przynajmniej tej deklaracji obietnicy. Od ich pierwszego spotkania przejawiał opiekuńcze tendencje. Chyba były w nim mocno zakorzenione – nie wyobrażała sobie go bez tej cechy.

Mimo że przyjęcie jego propozycji wciąż wydawało się dziwne, Em kiwnęła głową.

– Dobrze. Jeśli pojawią się nowe kłopoty, dam ci znać.

Ta odpowiedź wyraźnie go zadowoliła. Odprężył się, a wtedy zobaczył, jak Phyllida przywołuje go ruchem dłoni. Em chciała odejść w przeciwną stronę, lecz on ujął ją za rękę i poprowadził, aby razem z nim uczestniczyła w rozmowie z jego siostrą.

* * *

Dużo później, gdy wszyscy skończyli świętowanie i wrócili do domów, Jonas poszedł za Em do pokoi nad pomieszczeniami gościnnymi zajazdu, które zajęło jej rodzeństwo.

Bliźniaczki po swojej przygodzie poszły na górę dopiero o dziewiątej. Tak samo Issy z Henrym zmęczeni wydarzeniami dnia, udali się na spoczynek godzinę temu. Em minęła dwa pokoje, których drzwi były zamknięte, i zbliżyła się do tych ostatnich na końcu wąskiego korytarza.

Były uchylone. Kiedy Em otworzyła je szerzej i zajrzała do środka, zobaczyła migoczący płomień świecy.

Po drugiej stronie pokoju stały wezgłowiem zwrócone do ściany dwa łóżka. W każdym spał jeden aniołek. Na poduszkach

leżały zaróżowione cherubinkowe twarzyczki, a wokół nich rozsypane złociste włosy.

Obserwując tę scenę znad głowy Em, Jonas usłyszał jej ciche westchnienie. Wyrażało ulgę, miłość, zadowolenie.

Dziewczynki spały niespokojnie, rozkopały pościel; ich delikatne, zaokrąglone rączki i stopy były wystawione na chłodne wieczorne powietrze. Em podeszła na palcach, nakryła je dokładnie i pocałowała każdą w czoło.

Jonas obserwował ją, stojąc z rękami w kieszeniach oparty o ramę drzwi. Ujrzał na jej twarzy nieskrywaną miłość, niezmierzoną troskliwość, która wyrażała się w każdym dotyku, w każdym spojrzeniu.

Ogarnęło go przemożne pragnienie, aby w taki sam pełen miłości sposób patrzyła również na jego syna lub córkę. Było to dla niego zupełnie nowe odczucie, potężne, przejmujące, które owładnęło nim i nie chciało puścić.

Em zostawiła w spokoju śpiące siostry i wróciła do niego. Uniósłszy palec do ust, aby zachował ciszę, kiwnęła na niego ręką, po czym pierwsza wyszła z pokoju i przymknęła drzwi.

Spojrzała na niego z uśmiechem ruszyła z powrotem korytarzem i dalej tylnymi schodkami na dół. Jonas nie odstępował jej. Na podeście pierwszego piętra otworzyła pogrążone w mroku drzwi. Wszedł za nią do małej łaźni, która przylegała do jej sypialni.

Poprowadziła go prosto dalej.

Myśląc, że Em chce przejść dalej do salonu, w sypialni ujął jej dłoń – dokładnie w momencie, gdy sama się odwróciła, aby stanąć twarzą do niego. Patrząc mu w oczy, uśmiechnęła się i wtuliła się w jego ramiona, objęła go za szyję, stanęła na palcach i pocałowała w usta.

Głęboko. Bez rezerwy. Z całkowitym oddaniem.

Instynktownie położył dłonie na jej talii. Przez chwilę delektował się jej podarunkiem; chciał sam przejąć inicjatywę, wziąć jeszcze więcej, gdy odsunęła się.

Stanęła na piętach i patrzyła nań rozpromieniona.

– Dziękuję ci.

Popatrzył na nią lekko zdziwiony.

– Nie chcę twoich podziękowań. – Przygarnął ją mocniej ku sobie. – Nie chcę nawet twojej wdzięczności.

Spokojna w męskich objęciach, oparła dłonie na jego ramionach i spojrzała pytająco.

– Po prostu chcę ciebie.

W tych prostych słowach zabrzmiało pełne przekonanie. Przechyliła głowę, nie odrywając wzroku od jaśniejącej w blasku księżyca twarzy Jonasa.

– Dlaczego?

Musiała znać odpowiedź na to najważniejsze pytanie. Szczerą, jasną, bez owijania w bawełnę.

Chyba zrozumiał, o co jej chodzi, nie zbył jej gładkim frazesem. Pomyślał chwilę.

– Ponieważ… – odezwał się powoli, z lekkim wahaniem, nabierając dużo powietrza. – Ponieważ bez ciebie moje życie nie będzie pełne.

Chciała poprosić o dalsze wyjaśnienie, lecz Jonas najwyraźniej nie potrafił znaleźć słów. Przyciągnął ją, nachylił się i pocałował.

Od pierwszego dotyku jego warg wyczuła… musiała pomyśleć, czy to jest część jego odpowiedzi, czy chciał pokazać jej, zademonstrować to, czego nie umiał, a może nie chciał powiedzieć słowami.

Wcześniej zawsze starał się chwilę zaczekać i ocenić jej reakcję przed przejściem do kolejnej zmysłowej fazy, kolejnej przyjemności. Jednak teraz było coś więcej. Wyczuła to, gdy oderwał od niej usta, by w świetle księżyca dotknąć jej ust, wodzić opuszkami palców po konturach jej twarzy.

Robił to niemal z uwielbieniem. W końcu nachylił głowę i ponownie złączył ich usta, wciągając ją w ognisty wir.

Poczuła znajomą, narastającą falę gorąca, ogarniające ją coraz większe płomienie namiętności. Razem zapadali w rozpaloną czeluść, ogarnięci żarem wzajemnego, coraz silniejszego pożądania, które oczekiwało zaspokojenia.

Być może to nabyte doświadczenia, przyzwyczajenie do rozkosznych przyjemności pozwoliło Em pełniej odczuć na sobie jego pełną uwagę, skupienie tylko i wyłącznie na jej osobie, gdy powoli ją rozbierał i rzucał ubrania na podłogę, gdy chłonął wzrokiem i zmysłami każde kolejne odsłaniane miejsce jej cudownego ciała. Które było tylko jego.

Aby mógł się nim sycić. Zawładnąć, wziąć w niewolę.

Jednak nie było to zwykłe, chciwe zawładnięcie. Chociaż już teraz czuła zawrót głowy, rozkoszny taniec zmysłów, tym razem wyczuła jeszcze coś – być może dlatego, że właśnie tego szukała. Jego oddanie. Szacunek wynikający z głębszych uczuć i emocji tkwiących w samym sercu, które splecione z namiętnością i pożądaniem dawały nieskończenie silniejszy efekt.

Wiedziony tym samym nabożeństwem i pasją przewrócił ich oboje, nagich, na łóżko, oderwał od niej usta, aby dłońmi, oczami, opuszkami palców rzeźbić jej ciało, wodzić po krągłościach, obejmować w posiadanie rozgrzaną skórę, a potem powtórzyć to wszystko, od stóp do głów, wargami, ciepłym, szorstkim językiem.

Dotarłszy tym sposobem do stóp, rozchylił jej nogi i zaczął wędrować ustami wyżej po ich wewnętrznej stronie Oddychała szybko, wyginała ciało. Wsunęła palce w jego jedwabiste włosy, żądając coraz więcej, aż zanurzył twarz między jej udami i uniósł ją ku krainie szczęścia.

Pieścił, smakował, a potem uniósł się, przesunął, nakrył ją ciałem i wszedł w nią jednym długim pchnięciem.

Jęknęła, znowu wyprężając się, wychodząc mu naprzeciw. Otworzyła się dla niego, czekała, objęła go.

Przyjęła go w sobie głęboko, czując falę emocji, które na wskroś ją przenikały. Falę coraz większą, coraz szerszą i nieprzeniknioną głębię.

Wywołującą coraz większe uzależnienie i podniecenie.

Pochwycona tym prądem, owładnięta rosnącym żarem, położyła dłoń na policzku Jonasa. Przywiodła jego usta ku swoim, spragnionym, pragnącym oddać się pocałunkowi.

Nachylony nad nią, oparty na wyciągniętych ramionach, wydał stłumiony odgłos, wyginając mocno kręgosłup, gdy wchodził w nią niepowstrzymanym rytmem. Jej gibkie kobiece kształty, ściśnięta i gładka gorąca pochwa, spragnione ciało stanowiło uosobienie rozkoszy.

Położył sobie na biodrze jej kolano, potem drugie, aż otworzyła się przed nim jeszcze bardziej, aby mógł penetrować jeszcze głębiej jej gorące czeluście, wypełnić ją, posiąść, uczynić swoją.

Napiętnować jako swoją.

Wydawała się rozumieć jego nieodparte pragnienie. Objęła go nogami, nachyliła biodra oddając mu kolejny cal siebie, co natychmiast chciwie wykorzystał.

Ale to jeszcze było za mało, aby zaspokoić żądzę, która go teraz napędzała. Opierając się na łokciu, przeniósł ciężar ciała na tę stronę, a drugą ręką sięgnął niżej, wsunął pod jej biodro, chwycił jędrny pośladek i przycisnął ku sobie, zatrzymał, uwięził jak swoją własność, wpychał się w nią zaborczo coraz głębiej, raz, drugi, trzeci.

Z tłumionym okrzykiem doszła w jego ramionach.

Poczuł silne skurcze w jej pochwie, która coraz zachłanniej wciągała go i przeciągnęła ponad krawędź ostrej rozkoszy.

Kiedy spadał wraz z nią w otchłań przyjemności, gdy pochwyciły go spazmy własnego spełnienia, tym razem ona zawłaszczyła go sobie, trzymała, nie wypuszczając ich obojga z tego innego świata.

W końcu upadł na nią, spowity zmysłowym, niedającym się opisać szczęściem, nasyceniem, które uspokajająco rozchodziło się we wszystkie zakamarki jego ciała. Doznał nieznanego dotychczas poczucia pewności, spokoju, jakby ktoś położył mu na rozpalonym czole chłodną dłoń.

Em leżała pod nim bezwładna, ciepła, wyciszona, z wyrazem błogości na twarzy, pełnej satysfakcji. Miała zamknięte oczy, usta uśmiechały się ledwie dostrzegalnie.

W końcu Jonas zebrał w sobie dość siły – i woli – aby się przesunąć, rozłączyć ich ciała, zdjąć z Em swój ciężar, aby nie

musiała go na sobie dźwigać, wciśnięta w łóżko. Przewróciwszy się na plecy, przyciągnął ją, a ona położyła głowę na jego ramieniu i wydała ciche, syte westchnienie.

Jedna mała dłoń leżała na jego piersi. Na jego sercu.

Popatrzył przez chwilę, nakrył ją ręką.

I tam ją zatrzymał. Na swoim sercu.

Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał nieco mrocznie, lecz bardzo wyraźnie.

– Przybyłaś tu, do Colyton, aby wypełnić puste miejsce w naszej społeczności. – Zamilkł na moment. – A teraz uczyniłaś to samo ze mną.

Usłyszała każde słowo i upewniła się, że miała rację, że właśnie to – to wszystko, łącznie z tymi słowami, tą deklaracją, razem wzięte – było odpowiedzią na jej pytanie.

Miał odpowiedzi na jej pytania. Dobre odpowiedzi, prostu z duszy.

Leżała, chłonąc prawdę, aż przeniknęła do jej serca i rozumu, a potem wysunęła dłoń przyciśniętą do jego piersi na tyle, by kciukiem zahaczyć o jego kciuk i połączyć je.

Zamykając oczy, oddała się w objęcia Morfeusza, ale w ramionach Jonasa, z dłonią na jego sercu.

* * *

Następnego dnia była niedziela, więc Em wzięła udział w nabożeństwie razem z Issy, Henrym i bliźniaczkami. Jonas nie pojawił się. Przypuszczała, że mogło to mieć związek z późną godziną, już po świcie, o której opuścił jej łóżko. Mimo to obiecał, że zobaczy się z nią później, czym całkowicie się zadowoliła.

W rzeczy samej, czuła duże zadowolenie, którego to odczucia nigdy tak naprawdę nie zaznała. Jonas chciał ją pojąć za żonę, ona zaś miała coraz większą pewność, że także chce go poślubić, że powody jego propozycji są jak najbardziej właściwe, niezachwiane, którym może zaufać, na których może oprzeć przyszłość.

Należało jeszcze odnaleźć skarb, lecz ponieważ była niedziela, a poprzedniego dnia wszyscy przeszli silną traumę – zdecydowała się odłożyć poszukiwania i cieszyć się pięknym dniem, radością wynikającą z obecności bliźniaczek, które podskakiwały i tańczyły, idąc przed nią przez błonie w kierunku zajazdu. Postanowiła cieszyć się z delikatnego uśmiechu uszczęśliwionej Issy, z faktu, że obok maszeruje z rękami w kieszeniach jej brat, zaabsorbowany powtarzaniem z pamięci trudnych deklinacji.

Uniosła głowę i poczuła łagodną bryzę, która bawiła się tasiemkami jej czepka, poczuła na policzkach słabe ciepło słońca. I rozjaśniła się.

Jakiż to dobry dzień.

Oczekiwała, że będzie ich o wiele więcej, lecz mimo wszystko musiała przecież zarządzać gospodą.

Już wcześniej przybyli dodatkowi goście. Zajął się nimi Edgar, który nie chodził do kościoła. Pochwaliła wydane przez niego dyspozycje, potem zajrzała do Hildy i jej dziewcząt. Wszystko było gotowe na serwowanie lunchu, więc Hilda, śmiejąc się, przepędziła Em z kuchni.

Issy miała się zająć dopilnowaniem, by wszystko było gotowe na ich rodzinny obiad, na który zaprosiły także Jonasa i Joshuę w świetle ich bohaterskich wyczynów dnia poprzedniego, lecz do rozpoczęcia pozostało jeszcze pół godziny. Zajrzała do głównej sali, w której rozpoznała znajome twarze, więc podeszła, aby porozmawiać.

Swobodnie krążyła pośród mężczyzn w barze i kobiet po drugiej stronie pomieszczenia. Pan Hadley siedział samotnie w rogu, który szybko stał się jego kącikiem, co prawda pogrążonym w cieniu, lecz z tego miejsca mógł spoglądać przez okno na położone w oddali błonia oraz kościół.

Z uśmiechem zatrzymała się obok jego stolika.

– Jak tam pańskie szkice?

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Również odpowiedział jej uśmiechem. Przysunął szkicownik, który leżał na blacie pod jego dłonią, i otworzył go. – Proszę zobaczyć.

Ujrzała rysunek rzeźby stojącej w kościele obok ołtarza. Podobieństwo w szczegółach było uderzające. Przeniosła spojrzenie na jego twarz.

– Ma pan wielki talent.

Z wyraźną przyjemnością skłonił głowę.

– Bardzo dziękuję. – Zaprosił ją gestem, aby się przysiadła. – Proszę obejrzeć inne. Pani opinia będzie dla mnie bardzo cenna.

Zajęła miejsce na taborecie naprzeciwko Hadleya i spojrzała na kolejną stronę, gdzie widniała dokładna rysunkowa replika innej rzeźby. W dalszej części mocno już używanego szkicownika znalazła niezliczone studia oraz skończone rysunki. Precyzja, z jaką Hadley uchwycił szczegóły zabytków, była zdumiewająca, do tego stopnia, że Em niemalże wyobrażała sobie, iż spogląda na oryginał, a różnica była tylko w oświetleniu. Na większości szkiców nie było zbyt wiele światła i cienia, a nawet faktury. Tylko tam, gdzie rzeźby stały w zacienionym miejscu, Hadley postarał się uchwycić trochę atmosfery miejsca, więc efekt był dość upiorny.

Uśmiechnęła się i powiedziała mu to, zamknąwszy szkicownik.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu rysuję to, co widzę.

– Więc ma pan znakomite oko. Ale kiedyś był pan żeglarzem, prawda? A podobno oni mają bardzo bystre oko.

Roześmiał się.

– Tak, wiele osób tak uważa. Mówią też, że marynarze latają za spódniczkami, lecz w moim przypadku mogę powiedzieć, że przemierzyłem cały świat i widziałem wiele widoków, a to niezupełnie to samo.

Oparła podbródek na dłoni.

– Proszę mi opowiedzieć, co pan widział.

Spełnił jej prośbę.

Nietrudno było okazać fascynację, gdy opowiadał o swych podróżach, lecz Em odniosła wrażenie, że Hadley podejmuje dodatkowy wysiłek, aby ją oczarować. Nie odczuła niepokoju,

gdyż mężczyźni od czasu do czasu starali się być czarujący po prostu dlatego, że dobrze im to wychodziło.

Kiedy tak słuchała, uśmiechając się i potakując, przyszło jej do głowy, że chociaż Hadley wydawał się być jak otwarta księga – osoba żyjąca w pełnym świetle – to w rysunkach zdecydowanie wolał mroczne klimaty. Wydało się jej to dziwne, a zarazem ciekawe.

Podniesione głowy zebranych skierowały ich uwagę i spojrzenia ku oknu i rozgrywającej się za nim scenie. To Filing, który zbliżał się do gospody, został osaczony przez bliźniaczki. Plotąc trzy po trzy, obstąpiły go, każda wzięła go za rękę i pociągnęły pastora do gospody.

Śmiejąc się dobrodusznie, Filing ustąpił i pozwolił, aby dziewczynki przeprowadziły go przez gospodę jak zwycięskiego zdobywcę. Wszyscy obecni uśmiechali się. Zbyt zajęte swoją zdobyczą, bliźniaczki nie zauważyły siedzącej w rogu sali Em, jednak spostrzegł ją Joshua i ukłonił się z daleka. Lecz już po chwili małe siostry znowu skupiły na sobie jego uwagę i siłą zaciągnęły do kuchni.

Em zaśmiała się i odwróciła z powrotem do Hadleya, który oparł się, jeszcze głębiej wciśnięty w narożnik ławy. Ponownie zdziwiło ją to jego upodobanie do cienia.

Teraz uśmiechnął się przyjaźnie.

– Pani siostry bardzo polubiły wikariusza.

– Rzeczywiście. To godny szacunku człowiek.

– Musiała pani odczuć wielką ulgę po odzyskaniu dziewczynek.

– To prawda. – Poczuła na sobie znajomy wzrok. Rozejrzała się i zobaczyła Jonasa, który wyszedł z korytarza obok kantoru. – jestem bardzo wdzięczna wszystkim, którzy pomogli w poszukiwaniach. – Jonas czekał na nią, więc odwróciła się do Hadleya z grzecznym uśmiechem. – Proszę o wybaczenie.

Uśmiechnął się zdawkowo, sięgając po swój szkicownik. Opuściła go, kiwając na pożegnanie głową, myślami i zmysłami skupiona na osobie Jonasa.

Podeszła do niego z ciepłym uśmiechem. Gdy położyła rękę na jego ramieniu, nakrył ją dłonią.

– Czekają na nas na górze – powiedziała. – Chodźmy.

Ostre rysy jego twarzy złagodniały.

– Dobrze.

Cofnął się do korytarza, pociągając ją za sobą. Gdy znalazła się w cieniu, ostatni raz omiotła wzrokiem salę i siedzących w niej gości. Hadley patrzył wyraźnie w ich kierunku.

Pomimo dzielącej ich odległości spostrzegła jego niezadowoloną minę.

Czyżby artysta był zazdrosny?

Uśmiechnęła się do siebie, odrzucając taką myśl jako zbyt śmiałą. Hadley po prostu był smętny, ale to typowe dla artystów. Odwróciła się, aby pójść za Jonasem, który właśnie w tym momencie zatrzymał się, wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował.

Jak to możliwe, by pocałunek bez podniecenia był taki namiętny?

A ten właśnie taki był – pocałunek kochanków, którzy wiedzieli, na czym stoją, mimo wszystko wywołał w niej zawrót głowy, wyostrzył zmysły…

Oderwał od niej usta, uniósł głowę. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła jego pełny samozadowolenia uśmiech. Odchrząknęła.

– Pora na obiad – powiedziała.

Ze śmiechem wziął ją za rękę.

– Dobrze, skoro tego właśnie chcesz.

Powiedziała sobie w myślach, że tak. Oczywiście, że tak.

Nieco wytrącona z równowagi poprowadziła go przez kuchnię ku znajdującym się za nią schodom.

* * *

Następnego ranka, tak jak to robili w poprzednie poniedziałki, Jonas i Em spotkali się jako właściciel i zarządca gospody, aby z należną uwagą przejrzeć rachunki.

– Miałaś rację. – Jonas przewracał kartki księgi, porównując przychody uzyskiwane wcześniej z tymi ostatnimi. – Zyski, które i tak zwiększyłaś, i to tylko dzięki miejscowym klientom, znacznie wzrosły, od kiedy mamy nocujących gości.

– Więc zgadzasz się, żebym najęła Riggsa do malowania frontowych okiennic, oraz więcej dziewcząt, które pomogą przygotować, a potem sprzątać następne gościnne pokoje? – Em spojrzała na niego ponad biurkiem, unosząc brwi.

Oparł się na krześle.

– Wydaje mi się, że najęłaś już wszystkie wolne dziewczyny w okolicy.

– Prawie. Ale pani Hillard z farmy koło rozstaju dróg ma dwie córki, które miała posłać na służbę, chociaż wolałaby, żeby pracowały tutaj, przynajmniej póki są jeszcze bardzo młode. Ona lub jej mąż mogliby zabierać je do domu każdego wieczoru, a wtedy i wilk byłby syty, i owca cała.

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę.

– Zgadzam się, jeśli chodzi o córki Hillardów, ale musimy uważać, aby nie przeliczyć się z naszymi siłami.

Doskonale wiedziała, co miał na myśli; z uśmiechem naskrobała coś na kartce.

– Masz absolutną rację. Możemy nająć tylko tych, których naprawdę potrzebujemy. Rozmawiałam z Phyllidą o Colyton Import Company i jej początkach. Zgadzam się z jej filozofią, że jest istotne, aby ludzie mieli poczucie własnej wartości, że się ich docenia za pracę i nie są zatrudniani tylko ze względów dobroczynnych. – Zamaszystym ruchem uzupełniła notatkę.

– Jesteśmy poważną firmą, a nie organizacją charytatywną.

Uniosła głowę, gdy od strony głównej sali doszedł ich stukot czyichś kroków.

– Panno Colyton! Panno Colyton!

– To Sweetie. – Jonas odsunął krzesło i wstał, Em poszła za jego przykładem. Przeszli korytarzem do głównej sali, gdzie rzeczywiście Sweetie szczebiotała i wierciła się niecierpliwie.

Natychmiast też pochwyciła Em za nadgarstek, wyraźnie podekscytowana.

– Tu jesteś, moja droga. – Uśmiechnęła się szeroko do Jonasa. – Dobrze że i ty przyszedłeś, drogi chłopcze. – Sweetie rozejrzała się konspiracyjnie dookoła, po czym nachyliła się, ściszając głos.

– Rzecz w tym, że Harriet, czyli panna Hellebore, myśli, że rozwiązała waszą zagadkę. O tym domu najwyższych. Co prawda, nie jest do końca pewna. – Sweetie była mocno podekscytowana, co emanowało z jej drobnej figury, lecz w końcu opanowała się i przybrała poważną minę. – Poprosiła mnie, żebym po was przyszła, abyście sami mogli zdecydować, czy jej rozwiązanie ma sens.

Em spojrzała na Jonasa z nową nadzieją.

Skinął głową, rozglądając się dookoła.

– Możemy iść teraz – powiedział, kładąc dłoń na jej plecach. – Rachunki zaczekają.

Poprowadził je do otwartych drzwi gospody. Jedynymi świadkami żywiołowej relacji Sweetie i budzącej się nadziei na twarzy Em było czterech nowych gości, dwóch starych farmerów i garstka stałych klientów, a także Hadley, który siedział w ciemnym kącie baru i rysował coś zawzięcie w szkicowniku.

* * *

Jonas miał niewiele iluzji co do swoich bliźnich. Nie miał pojęcia, czy skarb Colytonów rzeczywiście istnieje, nie mówiąc już o tym, czy okaże się cenny, jednak nie widział powodu, aby ryzykować i rozgłaszać wszem wobec o takiej możliwości.

Powściągliwość w kwestii obiektu poszukiwań od początku wydawała mu się rozsądna. Co prawda, podniecenie Sweetie można było skwitować uśmieszkiem politowania, lecz Em, która zwykle zachowywała się powściągliwie, wzbudziłaby zainteresowanie i ciekawość, gdyby zbyt jawnie okazała emocje.

Dom panny Hellebore znajdował się przy samej drodze, wzdłuż wspaniałego ogrodu przynależnego do dworu.

Jonas otworzył i przytrzymał furtkę osadzoną w niskim, kamiennym murze, aby Sweetie i Em mogły wejść do środka, a po chwili sam ruszył za nimi ścieżką w kierunku drzwi.

Otworzyły się, zanim jeszcze do nich doszli. W tym momencie ujrzeli wychodzącego z domu Harolda Potheridge'a. Wydawał się tak samo zaskoczony, jak oni.

Em z kamienną twarzą zeszła mu z drogi. Podobnie Sweetie.

Potheridge zawahał się, lecz zaraz ich minął, nieznacznie kiwając głową.

Przepuściwszy go, Jonas obserwował, jak tamten wyszedł przez furtkę, obejrzawszy się jeszcze za siebie, po czym ruszył gdzieś drogą.

Sweetie wzdrygnęła się.

– Co za okropny typ.

Jonas spojrzał na Em. Jej usta wyraźnie drżały.

– Dobrze, że sobie poszedł – powiedziała. – Nie będzie podsłuchiwał.

– Rzeczywiście. – Sweetie poprowadziła ich do domu, zaczekała, aż wejdą do holu, w końcu zamknęła drzwi i założyła skobel. – Teraz nikt nam nie przeszkodzi ani nas nie podsłucha. – Gestem wskazała im, aby przeszli dalej. – Harriet czeka w saloniku.

Panna Hellebore siedziała w swoim ulubionym fotelu między kominkiem a oknem. Była tak samo podekscytowana, jak Sweetie.

– To miejsce, którego szukaliście. Nagle przypomniałam sobie… – Panna Hellebore zaczekała, aż usiądą na małej sofie, a Sweetie zajęła drugi fotel. – Siedziałam sobie tutaj, spoglądając na błonie, jak często mam w zwyczaju… i nagle zaświtało mi coś w głowie.

Wskazała okno i rozpościerający się za nim widok. Zobaczyli odległy skraj drogi, łąki ze stawem, a dalej wzniesienie, na szczycie którego stał kościół.

Czekała, a oni patrzyli, chłonąc wszystko w polu widzenia.

– „W najwyższym domu, w domu najwyższych". Według mnie trzeba potraktować te frazy jako osobne części opisu. Jako dwie

wskazówki, a nie powtórzenie tego samego. Musicie także wiedzieć, że ta miejscowość zawsze była głęboko związana z kościołem, dlatego znajdujące się w nim zabytki są takie stare i wspaniałe. Ponadto przypomnijcie sobie, że w dawnych czasach dom Pana był często nazywany…

– Domem Najwyższego – dokończyła Em. Spoglądając na kościół, którego sylwetka rysowała się na tle porannego błękitnego nieba, wolno pokręciła głową. – Był tu cały czas, stał na naszych oczach.

– Jeśli pomyślicie o nim, jako o domu Pana, wtedy kościół jest najwyższym domem, fizycznie najwyższym w całej okolicy. A najniższe piętro… – Wstając, Jonas oderwał wzrok od kościoła i popatrzył na Em. – To musi oznaczać kryptę.

Ona także spojrzała mu w oczy.

– A skrzynia czy komora, którą tylko Colyton otworzy? Może to grobowiec?

– Bardzo możliwe. Musimy tam pójść i zobaczyć.

Em wstała. Z przejętą miną odwróciła się do panny Hellebore.

– Bardzo pani dziękuję.

– Nie musisz dziękować, moja droga. – Machnęła ręką na pożegnanie. – Po prostu wróćcie i powiedzcie nam, co znaleźliście. No i o co w tym chodzi.

Em uśmiechnęła się.

– Wrócimy. – Szybko podeszła do czekającego u drzwi Jonasa.

Sami wyszli z domu, przeszli na drugą stronę drogi i dalej przez błonie. Podciągnąwszy spódnicę sukni, Em szła tak szybko, jak tylko mogła, dotrzymując kroku Jonasowi.

– Ciężko w to uwierzyć – powiedziała zdyszana. – Ale jestem pewna, że ona ma rację. Cały czas stał w widocznym miejscu, tylko my nie potrafiliśmy go zobaczyć.

– Ktoś sprytnie wymyślił ten wierszyk. Jego sens byłby jasny dla każdego, kto żył w wiosce w tamtych czasach, lecz niejasny, a nawet dwuznaczny dla każdego, kto nie znał tych okolic. – Popatrzył na kościół. – Albo też, jak to miało miejsce w naszym przypadku, dla każdego, kto żył w tak odległej przyszłości, że

zwrot „dom Najwyższego” nie był już powszechnie używany w znaczeniu kościoła.

Kiedy dotarli na miejsce, obeszli budowlę, aż znaleźli się przy bocznych drzwiach, wychodzących na cmentarz. Były otwarte cały czas, dzień i noc.

Jonas otworzył je i wszedł do środka za Emily.

– Będzie nam potrzebny klucz do krypty. – Otworzywszy drzwi do zakrystii, zdjął z gwoździa klucz, wielki jak męska dłoń, na kółku, przez które przeszłaby zaciśnięta pięść. Gestem skierował Em ku schodom z boku nawy, które wiodły do krypty.

– Od naszego przyjazdu chciałam tu zejść i poszukać grobów przodków. – Stanęła z boku, aby pozwolić Jonasowi jako pierwszemu zejść po kamiennych stopniach, potem zebrała spódnicę i poszła jego śladem. – Ale zawsze było coś ważniejszego.

– Nie szkodzi. – Stanąwszy przed drzwiami u podnóża schodów, Jonas włożył klucz do zamka i przekręcił go. – Teraz jesteśmy na miejscu i wiemy, czego szukamy.

Pchnął drzwi, które otworzyły się lekko i bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

– Krypta jest czasami używana jako magazyn przez Colyton Import Company, więc jest w dość dobrym stanie. Nawet kurzu nie ma w nadmiarze.

Em z zadowoleniem przyjęła to do wiadomości. Czekając, aż Jonas zapali latarnię stojącą na najbliższym grobowcu, stwierdziła, że nie widać także pajęczyn zwisających ze sklepienia krypty.

Iskra padła na hubkę, po chwili pojawił się żar. Jonas rozdmuchał knot, zamknął latarnię i uniósł ją nad głowę. Em weszła do krypty, z trudem opanowując narastające podniecenie.

– Nie sądziłam, że dziś odnajdę skarb.

Spojrzał na nią przez ramię, w końcu powiesił latarnię na haku wystającym z sufitu, oświetlając w ten sposób ciemne wnętrze.

Em obróciła się dookoła, starając się przeniknąć wzrokiem panujący we wnętrzu półmrok.

– Ale oto jestem tutaj. – Obdarzyła Jonasa uśmiechem. – Oboje tu jesteśmy, o krok od odnalezienia skarbu. Zaraz go ujrzymy, dotkniemy. Wszystko to, co przodkowie zostawili mi przed całymi wiekami. – Aż zadrżała, nie mogąc się tego doczekać.

On także uśmiechnął się i obejrzał kryptę.

– Musimy znaleźć grobowce Colytonów. Nie przypominam sobie, abym je widział, ale też nigdy nie zwracałem uwagi na wyryte tu nazwiska.

– Musimy się zorganizować. – Ogarnęła wzrokiem długie, mniej więcej prostokątne wnętrze. Oprócz grobowców i pomników stojących wzdłuż ścian większą część podłoża zajmowały duże grobowce, między którymi pozostały przejścia, lecz część z nich była tak wąska, że z trudem mogłaby się przez nie przecisnąć. Niektóre grobowce były podwójne, kilka miało baldachimy, które wtapiały się w sklepienie. Gdyby nie była tak podekscytowana i rozbudzona nadzieją, być może wzdrygnęłaby się na ten widok. – Gdzie powinniśmy zacząć?

Podzielili pomieszczenie na cztery części i rozpoczęli metodyczne poszukiwania. Wspinali się na płyty, sprawdzali nisze w ścianach, ścierali kurz z napisów na dawno zapomnianych tablicach.

Em straciła rachubę grobowców, które obejrzała. Jej podniecenie stopniowo słabło, a jego miejsce zajęło wrażenie, że coś jest nie tak, jak powinno, że pomylili się w swoim rozumowaniu. Mimo to uparcie szukała dalej, prześlizgując się między ciasno umieszczonymi grobowcami, aby odczytać widniejące na nich inskrypcje.

Byli dokładni i systematyczni, lecz ponieśli porażkę.

Powróciwszy na środek krypty, Em zmarszczyła czoło.

– To bez sensu. Przecież grobowce Colytonów muszą tu być. – Rozejrzała się, zatrzymując wzrok na Jonasie. – Gdzie jeszcze możemy ich szukać?

Jego mina mówiła, że również tego nie rozumie.

– Chodźmy, porozmawiamy z Joshuą. On musi to wiedzieć, a przynajmniej ma rejestry, w których jest zapisane, gdzie pochowano Colytonów z Colyton.

Odstawił latarnię na poprzednie miejsce, po czym przepuścił ją przodem i na końcu sam wyszedł z krypty.

Podciągnąwszy spódnicę, Emily niechętnie ruszyła po schodkach.

– To była najważniejsza rodzina w wiosce, którą przecież oni sami założyli. Muszą gdzieś tu być. – W jej głosie wyraźnie zabrzmiały frustracja i rozczarowanie.

Jonas zamknął kryptę na klucz i poszedł za nią.

– Ale chyba nie są pochowani na cmentarzu, prawda?

– Nie. – Doszła na górę, opuściła, otrzepała i wygładziła spódnicę.

– Sprawdziłam to. Na cmentarzu nie ma grobów Colytonów. Zakładałam, że większość z nich leży w krypcie, ale kilku mogło być pogrzebanych na cmentarzu. Lecz nie ma ich.

Odczekała, aż Jonas odwiesi klucz na haczyku w zakrystii. Wciąż kręciła głową, nie mogąc tego zrozumieć.

– Przecież muszą być gdzieś pochowani.

– Filing będzie wiedział. – Jonas wziął ją za rękę. Spojrzawszy ponad jej głową, nagle znieruchomiał.

Podążyła za jego spojrzeniem w kierunku odległego narożnika kościoła. Pośród promieni słońca i kładących się wokół cieni Hadley rysował figurę anioła stojącą na ozdobnym cokole. Odwrócony od nich, był tak zaabsorbowany pracą, że nawet ich nie zauważył.

Zaś Em była tak zaangażowana w przeszukanie krypty, że nie zauważyła, czy Hadley tam był, kiedy się tu zjawili.

W Kościele Em i Jonas rozmawiali dość cicho. Chociaż ich głosy musiały docierać do rysownika, to nie były na tyle głośne, aby przyciągnąć jego uwagę.

Jonas pociągnął ją za rękę i pokazał głową w kierunku drzwi. Przytaknęła, po czym cicho wyszli, kierując się do probostwa.

Rozdział 17

– To tajemnicza sprawa, którą muszę wyjaśnić. – Filing pokręcił głową. – Kiedy się dowiedziałem, że była tu rodzina nosząca to nazwisko, a podobno faktycznie byli założycielami tej miejscowości, to nie mogłem zrozumieć, dlaczego w krypcie nie ma grobowców Colytonów.

Em usiadła ciężko na sofie, wyraźnie podminowana. Lecz po chwili z determinacją uniosła podbródek.

– One muszą gdzieś być.

Kiedy przyszli, Henry uczył się przy stole, lecz gdy tylko zrelacjonowali dedukcję panny Hellebore, a następnie opisali swoje poszukiwania w krypcie, porzucił książki, przysiadł na brzegu sofy obok Em i popatrzył na siostrę z góry.

– Colytonowie mieszkali tu przez parę wieków, prawda?

Skinęła głową.

– Wiele pokoleń.

– Powtórzę to, co oczywiste – odezwał się Jonas stojący obok Filinga – że szczątki Colytonów muszą gdzieś tu być. Gdzieś w wiosce, a więc gdzieś w kościele. A fakt, że nie znaleźliśmy żadnego Colytona, młodego czy starego, kobiety czy mężczyzny, sugeruje, że gdziekolwiek są, pochowano ich wszystkich razem w jednym miejscu.

Filing zgodził się z tą opinią.

– Tak jest. Niestety, przybyłem do tej parafii już po śmierci mego poprzednika, więc nie miałem możliwości, aby o cokolwiek go zapytać lub poznać jakieś tajemnice. – Odwrócił się do alkowy, którą wykorzystywał jako gabinet. – Pokażę wam, co znalazłem. Zobaczmy, czy wy zrozumiecie z tego cokolwiek więcej.

Podszedł do biblioteczki, omiótł wzrokiem grzbiety książek i wyjął bardzo stary, oprawiony w skórę wolumin. Odsunąwszy na bok notatki Henry'ego, ostrożnie położył księgę na stole. Kiedy ją otworzył, Em, Jonas i Henry stanęli tuż obok i spoglądali na grube, pożółkłe od starości kartki.

– To kościelny rejestr pogrzebów. Pierwszy z nich został wpisany w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku, a o ile mi wiadomo, zapisy były prowadzone bardzo starannie przez te wszystkie lata, tak jak powinno być. – Przewracał kartki wstecz, pomijając te, które były wypełnione jego równym pismem, przechodząc na strony zapisane bardziej zamaszyście. – Spoglądając na poprzednie stulecia… – Przestał przerzucać kartki i wskazał jeden konkretny wpis.

Wszyscy nachylili głowy.

– „James Colyton" – przeczytała Em. – „1742. Zmarł na suchoty. Wiek pięćdziesiąt cztery. Pochowany w krypcie Colyton".

– Jak należy oczekiwać, w rejestrze jest wielu Colytonów. – Filing delikatnie odwracał kolejne strony. – Za każdym razem wpisano „Pochowany w krypcie Colyton". Ale tam ich nie ma.

Em popatrzyła na Jonasa, który pokręcił głową i z kolei wymienił spojrzenia z wikarym. Nikt nie potrafił tego wytłumaczyć.

Henry wrócił na swoje krzesło przy stole i obrócił księgę, aby mógł ją dobrze widzieć. Em patrzyła, jak powoli przerzuca kartki wstecz, aż dotarł do pierwszej strony. Potem spojrzał na drugą i znieruchomiał.

– Ten wpis – odezwał się, wyraźnie zaskoczony – mówi o grobowcu Colyton.

– Krypty często nazywano grobowcami. – Filing wzruszył ramionami. – Oba słowa stosowano wymiennie.

– A jeśli nie? – spytał Henry, unosząc głowę.

Em zmarszczyła czoło, a Henry podjął ten wątek, coraz bardziej podekscytowany.

– A jeśli wciąż drepczemy w miejscu, ponieważ nazwisko rodziny brzmi tak samo, jak nazwa wioski? Może „krypta

Colyton”, a w tym przypadku „grobowiec Colyton”, wcale nie oznacza krypty w tutejszym kościele, ale…

– W jakimś innym miejscu – dokończył Jonas z błyszczącymi oczami. – Masz rację. Na pewno. Brakuje zbyt wielu grobów, a przecież muszą gdzieś być, więc znajdują się w innej krypcie.

– Niech no spojrzę. – Filing wziął księgę i szybko przewracał kartki. – O, jest następny. Grobowiec Colyton. I jeszcze jeden. Spoglądał na kolejne strony. – Tu jest miejsce, kiedy pierwszy z administratorów parafii ustąpił miejsca następcy, widzicie inny charakter pisma? – Dalsza część rejestru zawierała wpisy dokonywane różnymi charakterami pisma. W końcu Joshua znalazł poszukiwane miejsce. – Tak, tutaj nowy skryba przestał używać nazwy „grobowiec Colyton”, a zamiast tego napisał „krypta Colyton”. – Wyprostował się. – Ponieważ oba wpisy widnieją w jednej księdze, zapewne chodzi o to samo miejsce, a gdziekolwiek ono jest, na pewno znajduje się na terenie kościoła.

– Krypta czy grobowiec, ale musi być pod ziemią. – Jonas zastanowił się, spoglądając na wikariusza. – Wejście może być z innej strony niż główna krypta. Na przykład jakieś drzwi, które teraz są zakryte, albo w innym miejscu kościoła…

– A to może być wszędzie. – Filing skrzywił się sceptycznie. – Koło zakrystii, a nawet w wieży.

– Drzwi mogą być ukryte w ścianie lub podłodze. Za boazerią albo w kamieniu. – Jonas przeniósł wzrok na Em. – Moglibyśmy poszukać tych drzwi, bo gdzieś tu muszą być, ale dobrze byłoby znaleźć sposób, aby zawęzić pole poszukiwań.

Intensywnie próbowała ogarnąć myślami wszystko, czego się teraz dowiedzieli… Popatrzyła na rejestr pogrzebów, który wciąż leżał otwarty przed Filingiem.

– Mój pradziadek był ostatnim Colytonem, który tu mieszkał. Jestem pewna, że został tu pochowany.

Wikariusz potwierdził.

– Sprawdziłem to. Obok jego nazwiska zapisano „krypta Colyton”.

– A jaka jest data wpisu?

Filing zaczął szybko przerzucać kartki.

– O, tutaj.

Henry zajrzał mu przez ramię.

– 1759.

Em popatrzyła na Jonasa, potem na Joshuę.

– Jego pogrzeb, ostatniego Colytona z Colyton, musiał być tutaj sporym wydarzeniem. Czy żyją jeszcze jakieś mieszkanki, które mogłyby to pamiętać?

Filing z Jonasem znowu spojrzeli po sobie.

– Chyba pani Smollet, ale czy ona cokolwiek pamięta…

Filing skinął głową.

– Poza tym jeszcze pani Thompson. Ale tylko one dwie wchodzą w rachubę. Są tu zdecydowanie najstarsze. Nawet w okolicy nie ma osoby w zbliżonym do nich wieku.

– A ja myślę – podjął Jonas – że są wystarczająco wiekowe, aby mogły się nam przysłużyć.

Em stanowczo pokiwała głową i skierowała się ku drzwiom.

– Zaczniemy od pani Thompson.

Jonas ruszył za nią.

Filing i Henry popatrzyli na siebie. Wyraźnie nie mieli ochoty zostać w tyle.

– Wróćcie do nas i opowiedzcie, czego się dowiedzieliście! – zawołał za nimi duchowny.

– Oczywiście – odpowiedziała Em od drzwi. – Ale to może trochę potrwać.

* * *

Modliła się, żeby to jednak nie zabrało dużo czasu i żeby pani Thompson, żwawa i bystro myśląca, przypomniała sobie pogrzeb dziadka Em, miejsce jego pochówku, ale…

Tak jak oczekiwała, okazało się to o wiele trudniejsze.

Znaleźli ją w domu za kuźnią, gdzie czekała na Oscara, który miał jej przynieść na lunch pieróg od Hildy. Była więc bardzo zadowolona, że może usiąść ze swoimi gośćmi przy stole i porozmawiać.

– Tak, pamiętam ten pogrzeb, to było wielkie wydarzenie. – Sięgnęła pamięcią do tamtych dni, kiwając siwą głową. – Wszyscy przywdziali najlepsze czarne ubrania i poszli na ceremonię, cała wioska, ale było też sporo jaśniepaństwa i innych z okolicy. Miałam wtedy jakieś siedem lat, ale pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

Em splotła mocno dłonie, nachylając się do starszej kobiety.

– A czy pamięta pani, dokąd zabrano trumnę, aby ją pochować?

Pokręciła głową.

– Nie, moja droga. Byłam zbyt młoda, żeby wziąć udział w pogrzebie, zresztą i tak nie było miejsca. Ale… – Uniosła brwi, znowu sięgając wspomnieniami daleko wstecz. – Byłam na zewnątrz, bawiłam się na cmentarzu, więc wiem, że trumny na pewno nie wyniesiono z kościoła. – Popatrzyła na Em. – Myślałam, że ciało zmarłego złożono w krypcie. A nie ma go tam?

Em uśmiechnęła się słabo.

– Być może jest, ale próbowaliśmy znaleźć dokładne miejsce jego spoczynku. Może leży w innej części krypty niż ta, która jest używana obecnie.

– Aha. – Pani Thompson pokiwała głową ze zrozumieniem. – To było dawno temu.

Jonas wstał.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas.

– I za wspomnienia. – Em poszła za jego przykładem.

Pani Thompson wstała, aby ich odprowadzić.

– Nie wydaje mi się, żebym wam dużo pomogła, ale jeśli chcesz znaleźć miejsce pochówku pradziadka, popytaj panią Smollet. Miała wtedy dziesięć lat albo nawet więcej. Była nad wiek rozwiniętym dzieckiem, ta nasza Eloisa. Zawsze musiała wiedzieć wszystko o wszystkim, co się dzieje. – Zatrzymała się koło drzwi, popatrzyła na Em i skinęła głową. – Idź, spytaj ją. Pewnie nie była na samym pogrzebie, tak samo jak ja, ale jej starsi bracia brali w nim udział, na pewno byli świadkami tego wydarzenia. I zjem swój niedzielny czepek, jeśli później Eloisa

nie kazała sobie opowiedzieć wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach

Pani Thompson przeniosła spojrzenie bystrych oczu na Jonasa.

– Zapamiętajcie moje słowa. Jeśli ktoś z żyjących wie, gdzie pochowano ostatniego Colytona z Colyton, osobą tą jest Eloisa Smollet.

* * *

Zatrzymali się na szybki posiłek w gospodzie, uzgodniwszy, że nie wyjawią nikomu przebiegu ostatnich wydarzeń, a zwłaszcza bliźniaczkom. Oznaczało to, że na razie również Issy nie mogła się niczego dowiedzieć. Em szepnęła Jonasowi, że tak będzie lepiej.

– Issy nie potrafi udawać, a bliźniaczki są po prostu zbyt bystre. Jeśli wyczują, że ona coś wie, wyciągną z niej wszystko, a wtedy nie odstąpią nas na krok.

Jonas zgodził się z tą propozycją. Jak zwykle opiekuńczy – mimo pozorów obojętności – był przekonany, że potrafi zapewnić Em bezpieczeństwo w trakcie poszukiwań, gdyż zamierzał nie odstępować jej na krok, lecz w obecności bliźniaczek musiałby patrzeć w trzech różnych kierunkach jednocześnie.

Gdy tylko mogli się wymknąć z gospody, nie wzbudzając niepotrzebnego zainteresowania, przeszli przez las do Grange, a stamtąd dwukółką zaprzężoną w kasztanki pojechali do Highgate.

Basila nie było w domu, ale stara pani Smollet zgodziła się ich przyjąć. Znaleźli ją w salonie z ręczną robótką, która – na wpół zapomniana – leżała na jej kolanach.

Pani Smollet ucieszyła się na widok Em.

– Ździebko źle się czułam w tych dniach, więc nie mogłam przyjechać do wioski. No, dalej! – Spojrzała na Em wyczekująco. – Możesz mi opowiedzieć, co się ostatnio wydarzyło.

Em z uśmiechem spełniła jej prośbę. Jonas dowiedział się, że jedna z siostrzenic Hildy chadzała z synem Thompsonów, i że żona jednego z farmerów w Dottswood spodziewała się kolejnego potomka.

Oczywiście nie interesowały go takie wieści, ale starsza pani z zadowoleniem kiwała głową, gdyż czekała na takie właśnie ploteczki.

W końcu Em skierowała rozmowę na interesujący ich temat.

– Próbowaliśmy odszukać grób mojego pradziadka. W okresie jego pogrzebu pani była małą dziewczynką, ale pomyśleliśmy, że być może pani pamięta…?

To był najlepszy sposób wyrażenia słowami ich prośby. Pani Smollet rozpromieniła się.

– O, tak, pamiętam doskonale. Jeden z największych pogrzebów, jakie widziałam w życiu. Nawet jego jeszcze pamiętam, był dystyngowanym starszym dżentelmenem, ten twój pradziadek. Wszyscy w okolicy go znali, a on ich. Całe hrabstwo się zjechało, aby pożegnać zmarłego.

Em przysiadła na brzegu krzesła.

– A czy wie pani coś o samym pogrzebie? Rozumiem, że pani przy tym nie było, ale…

Pani Smollet puszyła się z dumy.

– Byłam na nabożeństwie, ale w tamtych czasach kobietom nie było wolno uczestniczyć w pochówku. – Lekceważąco pociągnęła nosem. – Moi bracia, a miałam ich dwóch, dużo starszych, byli pośród żałobników niosących trumnę. Musiała ich być większa liczba z powodu tych schodów.

– Schodów do krypty? – spytał Jonas.

Kiwnęła głową.

– To było trudne zadanie, znieść taką dużą i ciężką trumnę po stromych i wąskich schodach. Wszyscy czekali w kościele, a bracia mówili później, że najtrudniej było im pamiętać, aby głośno nie kląć. On, znaczy się stary pan Colyton, został pochowany w rodzinnym mauzoleum, tak przynajmniej opowiadali bracia. – Uniosła brwi.

Podobnie Em, lecz zanim zdążyła przerwać, pani Smollet podjęła wątek.

– Zawsze mnie to zastanawiało. Chciałam, aby mi pokazali, gdzie to mauzoleum jest, bo gdy w następnym tygodniu razem z Mitzy Walls zeszłyśmy, aby popatrzeć, nie mogłyśmy go znaleźć. – Przeniosła spojrzenie na Jonasa. – I nigdy nie rozumiałam, co moi bracia mieli na myśli, gdy mówili, że tak ciężko było znieść trumnę po dwóch biegach schodów.

Jonas poczuł przyspieszone bicie serca. Patrząc na Em, doszedł do wniosku, że nie rozumiała znaczenia tych ostatnich słów. Sugestywnym spojrzeniem przywrócił jej pamięć.

– Do podziemnej krypty wiodą tylko jedne schody.

Gorąco podziękowali pani Smollet, która stwierdziła, że ich wizyta była dla niej najmilszym akcentem tego dnia. Potem bez chwili zwłoki udali się z powrotem do probostwa.

Filing i Henry ochoczo oderwali się od książek. Razem z Em i Jonasem szybko poszli ścieżką do kościoła. Wikary chwycił klucz do krypty i ruszył pierwszy na dół, mając za plecami Henry'ego. Jonas stanął z boku i puścił Em przed sobą. Zanim zszedł za nią, rozejrzał się jeszcze po kościele, wpatrując się w najbardziej zacienione miejsca.

Najpewniej Hadley wrócił do gospody na lunch. Jego sztaluga stała złożona w rogu – nie wyglądało na to, że zamierzał tu rychło wrócić. I dobrze. Im mniej osób wiedziało o skarbie – a nawet o ich poszukiwaniach grobów Colytonów – tym lepiej.

Filing zapalił latarnię i powiesił ją na haku.

– Mauzoleum, grobowiec lub krypta, z wejściem z tej krypty, i jeszcze jedne schody w dół.

– Kościół stoi na szczycie wzgórza z wapiennej skały – zauważył Jonas.

– Pomieszczenie może się znajdować w każdym kierunku.

Stali na środku, rozglądając się po ścianach. Krypta była wycięta w skale, miała grubo ociosane sklepienie z wyraźnymi śladami po kilofach i siekierach, lecz ściany zostały wydrążone, a następnie obmurowane cegłami, aby utworzyć nisze, alkowy lub obramowania grobowców. Większa część oryginalnej skały

znikła za bardziej dekoracyjnym kamieniem i w dużej mierze ozdobnym omurowaniem.

Odnalezienie drzwi ukrytych w tych niezliczonych strukturach nie było zadaniem prostym, a już na pewno musiało zająć dużo czasu.

Jonas wątpił, aby to kogoś zniechęciło. Wręcz przeciwnie, ta ostatnia przeszkoda czyniła stojące przed nimi zadanie jeszcze większym wyzwaniem. Krypta miała mniej więcej prostokątny kształt.

– Niech każde z nas sprawdzi jedną ścianę.

Kiwnęli zgodnie głowami. Em podeszła do ściany północnej, Jonas do południowej, Filing zaczął badać ścianę wschodnią, a Henry – zachodnią.

Oglądali mury w milczeniu.

Na początku Em postukiwała w ścianę z nadzieją, że usłyszy jakąś różnicę w odgłosie, ale wkrótce przekonała się, że różne typy kamieni wydawały pod wpływem uderzenia różne dźwięki, bez względu na to, czy za nimi znajdowało się tajne przejście. Następnie zaczęła popychać i ciągnąć każdą cegłę, rozetę, każdy ozdobny kroksztyn, sprawdzać stan szczelin wypełnionych murarską zaprawą – za pomocą skorupy z jakiegoś naczynia, którą znalazła na podłodze.

Rozpoczęła od północno-zachodniego narożnika. Po czasie, który wydał się jej wiekiem, posunęła się ledwie o dziesięć stóp. Rozejrzała się i z ulgą stwierdziła, że pozostali wcale nie byli szybsi.

Podjęła przerwaną pracę, skupiając uwagę na kolejnej niszy w ścianie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że bez większego wysiłku potrafi skoncentrować się na tym zajęciu i nie odczuwa przy tym zniecierpliwienia. Miała duszę poszukiwaczki przygód, a poza tym odznaczała się uporem i determinacją, których nie mogła stłumić jakaś nieoczekiwana okoliczność.

Wyprostowała się, aby chwilę odpocząć, bo bolały ją plecy, i popatrzyła dookoła. Wcale się nie zdziwiła na widok Henry’ego, który był tak samo skupiony, jak ona, lecz Jonas z Filingiem

również z wielką uwagą badali ściany, ślepi i głusi na wszystko inne.

Lecz przecież Jonas chciał się z nią ożenić i poświęcił się, aby pomagać jej w kłopotach, tak jakby były jego własnymi. To poświęcenie nie powinno jej dziwić – na podobnej zasadzie jasna była także motywacja Filinga, bo gdy tylko skarb się odnajdzie, Issy będzie miała swobodę, aby go poślubić.

Odwróciła się do północnej ściany, postąpiła nieco w prawo, aby zbadać jej kolejną część – wysklepioną łukowato alkowę, w której stał posążek anioła na niewielkim grobowcu. Przyjrzała się rzeźbie, cofnęła – tak daleko, jak było można – przechyliła głowę na bok i jeszcze raz dokładnie obejrzała to miejsce.

Po chwili uniosła brwi.

Alkowa była wyraźnie większa niż wszystkie inne podobne alkowy lub nisze. Rozejrzała się dookoła po krypcie, aby potwierdzić, że tak właśnie jest. Jej szczytowy punkt, zenit idealnego łuku, wznosił się ponad sześć stóp nad podłożem. Najwyższa część anioła – szczyty skrzydeł – znajdowała się znacznie niżej, niecałe półtora metra nad ziemią. Cała kompozycja, anioł w alkowie, wyglądała dziwacznie, jakby pomieszczenie było za wielkie dla figury…

Popatrzyła na anioła i nachyliła się, aby odczytać inskrypcję na grobowcu stanowiącym podstawę rzeźby. Sądząc po wielkości, było tam pochowane dziecko. „Fortemain”.

Odwróciła się, aby spojrzeć na wielki, imponujący grobowiec, o który oparła się plecami, stojący w alkowie naprzeciwko. Tam inskrypcja była wciąż bardzo wyraźna, a litery miały ostre krawędzie: „Sir Cedric Fortemain”.

Sprawdziła daty, potwierdzając, że najprawdopodobniej jest to dziadek obecnego sir Cedrica. Obejrzała sąsiednie grobowce. Wszyscy pochowani tu zmarli należeli do rodziny Fortemainów. Jednak wzdłuż ściany po obu stronach alkowy leżeli członkowie rodzin Binghamów i Elgarów. Spojrzała ponownie na anioła.

– Co ty tu robisz? – mruknęła pod nosem.

Wiedziona nagłym impulsem odwróciła się plecami do anioła i popatrzyła na groby Fortemainów. Szybko zobaczyła miejsce,

w którym powinna stać figura – niewielką przestrzeń między podstawą grobowca sir Cedrica a następnym grobem. Inskrypcja na drugim sugerowała, że spoczywa tam matka starego sir Cedrica, a z dat wynikało, iż dziecko pod aniołem było jej.

Em spojrzała na rzeźbę.

– Powinieneś stać tam.

Filing usłyszał jej słowa. Kątem oka zauważyła, jak uniósł głowę, lecz gdy zamilkła, wrócił do badania swojej ściany.

Patrzyła w zadumie na anioła. Musiała sprawdzić znajdującą się za nim część alkowy. Chociaż nie była wysoka, przeciśnięcie się koło skrzydeł byłoby dość trudne.

Lecz przecież była jedną z Colytonów, a to do czegoś zobowiązywało. Nadal trzymając mocno skorupę w dłoni, odetchnęła głęboko, wcisnęła się pod jedno ze skrzydeł, a tam, wijąc się, w końcu przedostała się z wąskiej szczeliny za rzeźbę.

Stałą twarzą do tylnej ściany alkowy.

Tuż przed sobą, dokładnie na wysokości oczu zobaczyła kamienną płytę.

COLYTON

Nie mogła oddychać, nie mogła się ruszyć. Tylko patrzyła.

Nabrała powietrza, aby zawołać, ale głos uwiązł jej w krtani.

Przypomniała sobie o trzymanej w ręku skorupie. Spojrzała w lewo i prawo, zobaczyła linię obmurowania o grubości jednej cegły, na granicy tylnej powierzchni łuku. Jej pozostała część także była wykonana z kamienia, lecz ułożonego inaczej, poziomo, obejmując płytę na samym środku czegoś, co wyglądało na drzwi. Wstrzymując oddech, ostrą krawędzią skorupy spróbowała naruszyć linię zaprawy murarskiej między wygiętym rzędem kamieni na granicy łuku a płytami tworzącymi powierzchnię domniemanych drzwi… Ostra krawędź łatwo weszła w wypełnioną zaprawą szczelinę. I to bardzo głęboko. Kiedy wyciągnęła skorupę, od ściany oderwał się także pył, odsłaniając szparę między granicznymi kamieniami a drzwiami…

– Znalazłam – wydyszała. Podążając wzrokiem wzdłuż krawędzi, zauważyła dużą, gęstą pajęczynę. Zaciskając zęby, uniosła rąbek spódnicy i szybko starła pajęczą sieć, za którą ukazała się dziurka od klucza.

Odchrząknęła, by niemal desperacko wydać z siebie głos.

– Znalazłam drzwi!

Nastała chwila zupełnej ciszy.

– Gdzie jesteś? – zawołał Henry.

– Za figurą anioła. – Przekręciła się w ciasnym miejscu, aby stanąć plecami do drzwi. Wysunęła rękę pod skrzydłem anioła, żeby im pomachać. – Tutaj!

– Na Boga! – Jonas zajrzał do alkowy ponad skrzydłem.

Filing zrobił to samo.

Podekscytowana wskazała ręką do tyłu.

– Tył tej alkowy to drzwi, na których jest tabliczka z napisem Colyton.

– Myślałem, że to po prostu nisza na rzeźbę – stwierdził zdeprymowany Filing.

Jonas przykucnął koło podstawy anioła.

– To się da przesunąć. I było przesuwane, chociaż dawno temu.

Em z trudem zmieniła pozycję, wskazując coś palcem.

– To jest Fortemain. A powinien być tam, między sir Cedrikiem i swoją matką, bo to jej dziecko. Ten sir Cedric zmarł dwa lata po moim pradziadku. Musieli przestawić figurę, aby wstawić jego trumnę w ten wielki grobowiec…

– A potem zapomnieli odstawić anioła na poprzednie miejsce. – Filing podszedł, żeby sprawdzić daty na grobach Fortemainów. – Wszystko się zgadza.

Była tego pewna.

– A ponieważ później nie chowano tu nikogo więcej z rodziny Colytonów, jako że moja prababcia wyprowadziła się, a ich dzieci pomarły daleko stąd, nie było okazji, aby ktokolwiek zwrócił uwagę na niewłaściwe miejsce anioła…

– Który blokował wejście do grobowca Colytonów. – Jonas położył ręce na podstawie rzeźby – Przenieśmy go na właściwe

miejsce. Em, zostań tam, gdzie jesteś.

Tak też zrobiła, popychając ciężki posąg, gdy mężczyźni wysuwali go z alkowy, a następnie przeciągnęli na drugą stronę przejścia, tam gdzie było jego miejsce.

Dopiero wtedy wszyscy spojrzeli na odsłonięte drzwi. Henry podszedł, odczytał tablicę, spróbował je popchnąć.

– Zamknięte. – Odwrócił się do Filinga. – Czy ma pan klucz?

– Jedyny klucz, jaki posiadam, to ten od krypty. – Zdjął go z paska i podał Henry'emu. – Spróbuj.

Em stanęła obok Jonasa i patrzyła, miotana przeróżnymi emocjami, gdy ostatni w męskiej linii potomek Colytonów wsunął klucz do zamka.

Spróbował go przekręcić. Nadaremnie.

– Niby pasuje, ale nie daje się przekręcić.

Jonas chciał podejść, ale pozostał na miejscu i czekał.

Henry poruszał kluczem, nacisnął trochę mocniej, a wtedy z głośnym zgrzytem klucz przekręcił się w zamku.

– Jest! – Uniósł wzrok na drzwi, popchnął, nacisnął barkiem. Drzwi uchyliły się o kilka centymetrów i stawiły opór.

Jonas minął Em. Chwycił rękami za krawędź drzwi nad zamkiem.

– Na trzy – powiedział do Henry'ego. – Raz, dwa… trzy!

Jonas pchnął, Henry także, a wtedy drzwi zaskrzypiały, zachrzęściły, w końcu ustąpiły. Jonas cofnął się, a Henry samodzielnie pchał dalej.

Em spodziewała się fali stęchlizny, bo przecież grobowiec był zamknięty od wielu dziesięcioleci, lecz zamiast tego z wnętrza powiało chłodne powietrze.

Jonas z Filingiem wymienili spojrzenia.

– Grobowiec musi mieć połączenie z systemem jaskiń.

Wikary skinął głową.

– Byłem zdziwiony, że sama krypta nie miała takiego połączenia, lecz wychodzi na to, że miała, tyle że komora przejściowa została przekształcona na grobowiec Colytonów, a następnie zamurowana.

Drzwi były niemal w pełni otwarte, a Henry zatrzymał się tuż nad progiem. Em podeszła, a Jonas przyniósł latarnię zdjętą z haka, którą podniósł ponad ich głowy, oświetlając pomieszczenie za drzwiami.

Od razu stało się jasne, że bracia pani Smollet faktycznie mieli powód do narzekania – kamienne schodki w skalnym korytarzu były strome jak przepaść, a ściany i sklepienie czyniły przejście tak ciasnym, że z trudem można było sobie wyobrazić, jak dorośli mężczyźni mogli znieść dużą trumnę po lekko skrętnych schodach.

Przypominające jaskinię pomieszczenie pochłonęło światło latarni. Blada poświata pozwoliła dojrzeć jedynie upiorne kształty grobowców koło schodów, za którymi z pewnością znajdowały się następne.

Filing spojrzał na Henry'ego.

– Jesteś z nas najszybszy. W zakrystii jest jeszcze jedna latarnia.

Chłopak skinął głową, odwrócił się i podekscytowany pobiegł przez kryptę i dalej po schodach na górę.

Wrócił już po minucie z drugą latarnią.

Filing wziął ją, zapalił.

– To wyjaśniałoby ostatni wiersz rymowanki. „w stosownej komorze, co tylko Colyton ją otworzy". Wskazał ruchem głowy kamienne drzwi. – Tradycyjnie te drzwi były otwierane przez kogoś z rodziny Colytonów, a dokładniej, dla kogoś z rodziny Colytonów. Albo żeby go pochować, albo dla członków rodziny, którzy chcieli odwiedzić zmarłego.

– Niezłe miejsce na ukrycie rodzinnego skarbu – stwierdził Jonas.

Em kiwnęła głową. Czuła ucisk w żołądku z narastającego podniecenia. Tak długo marzyła o tym skarbie, o tym, by go odnaleźć, wszczęła poszukiwania, a teraz oto była tuż przed rozwiązaniem ostatniego elementu zagadki, związanego z miejscem jego ukrycia. Z trudem oddychała, nie mogąc się doczekać finału poszukiwań.

Filing przekazał pierwszą latarnię Jonasowi.

– Weźmiemy obie lampy. Nie ma potrzeby zostawiać tu światła.

Jonas zgodził się.

– Patrząc na wielkość tego podziemia, obie będą nam potrzebne do poszukiwań.

Obaj spojrzeli na Em i czekali. Zajrzała do krypty przodków – chciała jak najprędzej wejść do środka, jednak podziemia były pogrążone w zupełnej ciemności. Pokazała, żeby Jonas ruszył przodem.

– Oświetlaj drogę.

Minął ją i pierwszy zszedł po stopniach, a ona poszła jego śladem, podciągając nieco spódnicę sukni.

Krypta, grobowiec czy też mauzoleum Colytonów, bez względu na określenie, była ogromna, zdecydowanie większa od kościelnej krypty. Tam grobowce były mocno stłoczone jeden przy drugim, natomiast tu każdy miał wokół dużo przestrzeni. Wiele z nich posiadało zdobne baldachimy. Wszystkie były duże, pełnowymiarowe, nawet te dla dzieci.

Henry i Filing zeszli za Em. Na dole rozdzielili się, w milczeniu, powoli przemierzali krótkie przejścia między grobami.

– Czego szukamy? – wyszeptał Henry.

– Skrzynki – odpowiedziała podobnym głosem Em. Pomyślała, że w takim miejscu tak właśnie wypada. – Kuferka, w którym mógłby być skarb.

Jonas spojrzał w jej kierunku.

– Czy wiesz, jakiej wielkości skrzynka mogłaby pomieścić ten skarb?

Pokręciła głową. W pewnym momencie przystanęła, rozejrzała się dookoła, w myślach starała się obliczyć… W wielkim pomieszczeniu musiało być ponad sto odrębnych grobów.

Jonas ubrał jej myśli w słowa.

– Otwarcie i przeszukanie tych grobowców zajmie nam kilka tygodni. Czy masz pojęcie, w którym lub których mógłby być schowany skarb?

Kładąc dłoń na grobie jakiegoś dawno zmarłego przodka, próbowała przywołać z zakamarków pamięci wszystko, co kiedykolwiek słyszała o skarbie i o rymowance.

– Rymowanka powstała zapewne na początku siedemnastego wieku, więc chodzi o grobowiec z tamtego okresu lub wcześniejszy. Ale… – Skrzywiła się. Zawsze było jakieś „ale”. – Nie ma żadnej wskazówki, jakoby skarb, zapewne umieszczony w skrzyni, miał związek z konkretnym grobowcem.

Filing omiatał wzrokiem ogromną przestrzeń krypty.

– Proponuję, aby najpierw poszukać przedmiotu kształtem przypominającego skrzynię, bez względu na to, czy przynależy do jakiegoś grobowca. Jeśli to nie przyniesie rezultatu, zastanowimy się, który grobowiec otworzyć jako pierwszy.

Pozostali mruknęli z aprobatą. Przystąpili do działania parami, każda z nich wzięła jedną latarnię. Zaczęli poszukiwania od środka, przy czym Jonas i Em oraz Filing i Henry powoli przesuwali się ku przeciwnym ścianom podziemia.

Doszedłszy do ostatniego grobowca, Em i Jonas stwierdzili, że krypta rozciąga się jeszcze dalej. Jonas uniósł latarnię wyżej i spojrzał.

– Tu zaczyna się tunel, pewnie do innej groty. To by wyjaśniało obecność świeżego powietrza. W całej okolicy jest mnóstwo różnych podziemi.

– Tu jest jeszcze jeden tunel – usłyszeli dobiegający z ciemności głos Henry’ego. Wskazał pogrążone w mroku miejsce naprzeciwko schodków.

– Moim zdaniem – odezwał się Filing – wszystkie grobowce Colytonów powinny się znajdować w tej krypcie. Jest tu mnóstwo miejsca, więc chyba nie ma potrzeby szukać innych grobów gdzieś dalej.

Jonas dał mu ręką znać, że zrozumiał. Razem z Em skupili się na najbliższych grobowcach. Poszukiwanie skrzyni nie było wcale proste, gdyż groby występowały w różnych konfiguracjach, miały różne dobudówki, w sumie każdy z nich był strukturą złożoną z różnych prostokątnych elementów w

oprawie ozdobnych kamiennych płyt. Jedynie skrupulatne oględziny każdego – sprawdzenie, czy każdy przylegający segment jest jego integralną częścią – mogły przynieść skutek w postaci odnalezienia poszukiwanej skrzyni.

Praca posuwała się powoli, zwłaszcza że mieli do dyspozycji tylko dwie latarnie. Mogli szukać skutecznie tylko tam, gdzie padało światło, gdyż już kawałek dalej odcinały je, kładąc głębokie cienie, co większe grobowce z baldachimami oraz inne ozdobne struktury.

W końcu Em zatrzymała się. Opowieści rodzinne nie mówiły nic o tym, co sugerowałoby, że skrzynia ze skarbem miała związek z grobowcem Colytona, który go posiadł. Wszelako nie było również wzmianki, jakoby miało być inaczej. Rozejrzała się.

– Spróbuję poszukać starszych grobowców.

Jonas, zaabsorbowany badaniem wielkiej kamiennej struktury, skinął głową.

Już chwilę wcześniej postawił latarnię na górnej płycie, więc teraz Em rozejrzała się, sprawdzając, jak daleko sięga krąg światła. Okazało się, że wystarczająco daleko, aby mogła sprawdzić daty wyryte na około piętnastu najbliższych grobowcach. Jako punkt orientacyjny wybrała jeden z nich, charakterystyczny ze względu na figurę lecącego anioła, po czym rozpoczęła systematyczne oględziny.

Zanim wróciła do tego anioła, zdobiącego grobowiec z osiemnastego wieku, jej oczy zdążyły przywyknąć do półmroku. Chociaż sprawdzone do tej pory groby pochodziły z końca siedemnastego oraz z osiemnastego wieku, to te znajdujące się za aniołem wyglądały inaczej. Większość miała leżące na płycie figury upamiętniające zmarłych, lecz ogólnie ornamenty wydawały się prostsze, bardziej stylizowane – zdecydowanie w innym stylu niż te, które oglądała.

W milczeniu szukała dat. Niektóre znajdowały się w oczywistych miejscach, na tabliczkach przymocowanych do kamiennych płyt, lecz inne były ukryte pośród rzeźbionych zdobień, przez co okazały się o wiele trudniejsze do odczytania.

Wszystkie należało oczyścić z kurzu i brudu, zanim dało się je prawidłowo odcyfrować.

Była już tak daleko od latarni, że musiała wodzić po literach i cyfrach opuszkami palców. Wtem, czując przypływ ekscytacji, zorientowała się, że na sprawdzanym właśnie grobowcu widnieje inskrypcja, iż zmarły w 1595 roku Henry William Colyton był kapitanem żeglugi.

– Jonas – powiedziała lekko drżącym głosem. – Przynieś latarnię. Chyba tu jest grobowiec Colytona, który zgromadził ten skarb.

Mówiła nieznacznie głośniej od szeptu. Jonas spojrzał w jej stronę, potem w głąb krypty, ale Henry i Filing niczego nie usłyszeli.

Wyprostował się, wziął lampę i podszedł do miejsca, gdzie stała Em.

Poklepała dłonią kamienną płytę.

– To on, jestem tego pewna. – Była bardzo podniecona, czuła, jak krew buzuje w jej żyłach.

W mocniejszym świetle lampy Jonas odczytał inskrypcję, którą Emily chwilę temu oczyściła z brudu, po czym odstawił latarnię.

– Ten grobowiec ma prostszą budowę, mniej części do sprawdzenia. – Schylił się, aby obejrzeć plintę, potem główny segment, wreszcie długą prostokątną płytę nagrobną, szukając otworów, szpar czy elementów dających się odłączyć.

Em sprawdziła figurę – kamienną Biblię spoczywającą na piersi leżącej postaci, pociągnęła także kamienny blok pod jej głową – lecz nadaremnie.

Jonas stał, spoglądając na pokrywę grobowca. Przeszedł do jej końca, przyłożył dłonie do narożnika i spróbował mocno popchnąć, lecz ciężki kamień ani drgnął.

– Potrzebna będzie pomoc. I łom.

Em ściągnęła usta, w myślach powtarzając słowa rymowanki. Mogły oznaczać, że skarb jest wewnątrz grobowca, lecz ona miała awersję do otwierania grobów, zwłaszcza tych, które

zawierały szczątki jej przodków. Z pewnością żona tego Colytona, która ukryła skarb, odczuwała podobnie.

Uniosła wzrok, spoglądając na sąsiedni grobowiec. Leżąca na nim figura przedstawiała kobietę.

– Czekaj. – Em podeszła do tego grobu. Starła kurz z kamienia i przeczytała inskrypcję, co było znacznie łatwiejsze ze względu na bliskość latarni. – Tak – powiedziała cicho – To ona, żona kapitana. – Spojrzała na Jonasa. – To ona zdecydowała o tym, by ukryć skarb, zamiast wydawać pieniądze na kolejne statki i przygody.

Jonas podszedł do niej.

– Wobec tego… – Przykucnął, badając podstawę grobowca.

Em popatrzyła na figurę, zaciekawiona, czy twarz rzeźby jest w ogóle podobna do twarzy jej żyjącej przed wiekami prababci. Podeszła do głowy, popchnęła i nacisnęła kanciasty podgłówek, który jednak nie dał się poruszyć.

Kobieta była znacznie niższa od męża – Em westchnęła, widocznie mały wzrost był rodzinną cechą, którą również ona sama odziedziczyła. Podeszwy stóp kobiety spoczywały na kamiennym podnóżku – koniecznym, aby zbalansować pozycję figury na nagrobnej płycie. Em stanęła za nogami rzeźby, chwyciła narożniki podnóżka i – jak wielokrotnie wcześniej – pociągnęła.

Podnóżek przesunął się, aczkolwiek niewiele, ledwie centymetr. Em z trudem mogła w to uwierzyć. Wstrzymując oddech, przeszła obok, aby spojrzeć na kanciasty podnóżek od strony figury. Tam ujrzała szczelinę między podeszwami rzeźby a jego tylną ścianką

Prawdziwą skrzynię, którą można było unieść i zabrać.

– To chyba jest to – powiedziała drżącym głosem. Poczuła oszołomienie, nawet nudności, a zarazem podniecenie, tak silne, że z trudem ustała na nogach.

Jonas zjawił się obok niej. Wskazała mu skrzynię, przytykając do niej palec.

– Chyba da się wyciągnąć – wyszeptała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Marszcząc brwi, spoglądał na skrzynię.

– Tu są wyryte jakieś słowa.

Podeszli bliżej, stanęli obok siebie i wytężyli wzrok, gdy Jonas i tak już ubrudzonym mankietem wytarł napis z kurzu.

Pokazały się słowa. Em powiodła po nich palcami, aby się upewnić.

– „Tu leży przyszłość Colytonów".

– Bardzo sprytnie – mruknął Jonas. – Jeśli ktoś nie wiedział o rymowance i o skarbie, pomyślałby, że chodzi o szczątki jakiegoś dziecka, może urodzonego jako martwe, zwłaszcza że nie ma żadnych dat, a jest to prywatna krypta.

– A może zdanie odnosi się do niej. – Em spojrzała na figurę swojej przodkini. – Może miało oznaczać, że to właśnie ona była przyszłością Colytonów, tylko przedwcześnie zmarła.

– To prawda. – Jonas delikatnie odsunął Em na bok. – Ale my wiemy lepiej. Zobaczmy więc.

Chwycił za boki skrzynki, wytężył siły i pociągnął, przesuwając ją o kilka kolejnych cali.

Em zajrzała w poszerzającą się szczelinę u stóp figury.

– Ona jest na wyciętych prowadnicach.

Jonas stęknął. Przesuwając skrzynię to w lewo, to w prawo, pociągnął znowu, a wtedy powoli wysunęła się, tym razem trochę łatwiej. Zanim dała się wyjąć do końca, rozejrzał się dookoła.

– Cofnij się. – Zebrawszy siły, zdjął skrzynię z grobowca i niemal zatoczył się, lecz zdołał ją przenieść i postawić na płycie sąsiedniego, późniejszego grobowca. – Ale ciężka!

Henry i Filing usłyszeli głuchy odgłos uderzenia. Podnieśli głowy.

Em pomachała do niech ręką.

– Chyba znaleźliśmy.

Podekscytowana, wypowiedziała te słowa głosem o kilka oktaw wyższym. Miała ochotę tańczyć, ale miała ściśnięty żołądek. A jeśli w środku będą same kamienie? Albo, co gorsza, kości?

Odegnała te niepokojące myśli i odetchnęła głęboko, gdy podeszli do nich Henry z Filingiem.

Gdy oglądali skrzynię i miejsce, na którym wcześniej leżała, Em poczuła na sobie badawczy wzrok Jonasa. Spojrzała na niego, a gdy pytająco uniósł brew, uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nic mi nie jest – powiedziała bezgłośnie, ruchem warg.

Skrzyżowała ramiona na piersi i potarła jedno o drugie. Nie czuła chłodu, ale… znowu przeniosła wzrok na skrzynię.

– Myślisz, że możemy ją otworzyć?

Jej trzej towarzysze zaczęli naciskać, ciągnąć tu i tam, przemieszczając latarnię, aby dokładnie obejrzeć wszystkie boki.

– Tu jest jakiś zaczep. – Henry wskazał jedną z dłuższych ścianek. – Wykonany z kamienia i osadzony w kamieniu. Jak w tych chińskich układankach.

Nikt ze słuchających niczego nie zauważył, ale po chwili rozległ się cichy trzask. Henry stanął prosto.

– Gotowe. – Spojrzał na Em.

Kiwnęła głową.

– Otwórz.

Jednak łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. Chociaż ciężka pokrywa została odemknięta, jej zawiasy zacięły się. Jonas i Filing spróbowali pomóc, ale podważanie wieka palcami spełzło na niczym.

Wikary cofnął się.

– Patyna czasu.

– Otworzy się – stwierdził Jonas. – Ale potrzebny będzie łom, aby ją podważyć.

Spojrzał na Em, która badawczo oglądała brzeg pokrywy.

– Uniosła się odrobinę. – Lekko pobladła, spojrzawszy na niego. – Czy mamy coś, co można by wsunąć w tę szczelinę?

Henry, Filing i Jonas sprawdzili zawartość kieszeni. Jedynym przedmiotem, jaki mógłby się nadawać, było kółko, na którym zwisał klucz do krypty.

Filing podał go Em.

– My podniesiemy, a ty wsuń.

We trzech chwycili wieko. Na znak dany przez Jonasa jednocześnie pociągnęli ku górze. Em szybko wsunęła kółko w powstałą szczelinę i wcisnęła mocno do środka.

– Jest.

Odwróciła się, żeby wziąć latarnię. Mężczyźni puścili pokrywę i podeszli z drugiej strony, aby spojrzeć.

Henry stanął obok siostry, która przykucnęła przy skrzyni. Zniżyła głowę do poziomu szczeliny, zbliżyła latarnię, aby wpuścić do środka trochę światła…

– Złoto! – krzyknął stłumionym głosem Henry.

Przesuwała latarnię, oświetlając fragmenty wnętrza.

– O Boże – powiedziała cicho. Uniosła głowę i zobaczyła obserwującego ją Jonasa. – Klejnoty. – Odchrząknęła. – To muszą być klejnoty, niebieskie, czerwone i zielone. I perły. Złote monety i inne złote przedmioty.

Była coraz bardziej podniecona, mówiła coraz silniejszym głosem, niemal euforycznie.

Na twarz Jonasa powoli zawitał uśmiech.

– Wygląda na to, że wy, Colytonowie, odnaleźliście rodzinny skarb.

* * *

Rzeczywiście, dokonali tego. I naprawdę był to skarb. Jak najbardziej realny. Em z trudem mogła w to uwierzyć.

Szybko wróciła na ziemię, gdy zaczęli wydobywać skrzynię z podziemia. Była tak ciężka, tak nieporęczna, że Jonas i Filing z trudem mogli ją przesuwać jednorazowo tylko o kilka stóp.

Wyniesienie jej po schodach do krypty okazało się ciężkim przedsięwzięciem, mimo że cała czwórka pracowała przy tym obiema rękami. Drugi etap wspinaczki, tym razem już do kościoła, okazał się równie trudny.

Przysiedli na pobliskiej ławie, aby złapać oddech.

Siedzący niedaleko wejścia Hadley uniósł wzrok znad szkiców. Filing zauważył go i przywołał, machając ręką.

– Każda pomoc się przyda – powiedział.

Rysownik odłożył ołówki, wstał i podszedł do nich.

– Co to jest? – spytał, patrząc na skrzynię.

– Nasz rodowy skarb! – Henry z trudem zachowywał spokój. – Wiedzieliśmy, że gdzieś tutaj jest, a dzisiaj udało się nam go odnaleźć. Był w rodzinnym grobowcu.

– Naprawdę? – Hadley uśmiechnął się przyjaźnie, kiwnął głową Em, potem spojrzał na Jonasa i Filinga. – Więc co teraz planujecie z tym zrobić?

– Musimy przetransportować skrzynię do zajazdu. Będą nam potrzebne narzędzia, aby ją otworzyć, gdyż pokrywa zaklinowała się. – Jonas przeniósł wzrok na Henry'ego. – Thompson pracuje dziś w Grange, ale Oscar powinien być w kuźni. Pobiegnij i postaraj się ściągnąć go tutaj.

Henry szybko wyruszył wykonać polecenie, wybiegł z kościoła i pognał na łeb na szyję po ścieżce w kierunku furtki. Już wcześniej okazało się, że ma za małe dłonie i za słabe ramiona, aby podtrzymać skrzynię, nawet gdy główny ciężar brali na siebie Jonas i Filing.

– Co jest w środku? – dopytywał się Hadley.

– Nie mamy pewności – odparła Em. – Prawdopodobnie złoto i klejnoty, ale przekonamy się dopiero po otwarciu wieka.

– A skąd to się tu wzięło?

Czekając na powrót Henry'ego, opowiedziała Hadleyowi pokrótce o skarbie i rymowance.

Uśmiechnął się.

– A więc bardzo udana przygoda. Uciekliście z domu wuja, przyjechaliście aż tutaj, szukaliście i w końcu znaleźliście wasz skarb.

– Tak – Em odpowiedziała z uśmiechem, gdy właśnie do kościoła wpadł Henry, a za nim szedł ciężkim krokiem Oscar. On też musiał poznać historię, ale zgodził się wysłuchać opowieści, gdy razem z Hadleyem na zmianę z Jonasem i Joshuą nieśli ciężką skrzynię najpierw ścieżką do furtki, potem ku drodze i wreszcie do gospody.

Zanim do niej dotarli, zdążyli już wzbudzić spore zainteresowanie, zebrać coraz bardziej liczną widownię, gdyż

wiadomość o odnalezionym skarbie rozniosła się lotem błyskawicy.

W pewnym momencie Hadley zatrzymał się.

– Muszę wrócić do kościoła i zabrać moje szkice.

John Ostler szybko zajął jego miejsce.

– Dziękuję – zawołała Em.

Hadley zasalutował, potem odwrócił się i żwawym krokiem ruszył z powrotem do kościoła.

Z trudem wnieśli skrzynię, która z każdą chwilą wydawała się coraz cięższa, do gospody i z głośnym hukiem postawili na jednym ze stołów w pobliżu baru.

Edgar nalał Jonasowi i Filingowi po kuflu piwa, a John Ostler udał się do kuźni po łom.

Tymczasem Henry przyprowadził Issy i bliźniaczki. Podobnie jak jej starsza siostra, Issy także nie mogła uwierzyć, że ich poszukiwania dobiegły końca. Że oto mają swój skarb, chociaż na razie zamknięty w kamiennej skrzyni.

Jednak bliźniaczki nie miały takich problemów. Tańczyły i skakały, wydzierając się wniebogłosy.

Thompson przyszedł z Ostlerem, dzierżąc w grubej ręce łom. Spojrzał pytająco na Em, czekając na pozwolenie.

– Proszę. – Zachęciła go gestem.

Henry ponownie odchylił zaczep i przytrzymał, gdy Jonas z Thompsonem ostrożnie wsunęli łom w szczelinę i bocznymi ruchami wepchnęli go głębiej… w końcu z długim, basowym skrzypnięciem wieko ustąpiło i odchyliło się, aby ukazać…

Dość złotych monet, klejnotów – szafirów, rubinów i białych diamentów połyskujących pośród zgromadzonych rzeczy, sznurów pereł, wysadzanych kamieniami złotych pucharów, aby zadowolić wszelkie oczekiwania dotyczące wyglądu skarbu korsarza.

– O, mój Boże. – Em patrzyła, zakrywając dłońmi usta.

Issy nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Nawet bliźniaczki ograniczyły swoją reakcję do krótkich, nieartykułowanych okrzyków. Spoglądały na skrzynię wybałuszonymi oczami.

Przez chwilę w gospodzie panowała cisza, wreszcie ktoś zakrzyknął radośnie, wywołując lawinę wiwatów. Pośród tumultu podniesionych głosów najczęściej rozbrzmiewało nazwisko Colyton.

Em nagle zrobiło się słabo, zakręciło jej się w głowie.

– Usiądź tu. – Jonas ujął ją za ramię. Opadła na krzesło, gdy po chwili poczuła pod kolanami jego brzeg.

Filing posadził Issy obok siostry przy stole, na którym leżał wspaniały skarb.

Em podniosła głowę, zobaczyła stojącego tuż obok Jonasa. Zakryła dłonią jego dłoń, spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję ci.

Uśmiechnął się z dumą. Ścisnął jej rękę, a po chwili spojrzał na drugą stronę stołu.

– O, właśnie ciebie nam było potrzeba.

Lucyfer przyglądał się klejnotom, lecz po chwili uniósł głowę i uśmiechnął się do Em.

– Gratulacje.

– Dziękuję. – Wskazała skrzynię. – W końcu jest nasz, przyznam, że jestem wniebowzięta. Nie mam pojęcia, co mam z tym wszystkim zrobić. – Uderzyła ją pewna myśl. Wyprostowała się na krześle i spojrzała na iskrzące się kosztowności. – Czy to na pewno jest prawdziwe?

– O, na pewno. – Lucyfer spojrzał na nią pytająco. – Czy mogę?

Wyciągnęła rękę zachęcającym gestem. Pośród niemilknących radosnych okrzyków, rozmów, spekulacji o znalezionym skarbie Lucyfer zaczął grzebać w skrzyni, długimi palcami odwracając monety, podnosząc błyszczące kamienie, które badał pod światło. Włożywszy jeden szczególnie jasny klejnot z powrotem do skrzyni, chrząknął i ujął palcami długi sznur pereł.

Phyllida stanęła obok męża.

– Przestań robić przedstawienie. Są prawdziwe czy nie?

Lucyfer spojrzał na Em, uśmiechnął się rozpromieniony i skinął głową.

– Bardzo prawdziwe. To najwspanialsze rubiny, jakie widziałem od długiego czasu, a szafiry są nieskazitelnie czyste. Szmaragdy mają wspaniałą barwę, nigdy też nie widziałem sznura pereł o tak idealnych kształtach. Muszą być stare.

– Babcia mówiła mi, że zostały przejęte z hiszpańskiego galeonu pod koniec piętnastego wieku – stwierdziła Em.

Lucyfer przytaknął.

– To by wyjaśniało obecność złotych dublonów, które, mogę zapewnić, także są w doskonałym stanie i same w sobie – zniżył głos – warte niemałą fortunę. Dodając je do reszty… – Gestem wskazał skrzynię. – Wasz skarb jest wart bajońską sumę. – Pochwycił spojrzenie Em. – Jak to dobrze, że go odnaleźliście. Bo mógłby go wytropić ktoś inny.

– Dobry Boże!

Okrzyk dobiegł gdzieś zza pleców Em. Obróciła się na krześle i zobaczyła Harolda, który wybałuszonymi oczami gapił się na kosztowności.

Zaczął poruszać wargami, lecz dopiero po chwili odezwał się głośno:

– Więc to skarb Colytonów? A niech mnie, zawsze myślałem, że to jakaś bajeczka wymyślona ku uciesze dzieci.

– Wcale nie. – Ostry ton głosu Jonasa wyrażał ostrzeżenie, lecz Harold zdawał się go nie słyszeć.

– Rzeczywiście nie. – Jego oczy zapłonęły chciwie. Zapatrzony w skarb, oblizał wargi i zatarł dłonie.

Dla wszystkich obecnych stało się oczywiste, że Potheridge zastanawia się, w jaki sposób położyć łapy na tym majątku. Gwar podnieconych głosów powoli ucichł. Zapadła męcząca cisza.

Jednak Harold wcale nie był tego świadomy.

Jonas westchnął.

– Potheridge, powinieneś stąd wyjść.

– Co? – Gwałtownie oderwany od rozmyślań o skarbie Harold dopiero po chwili przeniósł pytające spojrzenie na twarz Jonasa.

To, co na niej zobaczył, przywołało go do porządku. Zdał sobie sprawę z zapadłej ciszy, szybko rozejrzał się, w końcu zauważył wrogość skierowaną ku jego osobie.

Prychnął, spoglądając na Em, otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Krzyżyk na drogę. – Thompson nachylił się, aby oprzeć łom o przednią ścianę baru. – Im mniej będzie się nam pokazywał na oczy, tym lepiej.

Rozległ się ogólny pomruk aprobaty.

Jonas wymienił spojrzenia z Lucyferem, potem przeniósł wzrok na Edgara.

– Ogłoś, że dziś trunki na koszt firmy. – Kiedy Edgar wypełnił polecenie, Jonas z uśmiechem popatrzył na Em. – Na mój koszt, a tymczasem zastanówmy się, co z tym wszystkim zrobić.

Kiwając głową, jeszcze raz spojrzała na skarb. Zdążyła otrzeźwieć po tym, co powiedział Lucyfer.

Jonas przysunął sobie krzesło, Phyllida i Lucyfer przyciągnęli ławę na drugą stronę stołu i przysiedli się do nich.

Em spoglądała badawczo na obu mężczyzn.

– Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Co moglibyście mi doradzić?

– Mogę wycenić ten skarb – odezwał się Lucyfer – wtedy będziesz miała pojęcie o jego wartości. A potem… powiem bez ogródek, radziłbym ci go sprzedać, przynajmniej większą część.

Em zmarszczyła nos.

– Taka była inskrypcja na grobowcu: przyszłość Colytonów. Skarb złożono tam, aby pomógł nam w potrzebie. Jeśli rzeczywiście ma taką wartość, jak mówisz, to weźmiemy z niego tylko tyle, ile nam potrzeba. Wykorzystamy część, aby ustawić odpowiednio pozycję Henry’ego, przynależną posiadaczowi nazwiska Colyton, weźmiemy trochę dla każdej z nas, jego sióstr, a resztę zostawimy do wykorzystania dla przyszłych pokoleń Colytonów, jeśli znajdą się w przymusowej sytuacji.

– To chwalebny cel – zgodził się Lucyfer – ale nie możesz odłożyć skarbu na poprzednie miejsce. Bez względu na to stanowczo radziłbym sprzedać wszystko i pozostawić coś dla

przyszłych pokoleń w postaci inwestycji. Razem z Jonasem możemy ci w tym pomóc, tak aby kiedyś potrzebujący Colytonowie nie musieli wszczynać szaleńczych poszukiwań skarbu, którego istnienie będzie się opierało tylko na rodzinnej opowiastce.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, chociaż muszę zauważyć, że Colytonowie tak w ogóle lubią poszukiwanie skarbów.

– Być może – stwierdził Filing – ale gdy stawka jest tak wysoka, to nie byłoby bezpieczne.

– To prawda. – Em chłonęła wzrokiem skarb, błyszczący i mieniący się od kosztowności, których wartość znacznie przekraczała jej najśmielsze oczekiwania. Wciąż miała trudności z tym, aby uwierzyć. Nie docierało do niej, że poszukiwania dobiegły końca, że wszystkie modlitwy o pomyślność rodziny zostały wysłuchane, i to w pełni.

Popatrzyła na wciąż oniemiałą Issy, na Henry'ego, który uśmiechał się, lecz co chwila z niedowierzaniem kręcił głową, jakby też nie do końca był pewien, że to prawda.

Tylko bliźniaczki, rozpromienione i całkowicie skupione na skarbie, zdawały się bez zastrzeżeń przyjąć do wiadomości wszystkie fakty. Em przypuszczała, że dziewczynki bezwarunkowo wierzyły w rodzinną legendę i zapewne wyobrażały sobie, że skarb będzie tak wspaniały, jak okazał się w rzeczywistości.

Em popatrzyła na siedzących z nią mężczyzn.

– Ale teraz skarb jest tutaj, widzimy, z czego się składa, więc gdzie możemy go bezpiecznie przechować?

– Znam takie miejsce – odezwał się Jonas. Ku zdumieniu Em, ogłosił to donośnym głosem, aby usłyszeli go wszyscy klienci obecni w gospodzie. – Schowamy skarb w celach pod zajazdem. Żaden złoczyńca nigdy z nich nie uciekł ani też nigdy nikt nie włamał się do środka.

Rozdział 18

– Dobra robota. – Lucyfer skinął głową Jonasowi, gdy stali przed jedną z cel w piwnicach pod gospodą, spoglądając na kamienną skrzynię, którą umieścili w środku na drewnianej ławie.

Ponownie zamknięta, z ukrytymi we wnętrzu kosztownościami, skrzynia wyglądała dość osobliwie – jak dziwaczny więzień.

Jonas zamknął ciężkie drzwi i przekręcił duży klucz w zamku.

– Chciałem się upewnić, że wszyscy zrozumieją, iż nie ma sensu próbować wykraść nowo odkrytego skarbu Colytonów. – Chociaż odezwał się w odpowiedzi na komentarz Lucyfera, to jednak patrzył prosto w oczy Em.

Skinęła głową, doskonale to pojmując. Nie tylko to, że teraz skarb jest absolutnie bezpieczny, ale też jego intencje, gdy ogłosił ten fakt w gospodzie. Uczyła się doceniać jego opiekuńczość.

– Proszę. – Podał jej klucz. – Schowaj go w bezpiecznym miejscu.

Wzięła go i wsunęła do kieszeni, czując obciążenie wagą żelaza.

– Zastanowię się nad dobrą skrytką.

Cały dzień wydawał się snem; czasem odnosiła wrażenie, że zaraz obudzi się i odkryje, że to nie miało miejsca.

Wyszli po schodach z piwnicy i wrócili do gospody, wciąż pełnej gości. Wiele osób przyszło dowiedzieć się o najnowszych wydarzeniach, a potem zostali na posiłek. Kiedy zajrzała do kuchni, zobaczyła Hildę, która niczym generał starała się opanować chaos.

– Kolacja dla was jest podana w prywatnym salonie – wyjaśniła Hilda. – Pójdź z panami Tallentem i Cynsterem na górę. Pani Cynster już tam jest z panem Filingiem, Henrym i twoimi siostrami.

Odprawiona z kuchni Em weszła po schodach z Jonasem i Lucyferem. Pozostali biesiadnicy już siedzieli przy stole i czekali. Gdy tylko przybysze zajęli miejsca, Joshua odmówił okolicznościową modlitwę. Nigdy dotychczas Em tak żarliwie i szczerze nie dziękowała Bogu za jego dary. Kiedy podano jedzenie, odprawiła dziewczęta, które przyniosły posiłek, aby rodzina wraz z Jonasem, Filingiem i Cynsterami mogli swobodnie porozmawiać.

Podczas gdy Issy i Henry wciąż usiłowali ogarnąć umysłem ogrom nagłego przypływu fortuny, bliźniaczki nie wykazywały aż takiego zaskoczenia, gdyż w ich wyobraźni skarb Colytonów zawsze był wielki. Po prostu rzeczywistość spełniła ich oczekiwania. W rezultacie zaczęły już snuć niesamowite plany, jak rozdysponować majątek.

Dobry nastrój tryskających energią dziewczynek był zaraźliwy. Dwie godziny minęły szybko – Em nie miała chwili, aby pomyśleć, gdy musiała odpowiadać na sugestie w rodzaju: „Myślę, że powinniśmy kupić dom w Londynie” albo: „Musimy kupić statek i pożeglować do Indii”, a także podtrzymywać rozmowę przy stole.

Phyllida zorientowała się w sytuacji. Wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Lucyferem, wskazała drzwi, a potem delikatnie dotknęła dłoni Em.

– Na pewno masz mętlik w głowie. Ja poradzę ci jedno, a jestem pewna, że Lucyfer się ze mną zgodzi: nie należy się spieszyć. Spokojnie zastanów się, przemyśl różne możliwości, zanim podejmiesz decyzję. – Uśmiechnęła się, a Em od razu spostrzegła podobieństwo do Jonasa. – Znalazłaś skarb, który jest już bezpieczny, podobnie jak ty i twoja gromadka tu, w Colyton. – Zerknęła na Jonasa i Filinga, którzy dyskutowali o czymś z Lucyferem. Powoli zaczęła się podnosić. – Z pewnością

zdajesz sobie sprawę, że ty, Issy, Henry i bliźniaczki, wszyscy macie miejsce tutaj wśród nas. – Wstała.

Em skłoniła głowę, patrząc w ciemne oczy Phyllidy.

– Dziękuję. To naprawdę znakomita rada.

Phyllida zabrała męża i wyszła. Zostawiwszy Issy i Joshuę, aby popilnowali bliźniaczek, które w końcu zaczęły opadać z sił, Em postanowiła pokazać się w gospodzie – jako osoba zarządzająca tym interesem.

Jonas westchnął, ale nie próbował jej od tego odwieść. Zszedł razem z nią i usiadł w barze z innymi mężczyznami, wdając się z nimi w pogawędki. Popijał piwo, obserwując, jak Em chodzi tu i tam, doglądając wszystkiego, zamieniając parę zdań z którąś z kobiet, jak udaje się do kuchni, aby pilnie przekazać coś Hildzie, a potem zjawia się u boku Edgara.

Przypuszczał, że chciała znowu zejść na ziemię. Odnalezienie skarbu było ekscytującym doświadczeniem, lecz odkrycie pełnej wartości spuścizny po przodkach musiało być prawdziwym szokiem. Co było zrozumiałe, bo taka nowina mogła wytrącić z równowagi każdą damę, a zwłaszcza taką, która przez ostatnie miesiące balansowała na krawędzi ubóstwa, goniąc za marzeniem.

Które teraz przekształciło się w oszałamiającą rzeczywistość.

On, oczywiście, czuł się odprężony, odczuwał nawet coś na kształt zadowolenia z siebie. Teraz Em miała już swój skarb, a odnaleziony majątek pozwoli jej usunąć wiele trudności, z którymi borykałaby się, przyjmując jego ofertę. Nie dbałby o to, gdyby nie miała pensa przy duszy, natomiast ona źle by się z tym czuła. A teraz zyskała spory majątek, na tyle duży, aby przyjąć jego ofertę bez zastrzeżeń.

Teraz, gdy Henry i siostry Em mieli zapewnioną przyszłość, będzie miała czas, aby poświęcić uwagę jemu i przemyśleć jego propozycję.

Wkrótce będzie mogła zająć w jego życiu miejsce, jakie jej przeznaczył.

Dusza Jonasa uśmiechała się, gdy ostatni maruderzy poszli do domu, a po dokładnym zamknięciu gospody szedł po schodach

na górę, za Em, do jej pokoi.

Ignorując zostawioną na komodzie płonącą świecę, minęła salonik i poszła od razu do sypialni. Nie odstępował jej na krok, z niejakim triumfem spostrzegając u niej brak wahania, obiekcji co do jego obecności w tym pomieszczeniu.

Zatrzymała się na środku pokoju i odwróciła twarzą ku niemu. Przez niezasłonięte okna do sypialni wdzierało się światło księżyca, kładąc się wszędzie perłowosrebrzystą poświatą. Em przez chwilę przyglądała się badawczo twarzy Jonasa, lecz potem opuściła wzrok.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym, żebyś ty go miał.

Poszedł za jej spojrzeniem i zobaczył, że trzyma w ręku ciężki klucz do piwnicy.

Znieruchomiał

Po chwili milczenia zmusił się, aby spytać:

– Jesteś pewna? – Przecież składała w jego ręce przyszłość swojej rodziny.

W srebrzystym świetle księżyca zobaczył jej uśmiech.

– Tak, jestem pewna. Weź go, proszę. Możesz go ukryć w Grange. Teraz w gospodzie panuje duży ruch, zwłaszcza gdy mamy nocujących gości. – Uniosła głowę, patrząc mu w oczy. – Czułabym się o wiele bardziej komfortowo, gdybym wiedziała, że jest u ciebie.

Zamknął dłoń na jej dłoni i wziął klucz. Ujrzał w jej oczach, na jej twarzy, pełne zrozumienie doniosłości tej chwili. Wsunąwszy klucz do kieszeni surduta, wyciągnął ku niej ręce.

Bez wahania weszła w jego ramiona, ujęła męską twarz małymi dłońmi, zajrzała mu w oczy i pocałowała go. Tęsknie, długo, kusząco – wyraźnie zapraszająco.

Oboje mieli mnóstwo powodów do świętowania.

Objął ją i przytulił do siebie, tam, gdzie było jej miejsce. Oddał pocałunek, tak samo wygłodniały, radosny, upojony chwilą, jak ona.

Tak samo chciał zatrzymać ten moment, dzielić z nią wspólny triumf, uczcić sukces – i wszystko, co oznaczał.

Nie ustępowała mu ani na krok, gdy wiódł ją niezłomnie w samo serce płomiennej namiętności. Zaiste, była to chwila, którą należało się delektować, noc, której znaczenie należało zapamiętać, przyjąć do wiadomości, ogarnąć i podziękować za dane im dobrodziejstwa.

Skarb Colytonów, owszem, lecz Jonas jednocześnie odkrył coś, w czym tkwił znacznie większy potencjał, coś trwalszego niż złoto czy klejnoty, i nieskończenie bardziej cennego.

Oddała mu swe usta, którymi ochoczo zawładnął, które bez żadnych zahamowań przywłaszczył sobie, wreszcie dał jej trochę swobody, by mogła pofolgować pragnieniu, a sam zaczął rozpinać jej suknię.

Ubrania opadły na podłogę.

Jej i jego, a po chwili u ich stóp leżała sterta garderoby oblewana światłem księżyca.

Naga była chętna, niecierpliwa. Pozwolił, aby pomogła mu ściągnąć buty i skarpety, poddał się jej nieodpartemu żądaniu i pozwolił, aby uklękła i zdjęła zeń spodnie.

Szybko zrzucił koszulę, którą Em przed chwilą rozpięła. Czytał w jej jasnych oczach dziką namiętność, namysł, spekulacje. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Jonas wyszedł ze spodni, ujął ją za ramiona, postawił i wziął w ramiona.

Skóra dotknęła skóry.

Wydała cichy okrzyk, zmysły wymknęły się spod kontroli. Rozgrzana podnieceniem objęła go za szyję, wygięła ciało, przywierając doń, napawała się tą wspaniałą chwilą, gdy czuła jego szorstką skórę i twarde ciało ocierające się o jej miękkie kształty, aby ochoczo i zapamiętale zacisnąć usta na jego wargach.

Oddała mu je, wciskając się nabrzmiałymi, bolącymi piersiami w twardy męski tors, przywierając rozkołysanymi biodrami do jego ud, pieszcząc nabrzmiałą męskość naprężonym, gładkim jak jedwab brzuchem.

Ich ręce nie były bezczynne.

On trzymał jej pośladki, sugestywnie ugniatając, wyzwalając w niej jeszcze większe podniecenie, przenikające do szpiku

kości. Palce Jonasa przesuwały się, ruchliwe, badawcze. Jej wilgotna skóra rozgrzewała się coraz bardziej.

Uniósł ją nad podłogę. Instynktownie rozchyliła nogi, objęła go nimi na biodrach, zamknąwszy oczy z trudem zachłannie nabrała powietrza, gdy on przytrzymał ją i wcisnął się do środka. Odetchnęła z cichym jękiem, ogarnięta prymitywnym zmysłowym doznaniem.

Trzymała go za ramiona, mocno zaciskając palce. On tak samo podtrzymywał jej biodra w nieruchomej pozycji, a sam równym rytmem, nieustępliwie brał ją, wypełniał. Wyginała ciało, przyjmując go w sobie, obejmując, lgnąc, poddając się i biorąc zarazem.

Kiedy już ją w pełni osadził, trzymając bezpiecznie przeszedł kilka kroków do łóżka. Tam położył ją na narzucie, lekko opierając jej biodra na materacu. Zaborczo zgniatał jej rozgrzane pośladki, biorąc w niewolę jej zmysły. Wtem wyprostował ciało i, spojrzawszy prosto w oczy Em, wysunął się niemal do samego końca, by zdecydowanym, mocnym pchnięciem wypełnić ją jeszcze raz.

Odczuła to inaczej, wzmożone wrażenie przynależności narastało, lecz żaden inny dotyk poza miejscem ich połączenia nie odwracał jej uwagi. Myśli i zmysły koncentrowały się zachłannie na tym jednym punkcie.

Tarcie wywołane równomiernym rytmem jego głębokich pchnięć narastało, aż każde kolejne wejście słało kolejną falę przyjemności w jej żyłach, napinając nerwy.

Stopniowo przytłaczając jej myśli. Zacisnęła palce na narzucie, miotała głową na boki, ogarnięta coraz większymi płomieniami, usłyszała własny jęk, czując bliskość wabiącej ekstazy.

Lecz chciała, aby on doszedł tam razem z nią. Mocniej objęła go nogami, pociągnęła ku sobie, bliżej, głębiej, wygięła plecy na tyle mocno, na ile jej pozwolił…

Jonas stęknął, czując, jak traci panowanie nad sytuacją, jak jego ciało reaguje na jej dziki zew. Chwytając łapczywie powietrze, puścił jej biodra, nachylił się i oparł na

wyciągniętych rękach, aby jej nie zmiażdżyć; nachyliwszy głowę wpatrywał się w jej twarz, gdy wiła się pod nim, a on wchodził w nią raz po raz, penetrując każdy wolny centymetr, żądając zupełnego poddania.

I oferując w zamian to samo.

Lecz ona chciała jeszcze więcej; ponętne rozgrzane ciało, otwarte, wyczekujące, którego już nie kontrolował, lecz sam wciskał się coraz głębiej i mocniej.

Rzeczywiście świętowali, ale coś bardziej pierwotnego, prymitywnego – to narastało, przenikało ich, płynęło z miejsca, w którym się tak bezwstydnie połączyli.

Płomienna burza namiętności, pożądania i czegoś jeszcze silniejszego.

Buchający ogień przenikał ich oboje, w końcu ich pochłonął. Przez okamgnienie, w eksplozji zmysłów, odrywał ich od tego świata.

Przenosił ich tam, gdzie powietrzem była ekstaza; łapczywie wdychali, zachłystywali się nią. Aż do punktu, gdy wypełniła ich całkowicie…

Zawirowała przeraźliwie w ich głowach, gdy dysząc ciężko, zwarci w miłosnym uścisku, wypłynęli na złocisty ocean.

Spojrzeli na siebie spod ciężkich powiek.

Rozszalałe serca powoli uspokajały się, biły wspólnym rytmem, co uświadomiło im coś nowego.

Em uśmiechnęła się, coraz bardziej rozpromieniona, gdy jej złociste oczy zaskrzyły się szmaragdową zielenią.

Odpowiedział tym samym, wstrząsany tłumionym śmiechem.

Wyszedł z niej, uniósł i położył ją nieco wyżej na łóżku, sam legł u jej boku.

Czuł się oczyszczony, zaszczycony i błogosławiony – był pewien, że ona odczuwa to podobnie, gdy wtuliła się w niego, opierając głowę na jego ramieniu.

Czuł się spełniony, co wynikało z pewności, że ona wie – tak samo jak on – iż oto doznają ich najprawdziwszej glorii, która zrodziło się i rozkwitła między nimi, a teraz jak najczystszy eliksir płynęła w ich żyłach, trzymając ich, odurzonych i

bezbronnych w mocarnych kleszczach, aż rozbiła ich na miliony iskier, aby potem wypełnić szczęściem, prawdziwym niebem na ziemi.

Ułożył się wygodniej w jej łóżku. Kiedy wziął Em w ramiona i nakrył oboje pościelą, nabrał absolutnej pewności, że tak właśnie miało być, że to – i ona – są jego prawdziwym przeznaczeniem.

* * *

– Hm!

Em podniosła wzrok znad leżącej na biurku księgi rachunkowej i ujrzała Silasa Coombe'a, który stał w drzwiach kantoru. Cofnęła krzesło, aby wstać.

– Czym mogę panu służyć?

– Nie, nie, droga pani! – Z obłudnym uśmiechem na ustach Coombe podszedł bliżej, dając znak, aby nie wstawała. – To ja przyszedłem, aby zaoferować pani swoje niskie służby.

Wolała, aby oddzielała ich szerokość biurka, więc usiadła z powrotem i spojrzała na niego z uprzejmym zainteresowaniem.

– Jakże to?

– Czy mogę? – Coombe wskazał krzesło przed biurkiem, a gdy skinęła głową, usiadł i nachylił się, przemawiając konspiracyjnym tonem. – Chodzi o ten… skarb Colytonów. Nie wiem, czy jest pani świadoma, ale jestem pewnego rodzaju ekspertem, znam się na różnych starociach. – Przybrał minę poważnego uczonego. – Cynster jest ekspertem w dziedzinie klejnotów i biżuterii, więc powinna pani skorzystać z jego porady w kwestii tego typu przedmiotów, jako że wchodzą w zakres jego wiedzy. Natomiast jedną z moich specjalności są monety, zwłaszcza stare. Z przyjemnością pomogę pani w wycenie i sprzedaży dublonów i podobnych monet ze skrzyni.

Nie miała wątpliwości, że Coombe byłby szczęśliwy, wręcz ekstatycznie szczęśliwy, gdyby zachciała przekazać mu monety do wyceny i sprzedaży. Uśmiechnęła się sztucznie.

– Bardzo dziękuję za propozycję, panie Coombe. Na pewno będę o niej pamiętać, ale razem z rodzeństwem nie zdecydowaliśmy jeszcze, co zrobimy ze skarbem, co sprzedamy, a co zatrzymamy, czy w ogóle sprzedamy dużo rzeczy.

Wstała, wciąż uśmiechając się grzecznie, lecz dała mu do zrozumienia, że w tej chwili temat uważa za zamknięty.

– Oczywiście zawiadomię pana, gdybyśmy chcieli skorzystać z tej uprzejmej propozycji. Dziękuję, że mnie pan odwiedził.

Coombe wstał, jak nakazywało dobre wychowanie. Kilka razy otwierał i zamykał usta, zanim zrozumiał, że Em nie zostawiła mu dużego wyboru. Z dobrą miną do złej gry musiał przyjąć jej odprawę.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Proszę śmiało dać mi znać, gdybym mógł czymkolwiek służyć. Jestem do pani usług, panno Colyton.

Skłonił się dość sztywno i wyszedł.

Patrzyła za nim, w końcu usiadła ciężko na krześle.

Mówiła prawdę, że jeszcze nie podjęli żadnej decyzji co do skarbu. Jeśli chodzi o nią, nie do końca docierała do niej myśl o jego wielkości. Oczekiwała sakiewki złotych monet, może małej szkatułki z klejnotami. Oszałamiająca ilość drogocennych przedmiotów rzucała zupełnie inne światło na skarb. Teraz musiała wziąć na siebie związaną z tym odpowiedzialność – wobec swojego rodzeństwa i przyszłych pokoleń. Decyzja o rozdysponowaniu skarbu nieoczekiwanie nabrała ogromnej wagi.

Jako Colyton była lekkomyślna, lecz jednocześnie przezorna, zatem czuła, że powinna uwzględnić doskonałą radę Phyllidy. Zamierzała wszystko starannie rozważyć, a w końcu podjąć właściwą decyzję.

Bez względu na wszystko nie miała zaufania do Coombe’a, nie powierzyłaby mu nawet garstki monet. Jednak Lucyfer to co innego. Em potrzebowała dużo czasu, aby obdarzyć kogoś zaufaniem, gdyż życie nauczyło ją ostrożności już od najwcześniejszych lat. Jednak ufała również swoim instynktom, a one dość szybko podpowiedziały jej, aby zawierzyć

Lucyferowi… tak samo, jak wcześniej przekonała się do Jonasa jako do człowieka honoru.

Co więcej, razem z Phyllidą, Lucyfer samoistnie osiągnął status niemalże członka rodziny – z punktu widzenia samej Em oraz jej rodzeństwa. Postanowiła, że przyjmie jego propozycję wyceny skarbu, a potem omówi z rodzeństwem, Jonasem, Joshuą, Phyllidą i Lucyferem kwestię najbardziej rozsądnego rozwiązania.

To było dziwne odczucie, aby dopuścić inne dorosłe osoby – oprócz Issy i Henry'ego – do wspólnych rozważań w celu wypracowania najlepszej decyzji. Dziwne mieć osoby, na które mogła liczyć, których opinie i rady wysoko sobie ceniła.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Wracając z ołówkiem w ręku do rachunków, musiała przyznać, że czuje się z tym naprawdę znakomicie.

* * *

Miała bardzo pracowity dzień, gdyż mieszkańcy dalszych farm zjawili się w gospodzie, aby wysłuchać opowieści o skarbie. Chociaż był on zamknięty i ukryty przed wzrokiem ciekawskich, w sali było sporo osób, tak samo kobiet i mężczyzn, które widziały go poprzedniego dnia i z upodobaniem opisywały jego wspaniałość mającym mniej szczęścia sąsiadom.

– To nieuniknione – powiedział Jonas, gdy tego samego dnia wieczorem, po wyjściu ostatnich gości, szedł za Em na górę. – To jest wieś, więc wieści roznoszą się szybko i daleko. Także o obecnym miejscu przechowywania skarbu oraz fakcie, że piwnice pod gospodą są absolutnie niedostępne.

– Pewnie tak. – Em dotarła na piętro, odwróciła się do drzwi salonu i otworzyła je na całą szerokość. W tym momencie wydała cichy okrzyk.

– Co się stało? – W jednej chwili Jonas stanął za nią, opiekuńczo obejmując jej ramiona, i spojrzał.

Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu.

Przez dobrą minutę zszokowani stali bez ruchu, ogarniając wzrokiem poprzewracane meble, porozrzucane poduszki foteli, otwarte szuflady komody, których zawartość leżała na odsłoniętej podłodze, gdyż dywany zostały odrzucone na bok.

– Co to ma być? – Jonas delikatnie odsunął Em i z ponurą miną wszedł do pokoju. Nic nie zostało połamane, nie było to bezmyślne niszczenie.

Rozejrzał się, podszedł do drzwi sypialni. Pod jego dotykiem otworzyły się, ukazując podobny obrazek jak w salonie – narzuty z łóżka leżały na podłodze, materac był przewrócony, drzwi szafy otwarte, szuflady powyciągane, a ich zawartość rozsypana na podłodze. Nawet grube zasłony zostały odciągnięte na bok.

– Szukali klucza – odezwała się Em zza pleców Jonasa.

Spojrzał na jej pobladłą twarz.

– Na to wygląda – przytaknął.

Wszedł głębiej do sypialni. W łaźni było mniej potencjalnych skrytek, ale i ona została dokładnie splądrowana.

Drzwi prowadzące do tylnych schodów były uchylone.

Z zaciętą miną Jonas podszedł tam i obejrzał zaczep.

– Nie ma zamka. – Nie było tam nawet zasuwki, którą Em mogłaby zabezpieczyć drzwi od środka. Jonas odwrócił się i zobaczył, jak Em wpatruje się w porozrzucane ręczniki. – Jeśli się zgodzisz, przyślę tu jutro Thompsona, żeby założył zasuwy.

Na dźwięk jego głosu otrząsnęła się z szoku. Dopiero po chwili pojęła sens ostatnich słów i skinęła głową. Przycisnęła ramiona do ciała, wstrząsana dreszczem.

– Tak, bardzo proszę. W przeciwnym razie nigdy tu sama nie zasnę.

Chciał powiedzieć, że już nigdy nie będzie spała sama, tu, czy gdziekolwiek indziej, lecz ugryzł się w język. Teraz nie był odpowiedni moment, aby nalegać.

Nagle podniosła głowę. W jej oczach czaiło się przerażenie.

– Boże. A bliźniaczki? Issy?

Pobiegła do pokoju dziewczynek, lecz obie spały niewinnie i spokojnie w świetle księżyca. Z ulgą dała Jonasowi znak, żeby

nie wchodził, po czym zajrzała do pokoju Issy, potem do sypialni Henry'ego, lecz również oni spali spokojnie i bezpiecznie w pokojach, które nie nosiły śladów plądrowania.

Em odetchnęła z wyraźną ulgą i uśmiechnęła się do Jonasa. W milczeniu wrócili do jej pokoi.

Tam przeszła do łaźni, podniosła z podłogi ręcznik i zaczęła go składać.

– Bogu dzięki, że sprawca nie pomyślał, aby szukać na górze.

Albo wiedział, że tam nie warto – pomyślał Jonas, ale nie powiedział tego głośno. Postanowił zbadać tę kwestię później. Wskazał przez sypialnię na otwarte drzwi salonu.

– Zacznę tam.

– Ja poukładam wszystko tutaj – odpowiedziała – i przyjdę ci pomóc.

Zostawił ją, aby uporządkowała bardziej osobiste rzeczy, a sam wrócił do salonu i poustawiał meble na swoich miejscach. Kiedy Em dołączyła do niego, zaczęła układać w szufladach powyrzucane z nich przedmioty, podczas gdy Jonas przeszedł do sypialni. Tam położył materac na łóżku, powkładał szuflady na miejsce, w końcu zaczął rozprostowywać zmiętą pościel.

Em weszła i spojrzała na niego z uśmiechem.

Rozpostarł prześcieradło tak, jak zawsze robiła to Gladys.

– Dam sobie tu radę – chrząknął. – Rób swoje.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wcale nie miał nic przeciwko temu, że się z niego śmiała, najważniejsze, że się śmiała. W końcu zajęła się porozrzucanymi przez intruza ubraniami.

Zanim skończyła i zamknęła szuflady, Jonas zrobił porządek z łóżkiem. Nie było sensu ścielić go idealnie, gdyż za chwilę i tak zamierzali się położyć.

Em objęła Jonasa, położyła głowę na jego piersi.

– Ktoś chce ukraść skarb.

Chociaż żadne z nich nie wypowiedziało imienia, oboje wiedzieli, kto jest głównym podejrzanym. Pocałował ją w czoło.

– Pomyślimy o tym jutro. – Jedną dłonią uniósł jej podbródek, spojrzał w oczy. – A dzisiaj… – Nachylił się i pocałował ją.

Wyczuł, że jest chętna, ale coś nie daje jej spokoju. Zapewne myślała o włamaniu i obawiała się intruza, który splądrował jej pokoje.

– On już sobie poszedł – powiedział cicho. – Nie wróci. – Całował ją delikatnie, powoli. – Ani dziś, ani jutro. Nigdy.

Przygryzł jej dolną wargę, skupiając na sobie uwagę Em. Tym razem nie stawiała oporu, zupełnie pasywna. Bezlitośnie zawładnął jej zmysłami i pociągnął za sobą w krainę doznań tak mocnych, by wyłączyć jej myślenie, wyrwać z niepokojącej teraźniejszości, a później pozwolić jej spokojnie zasnąć.

Taki miał cel, gdy całował ją żarłocznie i z niepohamowaną determinacją wciągał w żar wzajemnej, nieokiełznanej namiętności.

Jedno spojrzenie w oczy Em wystarczyło, aby potwierdzić, że jednak się martwi, niepokoi – do tego zresztą przywykła. Zwalczała wszystkie przeciwności losu sama. Do teraz.

Teraz on był przy niej, aby wziąć na siebie ten ciężar, w przenośni i dosłownie. Już przyjął na siebie tę rolę. Lecz do rana nic nie można było zrobić. Do tego czasu musiała przestać myśleć, przestać się martwić.

Jednak wciąż balansowała na progu namiętności. Nawet gdy rozchylił jej usta i wsunął w nie język, wciąż nie potrafiła odpowiedzieć mu tym samym.

Stwierdził, że istnieje tylko jedna rzecz na tyle silna, aby odwrócić jej myśli od trosk.

Więc obdarował ją.

Szczodrze.

Wyzwolił z siebie wszystko, co do niej czuł, a tym pocałunkiem wciskał w nią swe pożądanie, namiętność, aż nie mogła się oprzeć, powstrzymać się, aż ona – mająca serce i duszę łowcy przygód – musiała zaprzeć się obiema rękami i skoczyć w wir namiętności.

Z cichym pomrukiem ujęła w dłonie jego twarz, walczyła ze sobą, czy ma popłynąć na tej ognistej fali, którą on tak lekkomyślnie wyzwolił, próbowała znaleźć jakieś racjonalne

oparcie, które już utraciła w rozgorzałych między nimi płomieniach.

To… to było co innego. Silniejsze niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła, czysta moc uczucia – lub nieodpartego pożądania – zakołysała nią, zaskoczyłaby ją, gdyby jej natura nie wyszła przed szereg i nie wyszeptała „tak”.

Uwięził ją w swych ramionach, po chwili położył na niej dłonie, nie w grzecznej prośbie, lecz w jawnym żądaniu. Jego usta, pocałunek owładnęły nią, oderwały ją od rzeczywistości, uniosły w powietrze, aż została uwięziona przez własne zmysły, które on przekupił. Przywłaszczył sobie jako swe narzędzia, swoją broń, gdy twardymi rękami ujął mocno jej piersi.

Zważył je w dłoniach, ścisnął, przez cienki materiał sukienki odszukał sutki, ścisnął je, pociągnął, aż uformowały się w twarde pąki. Silne męskie palce bawiły się nimi, śląc elektryzujące doznania wzdłuż nerwów i żył, kumulujące się między jej udami.

Nie dał jej czasu do namysłu, otrzeźwienia, uwolnienia rozsądku. Puściwszy piersi, powędrował dłońmi niżej, po talii, biodrach, chwycił pośladki, które zaczął sugestywnie masować i ugniatać.

Przywarł do niej ustami, przyciągnął ku swej sztywnej męskości i pokierował lekko w kierunku łóżka, aż oparła się o jego brzeg.

Trzymał ją tak dłuższą chwilę, uwięzioną między nim a łóżkiem, aby poczuła, jakie reakcje w nim wywołała, poczuła bezmiar jego podniecenia. Całował ją bez zahamowań, mocno, namiętnie, aż poczuła lekkie oszołomienie, nawet słabość.

Uniósł głowę, cofnął się, odwrócił ją i znowu podszedł – tym razem była uwięziona, stojąc przodem do łóżka. Miała go za plecami.

Poczuła jego palce na koronkach, a jego spojrzenie – na piersiach.

– Popatrz w lustro.

Na jego stanowczy rozkaz – nie była to bowiem prośba – uniosła wzrok. Po drugiej stronie łóżka, przy ścianie stała

toaletka z szerokim zwierciadłem. Pobliskie okno wpuszczało do środka poświatę księżyca. Noc była bezchmurna – w sypialni było dość światła, aby mogła ujrzeć odbicie siebie i górującego za nią Jonasa.

Nie widziała jego oczu, wyrazu twarzy, lecz rysy miał twarde, trawione namiętnością.

Ten widok wzbudził w niej pożądliwe oczekiwanie.

Oczekiwanie bardziej zuchwałe niż kiedykolwiek przedtem.

Oczekiwanie, które jeszcze wzrosło, gdy Jonas sprawnie zdjął z niej suknię i halkę.

Upuścił je na podłogę i wrócił dłońmi na jej ciało, znowu ujął piersi – i wydobył z niej cichy okrzyk, gdy patrzyła, jak ciemniejsze męskie dłonie ponownie zaczęły władczo wodzić po jej wrażliwej, jaśniejszej skórze.

Puścił jedną pierś i przesunął wolną dłoń ku dołowi jej ciała, zatrzymując się, by rozpostrzeć palce na naprężonym brzuchu i nacisnąć, tym samym wtulić się w nią jeszcze bliżej, ona zaś poczuła wełnę spodni ocierających się o jej obnażone uda, o już wilgotne pośladki.

Poczuła jego twardą męskość w dole pleców.

Dłoń Jonasa podjęła badawczą wędrówkę coraz niżej. Musnęła kręcone włoski – widoczne w lustrze jako ciemny trójkąt tam, gdzie łączyły się uda – i przesunęła się, by pieszczotliwie gładzić pośladek.

W tym momencie wsunął dwa długie palce między jej uda, potarł wilgotne, już nabrzmiałe ciało, w końcu rozsunął fałdy i powoli wsunął się do środka.

Z cichym okrzykiem uniosła się na palcach. Poczuła, jak zgiął palce, wycofał je, ale tylko po to, by za moment powrócić, z większą siłą i stanowczością.

Zawirowało jej w głowie, skóra ożyła, gdy pieścił ją rytmicznie, popychając coraz wyżej, lecz zanim wspięła się zbyt wysoko, wycofał dłoń. Puścił pierś.

– Nie ruszaj się.

Głos miał tak niski, tak chropawy, że z trudem go zrozumiała, lecz – czując na skórze mrowienie i rosnące podniecenie –

czekała, aż on zrzuci z siebie ubranie, lecz zamiast tego przyklęknął na jednym kolenie i ściągnął z niej pończochy.

Sama wyszła z trzewików, zaczęła się odwracać. Była teraz zupełnie naga, a on całkowicie ubrany. Zanim zdążyła odwrócić się i położyć dłonie na jego surducie, chwycił ją za biodra i przytrzymał wciąż skierowaną twarzą do łóżka, stojąc za nią.

Spojrzała na niego w lustrze. To już nie był jej delikatny kochanek, lecz ktoś inny. Ten mężczyzna pragnął jej, obnażył swoje pożądanie, spuścił je ze smyczy.

Spoglądając ponad jej ramieniem na piękno, które odsłonił – aby je posiąść – Jonas w trudem poznawał sam siebie. Wcale tego nie zamierzał, a w jeszcze mniejszym stopniu tego, co podświadomie wiedział, że nastąpi. Scenariusz był już wyryty w kamieniu bez możliwości zmiany. Wcześniej nie miał pojęcia, że odrzucenie emocjonalnego hamulca i puszczenie na żywioł swych uczuć – miłości, jeśli miał być szczery – doprowadzi do tego nieodpartego pragnienia, aby ja posiąść.

Posiąść znacznie głębiej niż do tej pory.

Uczynić ją swoją – ponad wszelką wątpliwość, bezapelacyjnie, całkowicie. Aby odczuła nie tylko jego pożądanie, ale też właściwość tej żądzy, właściwość i nieuniknioność faktu, że jej miejsce jest przy nim.

Pod nim.

Bardziej prymitywna strona jego osobowości przejęła absolutną kontrolę i teraz była motorem jego działania.

Przywiodła go do tego, by spoglądając w jej oczy widoczne w lustrze, chwycił ją w talii i uniósł, postawił na kolanach na brzegu łóżka i wszedł między rozchylone łydki.

Jeszcze raz pożądliwie chwycił dłonią pierś, aż wstrzymała oddech, drugą ręką pocierał kolistymi ruchami sterczące pośladki, wreszcie palcami sięgnął do rozgrzanego, wilgotnego gniazdka między jej udami. Wkładając do środka palec, innym odnalazł świadczący o jej podnieceniu twardy koralik i zaczął go pieścić. I robił to, penetrując rytmicznie pierwszym palcem.

Usłyszał, jak przestała oddychać, zobaczył, jak opuściła powieki, desperacko usiłując złapać powietrze przez ściśnięte

gardło. Miała rozchylone usta, zaróżowioną skórę, nie ruszała się, pozwalając mu robić to, co chciał. Była więźniarką zmysłów, gdy poczynał sobie z nią według swego uznania – gdy szykował jej ciało i zmysły do rychłego przejęcia.

W lustrze sycił się widokiem jej ciała, potem przeniósł wzrok na twarz.

– Otwórz oczy. Patrz, co z tobą robię.

Usłyszała gardłowy rozkaz – tak, to był wyraźnie rozkaz – i chociaż nie było to łatwe, bez wahania uniosła ociężałe powieki. Spojrzała na siebie, nagą w świetle księżyca, zdała sobie sprawę, że ona, jej biodra falują, ujeżdżają jego palce, szukają ulgi.

Całe ciało miała naprężone, ożywione, rozgrzewające skórę namiętnością. Jeszcze nigdy nie czuła się taka… rozciągnięta, jej zmysły nie były tak znękane, naprężone… tak wyczekujące. Niecierpliwe, by zaznać jeszcze większej stymulacji.

Eksplozji doznań, która by ja przytłoczyła, zmiotła, oderwała od rzeczywistości…

Nie mogła się doczekać, by tego doświadczyć, lecz… wiedziała, że zaczekać musi. Aż Jonas zdecyduje, kiedy nastąpi właściwa chwila, i da jej to, czego tak naprawdę pragnęła.

Siebie. Całego siebie. Nie tylko delikatnego kochanka, którego już zdążyła poznać, lecz także tę drugą stronę. Silniejszego, prymitywnego samca, który jej pożądał.

I potrzebował.

To ostatnie było widoczne na jego twarzy, w twardych rysach, zaciśniętych szczękach.

Miała coś, za co oddałby siebie.

Była w jego mocy… a on w jej mocy.

Był zarazem zdobywcą i suplikantem. A ona, coraz bardziej ogarnięta głodem, wyraźnym i prawdziwym, który muskał wszystkie nerwy i żyły, czekała, aż on ją weźmie.

Znowu opuścił wzrok na jej ciało, czuła w jego ciemnych oczach płonącą żądzę. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że Em go obserwuje.

Puścił pierś, chwycił ją za dłoń, która do tej pory leżała w zapomnieniu na udzie. Poprowadził ją na wzgórek między rozchylonymi nogami. Przykrył jej dłoń swoją, naprowadził jej palce ku wilgoci, którą sam wywołał.

– Poczuj, jaka jesteś mokra dla mnie – wycharczał cicho, nachylając głowę.

Zadrżała, gdy przesunął jej palcami po nabrzmiałych wargach i tak pieścił.

Miała ściśnięte płuca, zmysły skupione na tym wrażliwym miejscu między udami. Przymknęła powieki.

Mocniej chwycił jej palce. Znieruchomiał.

– Otwórz oczy.

Posłuchała, desperacko chwytając powietrze. Posłusznie wpatrzyła się we własne odbicie, w subtelnie poruszające się krągłości, bielejące perłowym odcieniem kości słoniowej w świetle księżyca.

Patrzyła na ciemny rękaw zawinięty wokół jej ciała, gdy przyciskał dłonią jej wsuniętą w krocze dłoń.

Usatysfakcjonowany, kontynuował, wsuwając jej palce jeszcze głębiej między uda.

– Patrz na siebie, gdy czujesz, jak szykuję cię na więcej – wyszeptał gardłowym głosem.

Nie miała wyboru. Widok zaparł jej dech w piersi, przytłumił wszelkie myślenie. Wpadła w sidła zmysłowych doznań – gdy jego twarda dłoń przytrzymywała jej palce, wciskając je w rozgrzaną wilgoć, gdzie mogła czuć dwa palce jego drugiej dłoni, które powoli, rytmicznie wchodziły w jej ciało, gdy dłoń zaciskała poniżej jej pośladków, gdy czuła swoją pochwę, która rozciągała się i ustępowała pod naciskiem wnikających w nią palców.

W pewnym momencie przesunął nieco rękę, wsunął kciuk w jej dłoń i poczuła, jak zaczął pieścić nabrzmiały koralik pod włoskami – co wywołało kolejne, coraz mocniejsze doznania. Tego było już zbyt wiele. Eksplozja, której oczekiwała, błysnęła jasnym światłem, gorąco, by po chwili implodować, wypalając zmysły, aż zaczęła dyszeć, kołysać się… lecz wciąż niespełniona.

Bezwiednie opuściła powieki. Zanim zebrała siły, by je znowu unieść, Jonas oderwał od niej dłonie. Poczuła, jak przesunął się, a potem nakierował grubego fallusa między jej uda, poczuła, jak główka pieści ją, a następnie zajmuje pozycję u wejścia.

Otworzyła oczy, gdy ramieniem objął, uwięził, unieruchomił jej biodra, i zaraz wepchnął się mocno i głęboko w jej czekające ciało. Oddane mu w niewolę.

Unosząc głowę, wydała z siebie niemy krzyk – nie bólu, lecz przyjemności. Przyjemności tak intensywnej, że zerwała ostatnie cumy łączące Em z realnym światem i wypchnęła ją na ocean czystej zmysłowej rozkoszy.

Jonas poczuł fallusem drżenie ogarniętej orgazmem pochwy, lecz pragnął wyciągnąć z niej o wiele więcej.

Napędzająca go prymitywna część natury – która zupełnie przyćmiła wszelkie cywilizowane zachowania – nie widziała powodu, aby ponownie nie wycisnąć z niej okrzyku, tym razem głośnego.

Wciąż w pełni ubrany, ustawił się i przygotował do tego zadania. Wcześniej tylko rozpiął górę spodni, by wziąć ją od tyłu. Dobrze wiedział, że Em to poczuje – tarcie materiału o swoje pośladki i uda, że zobaczy i poczuje materię rękawa dotykającego brzuch, gdy trzymał ją unieruchomioną, aby móc robić, co tylko chciał.

Aby mógł wchodzić w nią z taką siłą, na jaką miał ochotę – i na jaką ona miała ochotę.

A że miała ochotę, nie ulegało wątpliwości. Ciche miauknięcia wydobywające się z jej ust były jak muzyka dla jego uszu, reagujących prymitywnie na takie bodźce. Trzymając go za ramię, przechylona do przodu, wychodziła naprzeciw każdemu jego pchnięciu. Zdjął drugą dłoń z biodra Em i położył na piersi, tam bawił się nią, naciskał, ugniatał.

Znowu dotarła na szczyt, tym razem mocniej, wydając z siebie cichy dziękczynny okrzyk.

Lecz on jeszcze z nią nie skończył.

Wyczerpana padła przed siebie, opierając się na ręce.

Wyszedł z niej, uniósł nieco wyżej, postawił kolano na łóżku, tak samo Em – która legła na brzuchu.

W niecałą minutę zrzucił z siebie ubranie, które wydawało się za małe, ograniczało ruchy jego nabrzmiałego ciała – nagrzanej skóry, napiętych, twardych mięśni. Wciąż miała zamknięte oczy, oparła policzek na miękkiej pościeli i nie ruszała się, gdy nagi Jonas położył się obok niej.

Ignorując erekcję, położył dłoń na jej ramieniu, przesunął wzdłuż boku ku wciętej talii, z upodobaniem gładząc kształtne biodra i nagie pośladki, różowe i wilgotne od potu, wypięte, aby mógł się napawać ich widokiem.

Nie spiesząc się, sycił wzrok Em, leżącą bezwładnie, owładniętą namiętnością. Em, w którą mógł wejść w dowolnej wybranej przez siebie chwili… czuł narastającą żądzę, która urosła do rozmiarów przekraczających jego wytrzymałość. Chwycił jej kolano, przesunął je nieco wyżej, tym samym rozchylając uda. Uniósł się nad nią, oparł na ręce, wciskając biodra poniżej jej pośladków, tam, gdzie łączyły się nogi.

Była na niego gotowa. Wszedł w nią powoli, lecz głęboko, do końca. Zamknął oczy, owładnięty niesamowitym doznaniem, gdy pochwa zacisnęła się na nim jeszcze raz, otulając swoją namiętnością.

Odczucie, gdy jej obnażona pupa ocierała się o jego krocze, wywoływała weń podniecenie już wcześniej, gdy jeszcze był ubrany. Teraz, gdy ją dosiadał, gdy dotykał nagą skórą jej skóry, wrażenie było jeszcze bardziej intensywne, wzbudzające jeszcze bardziej prymitywne instynkty.

Podniecenie rosło, gdy się poruszyła, dołączyła doń w tym tańcu dwóch ciał, przesuwała rytmicznie biodra, wychodząc mu naprzeciw, wchodząc pod niego, nadziewając się na jego długi pal, aż doszedł do punktu, gdy tracił zdolność widzenia, gdy płomienie wystrzeliły wokół z pełną mocą i rykiem, a nieokiełznany ogień pochłonął go, przepalił na wylot.

I ją także.

Miotany spazmatycznym wstrząsem, z pochyloną głową doszedł do spełnienia. Czuł jej naprężoną pochwę, wysysającą z

niego całe nasienie, buchające płomienie ogarnęły i wypaliły wszelkie myśli, rozkołysały wszystkie zmysły.

Wysączony, bardziej nasycony niż kiedykolwiek wcześniej, padł na jej leżące ciało. I dopiero wtedy poczuł, jak prymitywna natura nieco ustępuje, uwalnia go ze swoich szponów.

Czuł, jak plecy Em unoszą się pod jego piersią, gdy powoli wzięła głęboki oddech. Czując szalone bicie swego serca, drżenie mięśni, delikatnie pocałował ją w ramię, po czym zsunął się na bok i bezsilny legł ciężko na materacu, i skapitulował.

Wobec niej. I wobec snu.

Leżąc częściowo pod nim, pod dużym i umięśnionym, wciskającym ją w materac męskim ciałem, którego ciężar dawał ukojenie i spokój, Em westchnęła cicho i dała się przenieść w złocistą poświatę błogiego odpoczynku. Jonas nigdy przedtem nie był tak rażąco… zaborczy. Nigdy przedtem nie czuła czegoś takiego, co można by porównać z tym wrażeniem błogiego nasycenia, które płynęło w jej żyłach, przenikało ciało, aż do serca i duszy, dając poczucie bezpieczeństwa i pewności.

Doświadczyła odczucia, gdy kobieta jest pożądana poza granice zdrowego rozsądku, gdy jest potrzebna jako niezbędna część życia mężczyzny.

Zrelaksowana i odprężona w mglistym świecie między rajem a jawą, w końcu poczuła, że wraca jej zdolność widzenia i myślenia. Ta jasność przerodziła się w pewność. Już wcześniej rozmawiała z różnymi osobami, aby się dowiedzieć, czym jest miłość, lecz dla każdego, dla każdej pary było to takie same, lecz zarazem inne.

Dla niej i dla niego… teraz wiedziała, że dla nich miłość to bycie dla drugiej osoby. Bezinteresowne poświęcenie, dzięki któremu zrzucił z siebie ochronny pancerz, aby zobaczyła, jak wiele dla niego znaczy. Nie miała wątpliwości, że pragnął ją pocieszyć i odwrócić jej uwagę od kłopotów, lecz widząc, jak bardzo ją pochłaniają niepokojące myśli, nie cofnął się przed zrobieniem tego, co było konieczne, aby całkowicie zapomniała o problemach.

Ten przerywnik niósł ze sobą wiele treści – wyrażał przynależność, troskę i… miłość.

Delikatnym pocałunkiem na jej ramieniu.

Nawet sposobem, w jaki obejmował ją przez sen.

Wiadomość, jaka narodziła się podczas tych chwil ognistej namiętności, była jasna jak słońce – pragnął jej, potrzebował i oddałby wszystko, czego ona lub los zażąda, aby ją mieć, tulić, chronić i opiekować się nią.

Od ich pierwszego spotkania poświęcenie się Jonasa dla tych dwóch ostatnich rzeczy było niezachwiane i widoczne, lecz dopiero dziś pokazał jej, jak ważne są dla niego również te pozostałe aspekty. Odkrył to przed nią, a Em wiedziała, że tego bagatelizować nie wolno; należało się tego uchwycić i mocno trzymać, gdyż było ostoją pewności, masztem, który pomoże im obojgu płynąć razem przez wzburzone oceany życia.

Spoglądając na ich ciała spowite księżycową poświatą, zdała sobie sprawę, że nie może powstrzymać uśmiechu.

Że ma w sobie wiarę, silną i niepodważalną.

Żadna decyzja nie była już potrzebna.

Dla nich miłość oznaczała zaufanie, wspólnotę, bezpieczeństwo, troskę.

Jej serce i dusza już znały prawdę, a ponieważ Em miała w sobie krew Colytonów, to właśnie serce i dusza podjęły za nią decyzję.

Rozdział 19

Wszyscy zgodzili się co do tego, że skarb znajduje się w najbezpieczniejszym możliwym miejscu.

Następnego ranka, po konsultacji z Lucyferem i Phyllidą we dworze, Jonas wyruszył do Grange ścieżką przez las.

Opuściwszy Em o świcie, najpierw wrócił do domu, aby się przebrać i zastanowić. Poprzednia noc przerodziła się w coś, co zaszło znacznie dalej, niż planował; chciał odwrócić jej myśli od włamania, lecz zapomniał, że on sam także może odczuć reakcję na to wydarzenie – na powstałe niebezpieczeństwo, gdyby Em przyłapała włamywacza na gorącym uczynku. Jego reakcja na taki scenariusz wyzwoliła w nim tę bardziej prymitywną część osobowości, która nim zawładnęła. Obawiał się jej reakcji, lecz jeśli miał kierować się uśmiechem zadowolenia, który rozjaśniał jej usta, kiedy rano opuszczał jej łoże, to w niczym nie pogorszył swego wizerunku w jej oczach.

I dobrze. W obecnym stanie nie poradziłby sobie, nie zniósłby tego spokojnie, gdyby chciała zdystansować się od niego.

Po rozważeniu sytuacji poszedł do dworu na śniadanie, aby zawiadomić o ostatnich wydarzeniach Lucyfera, Phyllidę oraz pozostałych mieszkańców domu.

Najbardziej niepokojącym aspektem była kwestia czasu. Ktokolwiek splądrował pokoje Em, wiedział nie tylko o skarbie, lecz także o miejscu jego ukrycia. Chodziło o to, że do celi można się było dostać wyłącznie przez zamknięte na klucz drzwi. Sprawdził piwnicę przed opuszczeniem gospody nad ranem – nie było śladów manipulowania przy zamku, a więc nikt nie usiłował się włamać.

Wszyscy mieszkańcy doskonale wiedzieli o celi i o jej zabezpieczeniu, uniemożliwiającym wtargnięcie do środka bez

klucza. Obecni w gospodzie, gdy przynieśli tam skarb, oglądali go i wiedzieli, gdzie został zamknięty.

Jeszcze wczoraj wiadomość o skarbie z pewnością wydostała się poza granice miejscowości, lecz wieczorem, gdy ktoś przeszukał pokoje Em, tylko osobnik mieszkający w wiosce, który jako jeden z pierwszych dowiedział się o znalezisku, miałby dość czasu, aby przeprowadzić tak dokładne poszukiwania.

Chociaż pokoje Em były puste przez większą część dnia, to jednak w miejscu u podnóża prowadzących tam schodów kręciło się sporo osób, zatem tylko w nielicznych chwilach ktoś, kto nie należał do personelu gospody, mógł niezauważenie i bezpiecznie wejść w obszar znajdujący się za kuchnią.

Jedyną alternatywną drogą dotarcia do pokojów Em były główne schody, lecz przecież za barem wciąż stał Edgar, a w otwartej przestrzeni głównej sali przebywało sporo gości, więc trudno było sobie wyobrazić, aby ktoś, kto miał prawo przebywać na poziomie przeznaczonym dla klientów, zdołał wejść na górę, a potem zejść przez nikogo niezauważony.

Nie mógł to więc być ktoś obcy, który usłyszał nowiny o skarbie i jakimś cudem wiedział, jak wejść do pokojów Em, a także w którym momencie byłoby to bezpieczne. Zatem… osobnik szukający klucza był im znany, musiał być w gospodzie poprzedniego wieczoru, wznosić radosne okrzyki i popijać zdrowie Colytonów.

Oczywiście głównym podejrzanym był Harold Potheridge. Kręcił się po wiosce, a szczególnie po gospodzie i jej okolicy na tyle długo, aby zorientować się, gdzie, jak i kiedy dokonać przeszukania.

Jonas maszerował dalej z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

Lucyfer zgodził się z jego oceną sytuacji. Zaproponował, że Dodswell, jego stajenny, będzie miał oko na Potheridge’a. Na tę wieść Dodswell z radością przyjął swoją misję – był jednym z tych, którzy posiadali niesamowitą właściwość: byli widoczni, zarazem nie rzucając się w oczy.

Tymczasem Jonas postanowił spędzić kolejną godzinę lub dwie na sprawach dotyczących rodzinnych interesów, a po lunchu wrócić do gospody, aby wykorzystać spokojniejszą porę i wypytać Hildę oraz jej dziewczęta, zwłaszcza pomywaczki i praczki, czy zauważyły kogoś niepowołanego w pobliżu tylnych schodów.

Skarb był bezpieczny dopóty, dopóki klucz był bezpieczny. Zostawił go w swojej sypialni w Grange. Nikomu nie przyszłoby do głowy, aby tam go szukać, a Grange, z pełną obsadą służby i bez gości, którzy mogliby powodować zamieszanie, nie było miejscem, do którego można by wejść tak łatwo, jak do gospody.

Rozległ się trzask gałęzi, tuż za jego plecami.

Zaczął się odwracać…

Poczuł w czaszce eksplozję bólu.

Nic nie widział, nie słyszał, nie wiedział, gdy padł nieprzytomny na ziemię.

* * *

Em właśnie weszła do kuchni z listą zamówień, aby omówić z Hildą menu na następny tydzień, gdy zauważyła poruszenie za oknem.

Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła Jonasa, który zataczając się, trzymając jedną ręką za głowę, próbował iść przez tylne podwórze gospody. Zanim zdążyła pomyśleć, już wybiegła na zewnątrz i pognała w jego kierunku. Hilda, jej dziewczęta i John Ostler podążali tuż za nią.

– Jonas!

Chwyciła go za surdut, przytrzymała, gdy się zatrzymał i stanął na chwiejnych nogach, zamykając z bólu oczy.

– Ktoś uderzył mnie w głowę. Na ścieżce przez las.

– Pomogę. – John schylił się i oparł go na swym barku.

Em szybko chwyciła go za drugą rękę, którą zarzuciła sobie wokół szyi.

– Wejdźmy do środka.

Hilda zawołała, żeby natychmiast przynieść miskę wody i czyste szmatki. Pobiegła przodem, popędzając przed sobą dziewczęta.

Zanim Em z Johnem posadzili Jonasa na krześle przy kuchennym stole, Hilda miała już wszystko, co było potrzebne. Wyżęła zmoczoną ściereczkę i delikatnie położyła na głowie Jonasa. Rozchyliwszy jego ciemne włosy, ostrożnie przyłożyła materiał do skóry.

– To wygląda poważnie.

Em korciło, aby samej opatrzyć Jonasa, lecz Hilda wyraźnie lepiej znała się na rzeczy.

Podczas tych zabiegów syczał z bólu, w końcu zmrużył oczy i spojrzał na Em.

– Wyślij Johna, niech sprowadzi tu Lucyfera i Filinga.

Skinęła głową, i spojrzała na Ostlera, który kręcił się koło drzwi. Dał znak ręką, że usłyszał, i wyszedł.

Odwróciła się z powrotem do Jonasa.

– Spytaj Edgara, którzy mężczyźni byli w barze… – Urwał. – Do diabła! Nawet nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. – Ponuro zmarszczył czoło, lecz po chwili zaczął myśleć jaśniej. – Spytaj Edgara, którzy mężczyźni byli w barze i nie wychodzili od dziesiątej.

Przytaknęła i wyszła.

Kiedy wróciła, Hilda właśnie owinęła głowę Jonasa szerokim bandażem.

– To na razie wystarczy. Gladys na pewno go zdejmie, żeby obejrzeć ranę, kiedy tylko wróci pan do Grange.

– Na pewno – skrzywił się.

Na zewnątrz kuchni rozległ się odgłos kroków, a po chwili w środku zjawiła się Phyllida, a tuż za nią Lucyfer. Kobieta natychmiast spojrzała na Jonasa, potem przeniosła wzrok na Em.

– Nie martw się, ma twardą głowę.

Jonas chrząknął i popatrzył na siostrę.

– Przyszliśmy przez las – odezwał się Lucyfer. – Napastnik musiał na ciebie czekać. Znalazłem miejsce, w którym stał, obok

ścieżki. Ziemia jest tam na tyle miękka, że zostawił słabe ślady. Przeszedłeś obok niego, a on ruszył za tobą.

– Rozmyślałem. – Jonas oparł głowę na rękach. – Nie zwracałem uwagi na otoczenie. Przeszukał moje kieszenie, bo były wywrócone na zewnątrz, gdy odzyskałem przytomność.

– Istotne jest to – podjął Lucyfer – że napastnik wiedział o twoim pobycie we dworze, i o tym, że po wyjściu pójdziesz ścieżką przez las.

Zdumiona Phyllida usiadła na krześle.

– Więc to ktoś miejscowy?

Lucyfer skrzywił się.

– To musiał być ktoś, kto zna zwyczaje Jonasa na tyle, by wiedzieć, że często chodzi tą ścieżką.

Em powoli osunęła się na krzesło obok Jonasa. Czy skarb Colytonów okaże się obciążony klątwą?

Od strony baru przyszedł Filing. Skinął wszystkim głową.

– Właśnie się dowiedziałem. – Spojrzał na Em. – John wywołał mnie na zewnątrz, aby mi powiedzieć, więc zostawiłem Henry'ego w niewiedzy. Uczy się z książek. Pomyślałem, że nie chciałabyś, aby brał w tym udział.

– Słusznie, tylko by się niepokoił. – Uśmiechnęła się słabo. – Dziękuję.

Jonas wyciągnął rękę i zamknął dłoń na jej dłoni.

– Ty też nie musisz się martwić. Ktokolwiek za tym stoi i szuka klucza do skarbu, znajdziemy go. To zbyt mała miejscowość, aby mógł długo się ukrywać. Co powiedział Edgar?

Zrobiła sceptyczną minę.

– O dziesiątej byli tu tylko starsi mężczyźni, pan Weatherspoon i jego znajomkowie, którzy siedzieli przy kominku. Nikogo więcej, chociaż kilku innych przyszło, aby coś przekąsić, lecz o tej porze mało kto zatrzymuje się na dłużej.

– A więc to nam nie pomoże – stwierdził Jonas. – Zresztą nie podejrzewam, aby to pan Weatherspoon zdzielił mnie po głowie.

Lucyfer oparł się o stół.

– Teoretycznie, ręczę ci, że mógł to być każdy sprawny fizycznie mężczyzna o wystarczającej wiedzy, ale czy naprawdę podejrzewamy kogoś z miejscowych?

Nawet gdyby położyli łapy na skarbie – powiedziała Phyllida – co by z nim zrobili? Musieliby nim jakoś rozdysponować, a nawet gdyby znaleźli na to sposób, bardzo prawdopodobnie zostaliby złapani. – Pokręciła głową, spoglądając na Em. – Poza tym muszę powiedzieć, że trudno mi sobie wyobrazić kogoś z miejscowych okradających swego ziomka, a szczególnie rodzinę Colytonów. Dla wioski, dla nas wszystkich twoja rodzina zajmuje tu szczególną pozycję. Od czasu, gdy wyjawiłaś swą tożsamość, słyszę same wyrazy sympatii i radości, że wróciliście do Colyton, a skarb jest częścią tej wspaniałej historii. Każdy miejscowy, który spróbowałby go ukraść, ryzykowałby utratę dobrego imienia i wyobcowanie z miejscowej społeczności… więc ja po prostu tego nie widzę.

Filing poważnie skinął głową.

– Zgadzam się z tą opinią.

Em także pokiwała głową, lecz znacznie wolniej.

– Ogólnie, ja także się zgadzam, ale… – Spojrzała Jonasowi w oczy. – Wczoraj był u mnie pan Coombe. Chciał, abym powierzyła mu monety ze skarbu, żeby je wycenił i sprzedał. Narzucał się z tą swoją pomocą, ale odesłałam go z kwitkiem.

Jonas prychnął. Spoglądając na ich złączone dłonie, zastanawiał się.

– Możliwe, że coś w tym jest, ale jeśli nic go nie przypiliło, to raczej nie jest zdolny do fizycznej przemocy. To nie w jego stylu. Poza tym myślę, że osobnik, który mnie uderzył, jest wyższy od niego. I mocniej zbudowany.

– Prawda jest taka – stwierdził Lucyfer – że to raczej nikt miejscowy, więc tym bardziej podejrzany jest Harold Potheridge.

Em zamyśliła się.

– Pytałam Edgara, dziś rano nie było go w barze.

– Oprócz Potheridge’a – podjął Jonas – jedynym obcym w naszej okolicy jest Hadley. – Spojrzał na Em. – Czy ktoś inny z

mieszkających w zajeździe gości pozostał na dłużej?

Pokręciła głową.

– Wszyscy, którzy zostali na noc, wyjechali dziś rano, z wyjątkiem Hadleya, ale on już wcześniej zapowiedział, że zostanie – zanim jeszcze znaleźliśmy skarb.

– Myślę, że przejdę się po wiosce – oznajmił Lucyfer, odsuwając się od stołu. – Porozmawiam z ludźmi.

– Pójdę z tobą – zadeklarował się Filing.

Jonas pokiwał głową i syknął z bólu.

Em i Phyllida popatrzyły po sobie. Em wstała.

– A ty – powiedziała do Jonasa – powinieneś pójść na górę do mojego saloniku i odpocząć.

Próbował protestować, mówił, że mu tutaj dobrze, ale wtedy wkroczyła Hilda i powiedziała, że będzie im tylko przeszkadzał. Wyrzucony z kuchni twierdził, że nie potrzebuje, by go tak hołubić, lecz Em z Phyllidą pokierowały nim tylnymi schodami na piętro i tam przez pokoje Em do saloniku.

Zdecydowanie poprowadziła go na sofę, po drodze zabierając z łóżka poduszkę.

– Poleż sobie. Będziesz miał tu ciszę i spokój.

Nieco bardziej pobladły zacisnął usta i powoli usiadł, a po chwili bez dalszego oporu położył się, ostrożnie kładąc głowę na poduszce.

Em i Phyllida jeszcze raz wymieniły niespokojne spojrzenia.

Siostra Jonasa owinęła się szalem i usiadła na jednym z foteli.

– Zostanę tu trochę.

– A ja przyniosę dzbanek wody i szklankę – powiedziała Em. – Pójdę też po księgi rachunkowe. Równie dobrze mogę je wypełniać tutaj.

– Nie musisz się śpieszyć. Zostanę tu, aż wrócisz.

Obie popatrzyły na Jonasa. Leżał w milczeniu, osłaniając dłonią oczy przed nadmiernym światłem. Nie powiedział im, że niepotrzebnie robią takie zamieszanie.

Em odwróciła się i wyszła. Zamknąwszy za sobą cicho drzwi, szybko zbiegła po głównych schodach.

* * *

Lucyfer zajrzał tam ponad godzinę później. Jonas odpoczywał, lecz nie spał. Uniósł ramię z twarzy, ale nie poruszył głową, gdy jego szwagier wszedł do salonu i delikatnie zamknął drzwi.

Zobaczywszy, że Jonas ma otwarte oczy, Lucyfer zerknął na siedzącą w fotelu Em, która trzymała na kolanach otwarte księgi rachunkowe.

– Phyllida musiała wrócić do chłopców – powiedziała.

Lucyfer usiadł na drugim fotelu tak, aby Jonas mógł go lepiej widzieć.

– Odnalazłem Hadleya w kościele, gdzie rysował. Filing powiedział, że był tam również wcześniej, w tym samym miejscu, gdy sam przyszedł o dziewiątej, aby przygotować ołtarz. Podszedłem i spytałem, czy mogę obejrzeć jego rysunek. Pokazał go bez wahania. Rysował węglem, a sam szkic, to znaczy kreski sprawiały wrażenie świeżych i jednolitych, zresztą wykonał nad nim sporo pracy. Nie wiem, jak szybko potrafi rysować, ale rysunek wymagał sporego wysiłku, nawet dobremu artyście zająłby cały ranek. Mówiąc krótko, kiedy po moim pytaniu powiedział, że był w kościele nieprzerwanie od mniej więcej dziewiątej, nie miałem i nadal nie mam powodów, aby mu nie wierzyć. Zatem Hadley nie wydaje się podejrzany.

– A Potheridge? – spytał Jonas.

– To już zupełnie inna historia. – Lucyfer zrobił ponurą minę. – Wyszedł z domu panny Hellebore około dziewiątej, ruszył gdzieś drogą i od tamtej pory nikt go nie widział. Mógł się wybrać na daleki spacer, ale…

Em cicho prychnęła.

– On nie chodzi na piechotę, aby podziwiać wiejskie krajobrazy. Już prędzej pojechałby konno.

Lucyfer pokręcił głową.

– Pytałem Johna Ostlera. Potheridge nie wynajął konia.

– A więc tak, jak wszyscy myśleliśmy, najbardziej podejrzany jest Harold Potheridge. – Jonas ciężko oparł głowę na poduszce.

– Owszem, on jest najbardziej podejrzany. – Lucyfer spojrzał mu w oczy. – Ale nigdzie nie mogłem znaleźć Silasa ani też nikogo, kto by go widział dziś rano po dziewiątej. A więc on również musi pozostać na naszej liście podejrzanych. Przynajmniej na razie.

* * *

Em stwierdziła, że nie potrafi się skoncentrować na czymkolwiek, gdy kontuzjowany Jonas leżał na jej sofie.

Kiedy był zdrowy i w pełni sił, dekoncentrował ją w sposób wręcz niewiarygodny, a chory… skupiał na sobie wszystkie jej zmysły, wszystkie myśli.

Nigdy nie uważała się za osobę, która obsesyjnie się zamartwia, lecz chociaż wiedziała – tak, jak ją zapewnił – że to nic poważnego, to dopóki nie wróci do pełni sił, dopóki znowu nie będzie sobą, dopóty wiedziała, że nie będzie w stanie pozbyć się niepokoju.

W następstwie zgodnych opinii, włączając jego własną, Jonas pozostał na sofie w salonie Em do czasu, aż odzyskał jasność myślenia, a pulsowanie w głowie ustąpiło miejsca tępemu bólowi. Chociaż znacznie bardziej wolałby położyć się we własnym łóżku, a przynajmniej na czymś dostatecznie długim, co pomieściłoby jego wysoką postać, to jednak, mimo że kontuzjowany – chciał Em blisko siebie. Musiał mieć pewność, że jest bezpieczna. A najprostszym sposobem osiągnięcia tego celu w jego obecnie nie najlepszej kondycji było pozwolić jej opiekować się sobą według uznania.

Przez resztę ranka, porę lunchu i wczesnym popołudniem Emily często wychodziła i wracała do salonu, sprawdzając, jak Jonas się czuje. Przynosiła rosół, a gdy poprosił – także kanapkę z pieczenią wołową, specjalnie przygotowaną przez Hildę.

O trzeciej czuł się już znacznie lepiej, chociaż nadal nie był w stanie skupić myśli.

Gdy Em zajrzała do niego kolejny raz, siedział już w fotelu, aby powitać ją uspokajającym uśmiechem.

Ona jednak zrobiła zatroskaną minę.

– Czy nie powinieneś jeszcze odpoczywać?

Uśmiechnął się szerzej.

– Czuję się o wiele lepiej. Wrócę do domu. – Opierając się na poręczach fotela, powoli wstał, z zadowoleniem stwierdził, że potrafi utrzymać równowagę i nie doznaje zawrotu głowy.

Em patrzyła na niego jeszcze bardziej sceptycznie.

Lecz zanim zdążyła zaprotestować, delikatnie przesunął palcem po czubku jej nosa.

– Nie spieraj się ze mną. Nie mogę zostać w twoich prywatnych pokojach, nie w takich okolicznościach.

Przemyślała to, cicho westchnęła.

– Pozwól, że wezmę szal i przynajmniej cię odprowadzę. – Skierowała się do sypialni.

Wcale nie był przeciwny jej towarzystwu, ale… gdy się pojawiła, okrywając ramiona zrobionym na drutach szalem, zabrał głos.

– Powinniśmy zabrać Johna Ostlera, tak na wszelki wypadek, gdybym potknął się gdzieś po drodze.

Przytaknęła szybkim ruchem głowy, dając do zrozumienia, że pomyślała o tym samym.

– Zawołamy go na dole, chyba jest teraz w kuchni.

Pozwolił, żeby sprowadziła go na parter tylnymi schodami. Pomysł z Johnem miał na celu bardziej pomoc Em niż jemu – nie chciał, aby sama wracała do gospody, gdy gdzieś po drodze mógł się czaić potencjalny napastnik.

John był w kuchni. Chwilę wcześniej przyszedł tam Dodswell, który zaofiarował się, że popilnuje stajni przy zajeździe, gdy John odprowadzi Jonasa i Em do Grange.

– Nie udało mi się odszukać Potheridge’a. – Dodswell wymienił jego nazwisko w taki sposób, jakby wuj Em był już skazanym przestępcą. – Panna Sweet twierdzi, że nie wrócił do domu panny Hellebore. Thompson zauważył, jak koło jedenastej szedł drogą w kierunku Ballyclose, ale sir Cedric był w domu chwilę wcześniej i wcale go nie widział.

Jonas chciał skinąć głową, ale przypomniał sobie, że to może być dość bolesne.

– Daj mi znać, gdy Potheridge wróci. Będę w Grange.

– Tak jest – zasalutował Dodswell, po czym wyszedł za nimi na zewnątrz i skierował się do stajni, zaś Em, Jonas i John wyruszyli boczną ścieżką, która łączyła się z tą główną wiodącą przez las.

Zanim dotarli do Grange, Jonas zaciskał zęby, z trudem znosząc silny ból. Em widziała jego cierpienie, lecz przygryzła wargę i nie zaprotestowała, bo i tak nic by nie wskórała. W sumie gdyby sama dostała w głowę, też wolałaby leżeć we własnym łóżku.

Lecz aby uzyskać dostęp do swego łóżka, Jonas musiał najpierw znieść oględziny ze strony Gladys oraz poddać się troskliwym zabiegom, wymyślonym przez kucharkę, która w konkurencji robienia z igły wideł zajmowała drugie miejsce tuż za gospodynią.

Em obserwowała ich natarczywość – oraz żałosny opór, a potem uległość Jonasa – z prawdziwą ulgą. Skoro miał być poza zasięgiem jej wzroku, to sroga i uważna Gladys stanowiła najlepszą możliwą opiekunkę.

Stojąc w pewnej odległości od łóżka, patrzyła, jak Gladys zdejmuje nałożony przez Hildę bandaż, a potem smaruje zranione miejsce balsamem.

Splotła dłonie i zacisnęła je mocno, aby powstrzymać się od chwycenia go za rękę. Próbowała być spokojna, ale widziała każde drgnienie, grymas na jego twarzy, głęboką linię zmarszczki na czole.

Wciąż czuła się… niespokojna. Spięta, gotowa do szybkiej reakcji, chłonąca go wszystkimi zmysłami. Jeśli tego dnia czegokolwiek się dowiedziała, to tego, ile dla niej znaczył, jak bardzo był jej teraz drogi.

Ta świadomość naszła ją zupełnie niespodziewanie. Było to zupełnie nowe doświadczenie, emocjonalny wstrząs, którego nie znała, nigdy bowiem jeszcze nie zdarzyło jej się takie

przywiązanie do dorosłej osoby niezwiązanej z nią więzami krwi.

Chociaż sam niepokój nie był niczym niezwykłym, szokująca okazała się głębia uczuć, wstrząsająca siła jej reakcji. Nawet przy względnym braku doświadczenia doskonale wiedziała, że ta głębia jest bezpośrednim odzwierciedleniem przywiązania, faktu, że bardzo jej na nim zależało.

Że bardzo go kochała.

Chociaż uwielbiała nowe doświadczenia, akurat bez tego mogłaby się obejść. Oglądanie go cierpiącego, świadomość, że niewiele może zrobić, aby mu ulżyć, sprawiały jej prawdziwy ból.

W końcu Gladys była usatysfakcjonowana efektami swojej pracy. Cofnęła się i popatrzyła na pacjenta.

– Teraz poleż tu sobie spokojnie, jak zechcesz pić, masz tu wodę z jęczmieniem i cytryną. Przed kolacją wpadnę jeszcze zobaczyć, jak się czujesz.

Leżąc na swoim łóżku, uśmiechnął się słabo.

– Dziękuję ci, kochana Gladys. Obiecuję, że będę grzeczny.

Gladys chrząknęła sceptycznie, z szacunkiem skłoniła głowę w kierunku Em, po czym wyszła, energicznie zamknąwszy za sobą drzwi.

Jonas spojrzał w tamtą stronę, lekko zdumiony. Najwidoczniej Gladys wiedziała więcej, niż – Bogu dzięki – dawała po sobie poznać.

Przeniósł wzrok na bladą twarz Em i uśmiechnął się. Wyciągnął rękę, przywołując ją.

– Chodź, usiądź przy mnie.

Posłuchała, ujęła jego dłoń, przysiadając na brzegu łóżka. Wciąż uśmiechnięty przyciągnął ją, powoli, nieubłaganie, coraz niżej, aż ich usta spotkały się w delikatnym, smutnym pocałunku.

Skończył się westchnieniem, które wyleciało z jej ust, a które on wyraźnie odczuł.

Nie pozwolił jej się wyprostować, objął ją i położył na sobie, a gdy przesunęła się wygodniej, położył sobie jej głowę na piersi.

I po prostu przytulał się do niej.

Czerpał pociechę i ciepło z jej bliskości, nie tylko tej fizycznej. Czuł, jak ukojenie przenika jego kończyny, wędruje przez całe ciało, a brało się ono z prostego faktu, że trzymał ją w ramionach, że czuł wtuloną w siebie jej kobiecą postać.

Obejmowała go, pragnęła go w sposób niemający nic wspólnego z cielesnym pożądaniem, potrzebowała go, akceptowała takiego, jaki był.

Podczas tej długiej chwili milczenia i spokoju nauczył się o wiele więcej o sile miłości, o jej potędze, która szła ręka w rękę ze słabością. O pocieszeniu i wsparciu, które były drugą stroną medalu miłości.

Czuł się tak, jakby dostąpił błogosławieństwa.

Em leżała w jego ramionach i słuchała, jak bije jego serce – spokojnie i mocno. Ten niesamowicie uspokajający, rytmiczny odgłos wciągał ją, dawał poczucie bezpieczeństwa, odegnał napięcie ostatnich godzin nerwowego dnia.

Nie zamknęła oczu, lecz myślami wędrowała po nieznanych dotychczas ścieżkach. Tam, gdzie widziała, wyczuwała, poznawała, przedzierała się przez ich bliskość, która unosiła ich do miejsca, do stanu ducha, w którym cały świat wydawał się złoty.

Cisza i spokój, bicie serca – nie jej, lecz tego, do którego dostrajały się wszystkie jej zmysły. I obecność, fizyczna z krwi i kości, lecz również coś więcej, wszechobecne poczucie wspólnej siły, wspólnego spokoju.

Nie wiedziała, jak długo leżała w jego ramionach, odgrodzona bezpiecznym kokonem od całego świata, jak długo przenikała ją ta aura spokoju. W końcu poruszyła się, uniosła głowę, spojrzała na jego twarz i poczuła się odbudowana.

Miał łagodne oblicze, bez oznak bólu, więc pomyślała, że Jonas pewnie zasnął. Tak wpatrzona nachyliła się i musnęła wargami jego podbródek, a po krótkim wahaniu złożyła delikatny pocałunek na jego ustach.

Uśmiechnął się.

Minimalnie uniósł powieki, na tyle, by zobaczyła błysk w ciemnych oczach.

– Idziesz już? – spytał głębokim, sennym głosem.

– Powinnam. – Uśmiechnęła się. Przeniosła wzrok na spowijające jego głowę bandaże. – Musisz odpocząć i poczuć się lepiej.

– Dobrze, ale później wstanę. – Uniósł rękę i wsunął za jej ucho niesforny kosmyk. – Jak zwykle przyjdę zobaczyć się z tobą wieczorem, chociaż mogę się spóźnić.

Zmarszczyła brwi, już chciała zaprotestować, lecz uciszył ją, przykładając palec do jej ust.

– Nie kłóć się ze mną. Teraz jesteś tu ze mną. Na tej samej zasadzie ja będę z tobą wieczorem.

Szukała czegoś w jego oczach, w końcu pojęła sens tych słów – rozumiał, co ona czuje, i sam czuł to samo. Miał rację, nie mogła się z nim spierać, jeśli chciała mieć takie same prawo do troszczenia się o niego, jakie on tak uporczywie rościł sobie do niej.

– No dobrze, ale musisz mi obiecać, że będziesz na siebie uważać. Zwłaszcza gdy będziesz szła przez las.

Uśmiechnął się.

– Nie przyłapie mnie dwa razy. Poprzednio nie uważałem, zresztą on teraz wie, że nie noszę klucza przy sobie, więc nie ma powodu, aby ponownie przeszukać moje kieszenie.

Skrzywiła się.

– Pewnie masz rację.

– Na pewno. Lecz tak przy okazji… – Rozchylił ramiona, puścił ją i odwrócił głowę, aby spojrzeć na stojący przy łóżku stolik. Em wstała. – Otwórz szufladę. Klucz jest w środku.

Spełniła jego prośbę i zobaczyła klucz leżący na samym wierzchu.

Jonas opadł z powrotem na poduszki.

– Jeśli będzie ci potrzebny, a mnie akurat nie będzie w pobliżu, to tam go znajdziesz.

Spojrzała na niego, zamknąwszy szufladę.

– Tu będzie bezpieczny.

Znowu zamknął oczy. Em nachyliła się i pocałowała go ostatni raz.

– Zobaczymy się wieczorem.

– Tak. – Lekko uniósł kąciki ust.

Uspokojona, wyszła z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Była już prawie dziewiąta wieczorem, gdy Dodswell odnalazł Em w głównej sali gospody i wręczył jej karteczkę.

– Od jego wysokości – powiedział z uśmiechem. – Powiedział, że mam doręczyć do rąk własnych, i nie wolno mi iść spać dopóty, dopóki tego nie zrobię.

– Dziękuję ci. – Uśmiechnęła się. Ugryzła się w język i nie spytała o stan zdrowia „jego wysokości", bo informacja na ten temat z pewnością znajdowała się na kartce.

Wsunęła kartkę do kieszeni, gdzie niemal paliła ją w ciało, gdy musiała dokończyć rozmowę z niedawno przybyłymi podróżnymi, którzy postanowili spędzić noc Pod Czerwonym Dzwonkiem.

Wieści o zajeździe, jego znakomitej kuchni oraz odnowionych gościnnych pokojach rozchodziły się szybciej, niż mogła sobie wymarzyć. Otworzyła dwa kolejne pokoje, które nigdy nie stały puste, a dziewczęta najęte do sprzątania w pocie czoła szykowały dwa kolejne, do udostępnienia gościom już za kilka dni.

Em odprowadziła podróżnych na piętro, potem szybko przeszła do kantoru i wyjęła z kieszeni liścik od Jonasa. Rozłożyła i rozprostowała kartkę, szukając więcej światła przy lampie.

Najdroższa Em,

z niewymownym żalem muszę Cię zawiadomić, że gdy wstałem, doznałem okropnego zawrotu głowy, więc spacer do gospody byłby jednak zbyt ryzykowny. Poprosiłem Lucyfera,

żeby zajrzał do Ciebie później, i upewnił się, że wszystko jest w porządku.

Zobaczymy się jutro, a na razie – uważaj na siebie.

Twój Jonas

Em przeczytała list dwa razy i mruknęła niezadowolona.

– Łatwo mu mówić, żebym na siebie uważała! To nie ja mam na głowie guza wielkości gęsiego jajka.

Wpatrywała się w wiadomość przez dobrą minutę, rozmyślała, rozważała, w końcu odwróciła się i usiadła na krześle przy biurku. Wyjęła czystą kartkę, otworzyła kałamarz i szybko sama nakreśliła kilka słów.

Po wysuszeniu inkaustu złożyła kartkę, zaadresowała ją i poszła poszukać Johna Ostlera, którego wysłała z listem prosto do Grange.

– Nie oczekuję odpowiedzi – zawołała za nim.

Zasalutował i odszedł, kierując się do lasu.

Em spojrzała na ciemną linię gęstych drzew i wzdrygnęła się. Szybko wróciła do ciepłego i jasnego wnętrza.

Tuż po dziesiątej zwykle zamykali gospodę. Zgodnie z zapowiedzią Lucyfer zjawił się w barze o tej właśnie godzinie i z dobrą miną pomógł jej grzecznie wyprosić stałych maruderów, które to zadanie ostatnio stało się domeną Jonasa. Gdy wszyscy sobie poszli, Lucyfer na pożegnanie pomachał jej ręką i sam wyruszył do domu.

Było już blisko jedenastej, gdy Em pożegnała Edgara i z ostatnią świecącą lampą w ręku poszła do siebie. Gdy szła po schodach, odrzucała wszelkie myśli podające w wątpliwość plan, który zamierzała wprowadzić w życie. Nie było kwestii, czy powinna to zrobić – istniało tylko pytanie, czy potrafi.

Przeszła przez swoje pokoje do tylnych schodów, a stamtąd na poddasze, gdzie upewniła się, że bliźniaczki, Issy i Henry spokojnie i bezpiecznie śpią w swoich łóżkach.

Wróciwszy do siebie, zabrała kilka potrzebnych rzeczy, zawinęła je w chustę, a sama okryła ramiona najcieplejszym szalem. Wzięła lampę, sprawdziła poziom oliwy, a gdy okazał

się wystarczający, wyregulowała knot tak, aby światło mogło oświetlać jej drogę. Kiedy sprawdziła i zrobiła wszystko, co było do zrobienia, zeszła, minęła bar, kantor i opuściła z gospodę tylnymi drzwiami.

Starannie zamknęła je za sobą na klucz, a potem, bez chwili namysłu, równym krokiem przeszła przez podwórze na ścieżkę wiodącą do głównej ścieżki przez las.

Uparcie myślała o innych rzeczach – o kościele w promieniach słońca, ciepłej i jasnej kuchni, w której królowała Hilda, o krzątaninie w pralni, gwarnym barze – czymkolwiek, co pomagało jej zmysłom nie dać się pożreć otaczającej zewsząd ciemności spowijającej drzewa.

Nie chciała myśleć o ciemności. Nie bała się mroku – po prostu jej zmysły miały tendencję do zamierania, a nieprzenikniona czerń paraliżowała ją. Nie odrywając wzroku od bladej smugi światła rzucanej przez lampę, skupiając się na utrzymaniu równego tempa marszu, doszła do skrzyżowania ścieżek, gdzie skręciła na południe w kierunku Grange.

Wielki dom stał przed nią, gdzieś za drzewami. Nabrała w płuca duży haust powietrza przez półprzymknięte usta, co wcale się jej nie spodobało. Starała się, by wszechobecny mrok nie odwracał jej uwagi ku nieprzeniknionej ciemności pod gałęziami drzew.

Czuła, jak serce powoli podchodzi jej do gardła. Wciąż narastało w niej pragnienie, by podciągnąć spódnicę i biec, uciekać dalej ścieżką, lecz postanowiła, że nie wpadnie do pokoju Jonasa ogarnięta paniką czy histerią.

Jonas.

Ujrzała go w wyobraźni, uczepiła się tego wizerunku jak tonąca ostatniej deski ratunku, zapanowała nad zmysłami na tyle, by nie dać się wessać podstępnym ciemnościom.

Szła dalej pod drzewami, zwisającymi gałęziami, wciąż oddychając przez przymknięte usta, lecz już spokojniej, nie spuszczając wzroku ze słabego strumienia światła lampy, coraz bardziej pewna siebie, świadoma swego celu, koncentrując na nim myśli.

I nagle wyszła na otwartą, pozbawioną drzew przestrzeń, oświetloną słabym blaskiem księżyca. Ciemności zostawiła za plecami. Niemal poczuła, jak opuszcza ją ukryty lęk, gdy ruszyła ścieżką przez kuchenny ogród w kierunku Grange.

Skierowała się prosto do tylnych drzwi. Uniósłszy skobel, pchnęła je i weszła do środka. Na stoliku stała czekająca na nią zapalona świeca. Z uśmiechem podziękowała w myślach Mortimerowi i zdmuchnęła ją – wolała zabrać na górę swoją lampę.

Przekraczając przyjęte normy postępowania, wcześniej napisała notkę do Mortimera, usilnie prosząc, by zostawił dla niej otwarte kuchenne drzwi, aby przed pójściem spać mogła jeszcze sprawdzić, jak się czuje Jonas.

Zresztą była to prawda.

Zamknęła za sobą starannie drzwi, poprawiła szal, wzięła lampę i cicho jak myszka ruszyła przez pogrążony w ciszy dom, aż dotarła do głównych schodów, po których weszła na górę.

Drzwi do sypialni Jonasa były zamknięte. Ostrożnie osłoniła lampę, otworzyła je, zajrzała do środka i zobaczyła go leżącego w pościeli. Zasłony były rozsunięte, a przez okno do pokoju sączył się blask księżyca, zapewniając wystarczające oświetlenie. Zgasiła lampę, wśliznęła się do wnętrza, zamknąwszy za sobą drzwi.

Postawiwszy lampę przy ścianie, zbliżyła się do łóżka. Jonas spał, lecz niespokojnie. Widziała, jak się poruszał, przekręcał głowę na poduszce, poruszał kończynami pod przykryciem. Nie miał na sobie nocnej koszuli. Bez bandaża na głowie nie wyglądał na rannego, tylko na niespokojnego.

Ta obserwacja potwierdziła jej założenia, wzmocniła jej postanowienie. Odłożywszy swoje zawiniątko – zawierające szczotkę i zmianę ubrania – na komodzie, zaczęła rozwiązywać tasiemki spinające jej suknię.

Po kilku minutach zrzuciła ją, tak samo podwiązki i pończochy. Czując nocny chłód, zawahała się, ale po chwili szybko zdjęła przez głowę halkę.

Naga, uniosła przykrycie z boku łóżka od strony, gdzie zwykle leżała obok niego – i wśliznęła się pod kołdrę.

Poczuła otulające ją ciepło. Jonas nie miał gorączki, lecz jego masywne ciało promieniowało znajomym i przyjemnym ciepłem. Instynktownie przysunęła się, ostrożnie, aby go nie obudzić. Chciała mu przynieść ukojenie swoją obecnością.

Wyczuł ją. Odwrócił się i objął, przytulił, oparł jej głowę na swoim ramieniu, tak jak zawsze.

Na początku pomyślała, że się obudził, lecz niezdecydowane ruchy, powolny i spokojny oddech mówiły coś innego. Unosząc kąciki ust, położyła dłoń na jego sercu, odprężyła się w jego ramionach i zamknęła oczy.

Być może spał, lecz wciąż się poruszał. Może to sny nie dawały mu spokoju, lecz obserwując jego twarz, stwierdziła, że od czasu do czasu musiał odczuwać ból, który spinał go na tyle silnie, by zakłócić sen, lecz nie obudzić.

Patrzyła i czekała, lecz nie potrafił się uspokoić.

Poczuła narastającą, przemożną potrzebę, aby zrobić coś, co przyniosłoby mu ulgę, zmniejszyło ten ból. Nie mogła tej potrzeby zignorować – była zbyt silna, zbyt mocno wryta w jej naturę.

Lecz co mogła zrobić?

Rozważała i odrzucała kolejne opcje. Krążyła myślami, powracając do tej jednej. Kiedyś słyszała, że przyjemność – fizyczna, a zwłaszcza zmysłowa – może ukoić ból, pozwolić o nim zapomnieć, przynajmniej na jakiś czas.

Przynajmniej na tyle długo, aby mógł zasnąć głębokim snem.

Przecież taka przyjemność całkowicie pochłaniała jej uwagę, więc miała pewność, że on zareaguje podobnie.

Ta myśl kusiła ją, mamiła, lecz Em się wahała. Gdy Jonas znowu się poruszył, tym razem bardziej niespokojnie, przestała się wahać. Opierając dłonie na jego piersi, wyciągnęła się i pocałowała go.

Delikatnie, długo, kusząco, bez pośpiechu sącząc ustami jego usta.

Zareagował, a jednak… wciąż myślała, że nadal śpi. Przesuwał dłonie po jej skórze, dotykając, wodząc, pieszcząc. W końcu zaczął uciskać, przytrzymując ją w tej pozycji, gdy się nad nim pochylała.

Aby mogła całować go jeszcze głębiej, wykorzystać jego rozchylone wargi i wtargnąć w niego językiem, tak jak on często robił to z nią. Pozwolił jej, akceptując coraz bardziej namiętne pieszczoty jako coś, co mu się należy – jakby był jakimś paszą, a ona przeznaczoną do dawania przyjemności niewolnicą.

Ta myśl przemknęła jej przez głowę, a wtedy jej natura Colytonów od razu wyszła na pierwszy plan, wyczekując niecierpliwie dalszego ciągu. Oddając się grzesznym pragnieniom, by wykorzystać tę chwilę namiętności.

Tak więc przesunęła się, aż w końcu położyła na nim, rozsunęła nogi, znajdując oparcie dla kolan po obu stronach jego brzucha. Powoli, z wyraźnym ociąganiem się, oderwała od niego usta, ale tylko po to, by przesunąć je niżej i zacząć całować pierś Jonasa.

Wodzić wargami i językiem po szerokim, męskim torsie, delikatnie przygryzać płaskie sutki, ukryte pod całunem sprężystych ciemnych włosków.

Położył dłoń na karku Em, kiedy zeszła niżej, aby poczuć jego męskość, już sztywną i twardą, wciskającą się w jej brzuch. Lubieżnie zaczęła ocierać się o niego miękką gładką skórą, pieszcząc nabrzmiałą męskość.

Poczuła silniejszy ucisk na karku. Pierś Jonasa uniosła się, gdy powoli nabrał powietrza i zatrzymał je w płucach.

Uśmiechnęła się w duchu, wiedziała, że idzie właściwą drogą, że niedający spokoju ból nie miał już do niego dostępu. Przesunęła pieszczące go usta wzdłuż pasma włosków, zwężającego się ku dolnej części jego brzucha. Napinał coraz mocniej mięśnie, gdy zsunęła się jeszcze niżej, gdy uniosła głowę i oparła biodra na jego szeroko rozchylonych nogach, gdy sięgnęła ręką, by otulić nią jego penisa.

Gładzić, głaskać, pieścić, wodzić po nim opuszkami palców. Po chwili nachyliła głowę i uczyniła to samo czubkiem języka.

Jonas przestał oddychać. Poczuła wzdłuż kręgosłupa przyjemny dreszcz podekscytowania. Była zdumiona, że potrafi sprawić mu tak wielką przyjemność, aż wstrzymał oddech.

Ośmielona, lizała dalej, a mięśnie kurczyły się i poruszały. Usadowiła się, aby go dalej pieścić i poczuła, jak Jonas powoli napina się, napręża mięśnie.

Rozchyliła wargi i wzięła go w usta, zatoczyła kółko językiem i spróbowała. Powtórzyła to jeszcze raz, gdyż słony smak zdecydowanie przypadł jej do gustu.

Sprawianie mu przyjemności już samo w sobie było przyjemnością. Robiła to z pełnym zaangażowaniem, biorąc tyle co sama dawała, podekscytowana, że może go obdarować, oddać mu się w taki sposób.

Jej włosy rozsypały się, opadły na ramiona, ocierając się lekko o jego nagą skórę. Poczuł ich jedwabisty dotyk, delikatny jak muśnięcie piórkiem, niemal nieuchwytny, działający wspólnie – w zmysłowym kontraście – z pieszczotą jej gorących, wilgotnych ust i języka. Wszystkie myśli uleciały z jego głowy, zostawiając go wygłodniałego, pragnącego jeszcze więcej.

Więcej tego snu.

Więcej jej.

Dał porwać się tej chwili, odurzającej rozkoszy, pozwolił pochłonąć się zmysłowym doznaniom, które nim owładnęły.

Pozwolił, by przeniknęły jego duszę i wzięły go w niewolę.

Pojmały i trzymały w błogiej przyjemności.

Pulsowanie w jego głowie ustąpiło, oddając pierwszeństwo pulsowaniu penisa. Wessała wzbudzony członek Jonasa głęboko, aż wydał cichy okrzyk, poczuł, jak jego kręgosłup wygina się mimowolnie, gdy chwycił ją dłońmi za głowę, wcisnął palce we włosy i tak przytrzymał.

A ona trzymała go w ustach, zatapiając w namiętności, kusząco obdzierała ze skóry językiem, regularnie, niespiesznie, z pełnym poświęceniem.

Wiedział, że ona jest prawdziwa, że to nie sen, że ona naprawdę tam jest, spleciona z nim w jego łóżku, lecz ta wiedza

jedynie pogłębiła jego fantazję, jeszcze bardziej zwiększyła rozkoszne doznania.

Świadomość, że przyszła do niego z własnej woli, pragnęła dać mu przyjemność, ukojenie, że chętnie dopasowała się do jego prymitywnej duszy w tak jawnie erotyczny sposób – była dla niego rajskim eliksirem.

Dla niego, który jej pragnął, potrzebował, chciał aby i ona pragnęła go w podobny sposób, z takim samym jednoznacznym poświęceniem. Z tą samą służalczą uległością.

Jeśli chodzi o dawanie mu przyjemności, Em była niewinną adeptką. Jej dłonie pieściły, trzymały, delikatnie ściskały, lecz on – mimo że doceniał jej wysiłki, jej poświęcenie – nie mógł już dłużej wytrzymać, nie w taki sposób.

Pragnął jej. Pragnął więcej od niej. Już poddał się jej w każdy możliwy sposób, jednak dałby jej znacznie więcej, obdarował znacznie szczodrzej, bo w jego mniemaniu na tym polegała jego rola. Według niego to właśnie dawanie z siebie dla niej stało się głównym sensem jego istnienia.

Zaciskając dłonie na jej głowie, uniósł ją wyżej. Puściła go niechętnie, lecz poddała się i pozwoliła, aby podciągnął ją ku sobie i wcisnął się ustami w jej usta, aby mógł zniewolić jej zmysły. Jednocześnie przyciągnął uda Em po obu stronach swego torsu, położył dłonie na jej ramionach, przesunął po wygiętych plecach, naciskając napięte mięśnie. W końcu chwycił za biodra i przytrzymał, wsuwając sterczącą główkę fallusa w rozpalone gniazdko między jej nogami.

Syknęła, wciąż zwarta z nim w pocałunku, lecz nie puścił jej, cały czas zaborczo penetrując jej usta językiem i powoli wciskając się w nią, wypełniając swoją męskością.

Krótkim, silnym pchnięciem osadził ją pewniej, nadział na swój pal, aż wstrzymała oddech, oderwała się od jego ust i nabrała powietrza. Wyprostowała się, czując go głęboko w sobie.

Patrzyła na niego z góry jasnymi oczami lśniącymi spod długich rzęs.

– Mój Boże – wyszeptała.

Jego twarz była jak wyryta z kamienia, naznaczona namiętnością. Patrząc jej prosto w oczy, złapał ją za biodra, uniósł i znowu opuścił na siebie.

– Och… – Wydała z siebie okrzyk niesiony na długim wydechu. Przymknąwszy oczy, usiadła niżej, gdy Jonas ponownie wypełnił ją do samego końca.

Powtórzył ten ruch jeszcze raz, lecz zaraz potem ona sama przejęła kontrolę – z zapałem, radością i uśmiechem przyjemności, gdy szybko nauczyła się, zaczęła eksperymentować, badać i sadowić się do ujeżdżania go ze zwykłą u niej pasją.

Uniósł ręce, położył je na piersiach Em, zaczął sugestywnie ugniatać, wreszcie uniósł się, by chwycić wargami i ssać sterczący sutek.

Ssać i tym samym podsycać rozpalony w niej ogień, który jeszcze rozrastał się, przenikał ich oboje, płonął tak gorącym żarem, że ich skóra zaczerwieniła się, pokryła potem. Który pochłaniał ich ciała w palącej namiętności i wyciskał z płuc powietrze, gdy Em dotarła na szczyt.

I poczuła, jak świat rozsypuje się w miliardy iskier.

Dysząc ciężko, zacisnęła dłonie na jego piersi, odchyliła głowę do tyłu, z trudem walcząc z falą przenikających ją na wskroś, unoszących w przestrzeń zmysłowych doznań.

Puścił jej piersi, przytrzymał mocno za biodra, obserwował jej zapamiętałą rozkosz, delektował się jej namiętnością. Po chwili uniósł ciało i wraz z Em obrócił się, kładąc się na niej. Leżała tam, w jego łóżku, cudownie naga, z rozgrzaną skórą, z rozsuniętymi szeroko, giętkimi nogami, między które wsunął swoje biodra.

Sztywna męskość zagłębiła się w jej ciało.

Cofnął się i pchnął znowu, jednym długim ruchem wypełniając pochwę, rozciągając, przygważdżając, aby po chwili znów się cofnąć i powtórzyć wszystko od nowa.

Powoli.

Tym razem on jęknął, zamykając oczy. Opuścił głowę i odszukał ustami jej usta, natarczywie nalegając, by i ona wpiła

się w niego i trzymała go, gdy sam zaczął poruszać się w jej wnętrzu.

Oddała mu usta, język, ciało, jeszcze raz wyszła naprzeciw wołaniu prymitywnego instynktu.

Oddali się namiętności. Zwarte chciwe usta, walczące ze sobą, splątane języki, złączone ciała, które całkowicie poddały się zmysłom, znajomy rytm cofania się i penetracji. Wyciągnęła ręce i pociągnęła. Jonas ustąpił, położył się na niej, aby mogła go objąć ramionami i przytulić się. Nogami zrzuciła pościel i objęła go w biodrach w jawnie erotycznym błaganiu.

O więcej, o jego całego.

Dał jej to, czego pragnęła, wziął, czego sam potrzebował, zatracił się w jej oddanym mu ciele. Jego serce i dusza i tak już należały do Em, mimo to oddał je ponownie, zastawił je u niej, gdy wzniosła się na kolejny szczyt – i bez wysiłku pociągnęła go ze sobą w głęboki ocean rozkosznego szczęścia.

Z trudem chwytała powietrze, z pewnością nie była w stanie myśleć, lecz gdy Jonas opadł na nią, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mając na sobie jego ciężar, wciskający ją w łóżko, czuła się jak wyróżniona medalem – które to wrażenie było przyćmione jedynie przenikającą ją radością, gdy delikatnie gładziła Jonasa po plecach, gdy oddychał coraz wolniej, aż w końcu pogrążył się we śnie.

Rozdział 20

Następnego ranka Jonas obudził się pełen energii, lecz sam. Mimo to nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Splótłszy dłonie pod głową – już nietrawioną nawet lekkim bólem – rozpromieniony spoglądał na sufit.

Niemalże warto było dostać po głowie.

Nie miał już cienia wątpliwości, że Em poślubi go. Wydarzenia ostatniej nocy nie miałyby miejsca, gdyby już wcześniej nie podjęła tej decyzji.

Była to oszałamiająca świadomość. Przez kilka długich minut delektował się nią, wciąż leżąc na łóżku, zanim niecierpliwość i ciekawość, co przyniesie kolejny dzień, nie kazała mu usiąść.

Odczekał chwilę, aby sprawdzić, czy powrócą zawroty głowy, które nachodziły go poprzedniego dnia, lecz nic takiego nie odczuł. Zatem spuścił nogi na podłogę, wstał, chwilę nie ruszał się, wreszcie uniósł kąciki ust w kolejnym uśmiechu.

Pomacał guz na tylnej części czaszki – co prawda syknął z bólu, ale i tak dzisiaj czuł się znacznie lepiej.

I dobrze, miał bowiem już plany na resztę dnia, które nie obejmowały bezczynnego leżenia w łóżku.

Tak więc razem z Lucyferem mieli rano dokładnie zbadać zawartość skarbu i dokonać jego formalnej wyceny. Zrobiliby to już poprzedniego dnia, gdyby nie atak na Jonasa.

Potem, po lunchu i spędzeniu godziny lub dwóch w towarzystwie Em, planował wywiedzieć się o parę rzeczy we wsi. Miał pytania do przebywających na miejscu dwóch mężczyzn – Coombe'a i Potheridge'a. I zamierzał być bardzo przekonujący – w taki czy inny sposób musiał wydusić z nich odpowiedzi.

Zadzwonił, aby przyniesiono mu wodę do mycia, przejrzał ubrania. Dzień był pogodny, a on miał do zrobienia kilka rzeczy.

* * *

Em czuła się dziwnie podenerwowana, gdy stała w drzwiach celi pod gospodą, patrząc, jak Lucyfer z Jonasem spisują zawartość rodzinnego skarbu. Lucyfer dokładnie oglądał każdy przedmiot, opisywał go i podawał szacunkową cenę, które to informacje Jonas starannie notował w narysowanych na kartkach tabelach.

Tyle zainwestowała w odnalezienie skarbu, nie tylko finansowo, ale także emocjonalnie, a teraz, gdy go odnaleźli… nie odczuwała wielkiej ulgi. Wciąż nie do końca wierzyła, że to dzieje się naprawdę, że już nie musi się o nic martwić.

Słuchając kwot, które Lucyfer dyktował Jonasowi, zrozumiała, że jej rodzina już nie będzie miała najmniejszych problemów finansowych. Sprzedaż nawet niewielkiej części skarbu zapewni im dobrobyt na resztę życia.

Przez ostatnie dwie godziny spoglądała od czasu do czasu na obu mężczyzn. Teraz ich praca dobiegała końca – pozostało im do opisania kilka monet – więc czekała na ostateczny werdykt, gdyż chciała jeszcze omówić kwestię rozdysponowania tego bogactwa.

Lucyfer zbadał ostatnie monety, wyraził swoja opinię, po czym ułożył je jedna na drugiej razem z innymi, w końcu uniósł głowę i uśmiechnął się do Em. Wziął od Jonasa zapisane kartki, przejrzał je, sprawdził wynik sumowania i wysoko uniósł brwi.

– No cóż, moja droga. – Spojrzał na Em. – W moim mniemaniu jest to naprawdę znaczna fortuna. – Wymienił kwotę, która wykraczała poza jej najśmielsze oczekiwania. – I to według dość konserwatywnej wyceny. Po sprzedaży uzyskana suma z pewnością byłaby większa. Czy podjęłaś już decyzję, co chcesz z tym zrobić?

Popatrzyła w ciemne oczy Jonasa, zacisnęła usta i kiwnęła głową.

– Skarb w postaci monet i klejnotów można łatwo ukraść, więc zawsze będzie stanowił pokusę dla jakiegoś drania, a o ile rozumiem, takie monety i klejnoty byłoby bardzo trudno odnaleźć. Wobec tego chcemy sprzedać wszystko i ulokować pieniądze w funduszach i inwestycjach, których nie da się tak łatwo ukraść. – W ten sposób Jonas i jej rodzina nie byliby już narażeni na żadne niebezpieczeństwo. – Spojrzała na Lucyfera. – Potrzebne będą pieniądze, które chcemy odłożyć dla dziewcząt, a więc pewna część dla Issy, bliźniaczek i…

– Część dla ciebie. – Issy stanęła obok siostry. – Ja i Henry rozmawialiśmy już o tym. Akceptujemy wszystkie twoje plany, lecz uważamy, że ty musisz skorzystać z dobrodziejstwa skarbu w takim samym stopniu co ja i bliźniaczki, poza tym powinnaś odzyskać pieniądze, które wydałaś, abyśmy wszyscy mogli tu przyjechać i odnaleźć skarb. Tak będzie uczciwie. Wykorzystałaś niemal wszystkie pieniądze, jakie zostały po tacie, więc powinnaś je odzyskać. – Na zwykle łagodnej buzi Issy malował się upór, który oznaczał, że nie przyjmie do wiadomości sprzeciwu. – I nie oczekuj, że zgodzimy się na inne rozwiązanie.

– Masz rację – odezwał się do niej Lucyfer. – To bardzo istotny punkt.

Em zerknęła na Jonasa, który skinął głową. Skrzywiła się.

– No dobrze. Ale…

– Żadnych „ale”. – Spojrzała w kierunku Lucyfera. – Część pieniędzy taty przeznaczona dla Em wynosiła pięćset funtów i tyle należy dodać do przeznaczonej dla niej sumy.

– Czterysta osiemdziesiąt – poprawiła ją Em. – Bo zostało mi jeszcze dwadzieścia funtów, ale…

– Żadnych „ale” – powiedzieli chórem.

Zamilkła.

Lucyfer robił notatki.

– Mamy więc po jednej części dla każdej z czterech dziewcząt plus czterysta osiemdziesiąt funtów dla Em jako rekompensata

za poniesione wydatki. Jest jeszcze kwestia sumy dla Henry'ego.

– Chcemy, żeby poszedł do Pembroke – stwierdziła Em – a gdy skończy studia, żeby miał dość pieniędzy na wygodne życie. Będzie musiał kupić odpowiedni dom, mieć na utrzymanie przyszłej żony i przyzwoitego domu.

Patrzyła, jak Lucyfer pilnie notuje na osobnej kartce, szybko dodaje i oblicza. Jonas nachylił się i wskazał kwotę, mrucząc coś o stałym dochodzie z inwestycji.

Lucyfer kiwnął głową i odpowiedział mu równie cicho. Zapisał coś jeszcze, spojrzał na notatki, podniósł wzrok na Em i Issy.

– Najskuteczniejszym sposobem wykorzystania tych pieniędzy, aby osiągnąć wymienione przez was cele, byłoby…

Zasugerował założenie kilku rachunków, po jednym dla każdej z sióstr oraz jeden większy dla Henry'ego, wyjaśnił, jak za pomocą dochodów z inwestycji zapewnić im wygodne życie. Em zrozumiała wystarczająco, aby docenić sens tej propozycji.

– Co do reszty pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży skarbu, można je odłożyć w postaci powierniczego funduszu inwestycyjnego dla przyszłych pokoleń. – Lucyfer spojrzał pytająco na Em. – Czy taki układ byłby odpowiedni?

– Tak. – Zdecydowanie kiwnęła głową. – Właśnie tego chcemy. Pomożesz nam to załatwić?

– Z przyjemnością. – Lucyfer zebrał wszystkie kartki. – Każę to skopiować, abyście mogli zachować oryginał. Jeszcze dziś po południu wyślę listy do kilku dealerów w Londynie, którym mógłbym powierzyć majątek takiej wartości. Przyjadą tu, dokonają własnej wyceny, i to będzie punkt wyjściowy do dalszych działań. A tymczasem skontaktuję się także z Montague'em. – Spojrzał na Jonasa, który skinął głową.

– Montague – wyjaśnił Jonas – to doskonały człowiek od interesów. Potrzebny wam ktoś taki, komu możecie całkowicie zaufać, że będzie działał dla dobra waszej rodziny. On założy rachunki i będzie nimi zarządzał.

– A jest to człowiek godny zaufania? – spytała Em.

– Absolutnie. – Jonas uśmiechnął się. – My, czyli ja, Lucyfer, wszyscy Cynsterowie oraz dalsi członkowie rodziny, korzystamy z usług jego firmy w sprawach wszelkich inwestycji. Jest najlepszy.

– Wobec tego – odezwała się Em, patrząc na Lucyfera – proszę, skontaktuj się z nim w naszym imieniu.

Lucyfer wstał.

– Dobrze. Napiszę do niego dziś po południu. Kto wie, może nawet skusimy go, żeby odwiedził Colyton.

* * *

Po lunchu w towarzystwie Em i jej stadka Jonas wrócił do Grange ścieżką przez las, uważnie rozglądając się na boki. Wcześniej z probostwa do gospody przyszli Filing z Henrym, aby poznać najnowsze wieści; on także został i dołączył do nich przy długim stole w saloniku na poddaszu, które zawłaszczyło młodsze rodzeństwo Em.

To był bardzo przyjemny, rodzinny posiłek. Jonas czuł się jak w domu, nie wyobrażał sobie, czym on – oraz Filing – wypełniali swoje dni, a nawet swoje życie przed powrotem Colytonów do Colyton.

W związku z tą kwestią usłyszał, jak wikary umawia się z Em, że po południu zabierze Issy na przejażdżkę do Seaton. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wrócili z tej wycieczki z wieścią o ślubie. Skarb został odnaleziony, stwierdzono jego wielką wartość, a ponieważ Filing i Issy, a w zasadzie wszyscy, wiedzieli, że Jonas zamierzał poślubić Em, wikariusz bez wątpienia planował namówić Issy, by się zgodziła, i wyznaczyć datę.

Jonas miał nadzieję, że ten fakt nakłoni Em do zastanowienia się nad datą własnego ślubu. Miał pewność, że Issy będzie nalegać, aby w zaistniałych okolicznościach Em pierwsza wyszła za mąż, co było w stu procentach po jego myśli. Nie będzie mogła zwlekać, gdy cała rodzina i on sam będą ją namawiali do wyrażenia zgody.

Poza tym nie mogła już twierdzić, że zajazd i miejscowa społeczność potrzebują jej atencji każdego dnia. Zorganizowała wszystko tak umiejętnie, że gospoda i jej personel mogli sprawnie funkcjonować bez jej udziału. Kiedy przyszedł tam rano, uderzyło go, jak bardzo to miejsce zmieniło się pod jej kierownictwem. Za kadencji Juggsa o dziesiątej rano gospoda świeciłaby pustkami, a teraz ponad połowę stołów zajmowali miejscowi, którzy przyszli na późne śniadanie lub poranną herbatę, a także goście, którzy kończyli poranny posiłek przed wyjazdem.

Nie przypominał sobie, kiedy to pod rządami Juggsa widział choćby jednego gościa nocującego w zajeździe, nie mówiąc już o pięciu, którzy spędzili tu ostatnią noc.

A więc wszystko było gotowe, aby Em mogła wyznaczyć datę. Stwierdził, że sam niecierpliwi się przed wykonaniem następnego kroku. Przed tym, by ogłosić światu, że Em należy do niego, i potwierdzić ten fakt ponad wszelką wątpliwość.

I aby założyć rodzinę. Oczywiście razem z Em wezmą pod swoje skrzydła bliźniaczki i Henry'ego, lecz ze zdziwieniem zauważył, że w ostatnich czasach wielokrotnie wyobrażał sobie Em tulącą na rękach dziecko – jego dziecko. Ta wizja zapisała się w jego myślach i często powracała, kusząc go, popychając do działania.

Oczywiście w tej materii nie potrzebował dodatkowej zachęty.

Wszystko zaczęło się idealnie układać. W tej beczce miodu została tylko jedna łyżka dziegciu, której zamierzał się pozbyć jak najszybciej.

Tak więc dotarłszy do Grange, przeszedł przez kuchenny ogród i dalej przez tylne drzwi dostał się do domu. Zamierzał ukryć klucz od celi w poprzednim miejscu, a potem wyruszyć, aby zrealizować wyznaczony sobie cel.

Dał do zrozumienia Em, że popołudnie spędzi w Grange – nie chciał jej niepokoić możliwymi skutkami dwóch rozmów, które zamierzał odbyć z głównymi podejrzanymi o napaść na jego osobę.

Pierwsze miejsce na liście zajmował Harold Potheridge. Według relacji Dodswella Potheridge do późnych godzin wieczornych nie powrócił do domu panny Hellebore. Ale Jonas i tak wolał rozmówić się najpierw z Silasem Coombe'em.

Ukrywszy klucz, wyszedł z sypialni, zszedł po schodach i wyruszył do domu Silasa.

* * *

O trzeciej Em weszła na poddasze, szukając bliźniaczek. Pod nieobecność Issy powiedziała im, że mogą pobawić się przez pół godziny po lunchu, a potem mają przyjść do kantoru, aby pod jej okiem poćwiczyć arytmetykę.

Kiedy o drugiej trzydzieści nie zjawiły się, Em nie czuła niepokoju, nie była też specjalnie zaskoczona, lecz gdy nie przyszły do za piętnaście trzecia, zamknęła księgę rachunkową i udała się na poszukiwania.

Po poprzednim doświadczeniu z Haroldem była pewna, że dziewczynki są gdzieś w pobliżu. Spodziewała się, że znajdzie je z praczkami albo że naprzykrzają się Johnowi Ostlerowi, lecz ani w stajni, ani w pralni nikt nic nie wiedział, nie widział ich od pory lunchu.

Zdziwiona, udała się do ich pokoju. Ponieważ pogoda była ładna, dziewczynki raczej nie przebywałyby we wnętrzu, chyba że któraś z nich źle się poczuła.

Otworzyła drzwi na końcu korytarza i ujrzała dwa puste łóżka oraz kartkę leżącą w widocznym miejscu na stojącej między nimi szafce. Marszcząc brwi, zastanawiała się, co znowu wymyśliły. Podeszła, wzięła kartkę… i poczuła paniczny niepokój, gdy przekonała się, że list jest przeznaczony dla niej, że został zaadresowany wielkimi literami, a nie dziecięcymi gryzmołami.

Poczuła na plecach zimny dreszcz. Przez chwilę po prostu patrzyła na list, w końcu rozłożyła kartkę i przeczytała:

JEŚLI CHCESZ JESZCZE ZOBACZYĆ SWOJE SIOSTRY, ZABIERZ SKARB, WŁÓŻ GO DO LEŻĄCEGO PONIŻEJ WORKA I ZABIERZ GO TAM, GDZIE GO ZNALAZŁAŚ. TAM DOSTANIESZ KOLEJNE INSTRUKCJE. ZRÓB TO OD RAZU – OD CHWILI PRZECZYTANIA TEGO LISTU MASZ TYLKO GODZINĘ, ABY WRÓCIĆ DO GROBOWCA. NIKOMU NIC NIE MÓW. BĘDĘ CIĘ OBSERWOWAĆ. JEŚLI ZOBACZĘ, ŻE NIE PRZYSZŁAŚ SAMA, JUŻ NIGDY WIĘCEJ NIE ZOBACZYSZ SIOSTRZYCZEK ŻYWYCH.

Em spojrzała na dół – u jej stóp leżał na podłodze płócienny worek.

* * *

Zanim znowu była w stanie pomyśleć, już pędziła ścieżką przez las w kierunku Grange.

Harold. Przecież to musiał być on.

Zatrzymała się, wyjęła kartkę z kieszeni i jeszcze raz spojrzała na tekst, lecz wielkie litery nie dawały szansy na rozpoznanie charakteru pisma. Po chwili schowała list i ruszyła w dalszą drogę.

Ujrzała tyły Grange. Zatrzymała się jeszcze między drzewami, omiotła wzrokiem kuchenny ogród i z ulgą stwierdziła, że jest pusty. Potem przeniosła wzrok na stojącą z boku pralnię, wytężając słuch – w środku praczki wykonywały codzienną pracę. Skoro tak, będą zwrócone plecami do drzwi. Em nabrała powietrza przez półprzymknięte usta i cicho ruszyła ścieżką w kierunku drzwi.

Nikt jej nie zawołał. Z ulgą otworzyła drzwi – kiedyś Gladys powiedziała, że w ciągu dnia zawsze są otwarte. Weszła do małego holu, bezgłośnie zamknęła je za sobą, chwilę nasłuchiwała, lecz z kuchni nie dobiegały żadne odgłosy. Przy odrobinie szczęścia o tej porze Gladys i kucharka będą drzemać w swoich pokojach. Żadna z nich nie była młoda, a obie z pewnością wstały do pracy o świcie.

Znów nabrała powietrza, zamknęła oczy, zmówiła krótką modlitwę, wreszcie cicho minęła kuchenne drzwi i skierowała się ku schodom. Nawet nie spojrzała na drzwi biblioteki – weszła na górę, gdzie od razu ruszyła ku pokojowi Jonasa. Wciąż modliła się w duchu, żeby go tam nie było, żeby przebywał w bibliotece.

Otworzyła drzwi, rozejrzała się i odetchnęła z ulgą. Pokój był pusty. Weszła do środka i od razu skierowała się do stolika przy łóżku.

Klucz był tam, gdzie poprzednio. Zabrała go, schowała do kieszeni i zamknęła szufladę.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinna powiedzieć o liście Jonasowi, lecz szybko ją odrzuciła. Instrukcja była wyraźna – musiała działać szybko i w pojedynkę. Gdyby złoczyńca zobaczył ją z inną osobą, zabiłby obie dziewczynki.

Tego nie mogła ryzykować – ani słowem, ani czynem. Znała Jonasa na tyle, by mieć absolutną pewność, że nigdy nie zgodziłby się na jej samodzielną wyprawę do mauzoleum na spotkanie ze złoczyńcą.

Jednak musiała to zrobić.

I nie miała czasu na spory. Zastanawiała się, skąd ktoś mógł wiedzieć, o której godzinie przeczytała wiadomość, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że stolik między łóżkami bliźniaczek znajduje się bezpośrednio obok okna. Każda osoba stojąca na błoniach naprzeciwko gospody mógł widzieć, Jak Em stoi tam i czyta list.

Kimkolwiek był, dobrze wszystko zaplanował.

Tak więc jej czas był ograniczony – miała tylko godzinę, aby zabrać skarb i odnieść go do kościelnej krypty.

Kiedy odwracała się od stolika, jej wzrok padł na łóżko. Od razu przypomniała sobie ich bliskość, bezcenne cudowne godziny spędzone tu w ramionach Jonasa.

To właśnie ryzykowała, idąc sama, aby nieść ratunek swoim siostrom. Nie była na tyle głupia, aby myśleć, że porywacz łatwo je wypuści. Dziewczynki muszą wiedzieć, kim jest, ona zapewne też go rozpozna, gdy tylko go zobaczy. Wszystko, czego pragnęła

w zamian za oddanie skarbu, to zobaczyć siostry i zyskać szansę, żeby je ocalić – i siebie, o ile tylko zdoła.

Chwyciłaby tę jedną jedyną szansę i zobaczyła, czy potrafi ją wykorzystać. Tym razem cieszyła się, że ma cechy właściwe rodzinie Colytonów – zuchwałość i odwagę. Tak więc albo wygra tę batalię, albo umrze.

Na myśl o śmierci, o odczuciach Jonasa zerknęła na zegar stojący na komodzie. Miała jeszcze dziesięć minut, więc szybko podeszła… lecz nie do drzwi, ale do jego biurka.

Usiadła na krześle, wyjęła czystą kartkę, wzięła pióro i zaczęła szybko pisać.

Napisała wszystko. O tym, co się stało, co zamierzała zrobić, dokąd pójść – to zajęło ledwie parę linijek. Potem w szaleńczym tempie napisała mu wszystko, co czuje.

Nie miała czasu, by dobierać słowa, by budować składne zdania. Pozwoliła, aby płynęły wprost z niej, z jej serca, poprzez rękę i pióro na papier.

Niestety, spisanie tego czarno na białym uczyniło całe ryzyko jeszcze bardziej realnym, sprawiało, że czuła w sercu jeszcze większy ciężar.

Pragnęła – bardziej niż czegokolwiek innego – uchwycić się obietnicy życia, przyszłości i rodziny, którą złożył jej Jonas. Nie chciała narażać się na niebezpieczeństwo, ryzykować tej przyszłości, wszystkiego – co już teraz wiedziała i w co wierzyła całym sercem i duszą – co mogłaby mieć razem z nim, jako jego żona i matka jego dzieci.

Lecz teraz nie miała wyboru. Jej małe siostry mogły liczyć tylko na nią, więc nie mogła ich zawieść.

Zakończyła list prostym stwierdzeniem: „Kocham Cię i zawsze będę kochała”.

Z trudem oddychała przez ściśnięte gardło. Podpisała się, odłożyła pióro, zostawiła kartkę na biurku, wstała i ruszyła do drzwi.

Zaczęła oddychać pełną piersią dopiero wtedy, gdy znalazła się w lesie i biegła z powrotem do gospody.

* * *

Kimkolwiek był złoczyńcą, dobrze to wszystko zaplanował.

Ta myśl kołatała się w jej głowie, gdy wkładała klucz do zamka w drzwiach celi. Przekręciła go i otworzyła je szeroko.

Złoczyńca miał też świetne wyczucie czasu. O tej porze dnia stały personel zajazdu oddawał się zwyczajowej chwili odpoczynku między lunchem a przedwieczornym ruchem. Poza stojącym za barem Edgarem, którego mogła z łatwością ominąć, nie było nikogo, komu nie powinna rzucać się w oczy.

Złoczyńca dobrze znał panujące w gospodzie obyczaje.

Z workiem w ręku przyglądała się kamiennej skrzyni przodków i dziękowała w duchu patrzącym teraz na nią świętym, że ciężkie wieko niedokładnie przylegało do reszty. Szczelina była na tyle szeroka, że mieścił się w nią koniec małego łomu, który poprzednio zostawili obok ławy, i nacisnąć pokrywę, przesuwając ją wystarczająco, aby Em mogła wsunąć do środka rękę. Odłożyła łom i zaczęła – garść za garścią – przekładać monety i klejnoty do worka.

Wtem zwolniła. Skąd złoczyńca mógł wiedzieć, co dokładnie zawiera skrzynia?

Rozejrzała się po celi. Nie było tu okna, a pokrywa znajdowała się w takiej pozycji, że spoza celi nie można było dostrzec, czy Em zostawiła w środku część skarbu. Nawet znaczną jego część.

Zajrzała do worka, potem do skrzyni, zdecydowała, że zabierze ze sobą niecałą czwartą część bogactwa – mniej więcej swoją część i tę przeznaczoną dla bliźniaczek, a resztę pozostawi dla Henry’ego, Issy oraz przyszłych pokoleń Colytonów. To, co weźmie ze sobą, wystarczy, aby przekonać każdego, kto nie widział całego skarbu wyjętego ze skrzyni – a jedyne osoby, które go widziały w taki sposób, to Lucyfer, Jonas, ona sama oraz Issy.

– Musiał widzieć skarb, kiedy otworzyliśmy skrzynię w gospodzie – powiedziała pod nosem.

Zresztą, gdy podniosła płócienny worek, zdała sobie sprawę z tego, że i tak nie dałaby rady samodzielnie przenieść skarbu.

Tym samym upewniła się o słuszności swojej decyzji. Kiedy worek był pełny, zawiązała przytroczone sznurki, wstała, zamknęła drzwi do celi i przekręciła klucz.

Lecz co teraz z nim zrobić?

Przez chwilę mu się przyglądała, w końcu pośpiesznie wybiegła z piwnicy i weszła do kantoru. W jednej chwili wrzuciła klucz do sejfu, gdzie Jonas prędzej czy później na pewno go odnajdzie.

Spojrzała na zegar i stwierdziła, że ma siedem minut, aby zjawić się w mauzoleum. Zdjęła z wieszaka koło drzwi pelerynę, owinęła w nią worek i przeszła do baru.

– Edgar, idę na krótki spacer.

Skinął głową, siedząc na swoim zwykłym miejscu za ladą.

– Dobrze, panienko. Jeśli ktoś będzie pytał, powiem, że niedługo pani wróci.

– Dziękuję – zawołała i wyszła.

* * *

Dotarła do kościoła i schodów do krypty, nie spotykając nikogo po drodze, więc nie musiała wymyślać żadnej bajeczki usprawiedliwiającej jej obecność w tym miejscu i o tej porze. Miała przygotowaną wymówkę na wypadek spotkania Filinga, lecz przypomniała sobie, że przecież z Issy wybrali się na przejażdżkę.

Zastanawiała się, czy poprosił ją o rękę. Modliła się, aby tak właśnie było, i aby jej słodka siostra przyjęła oświadczyny. Issy przez wiele lat stała u jej boku, wspierała ją, więc zasługiwała na wszystko, co najlepsze w życiu.

Zatrzymała się w zakrystii, drżącymi rękami zapaliła jedną ze stojących tam latarni i zauważyła, że klucza do krypty nie ma na przeznaczonym dla niego haczyku. Zapewne droga była otwarta, a złoczyńca już na nią czekał tam na dole. Zabrała

latarnię, drugą ręką podniosła płócienny worek i szybko pobiegła do schodów. Zaczęła schodzić.

Robiła dużo hałasu, więc on – kimkolwiek był – wiedział, że Em się zbliża. Być może usłyszą ją także bliźniaczki i zrozumieją, że starsza siostra zaraz będzie z nimi.

Istniał jeszcze jeden powód, który sugerował, że złoczyńca jest jednak groźniejszy od jej wuja. Nie mogła uwierzyć, by dziewczynki poszły za nim jeszcze raz. Były małe, ale miały swój rozum. Bez względu na to, co powiedział czy obiecał, z pewnością by mu nie uwierzyły.

Jeśli chodzi o Silasa Coombe'a, bliźniaczki z właściwą sobie prostolinijnością ostentacyjnie uważały go za głupka, więc na pewno nie dałyby mu się zwabić.

Co oznaczało, że złoczyńca jest… osobą w ogóle niebraną przez nią pod uwagę. Wobec tego nie mogła zaplanować taktyki postępowania.

Gdy schodziła do ciemnej krypty z latarnią w ręku, była pewna tylko jednego: cokolwiek się stanie, nie wolno jej stracić głowy, jeśli ona i jej siostry mają przeżyć.

U końca schodów zwolniła, szybko rozglądając się dookoła, lecz grobowce i pomniki znacznie ograniczały jej pole widzenia. Nikogo nie słyszała: ani oddechu, ani szurania butów na podłożu krypty.

Uniosła latarnię nieco wyżej i spojrzała w kierunku zejścia do mauzoleum. Drzwi były otwarte.

Stanęła na kamiennej podłodze i podeszła ku wejściu do rodzinnego grobowca.

Skarb czy klątwa?

Byłoby ironią losu, że po tych wszystkich poszukiwaniach odnalazła rodzinny skarb tylko po to, aby umrzeć przedwcześnie właśnie z jego powodu, w swoim rodzinnym grobowcu.

Odrzuciła te czarne myśli. Nie umrze, jeśli tylko będzie w stanie temu zapobiec.

Przeniosła wzrok na drzwi mauzoleum – klucza, jednocześnie klucza do krypty – nie było również w tym zamku. Co

oznaczało, że zapewne był w posiadaniu złoczyńcy, który mógłby zamknąć ją wraz z siostrami w podziemiu.

Gdyby tak się stało… na szczęście, gdyby przeżyły spotkanie ze swoim prześladowcą i zostały jedynie zamknięte w krypcie, Jonas, kiedy tylko znajdzie zostawiony przez nią list, będzie wiedział, gdzie ich szukać.

Tak więc zabezpieczyła się przed tą ewentualnością.

Nic więcej nie mogła zrobić, aby się przygotować. Musiała zejść i stawić czoła złoczyńcy.

Nabrała powietrza, uniosła podbródek, także latarnię i worek, zaczęła schodzić wąskimi schodkami prowadzącymi do rodzinnego mauzoleum.

Nie śpieszyła się, lecz powoli, ostrożnie stawiała każdy krok. Musiał wiedzieć, że ona nadchodzi, więc nie było powodu, aby gnać na ślepo do przodu.

Światło latarni grało na pomnikach i figurach, rzucając na ściany upiorne cienie. W podziemiu nie było innego źródła światła ani też śladu latarni zwykle zostawianej w krypcie. Jeśli złoczyńca wszedł tu wcześniej, musiał mieć ją teraz ze sobą. W obu pomieszczeniach – krypcie i mauzoleum – byłoby ciemno… jak w grobie bez zbawiennego światła latarni.

A może prześladowca czaił się za nią?

Na tę myśl obróciła się, stojąc na ostatnim schodku. Czuła łomot swego serca, lecz nawet wytężając wszystkie zmysły, nie była w stanie wykryć żadnego ruchu czy dźwięku, które mogłyby sugerować, że w krypcie lub na prowadzących do niej stopniach jest ktoś jeszcze.

Odwróciła się ponownie do mauzoleum, opanowała narastającą panikę – częściowo wywołaną niepewnością, z kim się zaraz spotka, co może się wydarzyć, a częściowo po prostu irracjonalnym strachem – i w końcu zeszła na grubo ciosaną podłogę.

Poprzednio była tu z innymi – którym ufała. Wtedy nie była tak świadoma upiorności tego miejsca, przytłaczającego ciśnienia wszechobecnej ciemności. Jej nerwy były na granicy wytrzymałości, instynkty maksymalnie wyostrzone.

Prymitywne wrażenie nieuniknionego nieszczęścia popychało ją ku ucieczce – do światła, jak najdalej od mroku.

Znowu przełknęła ślinę, zmusiła się, by unieść latarnię i rozejrzeć się dookoła. Była pewna, że kogoś zobaczy, kogoś złego, lecz miała coraz silniejsze wrażenie samotności w podziemnym grobowcu. Była tu tylko ona i zmarli.

Przypomniała sobie, że to jej zmarli – sami Colytonowie, jej przodkowie. Jeśli ktoś miał się tu czegoś bać, to raczej ten, kto chciał wykraść rodowe dziedzictwo.

Zgodnie z instrukcją porywacza powoli podeszła do grobowca swojej praprapra…babci, która była na tyle przewidująca, żeby zgromadzić skarb i sprytnie go ukryć.

Zbliżywszy się, uniosła worek i położyła go tam, gdzie przedtem stała skrzynia. Monety i klejnoty zabrzęczały głośno.

Dźwięk rozszedł się echem po wnętrzu. Czekała, zastanawiając się. Instynktownie szukała kierunku, z którego może się pojawić niebezpieczeństwo. Powoli wykonała pełny obrót, lecz nadal nikogo nie zobaczyła.

– Emily.

Usłyszała swoje imię wypowiedziane upiornym szeptem. W pierwszej chwili nie była pewna, czy ten głos nie jest wytworem jej wyobraźni.

Lecz po chwili zabrzmiał ponownie, bardziej natarczywie, lekko szyderczo.

– Em… ily.

Dźwięk dobiegał od strony bliższego z dwóch ciemnych otworów w ścianie, które były początkami tuneli wiodących głębiej w wapienną skałę.

– Em… ily.

Jeszcze bardziej natarczywie. Głos zdecydowanie męski, na pewno nie należał do którejś z bliźniaczek. Mimo to, nie była w stanie go rozpoznać.

Zawahała się, zabrała worek i weszła do tunelu. Trzymała wysoko latarnię z nadzieją, że zobaczy dziewczynki, lecz widziała jedynie ściany wąskiego korytarza.

Prowadzącego w nieprzeniknioną ciemność.

– Emily.

Teraz w głosie zabrzmiała przygana, niemal dezaprobata. Zatem miała iść dalej, w czeluść tunelu.

Czuła w piersi narastającą panikę. Na samą myśl o tym, co zaraz nastąpi, krew odpłynęła z jej twarzy.

Jednak nie mogła zemdleć ani się wycofać. Małe dziewczynki liczyły na nią, była ich jedyną nadzieją.

Nabrała powietrza krótkim, płytkim oddechem, starając się uspokoić oszalałe serce. Mocniej chwyciła worek, mocniej zacisnęła dłoń na rączce trzymanej w górze latarni, po czym zanurzyła się w nieprzeniknionej ciemności.

Rozdział 21

Było już późne popołudnie, gdy Jonas skierował swe kroki z powrotem do Grange. Szukał wszędzie Silasa i Potheridge'a, lecz żadnego z nich nie znalazł. Jednak według słów panny Hellebore i pani Keighley, która była gosposią u Silasa, obaj mężczyźni przebywali w wiosce, a przynajmniej każdego wieczoru wracali do domu na noc.

Zdawało się, że obaj wolą nie rzucać się w oczy.

Co pozostawiało prawdopodobieństwo, że któryś z nich – a nawet obaj – wiedział coś o napadzie na Jonasa.

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że człowiekiem, który go uderzył, nie był Silas, a sposób wykonania ataku, czyli niepostrzeżenie z zasadzki w lesie, podawał w wątpliwość uczestnictwo Potheridge'a, gdyż był on korpulentny i niezdarny. Jonas wątpił, by potrafił poruszać się bezgłośnie na czystej kamiennej posadzce, a co dopiero po leśnej ścieżce.

Lecz Potheridge był łotrem, którego plany udaremniła Em. Z jej słów wynikało, że wuj był człowiekiem, dla którego mściwość stanowiła dostateczną motywację, aby uciec się do przemocy. Z kolei Silas mógł popaść w tarapaty, a skarb stałby się dla niego okazją nie do wzgardzenia. Być może żaden z nich nie był napastnikiem, lecz Jonas nie postawiłby złamanego pensa na to, że któryś – albo obaj – nie wynajął bandziora i nie powiedział mu, gdzie ma czekać.

Rzeczywiście, wynajęcie kogoś do brudnej roboty byłoby podobne do obu podejrzanych typów.

Wrócił do domu podjazdem od frontu. Nie chciał kłopotać Mortimera, więc okrążył główne wejście i dostał się do środka bocznymi drzwiami. Z holu skierował się prosto do biblioteki, gdy przez obite zielonym suknem drzwi wyszła Gladys.

– A, tutaj jesteś! Właśnie cię szukałam. – Szybko zbliżyła się, machając złożoną kartką. – Jenny, pokojówka, znalazła to na biurku w twojej sypialni. Kartka nie była złożona, Jenny nie umie czytać, więc nie wiedziała, czy ma to sprzątnąć, czy nie, wobec tego przyniosła ją do mnie. Ja też nie czytałam, bo nie śmiałam, ale widziałam, że na dole podpisała się panna Emily. Pomyślałam, że będziesz chciał to zobaczyć.

Wziął list, rozłożył, zaczął czytać.

Gladys poszła z powrotem w kierunku kuchni.

– Tylko nie wiem, jak to możliwe, że kartka znalazła się na twoim biurku. Nie słyszałam, żeby rano ktoś tu przyszedł.

Jej głos zaniknął, gdy minęła obite suknem drzwi i zamknęła je za sobą.

Ale Jonas już jej nie słuchał. Wbił wzrok w nabazgrane przez Em w panice słowa, pochłonięty ich treścią… Druga część listu napełniłaby go radością, gdyż zdeklarowała miłość do niego tak otwarcie, lecz natychmiast wrócił do pierwszych kilku linijek.

Wprost nie mógł w to uwierzyć.

Sama poszła na ryzykowne spotkanie z porywaczem – Potheridgem? – aby ocalić bliźniaczki. Zamierzała oddać mu skarb, przyszłość rodziny, którą tak bardzo chciała zabezpieczyć, z nadzieją na przeżycie. Z tonu listu jasno wynikało, że była to faktycznie jedynie nadzieja.

– Niech to wszyscy diabli! – Zacisnął zęby i wsunął list do kieszeni. Przecież obiecała mu, wyraźnie obiecała, że podzieli się z nim każdym kłopotem i pozwoli sobie pomóc. To prawda, że napisała ten list, ale wyraźnie oczekiwała, że Jonas odnajdzie go znacznie później…

Spojrzał na zegar. Zostawił ją o drugiej, teraz było trochę po czwartej. Uwzględniając czas poświęcony na poszukiwanie dziewczynek, potem znalezienie listu od porywacza, przybycie do Grange i zabranie klucza, a następnie zaniesienie skarbu do kościoła… Jonas nie mógł być daleko za nią.

Zanim jeszcze myśl do końca uformowała się w jego głowie, szybkim krokiem skierował się do tylnych drzwi domu. Na

zewnątrz zaczął biec, a gdy dotarł do linii drzew i ścieżki przez las, jeszcze bardziej wydłużył krok.

Najkrótsza droga do kościoła wiodła przez gospodę.

Jonas czuł na karku lodowaty chłód – mrożący strach, który rozprzestrzeniał się i ogarnął także jego serce. Wiedział, że Em zapłaci okup, odda skarb, aby ocalić siostry – on zrobiłby tak samo. Lecz porywacze z natury byli zdesperowani, szczególnie zależało im na tym, aby ukryć swoją tożsamość, więc co uczyni złoczyńca, gdy ona i dziewczynki zobaczą jego twarz?

Odpowiedź była oczywista. Pobiegł jeszcze szybciej, uderzając stopami w ziemię zgodnie z uderzeniami swego serca.

Aby odzyskać ukochaną tylko po to, żeby została mu odebrana… nie. To nie nastąpi. Oddałby wszystko, łącznie z życiem, by ją uratować przed niebezpieczeństwem.

* * *

Em czuła się tak, jakby została połknięta przez skalistą górę. Wąski korytarz ciągnął się coraz dalej, coraz niżej, a jego szerokość ledwie umożliwiała przejście. Ciemność poza kręgiem światła była tak nieprzenikniona, jakby pochłaniała w sobie rzeczywistość, a jedyny fragment istniejącego świata zawierał się w kulistej poświacie.

Nagle światło przed nią rozproszyło się, złagodniało. Zwolniła, po chwili zrozumiała, że dotarła do końca tunelu. Zatrzymała się na progu… jaskini? Uniosła wyżej latarnię, wytężyła wzrok, lecz jej blask nie sięgał ani sklepienia, ani ścian. Widziała jedynie kawałek podłoża przed sobą.

Które było nierówne, spękane; nieco dalej zobaczyła jasne białe kolumny, nierówne i nieregularne, utworzone przez wodę kapiącą ze sklepienia, którego nie widziała.

– Emily.

Zaczynała nienawidzić tego głosu, w którym wyraźnie brzmiała nuta szyderczego samozadowolenia. Zakładając, że głos wzywa ją do dalszej wędrówki, ruszyła. Szła powoli,

omijając fragmenty skał, poprzez spadki i wzniesienia, obok licznych smukłych białawych kolumn, ostrożnie posuwała się do przodu, trzymając bezpośrednio przed sobą latarnię, której światło wyznaczało dalszy kierunek.

Jaskinia – o ile to była jaskinia – wydawała się ogromna. Już miała się zatrzymać, aby zmusić ten bezosobowy głos do odezwania się, gdy usłyszała… coś.

Skierowała snop światła w tamtą stronę i wstrzymała oddech, wytężając słuch – usłyszała odgłos stłumionych kroków czy uderzeń, a potem coś jakby zduszone krzyki…

Ustaliwszy kierunek, podciągnęła nieco spódnicę i pośpiesznie ruszyła w tamtą stronę.

– Gert? Bea? Jesteście tu?

Odgłos stłumionych kroków był coraz szybszy, przypominał bicie w bęben. To dziewczynki biegły po skalistym podłożu.

Em przyspieszyła kroku. Tuż przed sobą zobaczyła skupisko – wręcz las – białych kolumn. Ominęła je i ujrzała niską ścianę, miejsce, gdzie skała jaskini nie uległa takiej erozji, jak wszędzie dookoła. Odgłos szybkich kroków dochodził właśnie z tego kierunku. Obeszła ścianę, wysunęła do przodu latarnię i w jej świetle zobaczyła przerażone dziewczynki, zakneblowane i związane ze sobą sznurami krępującymi im ręce na plecach.

– Bogu dzięki! – Rzuciła się do przodu. Postawiła latarnię, upadła na kolana i przytuliła obie siostry. – Jestem z wami. Już jesteście bezpieczne.

Uwolniła je, ściągnęła chustę zawiązaną wokół ust Gert, potem odwróciła się, aby uwolnić Beę.

– Wcale nie jesteśmy bezpieczne – syknęła Gert najciszej, jak umiała. – On tu jest, wzywał cię.

Bea energicznie pokiwała głową, gdy Em ściągnęła z niej knebel.

– On musi tu gdzieś być.

Przerażenie w jej głosie otrzeźwiło Em. One miały rację. Ale…

– Kto to jest? – Już rozwiązała linę wiążącą je razem, szybko obróciła Beę, aby rozsupłać sznur krępujący jej nadgarstki.

– Pan Jervis! – syknęła Gert.

Kiedy Em spojrzała na nią pytająco, Bea wyrzuciła z siebie:

– Pan Jerry Jervis, przyjaciel mamusi z Yorku.

– Z Yorku? – Em nie mogła sobie przypomnieć nikogo takiego. – Ale…

– To był dobry przyjaciel mamusi, ale był żeglarzem i musiał odpłynąć na statku, nie widziałyśmy go od dawna. – Gert odwróciła się, aby Em uwolniła jej nadgarstki.

– Powiedział nam, że mamusia poprosiła go, aby sprawdził, jak się mamy, więc w końcu nas znalazł Pod Czerwonym Dzwonkiem. – Bea nachyliła się, ściszając głos. – Poprosił, żebyśmy poszły z nim na spacer na błonie…

– Powiedziałyśmy mu o skarbie – dodała Gert, mając już swobodne ręce.

– Poprosił, abyśmy mu pokazały, gdzie był ukryty… – W półmroku spojrzała w oczy starszej siostrze. – Nie myślałyśmy, że to coś złego, ale…

– On nas złapał – Bea chwyciła Em za ramię – i związał, i zostawił tutaj.

– Dlaczego? – Na twarzyczce Gert malowało się bolesne zdumienie. – Dlaczego to zrobił?

Em przypomniała sobie o skarbie, zerknęła na leżący obok worek. Odnalazła dziewczynki, lecz worek wciąż miała przy sobie.

Światło latarni zaczęło migotać, po chwili przybladło.

Lęk przed ciemnością, nad którym do tej pory panowała, wydostał się i spłynął na nią potężną falą, gotową zupełnie ją pochłonąć…

Nerwowo wciągnęła powietrze, skupiając się na dziewczynkach. Ich oczy otworzyły się jeszcze szerzej, emanowało z nich przerażenie.

Wtem wrzasnęły i wskazały na coś za plecami Em.

– Witaj, Emily.

Odwróciła się. Dokładnie w tym samym momencie latarnia zgasła, pogrążając ich w ciemności.

Nie mogła oddychać, czuła się przyduszona. Za chwilę przypomniała sobie o skarbie i sięgnęła po worek.

Tylko otarł się o czubki jej palców, zabrany czyjąś ręką.

Poczuła ruch powietrza, gdy ktoś wysoki, stojący bardzo blisko, odwrócił się. Nawet nie próbował maskować swych kroków, lecz pewny siebie odchodził w ciemność.

Panika i zaskoczenie odebrały jej głos. Niepewnie wstała, wraz z nią dziewczynki, które nie odstępowały jej na krok. Em nie rozumiała, jak to możliwe, że ten mężczyzna może iść z taką łatwością w zupełnych ciemnościach po tak nierównym terenie. Po chwili jej oczy także przywykły do mroku. Zobaczyła wąski pas światła, na którego tle rysowała się słabo sylwetka postawnego, oddalającego się mężczyzny.

Poczuła zimny dreszcz.

– Czekaj! – zawołała zdesperowana. – Nie możesz nas tu zostawić! – Biorąc za ręce dziewczynki, wyszła zza niskiej kamiennej ściany.

Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił głowę.

– Ależ mogę. – Zamilkł na chwilę. – Albo znajdziecie wyjście, albo tu umrzecie. Tak czy inaczej, ja będę już daleko, a za swoją fatygę będę bogatszy, niż mógłbym sobie wymarzyć.

Miał coś w głosie… Em uniosła brwi.

– Hadley?

Roześmiał się.

– Żegnaj, Emily Colyton. Opłaciło się ciebie poznać. – Zaśmiał się i już miał zamiar odejść, lecz jeszcze chwilę został. – Szkoda, naprawdę szkoda, że wolałaś Tallenta. Gdybyś zechciała mnie, mógłbym cię ze sobą zabrać, ale ty, tak samo jak Susan, nigdy nie porzuciłabyś tych bachorów.

Em ledwie dostrzegła jego teatralny gest.

– Tak więc żegnaj, moja droga. Wątpię, czy jeszcze się spotkamy. – Ruszył przed siebie.

Zostawiwszy za sobą zupełną ciemność.

– Hadley! – Usłyszała desperację w swoim głosie, lecz nie była w stanie wykrztusić nic więcej. W chwilowo mocniejszym błysku światła zobaczyła sylwetkę Hadleya na tle wejścia do korytarza.

Potem światło przygasło, postać znikła.

Mrok zgęstniał.

Em otoczyła ramieniem każdą z bliźniaczek, przytulając je. Próbowała uspokoić bijące szaleńczo serce. W końcu przełknęła ślinę, kilka razy nabrała głęboko powietrza i wyrzuciła je z siebie.

– Musimy się stąd wydostać.

– Ale nic nie widać – szepnęła Bea.

– Nie. – Zmusiła się, by mówić normalnym, uspokajającym głosem. – Ale wiem, w którym kierunku jest wyjście. – Rzeczywiście tyle wiedziała, gdyż stała przodem do wlotu korytarza. – Chodźcie. Musimy po prostu stawiać krok po kroku i dojdziemy do tunelu.

Wysunęła nogę przed siebie i otarła się trzewikiem o pustą latarnię.

– Czekajcie. – Nachyliła się i podniosłą ją. Była duża, miała solidną żelazną podstawę. Nie była użyteczna jako źródło światła, lecz mając ją w ręku, Em poczuła się odrobinę lepiej. – Dobrze, teraz tak: Gert, pójdziesz z tej strony, a Bea zostanie po mojej drugiej stronie. Mocno trzymajcie się mojej spódnicy. W ten sposób pójdziecie razem ze mną. Po prostu chodźmy, potraktujcie to jak jedną z waszych zabaw.

– Dobrze – powiedziała Bea. – Ale nie lubię ciemności.

Em sama nienawidziła ciemności, która ją przerażała – lecz nie miała czasu, aby poddawać się swojej fobii. Ich życie zależało od zachowania przez nią trzeźwego myślenia. Postanowiła, że nie da się owładnąć panice.

Miały teraz przed sobą całe życie, miały ludzi, których kochały, którzy ich kochali. Pragnęła tylko jednego: aby nadal mogły kochać i być kochane, a to oznaczało, że musiały znaleźć wyjście z podziemi.

– Chodźcie, ruszamy dalej. – Nawet lęk przed ciemnością nie mógł przygasić pragnienia, aby znów zobaczyć Jonasa, wtulić się w jego ramiona, całować go, być otoczoną jego troskliwą opieką, być przez niego kochaną. Ostrożnie szła do przodu, stopa za stopą. Jedną rękę wyciągnęła przed siebie, aby nie wpaść na którąś z kolumn znajdujących się po drodze do

korytarza. Nie wiedziała jeszcze, jak ma nawigować w ciemnym wnętrzu, jak powrócić na właściwy kurs, ale mimo to uparcie szła dalej.

Doszły do skupiska kolumn długiego na mniej więcej dwadzieścia kroków. Próbowała sobie przypomnieć ich liczbę, ich konfigurację względem wejścia do korytarza, gdy wtem poczuła na twarzy delikatny powiew chłodnego powietrza.

Lekki podmuch, subtelne muśnięcie, lecz ponieważ powietrze we wnętrzu stało i miało jednolitą temperaturę, chłodny powiew wyraźnie dał się odczuć.

Zatrzymała się. Przez chwilę się zastanawiała, czy to może wyobraźnia tworzy odpowiedzi na jej modlitwy, ale po chwili nadeszła kolejna fala chłodnej bryzy, wyraźnie wyczuwalna zmysłami. Mimo niewesołej sytuacji uśmiechnęła się.

– Dziewczynki, czujecie świeże powietrze?

Zaraz też poczuła, jak obie kiwają głowami.

– To od strony korytarza. – Przynajmniej tak myślała, gdyż istniały jeszcze inne możliwości, lecz nie widziała sensu rozważania ich w tej właśnie chwili. W jej mniemaniu powiew nadchodził od tunelu prowadzącego do mauzoleum. Poczuła się odrobinę spokojniejsza. – Musimy tylko odszukać tunel i iść w stronę, z której wieje powietrze. Chodźcie.

Z coraz większą pewnością siebie, machając przed sobą ręką, poprowadziła je wokół kolumn, by zaraz wrócić na właściwy kierunek, pod słaby wiatr.

Wciąż poruszały się bardzo wolno. Chociaż bryza była dla nich niczym kompas, wszystkie trzy musiały ostrożnie, po omacku stawiać każdy krok. Podłoże jaskini wydawało się znacznie bardziej skaliste i nierówne, pochyłości bardziej strome, a wszystko to w absolutnym mroku.

Mimo silnego postanowienia Em nie była w stanie do końca ignorować panicznego lęku przed ciemnością, która spowijała ją jak gruby koc, grożąc uduszeniem. Wciąż z trudem wdychała powietrze, odpychała strach, który paraliżował płuca.

Nadzieja dodawała sił. Nadzieja i myśli o Jonasie utwierdzały ją w przekonaniu, że musi być z nim znowu i będzie z nim, bo

tego potrzebuje. Że jej przeznaczenie, jej przyszłość jest u jego boku w świetle dnia, a nie tutaj, w przytłaczającej ciemności.

Szła więc dalej, krok po kroku, ostrożnie stawiając nogi. Wystawiała twarz w kierunku, z którego nadchodził powiew świeżej bryzy.

* * *

Jonas wbiegł do kościoła i od razu skierował się na schody wiodące do krypty. Wcześniej wpadł jeszcze do gospody, żeby – bez większej nadziei – spytać Edgara o Em, lecz ten tylko potwierdził, że poszła na spacer.

Wtedy zaklął ciężko i kazał Edgarowi biec do kuźni i wysłać Thompsona i Oscara od razu do kościoła. Nie było czasu na wyjaśnienia, więc zostawił tę sprawę w rękach Edgara, a sam popędził po zboczu do kościoła. Ponieważ Filing z Issy byli nieobecni, a Henry poszedł gdzieś na przechadzkę, w probostwie i tak nie znalazłby pomocy, nie było też czasu, żeby wezwać Lucyfera i jego ludzi.

Przy odrobinie szczęścia któryś z mężczyzn w barze przekaże wiadomość do dworu.

Zwolnił na stromych schodkach. Drzwi do krypty stały otworem, lecz w środku panowała ciemność. Cicho pokonał ostatnie stopnie. Dopiero na samym dole upewnił się, że drzwi do mauzoleum również są otwarte, a za nimi widać słabą poświatę. Pamiętając, że Em miała odnieść skarb na miejsce, gdzie został odnaleziony, Jonas zwolnił, po czym ostrożnie, bezgłośnie podszedł bliżej.

Zatrzymawszy się u szczytu schodków, zaczął nasłuchiwać. Na początku uderzyła go jedynie cisza, lecz po chwili usłyszał słabe, dobiegające gdzieś z oddali, stłumione, lecz wyraźne odgłosy kroków.

To nie były kroki Em. To musiał być mężczyzna.

Cicho spłynął po stopniach do mauzoleum. Stanął na ostatnim schodku, aby rozejrzeć się po ciemnym wnętrzu. Od razu zorientował się, dlaczego poświata była taka słaba – źródło

światła zbliżało się od strony jednego z tuneli wychodzących z mauzoleum, wrzynających się w wapienną skałę.

Bóg raczył wiedzieć – złoczyńca zapewne również – co znajdowało się za tym korytarzem.

Osobnik niosący latarnię zbliżał się do mauzoleum. Jonas zszedł na nierówne podłoże i skrył się w głębokim cieniu dużego grobowca. Przykucnął za nim i zza bocznej krawędzi obserwował wylot korytarza.

Po chwili ujrzał mężczyznę, który wyłonił się z tunelu i rozejrzał dookoła. Hadley! Jonas zmarszczył brwi. Czy to jest ów złoczyńca, czy też po prostu powodowany ciekawością zszedł, aby obejrzeć…?

Wtedy Hadley uniósł drugą rękę, w której trzymał płócienny worek. Jonas usłyszał charakterystyczny brzęk monet.

Oto patrzył na przestępcę, który chciał zrabować skarb, który go napadł i uprowadził bliźniaczki, a na końcu zwabił tutaj Em.

Lecz gdzie ona jest? Gdzie są dziewczynki?

Hadley podszedł do najbliższego grobowca, położył worek na kamiennej pokrywie. Obok postawił latarnię, rozsupłał sznur i wysypał część zawartości worka na płytę.

W blasku latarni zamigotały złoto i klejnoty.

Hadley uśmiechnął się chciwie. Nie ruszając się z miejsca, pozbierał wszystkie przedmioty – skarb Colytonów – i włożył je z powrotem do worka, po czym ściągnął i zawiązał sznurek. W końcu zabrał latarnię i – wciąż uśmiechnięty – skierował się ku schodom.

Jonas wyślizgnął się zza grobowca i przeskoczył za inny, stojący blisko schodków wiodących na górę. Czekał, nasłuchując kroków Hadleya, i obserwował coraz silniejszy blask latarni.

W odpowiednim momencie wstał i wyskoczył w wąskie przejście między grobowcami, którym szedł Hadley, zastępując mu drogę.

Tamten, zaskoczony, zatrzymał się.

Jonas chwycił worek i wyrwał go z ręki artysty.

– Ja to wezmę.

Hadley warknął coś pod nosem i skoczył, by odzyskać łup.

Jonas odepchnął go i rzucił worek daleko za jego plecy, gdzie z chrzęstem uderzył w ścianę.

Wziął zamach i wyprowadził cios prosto w brzuch Hadleya. Ten odskoczył i latarnią odparował uderzenie.

Lecz w tym momencie latarnia wypadła mu z ręki i potoczyła się, połyskując niespokojnym światłem. Odzyskawszy równowagę, Jonas zobaczył, jak Hadley sięga do kieszeni i wyszarpuje z niej… pistolet?

Nie czekał, aby się o tym przekonać, lecz rzucił się na przeciwnika.

Hadley przestał szamotać się z bronią, aby chwycić Jonasa. Zwarli się w uścisku, szarpali na boki, walcząc w wąskim miejscu, ograniczonym stojącymi blisko siebie grobowcami.

Chociaż Jonas był co najmniej o kilka centymetrów wyższy, Hadley był cięższy, zatem żaden z nich nie miał wyraźnej przewagi, gdy miotali się w ciasnym przejściu. Obijali się o kamienne grobowce zmarłych przed laty Colytonów, nie mogąc uzyskać dominacji nad przeciwnikiem.

W końcu Jonas zdołał uwolnić prawe ramię i wymierzyć Hadleyowi cios prosto w szczękę. Siły uderzeniu dodała wezbrana w nim furia, narastający niepokój o bezpieczeństwo Em i bliźniaczek.

Hadley zachwiał się, Jonas nieco zwolnił uścisk. Wykorzystując nadarzającą się sposobność, złoczyńca wyrwał się mu i pchnął go na stojący obok grobowiec. Zanim Jonas zdołał się poruszyć, Hadley pojawił się z drugiej strony z pistoletem w dłoni.

Jonas rzucił się, wykonując unik, lecz zaraz poczuł rozdzierający ból, gdy kula przebiła mu prawy bark.

Hadley nie czekał, żeby sprawdzić skutek strzału. Cisnął bezużytecznym pistoletem w Jonasa, który wykonał kolejny unik, po czym obiegł grobowiec do miejsca, gdzie Jonas przed chwilą rzucił worek ze skarbem.

Z krypty znajdującej się nad nimi dobiegły czyjeś głosy. Hadley znieruchomiał.

– Musi być na dole. – W mauzoleum rozległ się dudniący głos Thompsona.

– Chodźmy tam, zobaczymy – odpowiedział mu Oscar. Obaj zaczęli zbiegać po schodach.

Jonas wsparł się na jednym z grobowców, żeby wstać.

– Szybko! Tutaj! – Cofając się, odgrodził Hadleyowi drogę ucieczki do tunelu, z którego przyszedł.

Napastnik patrzył to na niego, to na schody, stanowiące jedyną drogę wyjścia, teraz już zablokowaną przez schodzących osiłków w osobach Oscara i Thompsona.

Spojrzał w kierunku worka leżącego poza zasięgiem wzroku przy drugim końcu mauzoleum, a potem obejrzał się przez ramię na wylot drugiego tunelu.

Gdyby rzucił się, aby odzyskać skarb, zostałby odcięty od wszystkich wyjść przez Jonasa, Oscara i Thompsona.

Warknął z frustracją i wściekłością, podniósł przewróconą latarnię, która wciąż dawała światło, odwrócił się i pobiegł – przez mauzoleum i dalej w głąb drugiego tunelu.

Zaskoczony Jonas patrzył za znikającą w jego czeluści poświatą.

Schodzący po stopniach Oscar, z drugą latarnią w ręku, także spostrzegł uciekającego Hadleya. Omiótł światłem wnętrze mauzoleum, w końcu zobaczył Jonasa.

– Co się dzieje?

Jonas nie był pewien, ale obecnie najważniejsze było odszukanie Em i dziewczynek. Machnął ręką.

– Dajcie mi latarnię. Macie drugą?

– Tak – odpowiedział Thompson, idący za bratem z drugim źródłem światła. – To już ostatnie. Powinny być cztery, ale nie wiem, gdzie się podziały pozostałe dwie.

– Ten drań Hadley uciekł z latarnią tamtym tunelem. – Jonas wskazał ruchem głowy drugi korytarz. – Myślę, że Em ma ze sobą drugą. – Taką miał nadzieję. Miał pewne podejrzenie, a raczej wrażenie, że Emily nie lubi przebywać w zupełnej ciemności.

Odwrócił się do korytarza za swoim plecami, zbliżywszy latarnię do jego wejścia.

– Hadley wyszedł stąd z workiem, do którego wcześniej Em zapewne włożyła skarb, a przynajmniej jego część. – W kilku zwięzłych zdaniach opowiedział o działaniach Hadleya i możliwym postępowaniu Em. – Rzuciłem worek o ścianę w tamtym miejscu, zabierzcie go i nie wypuszczajcie z rąk.

– Tak jest. – Thompson skinął wielką głową. – Ale pan krwawi. Zdawało mi się, że słyszeliśmy strzał. Tak było?

Jonas poruszył barkiem, tłumiąc okrzyk bólu.

– To powierzchowna rana. Pistolet leży gdzieś między grobami, Hadley nie zabrał go, a wątpię, żeby miał przy sobie drugi.

– Więc gdzie może być panienka Emily i dziewczynki? – spytał Oscar.

Jonas podszedł do korytarza, który od pewnej chwili badał wzrokiem.

– Myślę, że Hadley zostawił je gdzieś w tym tunelu.

– Na Boga! Mam nadzieję, że nie odeszły w przeciwną stronę. – Oscar wzdrygnął się.

Jonas także miał taką nadzieję. Ludzie czasem ginęli w jaskiniach – na zawsze.

– Pójdę i rozejrzę się, ale wy dwaj zostańcie tutaj. – Spojrzał w kierunku drugiego tunelu, którym uciekł Hadley. – Ja też nie wiem, dokąd on prowadzi, ale podejrzewam, że Hadley czeka, aż wszyscy pójdziemy szukać Em i dziewczynek, a wtedy on wymknie się za naszymi plecami.

– To mu się nie uda. – Thompson postawił lampę na grobowcu. Miał wojowniczą minę. – Ale proszę uważać na siebie. Niech pan zawoła, gdyby potrzebna była pomoc w wydostaniu ich z korytarza.

– Zawołam. – Jonas zatrzymał się na progu tunelu. – Gdybym musiał zejść głębiej, gdyby się okazało, że odeszły daleko, najpierw wrócę i was zawiadomię.

Bracia mruknęli zgodnie. Jonas uniósł latarnię i zagłębił się w korytarz.

Był dłuższy, niż oczekiwał. Jonas poruszał się tak szybko, jak to było możliwe, jak pozwalała na to konfiguracja nieznanego miejsca. Ból w ramieniu ograniczał możliwość biegu, zresztą gdyby zemdlał, nie byłby w stanie pomóc Em i bliźniaczkom.

Zagłębiając się coraz dalej w wapienne podziemie, coraz słabiej słyszał głosy Oscara i Thompsona. Koncentrował się na tym, co miał przed sobą, oceniając różne możliwości. Minęły całe lata, dziesięciolecia, od czasu, gdy chodził po jaskiniach, a ponieważ przez cały czas mauzoleum było zamknięte, nigdy wcześniej nie badał tych tuneli ani jaskiń, z jakimi się prawdopodobnie łączyły.

Jedynym pokrzepiającym odkryciem był brak bocznych odnóg – nie musiał się więc zastanawiać, którą drogą powinien zmierzać.

Idąc śpiesznie, cały czas modlił się, żeby tylko nie było za późno.

* * *

Usłyszały stłumiony huk, słaby, ale wyraźny, dobiegający z bardzo daleka. Em nie chciała myśleć, co mógł oznaczać. Może to Hadley zatrzasnął drzwi do mauzoleum i zamknął je w podziemiu?

Powiedziała sobie, że nie wolno tak myśleć, że powinna się skupić na tym, aby jak najszybciej dotrzeć do tunelu, a potem do mauzoleum. Wieczorem Jonas na pewno znajdzie jej list, a wtedy przyjdzie i uwolni je.

A one musiały tylko dotrzeć do mauzoleum i tam czekać.

W absolutnej, zupełnej, nieprzeniknionej ciemności.

Nie wolno o tym myśleć.

Skoncentrowała się na ciągłym, coraz silniejszym strumieniu chłodnego powietrza, który odczuwała na policzkach. Był teraz bardziej wyraźny, więc za jego pomocą mogła bez kłopotu wyznaczyć kierunek marszu, lecz wciąż posuwały się bardzo powoli. Skaliste, nierówne podłoże było samo w sobie dużą przeszkodą, lecz oślizgłe kolumny, które musiały odszukać

dotykiem, były gorsze. Często musiała znacznie zboczyć, aby znaleźć szerokie miejsce, przez które wszystkie trzy mogłyby razem przejść. Bliźniaczki nie odstępowały jej ani na krok. Kurczowo trzymały się starszej siostry, co było zupełnie zrozumiałe.

Z wyciągniętymi przed siebie rękami, trzymając w jednej z nich wygaszoną latarnię, szła dalej. Szurała po podłożu, potykając się – dziewczynki poruszały się dokładnie tak samo. Postanowiła, że nie da sobą zawładnąć ciemności, jednak mrok był tak gęsty, że odczuwała go jak fizyczny ciężar, naciskający jej powieki. Już dawno zamknęła oczy – patrzenie w ciemność wzmagało dezorientację.

Em wmawiała sobie, że słaby powiew oznacza otwarte wyjście z podziemia, że ciemność to tylko ciemność, że w korytarzu nie ma żadnego innego żywego stworzenia – lecz mimo to odczuwała coraz większy lęk, który ściskał jej płuca, utrudniając oddychanie.

Lecz przecież dziewczynki liczyły na nią, liczyły, że wyprowadzi je stąd. Nie miała czasu, aby zemdleć.

– Czy tu są myszy? – szepnęła Bea.

– Wątpię – odpowiedziała Em rzeczowym tonem, na który umiała się jeszcze zdobyć. – Nie miałyby tu nic do jedzenia.

– Aha. – Bea zamilkła.

– A pająki? – pisnęła Gert.

– Za dużo tu wilgoci. – Em sama miała taką nadzieję. Była wystarczająco wylękniona bez tych obmierzłych stworzeń.

Wtem siła powiewu wyraźnie wzrosła. Em zdziwiła się – to powinno oznaczać bliskość tunelu, lecz miała wrażenie, że są od niego jeszcze dość daleko.

Czy to możliwe, żeby z jaskini odchodziły dwa korytarze?

Żadnego wcześniej nie widziała, a jednak… nawiew powietrza wydawał się teraz… szerszy.

Stanęła, aby zastanowić się nad sytuacją. Z zamkniętymi oczami skoncentrowała się na bryzie opływającej jej twarz, po czym zaczęła obracać głowę od lewej do prawej strony. Nie

myliła się. Teraz powietrze wiało w ich kierunku z dwóch różnych stron.

Z dwóch różnych korytarzy.

Który z nich prowadzi do mauzoleum i do ocalenia?

Odtworzyła w myślach wszystko, co Jonas, a później Henry mówili o wielkim systemie wzajemnie połączonych jaskiń w tym regionie, o tym, jak ludzie tracili tam orientację, a potem już nigdy nikt ich nie widział.

Postarała się, aby w jej głosie nie zabrzmiała obawa.

– Czy któraś z was zauważyła inny tunel obok tego z mauzoleum?

– Było drugie wejście – powiedziała Gert. – Drugi korytarz taki jak ten, którym przyprowadził nas pan Jervis. Kiedy tu zeszliśmy, był po lewej stronie.

Em kiwnęła głową, dziękując w duchu, że dziewczynki są takie spostrzegawcze.

– Dobrze. Więc z tego miejsca korytarz do mauzoleum znajduje się po lewej stronie.

Podejmowanie decyzji o kierunku, gdy miała zamknięte oczy, wytrącało ją z równowagi. Otworzyła je i ustawiła twarz tak, by nawiew z nieznanego tunelu, tego po prawej stronie, dmuchał jej prosto w twarz. Zmrużyła powieki, powtarzając w myślach, że to jest ten niewłaściwy korytarz.

Jeszcze bardziej zmrużyła powieki. Czy to złudzenie, czy też naprawdę ściany w tym tunelu zaczął rozświetlać delikatny blask? Gdyż zaczęła go widzieć.

W panującej ciszy usłyszały dalekie odgłosy kroków.

Męskie buty. Hadley? Czy ratunek?

A może i to, i to?

Jej wyostrzone zmysły wykryły dwa oddzielne odgłosy zbliżających się kroków. Pierwsze były bliższe, głośniejsze, kroki biegnącego człowieka, drugie dobiegały z dalszej odległości, były szybkie, lecz nie tak szybkie jak kroki pierwszego z mężczyzn.

Głośniejsze dźwięki dochodziły z prawego korytarza, a te wolniejsze – od strony mauzoleum.

Przysłuchując się tym odgłosom, stwierdziła, że obaj mężczyźni noszą buty na obcasach, a nie płaskie robocze trzewiki pracowników fizycznych.

Hadley-Jervis, czy kim tam naprawdę był, nosił takie buty jak Jonas.

Zobaczyły przed sobą ścianę jaskini, wciąż oddaloną, ale nie aż tak, jak myślała, wyraźnie rysującą się dzięki coraz jaśniejszej poświacie w obu tunelach.

A więc obaj mężczyźni mieli latarnie.

Jeden z nich niósł ocalenie i bezpieczeństwo, drugi był niebezpieczny.

Lecz który szedł którym korytarzem?

Na szczęście bliźniaczki milczały, Em poczuła, że jeszcze mocniej trzymają się jej spódnicy.

Nagle olśniona, Em zrozumiała, że gdy one trzy zobaczą obu mężczyzn bardzo wyraźnie, to jednak oni nie od razu je zauważą. Były jeszcze zbyt daleko od wylotów korytarzy, aby natychmiast znaleźć się w zasięgu światła. Jaskinia wokół nich wydawała się nieskończenie wielka, mogła pochłonąć całe światło, lecz ich oczy już przywykły do ciemności, więc teraz widziały znacznie wyraźniej.

Rozejrzała się dookoła. Kilka kroków do tyłu po prawej stronie stała grupa wszechobecnych wapiennych kolumn. To one wcześniej osłaniały Em i bliźniaczki przed podmuchem powietrza z prawego korytarza do czasu, aż wyszły poza ich obręb.

Spuściła wzrok na siostry, przesunęła się, aby dokładniej objąć je ramionami. Potem nachyliła się.

– Bądźcie cicho – poleciła im najcichszym szeptem. Pociągnęła je kilka kroków wstecz i w bok, za ścianę kolumn. – Kucnijmy. – Wszystkie trzy przycupnęły przy ziemi, tuląc się do siebie. Postawiła przed nimi na skalistej nawierzchni latarnię, troskliwie otuliła ramionami, nachyliła ku nim głowę. – Chcę, żebyście mnie puściły, na wypadek, gdybym musiała się stąd ruszyć. – Poczuła, jak ich paluszki powoli, niechętnie puszczają

jej spódnicę. – Opuśćcie głowy i nie patrzcie do góry. Zostańcie tu, aż ja lub Jonas zawołamy was.

Mężczyzna w prawym tunelu był tuż-tuż.

– Ani słowa – powiedziała najciszej, jak potrafiła.

Hadley wpadł do jaskini, ciężko dysząc. Stanął blisko wylotu korytarza, zatoczył się, potem uniósł wyżej latarnię i rozejrzał się po jaskini.

Strumień światła przesunął się nad ich głowami, lecz uwaga Hadleya była skupiona daleko za nimi.

Zaklął.

– Emily! – zawołał mocnym szeptem, zupełnie innym tonem niż poprzednio.

Odpowiedziała mu cisza.

– Zmieniłem zdanie – mówił dalej. – Wyjdź, wyprowadzę was na zewnątrz.

Em zdusiła szydercze parsknięcie.

Drugi mężczyzna był już coraz bliżej. Coraz wyraźniej było słychać jego kroki, a Em nabierała coraz większej pewności, że to Jonas.

A to oznaczało bezpieczeństwo. Obronę. Ratunek.

Nie wiedziała, jak wpadł na pomysł, aby szukać jej właśnie tutaj, i to tak szybko. Mogła tylko dziękować Bogu, że tak się stało.

– Nie podnoście się i nie ruszajcie – wyszeptała, świadoma, że odgłos kroków zagłuszy jej słowa.

Hadley bowiem słyszał nadchodzącego Jonasa. Wciąż oddychał szybko, jeszcze raz rozejrzał się dookoła dzikim wzrokiem, a w końcu odwrócił się ku wylotowi drugiego korytarza.

Minęła sekunda, po której Hadley spojrzał na swoją latarnię. Trzymając się na prawo od wylotu korytarza z mauzoleum, ostrożnie postawił latarnię na ziemi, ustawiwszy strumień światła tak, aby padał na wejście.

Aby światło uderzyło Jonasa w oczy, gdy tylko zejdzie do jaskini.

Kiedy się wyprostował, Em zobaczyła, jak wyciąga z kieszeni rękę, w której zabłysło ostrze. Bezszelestnie cofnął się od latarni i szybko obszedł krąg światła.

Minął je o pół metra.

Wstrzymała oddech, lecz on skupił całą uwagę na korytarzu, którym zbliżał się Jonas, więc w tym momencie już nie szukał trzech sióstr. Ledwie spojrzał przelotnie w miejsce, gdzie ukrywały się za kolumnami.

Kiedy przechodził między nimi a oświetlonym wlotem tunelu, wyraźnie zobaczyła w jego dłoni wielki nóż.

Kroki Jonasa odbijały się coraz głośniejszym echem.

Hadley szybko przemieszczał się na pozycję w lewo od wylotu korytarza z muzeum, więc gdy Jonas wejdzie do jaskini, Hadley znajdzie się po drugiej stronie w stosunku do palącej się latarni.

Jonas spojrzy na źródło światła, a wtedy…

Em bezgłośnie wstała, podniosła wypaloną lampę i zaczęła iść szerokim łukiem, ukradkiem, aż znalazła się o dwa jardy za Hadleyem.

Światło latarni Jonasa oświetliło wylot tunelu. Zatrzymał się, podnosząc ją, omiatając światłem wnętrze jaskini, mrużąc oczy, oślepiony blaskiem drugiej latarni.

Zatrzymał się jeszcze w korytarzu, więc Hadley, który już szykował się do morderczego skoku, musiał zaczekać na dogodny moment.

Jonas wyszedł z tunelu do jaskini.

– Em?

Hadley poruszył się.

– Jonas! Hadley ma nóż. Jest z tej strony.

Hadley odwrócił się, wytężając wzrok, lecz wcześniej patrzył na światło, a ona stała na tyle daleko od latarni, że nie była widoczna.

Zadrżała, lecz pozostała na miejscu. Tak długo, jak tam zostanie, on nie będzie mógł jej zobaczyć.

Jonas skoczył w jej kierunku. Hadley usunął się, a Em usłyszała, jak Jonas zaklął, gdy znalazła się w blasku światła z jego latarni.

Hadley wbił w nią wzrok. Wykrzywiając twarz, rzucił się na nią – z wyciągniętą ręką, z zakrzywionymi palcami, którymi chciał ją pochwycić.

Jonas rzucił w niego swoją latarnią. Uderzyła go w kark, aż się zachwiał, po czym wykonał obrót i stanął twarzą w twarz z Jonasem, a plecami do Em.

Jonas skoczył, by złapać latarnię. Ten łajdak chciał ją wykorzystać jako zakładniczkę, dlatego wrócił szybko do jaskini.

Teraz Jonas zderzył się z nim i obaj upadli na ziemię. W ferworze walki zapomniał o ranie barku, lecz przeszywający ból w momencie upadku od razu przywrócił mu pamięć.

Lecz Hadley nie zapomniał o ranie przeciwnika, tej świeżej i tej na głowie. Z twarzą wykrzywioną w pełnym złości grymasie walczył tak, by nadwerężyć ranny bark Jonasa, aby przycisnąć krwawiące miejsce zarówno ciężarem Jonasa, jak i własnym.

Jonas zacisnął zęby, z wysiłkiem zachowując przytomność. Jedynym sposobem na złagodzenie nacisku byłoby przewrócenie się na plecy. Wtedy mógłby oprzeć kontuzjowaną głowę na kamiennym podłożu, zarazem umożliwiając Hadleyowi zajęcie korzystniejszej pozycji na górze.

Którą to pozycję Hadley natychmiast wykorzystał, starając się uderzyć zaciśniętym w dłoni nożem.

Jonas złapał go za rękę, chwycił ją oburącz i zebrał wszystkie siły, gdy Hadley mocno napierał ciężarem ciała w dół.

Ramiona Jonasa zaczęły drżeć.

Obchodząc walczących mężczyzn, Em zobaczyła jego dygoczące ręce.

Zobaczyła krew na jego barku, sączącą się przez ubranie wokół okropnej rany.

Poczuła wzbierającą furię. Zacisnąwszy usta, uniosła bezużyteczną do tej pory latarnię, zważyła ją w rękach, a potem zrobiła krok do przodu i zamachnęła się, celując ciężką podstawą prosto w głowę Hadleya.

Lampa z łomotem wyrżnęła go prosto w czaszkę.

Znieruchomiał, a po chwili odchylił się do tyłu i oniemiały potrząsnął głową.

W tym momencie Jonas cofnął rękę i uderzył Hadleya pięścią w szczękę.

W jaskini rozległ się głośny trzask. Głowa Hadleya odchyliła się na miękkiej szyi, a po chwili całe jego ciało zwiotczało i osunęło się na skaliste podłoże.

Uwalniając spod swego ciężaru Jonasa.

Em spojrzała na efekt ich wspólnej akcji – Hadley był nieprzytomny – po czym odłożyła latarnię i padła na kolana tuż obok Jonasa.

– Ty krwawisz! – Delikatnie dotknęła jego barku. Pobladła. – Dobry Boże, czy on do ciebie strzelił? – Spojrzała nienawistnie na leżącego. – Hadley, Jervis, czy kim tam naprawdę jest.

– Kula przeszyła ciało, nie uszkodziła kości. – Zaciskając usta, usiadł, odsunął Em i z trudem podniósł się, po drodze zabierając nóż, który wypadł Hadleyowi z ręki. Włożył go do kieszeni, po czym odwrócił się do Em, która także wstała.

Złość i inne emocje, które miotały nim przez ostatnie minuty – zwłaszcza chwila, gdy Hadley rzucił się na Em – z powrotem dały o sobie znać. Spojrzał jej w oczy płonącym z wściekłości wzrokiem.

– Co ty wyrabiasz, do diabła ciężkiego, przychodząc tu beze mnie?

Zamrugała zaskoczona.

– Na pewno przeczytałeś mój list. Musiałam zapłacić okup i uratować dziewczynki.

Skinął głową.

– To rozumiem, ale nie pojmuję, dlaczego nie uznałaś za właściwe, żeby mi o tym powiedzieć, skoro obiecałaś, że to zrobisz, że będziesz mi opowiadać o wszystkich kłopotach. Pamiętasz? – Wziął się pod boki i zbliżył twarz do jej twarzy, ignorując pulsujący ból w ramieniu. – A skoro już o tym mówimy, co to miało oznaczać, gdy parę minut temu celowo skierowałaś jego uwagę na siebie? – Wycelował palcem w jej

nos i nacisnął lekko. – Tylko mi nie mów, że nie wiedziałaś o nożu w jego ręku!

Cofnęła się, lecz jego ostatnia uwaga sprawiła, że Em – o dziwo – spojrzała na niego, mrużąc oczy, wyprostowała się i ostro broniła swego postępowania.

– Nie bądź głupkiem. On chciał na ciebie skoczyć z nożem! A czego oczekiwałeś? Co według ciebie powinnam zrobić? Stać i patrzeć, jak wbija go w ciebie?

Nie zamierzał pozwolić, aby wykorzystała takie usprawiedliwienie.

– Oczekiwałem, że…

– Czy możemy już stąd wyjść?

Płaczliwy głosik rozległ się gdzieś w ciemności, skutecznie wcinając się w ich dyskusję. Oboje wymienili pełne napięcia spojrzenia.

– Później o tym porozmawiamy – powiedziała cicho Em, zaciskając usta.

Sztywno skinął głową.

– Tak, później. – Temat nie był jeszcze zakończony.

Em odwróciła się w kierunku miejsca, gdzie zostawiła siostry.

– Tak, możecie wyjść. Jesteście bezpieczne.

Nie była jednak pewna, czy sama jest bezpieczna, a tym bardziej Jonas, lecz skoro Hadley leżał nieprzytomny na ziemi, dziewczynkom bez wątpienia już nic nie groziło.

Rozdział 22

Pozostawiwszy Hadleya w ciemności, wyprowadzili bliźniaczki korytarzem, którym wszyscy przedtem przyszli do jaskini.

– Drugi korytarz też musi prowadzić do mauzoleum. – Jonas szedł za Em tunelem. Ponownie zapalili jego latarnię, która wcześniej zgasła, od latarni Hadleya, tak więc teraz oboje mieli po jednej, aby rozproszyć mrok. Latarnię, którą Em ogłuszyła Hadleya, zostawili na miejscu, gdyż zabrakło w niej oliwy. – Hadley uciekł z mauzoleum przed Thompsonem, Oscarem i mną. Myśleliśmy, że pobiegł na ślepo do jaskiń.

– Tymczasem on wrócił, żeby mnie odnaleźć – stwierdziła Em.

Jonas skinął głową, zaciskają usta. Głowa już go nie bolała, lecz bark pulsował niemiłosiernie.

– Chciał dopaść ciebie lub którąś z dziewczynek, żeby mieć zakładniczkę i zażądać wydania skarbu oraz umożliwić sobie ucieczkę. – Zmarszczył brwi, spoglądając na lśniące główki bliźniaczek. – Gert, Bea, jak on was namówił, żebyście z nim poszły? Myślałem, że po przygodzie z wujem Haroldem dostałyście nauczkę.

Z dużą dozą godności dziewczynki wyjaśniły, że Hadley był dla ich mamusi „specjalnym przyjacielem z Yorku”.

– Wobec tego to był pan Jervis.

– I miał dużą brodę.

Dziewczynki szły dalej, patrząc wprost przed siebie. Wcale nie wydawały się poruszone ostatnią przygodą. Z wymienianych między nimi szeptów wynikało, że układały i wygładzały opowieść, którą później uraczą mieszkańców wioski.

Jonas i Em wymienili spojrzenia.

– Uważam, że to jest ten pan Jervis.

Skinęła głową.

– Susan, mama dziewczynek, wiedziała o skarbie. Nie jestem pewna, czy znała rymowankę, lecz one słyszały ją od wczesnego dzieciństwa, ode mnie, Issy i Henry'ego.

Bea wybiegła kilka kroków naprzód i odwróciła się do nich.

– To pan Jervis po tym, jak mamusia poszła zamieszkać u aniołków, powiedział konstablowi, że powinnyśmy zostać wysłane do Em i zamieszkać z nią w domu wuja Harolda.

– Naprawdę? – Em zrobiła zdumioną minę. Nigdy o tym nie słyszała. – Przynajmniej zrobił tę jedną dobrą rzecz.

Gert prychnęła.

– Nie zrobił tego dla naszego dobra. Podsłuchałam, jak mówił, że to utrudni ci życie. – Spojrzała na Em. – Ale my nie utrudniamy ci życia, prawda?

– Pan Jervis to zły człowiek – stwierdziła Em. – Nigdy nie powinniście wierzyć w to, co mówią źli ludzie.

Gdy uspokojone dziewczynki pobiegły razem naprzód, wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Jonasem.

Oboje zwolnili kroku. Gdy szepczące bliźniaczki oddaliły się jeszcze kilka kroków dalej, Jonas odezwał się:

– Wygląda na to, że ten Hadley, czy Jervis, wszystko jedno, chciał zdobyć skarb, lecz nie zamierzał szukać go osobiście. Przybył tu wiele tygodni po was. Nie było trudne tak to zorganizować, aby ktoś go zawiadomił, że opuściliście dom wuja. Susan pewnie wiedziała, że taki mieliście plan, mianowicie wyjechać, gdy tylko ukończysz dwadzieścia pięć lat?

– Issy i ja często pisałyśmy do niej listy, więc był to sekret między nami a Susan.

– Więc Jervis wiedział o wszystkim i domyślił się, że wysłanie bliźniaczek do ciebie przyspieszy twoją decyzję o wyjeździe, gdy tylko nadejdzie data twoich dwudziestych piątych urodzin.

– Nie mylił się – przyznała Em. – Stosunek Harolda do dziewczynek był kroplą, która przepełniła czarę.

Doszli do mauzoleum, gdzie Thompson i Oscar czekali, siedząc na grobowcach. Od razu ześlizgnęli się i stanęli, gdy podbiegły do nich dziewczynki, szczebiocząc o złych ludziach, latarniach i nożach.

Thompson spojrzał pytająco na Jonasa.

Ten wskazał głową wejście do tunelu.

– Hadley leży nieprzytomny w jaskini na końcu korytarza. Oba tunele prowadzą do tego samego miejsca.

– Dobrze. – Thompson wziął latarnię stojącą na pobliskim grobowcu. – Przyniesiemy go z Oscarem.

– Trzymaj. – Jonas podał Oskarowi swoją lampę. – Musicie tam zejść osobnymi tunelami, bo on mógłby tu wrócić, gdybyście poszli razem.

Thompson skinął głową, uśmiechając się ze źle ukrywaną niecierpliwością.

– Nie damy mu uciec. – Podał Em płócienny worek. – To należy do pani.

– Dziękuję. – Em wzięła worek i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Zatem idziemy to tego łajdaka. – Oscar zasalutował i skierował się do dalszego tunelu, zostawiwszy starszemu bratu ten bliższy.

Gdy światło ich latarni osłabło, Jonas wziął od Em jej lampę. Ignorując ból promieniujący z ramienia, uniósł ją wysoko i wyprowadził siostry po krętych schodkach do krypty, a stamtąd do kościoła.

Tam znaleźli grupę gotowych do przyjścia im z pomocą ludzi, na czele z Filingiem, Issy i Henrym. Słysząc dźwięk kroków nadbiegających dziewczynek, wszyscy zamilkli w oczekiwaniu, a one wskoczyły między nich i od razu zajęły centralne miejsce na scenie. Radośnie opowiadały historię, a także to, co działo się z Em i Jonasem. Wymieniwszy z Jonasem kpiące spojrzenia, Em zostawiła je w spokoju – zwracały na siebie uwagę obecnych.

To samo działo się, gdy pozostawiwszy Thompsona i Oscara – aby mogli wykonać swoją misję – grupa wyruszyła z powrotem do gospody. Tam jeszcze większy tłum mieszkańców czekał jak

na szpilkach, aby dowiedzieć się o zakończeniu sprawy porwania z żądaniem okupu. Wcześniej Edgar, który poszedł zawiadomić Thompsona, wrócił do baru, a Em przekonała się, że gospoda ma ogromne obroty jak na zazwyczaj spokojny czwartkowy wieczór.

Wszyscy z niecierpliwością czekali, aby zobaczyć, jak Thompson z Oscarem przyprowadzają Jervisa-Hadleya do gospody, lecz doznali srogiego zawodu.

– Zwiał gdzieś – zameldował Thompson. – Pierwszy doszedłem do jaskini, ale Oscar był tam tuż po mnie. Nie minął żadnego z nas, ale w jaskini go nie było, przynajmniej my go nie widzieliśmy. Nie zapuszczaliśmy się daleko, bo bez latarni raczej nie powinien niczego próbować. Więc wróciliśmy i zamknęliśmy drzwi do mauzoleum i do krypty. – Thompson podał wielki klucz Filingowi.

– Proszę, niech pan to weźmie. Na wypadek, gdyby komuś wpadło do głowy, aby zejść i przekonać się, czy ten drań czeka, aby go stamtąd zabrać.

– Lepiej poczekać z tym do rana – wtrącił się Oscar. – Po nocy w mauzoleum pewnie zmięknie i wyjdzie, nie stawiając oporu.

Przystali na tę propozycję, chociaż Em spostrzegła, że niektóre osoby niezbyt chętnie odnosiły się do perspektywy, aby zmiękczać Jervisa do rana. Jego próby zdobycia skarbu – napad na Jonasa, na bliźniaczki, potem na nią i znowu na Jonasa – wywołały w mieszkańcach powszechną złość, tak jakby dokonał ataku na samą wioskę.

Em czuła się podniesiona na duchu, wiedząc, że razem z rodziną są uważani za członków miejscowej społeczności.

Jedną z pierwszych osób, które odszukała w tłumie, była Gladys. Kiedy wyszła kwestia rany Jonasa, gospodyni ściągnęła wargi i szybko się oddaliła. Gdy pierwsze emocje opadły, ignorując wiszącą w powietrzu kwestię ich niedokończonej rozmowy oraz wynikłe z tego między nimi napięcie, Em wzięła Jonasa za łokieć.

– Chodź do kuchni, trzeba oczyścić twoje ramię.

Mruknął coś, ale pozwolił, aby zaprowadziła go do ciepłej kuchni. Szturchała go, aż usiadł na krześle przy palenisku, do którego na wieczór dosypano węgli. Hilda postawiła na stole miskę z ciepłą wodą i czyste ścierki, Em zmoczyła i wyżęła jedną z nich, po czym zaczęła zwilżać jego surdut i koszulę wokół rany, aby łatwiej mógł zdjąć ubranie.

Kiedy w końcu został bez koszuli, usiadł z powrotem na krześle, spoglądając spod przymrużonych powiek na swoje ramię i rozdarte ciało. Em obejrzała ranę, odchrząknęła i zaczęła ją ostrożnie przemywać. Mimo wszystko poczuł zadowolenie z powodu jej troskliwości, prostego dowodu na to, że jej na nim zależy.

Czuł każdy delikatny dotyk, każde kojące muśnięcie palców na jego zmaltretowanym ciele – czuł, jak ta chwila, wszystko, co oznaczała, wszystko, co z niej wynikało, powoli łagodzi jego postanowienie, determinację, z jaką zamierzał przystąpić do ich późniejszej rozmowy.

Bez względu na wszystko kochała go. Wiedział to, czuł to w jej dotyku, gdy wycierała jego ramię do sucha.

– Proszę. – Hilda podała saganek z balsamem. – To przyspieszy gojenie.

Em zanurzyła palce w garnuszku, nabrała nieco ziołowej maści i rozsmarowała ją po jego podrażnionym ciele. W końcu położyła opatrunek z gazy na ranie i przytrzymała go na miejscu paskami cienkiego płótna.

Gdy tylko Jonas zorientował się, że nie ma co na siebie włożyć, wróciła Gladys ze zmianą ubrania. Em pomyślała nawet o tym.

Z wdzięcznością przyjął świeżą odzież, wstał i szybko ją włożył. Hilda z Gladys wróciły do sali, a wtedy Jonas spojrzał prosto w oczy Em.

– Dziękuję ci.

Wzruszyła ramionami, uprzątając ścierki i miskę.

– To minimum tego, co mogę zrobić, gdy zostałeś ranny w mojej obronie. – Popatrzyła na jego bark. – Lepiej ci?

Spróbował się poruszyć.

– Tak. Znacznie mniej boli.

Napięcie wywołane ich niedokończoną rozmową wisiało w powietrzu. Ale teraz, w kuchni, nie był to dobry czas ani miejsce, żeby wracać do tematu. Zaczekał, aż Em przyjdzie ze zmywalni, po czym razem wrócili do gwarnego tłumu mieszkańców.

Em pozostała silnie świadoma jego obecności. Czuła go tak, jak wyczuwa się nadchodzącą burzę – ciemną, potężną energię w powietrzu, wiszącą w oczekiwaniu na moment, by uderzyć. Cały czas był gdzieś w pobliżu, gdy odgrywała rolę gospodyni zajazdu i krążyła pośród zebranych.

Reszta wieczoru minęła szybko. Chociaż wiele osób pytało ją o przebytą mękę, wymigiwała się od odpowiedzi uśmiechem i żartem. Myślami była już przy oczekującej ją dyspucie z Jonasem.

Instynkt podpowiadał jej, że będzie to nie tylko ważna, ale wręcz najważniejsza rozmowa, jeśli miałaby zaakceptować go jako swojego męża. Jeszcze nie wiedziała, jaki będzie najważniejszy punkt tej wymiany zdań, lecz gdy w końcu zamknęli drzwi gospody za ostatnimi gośćmi i usłyszeli na podwórzu kroki oddalającego się Edgara, Em była gotowa iść na górę do swoich pokoi i odbyć tę batalię z mężczyzną, który deptał jej po piętach.

Otworzyła drzwi do saloniku i pierwsza weszła do środka. Zatrzymała się na środku pokoju i już miała odwrócić się do Jonasa, gdy duża, twarda dłoń dotknęła jej pleców na wysokości talii i popchnęła dalej – przez otwarte drzwi do sypialni.

Zesztywniała, ale uległa. Miejsce rozmowy miało niewielkie znaczenie, a i tak nie miała ochoty być rozpraszana przez fizyczny kontakt: podczas wymiany zdań pragnęła mieć jasną głowę.

Oboje zatrzymali się na środku pokoju. Stając twarzą do niego, wdzięczna była za palącą się świecę, którą przyniósł z salonu. Poczekała, aż odstawi ją na toaletkę. Paliła się jasnym płomieniem, więc mogli wyraźnie widzieć swoje twarze.

Jonas wyprostował się i odwrócił w kierunku Em.

– Zanim cokolwiek powiesz, chcę, abyś wiedziała, że nie poddaję krytyce twoich działań związanych z zapłatą okupu. Doskonale rozumiem motywy twojego postępowania, mającego na celu uratowanie dziewczynek. – Wsunął ręce do kieszeni, wbijając w nią mroczne spojrzenie. – Natomiast kwestionuję fakt, że nie omówiłaś ze mną tej sprawy: ich zniknięcia, żądania okupu i twoich planów.

Jego oczy zdawały się płonąć – miała pewność, że rysy jego twarzy wyraźnie stężały, że nie jest to wytwór jej wyobraźni.

– Obiecałaś mi. Obiecałaś, że będziesz się ze mną dzielić kłopotami, abym mógł ci pomóc i wziąć część tego ciężaru na swoje barki. Powód, dla którego poprosiłem cię o tę obietnicę, był prosty. Zrobiłem to, bo jesteś dla mnie ważna. – Niespokojnie wyciągnął dłonie z kieszeni, nabrał powietrza i wypuścił je, wraz z kolejnymi słowami. – Nie tylko ważna, jesteś bardzo ważna, najważniejsza, niezbędna mi do życia! Potrzebuję cię. Musisz być w moim życiu, bo w przeciwnym razie nie będzie ono nic warte.

Chyba nie wiedział, co zrobić z rękami – zacisnął je w pięści.

– Kocham cię. Dlatego poprosiłem o tę obietnicę i dlatego chciałem, abyś jej dotrzymała. Lecz gdy to przyrzeczenie zostało poddane próbie, złamałaś je. – Zrobił najbardziej ponurą minę, na jaką było go stać. – Nie ufałaś mi.

– Zaczekaj! – Uniosła dłoń. – Zatrzymaj się. – Spojrzała na niego, mrużąc lekko oczy. – Uważasz, że ponieważ nie powiedziałam ci o niczym i nie szukałam twej pomocy w rozgrywce z Hadleyem, to nie ufałam ci, nie wierzyłam w twoją miłość?

Jego twarz nie wyrażała niczego, lecz ona czekała i czekała, aż w końcu niechętnie skinął głową.

Em opuściła rękę i powoli nabrała powietrza w płuca.

– No więc myliłeś się! – wybuchła. – Prawdziwym powodem, dlaczego nie powiedziałam ci o liście, o zniknięciu sióstr, lecz zamiast tego zostawiłam ci list, abyś mógł przeczytać go później, było właśnie pełne zaufanie do ciebie. – Spojrzała na niego ze złością. – Wierzyłam, że mnie kochasz, i już przyzwyczaiłam się

do twoich reakcji w sytuacjach, gdy mnie grozi niebezpieczeństwo. – Dźgnęła się palcem w pierś, z zadowoleniem obserwując w jego ciemnych oczach coraz lepiej widoczną konsternację. Jeszcze raz powtórzyła ten sam gest. – Mnie! Właśnie dlatego byłam pewna, absolutnie i bezapelacyjnie, że podjąłbyś próbę, walkę, aby mnie chronić za wszelką cenę! I zapewne odniósłbyś zwycięstwo. Lecz tym razem to było niemożliwe. Tym razem sama musiałam zaryzykować, aby ocalić kogoś innego, inne osoby, które kocham i którym chcę zapewnić bezpieczeństwo, takie, jak ty mi zapewniasz. A przy okazji, skoro już mówimy o zapewnieniu bezpieczeństwa osobom, które kochamy. – Znowu nabrała dużo powietrza, zdeterminowana, by naświetlić wszystkie aspekty tego drażliwego tematu. – Jeśli ja mogę zaakceptować i przyjąć do wiadomości fakt, że mnie kochasz i w związku z tym chcesz mnie chronić, i ty musisz w zamian coś zaakceptować, przyjąć do wiadomości i zrozumieć.

Jego oczy były jak czarna otchłań, twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Co to takiego?

– Że ja cię kocham! A to oznacza, że czuję to samo do ciebie co ty do mnie. Więc nie będę stała potulnie jak baranek, gdy jakiś zbir chce ci zrobić krzywdę, lecz zacznę działać, aby cię ochronić, tak samo jak ty mnie.

Emocje gotowały się w niej. Podeszła i pomachała mu palcem pod nosem.

– Jeśli nasze małżeństwo ma być udane, to nie będę bierną partnerką.

Jego usta zaczęły drżeć. Próbował je uspokoić, wytrzymać jej spojrzenie. Bezskutecznie.

Patrzyła na niego zwężonymi do granic możliwości oczami.

– Nie waż się śmiać, to nie był żart.

Tym razem już nie mógł się powstrzymać. Wyciągnął do niej ręce, parskając śmiechem.

– Wybacz mi. – Przyciągnął ją ku sobie, a ona podeszła, lecz nadal stała sztywno. Objął ją i przytulił. – Ja… – Nabrał

powietrza, zatrzymał je w płucach, walczył ze sobą, by zdusić niestosowne rozbawienie. Jednocześnie poczuł ogromną ulgę.

„Jeśli nasze małżeństwo ma być udane". A więc kochała go, ufała mu. Bez względu na wszystko zdobył ją.

– Ja to rozumiem… – Naprawdę rozumiał. – Ale… – spojrzał na nią z góry, zaczekał, aż ona uniesie głowę. – Miałaś rację. – Skrzywił się. – Nie dałbym się łatwo przekonać, żeby pozwolić ci iść do mauzoleum i przekazać skarb porywaczowi. Zapewne w ogóle nie dałbym się przekonać. – Poczuł, jak mięśnie jego twarzy napinają się, gdy pomyślał, jakie wyzwanie i ryzyko musiała podjąć, co mogło się jej przydarzyć. Musiał jednak oddać jej sprawiedliwość.

– Nie podoba mi się to, nic a nic, lecz miałaś rację, przynajmniej, gdy chodzi o decyzję, żeby ratować siostry. Lecz nigdy, przenigdy nie zgodzę się, abyś podejmowała ryzyko, by mnie ratować.

Spojrzała na Jonasa półprzymkniętymi, orzechowymi oczami.

– Wobec tego… w tej kwestii zgadzamy się co do tego, że się nie zgadzamy.

Zawahał się. Wymagało to dużego wysiłku, ale zmusił się, żeby skinąć głową.

– Zgoda.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Zgoda? – Wykonała zamaszysty gest. – Więc nie masz nic przeciwko temu, abym działała według własnego uznania, jeśli będziesz w niebezpieczeństwie?

Zacisnął usta.

– Nie. Nie będę się na to zgadzał. Za każdym razem, w każdej chwili. Lecz jeśli to jest cena, którą muszę zapłacić, żebyś zgodziła się mnie poślubić, to… zgoda. Jakoś dam radę.

Co oznaczało, że uczyni wszystko, co w jego mocy, aby Em nigdy więcej nie znalazła się w sytuacji, w której musiałaby go bronić lub nawet pomagać mu, gdyby znalazł się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

Widział po jej oczach, że także to zrozumiała, lecz po chwili skinęła głową.

– Dobrze. – Jej wcześniejsze wojownicze nastawienie i napięcie już znikły. Przez moment spoglądała badawczo na jego twarz, przechyliła głowę, otwierając szerzej oczy. – Więc… zdaje się, że czekałeś, aby zadać mi jakieś pytanie? – powiedziała łagodnym, zachęcającym tonem.

Zdawało się, że świat stanął w miejscu. Nagle ze zdwojoną siłą uświadomił sobie, że trzyma ją w ramionach, czuje ciepłe, miękkie kobiece ciało, gibkie i szczupłe, zrozumiał, jak bardzo jego życie, a nawet cały jego świat, zależy od niej i kręci się wokół niej. Jak wiele dla niego znaczy, jaka jest ważna dla niego… I naprawdę była jego.

Z ust Jonasa bez wysiłku popłynęły słowa:

– Emily Colyton, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Patrzyła mu w oczy, jakby skupiła się wyłącznie na tych słowach, delektowała się ich brzmieniem, a po chwili uśmiechnęła się szeroko całą buzią.

– Tak.

Objęła go za szyję, wspięła się na palce i dotknęła ustami jego ust.

– Zostanę twoją żoną, Jonasie Tallencie, i będę cię kochała do końca moich dni.

Przytulił ją mocniej, przylgnął do jej warg i pocałował z tą samą płomienną namiętnością, z jaką ona oddała mu pocałunek.

Otuliła ich noc, gdy zrzuciwszy ubrania, przewrócili się na jej łóżko. Nadzy spotkali się; ich ciała, palce i usta zwarte w tanecznym rytmie starym jak świat.

Gdy ich dusze przenikały się, osobne lecz wzajemnie splątane, gdy ich serca biły szaleńczo, dopadła ich ekstaza, rozbiła w pył, rozchodząc się rozkosznie w żyłach.

Zwarci we wzajemnym uścisku powoli wrócili na ziemię.

W ich nieskrępowanej namiętności kryła się obietnica. Gdy Em położyła głowę na zdrowym ramieniu Jonasa i poczuła, jak obejmuje ją, pomyślała, że ta obietnica nigdy nie była wyraźniejsza.

Oboje stali ręka w rękę na progu swojej przyszłości. Miłość zbliżyła ich do siebie, nierozerwalnie zespoliła. Teraz miłość stała się kamieniem węgielnym ich teraźniejszości i gwarancją wszystkiego, co miało nadejść.

Miłość była sercem ich świata, fundamentem ich wspólnego życia.

To było o niebo więcej, niż oczekiwała, wyruszając do Colyton.

Szukała skarbu, a znalazła o wiele więcej. Skarb, który zdobyła dla siebie, był znacznie cenniejszy niż klejnoty i złoto.

Miłość skusiła ją, miłości się poddała, wreszcie odnalazła swoje miejsce.

Jonas pocałował ją w czoło.

Z uśmiechem wtuliła się w niego, zamknęła oczy i zasnęła.

Epilog

Grange, Colyton
cztery miesiące później

Em szamotała się ze spódnicą sukni, starając się idealnie ułożyć brzoskwiniowy jedwab. Nie pamiętała, by w dniu ślubu męczyła się aż tak bardzo. Lecz wtedy, ponad trzy miesiące temu, miała tyle osób do pomocy, że sama nie musiała nic robić.

Dziś to Issy wychodziła za mąż, a Em postanowiła, że wszystko – łącznie z suknią starościny wesela – będzie absolutnie perfekcyjne.

W czasie ostatnich czterech miesięcy, od chwili gdy Em znalazła skarb Colytonów, w jej życiu zaszły ogromne zmiany – wszystkie na lepsze – które miały związek z jej nową pozycją, żony Jonasa Tallenta z Grange.

Razem z Phyllidą i Jocastą z Ballyclose została naturalną spadkobierczynią starej lady Fortemain. Wszystkie trzy były teraz najlepszymi przyjaciółkami. Ta bliska relacja z kobietami o podobnym statusie, z którymi mogła dzielić się sekretami, stanowiła dobrodziejstwo, które nigdy wcześniej nie było jej dane – jeszcze jeden element jej nowego bogactwa.

Pozycja Em Pod Czerwonym Dzwonkiem z konieczności także uległa zmianie. Wciąż zarządzała zajazdem, nadzorowała jego działalność, lecz już na odległość. Edgar, Hilda, John Ostler i Mary Miggins, którą najęła jako gospodynię, prowadzili gospodę na co dzień, i wszystko dobrze się układało.

Wioska wchłonęła ją wraz z rodziną, wciągnęła Colytonów w miejscowe życie tak, jakby uczestniczyli w nim od zawsze. Wszyscy uznawali to za rzecz naturalną i jak najbardziej właściwą, że Colytonowie znowu zamieszkali w Colyton.

Nauka Henry'ego postępowała dobrze. Wszyscy uzgodnili, że dopiero po ukończeniu studiów zacznie szukać dla siebie domu, lecz wyraźnie chciał powrócić do Colyton, gdzie on także czuł się jak u siebie.

Bliźniaczki dość skwapliwie uczyniły z Grange nowy dom – był on wielki i z łatwością mógł pomieścić stado dzieci. Issy także się tam przeprowadziła, lecz od dzisiejszego wieczoru jej domem miało być probostwo. Małżeństwo z Filingiem okazało się kolejnym niezaplanowanym błogosławieństwem.

Skarb – wszystkie złote monety i klejnoty – został zamieniony na gotówkę pod czujnym okiem Lucyfera. Potem Em musiała się nauczyć przynajmniej podstaw inwestowania, w czym jeszcze inni członkowie rodziny Lucyfera, Cynsterowie, okazali się bardzo pomocni.

Były takie chwile, jak teraz, gdy Em stała i patrzyła w wielkie lustro stojące w pokoju, który dzieliła z Jonasem w Grange – nie była to jego dawna sypialnia, lecz inny znacznie większy pokój, przeznaczony dla pary – i zastanawiała się nad wszystkimi zmianami w jej życiu.

Spoglądając na swoje odbicie, we własne oczy, z trudem przypominała sobie życie, jakie wiodła przed przybyciem do Colyton, pełne prób i zgryzot, obaw i trosk. Obawy i troski pojawiały się jeszcze od czasu do czasu, lecz teraz miała je z kim dzielić – poza tym rekompensowały je rzeczy dobre, ekscytujące, podnoszące na duchu. Jej obecne życie było zupełnie inne w porównaniu z okresem przed przyjazdem do Colyton.

Jedyną niezałatwioną sprawą z tamtych czasów był Jervis, lub też Hadley – jak sam siebie nazywał. Mimo nieprzerwanej obserwacji, mimo wielotygodniowego, codziennego sprawdzania mauzoleum, nigdy nie został odnaleziony ani też nikt go nie widział. Wynikał z tego wniosek, że albo zginął w podziemiach, albo znalazł inne wyjście z jaskini i gdzieś znikł.

Gdy emocje po odnalezieniu skarbu opadły, Harold wrócił do Leicestershire, zapewne, aby wynająć nową domową służbę. Em nie zaprosiła go na swój ślub, podobnie jak Issy. To Henry z

dumą przekazał Em Jonasowi podczas ceremonii w kościele, a dziś miał wykonać podobny symboliczny gest wobec Issy, z czego obie siostry były bardzo zadowolone.

No i był jeszcze Jonas. Jonas, który cały czas trwał u jej boku, który teraz był jej mężem zarówno z nazwiska, jak i z zachowania, z założenia, z domniemania. To, co czuła, gdy o nim myślała, nie dało się łatwo ubrać w słowa. Był jej, był dla niej wszystkim, był całym jej światem.

Najcenniejszym skarbem.

Razem z… miała nadzieję.

Stając bokiem do lustra, wygładziła jedwabny materiał na delikatnym wybrzuszeniu poniżej talii. Następne pokolenie, nie Colytonów, lecz Tallentów, połączenie dwóch najstarszych miejscowych rodzin.

Kolejna rzecz, która ułożyła się dokładnie tak, jak powinna.

Usłyszała pukanie w drzwi, do pokoju wszedł Jonas. Od razu skupił uwagę na niej, pożerając ją zaborczym wzrokiem, od czubka głowy po czubki pantofli z morelowej satyny.

Widząc jego łagodny uśmiech, poczuła miłe ciepło. Kiedy zajrzał jej w oczy swoimi ciemnymi oczami, dostrzegła w ich głębi płomienną miłość.

– Jesteś gotowa? – spytał.

Jeszcze raz przejrzała się w lustrze.

– Tak. – Odwróciła się do niego. – A jak tam Issy?

– Jest uosobieniem… spokojnej niecierpliwości. Siedzi w salonie, ściskając bukiet, a Henry dotrzymuje jej towarzystwa. Jeszcze za wcześnie, żeby jechać do kościoła. Spóźnieni goście nigdy by nam tego nie wybaczyli.

– Masz rację. Niektórzy jadą z bardzo daleka. – To było ważne dla obu sióstr. Nauczyły się doceniać wszystko, co mają, gdyż wcześniej były tego pozbawione. Chciały, aby ich przyszłość była oparta na rodzinie, na zapuszczeniu korzeni w Colyton, na wyhodowaniu nowych gałęzi własnego drzewa genealogicznego.

Em podniosła z toaletki swój bukiet, wygładziła długie wstążki, odwróciła się i wykorzystała tę chwilę, by spojrzeć na

Jonasa – sycić się jego widokiem, widokiem swojego męża, przyjaciela – a następnie z szerokim uśmiechem podeszła do niego.

On także uniósł kąciki ust, patrząc na nią pytająco.

– Co?

Jej uśmiech wyrażał głębię miłości.

– Właśnie myślałam o czymś, co ostatnio często przychodzi mi do głowy.

Zdziwił się jeszcze.

– A czy ja chciałbym poznać tę myśl?

Zaśmiała się.

– Chyba tak. Jakiś czas temu zdałam sobie sprawę z tego, że prawdziwy skarb, który czekał na mnie w Colyton, nie miał nic wspólnego ze złotem i klejnotami.

Uśmiechnął się triumfalnie.

– Bo ja tu czekałem, a ty przyjechałaś i mnie znalazłaś.

Znowu się zaśmiała i odwróciła w kierunku drzwi.

– Rzeczywiście. Znalazłam ciebie. Znalazłam miłość. Odkryłam, że mam Tallenta do kochania.

Zawtórował jej śmiechem.

– Tak, masz talent i masz Tallenta. Jeśli wolno mi coś powiedzieć, to przez resztę życia będziesz miała mnóstwo okazji, aby się wykazać w obu kwestiach.

– Zapamiętam to – obiecała. – Z całą pewnością zapamiętam.

Jonas uśmiechnął się. Ponieważ całkowicie zgadzał się z tą deklaracją, pozwolił jej mieć ostatnie słowo.

K O N I E C

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Epilog